

*Bestsellerowa powieść z cyklu  
o MAJOR KAMIĘŃSKIEJ*

ALEKSANDRA  
**MARININA**  
**NIEBEZPIECZNA  
SEKWENCJA**



**NIEBEZPIECZNA  
SEKWENCJA**

ALEKSANDRA  
**MARININA**  
NIEBEZPIECZNA  
SEKWENCJA

Przekład  
Aleksandra Stronka



Tytuł oryginału: *Ангелы на льду не выживают*  
Copyright © Aleksandra Marinina, 2014  
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018  
Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Stronka, 2018

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk  
Redakcja: Magdalena Wójcik  
Korekta: Alicja Laskowska  
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz  
Projekt typograficzny i łamanie: Barbara Adamczyk  
Fotografie na okładce: © Peter Wollinga/Shutterstock  
© conrado/Shutterstock  
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie elektroniczne 2018

eISBN 978-83-7976-039-8

**CZWARTA STRONA**

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.  
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań  
tel.: 61 853-99-10  
fax: 61 853-80-75  
redakcja@czwartastrona.pl  
www.czwartastrona.pl

# Część 1

Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerkać na swoje odbicie w wystawach sklepowych. Biała bluzka w grochy wisiała na niej jak worek i była wyraźnie przykrótka, tymi samymi walorami odznaczała się spódnica za duża o dwa rozmiary, na dodatek deseń w kratę niedwuznacznie podkreślał, a wręcz eksponował wyszukany gust artystyczny damy w średnim wieku, noszącej owe ubranie. Brudne włosy, posklejane w efektowne kołtuny, przystrajał godny podziwu filcowy beret w dziwacznym kolorze. Można było snuć najrozmaitsze przypuszczenia, zaczynając od katastrofalnej sytuacji materialnej kobiety, a kończąc na jej całkowitej niepoczytalności i chorobie psychicznej, ale wśród wszystkich hipotez nie dałoby się znaleźć ani jednej, która byłaby choć trochę bliska prawdy. I o to właśnie chodziło.

Nastia Kamieńska uśmiechnęła się do swojego odbicia i jeszcze raz skonstatowała: wygląda doskonale!

Trzy lata po przejściu na emeryturę poczuła się naprawdę szczęśliwa, wreszcie mogła zająć się tym, co jej się tak podobało przez całe życie, ale czego nie miała okazji robić w pracy. Choć właściwie miała, tyle że sporadycznie... Wiele lat temu jej ojczym, detektyw z dużym stażem, zauważył, że osoby z taką powierzchownością jak Nastia trafiają się niezwykle rzadko, więc grzech tego nie wykorzystać. To, co jako młoda dziewczyna mogła uważać za istotną wadę, stawało się ogromną zaletą

w dowolnych wcieleniach. Tak, Nastia Kamińska zawsze była nijaka i blada, ale dzięki absolutnie prawidłowym rysom twarzy i proporcjonalnej budowie ciała nie rzucała się w oczy. Tak samo nie rzuca się w oczy czysta kartka standardowego formatu o idealnie równych brzegach, można jej po prostu nie zauważyć, podczas gdy nierówno oderwany kawałek, pomalowany w esy-floresy na pewno znajdzie się w centrum uwagi.

Już od trzech lat Anastazja Kamińska pracuje w prywatnej agencji detektywistycznej starego przyjaciela Władika Stasowa i przynajmniej od roku „dorabia”, pomagając dawnym znajomym, którzy nadal zajmują się pracą operacyjną. Zresztą „dorabianie” to niewłaściwe słowo, Nastia nie dostaje za to pieniędzy, pracuje z miłości do sztuki, a raczej dla własnej przyjemności. To oczywiste, że jeśli dotrze to do zwierzchników owych znajomych, pourywają im głowy, czemu jednak mieliby się dowiedzieć?

Dzisiaj Nastia zamierzała porozmawiać z pewnym mężczyzną i wyciągnąć od niego informacje, on zaś nigdzie nie pokazywał się bez swojej okropnie podejrzliwej i kłótlivej żony. Dowiedziawszy się, że tego dnia małżonkowie planują odwiedzić przychodnię rejonową, Nastia uznała, że to idealna okazja. Ludzie bardzo chętnie zawierają znajomości w długich kolejkach przed gabinetem, dzieląc się uwagami o lekarzu, o jego pielęgniarce, o innych lekarzach i pracownikach rejestracji, narzekając na drogę lekarstwa, opowiadając o swoich chorobach i dając rozmaite rady, a także adresy „cudownych znachorek, które zdejmują wszelkie dolegliwości podczas jednego seansu, w dodatku niedrogo”.

Nastia wykonała zadanie nad podziw szybko i opuściła przychodnię bardzo zadowolona. Podstarzała niedojda wzbudzała zaufanie i litość, więc nikt nie powziął żadnych podejrzeń w stosunku do emerytki w kretyńskim berecie.

Jedynym problemem okazało się obuwie. Nastia nie znalazła

znoszonych pantofli w odpowiednim rozmiarze, miała tylko adidas, więc musiała włożyć to, co było pod ręką. A pod ręką były tylko buty należące do Daszeńki, żony brata Nasti, Aleksandra, w dodatku za małe. Warto jednak nieco pocierpieć. Tym bardziej że chód w niewygodnych butach staje się zwykle chwiejny i nierówny, co świetnie koresponduje z bluzką w grochy, a także ze spódnicą w kratę i z marnymi włosami (żeby ukryć modną fryzurę, Nastia przez parę dni nie myła głowy i dla lepszego efektu natłuściła włosy oliwą) oraz z cudacznym beretem, który musiał pochodzić z przedpotopowych czasów. Jak to dobrze, że Daszka lubi się krzątać na swojej posesji! I że ubrania oraz buty, których używa do pracy w sadzie, są starannie poukładane i rozwieszane w budynku gospodarczym! Stamtąd właśnie pochodził beret, a także zdeptane pantofle...

Każdy krok sprawiał coraz większą trudność, stopy paliły żywym ogniem, więc dama w berecie zaczęła całkiem wyraźnie utykać. Samochód musiała zaparkować daleko, żeby nie dawać nikomu powodu do snucia niepotrzebnych domysłów.

Nastia dostrzegała kpiące i współczujące spojrzenia mijanych przechodniów i uśmiechała się w duchu. Znalazłszy się koło samochodu, ze starej, sfatygowanej torebki wyciągnęła kluczyki, nacisnęła guzik, wyłączając alarm, i w tej samej chwili napotkała wzrok młodego sympatycznego chłopaka, który przyglądał jej się najpierw z ciekawością, a później z przerażeniem. No tak, oczywiście, skąd tak dziwaczna i bez wątpienia biedna kobiecina może mieć srebrzystego peugeota... Młodzieniec najwyraźniej uznał, że to halucynacje, i potrząsnął głową. Nastia wsunęła się za kierownicę, zatrzasnęła drzwi i od razu opuściła szybę. Od rana panował upał, a teraz, po południu, powietrze znieruchomiało, stało się gęste i duszne jak przed burzą. Kiedy parkowała tutaj ponad trzy godziny temu, miejsce znajdowało się w cieniu, ale podczas gdy cierpliwie czekała w kolejce do rejonowego internisty, cień przesunął się



daleko w bok i auto zdążyło mocno się nagrzać.

Tymczasem chłopak wciąż stał i się na nią gapił, jakby nie wierzył własnym oczom. Taka niechlujna kobiecina – i siedzi w drogim aucie! Nastia była w świetnym humorze, więc uznała, że warto wnieść trochę radości w życie nieznajomego. Wyciągnęła ze swojej okropnej torby futerał, a z niego okulary w modnych oprawkach, później wyjęła papierosa i pstryknęła drogą zapalniczką. Chłopak zachwiał się i zatoczył. Nastia mrugnęła doń wesoło i uruchomiła silnik. Należy się smarkaczowi jakaś rozrywka, pomyślała z kpina, będzie miał co opowiadać kolegom. Za szybko spisują starszych ludzi na straty.

Czekała ją daleka droga. Już od trzech tygodni mieszkała z mężem w willi brata za miastem. Aleksander i Dasza zabrali młodsze dziecko do Szwajcarii na skomplikowany zabieg połączony z długotrwałą rehabilitacją, nie chcieli jednak zostawiać bez nadzoru starszego syna, osiemnastoletniego Sani. Aleksander Kamieński trzeźwo oceniał swojego w gruncie rzeczy dobrego i pojętnego, ale nieposłusznego syna. Sania studiował w instytucie, ale tylko udawał, że się uczy. Jego życie zdominował komputer, liczyło się jedynie hakerstwo. W tej dziedzinie osiągnął mistrzostwo. Razem ze swoim kolegą Pietią, jeszcze zdolniejszym hakerem, spędzał przy komputerze całe dnie i noce, wyczyniając niestworzone rzeczy. Pietia był o dwa, najwyżej trzy lata starszy od Sani, nigdzie nie studiował, nie służył w wojsku ze względu na stan zdrowia, żył ze zleceń i miał mnóstwo wolnego czasu. Aleksander Kamieński nie darzył go szczególną sympatią i kiedy Nastia po raz pierwszy zobaczyła najlepszego przyjaciela swojego bratanka, musiała przyznać, że całkowicie podziela uczucia brata. Pietia był zwalisty, tęgi, niechlujny i niezbyt dobrze wychowany, zapominał się witać i chyba w ogóle nie znał słowa „dziękuję”.

Brat Nasti bał się dwóch rzeczy: że synek zawali sesję, wyleci z hukiem z instytutu i otrzyma powołanie do wojska oraz że

razem ze swoim przyjacielem Pietią (inaczej Peterem, Pedrem, Petrucciem albo Pierre'em) włamie się do banku ojca albo do jakiejś innej instytucji, to znaczy popełni przestępstwo i trafi za kratki. Z tego powodu poprosił siostrę, żeby na pewien czas przeniosła się do ich domu i miała Sańkę na oku. Szczerze mówiąc, Nastia nie była właściwie potrzebna, obowiązek nadzoru spoczywał na jej mężu, który znał się na programach komputerowych o niebo lepiej niż ona, więc potrafił rzetelnie skontrolować, co chłopak robi. Zadaniem Nasti było przygotowanie dietetycznych posiłków dla Sani, który wskutek ciągłego spożywania coca-coli, hamburgerów oraz innych przekąsek pochłanianych bez konieczności odrywania się od komputera nabawił się jeszcze przed ukończeniem osiemnastego roku życia rozmaitych dolegliwości, poczynając od pryszczycy na całym ciele, a kończąc na wrzodach i zapaleniu trzustki. Ugotować kaszę, zupę krem, zrobić purée i przypilnować przyjmowania lekarstw o odpowiedniej porze – oto i cały zakres obowiązków Nasti. Reszta jest sprawą Czistiakowa, który przez parę dni może pracować w domu i zdalnie kierować swoim laboratorium, powierzwszy zastępcy wszystkie bieżące sprawy.

Gdy parkowała samochód w garażu Kamieńskiego, była prawie dziewięta wieczór. Droga zajęła sporo czasu, w dodatku Nastia musiała się zatrzymać przy supermarkecie, żeby zrobić zakupy. Oboje z Czistiakowem od razu zrezygnowali z usług pomocy domowej i poprosili, żeby nikt nie przychodził. Nikogo nie potrzebują, sami mogą robić zakupy i gotować dla siebie i Sańki, a kobieta, która sprząta, może się zjawiać najwyżej raz w tygodniu. Kamieńscy prowadzą bogate życie towarzyskie, bez przerwy ktoś u nich gości, więc bez kucharza i pokojówki się nie obejdą. Ale Nastia i Czistiakow będą się czuli skrępowani. Wprawdzie Daszka, która znała Nastię od wielu lat, wyraziła w pełni uzasadnioną wątpliwość dotyczącą jej umiejętności ugotowania zwyczajnej kaszy. I miała absolutną rację. Nastia

Kamieńska nie umiała ugotować kaszy. Podobnie jak przygotować zupy kremu czy innych dietetycznych dań.

No i co z tego? Może się przecież nauczyć. Warto też sprawdzić, czy w wieku pięćdziesięciu dwóch lat potrafi jeszcze czegoś się nauczyć, czy też jest już na to za późno. Parę dni przed przeprowadzką do domu za miastem Nastia otworzyła pierwszą lepszą książkę kucharską i spróbowała ugotować kaszę mannę. Efekt był kiepski, a prawdę mówiąc, fatalny. Długo odskrobywała przypaloną kaszę, która przywarła do garnka, po czym podjęła drugą próbę, a po niej trzecią... Za szóstym razem kasza manna udała się wyśmienicie. Westchnąwszy z satysfakcją, Nastia przypomniała sobie słowa z filmu *Biurowy romans*, że jeśli się uprzeć, nawet zajęcia można nauczyć palić papierosy, i zaczęła ćwiczyć kolejne danie. W chwili przeprowadzki czuła się całkiem pewnie jako kucharka specjalizująca się w dietetycznym żywieniu. Co prawda przyrządzanie dań dla zdrowych osób nadal było jej piętą achillesową, ale to już nie miało żadnego znaczenia. Jej zadanie to nakarmienie bratanka. A ją jak zwykle wyżywi ukochany mąż.

We wszystkich oknach na parterze było ciemno, Czistiakow pojechał rano na posiedzenie rady naukowej i uprzedził, że wróci późno – po obronie dysertacji odbędzie się bankiet. Na piętrze paliło się światło w oknie pokoju Sańki. Za każdym razem, myśląc o bratanku, Nastia zadawała sobie to samo pytanie: czy jej brat zdaje sobie sprawę, jakie ma szczęście? Aleksander boi się, że syn wyleci z instytutu albo coś zmajestruje. Ale chłopak przynajmniej siedzi w domu. Rodzice mogą mieć całkowitą pewność, że żyje i nic mu się nie stało. Pracując w wydziale kryminalnym, Nastia widywała wiele rodzin, które oddałyby wszystko, żeby ich latorośl spędzała czas w domu, a nie włóczyła się nie wiadomo gdzie i zajmowała lichy wie czym. Tymczasem Aleksander nie docenia swojego szczęścia, wciąż wymyśla jakieś groźne niebezpieczeństwa,

które tak naprawdę nie są groźne. No bo co jest lepsze: syn odsiadujący wyrok za kradzież czy syn, którego można odwiedzać tylko na cmentarzu? Nastia Kamińska świetnie знаła odpowiedź. Tymczasem Aleksander chyba się jej nawet nie domyślał.

Włączyła światło w przedpokoju, włożyła kapcie i zaniósła torby z zakupami do kuchni. Zajrzała do lodówki, a później do zlewu – no oczywiście, Sani nie chciało się podgrzać tego, co mu przygotowała, jadł zimną kaszę prosto z garnka, a zapiekankę warzywną chwycił rękami. Upačkana kaszą łyżka, smutno poniewierająca się na dnie zlewu, oraz resztki zapiekanki nie pozostawiały miejsca na inne hipotezy.

Nastia wspięła się na górę do pokoju bratanka, podała mu wszystkie niezbędne lekarstwa oraz szklanę wody. Sania potulnie połknął tabletki i proszki, w ogóle się nie odwracając do ciotki i ani na chwilę nie odrywając wzroku od ekranu komputera.

– Co porabiasz? – rutynowo zapytała Nastia.

– Szykuję się do desperado – tak samo rutynowo odparł Sania.

„Desperado” w młodzieżowym slangu oznaczało kartkówkę.

– A może pójdziemy na spacer? – zaproponowała.

Prowadzili swego rodzaju grę: co wieczór Nastia proponowała bratankowi spacer i co wieczór otrzymywała wyjaśnienie, dlaczego to niemożliwe. Codziennie padały inne wyjaśnienia i Nastia była bardzo ciekawa, kiedy Sani wyczerpią się pomysły i pośle ją do wszystkich diabłów.

Ten dzień chyba właśnie nadszedł.

– A może do lasu liście pompować? – Chłopak wysunął kontrpropozycję, której sens, nadal w tym samym slangu, sprowadzał się do sugestii, żeby ciotka się odczepiła i zostawiła go w spokoju.

– Jak sobie życzysz! – Nastia natychmiast ustąpiła i wróciła na dół.

Ulokowawszy się w miękkim fotelu przy szerokim oknie w salonie, wyjęła stary notes i sięgnęła po komórkę. Czekają spokojny wieczór, który warto poświęcić na zaległe rozmowy telefoniczne. W ciągu dwudziestu pięciu lat pracy w wydziale kryminalnym Anastazja Kamińska zdobyła ogromną rzeszę znajomych w rozmaitych branżach oraz warstwach społecznych i przyjęła zasadę, że mniej więcej raz na dwa miesiące do każdego dzwoni, dowiaduje się, co słychać, składa życzenia z okazji świąt... Jednym słowem, podtrzymuje kontakty. Nigdy nie wiadomo, w jakim kierunku potoczy się praca detektywa, choćby prywatnego. Trudno przewidzieć, do kogo i w jakiej sprawie trzeba będzie się zwrócić po potrzebne informacje albo po pomoc.

Z każdą minutą coraz trudniej było oddychać, wilgotne powietrze niemal kleiło się do twarzy, w końcu zaczęło błyskać, a chwilę później rozległ się grzmot i lunął rześisty deszcz.

===

Pies energicznie się otrząsnął, zanim kynolog wydał komendę, żeby wskoczył do samochodu, mimo to woda spływająca z gęstej sierści natychmiast utworzyła sporą kałużę. Śledczy Bałajew ze smętną zawiścią popatrzył na mikrobus, którym przyjechała dyżurna grupa operacyjno-dochodzeniowa i w którym rozsiądzie się zaraz wygodnie kynolog z psem, i z rezygnacją pokiwał głową: oglądanie miejsca zdarzenia w ulewnym deszczu to zajęcie nie tylko mało przyjemne, ale, co gorsza, nieefektywne. W dodatku w zupełnych ciemnościach... Ustawiono oczywiście reflektory, ale to bynajmniej nie to samo co ostre dzienne światło. I co niby może znaleźć służbowy pies patrolowy, nawet najlepszy, gdy wokół pełno wody? Instrukcja nie pozostawiała jednak wyboru: do zwłok należy wyjeżdżać z kynologiem.

Biegły kryminalistyki mełł w ustach przekleństwa,

przeczesując wykrywaczem metalu miejsce znalezienia zwłok i stopniowo poszerzając promień poszukiwań. Potoki wody mogły znieść łuskę Bóg wie gdzie. O ile łuska w ogóle istnieje.

Kierowca samochodu policyjnego i miejscowy dzielnicowy stali obok, trzymając parasole nad ekspertem medycyny sądowej przeprowadzającym oględziny zwłok mężczyzny z raną postrzałową pleców, a także nad Bałajewem, który pod dyktando eksperta notował wyniki oględzin i z niepokojem myślał, że ból zęba trzonowego z prawej strony wciąż narasta. Ząb bolał go już trzeci dzień, chyba zaczął się odsłaniać nerw, więc Timur Achmedowicz zapisał się do dentysty akurat na jutro, wiedząc, że po dwudziestoczerogodzinnym dyżurze przysługuje mu dzień wolny. Lekarz medycyny sądowej wyciągnął z kieszeni kurtki dowód osobisty, prawo jazdy, dowód rejestracyjny, jakiś dokument w twardej oprawie przypominający legitymację oraz kluczyki od samochodu.

– Trzymaj. – Wręczył wszystko śledczemu. – I przypomnij mi, gdy skończymy, że mam dla ciebie parę ciekawych powiedzonek.

Bałajew uśmiechnął się z wdzięcznością. Wielu kolegów wiedziało o jego hobby: Timur Achmedowicz, zagorzały obrońca czystości i poprawności językowej, kolekcjonował „perełki” z pisemnych dokumentów. Na przykład jednym z jego ostatnich nabytków było zdanie z protokołu oględzin miejsca zdarzenia: „Ze słupa i drutu pobrano kawałki białej nitki w czerwonym kolorze”. A od ekspertów medycyny sądowej napływały czasem bezcenne dary.

Sądząc ze zdjęcia w dowodzie i w prawie jazdy, dokumenty należały do zabitego. Michaił Walentinowicz Bołtienkow, rok urodzenia 1961, zameldowany w Moskwie, udzielono ślubu z obywatelką... wydano paszport...

Śledczy szybko przepisał dane do notesu i przekazał dokumenty policjantowi.

– Sprawdź, Fiedia.

Ten przerzucił strony w dowodzie, zerknął na prawo jazdy, otworzył następny dokument i ze zdziwieniem gwizdnął.

– O rany, Timurze Achmedyczu, zdaje się, że nasz truposzczak to trener wyższej kategorii.

– Jaki znowu trener? – burknął Bagłajew, nie przerywając pisania pod dyktando.

– Łyżwiarstwa figurowego. Proszę, oto legitymacja trenera.

No cóż, trener to trener... Co za różnica? Dla Timura Achmedowicza Bagłajewa istniały tylko dwie prawdziwe dyscypliny sportowe: piłka nożna i boks. Reszta to zawracanie głowy. Zwłaszcza łyżwiarstwo figurowe.

– Bierz się do roboty – nakazał niecierpliwie Fiodorowi.

– Niby do jakiej? Tutaj jest przecież adres zameldowania, trzeba jechać.

– Najpierw sprawdź w ewidencji.

– Ale po co, Timurze Achmedyczu? W dowodzie stoi jak byk.

– Sprawdź we wszystkich bazach, powiedziałem!

Bagłajew posłał Fiedia gniewne spojrzenie. Ach, ten Uljancew! Wszystko chciałby szybko, rach-ciach i po krzyku. Nad czym się tu zastanawiać? Wystarczy przydusić kogo trzeba! Skąd się bierze ta jego pewność siebie? Owszem, to prawda, że kiedyś wykazał się niesłychaną umiejętnością podjęcia decyzji, kierując się wyłącznie intuicją. Bagłajew dobrze pamiętał tamtą historię, był śledczym w sprawie. Nikt nie wierzył, że Fiedia odgadł... Dużo się o tym mówiło, wszyscy się nim zachwycali, ale... to się zdarzyło tylko raz. Nigdy więcej się nie powtórzyło. Od tamtej pory chłopak święcie wierzy jednak w swoją intuicję i w to, że bez żadnej dodatkowej weryfikacji może na oko oszacować wiarygodność każdej informacji. Oj, napyta sobie kiedyś biedy przez tę pewność siebie... Sam Bagłajew jest człowiekiem, jak to się mówi, z innej epoki, lubi, żeby wszystko było zrobione porządnie, starannie, po kolei, jak należy. Bo co się teraz dzieje? Są zwłoki, jest dokument, a w dokumencie adres zameldowania. Tak, jeśli wierzyć zdjęciom w dowodzie

i w prawie jazdy, zabity to rzeczywiście niejaki Michaił Bołtienkow. Więc trzeba jechać do niego do domu i zapytać członków rodziny: „Dokąd pojechał? Po co? Kiedy?”. Pięknie. Tylko gdzie gwarancja, że członkowie rodziny mieszkają akurat pod tym adresem, który widnieje w dowodzie? Życie wygląda dziś tak, że człowiek zameldowany jest w jednym miejscu, a mieszka zupełnie gdzie indziej, to normalne. Fiedia przyjedzie do mieszkania, zacznie się dobijać do drzwi, wyrwie ludzi ze snu – jest już grubo po północy, a oni nic nie wiedzą, bo to jacyś lokatorzy. Albo lokal stoi pusty i żaden Bołtienkow w nim nie mieszka, więc nikt nie otworzy drzwi. Fiedia zmarnuje tylko czas na przejazdy. To przecież jasne jak słońce! Chłopak jest jednak pewien, że trzeba natychmiast jechać, niczego nie sprawdzając. Ma intuicję, patrzcie go...

Bagłajew szybko zapisywał w notesie to, co mówił ekspert. Pisanie na czysto protokołu podczas ulewy nie miało sensu. Później spokojnie przepisze wszystko w samochodzie, zrobi to jak należy. Kątem oka zauważył, że Uljancew wsiadł do mikrobusu, a nie do swojego auta. To znaczy, że wykonuje polecenie śledczego. Zuch chłopak.

– Timurze Achmedyczu – rozległ się chwilę później podekscytowany głos policjanta. – Sprawdziłem w bazach, nasza ofiara mieszka pod adresem zameldowania, razem z żoną i nieletnim synem. Pochodzi z Czeriepowca, w Moskwie przebywa od siedemdziesiątego trzeciego roku. Żona jest lekarzem w MCZS[1]. To co, jadę?

Fiodor niecierpliwie przestępował z nogi na nogę i odruchowo gładził ogoloną niedawno głowę.

– Jedź – zezwolił Bagłajew.

Policjant pojechał. Śledczy odwrócił się do dzielnicowego.

– Poproś któregoś ze świadków, żeby potrzyzymał parasol zamiast ciebie, a ty z resztą chłopaków zacznij sprawdzać samochody, a nuż ktoś tam siedzi, na przykład jakaś para, albo może ktoś na kogoś czeka.



– Tak jest – odparł dzielnicowy bez szczególnego entuzjazmu.

Można go było zrozumieć – gdy człowiek trzyma parasol, sam też pod nim stoi, nie musi biegać w deszczu.

Timur Achmedowicz nie liczył zbyt na sukces, ale z przyzwyczajenia robił wszystko jak należy, od a do zet. Nocą, w dodatku podczas ulewy, znalezienie świadków tego, co się dzieje na ulicy, mija się z celem, wszyscy siedzą w domach, a większość dawno już śpi. Tak więc ludzie pozostający w zaparkowanych nieopodal samochodach stanowili jedyną szansę. Chociaż są też inne możliwości...

Bagłajew znowu zawołał dzielnicowego, który nie zdążył jeszcze daleko odejść.

– A kto tam u ciebie przesiaduje w piwnicach? Bezdomni, gastarbeiterzy?

– Nie, w piwnicach mam porządek. Regularnie je kontroluję.

Szkoda... Towarzystwo zamieszkujące piwnice nie przestrzega powszechnie przyjętego rozkładu dnia, całkiem możliwe, że ktoś z nich wychodził albo wracał w deszczu o głuchej północy.

– Mimo to sprawdź na wszelki wypadek – polecił Bagłajew. – A nuż ktoś tam dzisiaj urzęduje.

– Zrobi się.

– Podyktuj też numery mieszkań, w których palą się światła w oknach.

Czemu by nie? Pora nie jest oczywiście najlepsza, ale jeśli w oknie pali się światło, to znaczy, że ludzie nie śpią, więc dlaczego nie spróbować z nimi porozmawiać? Może znają zabitego? Albo coś widzieli? Albo przynajmniej słyszeli?

– Jest, Achmedycz! – rozległo się wołanie kryminologa. – Standardowa, kaliber dziewięć milimetrów.

No proszę, przynajmniej łuska się znalazła, to już coś. Teraz trzeba szukać broni. No i samochodu ofiary, bo skoro mężczyzna miał w kieszeni kluczyki, pewnie nim przyjechał. Dobra, szukanie w takich ciemnościach i tak nie ma sensu, można najwyżej znaleźć samochód, a broń, jeśli zabójca

wyrzucił ją gdzieś niedaleko, trzeba będzie zająć się rano. Wtedy też zacząć obchód mieszkań, i to jak najwcześniej, zanim ludzie wyjdą do pracy.

Timur Achmedycz z zalem pomyślał, że akurat w ubiegłym tygodniu skończył dwa śledztwa i przekazał materiały do sądu. A zatem to właśnie jemu zwierzchnictwo przydzielił zabójstwo Bołtienkova, mówiąc, że w celu równomiernego podziału zadań... i tak dalej. A skoro tak, to może zapomnieć o wolnym dniu, który mu przysługuje po dwudziestoczterogodzinnym dyżurze. Musi coś postanowić w kwestii zęba, dłużej nie da się zwlekać. Dobra, coś wykombinuje.

Wsiadł do mikrobusu, zamierzając sporządzić na czysto protokół oględzin miejsca zdarzenia, sięgnął do kieszeni po długopis i trafił na złożoną we czworo kartkę – tę, którą dał mu ekspert medycyny sądowej. Na ulicy, w deszczu, Bağajew schował ją od razu do kieszeni, nie czytając. Teraz, żeby sobie poprawić humor, zobaczy, czym go uraczył ekspert. „W swoim wyjaśnieniu złożonym komendantowi policji Saidow zeznał, że podczas porwania córki oboje z żoną zostali zabici, ale nie potwierdziły tego wyniki ekspertyzy lekarskiej”. „W związku z tym do kostnicy odesłano ciało nieznanego mężczyzny, podczas przesłuchania którego ustalono, że nazywa się Żarow i znaleziono go w samochodzie w pozycji siedzącej”. „Ciało Połynina poddano ekspertyzie sądowo-lekarskiej w celu potwierdzenia faktu śmierci. Podczas oględzin fakt śmierci nie został potwierdzony”.

Mimo zmęczenia, a także dyskomfortu spowodowanego mokrym ubraniem i niewesołą perspektywą pozostania bez dnia wolnego i bez pomocy lekarskiej Timur Achmedowicz najpierw cicho prychnął, a później nie wytrzymał i wybuchł gromkim śmiechem.

===

Wiera Bołtienkowa spoglądała na niepokąźnego, korpulentnego, ostrzyżonego na zero chłopaka i nie mogła uwierzyć w jego słowa. Ktoś zastrzelił Miszę... Jak to? Dlaczego? Przecież nie wydarzyło się nic niezwykłego, mąż pojechał jedynie porozmawiać, przeprosić, pogodzić się... Nie, to niemożliwe, to na pewno jakaś pomyłka!

– Jest pan pewien, że chodzi o Miszę? – zapytała drżącym głosem.

Drzwi do pokoju się uchyliły, na progu stanął rozespany chłopiec w piżamce w języki.

– Co się stało, mamó? – zapytał sennie. Później zauważył obcego mężczyznę i w jego zaspanych oczach pojawił się strach.

– Kim pan jest? Gdzie tata?

Wiera próbowała wziąć się w garść, żeby nie przestraszyć syna jeszcze bardziej.

– Tata pojechał w interesach i jeszcze nie wrócił, idź się położyć, skarbie.

– Kim pan jest? – z uporem powtórzyło dziecko, nie odrywając zaniepokojonego wzroku od policjanta o imieniu Fiodor.

– Wujek przyjechał do taty, synku, i na niego zaczeka. Wracaj do łóżka.

Chłopiec pokręcił się jeszcze przez chwilę na progu, po czym podreptał do swojego pokoju.

– Niech pan mówi ciszej – poprosiła Wiera.

Policjant chyba w ogóle jej nie współczuł. Wzruszył obojętnie ramionami i zauważył:

– Przecież pani pierwsza zaczęła krzyczeć. A więc dokąd, kiedy i w jakim celu pojechał pani mąż?

W jakim celu...

Michaił wrócił po treningu zdenerwowany i wzburzony. Okazało się, że odwiedził go trener nazwiskiem Łamzin i urządził awanturę. Wiera wyszła za Michaiła Bołtienkowa dziesięć lat temu i o sportowej przeszłości męża wiedziała niewiele, a właściwie prawie nic, z wyjątkiem tego, że najpierw

był sportowcem, a później został trenerem. Znała oczywiście obecnych uczniów męża, którzy stale ich odwiedzali, ale ogólnie rzecz biorąc, słabo się orientowała, co się dzieje w pracy Michaiła i w całym łyżwiarstwie figurowym. Nazwisko „Łamzin” obito jej się o uszy, ale nie znała mężczyzny osobiście.

– O co poszło? – zapytała.

Michaił mówił jednak gorączkowo i chaotycznie, tak jakby żona doskonale wiedziała, o co chodzi.

– Jestem oczywiście winien, głupio byłoby zaprzeczać, ale ponoszę odpowiedzialność za to, co się wydarzyło wtedy, a nie teraz. Że też Walerka tego nie rozumie! Wpadł do pokoju trenerów i zaczął wrzeszczeć, że powinien być mnie wówczas zabić, przynajmniej nie siedziałby za niewinność.

Mąż wykrzykiwał coś jeszcze z przejęciem, przytaczał niezrozumiałe argumenty, jakby się usprawiedliwiał ni to przed nią, ni to przed nieznanym jej Łamzinem. Więc mu poradziła, żeby postąpił tak, jak ona by postąpiła: niech się rozmówi i załagodzi konflikt. No i przeprosi, rzecz jasna.

– Masz rację! – Michaił zaczął biegać po pokoju w poszukiwaniu koszulki i skarpetek, które zdążył zdjąć. – Masz całkowitą rację! Pojadę porozmawiać z Walerką, powinien mnie zrozumieć. To jakieś nieporozumienie! Co było, to było, minęło tyle lat, nie wolno teraz z tego powodu... To, co się wtedy stało, było dziecinne, głupie i niedojrzałe, a teraz to poważna historia i nie należy łączyć jednego z drugim. Do licha! Do licha!

Wiera opowiadała i ledwie mogła uwierzyć, że wszystko to działo się parę godzin temu.

– O której pani mąż wrócił do domu? – rzeczowo zapytał policjant.

– Koło siódmej wieczorem. Dzisiaj ma tylko jeden trening, od drugiej do czwartej.

– Dzisiaj? A zwykle ile ich jest?

– Przeważnie dwa, a czasem nawet trzy. Ale teraz jest

spokojniejszy okres, sezon zawodów się skończył, dlatego grupa Miszy ma cztery razy w tygodniu po dwa treningi dziennie i dwa razy po jednym. Niedziela jest wolna.

– Aha. Więc mąż twierdził, że niejaki Łamzin groził, że go zabije?

Wiera czuła niepokój i strach. Ten chłopak wyraźnie przekręcał jej słowa, ale nie miała siły, żeby go poprawiać i tłumaczyć, że Łamzin nie groził, tylko żałował, że nie zabił Miszy wcześniej... Zresztą co za różnica! Miszy już nie ma i tylko to jest ważne. Cała reszta nie ma znaczenia.

Skinęła głową w milczeniu, nie odrywając wzroku od zdjęcia w ramce, które stało na półce z książkami: są na nim we trójkę: ona, Misza oraz ich syn, roześmiani, szczęśliwi. Misza nie żyje? To nie może być prawda!

– Wie pani, gdzie mieszka Łamzin?

Pokręciła głową, nadal się nie odzywając. Tak niewiele wiedziała o życiu zawodowym męża! Znała tylko trenerów, z którymi się przyjaźnił i stale spotykał. Ale nie potrafiła podać ich adresów ani telefonów.

Policjant wstał i ruszył do przedpokoju, wyjmując po drodze komórkę z kieszeni. Wiera słyszała jego przytłumiony głos, ale nie potrafiła rozróżnić słów, zresztą nawet nie próbowała. W tej chwili najważniejsza była myśl: Miszy już nie ma.

Nie znalazła w sobie dość sił, żeby się zdziwić albo zaniepokoić, gdy policjant zajrzał do pokoju i poprosił, żeby zamknęła za nim drzwi. Twarz mu promieniała.

– Jutro śledczy zechce z panią porozmawiać – uprzedził na pożegnanie. – I jeszcze jedno: będzie pani musiała pojechać do kostnicy, żeby zidentyfikować ciało.

Wiera znowu skinęła głową w milczeniu, starannie zamknęła drzwi wejściowe i ruszyła na palcach do pokoju syna. Chłopiec nie spał.

– Czemu nie śpisz? Już bardzo późno.

– Drzwi trzasnęły, słyszałem. Tata wrócił?

- Nie, synku, wujek sobie poszedł.
- Nie czeka na tatę?
- Nie, jest już bardzo późno, nawet duzi wujkowie muszą iść spać.

Długo siedziała przy łóżku syna, póki się nie upewniła, że mocno zasnął, później poszła do kuchni, drżącymi rękami przygotowała sobie herbatę i objęła gorący kubek, żeby powstrzymać dreszcze. Musi jakoś dotrwać do rana... Wtedy zadzwoni do Igora Sznitowa. Nie są bliskimi znajomymi, ale Igor Eduardowicz zawsze wspierał Michaiła i mu pomagał. Gdzieś powinna leżeć jego wizytówka z numerami telefonów.

Wiera nie potrafiłaby jasno wytłumaczyć, dlaczego chce zadzwonić do członka komitetu wykonawczego Federacji Łyżwiarstwa Figurowego Rosji, ale nic innego nie przyszło jej do głowy.

===

Oficer śledczy Fiodor Uljancew był w swoim żywiole. Co za niesłychane szczęście – wykrycie przestępstwa na gorąco, a właściwie nie na gorąco, w ciągu doby, tylko błyskawicznie, w ciągu dwóch pierwszych godzin. Telefon do odpowiedniego urzędu – i oto adres Walerija Pietrowicza Łamzina, rok urodzenia 1963, trenera łyżwiarstwa figurowego. Adres zgadza się z miejscem, w którym dwie godziny temu znaleziono ciało Michaiła Walentinowicza Bołtienkowa. Chyba że mieszkanie... A poza tym – i ulica, i dom. Fiodor od razu, rzecz jasna, zadzwonił do śledczego Bagłajewa, no a Achmedycz nie odpuści, przyciśnie tego Łamzina, znany jest ze swojej nieustępliwości. Choć tak naprawdę nie wiadomo, czy uda mu się wziąć w obroty trenera zabójcę, przestępca pewnie dał już nogę i teraz będzie się ukrywał, ale razem z nim mieszka żona i dorosła córka, im zaś Bagłajew nie da spokoju, póki nie złożą potrzebnych zeznań i nie podadzą miejsca, gdzie ukrywa się ich

mąż i ojciec.

===

– Mówisz, że słyszeli głosy? – w zamyśleniu zapytał Bagłajew dzielnicowego, skończywszy rozmawiać przez komórkę z Fiedią Uljancewem. – Męskie?

– No tak, najpierw się awanturowali, krzyczeli na siebie, później w lokalu numer sto dwa trzasnęły drzwi, dwa razy w odstępie minuty.

Mieszkanie numer sto dwa, znajdujące się w odległości stu pięćdziesięciu metrów od miejsca, w którym znaleziono ciało, należało do Walerija Pietrowicza Łamzina. To właśnie do niego pojechał Bołtienkow, jak twierdzi jego żona, żeby się rozmówić. No i się rozmówił. Rezultat jest opłakany.

No cóż, jeśli połączyć to, czego się dowiedział Uljancew, z tym, co udało się wysondować dzielnicowemu, wyłania się jasny i spójny obraz. Dzisiaj Łamzin groził zabójstwem Bołtienkowowi, wieczorem Bołtienkow pojechał do Łamzina, żeby się pogodzić i zażegnać konflikt. Do zgody nie doszło, mężczyźni sobie naubliżali, po czym Bołtienkow opuścił mieszkanie Łamzina, a w ślad za nim, dosłownie chwilę później, wypadł Łamzin z pistoletem. Dogonił Bołtienkova sto pięćdziesiąt metrów od domu i zastrzelił.

A może to wcale nie tak źle, że do zabójstwa doszło akurat podczas dyżuru Bagłajewa? Szybkie i sprawne rozwiązanie sprawy, mnóstwo świadków... Co prawda trzeba jeszcze znaleźć Łamzina, to przecież mało prawdopodobne, że zastrzelił swojego wroga i wrócił do domu, żeby się przespać, a pistolet troskliwie wsunął do szafki nocnej. To jasne, że wszystko okaże się bardziej skomplikowane, ale to już zadanie wydziału kryminalnego, a nie prokuratury. Łamzin na pewno wzięł nogi za pas, nie ma jednak żadnych wątpliwości, że to on jest zabójcą.

– Pokaż mi okna mieszkania numer sto dwa – poprosił dzielnicowego.

Ostry, szarpiący ból zęba sprawił, że Timur Achmedowicz mimo woli się skrzywił i dotknął palcami prawego policzka. Nie, nie może zwlekać, jutro musi skoczyć do dentysty.

– Tam są, na czwartym piętrze, trzecie i czwarte na lewo od rynny.

W oknach paliło się światło. Doskonale, nie trzeba będzie nikogo budzić.

===

Wizyta w biurze nabywcy bez wcześniejszego uzgodnienia to rzecz nierealna. Chimin świetnie o tym wiedział, dlatego wykorzystał dobre relacje z buyerem działu nabiałowego, który potwierdził, że przedstawiciele firmy Fighter właśnie do niego idą na spotkanie. Ale tak naprawdę Chimin, główny menadżer działu obsługi klientów VIP w spółce Fighter Trade, musiał się pilnie spotkać z kierownikiem działu zakupów artykułów żywnościowych sieci Oxygen. Towar, który Fighter miał otrzymać półtora miesiąca temu, utknął na dobre w urzędzie celnym, podczas gdy zgodnie z umową zawartą z siecią sklepów Oxygen powinien być już dawno dostarczony. Niby wszystko odbyło się zgodnie z procedurą, dokumenty dotyczące opóźnień dostaw z ważnego powodu zostały przekazane, jednakże sieć omyłkowo naliczyła kary za braki w dostawie. Zakwestionowanie i anulowanie ich było niezwykle trudne, a ta zdzira Lara Croft, żeby ją diabli wzięli, nie odpowiada na maile i telefony. Ale nie szkodzi, Chimin nie jest nowicjuszem i umie sobie radzić z takimi jak ona. Właściwie to zabawne: nazwa spółki powinna zobowiązywać, „fighter” w tłumaczeniu z angielskiego oznacza wojownika, tymczasem problemy trzeba rozwiązywać nie walcząc, tylko uciekając się do sprytnych sztuczek.



Chimin nie przyjechał sam, musiał zabrać ze sobą menadżera odpowiadającego za sieć Oxygen, którą wszyscy nazywali Oxy – tak było wygodniej i prościej. Pożytku z faceta tyle co nic, właściwie przysparza samych problemów, ale nie ma rady, przyszło polecenie właściciela Fighter Trade, samego Oriechowa, żeby szkolić i uczyć tego tępaka, który jest zarazem jedynym i ukochanym synkiem tatusia. Na dobrą sprawę Oriechow senior to rzeczowy i roztropny gość, zmusił synka, żeby przeszedł wszystkie stanowiska, zaczynając od samego dołu, zobaczył wszystko na własne oczy i pojął własnym rozumem. Taka polityka byłaby godna pochwały, gdyby nie jedno ale... Króciutkie, lecz bezsporne i znaczące: Oriechow junior, a mówiąc prościej, Filipek, jak po cichu nazywał go Chimin, był istotą całkowicie bezmyślną i nieodpowiedzialną. W każdym razie zdaniem głównego menadżera obsługi klientów VIP. Filip chciał wszystkiego od razu, był zły na ojca, który nie pozwalał mu awansować i zmuszał go, by poznał na własnej skórze, czym jest sztuka zarządzania. Na razie nie powierzano Filipowi samodzielnego prowadzenia negocjacji, rzecz jasna. Chłopak długo, oj, długo jeszcze na to poczeka. Ale musi być stale obecny na wszystkich spotkaniach, żeby się uczyć, uczyć, uczyć... Filipek był obecny. Ale czy się uczył – to dobre pytanie. Zresztą Chimin nie zawracał sobie tym głowy, to nie jego problem. Polecono mu, żeby go ze sobą zabierał i szkolił, więc to robi. Zresztą, prawdę mówiąc, bezmyślność i nieodpowiedzialność to chyba jedyne wady Oriechowa juniora. Bo poza tym chłopak jest miły, towarzyski, dowcipny, niezłośliwy i niekonfliktowy, ustępliwy i otwarty. Świetnie się sprawdza jako kompan, z którym przyjemnie spędza się czas w moskiewskich korkach, jadąc na biznesowe spotkania i w drodze powrotnej do biura Fighter Trade. Przynajmniej nie jest z nim nudno.

Chimin z Filipem wspięli się na drugie piętro i od razu omal nie wpadli na niewysoką, bardzo zgrabną i atrakcyjną młodą

kobietę.

– O, Lara... – wypalił Filip, za co natychmiast otrzymał dotkliwe szturchnięcie łokciem w bok.

– Dzień dobry, Olgo, my do pani – powiedział Chimin z uprzejmym uśmiechem.

Właśnie tak: Olgo, nie Olgo Giennadjewno, a tym bardziej nie Oleńko. Olga Witort, szefowa działu zakupów artykułów nieżywnościowych (nazywanego na wzór zachodni „non food”) sieci sklepów Oxygen, ceniła zwięzłość, ale kategorycznie nie tolerowała poufałości. Mało kto widział uśmiech na jej ładnej twarzy, a ci, którym udawało się z tego czy innego powodu (ale w żadnym razie nie romantycznego) dotknąć jej ręki, ramienia czy pleców, na przykład podając płaszcz albo pomagając wysiąść z samochodu, mogli poczuć stalowe mięśnie mocnego, jędrnego ciała. Olga Witort regularnie odwiedzała fitness klub i bynajmniej nie po to, żeby przesiadywać w salonie kosmetycznym czy w solarium. Gdyby Chimin miał scharakteryzować ją trzema słowami, powiedziałby bez wahania: „Szybka. Twarda. Zimna”. Właśnie dlatego do kierowniczkii działu non food na dobre przyłgnęło przezwisko „Lara Croft”. Nazywano ją tak za plecami zarówno w firmie, jak i prywatnie.

Ależ kretyn z tego Filipka! Żeby palnąć głośno i prosto w oczy...

Olga bez wątpienia nie była głucha, mimo to nie zareagowała na gafę gościa. Przynajmniej nie dała niczego po sobie poznać. Chimin miał jednak wrażenie, że w jej ciemnobrązowych oczach zapłonął zimny blask. Zapłonął i od razu zgasł.

– Dzień dobry – odparła obojętnym, a wręcz drętym głosem.  
– Po co przyszliście? Co chcecie ode mnie usłyszeć? Gdybym miała coś do powiedzenia, sama bym się z wami skontaktowała. Teraz nie mam czasu.

Mówiła jak zwykle szybko, stanowczo, krótkimi zdaniami. Na kogoś nieprzygotowanego jej sposób prowadzenia rozmowy

działał tak samo jak hipnotyzujące spojrzenie węża: człowiek natychmiast odnosił wrażenie, że nic nie wskóra, nawet nie warto próbować. Ale Chimin znał Olgę Witort od ładnych paru lat i wiedział, że to tylko sprytny, doskonale wyćwiczony sposób, pozwalający błyskawicznie odprawić interesantów, którzy nie mają mocnych i przekonujących argumentów. Ogromna większość dostawców zjawia się u nabywców, licząc wyłącznie na swój urok osobisty i wierząc, że dzięki niemu wydebnią zniżki, ulgi czy preferencje dla firmy. Olga nie zamierzała marnować dla nich czasu. Jeżeli partnerzy mieli jednak argumenty, umiała słuchać i brać je pod rozwagę.

– Musimy postanowić, co z tymi karami, Olgo. Suma jest niebagatelna – niegłęboko, ale twardo oznajmił Chimin. – Wszystko rozumiemy, zdarzają się nieporozumienia, ale wystosowaliśmy przecież odpowiednie pisma informujące, że blokujemy artykuły w związku z zatrzymaniem partii towaru w urzędzie celnym. Jeżeli nie rozwiążemy tego problemu, z pewnością dostanę zakaz zaopatrywania sieci Oxygen. Jest pani gotowa na wstrzymanie dostaw?

Olga odwróciła się i pomaszerowała długim korytarzem w stronę biura, w którym siedzieli pracownicy jej działu. Chimin i Filip ruszyli za nią, starając się iść obok, a nie z tyłu, chociaż szerokość korytarza nie sprzyjała tego rodzaju defiladzie.

– No to je wstrzymajcie – odparła obojętnie i Chimin z zazdrością zauważył, że chociaż szła szybkim krokiem, w ogóle się nie zdyszała. – Nałożę wam jeszcze jedną karę za braki w dostawach. Podpisaliśmy z firmą Fighter kontrakt, który nie został zerwany. Anulowanie kar w zamkniętym okresie księgowym jest wielce problematyczne. Dlaczego nie podniósł pan tej kwestii zaraz po tym, jak otrzymaliście zamówienia na zablokowane artykuły, a zreflektował się dopiero wtedy, gdy naliczyliśmy kary?

Chimin poczuł ulgę. Olga udziela wyjaśnień, a więc biorąc pod

uwagę jej charakter, właściwie się tłumaczy, co oznacza, że upiera się wyłącznie dla zachowania pozorów, w gruncie rzeczy jest gotowa omówić sposoby rozwiązania problemu. Mężczyzna już nabrał powietrza, by powiedzieć, że... ale w tej samej chwili włączył się Filipek i wszystko zepsuł.

– A nie boi się pani, że podamy was do sądu? – zapytał zjadliwie. – Nie możemy sobie pozwolić na pracę w podobnych warunkach w dalszej perspektywie. A więc niech się pani przygotuje, że będziemy się długo i zawzięcie procesować.

Nie zwalniając kroku, Olga lekko obróciła głowę w lewo, obrzuciła syna właściciela Fighter Trade krótkim, nieznaczącym spojrzeniem, po czym leciutko się uśmiechnęła. Chimin zaklął w myślach. No i po co ten pyszałkowaty dureń się wtrąca? Czyżby nie rozumiał, że z Larą nie wolno tak postępować? Ani z kimkolwiek innym. Bo grożenie procesem sądowym to jak grożenie bronią: nie ma sensu wyciągać z kieszeni plastikowego nożyka do rozcinania papieru i groźnie nim wymachiwać. Tak samo głupie i niedorzeczne jest grożenie pozwem do sądu w dzisiejszej Rosji, gdzie sądownictwo, zwłaszcza cywilne i rozjemcze, od dawna drepcze w miejscu i się dławi. Ale nawet gdyby perspektywy rozwiązania sporu na drodze sądowej i zadośćuczynienia roszczeń były mniej mgliste, nie wolno uciekać się do tego rodzaju gróźb. Wygrana w sądzie oznaczałaby wyrzucenie z sieci Oxygen, a przecież Fighter Trade to nie jedyny dostawca na świecie, jest mnóstwo innych, którzy marzą o tym, żeby ich artykuły związane ze sportem, wypoczynkiem i zdrowym stylem życia sprzedawano w tak rozgałęzionej sieci sklepów jak Oxy. Chyba nie da się znaleźć drugiej podobnej sieci, dzięki której firma Fighter będzie miała tak wielkie obroty. To nie przypadek, że Oxy znajduje się na liście partnerów VIP! A zatem nie trzeba się kłócić z Larą Croft, tylko dogadywać.

– Kolega żartuje – pośpiesznie wtrącił Chimin, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie i łagodnie. – Żart się nie udał,

przyznaję, ale to skutek braku doświadczenia. Najmocniej przepraszam.

Z niezadowoleniem zauważył, że zaczął mówić krótkimi zdaniami, odruchowo naśladowując Olgę. Tego jeszcze brakowało, żeby się upodobnił do tej zdziiry!

– Nawet nam przez myśl nie przeszło, żeby uciekać się do pomocy sądu – ciągnął. – Cenimy sobie partnerską współpracę. Żeby ją utrzymać, jesteśmy gotowi zrobić, co tylko w naszej mocy, i pójść na określone ustępstwa. Zależy nam jednak na tym, żebyście poinformowali nas o swoich planach. Mamy kłopoty, nie ukrywamy tego, nie wywiązaliśmy się w pełni z zobowiązań, nie poruszając niezwłocznie tej kwestii, tutaj muszę przyznać pani rację. Ale wiemy, że wasze przedsiębiorstwo ma opracowaną strategię działania na wypadek podobnych sytuacji. Na pewno nie jesteśmy pierwszym ani ostatnim dostawcą, którego dotknął ten problem. Zaręczam panią, że dla nas to wielka niedogodność. Ucierpimy i my, bo uniemożliwicie nam sprzedaż zaplanowanej ilości towaru, co skutkuje obniżeniem zysków, i wy z powodu pustych miejsc na półkach, a ostatecznie z powodu niższej sprzedaży.

Dotarli razem do biura i Olga gwałtownie pchnęła drzwi. Chimin i Filip Oriechow weszli za nią do pomieszczenia, w którym znajdowały się trzy biurka z komputerami i jeszcze jedno – za szklanym przepierzeniem. Przy dwóch biurkach nikt nie siedział, chociaż ekrany włączonych komputerów skrzyły się gwiazdkami, przy trzecim pracował młody mężczyzna ze znudzoną miną. Spostrzegawczy Chimin zdążył zauważyć, że gdy Olga weszła do pokoju, mężczyzna natychmiast przełączył program. Teraz na ekranie widniała jakaś tabelka, ale przedtem – Chimin był gotów przysiąc – bez trudu można było rozpoznać interfejs jednego z popularnych mediów społecznościowych.

To dopiero gorliwy pracownik, uśmiechnął się w duchu Chimin. Pewnie rozmawia z dziewczynami, umawia się z nimi

na spotkania. To czysta kpina! Zresztą nie ma się czemu dziwić, wszystko jest jasne.

Tymczasem Olga Witort podeszła w milczeniu do biurka za szklanym przepierzeniem i zaczęła przeglądać jakieś dokumenty. Nie wiadomo, na co czekała: czy na to, że nieproszeni goście w końcu wyniosą się jak niepyszni, czy na dalszy ciąg rozmowy. Chimin postanowił kontynuować negocjacje.

– Proponuję, by zapoznała się pani z całą korespondencją, która potwierdza, że uprzedzaliśmy o problemach w urzędzie celnym. Możemy ewentualnie zapłacić karę, ale w następnym miesiącu zaoferujecie nam bezpłatne usługi, których wartość zrównoważy tę kwotę. Jesteśmy gotowi szukać kompromisu, żeby was nie obciążać i nie narażać na kłopoty. Musi pani jednak zrozumieć, że jeśli nie podejmiemy żadnych działań, znajdziemy się w impasie.

Olga oderwała wreszcie wzrok od dokumentów i po raz pierwszy od chwili spotkania na korytarzu spojrzała Chiminowi prosto w oczy. To dobrze wróżyło. Lara Croft nigdy nie patrzyła nikomu w oczy, jeśli nie miała zamiaru się porozumieć. Chimin poczuł, że napięcie zaczęło go opuszczać i mięśnie ramion nieco się rozluźniły.

– Jaką kwotę wydaliśmy z budżetu marketingowego firmy Fighter?

Witort zwróciła się do podwładnego, nie odrywając wzroku od Chimina, on zaś dostrzegł w jej oczach pobłażanie połączone z szacunkiem.

Pracownik zatrudniony w dziale Olgi co najmniej od półtora roku, którego imienia Chimin do tej pory nie poznał i dlatego nazywał Małym, zawahał się przez chwilę.

- Eee... Na poczekaniu nie powiem, muszę sprawdzić.
- No to sprawdź. – Głos szefowej zabrzmiał, o dziwo, łagodnie.
- Dobrze, możecie przyjąć, że się dogadaliśmy. Zastanowimy się, jakie bezpłatne usługi promocyjne stanowiące

równowartość kary możemy wam zaproponować i w jakich miesiącach. Poinformujemy o tym w przyszłym tygodniu. To wszystko?

– Owszem – sapnął Chimin.

Był zadowolony. Na to, żeby wyjść z negocjacji z solenną obietnicą anulowania kary przed zakończeniem jutrzejszego dnia bankowego, nikt nawet nie liczył. To normalny przebieg relacji finansowych.

Filipkowi należy się jednak reprimenda, i to porządna. Omal nie zepsuł całego przedsięwzięcia niestosowną uwagą o skardze do sądu. Chimin stara się go czegoś nauczyć, ale pożytku z tego niewiele. A właściwie wcale.

Gdy wracali długim korytarzem, zmierzając w stronę schodów, a potem schodząc na dół, Chimin milczał, dał upust złości dopiero w samochodzie, gdy nikt nie mógł ich usłyszeć. W odpowiedzi na jego gniewną tyradę Oriechow junior beztrąsko się roześmiał.

– No proszę! Okazuje się, że znasz wiele ciekawych wyrażeń! Warto specjalnie coś sknocić, żeby podziwiać później twoje krasomówstwo.

– Nie wymądrzaj się – odburknął Chimin, który szybko ochłonął. – Sam chyba rozumiesz, że przez twoje gadanie o sądzie pieniądze omal nie przeszły nam koło nosa. Jak nie wiesz, co powiedzieć, to przynajmniej nauczyć się milczeć, do jasnej cholery!

– No dobra, nie wściekaj się. – Filip szeroko się uśmiechnął. – Nie doszło do żadnej katastrofy. Wszystko skończyło się szczęśliwie i polubownie.

– Ciesz się, że Mały puścił w niepamięć zamieszanie z karami, które wybuchło półtora roku temu, wtedy to my daliśmy plamę, bo przysłaliśmy pismo dopiero dzień przed zamówieniem. Lara pewnie też tego nie pamięta, inaczej by nam wygarnęła, że to się zdarza nie po raz pierwszy i nie potrafimy pracować, a skoro tak, to sami powinniśmy wypić piwo, którego nawarzyliśmy.

I mielibyśmy przechlapane. Ani anulować kary, ani znaleźć kompromisu, a gdybyśmy się uparli i zaczęli stawiać, ponieśliśmy jeszcze większe straty – zauważył Chimin. – Teraz, nawet kiedy Croft się dowie, nie będzie miała wyjścia, wszyscy przecież wiedzą, że na jej słowie można polegać, nie trzeba niczego podpisywać, bo nigdy nie złamie obietnicy. Dbą o swoją reputację.

– Uhm. – Filip skinął głową na znak zgody. – Nie da się ukryć, że mieliśmy szczęście. Ale Lara chyba postawiła na niewłaściwego chłopaka. To się przecież nie mieści w głowie, żeby nie znać stanu konta największego dostawcy, choćby w przybliżeniu! Dobry menadżer powinien pamiętać takie rzeczy, by w każdej chwili je przedstawić, a ten tam... ma problem, patrzcie go, żeby odpowiedzieć. Można pęknąć ze śmiechu! I po kiego diabła Lara go trzyma? Zastąpiłaby go kimś bystrzejszym. Po jaką cholerę jej ten wymoczek? Zawsze milczy, nic nie wie. W ogóle go nie widać i nie słychać, spotkaliśmy go tyle razy, a nawet nie znamy jego imienia. Nazywasz go Małym. A może to jakiś Arnold albo Teoktyst.

– Nic nie wie, za to wiele potrafi. – Chimin się uśmiechnął.

Filip przymrużył oczy z niedowierzaniem.

– Potrafi? Co na przykład?

– Nie domyślasz się? Sypia z Larą. Albo raczej ona z nim. I dlatego go trzyma – wyjaśnił Chimin.

Kątem oka zauważył, że Filip zrobił zdumioną minę. No cóż, to zrozumiałe: taka baba jak Lara Croft, czy też Olga Witort, kierowniczka działu zakupów artykułów nieżywnościowych, i ten niepozorny i beużyteczny, choć miły na oko chłopak. Właściwie jaki z niego chłopak? Ma co najmniej trzydzieści lat, może nawet jest starszy. Normalni faceci w tym wieku robią karierę, coś osiągają, a Mały wciąż jest zwyczajnym menadżerem, nie awansuje, odkąd przyszedł do sieci Oxygen dwa lata temu, stanowi milczący i nieprzydatny balast, zajmuje stanowisko, lecz nie robi żadnych postępów. Gdzie ambicja?



Gdzie aspiracje? Gdzie chęć, żeby się uczyć i rozwijać? Taki stosunek do pracy można wybaczyć osiemnasto- czy dziewiętnastolatкови, gdy jednak komuś stuknęła trzydziestka... Właśnie dlatego Chimin nazywa go Małym. Psychika dziecka... Bez względu na to, jak będzie tytułowany, w oczach głównego menadżera działu obsługi klientów VIP na zawsze pozostanie chłopcem. Chłopaczkiem. Jednym słowem, Małym.

– Daj spokój! To niemożliwe! Lara i ten mydłęk?

Filip mu nie uwierzył. A szkoda.

– Miłość jest ślepa – rzeczowo zauważył Chimin. – Zresztą sam pomyśl: który normalny facet zechce się wiązać z Larą Croft? Każdemu życie miłe. Ona jest przecież jak wampirzyca, wysie ostatnią kroplę krwi. Normalni mężczyźni potrzebują łagodnych, pełnych ciepła kobiet, a nie bab przypominających jędze. Ty na przykład nie zastanawiałeś się nigdy nad tym, czyby nie uderzyć do Lary? Jest przecież śliczna jak malowanie! Mądra. I dobrze zarabia. Nie chcesz zostać jej kochankiem?

– Kto? Ja? – Filip udał przerażenie i znowu parsknął śmiechem. – W sumie masz rację, boję się jej jak ognia. A ty?

– Ja też – wyznał Chimin. – Wszyscy normalni faceci czują przed nią strach. Dlatego musi wybierać spośród nienormalnych. No i wybrała w miarę sympatycznego. Moim zdaniem to całkiem uzasadniony wybór. Jakiś facet jest jej przecież potrzebny, skoro nie ma męża. Czemu więc nie ten?

– To znaczy, że nigdy nie wyszła za mąż?

Chimin wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie zdziwię się, jeśli się okaże, że wyszła, i to nie raz. A przy okazji, oto jeszcze jedna lekcja: wprawdzie nie wiem, jak się nazywa Mały, ale w moim przypadku to rzecz wybaczalna. Tylko czemu ty tego nie wiesz?

– Nie rozumiem – wycedził zdezorientowany Oriechow junior.  
– Dlaczego w twoim przypadku to rzecz wybaczalna, a w moim nie? I w ogóle czemu miałbym to wiedzieć? Po jaką cholere mi

ten Mały?

– Wyjaśniam: chcesz zrobić karierę w biznesie, i to nie byle jakim, tylko w firmie twojego ojca, marzy ci się fotel prezesa spółki Fighter. Żeby osiągnąć sukces i utrzymać się na stołku, potrzebujesz kontaktów i znajomości. Zgadza się?

– No... w zasadzie tak. I co? Mały to cenny nabytek? – z powątpiewaniem zapytał Filip.

– Tego akurat nie wiemy – roztropnie zauważył Chimin. – Jakimś cudem znalazł się w dziale Lary, ktoś go zatrudnił w Oxy. Pensje są tam takie, że chętni walą drzwiami i oknami, pewnie nie brak wśród nich rozgarniętych, bystrych i zdeterminowanych osób. Tymczasem przyjęto Małego. To znaczy, że ktoś za nim stoi. I właśnie ten ktoś jest cennym nabytkiem, który może ci się przydać. Dawno powinienesz być na to wpaść i nawiązać bliższą znajomość z Małym, ty zaś nie znasz nawet jego imienia.

– Przecież sam powiedziałeś, że sypia z Larą. Dlatego go zatrudniła. Nad czym się tu zastanawiać?

– Możliwe – przytaknął Chimin. – Całkiem możliwe. Ale niewykluczone, że jest inaczej: Lara zatrudniła go na czyjąś prośbę albo z czyjejś rekomendacji, a dopiero później został jej kochankiem. Tak czy siak, powinienesz być się tym zainteresować. Warto budować kontakty, żeby piąć się później na szczyt. Weź pod uwagę, że inaczej nic nie osiągniesz w biznesie. Bez kontaktów i znajomości nie zostaniesz nawet kierownikiem naszego działu. Sądzisz, że ojciec przypadkiem przydziela ci niskie stanowiska? Umożliwia ci zbudowanie bazy, dzięki której będziesz funkcjonował przez długie lata. Bez pracy „na dole” nigdy jej nie stworzysz. A ty udajesz głupiego.

– Dobra. – Filip machnął ręką. – Coś się do mnie przyczepił? W kwestii kontaktów przyznaję ci rację, ale bliższa znajomość z Małym – o nie, to nie wchodzi w rachubę. Oferma bez kręgosłupa, duppek żołądny, ładniutki żigolak. Niby o czym mam z nim rozmawiać? Jestem chłopakiem rozrywkowym,

metroseksualistą i mogę się zadawać tylko z podobnymi sobie. Jasne?

– Gdybyś nie był synem szefa, powiedziałbym ci, kim jesteś – burknął Chimin, skręcając w stronę szlabanu, który zamykał wjazd na parking.

Filip słyszał jego słowa, ale nie zamierzał się obrażać. Beztrudnie pogwizdywał melodię przeboju, który przez ostatni miesiąc na okrągło puszczano w radiu. Cokolwiek by mówić, trzeba przyznać, że mimo swoich wad Filipek miał dobry i nieskomplikowany charakter.

===

Po skończonym dwudziestoczworgodzinnym dyżurze ani śledczy Bałajew, ani detektywi, których wysłano na miejsce zabójstwa Bołtienkowa, nie rozeszli się do domów. Zapał i nadzieja szybkiego rozwiązania sprawy dodawały im sił, więc nie myśleli o spaniu. Nikt się nie spodziewał, że podejrzany o popełnienie ciężkiego przestępstwa Walerij Łamzin wróci do domu i można go będzie zatrzymać. A tak właśnie się stało. Co prawda przeszukanie mieszkania nie przyniosło żadnych rezultatów, ale ten stan rzeczy da się wyjaśnić i naprawić.

Teraz Bałajew przesłuchiwał żonę zatrzymanego, Natalię Siergiejewną. Uljancew też tutaj siedział i uważnie słuchał, opracowując własną taktykę przyciskania Łamziny, a w sąsiednim pokoju inny oficer śledczy rozmawiał z dwudziestoletnią córką zatrzymanego, Alisą Łamziną. Uljancew zdążył się dowiedzieć, że Natalia Siergiejewna była kiedyś mistrzynią kraju w kajakarstwie, Alisa zaś jest aktywną sportowką, uprawia lekkoatletykę. Duch rywalizacji właściwy sportowcom to nie w kij dmuchał, zdaniem Uljancewa stanowił potężną broń, toteż obie kobiety traktowano jako potencjalne przeciwniczki, z którymi trzeba będzie nieźle się nagimnastykować.

Timur Achmedowicz skończył zadawanie ważnych dla niego pytań i, tak jak się umówili z Uljancewem, zostawił go, żeby kontynuował przesłuchanie, sam zaś udał się najpierw do dentysty, a później na miejsce, gdzie znaleziono ciało Bołtienkowa, żeby osobiście skontrolować funkcjonariuszy służby patrołowo-interwencyjnej, zajmujących się poszukiwaniem narzędzia zbrodni, to znaczy pistoletu, a jednocześnie przejrzeć nagrania z kamer monitoringu.

Fiodor z góry zaplanował, od czego zacznie i o co zapyta w pierwszej kolejności. O broń, ma się rozumieć. Czy Łamzin ją lubił, czy się nią interesował, czy jeździł na polowania, odwiedzał strzelnicę? Na wszystkie pytania Natalia Łamzina odpowiadała stanowczo: „Nie”.

– Czy ktoś w rodzinie miał broń?

– Nie, nigdy.

Taak, tutaj nie ma się do czego przyczepić... Mądra baba, żadnej szansy, że się przypadkiem wygada. Dobrze, spróbujemy podejść z drugiej strony.

– Co pani robiła w chwili, gdy Bołtienkow opuścił mieszkanie?

– Byłam w kuchni, prasowałam.

– To znaczy, że nie widziała pani, jak wychodził?

– Nie, słyszałam tylko, że trzasnęły drzwi.

– I co pani wtedy zrobiła?

– Nic, prasowałam dalej. Krzyknęłam do Walery.

– Co pani krzyknęła?

– Nic, po prostu go zawołałam, chciałam zapytać, jak się skończyła rozmowa.

– Czyżby pani nie słyszała, jak się skończyła?

No proszę, pojawia się brak logiki, tylko patrzeć, jak paniusia się zaplącze! Trzeba ją przyciskać, póki się nie zorientowała. Natalia Siergiejewna, niewysoka, nadal świetnie wysportowana, silna, o muskularnych ramionach, nawet nie drgnęła. A więc nie ma pojęcia, że popełniła błąd. Doskonale.

– W kuchni był włączony telewizor – odparła spokojnie. –

Słyszałam, że Walera i Michaił rozmawiają podniesionymi głosami, krzyczą na siebie, ale nie potrafiłam rozróżnić słów. Zresztą nawet nie próbowałam.

– Naprawdę? – Uljancew złośliwie przymrużył oczy. – Nie była pani ciekawa, o co chodzi? Męża odwiedza kolega, podczas rozmowy mąż wpada w złość, wybucha gniewem, a pani nie jest ciekawa? Nigdy w to nie uwierzę!

– Ależ to nie tak...

– Doprawdy? A jak?

– Doskonale wiedziałam, o co chodzi. Wiedziałam też, że Walera jest wściekły, urażony i dotknięty. Co nowego mogłam usłyszeć? Gdy zjawił się Misza, otworzyłam mu drzwi, później wyszedł Walera i Misza jeszcze przy mnie powiedział: „Walerka, nie chciałem, żeby tak wyszło, porozmawiajmy, niepotrzebnie masz do mnie żal...”.

– No i co było dalej?

– Mąż otworzył drzwi do pokoju i zaprosił go do środka.

– I co powiedział?

– Boże, sto razy już powtarzałam, dzisiaj w nocy, gdy wpadł pan do naszego mieszkania, i przed chwilą, gdy śledczy mnie o to pytał! – Po raz pierwszy od początku długiego przesłuchania w głosie Łamziny pojawiło się rozdrażnienie. Ale od razu znikło. Można jej było pozazdrościć opanowania.

– Walera powiedział: „No to chodźmy porozmawiać, skoro chcesz. Chociaż nie wiem o czym”.

– Dlaczego zaprosił Bołtienkowa do pokoju?

– No a gdzie mieli rozmawiać? Chyba nie w przedpokoju. W mieszkaniu była córka, Walera pewnie nie chciał, żeby słyszała całą rozmowę.

– A słyszała?

– Oczywiście, że słyszała. Obaj okropnie krzyczeli... Miałam włączony telewizor, już mówiłam, a i tak słyszałam, jak sobie wymyślają, no a córka mogła słyszeć w swoim pokoju każde słowo. Ściany w budynku nie są zbyt grube. Podejrzewam, że

w sąsiednich mieszkaniach też wszyscy już wiedzą.

– Dobrze, wróćmy do chwili, gdy Bołtienkow rzekomo opuścił państwa mieszkanie.

– Dlaczego rzekomo? Opuścił.

A niech to! Co za spryciara! Nie przypadkiem została mistrzynią kraju! Ani na chwilę nie traci czujności i się nie rozprasza, uwaga napięta, waży każde słowo i niczego nie przeoczy. Z takim przeciwnikiem niełatwo będzie się zmagać, za to można zapomnieć o nudzie! Ta myśl od razu poprawiła Uljancewowi humor.

– Ale rzekomo sam. Gdy zawołała pani męża, przyszedł do kuchni?

– Nie.

– A odpowiedział coś?

– Słyszałam, że ubiera się w przedpokoju. Wtedy głośno zapytałam: „Wybierasz się gdzieś?”. A on na to: „Idę do sklepu po alkohol”.

– Ale nie zajrzał do kuchni?

– Nie.

Jeszcze jedna wpadka. Ach, gołąbeczko, nigdzie mi nie uciekniesz, w końcu wycisnę z ciebie prawdę.

– A nie powiedziała mu pani, że o tej porze nie kupi alkoholu? Nie zaniepokoiło to pani? Dlaczego nie zaczęła pani podejrzewać, że święci się coś niedobrego? Dlaczego pani nie pomyślała, że mąż kłamie, że wcale nie chce iść po alkohol, tylko powziął zamiar, by zabić Bołtienkova?

– Pan chyba zwariował! Walera nie powziął żadnego zamiaru! A o tym, że nigdzie nie dostanie już alkoholu, w ogóle nie pomyślałam. Dawno go nie kupowaliśmy, więc nie przyszło mi to do głowy.

No tak, oczywiście, nie przyszło jej do głowy... Bajuj, bajuj... Znakomicie, można to potraktować jako wpadkę numer trzy. Dawna mistrzyni traci nerwy, zaczęła popełniać błędy. A więc zwycięstwo jest blisko.

– To znaczy, że nie widziała go pani w chwili, gdy wychodził z mieszkania?

– Nie, nie widziałam. A jakie to ma znaczenie?

Ma, i to jakie! Łamzin mógł zabrać pistolet. A jego żona nie ma najmniejszych podstaw, by twierdzić, że go nie zabrał.

– A pani zdaniem to normalne, że mąż ni z tego, ni z owego biegnie o północy, żeby kupić wódkę? Czyżby był alkoholikiem?

– Jak panu nie wstyd! Był zdenerwowany, zwolniono go z pracy, nie rozumie pan? Z pracy, którą kochał, która była dla niego wszystkim, poświęcił jej całe życie, oddał duszę. Teraz już nikt nie zaproponuje mu podobnej posady. Czy to nie powód do stresu i do zdenerwowania? A tutaj jeszcze przyszedł Misza i znowu zaczęli roztrząsać starą historię. Może Misza go czymś obraził. W każdym razie chęć sięgnięcia po alkohol w takiej sytuacji mnie nie zdziwiła. Nie mieliśmy go w domu. Rzadko kupujemy alkohol.

– A czy po powrocie mąż streścił pani rozmowę z Bołtienkowem? Mówi pani: „Może Misza go czymś obraził”. To znaczy, że nie jest pani pewna? Mąż nie powiedział, gdy wrócił?

– Nie, nie powiedział.

– A pani nie zapytała?

– Oczywiście, że zapytałam. Ale odparł, że porozmawiamy o tym jutro, na świeżo. Gdyby chciał powiedzieć, toby to zrobił. Kiedy wrócił, odniosłam wrażenie, że się trochę uspokoił, wziął w garść, więc uznałam, że lepiej będzie nie zadawać niepotrzebnych pytań i go nie naciskać, żeby znowu się nie zdenerwował.

– Wrócił z alkoholem?

– Nie. Powiedział, że się rozmyślił. Biegł w deszczu, przemókł, zmarzł i ochłonał. Emocje opadły.

– A więc twierdzi pani, że wrócił uspokojony i zadowolony?

Uljanцев z uporem trzymał się swojej wersji, próbując skłonić Natalię Łamzinę do zeznań przeciwko mężowi. Doświadczony śledczy, Bağajew, uprzedził ją oczywiście, że ma prawo

odmówić składania zeznań, ale zrobił to w odpowiedniej chwili, akurat wtedy, gdy jej męża wyprowadzono w kajdankach. Natalia Siergiejewna była tak oszołomiona, że nic nie słyszała i nie przeczytała oficjalnego powiadomienia, które podpisała bez zastanowienia. Teraz Fiodor pragnął, by przyznała, że mąż wrócił nie tylko uspokojony, ale też zadowolony. Wtedy można było obstawać przy tym, że Łamzin zrealizował swój zamiar i dopuścił się zabójstwa z zemsty.

Łamzina chyba nie rozumiała, czego chce detektyw. W każdym razie z jakiegoś powodu nie zamierzała pójść mu na rękę. Znowu zaczęła starannie ważyć słowa, co wywołało ostry atak irytacji Fiodora.

– Wrócił spokojniejszy – powtórzyła. – O jakim zadowoleniu może być tutaj mowa? Z czego Walera mógł być zadowolony? Z tego, że się pokłócił z Miszą? Albo że został zwolniony? Że przemókł i zmarł?

Ależ z niej chytra sztuka! Nie szkodzi, zaraz skierujemy rozmowę na inne tory, kobieta nie zdąży się opamiętać i popełni fatalny błąd. Najważniejsze to wymierzyć cios bez uprzedzenia.

– Gdzie pani mąż przechowywał pistolet?

– Nigdy nie miał pistoletu. W domu nie było żadnej broni. Już pan mnie o to pytał parę razy.

I znowu całkowity spokój. Nie pozorny i obojętny, ale zimny i kamienny. Z każdą minutą Natalia Łamzina wydawała się Fiodorowi coraz bardziej podejrzana.

– Skąd ta pewność?

– Stąd, że wiem.

– Sprawdziała pani regularnie torbę męża?

Po raz pierwszy podczas przesłuchania na twarzy Łamziny odmalowało się zdumienie. Widocznie nawet nie pomyślała, że można tak postawić sprawę.

– Nigdy jej nawet nie dotykałam. Nie praktykujemy tego w naszej rodzinie. Ani ja nie zaglądam do jego torby, ani on nie zagląda do mojej.



– Widziałem w państwa sypialni dwie szafki nocne z obu stron łóżka. Wie pani, co mąż trzyma w swojej?

– Nie. Wiem tylko, że okulary do czytania, używa ich, gdy czyta w łóżku. I jakieś lekarstwa. Widziałam, gdy je stamtąd wyjmował.

– Co jeszcze?

– Nie wiem. Nie zaglądałam do środka, u nas to nie jest przyjęte. Szanujemy prywatność drugiej osoby.

– To ciekawe! I jakie wygodne! Nic nie słyszałam, nic nie widziałam, o niczym nie mam pojęcia.

Uljanecw nie ukrywał drwiny i Natalia Łamzina w końcu straciła swój niewzruszony, zdawałoby się, spokój.

– Dlaczego rozmawia pan ze mną w ten sposób? O coś mnie pan oskarża? Podejrzewa?

– Oczywiście – odparł Fiodor z uśmiechem. – Zupełnie otwarcie podejrzewam panią o współudział w zbrodni, polegający na zatajaniu prawdy, umyślnym albo nie. Pomaga pani mężowi ukrywać narzędzie zbrodni. Wie pani, że było w domu, a może nawet się pani orientuje, gdzie leżało, no i co najważniejsze, wie pani, co się z nim później stało, to znaczy gdzie mąż je ukrył. Albo, co jest jeszcze bardziej prawdopodobne, ukryła je pani z córką po zatrzymaniu męża. Szczęśliwym dla pani trafem śledczy nie mógł od razu zarządzić przeszukania mieszkania, miała pani do dyspozycji całą noc, nic więc dziwnego, że rano niczego już nie znaleziono. Pozbyła się pani broni i ubrania, które mąż miał na sobie w chwili zabójstwa, a nam przekazała zupełnie inne ubranie. Tak właśnie było? Mam rację?

– Oszalał pan?

– Nie, tylko sobie żartuję, proszę wybaczyć.

– Niech pan porozmawia z policjantami, którzy mają w swoim rewirze nasz dom. Doskonale znają Walerę od wielu lat, w dodatku z jak najlepszej strony. Pomagał zakładać młodzieżowe sekcje sportowe, znajdował chętnych, którzy je

bezpłatnie prowadzili. Czy w dzisiejszych czasach ktoś robi coś za darmo? A Walera znajdował takie osoby. Pomagał zajmować się trudną młodzieżą. Znają go wszyscy funkcjonariusze oraz inspektorzy prowadzący sprawy nieletnich.

Oho, robi się ciekawie! Funkcjonariusze, a więc... Fiodor Uljancew doskonale wiedział, jakich sposobów chwytają się niektórzy policjanci, żeby zapewnić sobie dodatkowe dochody. Jednym z nich było na przykład usuwanie problemu przedsiębiorców, których szantażowano. Czasem wystarczała rozmowa z szantażystą, ale niekiedy konieczne było użycie środków przymusu bezpośredniego, w wyniku czego do rąk policjantów często trafiała broń. Której, ma się rozumieć, nikomu nie zdawali i nie zwracali. Jeden funkcjonariusz mógł mieć ze dwie, trzy sztuki takiej broni. Mógł nią swobodnie dysponować, w tym również sprzedać. Skoro Łamzin miał znajomych wśród policjantów, to u kogo, jak nie u nich, mógł nabyć gnata?! Trzeba będzie pójść tym tropem.

– Dobrze – powiedział, udając, że się zgadza. – Proszę podać nazwiska i stopnie funkcjonariuszy, którzy najlepiej znają męża, z którymi najczęściej się kontaktował i którym ufał.

Łamzina, niczego nie podejrzewając, chętnie wymieniła nazwiska. Fiodor zapisał je, myśląc z satysfakcją, że udało mu się przechytrzyć mistrzynię sportu. Sama daje mu do rąk broń przeciwko mężowi.

===

– No usiądźże, przestań się tłuc jak ćma, bo działasz mi na nerwy – zrzędliwie odezwał się jeden ze współwięźniów w celi.

Walerij Pietrowicz Łamzin nie zareagował na grzeczną prośbę i nadal chodził tam i z powrotem po ciasnym pomieszczeniu. Całe jego życie stanęło na głowie, a on nie zwykł myśleć na siedząco. Jak do tego doszło? Przecież jeszcze całkiem niedawno wszystko było w najlepszym porządku. A wczoraj...

Wpadli nocą... Nie, to nie tak, najpierw przyszedł Miszka Bołtienkow... Nie, to później... Co było na początku? Gdzie, w którym miejscu zaczęła się droga, która doprowadziła go do celi w areszcie i do oskarżenia o zabójstwo?

Kiedyś należeli do tej samej grupy łyżwiarzy figurowych, moskwianin Walera Łamzin i Miszka Bołtienkow, który przyjechał z Czerepowca i w którym trener dostrzegł obiecującego sportowca. Obaj byli solistami w sekcji juniorów, ale później wysokiego, atletycznie zbudowanego Walerę przeniesiono do innej grupy i przydzielono mu partnerkę, a niebawem zaproponowano przejście do innego trenera. Chłopcy znaleźli się w różnych grupach, ale pozostawali w kontakcie i spotykali się, rzecz jasna, na zgrupowaniach i zawodach.

Latem 1978 roku też byli razem na zgrupowaniu, i to tam właśnie Miszka Bołtienkow zakochał się w dziewczynie jeżdżącej w parze i trenującej w tej samej grupie co Walera. Miała na imię Zoja, była śliczna i zdolna. Kiedyś Walera nawet zapytał Miszkę, czy nie chce się przenieść do ich grupy i zostać partnerem Zoi, bo stanowią ładną parę, ale Miszka tylko pokręcił głową: czekała go kariera wybitnego solisty, a w parze z Zoją nie zawojuje świata, nie ma dość siły, żeby ją wysoko podnosić, tymczasem jej obecny partner to prawdziwy osiłek, podnosi ją i obraca bez najmniejszego trudu, jak piórko. Zresztą Zoja nie zostawi swojego partnera, to uczciwa i dobra dziewczyna. Po zakończeniu zgrupowania romans nadal trwał i rozwijał się w Moskwie. Wszyscy o nim wiedzieli.

Kto był lepszy, Walera Łamzin ze swoją partnerką Wiką Łykową czy Zoja ze swoim partnerem? Obie pary prezentowały mniej więcej ten sam poziom i ze sobą rywalizowały, ale to nie miało żadnego wpływu na przyjaźń Walery i Miszy. Aż do chwili, gdy wszyscy uczestnicy tej historii znaleźli się na eliminacjach do mistrzostw kraju juniorów, których wyniki miały zdecydować o wejściu do kadry narodowej juniorów ZSRR.

Wika Łykowa była dziewczyną nerwową i bojaźliwą, łatwo ją było wytrącić z równowagi i doprowadzić do łez. Tuż przed zawodami zauważyła, że z jej torby sportowej zniknęła kosmetyczka, w której trzymała rzeczy potrzebne do zrobienia makijażu przed występem, spinki do włosów oraz stare kolczyki – prezent od prababci. Wika nigdy ich nie nosiła, były niemodne i zupełnie nie pasowały do piętnastoletniej dziewczyny, ale prababcia powiedziała, że przyniosą jej szczęście, więc Wika traktowała biżuterię jak talizman, bez którego nie odniesie sukcesu w zawodach. Nie sposób opisać jej rozpacz i przerażenia. Nie dość, że talizman wyparował, to jeszcze nie ma kosmetyków! W tamtych czasach nie można było pójść zwyczajnie do sklepu, żeby kupić dobre cienie, tusz, pomadkę, krem tonujący, a nawet spinki, wszystko trzeba było zdobywać albo kupować od spekulantów po trzykrotnie wyższej cenie, więc tego rodzaju rzeczy strzeżono jak największego skarbu i zużywano do ostatniej drobinki. Wika pożyczyła kosmetyki od koleżanek z drużyny, denerwowała się, śpieszyła, zdekoncentrowała i w efekcie zawałiła występ. Para Wiktorii Łykowa – Walerij Łamzin, przed programem dowolnym pretendująca do medalu, zajęła jedno z ostatnich miejsc, za to przyjaciółka Miszy Bołtienkowa, Zoja, i jej partner zostali medalistami i trafili do kadry narodowej. Co prawda dopiero na trzeciej pozycji, ale to przecież reprezentacja! Nawet jeśli ich później „sprzedadzą”, to nieważne. Dzisiaj jesteś trzeci i stanowisz kartę przetargową, jutro jesteś drugi, później pierwszy i cała kadra będzie pracować tylko na ciebie.

Zresztą juniorzy nie mieli pojęcia o tych subtelnościach i zawiłościach, powołanie do kadry oznaczało otrzymanie wynagrodzenia i bezpłatnego sprzętu, najważniejszą rzeczą były jednak wyjazdy na międzynarodowe zawody. Mieszkańcy ZSRR czasów zastoju gotowi byli oddać wszystko za możliwość wyjazdu za granicę. Łamzin dopiero po latach, już jako trener, poznał dokładnie mechanizm „zastępowania” jednych

sportowców innymi. Zawodnik z numerem trzecim jest potrzebny zazwyczaj właśnie po to, żeby zapewnić wejście na podium zawodnikowi z numerem pierwszym albo drugim. Zaczyna się wytężona i wielostronna wymiana handlowa z sędziami reprezentującymi kraje, których sportowcy nie ubiegają się o wysokie miejsca w danej dyscyplinie. „Jeżeli umieścisz moich na trzecim miejscu, ja umieszczę twoich na piątym...” Na przykład sędzia z jakiegoś kraju walczy o miejsce od siódmego do piątego, a rosyjski sędzia w tej samej dyscyplinie usiłuje wywalczyć drugie albo trzecie. Nasz sportowiec musi być jeśli nie pierwszy, to przynajmniej drugi, za to inny sędzia otrzymuje obietnicę piątego miejsca dla zawodnika ze swojego kraju. A jeszcze inny słyszy: „Jak przyznasz naszemu łyżwiarzowi drugie miejsce, pomogę ci na następnych zawodach, bo wiem, że wasz kraj wyśle takiego a takiego sportowca, ja zaś przyznam mu takie a takie miejsce”. A kolejnemu sędziemu można zaproponować: „Ty mi pomożesz w parach sportowych i przyznasz moim reprezentantom drugie miejsce, a mój znajomy sędzia, który będzie sędziował jazdę indywidualną mężczyzn, awansuje twojego solistę tam i tam. W parach sportowych pretendujecie najwyżej na dziesiąte, może dwunaste miejsce, czyli jest wam wszystko jedno, ale wasz solista ubiega się o wyższą lokatę, więc to dla was ważne. A dla nas to nie ma znaczenia, nasi soliści nie walczą o medalowe miejsca w tych zawodach”. Albo: „Nasz łyżwiarz tak czy inaczej będzie pierwszy, kto zaś będzie trzeci, nie robi nam różnicy, możemy wstawić waszego”.

Zaczyna się skomplikowana rozgrywka szachowa. Jeden sędzia nie może niczego rozstrzygnąć, potrzebna jest kombinacja, żeby wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. To bardzo trudna, szeroko zakrojona operacja. Najważniejsze zadanie sędziego to umieć dobrze liczyć. Zupełnie niedawno Łamzin znalazł celną uwagę w książce znanej dziennikarki sportowej: „W tamtych czasach triumf od tragedii

w łyżwiarstwie figurowym dzielił czasami głos jednego (przeważnie opłaconego) sędziego. Albo ciche polecenie”. W tamtych czasach... Tak, dzisiaj handel miejscami w łyżwiarstwie figurowym to żadna tajemnica, ale wtedy, pod koniec lat siedemdziesiątych, można było o tym mówić tylko szeptem, no i oczywiście należało jak najskrzętniej ukrywać to przed sportowcami, którzy mieli o niczym nie wiedzieć.

A więc ukochana Miszki Bołtienkowa trafiła ze swoim partnerem do reprezentacji narodowej juniorów, a Wika Łykowa całymi dniami szlochała, obwiniając się o nieudany występ i o to, że zawiodła Walerę. A później Łamzin się dowiedział, że to Miszka ukradł kosmetyczkę z torby Wiki. Zrobił to dla swojej przyjaciółki, chciał jej pomóc zająć wyższe miejsce. Bójka między niedawnymi druhami była oczywiście obopólna, ale ucierpiał w niej tylko Bołtienkow, któremu Łamzin złamał nos i szczękę. Wezwano, rzecz jasna, milicję oraz pogotowie i na podstawie stwierdzonych obrażeń ciała średniej ciężkości wszczęto postępowanie karne. Jednakże Walera uznał, że nie będzie milczeć, i opowiedział o wszystkim śledczemu. Tak więc Miszce Bołtienkowej też wytoczono sprawę, tyle że nie za przestępstwo naruszenia nietykalności cielesnej, ale za przywłaszczenie mienia, to znaczy kradzież. Ówczesne prawo stanowiło, że kradzież prywatnej własności podlega karze z kodeksu karnego tylko wtedy, gdy wartość skradzionych rzeczy wynosi co najmniej pięćdziesiąt rubli. Kosmetyczka Wiki nie była cenna, ale stare kolczyki, подарowane przez prababcinę, która też dostała je od jakiegoś przodka, miały sporą wartość. Do sprawy wmieszała się Federacja łyżwiarstwa Figurowego, która poręczyła za winnych, wskutek czego obie sprawy umorzono, tym bardziej że wszystkie skradzione rzeczy zostały zwrócone Wice Łykowej, a przemoc, do której uciekł się Walera Łamzin, wydawała się jeśli nawet nieusprawiedliwiona, to w każdym razie użyta pod wpływem silnych emocji i dlatego zasługiwała na pewną dozę pobłażania.

Przyjaźń Walery Łamzina i Miszy Bołtienkowa dobiegła kresu.

Parę lat później obaj zakończyli karierę łyżwiarską, poszli na studia i zostali trenerami. Bołtienkowowi bardziej się poszczęściło, wśród jego wychowanków byli mistrzowie Rosji. Łamzin trenował młodszych łyżwiarzy, nie powierzano mu starszych juniorów i dorosłych sportowców. Taki był system i nikt nie mógł na to nic poradzić. Ale Walerij Pietrowicz kochał swoją pracę i nie mógł bez niej żyć, więc nie narzekał na los. W końcu każdemu, co mu się należy.

I nagle Łamzin się dowiaduje, że został zwolniony. Ni z tego, ni z owego. Tak po prostu. Okazuje się, że weszły jakieś nowe przepisy, które mówią, że ten, kto był karany za użycie przemocy, nie ma prawa pracować z dziećmi i młodzieżą. Najbardziej zaskakujące było to, że dopuszczenie się przestępstwa z chęci zysku nie pociągało za sobą podobnych konsekwencji. Innymi słowy, Walerij Pietrowicz Łamzin, który pobił złodzieja, nie ma prawa pracować z dziećmi, za to ów złodziej, Michaił Walentinowicz Bołtienkow, bez przeszkód może kontynuować pracę trenera.

Słyszając to, Łamzin nie wytrzymał, puściły mu nerwy. Dokończył trening i ruszył do Szkoły Rezerw Olimpijskich, w której pracował Bołtienkow, przemknął jak strzała korytarzem zataczającym łuk wokół tafla lodowej, dotarł do schodów prowadzących na niski parter, pokonał stopnie i wpadł do pokoju trenerów, gdzie Michaił Walentinowicz Bołtienkow uzupełniał zapisy w dzienniku. Teraz Łamzin nie potrafił już sobie dokładnie przypomnieć, co wykrzyczał w twarz zdumionemu i zdezorientowanemu Miszce, swojemu dawnemu przyjacielowi i koledze z drużyny, pamięta tylko, że powtarzał: „Powinienem być cię wtedy zabić, teraz nie czułbym się tak parszywie. Nie próbuj się do mnie zbliżać, bo zabiję!”. W pokoju byli też mężczyzna i kobieta – mężczyzny Łamzin nie znał, kobieta była choreografem w grupie Bołtienkowa. Walerij Łamzin nie zamknął za sobą drzwi, więc jego głos niósł się po

całym korytarzu, którym wciąż ktoś przechodził. Ten i ów zatrzymywał się i zaglądał do środka, słuchał, ale Łamzinowi było wszystko jedno. Gdy się wykrzyczał, opuścił pokój, z całej siły trzaskając drzwiami.

A wieczorem Misza Bołtienkow przyszedł do niego, żeby porozmawiać, coś tam mamrotał, że jest niewinny, że przepisy są niesprawiedliwe. Obaj na siebie wrzeszczeli i omal znowu się nie pobili. Miszka wyszedł, a Łamzin za nim popędził... Później, po pewnym czasie, zjawili się policjanci, zadawali pytania, naciskali, straszili, przeszukiwali Walerija Pietrowicza, sprawdzali kieszenie jego kurtki, wciąż pytali, gdzie ma broń... A teraz jest tutaj. Gdy go przywieziono, od razu przetarto mu dłonie gazą zwilżoną acetonem i powiedziano, że teraz się nie wywinie. Jak długo ma tutaj siedzieć? Nie jest mocny w przepisach, słyszał tylko, że aresztowanie wymaga uzyskania jakiegoś postanowienia od prokuratora czy sędziego. Co będzie dalej, nie ma pojęcia.

===

Anastazja Kamieńska ostrożnie odłożyła telefon komórkowy na stół i odruchowo odsunęła rękę, jakby się oparzyła. Że też jej nie wstyd. Jest już na emeryturze, a okłamuje brata, jakby była dzieckiem. „Wszystko w porządku, nie martw się, z Sańką nie ma żadnych problemów, znaleźliśmy wspólny język, chłopak jest posłuszny...” Co za bzdury! Tak naprawdę Nastia w ogóle sobie nie radzi, czuje się bezsilna, nie ma żadnego autorytetu u bratanka. Chłopak puszcza mimo uszu wszystkie jej słowa i prośby. A Czistiakowa uwielbia, patrzy na niego z otwartymi ustami, mimo że nie zawsze go słucha. Jedyne, co udaje się wymusić, to regularne przyjmowanie lekarstw. To znaczy Saszka o nich, rzecz jasna, nie pamięta i nawet nie wie, gdzie są, ale gdy Nastia wchodzi do pokoju z garścią tabletek i szklanką wody, kiwa głową w milczeniu i wszystko potulnie



łyka. Przynajmniej z tym nie ma problemu. Zmuszenie go, żeby zjadł kaszę albo zupę, to męka. Żeby się umył – wyzwanie. Żeby poszedł na spacer – marzenie. Patrzy na ciotkę jak na przybysza z innej planety i szczerzy zęby.

Nastia zreflektowała się, że siedzi w kuchni, oddając się rozmyślaniom, podczas gdy powinna zabrać się do sprzątanania, bo zaraz zjawi się Stasow. Nie wiadomo po co. Zadzwoił i powiedział, że będzie w pobliżu, więc wpadnie na herbatę. Wczoraj wieczorem widzieli się przecież w pracy, więc gdyby miał coś pilnego... Mógł powiedzieć przez telefon, nie musi składać wizyty.

Stałam się nieprzyjemna i niegościnna, ze zdziwieniem stwierdziła Nastia. Kiedyś bym się ucieszyła, a teraz ogarnia mnie złość.

Podczas sprzątanania znalazła w kuchni mnóstwo opakowań po cheeseburgerach, hamburgerach i czipsach, poupychanych gdzie popadnie. Boże, kiedy Sania zdążył tak nabałaganić? Zaledwie przedwczoraj była kobieta, która przychodzi raz w tygodniu, żeby posprzątać cały dom, po jej wyjściu kuchnia lśniła. Sądząc z liczby pustych opakowań, pochłonięcie takiej ilości jedzenia powinno było zająć co najmniej tydzień. A minęło dopiero półtora dnia. Pewnie nie obeszło się bez pomocy Pieti, który ma wilczy apetyt i wciąż coś podjada, wskutek czego wygląda jak szafa trzydrzwiowa. No dobrze, Petruccio może jeść, co chce i ile chce, Nasti nic do tego, ale przecież Sania opycha się razem z nim rzeczami, których mu kategorycznie nie wolno. Trudno go upilnować. Brat niepotrzebnie jej zaufał...

Tak jak podejrzewała, Władisław Nikołajewicz Stasow zjawił się u niej, żeby omówić sprawy osobiste, a nie służbowe. Jego starsza córka Lila związała się z Antonem Staszyssem, detektywem pracującym w dawnym wydziale Nasti na Pietrowce. Anton jest wdowcem z dwójką małych dzieci, co zdaniem Władysława Nikołajewicza sprawia, że romantyczne relacje między młodymi ludźmi są nie do przyjęcia.

– Nie wiem, co robić z Lila – z przygnębieniem mówił wyraźnie poruszony Władisław Nikołajewicz, bezwiednie mieszając łyżeczką w szklance herbaty.

Odmówił kolacji, powiedział, że nie jest głodny, ale poprosił o duży, półlitrowy kubek gorącej herbaty, wrzucił do niego dziesięć kostek cukru, wycisnął sok z połowy cytryny, upił chciwie parę łyków, a teraz, pochłonięty swoim problemem, pozwolił, żeby aromatyczny napój stygł.

– Wbiła sobie do głowy, że chce wyjść za Antona. Nie chcę powiedzieć o nim nic złego. Anton to rzeczywiście dobry chłopak, ale nie jest dla Lili odpowiednią partią, ona musi robić karierę i budować własne życie, a nie niańczyć cudze dzieci. Tymczasem uparła się i koniec. Zasłania się nawet nazwiskami.

– Nazwiskami? – zapytała zdziwiona Nastia. – Jakimi nazwiskami?

– Jak to jakimi? Jej i Antona. Ona nazywa się Stasowa, a on Staszys, nazwiska są tak podobne, że po ślubie nawet nie trzeba będzie zmieniać podpisu. Lilka uważa, że to znak od losu. Krótko mówiąc, ma pstro w głowie i nie wiem, co z nią robić. Może ty z nią porozmawiasz?

– Ja?! – z przerażeniem zawołała Nastia. – O czym miałabym rozmawiać z twoją córką? Straciłeś rozum, Władik? Kim ja dla niej jestem? Zupełnie obcą osobą. Tyle że znam ją od dziecka.

Ale Władisław Nikołajewicz wciąż powtarzał swoje argumenty, które wydawały mu się niezbite. Nie ma nic przeciwko temu, żeby Lila spotykała się z Antonem, na litość boską, ale żadnych małżeńskich węzłów! Lila musi urodzić własne dziecko, a gdy będzie miała dwa cudze, zrobi się z tego problem dla wszystkich. Dziewczyna pisze doktorat i zamierza robić karierę, a jeśli wyjdzie za Antona i urodzi dziecko, opieka nad trojgiem małych pociech całkowicie jej to uniemożliwi. Nawet jeśli zrezygnuje z kariery i zostanie w domu, w rodzinie nie będą panowały zdrowe relacje, zniszczy je zazdrość dzieci, a także zazdrość dorosłych. Anton uzna, że Lila nie kocha dzieci jego

zmarłej żony, a Lila z kolei będzie miała wrażenie, że mąż bardziej kocha dzieci swojej pierwszej żony niż ich wspólną latorośl. Można więc z góry przyjąć, że nie wyniknie z tego nic dobrego. Owszem, Anton to dobry, uczciwy i mądry chłopak, ale gdy w grę wchodzi córka, ukochana księżniczka Władysława Nikołajewicza, ten argument przestaje się liczyć.

– Wiele razy próbowałem z nią porozmawiać – ciągnął – ale ona mnie nie słucha, w ogóle nie chce podejmować tego tematu. Nie wiem, co robić, Nastiucha. Jestem w czarnej rozpacz.

– Skoro nie udaje ci się znaleźć wspólnego języka z Lilą, od czego jest matka?! Dlaczego Rita nie może z nią porozmawiać?

– To na nic! – Stasow machnął ręką z rezygnacją. – Ritka nie ma do niej głowy, wojażuje z nowym mężem po Ameryce Łacińskiej, facet kręci tam jakiś film dokumentalny.

Podniósł kubek, wypił duszkiem wystygłą herbatę i się skrzywił.

– Zimna – mruknął.

– To przez twoje gadanie – zauważyła Nastia. – Zrobić ci świeżej?

– Nie, dziękuję, muszę jechać do domu, a wiesz, jak wygląda sprawa z toaletami na MKAD-zie<sup>[2]</sup>.

– Czy Tatiana rozmawiała z Lilą? – zapytała Nastia. – W końcu ma większe prawa niż ja, nie jest dla niej kimś obcym, tylko żoną ojca.

Władysław Nikołajewicz zachmurzył się i z niezadowoleniem zacisnął usta.

– Tania, wyobraź sobie, uważa, że nic strasznego się nie stanie, jeśli Lilka wyjdzie za Antona. Mówi, że takie doświadczenie może jej się przydać, bo dziewczyna jest zbyt szorstka i surowa. Niech się nauczy ustępować i wybaczać.

– Kto jest szorstki?

Nastia nie wierzyła własnym uszom. O kim Władik mówi? O Lili, uroczej kluseczce, wiecznie siedzącej z nosem

w książkach, którą Nastia Kamieńska знаła od dziesiątego roku życia?

– Lilka jest szorstka – z westchnieniem przyznał Władisław Nikołajewicz. – Tania właściwie ma rację, dziewczynie przydałoby się więcej wyrozumiałości i spolegliwości... Ale nie takim kosztem! To prawda, że powinna być bardziej tolerancyjna i empatyczna w stosunku do innych, ale czemu ma sobie rujnować życie?! Chyba się domyślasz, dlaczego akurat ciebie proszę, żebyś z nią porozmawiała? Dlaczego całą nadzieję pokładam w tobie, a nie w Ritce czy w Tatianie?

– No dlaczego?

– Bo harowałaś w wydziale kryminalnym ponad ćwierć wieku, więc kto, jak nie ty, potrafi wytłumaczyć Lilce, czym jest praca detektywa i co to znaczy być jego żoną? Twoje argumenty będą skuteczne. Na tym polu Rita i Tania nie są dla niej autorytetami.

– À propos detektywów. Całe życie uprawiasz ten zawód, więc dlaczego sam nie możesz wytłumaczyć córce, na czym polega ta praca i co to znaczy być żoną policjanta? Coś mi się zdaje, Stasow, że chcesz zwalić na mnie to, z czym sobie sam doskonale poradzisz.

– Próbowałem – odparł ponuro. – Ale nic z tego nie wyszło. Lilka mnie nie słucha. Uważa, zbyt dawno odszedłem ze służby i patrzę na wszystko oczami *homo sovieticus*, a teraz życie jest całkiem inne. Krótko mówiąc, jestem dla niej reliktem przeszłości.

Taak, z tym oczywiście trudno dyskutować, Władisława Nikołajewicza wysłano na emeryturę jeszcze w 1995 roku. Stał się niewygodny. A Nastia pracowała do 2010 roku. Więc może Władik ma rację?

– A nie próbowałaś porozmawiać z Antonem? – Nadal usiłowała znaleźć sposób, który pozwoliłby jej uniknąć nieprzyjemnego obowiązku uczenia cudzego dziecka, jak ma żyć.

– Pewnie, że próbowałem! – Władisław Nikołajewicz się zirytował. – On wcale nie rwie się do żeniaczki, to rozsądny facet, wie, że potrzebuje nie tyle żony, ile matki dla dzieci, a jaka z Lilki matka? Koń by się uśmieł! Antocha nie chce też brać odpowiedzialności za jej karierę. W sumie zachowuje się, o dziwo, normalnie, no zakochał się w Lilce, co w tym złego? Dziewczyna jest ładna i mądra, każdy może się zakochać w mojej księżniczce. Niech się spotykają i kochają, nikt im nie broni! Ale ona chce za niego wyjść! I mnie nie słucha. Zatyka uszy, obraża się, jednym słowem, unika rozmowy. Albo zaczyna płakać i krzyczeć, że zamierzam zrujnować jej życie. No porozmawiaj z nią, Nastiu!

Anastazja Kamieńska zawsze była przeciwna temu, żeby ingerować w czyjeś sprawy osobiste, a tym bardziej kogoś pouczać. Wcale nie miała ochoty spełnić prośby dawnego przyjaciela i obecnego szefa, ale odmowa pomocy wydawała jej się czymś... niekoleżeńskim. Zwłaszcza że miała argumenty do rozmowy z Lilą Stasową.

===

Do fajrantu Olga Witort załatwiła wszystkie bieżące sprawy i pomyślnie rozwiązała problemy, które zdążyły się uzbierać. Nie przypadkiem koledzy mówią o niej: „Nasza Lara prze do przodu jak czołg”. Zdarza jej się oczywiście, podobnie jak innym, rozgrzebać sprawę, odłożyć na później i zapomnieć o niej, bywa też zdania, że problem może zaczekać. To normalne. Ale gdy przychodzi chwila, w której Olga postanawia wszystko rozwikłać i uporządkować, działa szybko, prężnie, bezpardonowo i nie ustaje w wysiłkach, póki nie dobrnie do szczęśliwego finału.

Dzisiaj był akurat taki dzień, czwarty z kolei i, jak się okazało, ostatni na tym etapie wprowadzania porządku. Sprawy, które nagromadziły się od połowy marca, to znaczy przez dwa

miesiące, w ciągu czterech dni zostały dokończone, rozpatrzone, uregulowane, omówione i rozwiązane. W takich chwilach nastrój kierowniczkini działu zakupów non food zawsze się poprawiał i nawet wspomnienie spojrzeń dostawców z firmy Fighter go nie popsuło. Olga nigdy nie uskarżała się ani na wzrok, ani na słuch, więc doskonale słyszała przezwisko z ust Oriechowa juniora, widziała też szturchnięcie łokciem, a nawet to, że Chimin wstrzymał oddech, gdy Filip chlapnął o sędzie. A co dopiero mówić o spojrzeniach, które wymienili, gdy się okazało, że menadżer jej działu nie pamięta stanu konta. To jasne, o czym w tamtej chwili pomyśleli i co powiedzieli po wyjściu z biura. Zresztą nie tylko oni – cały dział i połowa personelu spółki plotkuje o jej romansie z podwładnym. Pał ich sześc. Niech plotkują. Niech mówią, co chcą, to nie jej problem. Nie jest zwyczajną kierowniczką działu, tylko prawdziwą Larą Croft, działa na zasadzie „widzę cel – nie widzę przeszkód”.

Olga nie zatrzymała się w biurze po pracy, śpieszyła się na cmentarz, który zamykano o siódmej. Już z daleka zobaczyła znajomą, tęgą kobiecą postać w luźnym, workowatym płaszczu i przyśpieszyła kroku, mimo że prawie biegła.

– Dzień dobry! Długo pani czeka? – rzuciła, podchodząc.

Kobieta odwróciła się, uśmiechnęła ze smutkiem i mocno objęła Olę.

– Dzień dobry, kochana. Dobrze, że zdążyłaś przed zamknięciem, bałam się, że utkniesz w korku. Ja się wlekłam przez dwie i pół godziny, całą drogę klęłam na czym świat stoi.

Niewysoka Olga wsparła czoło na ramieniu kobiety. Jak dziwnie plecie się życie! Na tym grobie nie ma jeszcze pomnika, pogrzeb odbył się zaledwie parę miesięcy temu, podobno trzeba czekać rok, aż ziemia osiadzie. Wszystko wydarzyło się tak niedawno... Żyje jeszcze w pamięci. W każdym razie zdaniem Olgi powinno żyć. Uważała, że nie sposób wybaczyć tego, co mówił ten, który tutaj leży. Nie da się wybaczyć. Ale Ała chyba wybaczyła i zapomniała.

Przez chwilę stały obie w milczeniu, póki kobieta nie westchnęła głęboko i nie odsunęła Olgi.

– No dobrze, kochana, chodźmy odwiedzić Żenieczkę, bo lada chwila zamkną bramę.

Chodźmy odwiedzić Żenieczkę... Olga zachodziła w głowę, dlaczego tych dwojga nie pochowano razem. To przecież nieludzkie! Dawno chciała o to zapytać, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Może teraz?

– Ałło Władimirownno, mogę o coś zapytać? – powiedziała ostrożnie. – Jeżeli uzna pani, że to nietaktowne pytanie, proszę nie odpowiadać, dobrze?

– Oczywiście, Oleńko, pytaj – z roztargnieniem odparła Ałła Władimirownna Tomasziewicz, znana aktorka, Ludowa Artystka Rosji<sup>[3]</sup>, mimo sporej tuszy zręcznie lawirując między nagrobkami. Można było iść alejkami, ale tak jest bliżej...

– Dlaczego pochowano ich osobno? Jest jakiś powód? Czy po prostu tak wyszło?

Ałła Władimirownna uśmiechnęła się ze smutkiem, po czym zatrzymała przy nagrobku z fotografią, z której spoglądała poważna, skupiona twarz.

– Gdy zabrakło Żenieczki, byłam nikim. Z trudem udało mi się wykupić miejsce na tym cmentarzu, ale wolna kwatera była zbyt mała, więc odstąpiono mi ją pod warunkiem, że ciało zostanie skremowane i pochowana zostanie urna z prochami. To też kosztowało majątek, oddałam wszystko, co mieliśmy. Sądzę, że zrobiono to z naruszeniem prawa, ale w tamtej chwili było mi wszystko jedno. No a Georgij nie chciał, żeby go skremowano, wciąż mi to powtarzał. Więc nie odważyłam się postąpić wbrew jego woli. Teraz jestem w innej sytuacji, zna mnie pół kraju, więc gdy poprosiłam, żeby Georgija pochowano koło Żenieczki, znaleziono mi kwaterę na „ziemi niczyjej”, najbliżej Żeni. Byłoby lepiej tuż obok, ale się nie udało.

Jeszcze przez chwilę stały ze wzrokiem utkwionym w fotografii na nagrobku.

– Ale urnę można chyba przenieść? – półgłosem zapytała Olga.  
– Niechby leżeli razem... Prawda?

– Nie wiem – cicho wyznała Tomasziewicz. – Możliwe. Ale nie potrafię nawet o tym myśleć, żeby wyjąć urnę z prochami Żenieczki. Chybabym tego nie zniosła.

Pracownicy sieci Oxygen nie posiadaliby się ze zdumienia, gdyby się dowiedzieli, że serce niezłomnej Olgi Witort, stalowej Lary Croft, przepełnia gorąca miłość i głęboka litość. A także poczucie bezsilności, bo nie wiedziała, co zrobić i jak pomóc. Olga Witort nie wie, co ma robić? Nikomu nie przyszłoby to do głowy.

===

Z płaskiego, kwadratowego pudełka bił odurzający zapach. A jednak to nie przypadek, że wszyscy pracownicy okręgowego komitetu śledczego chwalili pizzerię położoną w budynku naprzeciwko. Fiodor Uljancew przytaszczył pudełko do gabinetu Bagłajewa, bo był strasznie głodny, a Timur Achmedowicz kazał się stawić o dwudziestą pierwszą, żeby dokonać podsumowania.

Podejrzany o zabójstwo Walerij Pietrowicz Łamzin z uporem podtrzymywał swoje zeznania: wyszedł z domu niemal zaraz po tym, jak Bołtienkow opuścił mieszkanie, zamierzał kupić alkohol w pobliskim sklepie nocnym, ale już na ulicy się zreflektował, że od pewnego czasu sprzedaż alkoholu po dwudziestą trzecią jest zakazana. Zamiast jednak wrócić do domu, postanowił mimo ulewnego deszczu przespacerować się szybkim krokiem, a nawet się przebiec, żeby ochłonać i uspokoić się po awanturze z Michaiłem Bołtienkowem. Samego Michaiła nie zobaczył na ulicy, ponieważ skierował się w stronę sklepu, a nie tam, gdzie najwidoczniej poszedł jego gość.

Poproszono Łamzina, żeby dokładnie opisał trasę, którą



rzekomo przebył. Policjanci przez cały dzień przetrząsali podwórza, kontenery na śmieci i kosze na wyznaczonym terenie, szukając wyrzuconego pistoletu. Bez skutku. Śledczy Bagłajew poprosił kryminalistyków, żeby w trybie pilnym wydali opinię dotyczącą stanu rąk Łamzina, a ci spełnili jego życzenie, ale to też nic nie wniosło: na rękach zatrzymanego nie stwierdzono żadnych śladów użycia broni palnej. To oczywiście o niczym nie świadczyło, ponieważ skórzane rękawiczki, jak wiadomo, doskonale chronią ręce przed cząsteczkami prochu i pozostałościami smarów. Łamzin mógł być w rękawiczkach. I należało je znaleźć. Ale ich też nigdzie nie było.

Monitoring zawiódł na całej linii. Dom, w którym mieszka zatrzymany, niczym się nie wyróżnia, nie jest resortowy, elitarny ani nawet spółdzielczy, to typowy stary ośmiopiętrowy blok z wieloma wejściami, na obsługę takich budynków przeznaczają się niewielki budżet, kupuje się najtańsze i najlichsze kamery, które zgodnie z założeniami miejskiego programu powinny być zainstalowane przy każdym wejściu. W dodatku co najmniej połowa kamer jest rozkradana jeszcze przed zamontowaniem, druga zaś szybko się psuje, a pieniędzy na naprawę przeważnie nie ma. Tak więc ani jedna kamera zainstalowana przy wejściach na klatkę schodową domu Łamzina i w dwóch sąsiednich budynkach od dawna nie działała. Liczono wprowadzić na porządek kamery, które są zwykle nad drzwiami drogich sklepów, biur, banków i tak dalej, ale tutaj też czekało policjantów rozczarowanie. Dzielnica była sypialnią miasta, więc na trasie, którą przypuszczalnie przebył podejrzany, nie znalazło się ani jedno biuro wyposażone w porządny monitoring. Właściwie znalazły się dwie całkiem przyzwoite kamery, które nie były nawet zepsute i wszystko zarejestrowały, tyle że po co się instaluje tego typu urządzenie? Po to, żeby zobaczyć twarz człowieka, który wchodzi do środka. Wcale nie po to, żeby rejestrować twarze przechodniów oddalonych od drzwi o ponad trzy metry. Owszem, jacyś ludzie

przechodzili, a raczej przebiegali koło kamer, wciskając głowę w ramiona, w narzuconych kapturach, z parasolami w rękach, ale nie sposób było dojrzeć ich twarzy. Ani określić cech charakterystycznych wyglądu. Było ciemno, z nieba lały się potoki wody. Krótko mówiąc, zeznań Łamzina nie udało się ani potwierdzić, ani podważyć.

Najsłabszym punktem sprawy był duży odstęp czasu pomiędzy zatrzymaniem Walerija Łamzina w nocy a przeszukaniem jego mieszkania rano. Nikt nie jest temu winien. Gdy grupa dyżurna pracowała w mieszkaniu Łamzina, do Bagłajewa zadzwonił jeden z jego zwierzchników, polecił mu rzucić wszystko i ruszać do innego zdarzenia: trzy przecznice od miejsca znalezienia ciała Michaiła Bołtienkowa wybuchł samochód zastępcy prefekta okręgu. Urzędnik wyszedł z budynku, gdzie odwiedzał znajomych, wsiadł do auta i doznał poważnych obrażeń na skutek wybuchu. Timur Achmedowicz nie ucieszył się oczywiście z otrzymanego polecenia, nie lubił przerywać tego, co zaczął, ale nie dyskutował z szefem – szybko napisał postanowienie o zatrzymaniu i kazał odstawić Łamzina do aresztu, a sam popędził na miejsce wybuchu. Mieszkanie przeszukano dopiero rano, a fakt, że nie znaleziono ani broni, ani rękawiczek, ani pocisków, żadną miarą nie mógł świadczyć na korzyść podejrzanego. Jego żona i córka przez parę godzin były same w mieszkaniu i miały dość czasu, żeby się pozbyć dowodów. A dzisiaj bardzo dokładnie przeszukano domek letniskowy Łamzinów i garaż, również niczego nie znaleziono. Wszystko wyglądało więc źle, a nawet bardzo źle. A ponieważ nie udało się jak dotąd znaleźć żadnych dowodów rzeczowych, należało szukać świadków. I zrobić w tym względzie, co tylko się da.

Timur Achmedowicz wyjął kartkę, na której widniała tabela, ale Uljancew posłał mu błagalne spojrzenie.

– Timurze Achmedowiczu, najpierw coś zjedzmy, nie mam już siły, zaraz zdechnę z głodu, a ta pizza, żeby ją licho wzięło,

pachnie tak, że mi ślinka cieknie!

Bagłajew uśmiechnął się i schował przygotowaną tabelę do szuflady biurka. Nie tolerował żadnych okruchów koło dokumentów. Fiodor szybko otworzył pudełko, z kieszeni kurtki wyjął scyzoryk i zręcznie pokroił nim apetyczną okrągłą pizzę na osiem części. Bagłajew wsłuchał się w siebie, przesunął językiem po dziąśle z prawej strony. Po usunięciu zęba, który, jak twierdził dentysta, był już nie do uratowania, pozostała dziura, a dziąsło, podobnie jak cała szczęka, wyraźnie pobołęwało. Chyba nie warto jeść pizzy, chociaż głód daje się we znaki. Lepiej się pomęczyć, a później, już w domu, poprosić żonę, żeby przygotowała coś bezpieczniejszego do jedzenia.

– Pycha! – z pełnymi ustami skonstatował Fiodor, pochłaniając drugi kawałek. – Czemu pan nie je? Przecież lubi pan pizzę.

– Dziękuję, Fiedia, odpuszczę sobie, bo ząb...

– Ahaa – ze współczuciem wymamrotał policjant. – Wszystko jasne.

Po trzecim kawałku Uljancew wreszcie poczuł, że jest gotowy, by kontynuować pracę. Śledczy znowu wyjął tabelę, a Fiodor, zerkając do notesu, zaczął referować rezultaty obchodu domu, w którym mieszkał zatrzymany Łamzin. Timur Achmedowicz stawiał w odpowiednich rubrykach ptaszki, które oznaczały „niczego nie widzieli”, „nie otworzyli drzwi”, „wyjechali albo nie mieszkają”, „widzieli coś”, „nie sprawdzono”. Znalazło się jeszcze parę osób (lokale obok, powyżej i poniżej mieszkania Łamzinów), które słyszały głosy i awanturę, potwierdziła się też informacja, że drzwi trzasnęły dwa razy. Zresztą zatrzymany temu nie zaprzeczał, od razu się przyznał, że pobiegł za Bołtienkowem, ale go nie zabił (to się rozumie samo przez się!), zamierzał skoczyć do sklepu po alkohol.

– Komu on chce to wmówić! – obruszył się Uljancew. – Nawet dziecko wie, że po dwudziestej trzeciej alkoholu nigdzie się nie dostanie. To znaczy można dostać, owszem, ale trzeba znać

miejsca! Łamzin się zorientował, że nikt nie uwierzy w jego łągarstwo, więc zaczął kleić jakąś bajeczkę, że niby najpierw zapomniał, ale później sobie przypomniał, no i postanowił się przespacerować. Na dodatek w ulewnym deszczu... Tyle że ja, Timurze Achmedowiczu, znalazłem pewien haczyk. Dzisiaj skoncentrowaliśmy się na szukaniu broni i obchodzie mieszkań, więc nie miałem czasu się tym zająć, ale jutro na pewno ruszę tym tropem. Chyba wiem, gdzie i od kogo Łamzin mógł nabyć pistolet.

Wysłuchawszy wywodów policjanta na temat znajomości Łamzina wśród funkcjonariuszy policji w rejonie zamieszkania, Bagłajew uśmiechnął się ironicznie.

– Zielony jeszcze jesteś, Fiedieńka, nie dasz rady wybadać oficerów śledczych.

– Ależ, Timurze Achmedowiczu – zachnął się Uljancew – co w tym trudnego? Nie zamierzam przecież pytać wprost o broń, będę zbierał dane do portretu psychologicznego zatrzymanego. Jeśli ktoś z nich maczał w tym palce, na pewno go wyczuję, zaręczam.

Śledczy Bagłajew miał jednak wątpliwości. I to duże. Nie wierzył w tak zwaną intuicję, zwłaszcza u młodych ludzi. Był zdania, że intuicja to nie głos z góry ani wrodzona zdolność do czerpania wiadomości z przestrzeni informacyjnej, tylko rezultat sporego doświadczenia życiowego. Jeżeli więc mówić o intuicji, to tylko w odniesieniu do ludzi, którzy mają za sobą długie lata życia i wiele przeszli. No a Fiedia nie przypomina człowieka, który posiadał doświadczenie i wiedzę.

– Jeżeli twoja hipoteza ma sens, przekaż ją komuś z większym doświadczeniem – poradził. – Nawiasem mówiąc, wciąż wydzwaniają z ministerstwa, góra się wtrąciła, chce włączyć Pietrowkę, więc tylko czekać, aż jutro zwałą się pomocnicy. Starsi bracia, by tak rzec. Szybko cię nauczą, jak wyjaśniać przestępstwa, więc przyglądaj się, nie myl i przykładaj do nauki. – Śledczy zauważył, że twarz Uljancewa nagle

sposępniała, i uśmiechnął się porozumiewawczo. – I jeszcze jedno: dzisiaj miałem prawo wyspać się po dyżurze, ale przydzielono mi to zabójstwo, a więc swoje już odpracowałem, jutro mnie nie będzie. Rano udam się do sędziego z wnioskiem o areszt tymczasowy dla Łamzina i na tym koniec.

Fiodor wyglądał tak żałośnie, że aż przykro było patrzeć.

– A ja? Ja też nie odpoczywałem po dyżurze.

– Detektyw utrzymuje się z pracy nóg, a śledczy z pracy głowy – pouczająco stwierdził Timur Achmedowicz. – Głowa powinna odpocząć, inaczej narobię ci w śledztwie takiego bigosu, że pożałujesz. Krótko mówiąc, masz tutaj postanowienie o przeprowadzeniu przeszukania w miejscu pracy zatrzymanego Łamzina, a tutaj osobne polecenie, no i wal z samego rana gdzie trzeba. Znajdź mi świadków, którzy... no, sam wiesz, czego potrzebujemy. I nie zapomnij pojechać do firmy Bołtienkowa... Zgodnie z tym, co mówiłeś, jego żona twierdzi, że Łamzin wpadł do pokoju trenerów, w którym był jej mąż, i otwarcie, przy świadkach, groził, że go zabije. No więc znajdź mi tych wszystkich świadków i doprowadź. Jasne?

Uljanecw ciężko westchnął i zaczął pakować resztki pizzy do pudełka. Właściwie nie martwił się tym, że wolne przeszło mu koło nosa. W takich sprawach jak ta, gdy na horyzoncie majaczy szybki i niewątpliwy sukces, liczy się każda minuta, szkoda czasu na odpoczynek. Pomyślnie zakończenie sprawy jest o wiele ważniejsze. Ale perspektywa bliskiej współpracy z detektywami z moskiewskiej centrali bardzo go zirytowała. Przecież oni i tak nic nie robią, udzielą tak zwanej pomocy metodycznej, a na cholerę mu to? On, Uljanecw, prowadzi rozpoznanie operacyjne i potrzebuje dodatkowych rąk i nóg, żeby biegać i zbierać informacje, a nie dodatkowych głów, które jego zdaniem niczym się nie różnią od jego własnej głowy. Bubki z Moskwy będą zadzierać nosa i udawać, że kierują śledztwem. I po co ich tu pchają? Kto wpadł na ten pomysł? Zabójstwo trenera łyżwiarstwa figurowego... Też mi szycha! Co

innego, gdyby sprawa wyglądała kiepsko i miejscowi detektywi nie wiedzieliby, z której strony ją ugryźć. Ale tutaj wszystko jest jak na dłoni: i podejrzany, i motyw. Jeszcze trochę i Fiodor będzie mógł „odhaczyć” sprawę, odnotowując na swoim koncie szybkie wykrycie sprawcy ciężkiego przestępstwa. Po kiego diabła mu ważniacy z Pietrowki? Znowu zbiorą wszystkie laury. Pomagierzy, żeby ich лихо wzięło! I dlaczego zawsze jest tak samo?

===

– Trener łyżwiarstwa figurowego? Czyżby szkolił sportowców, którzy będą uczestniczyli w olimpiadzie?

Pytanie, zadane poirytowanym tonem przez Antona Staszysa, zawisło w powietrzu bez odpowiedzi. Siergiej Kuźmicz Zarubin tylko wzruszył ramionami, a rudowłosy Roman Dziuba, zaledwie dwa miesiące temu przeniesiony do ich wydziału z okręgowej policji kryminalnej, natychmiast sięgnął po smartfona – poszukiwanie informacji w Internecie to pierwsza rzecz, którą zawsze robi.

– Michaił Walentinowicz Bołtienkow? – powiedział chwilę później. – Nie, nic z tych rzeczy. Nie ma o nim żadnej wzmianki w związku z olimpiadą.

– Wobec tego po co nas włączają? – dociekał ze złością Anton. Podpułkownik Siergiej Zarubin odchrząknął i wycelował w niego palec.

– Nie potrafisz myśleć dyplomatycznie, Tocha, to cecha młodości! Zarówno zabity Bołtienkow, jak i podejrzany o zabójstwo zatrzymany, niejaki Łamzin, są trenerami łyżwiarstwa figurowego. Owszem, nie należą do pierwszej ligi, ale to przecież dyscyplina sportowa, w której możemy powalczyć o medale na zbliżającej się olimpiadzie, więc trzeba rzucić wszystkie siły w tym kierunku. A zwłoki trenera i trener zabójca to skandal, który może negatywnie wpłynąć na atmosferę

i nastroje, zakłócić efektywne przygotowanie naszych przyszłych mistrzów. Krótko mówiąc, nie ma tu nad czym deliberować. Jest polecenie z ministerstwa, więc nie mamy nic do gadania. Oni tam na górze sami podejmują decyzje. Dają głowę, że ktoś z Federacji się wtrącił i zaczął suszyć głowę urzędnikom. Zaraz przyjedzie tutaj wywiadowca z terenu i wprowadzi nas w sprawę. Na razie mogę powiedzieć tylko to, co sam wiem: ciało Bołtienkowa znaleziono niedaleko domu, w którym mieszka Łamzin. Stosunki między Bołtienkowem a Łamzinem od dawna były wrogie, ostatnio konflikt przybrał na sile, Bołtienkow przyjechał do Łamzina, żeby się rozmówić, i po wyjściu z jego mieszkania został zastrzelony. Łamzina zatrzymano, broni nie znaleziono, przyznania się do winy brak. Oto i cały obraz.

Roman Dziuba popatrzył na Zarubina jasnymi oczami klasowego prymusa.

– I co, już jest postanowienie sędziego?

– Nie mam pojęcia – przyznał Zarubin. – Albo jest, albo lada moment będzie. Twoim zdaniem to jakaś różnica?

– No bo nie rozumiem, jak można wydać postanowienie w sytuacji, gdy dowody są tak wątpliwe! Przecież oni nie mają nic na Łamzina! Z jakiej racji go w ogóle zatrzymali?

Zarubin przewrócił oczami, całym swoim wyglądem manifestując politowanie, które wzbudzała w nim naiwność młodego pokolenia.

Anton Staszys się roześmiał.

– No dalej, Kuźmicz, powiedz teraz Romusiowi, jak to źle być młodym. Mnie już oświeciłeś w tym względzie, teraz na niego kolej.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka Zarubina, więc Anton sam musiał wyjaśnić tę kwestię.

– Śledczy może cieszyć się dobrą opinią u sędziego – tłumaczył cierpliwie. – Na przykład wszystko, z czym do tej pory przychodził, było zasadne, klarowne i czyste. Więc sędzia mu

ufa, zdaje się na jego profesjonalizm. Niewykluczone też, że sędzia i śledczy to starzy kumple, uczyli się razem albo spotykają od czasu do czasu przy wódeczce na grillu. A w ogóle, Romek, decyzję o zatrzymaniu w areszcie podejmuje się nie na podstawie dowodów winy...

– Wiem o tym – przerwał mu Dziuba. – Czemu pouczasz mnie jak sztubaka?

To prawda, pomyślał Anton. Chyba się zagalopowałem. Romek, mimo że jest młodszy i ma mniejsze doświadczenie, zna prawo lepiej ode mnie. Ponad wszelką wątpliwość. Sędzia nie jest ciekaw, czy zatrzymany jest tak naprawdę winny, nie ocenia zgromadzonych dowodów, tylko opiera się na faktach świadczących o tym, że delikwent może się ulotnić albo utrudniać śledztwo. To, że ma ważny paszport, wystarczy, by sędzia wydał postanowienie. Ważna wiza do jakiegoś kraju ostatecznie przesądza sprawę.

– W porządku – odparł pojednawczo. – A więc zaczekasz na gościa z terenu i włączysz się do śledztwa.

Zarubin skończył rozmowę i natychmiast podchwycił ostatnie zdanie.

– Co to znaczy „włączysz się do śledztwa”? – ryknął. – Dlaczego w liczbie pojedynczej? Obaj będziecie zajmować się tą sprawą.

– Chwileczkę, Kuźmicz – jęknął Anton – okaż trochę wyrozumiałości! Wiesz przecież, że pracuję nad zabójstwem Jefimowej z aparatu Dumy Państwowej.

– Ojjoj, i kto to mówi? – kpiąco wycedził Zarubin. – Sugerujesz, że wszyscy mamy po jednej sprawie, a ty, biedaku, masz ich pięć? Znam twoje obowiązki. I nie opowiadaj mi tu o swojej Jefimowej, bo źle trafiłeś. Doskonale wiem, jak ludzie pracują! Przez pierwszą dobę stają na uszach, następne dwie doby jeszcze się sprężają, a po tygodniu prowadzą wyłącznie rutynowe działania. Minęły już dwa miesiące, odkąd zabito twoją Jefimową, nad sprawą pracuje cała grupa: i FSB,



i UEBiPK[4], nam przypadł tylko mały wycinek, więc to nie ty ponosisz główną odpowiedzialność i nie wrywasz sobie w związek z tym rękawów. Pracuj jak zwykle, a w śledztwie dotyczącym trenera trzeba podkreślić tempo, póki ślady są świeże. I nie patrz na mnie wilkiem.

Dziuba pisał coś w skupieniu na komputerze, więc Anton stanął tuż koło Zarubina i powiedział półgłosem:

– Bądź człowiekiem, Sierioża! Niech Dziuba pracuje na razie sam z chłopakami z terenu. Daj mi złapać oddech. Przecież wiesz, ile mam na głowie. Roboty od groma.

Zarubin zerknął na niego ze współczuciem, lecz minę miał nadal surową. Mimo niskiego wzrostu, który sprawiał, że musiał mocno zadzierać głowę, patrząc na stojącego Antona, usiłował wyglądać władczo i emanować siłą.

– Powiedziałem „nie” – odparł szeptem, ale dobitnie. – Kto tutaj rządzi, ja czy każdy, kto ma na to ochotę? Reasumując, Tocha, szef polecił, żebym przydzielił sprawę trenera dwóm detektywom. Wyzaczyłem ciebie i Romka. Chcesz, to się z chłopakiem dogadaj, żeby cię krył, ja jednak nie zamierzam świecić za ciebie oczami przed zwierzchnictwem. Bez przerwy coś kombinujecie, a później muszę wszystko odkręcać.

Staszys w milczeniu odsunął się od biurka Zarubina, wyjął z sejfu jakieś dokumenty i wyszedł. Nic się nie stanie, jak dzisiaj Romek sam się wszystkim zajmie, bo on, Anton, musi szybko sprawdzić pewną informację, na pierwszy rzut oka zupełnie niewinną. Może to nic nie da, ale jeśli ktoś zażąda raportu w sprawie Jefimowej, będzie miał przynajmniej co pokazać. Owszem, wyników brak, ale robota została wykonana! Człowiek się starał, badał, wyjaśniał. Innymi słowy, zajmował się sprawą, a nie leżał do góry brzuchem.

===

Roman Dziuba przez całe życie uprawiał sport, ale nigdy nie był

w hali lodowej. Wywiadowca Fiodor Uljancew szybko wyłuszczył okoliczności sprawy i oznajmił, że muszą jechać do Młodzieżowej Szkoły Sportowej, gdzie Walerij Łamzin prowadził swoją grupę. Po pierwsze, należy sprawdzić jego zeznania, po drugie, śledczy wydał dodatkowe postanowienie o przeszukaniu miejsca pracy Łamzina, a po trzecie, trzeba odszukać świadków, którzy potwierdzą, że Łamzin wspominał o zamiarze rozprawienia się z Bołtienkowem.

– Jesteś pewien, że są tacy świadkowie? – z powątpiewaniem zapytał Dziuba.

– Jak nie ma, to będą – odparł Uljancew bez wahania. – Ale jestem przekonany, że są.

Dyrektor DIUSSZ[5], okrągły i żwawy człowieczek koło sześćdziesiątki, przywitał policjantów wzburzony.

– Czego chcecie się dowiedzieć? – zapytał z irytacją. – Już i tak areztowaliście Walerija Pietrowicza, a teraz chcecie, żeby ktoś z nas pomógł wam wpakować go do więzienia? Niedoczekanie!

– Niepotrzebnie się pan unosi – łagodnie odezwał się Uljancew. – Chcemy jedynie się dowiedzieć, co to za historia z jego zwolnieniem. Przecież właśnie z tego powodu doszło do kłótni z Bołtienkowem. A może chodzi o coś innego?

Dyrektor westchnął z goryczą i gestem zaprosił detektywów, żeby usiedli. Roman Dziuba z ciekawością przyglądał się zdjęciom wiszącym na ścianach małego gabinetu. Zawody, nagrody, treningi, portrety młodych sportowców i osób dorosłych – prawdopodobnie trenerów.

– To zupełnie idiotyczna historia, zupełnie idiotyczna. – Dyrektor pokręcił głową i rozłożył ręce. – Przyszło polecenie z góry: zastosować przepisy ustawy. Ustawa pojawiła się dawno, ale nikomu nie przeszło przez myśl, żeby ją traktować poważnie, wszyscy wiedzieli, że jest niedorzeczna. A tu nagle przekazano bezpośrednio polecenie z Federacji, jak więc się nie podporządkować? Widocznie ktoś na gwałt potrzebował lodowiska i postanowiono wysiudać dobrego trenera.

– Nie wie pan kto? – z ciekawością zapytał Dziuba i od razu napotkał ostrzegawcze spojrzenie Uljancewa, mówiące, żeby się trzymał oficjalnej wersji, nie zagłębiał w nieistotne szczegóły i nie tracił czasu.

Upór był jednak nieodłączną cechą Romana Dziuby. Toteż żadne spojrzenia, nawet najbardziej znaczące, nie mogły go powstrzymać.

– Domyślam się. – Dyrektor wbił oczy w kwiatek stojący w doniczce na szafie.

– No więc kto? – naciskał Roman.

– Nie chcę nikogo oczerniać. Może się myłę.

Uljancew miał najwyraźniej dość samowoli Dziuby, więc przejął inicjatywę.

– Jak pracownicy szkoły zareagowali na zwolnienie Łamzina?

Dyrektor wzruszył ramionami.

– Różnie. Jedni współczuli i się oburzali, inni nie kryli radości. Dzieci ogromnie się zmartwiły. A rodzice nawet zbuntowali. Uczniowie bardzo lubią Łamzina, nikt nie wierzy, że jest zabójcą, więc zamierzają trenować na razie z innym instruktorem i na niego czekać. Wszyscy są pewni, że niebawem wróci do pracy. Rodzice napisali nawet petycję do Federacji.

– A co na to Federacja? Zajęła jakieś stanowisko?

– Nie. Potrzebują przecież lodowiska dla swojego protegowanego. Trenerów jest dużo, podobnie jak grup, a lodowisk zawsze brakuje, nie wystarcza dla wszystkich. Każdy robi, co tylko może, żeby wyszarpać dodatkowe pół godziny. Jeśli chcecie znać moje zdanie, ktoś zwyczajnie wrobił Walerija Pietrowicza. Jestem pewien, że Łamzin to człowiek niezdolny do zabójstwa, znam go od lat, zresztą nie miał powodu. Gdyby chciał zabić Bołtienkowa z powodu tamtej historii i z powodu zwolnienia, już dawno by to zrobił, minęły dwa tygodnie, odkąd dowiedział się o zwolnieniu na podstawie tej chorej ustawy. I pozwolono mu dopracować dwa tygodnie, jak tego wymaga

prawo. Po co miał czekać, aż Bołtienkow do niego przyjdzie? I na dodatek zabić go koło swojego domu? Nie, nie przekonacie mnie, Łamzina wrobiono.

– Po co? – szybko zapytał Dziuba, starając się nie patrzeć w stronę Uljancewa.

Psuję mu szyki, przemknęło Romanowi przez głowę. Ale nie zamierzam chodzić na jego pasku. Mam swój rozum.

– No jak to po co? Żeby dzieci na niego nie czekały – wyjaśnił dyrektor. – Żeby nie liczyły na to, że ktoś z Federacji zareaguje na ich petycję, dojdzie do wniosku, że nie należy go zwalniać, i wszystko wróci do normy. Żeby myślały, że jest kryminalistą, przestępcą, zabójcą. Która matka powierzy dziecko trenerowi zabójcy? To jasne, że wszyscy rodzice natychmiast zabiorą dzieci, no a inni trenerzy tylko czekają, żeby przejąć te najzdolniejsze. Po zwolnieniu Łamzina zamierzaliśmy przecież rozwiązać grupę i przydzielić jego uczniów do innych trenerów, ale zarówno oni, jak i ich rodzice się zawzięli, nie chcą nikogo innego, tylko Walerija Pietrowicza. Gdy jednak zostanie oskarżony o zabójstwo, od razu na wszystko się zgodzą.

Ten wątek rozmowy najbardziej ciekawił Dziubę, ale Fiodor Uljancew miał chyba zupełnie inny plan i inne cele, bo znowu wrócił do procedury zwolnienia Łamzina i poprosił dyrektora, żeby zreferował wszystko od a do zet. Słuchając jego zeznań, Roman nagle sobie uświadomił, że właściwie nie wie, o jaką ustawę chodzi. To znaczy coś tam było, pamięta, ale nie wnikał w szczegóły, bo nie miało to bezpośredniego związku z pracą. Teraz trzeba będzie się przyjrzeć...

– Gdy przyszło polecenie, żeby postępować zgodnie z wymogami ustawy – ciągnął tymczasem dyrektor DIUSSZ – powiesiliśmy na tablicy ogłoszeń pismo z żądaniem, by wszyscy trenerzy przedstawili tak zwane lojalki. Tak je między sobą nazywamy, w istocie to oficjalny dokument z urzędu spraw wewnętrznych potwierdzający, że dana osoba nigdy nie była karana. Po pewnym czasie wszyscy zaczęli przynosić

zaświadczenia. Jeden przyniósł od razu, innemu trzeba było przypominać. Walerij Pietrowicz też przyniósł. Przyszedł do mnie, powiedział, że tak i tak, w zaświadczeniu napisano, że w jakimś tam zamierzonym roku był oskarżony o przestępstwo z użyciem przemocy, sprawa została umorzona, bo wpłynęło poręczenie. Szczerze mówiąc, zaniepokoiłem się, wezwałem kadrową, naradziliśmy się we troje, kadrowa obiecała, że skonsultuje się z szefową organizacji związkowej. Nazajutrz tam pojechała, a po powrocie oznajmiła, że polecenie należy wykonać, nie ma żadnych odstępstw. Wtedy udałem się do Federacji, żeby porozmawiać. Tam zakomunikowano mi jeszcze surowiej, że rok przed olimpiadą nie potrzeba skandali z trenerami. Przekazałem otwarcie wszystko Łamzinowi, okropnie się przy tym zdenerwowałem, on zaś strasznie zmienił się na twarzy. Nawet powiedział: „Jak zobaczę tego drania, to go zabiję!”.

Dziuba drgnął i zerknął na Uljancewa. Po twarzy policjanta przemknął uśmiech zadowolenia. A więc to tak... Teraz wiadomo, co Fiodor miał na myśli, gdy mówił, że świadkowie na pewno będą. Przyczepi się do tych słów i nie odpuści, póki cztery wypowiedziane w gniewie słowa nie przerodzą się w co najmniej trzy długie, kwieciste zdania, potwierdzone przez minimum trzech świadków.

– Poruszałem w Federacji problem Bołtienkowa – ciągnął dyrektor. – Mówiłem, że sprawiedliwość wymaga, by on też został zwolniony, ale mi wytłumaczono, że przestępstwo, którego się dopuścił, nie wiązało się z użyciem przemocy, bo to była kradzież. A więc zgodnie z tą mądrą ustawą ten, kto obił głowę złodziejowi, nie może uczyć dzieci i z nimi pracować, za to złodziej – proszę bardzo. Rabuś, na litość boską. To znaczy, że złodzieje i rabusie, oszuści i aferzyści są u nas uważani za osoby o wysokim morale. Zresztą nie ma się czemu dziwić, zdaje się, że cała Duma Państwowa składa się wyłącznie z takich osobników, skoro uchwała takie prawa.

Dyrektor irytował się i wychodził z siebie, toteż Dziuba pomyślał z obawą: Zaraz nagada bzdur w ferworze emocji, a tacy jak Uljancew będą się później czepiać i grozić odpowiedzialnością za szkalowanie organów władzy.

– A więc Łamzin otwarcie groził, że zabije Bołtienkowa? – uściślił zadowolony Fiodor.

Dyrektor nagle się przestraszył.

– Co też pan mówi, powiedziałem to tylko z rozpędu, wszyscy przecież wiedzą, że palnął te słowa w gniewie, nie miał zamiaru... A właściwie wyprowadził mnie pan z równowagi, młody człowieku, naplotłem niepotrzebnych bzdur i o Waleriju Pietrowiczu, i o Dumie Państwowej...

Dziubie zrobiło się żal tego udręczonego mężczyzny, próbującego za wszelką cenę bronić trenera. Miał ochotę uspokoić go i podtrzymać na duchu.

– Niech się pan nie denerwuje, wszystko rozumiemy...

Chciał dodać coś pocieszającego i pokrzepiającego, ale Fiodor nie pozwolił mu dokończyć.

– Powiedział pan: „Wszyscy wiedzą, że Łamzin palnął te słowa w gniewie”. Kim są ci wszyscy? Kto jeszcze oprócz pana słyszał, jak Walerij Pietrowicz groził Bołtienkowowi?

No tak, wszystko jasne, teraz należy ustalić świadków gróźb. Roman stłumił westchnienie rozczarowania.

Dyrektor zawahał się, przez chwilę przekładał dokumenty na biurku, po czym odparł z wyraźną niechęcią:

– Tak, była jeszcze nasza kadrowa i sekretarka, akurat przyniosła wypowiedzenie Łamzina, żebym je podpisał i mu wręczył.

Uljancew, ma się rozumieć, od razu poprosił dyrektora, żeby wezwał wspomnianych pracowników albo powiedział, gdzie ich można znaleźć, i ochoczo ruszył po zeznania świadków, które tak ładnie przystroją wersję śledczą. Dziuba został w gabinecie dyrektora, żeby zapoznać się z ustawą, na podstawie której zwolniono Łamzina.

– Co ja będę panu tłumaczył! – zawołał rozsierdzony dyrektor.  
– Oto wszystkie dokumenty, niech pan sam czyta! Znawcy prawa! I to się nazywa policja, nie znają przepisów, ale mają dość wiedzy prawniczej, żeby kogoś aresztować... Co to się wyprawia!

Roman nie oponował ani się nie obrażał, rozumiał, że dyrektor jest zdenerwowany – chciał obronić Łamzina, a wyszło tak, że sam, własnymi rękami go pogrążył. No i nazwał też świadków.

Dyrektor dosłownie cisnął grubą teczkę na biurko przed Dziubą. Ten ją otworzył i uważnie przeczytał tytuł pierwszego dokumentu. Była to Ustawa federalna nr 387-F3 z 23 grudnia 2010 roku o wprowadzeniu zmian do artykułu 22.1 ustawy federalnej o państwowej rejestracji osób prawnych i indywidualnych przedsiębiorców oraz Kodeks Pracy Federacji Rosyjskiej.

Coś takiego, minęły trzy lata... A więc ustawa nie jest nowa. Ciekawe, czemu tak mało się o niej mówiło? A jeśli nawet mówiło, dyskusje dawno ucichły.

Szybko przebiegł wzrokiem tekst z Internetu, napisany drobnym drukiem. Już w artykule 2 ustawy pojawiła się owa „lojalka”, o której wspominał dyrektor. Co prawda nazwano ją tam surowo i dobitnie „zaświadczeniem o karalności (lub niekaralności) i (lub) przeprowadzeniu dochodzenia karnego albo umorzeniu dochodzenia karnego wobec istnienia przesłanek umożliwiających oczyszczenie z zarzutów”.

W pewnej chwili Roman odniósł wrażenie, że stracił zdolność racjonalnego odbioru czytanego tekstu. Co za bzdury... To po prostu niemożliwe! Wolno i uważnie przeczytał wszystko jeszcze raz i przekonał się, że o żadnym błędzie nie ma mowy.

Do pracy w sektorze wykształcenia, wychowania i rozwoju nieletnich, organizacji ich wypoczynku i podniesienia warunków zdrowotnych, zapewnienia opieki lekarskiej, pomocy i obsługi socjalnej, w sektorze sportu, kultury i sztuki z udziałem nieletnich nie dopuszcza się osób karanych sądownie, w stosunku do których toczy się lub toczyło postępowanie karne (z wyjątkiem osób, w stosunku

do których postępowanie karne zostało umorzono wobec istnienia przesłanek umożliwiających oczyszczenie z zarzutów) za przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu, wolności, czci i godności jednostki (z wyjątkiem nieprawego umieszczenia w zakładzie psychiatrycznym, oszczerstwa i zniewagi), nietykalności seksualnej i wolności seksualnej jednostki, przeciwko rodzinie i nieletnim, zdrowiu ludności i obyczajowości społecznej, a także przeciwko bezpieczeństwu publicznemu.

Nieźle! Jak to możliwe? Wygląda na to, że dyrektor miał rację, mówiąc, że ustawa zezwala złodziejom, oszustom i rabusiom pracować z dziećmi i młodzieżą... A on, Dziuba, myślał, że dyrektor źle zinterpretował tekst ustawy. Cóż to za ustawodawcy? Mogliby przynajmniej określić jakieś terminy, nie mówiąc już o wykazie przestępstw... Co w sytuacji, gdy ktoś czterdzieści lat temu narozrabiał, wybijając na przykład okno, wytoczono mu sprawę, a później ją umorzono z uwagi na niską szkodliwość czynu, to znaczy na podstawie tych samych przesłanek umożliwiających oczyszczenie z zarzutów? Czy to znaczy, że ów dorosły już dzisiaj człowiek, możliwe, że szanowany lekarz, nie ma prawa leczyć dzieci? Szkodliwa ustawa mówi wyraźnie: przynieś zaświadczenie z urzędu spraw wewnętrznych i jeśli będzie w nim nie to, co trzeba, umowa o pracę nie zostanie zawarta, natomiast umowa, którą zawarto wcześniej, ulega rozwiązaniu z uwagi na okoliczności niezależne od woli stron.

Na twarzy Dziuby odmalowała się cała gama uczuć, wskutek czego dyrektor przestał widzieć wreszcie wroga w policjancie i rzekł nieco łagodniej:



– Zdaje pan sobie sprawę, w jaką pułapkę wpadliśmy? Mamy związane ręce. Federacja naciskała, żeby bezwzględnie przestrzegać ustawy. Formalnie rzecz biorąc, ma słuszność. Ale jak to wszystko wytłumaczyć dzieciom oraz ich rodzicom? Widział pan tłum na korytarzu? To właśnie oni, postanowili, że wezmą mnie uporem, tak jakbym mógł coś zmienić. Wszystko, co mogłem, już zrobiłem. Ich petycja nic nie da.

Dziuba podziękował dyrektorowi i udał się na poszukiwania Fiodora. Znalazł go w suterenie, w niewielkiej kawiarni. Wszystkie stoliki zestawiono razem – siedziało przy nich dziesięć, może dwanaście dorosłych osób i mniej więcej tyle samo nastolatków. Zgromadzeni pili herbatę, jedli kanapki i omawiali coś ściszymi głosami, co rusz rzucając niespokojne spojrzenia w stronę stolika z boku, przy którym Fiodor rozmawiał z poważną damą w średnim wieku. Roman w milczeniu się do nich przysiadł i zaczął słuchać. Sądząc ze słów kobiety, odpowiadała na pytanie o to, jak zareagował Łamzin, gdy mu zakomunikowano, że zostanie zwolniony. A więc Fiodor dopiął swego, to znaczy skłonił świadka do przyznania, że trener wypowiadał groźby zabójstwa pod adresem Bołtienkowa.

– Przygotowałam wypowiedzenie i poprosiłam sekretarkę, żeby je wydrukowała i zaniósła do podpisu dyrektorowi. On jednak podpisał nie od razu, czekał, aż Walerij Pietrowicz skończy trening, żeby go do siebie wezwać. Dla Łamzina to nie była oczywiście żadna niespodzianka, w końcu minęły dwa tygodnie, odkąd go powiadomiliśmy...

– A dlaczego czekaliście aż dwa tygodnie? – zapytał Uljancew.

– Tak nakazują przepisy. W tym czasie próbowaliśmy się dowiedzieć, czy można jakoś obejść ustawę, a nie stosować jej na ślepo. Dzwoniliśmy do znajomych, pytaliśmy, jak rozwiązują tę kwestię w szkołach średnich, placówkach medycznych i sportowych.

– I co wam odpowiadano? – zapytał Dziuba, któremu wątpliwa

ustawa nie dawała spokoju.

Dama chyba dopiero teraz zauważyła, że prócz niej i Uljancewa ktoś jeszcze siedzi przy stoliku. Powoli odwróciła głowę w stronę Romana i uniosła brwi, zawahała się, jakby coś sobie przypominała, później lekko skinęła głową, przytakując swoim myślom. Uljancew boleśnie przydepnął nogę Romanowi, pewnie chciał powiedzieć: „Gdzie się pchasz? Jakie znaczenie ma to, co jej powiedziano w innych szkołach? Liczy się tylko jedno: Łamzin groził Bołtienkowowi i nie ukrywał, że zamierza się z nim rozprawić!”.

– No cóż, wszyscy ogromnie się dziwili – nieśpiesznie odparła kobieta prowadząca sprawy kadrowe w DIUSSZ. – To znaczy wszyscy dostali polecenie w związku z ustawą, i to już dawno, ustawa nie jest przecież nowa, jeszcze z dwa tysiące dziesiątego roku, ale później się okazało, że jeśli zwalniać tych, którzy jej podlegają, wiejskie szkoły i szpitale dziecięce zostaną w ogóle bez personelu. Doszło do tego, że w przedszkolu zwolniono dozorcę, bo ponad dwadzieścia lat temu był karany za niepłacenie alimentów. Doszliśmy do wniosku, że respektowanie ustawy jest niemożliwe i niepotrzebne, przystopowaliśmy, nikt nas przecież nie popędza, wszyscy jak gdyby nabrali wody w usta. A tu nagle... Bardzo się zdziwiliśmy. Żadnych odstępstw. Wiemy jednak, o co tak naprawdę chodzi: ktoś potrzebuje lodowiska, chce zebrać grupę, prowadzi swoją grę. Rozprawiono się z Łamzinem, zasłaniając się ustawą. No i nie ma się do czego przyczepić, bo jeżeli trener wniesie sprawę do sądu o bezpodstawne zwolnienie, żaden sędzia nie przywróci go do pracy – wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

Wyglądało na to, że Uljancew wykonał swój program minimum, bo skończywszy rozmowę z damą z działu kadr, znowu ruszył do gabinetu dyrektora. Przedłożył mu postanowienie o przeszukaniu pokoju trenerów, gdzie znajduje się miejsce pracy Walerija Pietrowicza Łamzina, i poprosił

o przysłanie dwóch świadków i o klucz do pomieszczenia. Pokój okazał się ciasny, mieściły się w nim trzy biurka, szafa na ubrania i sfatygowana kanapa. Na ścianach było mnóstwo zdjęć, dyplomów, proporczyków i różnych innych potwierżeń dokumentujących karierę sportową zarówno trenerów, jak i ich wychowanków. W rogu stała licha, przechylona na bok komoda, a na niej parę brudnych kubków, czajnik oraz pudełka z herbatą i z cukrem. Policjanci zapytali, które biurko należy do Łamzina i w której części szafy przechowuje swoje rzeczy, po czym przystąpili do przeszukania.

– Czego szukamy? – szeptem zapytał Dziuba. – Czegoś konkretnego?

Uljanecw z niezadowoleniem potrząsnął głową.

– Jak zwykle.

– Jasne. – Roman westchnął.

„Jak zwykle” w danym wypadku oznaczało, że należy szukać (i to efektywnie!) śladów przechowywania broni – plam oleju, nabojów, kabury; śladów czyszczenia – szmatek, zgniecionych kartek papieru ze śladami oleju i smaru; a także dokumentów, które można wykorzystać jako dowody rzeczowe – dzienników, notatek, listów.

W szafie wisiała ciepła kurtka, którą Łamzin wkładał, wychodząc na lodowisko. W kieszeniach niczego nie znaleziono, ale Uljanecw postanowił na wszelki wypadek ją zarekwirować. A nuż będą mieli szczęście i właśnie na niej kryminaliści znajdą ślady broni?

W szufladzie biurka leżał dziennik trenera i Dziuba ze zdziwieniem usłyszał wyjaśnienia jednego ze świadków – pani choreograf – że trenerzy mają mnóstwo pisaniny, muszą tworzyć plany i harmonogramy zajęć, odnotowywać obecność, robić listę grupy. Coś takiego, od dzieciństwa uczył się na różne zajęcia sportowe, a nie miał pojęcia, że prowadzi się jakieś dzienniki. Nie wiedzieć czemu sądził, że trener pracuje tylko w sali sportowej i jego praca polega wyłącznie na

prowadzeniu treningów.

No tak, pomyślał, uśmiechając się w duchu, o nas, detektywach, też wszyscy myślą, że biegamy, skaczemy, gonimy, siedzimy w zasadzkach, nikt sobie nawet nie wyobraża, ile musimy pisać sprawozdań i raportów...

Na parapecie wznosił się stos kolorowych pudełek różnej wielkości, przypominających bombonierki.

– Tak, to bombonierki – wyjaśniła rozmowna pani choreograf.  
– Przynoszą je rodzice, ale co z nimi robić? Walerij Pietrowicz nie jadł i nie lubił słodczy. Jeśli ktoś chciał mu zrobić przyjemność, przynosił marynaty własnej roboty. Ale mało kto o tym wiedział, rzecz jasna, więc przynoszono przeważnie bombonierki... Dlatego się tutaj poniewierają.

Uljanцев szybko podszedł do okna, wybrał trzy pudełka, w których mógłby się zmieścić pistolet, zważył je w ręce, otworzył i rozczarowany zobaczył równiutkie rzędy rozmaitych słodkości.

Pokój trenerów był mały, więc nawet najdokładniejsze przeszukanie skończyło się dość szybko. To wszystko, nie ma więcej gdzie szukać. Niczego nie znaleziono.

===

Praca nad sprawą zabójstwa Inny Wiktorowny Jefimowej, lat czterdzieści siedem, moskwianki, funkcjonariuszki aparatu Dumy Państwowej z wydziału protokolarnego i działań zewnętrznych Departamentu Współpracy Międzynarodowej, trwała już dwa miesiące. Urzędniczka została zabita w środku białego dnia ciosem noża w klatkę piersiową po wyjściu z salonu piękności, w chwili gdy wsiadała do swojego samochodu. Kierunki śledztwa podzielono: FSB zajmowała się linią związaną z obowiązkami służbowymi w części dotyczącej spraw wizowo-paszportowych; Wydział Bezpieczeństwa Ekonomicznego i Przeciwdziałania Korupcji szukał informacji

o konfliktach wynikających z możliwych afer finansowych i związków z bankami; wywiadowcom z policji kryminalnej powierzono zbadanie związków osobistych i obyczajowych ofiary. Od początku było wiadomo, że uczyniono tak wyłącznie dla pozorów, by później nikt nie mógł zarzucić kierownictwu, że nie zadbało o sprawdzenie pełnego spektrum możliwych hipotez. Bo w hipotezę obyczajową nikt poważnie nie wierzył i weryfikowano ją tylko dla świętego spokoju. Żeby ją odhaczyć i żeby wszystko wyglądało ładnie w papierach. Z tego powodu nikt się nie czepiał Antona, więc tutaj Siergiej Kuźmicz Zarubin się nie pomylił.

Anton Staszys za nic nie poprosiłby Zarubina o zmianę polecenia, by zajął się sprawą zabójstwa trenera, gdyby dosłownie w przeddzień nie pojawiła się nagle i nie wiadomo skąd informacja o tej cholernej działce. Ściśle mówiąc, trafili na nią chłopcy z UEBiPK, gdy sprawdzali przepływ środków pieniężnych zabitej Inny Jefimowej, ale ponieważ chodziło jedynie o nabycie sąsiedniej działki rekreacyjnej od prywatnego właściciela, od razu było wiadomo, że nie ma mowy o żadnych przekrętach bankowych. Należy jednak sprawdzić dla spokoju sumienia. Przyda się też w sprawozdaniu, w każdej chwili ktoś może zażądać pisemnego raportu z pracy wykonanej w ubiegłym tygodniu, a w sprawie zabójstwa pracownicy aparatu Dumy Państwowej nie ma co referować... Anton poprosił Romka Dziubę, żeby go krył, po czym udał się tam, gdzie Inna Wiktorowna budowała dom za miastem.

Była to ta część Rublowki, w której zachowały się jeszcze budynki mieszkalne z czasów, gdy nikomu nie przychodziło do głowy, żeby uważać teren za prestiżowy. Wprawdzie majątni inwestorzy dawno dotarli do Razdorów, sporo tam jednak było normalnych jedno- i dwukondygnacyjnych starych domków, w których mieszkali zwykli ludzie. Właśnie taki stary, chyłący się ku upadkowi dom na dość dużej parceli graniczył kiedyś z działką należącą do zabitej. Kiedyś, bo teraz nie było tam

żadnego domu. Prowizoryczny płot ogradzał obie parcele, łącząc je w jeden, wcale nie mały teren.

Anton zatrzymał się przy ogrodzeniu, pozwalając sobie na chwilę wytchnienia od pracy i oddając się marzeniom: gdyby miał taką działkę, a na niej dom, byłby to istny raj dla dzieci, Wasylisy i Stiopki, tam umieściłby huśtawkę, tutaj można by wykopać nieduży basen, a w odległym rogu postawić boks dla psa – Waśka od dawna prosi o szczeniaczka. I jeszcze klatkę dla królików, o których marzy mały Stiopka...

Otrząsnął się z zamyślenia i uśmiechnął sceptycznie – nigdy nie będzie miał takich pieniędzy! – po czym ruszył w stronę domków. Musi porozmawiać z sąsiadami zabitej Jefimowej.

W pierwszym domu, do którego zapukał, nikogo nie było. Ale w następnym drzwi otworzył mu krzepki, barczysty mężczyzna wsparty na kuli, koło sześćdziesiątki, z chytrymi, rozbieganymi oczkami i widocznymi oznakami kaca. Przedstawił się jako Boris Iljicz i wyraził pełną gotowość do rozmowy o ważnej naczelnicze z Dumy Państwowej, której wprawdzie nie znał zbyt blisko, ale parę razy z nią rozmawiał, co prawda, to prawda. Boris Iljicz zdradził, że Jefimowa kupiła parcelę dwa lata temu, lecz z jakiegoś powodu nie zaczęła się budować.

– Później się dowiedzieliśmy, dlaczego zwlekała. Obok była działka Makłyginów. – Boris Iljicz opowiadał nieśpiesznie, z widoczną satysfakcją.

Podobało mu się zwłaszcza to, że Anton zapisuje jego słowa. Czasami przerywał na chwilę relację, gdy mu się zdawało, że gość nie nadaża notować.

– Chciała się wzbogacić, mało jej było ziemi, pewnie marzył jej się cesarski pałac, nie inaczej. No więc zaczęła urabiać Makłyginów, żeby sprzedali swoją działkę, nawiasem mówiąc, proponowała spore pieniądze, nie chciała za frajer, muszę przyznać, że to była uczciwa baba, nie złodziejka. Jak Walka Makłygina wymieniła sumę, mało mi kula nie wypadła z ręki. Sprzedawaj, mówię, nie ma się nad czym zastanawiać, to

przecież ogromna forsa, będziecie mogli urządzić się w mieście, kupicie większe mieszkanie, macie poza tym córkę, niedawno wyszła za mąż i lada dzień będzie rodzić, gdzie się zamierzacie cisnąć w pięcioro?

– I co oni na to? Zgodzili się sprzedać? – dopytywał się Anton.

Właściwie historia nie była ciekawa z punktu widzenia śledztwa. O tym, że zmarła Jefimowa kupiła działkę od swoich sąsiadów, Staszys dowiedział się już wczoraj i przyjechał tutaj tylko po to, żeby poznać szczegóły. Skoro jednak trafił się gadatliwy i wyraźnie znudzony świadek, który może coś opowiedzieć o zabitej, czemu go nie posłuchać? Może wymknie mu się jakieś słówko...

Boris Iljicz machnął ręką.

– O to właśnie chodzi, że nie! Trzymali się ziemi pazurami, „tutaj urodzili się i pomarli nasi dziadowie, tutaj spędziliśmy młodość”, no i takie tam.

Anton ledwie opanował zdziwienie. Co to znaczy „nie sprzedali”? Co to znaczy „trzymali się pazurami”? Z dokumentów jasno wynika, że działka została przepisana na Jefimową. Dobrze. Udamy, że wszystko w porządku.

– Czyżby mieli wspólnych przodków? – zapytał, lekko się uśmiechając.

– No tak, no tak. – Boris Iljicz roześmiał się rubasznie. – Przyłapałeś mnie, trochę przesadziłem, to mi się często zdarza. No wiesz, robię to dla pięknych słówek, nie ze złej woli. Ale chwali ci się, żeś usłyszał. Żona przez całe życie mi wyrzuca, że wszystko koloryzuję. Przodkowie Paszki mieszkali tutaj, znam go od dziecka, w końcu byliśmy sąsiadami. Nie udało mi się przemówić im do rozumu, twardo obstawali przy swoim i nie zgadzali się sprzedać. Inna Wiktorowna nawet podniosła cenę, ale nic nie wskórała. Przyszła też do mnie, przyniosła całą siatkę różnych wiktuałów i trunków, prosiła, żebym na nich wpłynął, widocznie ktoś jej powiedział, że znamy się kopę lat.

– I co? Porozmawiał pan z Makłyginem?

– A jakże! – Boris Iljicz ochoczo skinął głową. – Ale Paszka mnie nie posłuchał. Krótko mówiąc, zrobili głupstwo.

– Czemu? Przecież w końcu sprzedali działkę Jefimowej. To znaczy, że się zgodzili.

Boris Iljicz uniósł wysoko brwi i z wyrzutem spojrzał na Antona.

– Czyś ty, chłopaku, z byka spadł?! Nie mieli za co odbudować domu po pożarze.

Masz ci los! To dopiero nowina! O pożarze w ogóle nie było mowy, w każdym razie w materiałach wydziału do walki z przestępstwami ekonomicznymi.

– Po jakim pożarze?

– A co, nie wiesz? – Boris Iljicz z dezaprobatą przymrużył oczy.  
– Też mi policja, nie ma o niczym pojęcia! W ich domu wybuchł pożar. Dom był stary, instalacja marna, Paszka wprowadził się tutaj wychował, ale miał dwie lewe ręce, potrafi pracować tylko głową, doktor nauk, ale ani przybić półki, ani naprawić instalacji, niczego nie potrafi. Doszło tam do jakiegoś zwarcia i w jednej chwili wszystko poszło z dymem. Zginęła dziewczyna, jakaś ich daleka krewna, przyjechała na studia do Moskwy, ale mieszkanie w stolicy jest małe, dziewczuszka musi się uczyć, a nie ma jej gdzie ulokować, no więc umieścili ją tutaj, żeby się przygotowywała do egzaminów. Szkoda jej, co tu dużo gadać... No więc dom spalił się do szczętu, nie ma za co się budować, i wtedy Paszka poszedł po prośbie do Inny Wiktorowny. A mówiłem mu: „Trzeba było od razu się zgodzić, gdy proponowała niezłą sumkę, teraz do niej pójdziesz, a ona pokaże ci figę z makiem, nie dostaniesz złamanej kopiejki za swoje grunty”. Ale nie miałem racji.

– Jak to?

– Przecież ci mówiłem, że Inna Wiktorowna to była porządna baba, nikogo nie oszukiwała, prowadziła uczciwe interesy. Właściwie nie obniżyła ceny, w każdym razie nieznacznie w porównaniu z tym, co proponowała na początku. No więc



Walka z Paszką sprzedali swój lokal w Moskwie, dołożyli pieniądze od Inny Wiktorowny i teraz mieszkają w godziwych warunkach, co prawda daleko od centrum, za to metraż spory, czekają na wnuka albo wnuczkę, jeszcze nie wiadomo. Ich córka spodziewa się dziecka.

Anton wziął moskiewskie namiary Makłyginów od sąsiada. Nieładnie, rzecz jasna, mówić tak o zabitej, ale miała szczęście: dom spalił się w samą porę. Co prawda zginęła dziewczyna... A więc jedno z trojga: albo rzeczywiście zwarcie, albo ktoś chciał zabić studentkę, albo madame Jefimowa zorganizowała podpalenie, nie wiedząc, że ktoś jest w domu. I co należy zrobić? Po pierwsze: sprawdzić materiały dotyczące pożaru, przeczytać ekspertyzę pożarowo-techniczną, porozmawiać z tymi, co się tym zajmowali. Po drugie: zebrać informacje o dziewczynie, jeśli oczywiście wcześniej tego nie zrobiono. Właściwie wywiadowcy powinni byli wdrożyć dochodzenie albo przynajmniej zweryfikować hipotezę dotyczącą zabójstwa studentki. Powinni byli. Ale czy to zrobili? Oto pytanie.

Anton zerknął na zegarek. Jest dość czasu, żeby podgonić pilną robotę, a od jutra włączyć się do pracy nad sprawą zabójstwa trenera. Sytuacja wygląda nieciekawie: sam przecież wystąpił z inicjatywą przeniesienia Romeczka Dziuby z okręgu na Pietrowkę, przekonywał Kuźmicza, że mimo młodego wieku chłopak jest bystry i sobie poradzi, a teraz wygląda na to, że zostawił chłopaka bez wsparcia. Jeżeli Dziuba coś spartaczy, Kuźmicz zażąda rachunku od niego, starszego oficera śledczego Antona Staszysa, mówiąc, że skoro to jego protegowany, niech się teraz tłumaczy. Dlatego dzisiaj musi zrobić jak najwięcej, żeby jutro zająć się Bołtienkowem i innymi figurantami ze świata łyżwiarstwa figurowego.

Jeszcze raz spojrzął na zegarek i zadzwonił do Elwiry, niani swoich dzieci.

– Co słyhać? Wszystko w porządku?

Wszystko było, ma się rozumieć, w zupełnym porządku, jak

zawsze.

– Do której może pani zostać?

– Nigdzie się nie śpieszę – odparła niania. – Mogę zostać na noc, jeśli trzeba.

Wspaniale. Drugi telefon – do Lizy.

– Będę wolny o dziewiątej. A ty?

– Przyjedziesz? – z nadzieją zapytała dziewczyna.

– Przyjadę – obiecał Anton.

Nie podobało mu się, że poprosiła, by ją nazywał Lizą, miękkie, śpiewne „Lila” – imię, którym się przedstawiła pół roku temu – brzmiało o wiele przyjemniej. Ale już na pierwszej randce surowo zapowiedziała, żeby nigdy więcej nie nazywał jej Lilą. Tylko Lizą. Anton niechętnie się podporządkował, nie rozumiał powodów prośby. Nie rozumiał wielu rzeczy dotyczących tej ślicznej dziewczyny, z którą ogromnie lubił chodzić do łóżka, ale z którą w ogóle nie miał ochoty się żenić.

===

Arkusz sztywnego kartonu jest już pokryty bezkształtnymi plamami pasteli olejnych, pozostało nanieść ostatnią. Mężczyzna zamyślił się: jaki powinien wybrać kolor? Przyjął założenie, że w obrazie będzie dominować jaskrawe połączenie głębokiej szmaragdowej zieleni z zimnym bladym różem, mniejsze plamy chciał wypełnić innymi kolorami – łagodnymi i delikatnymi, by oddać swój dzisiejszy nastrój. Głęboka zieleń to kolor depresji, a zimny róż obojętności, ale przecież życie nie składa się wyłącznie z czyjegoś smutku i powszechnego odrętwienia, są w nim chwile ciepła, zrozumienia i empatii, mimo że małe, przypadkowe i krótkie. Życie nie jest czarno-białe, tylko barwne, artysta był o tym święcie przekonany.

Przetestowawszy połączenie żółci z czerwienią, uzyskał w końcu delikatny ciepły odcień i pokrył pastelami pusty fragment arkusza. Rzucił okiem na szkic ołówkiem – tak,

wszystko się zgadza, właśnie w tym miejscu u dołu gotowej pracy umieści na wpół rozwinięty kwiatek. Właśnie u dołu, a nie u góry, jako symbol odradzającej się nadziei, w chwili gdy wszystko, jak można by sądzić, spoczęło na samym dnie. Zawsze można upaść. Ale można też się podnieść. Słaby jest nie ten, kto się potknął, ale ten, kto nie znalazł w sobie sił, by wstać i iść dalej.

Teraz cały arkusz jest pokryty barwnymi plamami. Malarz rozpuścił w niedużej ilości wody czarną akrylową farbę, sprawdził, czy nie jest za rzadka, i zamalował nią cały obraz. Pozwolił, by wyschła, i chwycił śrubokręt, by wydrapać kreski, zawijasy, zygzaki... Śrubokręt usuwał czarny akryl i odsłaniał spodnią warstwę pastelów, dzięki czemu wszystkie linie i figury mieniły się kolorami.

Malarz podzielił pokój na dwie części. W jednej jest zwyczajnym moskwianinem, który je, pije, śpi, uprawia seks ze swoją przyjaciółką, czyta książki i ogląda telewizję, siedzi przy komputerze. W drugiej jest twórcą, artystą, jednoosobowym władcą wymyślonego przez siebie świata, składającego się z kolorów i linii. Linie są iście boskie, stanowią połączenie i ucieleśnienie tego, co najwytworniejsze i najpiękniejsze. To wyżyny błyskotliwego i nieosiągalnego mistrzostwa. Stworzyć owe linie mógł tylko jeden człowiek w historii. I tylko jeden mógł je nienagannie odtworzyć.

Mężczyzna pracuje, a w jego głowie rozbrzmiewają słowa: Sądziś, że to przypadek, że ci się nie udało? Sądziś, że potknąłeś się tam, gdzie inni się nie potykają? Wszystko zostało z góry ustalone, podjęto specjalne starania, żebyś się potknął. Sądziś, że zamiana była przypadkowa? Nie, w grę wchodziło czyjeś wyrachowanie. I korzyść. Dlatego stałeś się ofiarą.

Słowa zaczęły rozbrzmiewać już wtedy, gdy dobierał gamę kolorów pastelowych plam. To właśnie słowa za każdym razem odpowiednio go nastrajały, budząc określone emocje i skłaniając do wybrania tego czy innego koloru. Akryl też

wybiera, przysłuchując się temu, co mu w duszy gra. Czasami ma ochotę na niebieską, niekiedy na czerwoną albo zieloną czy żółtą. Dzisiaj wybrał jednak czarną. Prześwitujące spod czarnego tła kolory smutku i obojętności – i przebłyśki nadziei.

Gdy nie ma słów, natchnienie nie przychodzi, linie są niedokładne i niewyraziste, nie pojawia się też poczucie koloru. Za każdym razem, gdy mężczyzna pracuje nad swoimi płótnami, słyszy słowa. Zawsze inne. Wypowiadają je różne głosy – męskie, żeńskie, dziecięce, starcze. Głosy nie brzmią jednakowo, niektóre rozlegają się w zupełnej ciszy, inne na tle jakichś odgłosów czy muzyki, jedne są przytłumione, inne donośne. Natura obdarzyła go wspaniałą pamięcią słuchową. Właśnie z niej czerpie teraz siłę, by oddychać w jednym ze światów i wegetować w drugim.

===

Do późnej nocy Roman Dziuba nie mógł się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia, które pozostawiło po sobie pierwsze spotkanie ze śledczym Bałajewem. Przez cały dzień Uljancew i Dziuba uganiali się za świadkami i dowodami, a gdy już mieli wracać do domu, na komórkę Fiodora zadzwonił śledczy.

– Niech to szlag! – rzucił gniewnie Uljancew, wsuwając telefon do kieszeni. – Przecież zamierzał wziąć wolne za dwudziestoczworogodzinny dyżur! Wczoraj mówił, że skoczy tylko do sędziego po postanowienie o aresztowaniu i na tym koniec! Ale okazuje się, że nie potrafi odpuścić i odpoczywać jak człowiek. Jedziemy!

– Dokąd? – zdziwił się Roman.

– Dokąd, dokąd... Do Bałajewa. Złożyć mu raport z naszych oszałamiających sukcesów.

Po takim wstępie romantyczny i zakochany w swojej pracy Roman Dziuba spodziewał się, że spotka kogoś, kto tak samo jak on jest oddany sprawie i podobnie myśli. Na widok

atletycznie zbudowanego, jasnowłosego mężczyzny koło czterdziestki o miłej twarzy i sympatycznym uśmiechu utwierdził się w swoich przekonaniach. Rozczarowanie było tym większe, im większą zyskiwał pewność, że w gruncie rzeczy Timur Achmedowicz ma w nosie, kto tak naprawdę zabił Michaiła Bołtienkowa. Chodziło mu tylko o to, żeby postawić na swoim. W każdym razie Dziuba odniósł takie wrażenie ze spotkania. Okazało się, że Bagałajew otrzymał postanowienie o aresztowaniu Łamzina i dlatego był bardzo zadowolony, gdy Fiodor Uljancew wspomniał o świadkach gotowych złożyć zeznania potwierdzające, że Łamzin groził śmiercią Bołtienkowowi. A gdy Roman ostrożnie wyraził wątpliwości co do winy Łamzina, śledczy przerwał mu dość obcesowo. Dziuba poczuł się tak, jakby go ktoś smagnął batem, i w jednej chwili stanął dęba.

– Przeszukaliście cztery miejsca plus samochód Łamzina, co daje w sumie pięć przeszukań. I niczego nie znaleźliście! Ani broni, ani rękawiczek, ani ubrania ze śladami cząsteczek prochu. Nie wierzę, że szeregowy trener łyżwiarstwa figurowego może w krótkim czasie wszystko przemyśleć i tak sprytnie pozbyć się dowodów. Nie wierzę i już! Nie mógł wiedzieć, że Bołtienkow przyjedzie do niego porozmawiać, a więc nie mógł niczego wcześniej zaplanować.

– Daj wreszcie spokój z tymi przeszukaniami – wtrącił Uljancew, który całkowicie podzielał stanowisko śledczego. – Skąd wiesz, czy ktoś może albo nie może czegoś wymyślić. Facet mógł przecież wyjść na ulicę, złapać łebka, odjechać z nim dość daleko w ciągu trzech czy czterech minut, w nocy obwodnica jest pusta. Potem wyskoczył na chwilę, wyrzucił wszystko do kosza na śmieci, wsiadł do samochodu i wrócił w to samo miejsce, w którym wsiadł. Dalej puścił się biegiem. Sąsiedzi widzieli przecież, że zgrzany wpadł do budynku.

– No tak. – Roman kiwnął głową. – Ale on przecież nie zaprzecza, że biegł.

Uljanecw ostentacyjnie umilkł i się odwrócił, całym swoim wyglądem dając do zrozumienia, że z takimi upartymi durniami w ogóle nie da się pracować i że to śmieszne, iż na Pietrowce panuje przekonanie, że owi nieopierzeni chłoptasie są zdolni „udzielać pomocy metodycznej”. Fakt, że nieopierzony chłoptaś był zaledwie dwa czy trzy lata młodszy od Fiodora, wcale go nie peszył.

– Słuchaj, Dziuba – ze znużeniem odezwał się Bagłajew – o co ci chodzi? Widzimy te same fakty. Tyle że dla mnie to dowód udziału Łamzina w zabójstwie, a dla ciebie świadectwo jego niewinności. Ale możesz sobie wsadzić w tyłek swoją opinię, bo...

Dziuba hardo popatrzył mu w oczy.

– Tak, wiem, bo pan jest szefem. Jak w amerykańskim filmie.

Bagłajew zerknął na niego z wyrzutem i z dezaprobatą pokręcił głową.

– Nie wiem, jak jest w amerykańskim filmie, ale rosyjski UPK[6], artykuł piętnasty, mówi wyraźnie o tym, że funkcje oskarżenia, obrony i rozstrzygania są oddzielone i nie mogą być wykonywane przez jeden i ten sam organ albo przez tę samą osobę urzędową. Ja realizuję funkcję oskarżenia, ty też, chłopcze. I Fiodor. I wszyscy, którzy wchodzą w skład grupy operacyjno-dochodzeniowej. Nikt z nas nie ma prawa wypełniać funkcji obrony, nawet gdyby tego bardzo chciał, rozumiesz? Więc nie pchaj się do cudzego ogródka i nie podszywaj pod kogoś innego. Szanuj prawo. A jak będziesz działał samowolnie, przypomnę ci, że śledczy to osoba samodzielna i niezależna w postępowaniu. Z tego wniosek, że będzie, jak powiem.

Pod koniec narady roboczej Timur Achmedowicz polecił detektywom poruszyć niebo i ziemię w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie: „Gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach Łamzin zdobył pistolet?”.

– Dowiedziałeś się, czy miał pozwolenie na broń? – zapytał Fiodora.

– Nie miał – bez wahania odparł Uljancew.

– A więc od razu możemy wykluczyć legalną drogę. – Bagłajew skinął głową. – Zajmiemy się nielegalnymi sposobami. Trzeba szukać i przesłuchiwać wszystkich po kolei. Może Łamzin wypytywał tu i tam, gdzie można szybko nabyć nielegalnego gnata.

– Gdybyśmy tak wiedzieli, jakiego właściwie miał gnata – żałośnie jęknął Fiodor. – Jedyne, czego jesteśmy pewni, to że był to kaliber dziewięć milimetrów. A tych dziewięćmilimetrowych jest od groma! Kiedy balistycy dadzą odpowiedź?

Ku radości Dziuby śledczy spojrzał na Uljancewa, jakby mu brakowało piątej klepki.

– Pracujesz pierwszy dzień czy co? Pytasz jak dziecko! Balistycy dadzą odpowiedź najwcześniej za tydzień. Trzeba więc będzie poczekać. Dzwoniłem oczywiście i prosiłem, żeby się uwijali, ale co to da... Jeszcze się nie urodził taki śledczy, który by nie dzwonił do biegłych i nie prosił o pośpiech. Żeby dostać ekspertyzę „ekspresem”, też trzeba czekać w kolejce.

– Ale przynajmniej obiecali? – z nadzieją zapytał Fiodor.

– Obiecali. – Bagłajew się uśmiechnął. – Ale niezbyt solennie. Więc na twoim miejscu nie liczyłbym na szybki wynik.

W drodze do domu Roman analizował w myślach każdą chwilę rozmowy w gabinecie śledczego, odtwarzał w pamięci wszystkie słowa i próbował znaleźć sposób, który pozwoli mu, nie naruszając regulaminu oraz instrukcji służbowych, skierować sprawę zabójstwa na inne tory. Może Timur Achmedowicz z jakiegoś powodu nie zauważa rzeczy oczywistych? Może on, Roman Dziuba, powinien użyć mocniejszych argumentów, znaleźć nowe informacje, które pozwolą ujrzeć sytuację w innym świetle?

Nie, Dziuba nie potrafił nic wskórać. Dlatego że śledczemu Bagłajewowi nie zależało na prowadzeniu śledztwa. Uważał, że sprawca zabójstwa Michaiła Walentinowicza Bałtienkowa został

już ujęty. Potrzebował od wywiadowców tylko jednego: dowodów winy Łamzina, pozwalających zakończyć śledztwo, sporządzić akt oskarżenia i przekazać sprawę do sądu.

Dziuba wiedział, że śledczy nie jest idiotą i doskonale widzi słabość swojego stanowiska. Ale ponieważ podejrzanego zatrzymano, przeprowadzono przeszukania i uzyskano postanowienie o aresztowaniu, Timur Achmedowicz nie miał ochoty się przyznać, że mógł się pomylić. Będzie robił wszystko, by udowodnić, że miał rację. Nie zachowa się bezstronnie. Trzeba coś z tym zrobić.

– Może przyniosę ci coś do jedzenia, Romeczku? – z troską zapytała matka Dziuby, zaglądając do pokoju. – Musisz być przecież głodny.

On jednak był tak wytrącony z równowagi, że odmówił nawet kolacji. Długo jeszcze leżał w zupełnych ciemnościach na kanapie, z rękami pod głową, i wpatrywał się w sufit, po którym przesuwwały się smugi światła przejeżdżających za oknem samochodów. Powinien wziąć prysznic, pościelić łóżko i się położyć. Albo przynajmniej włączyć komputer... Ale mu się nie chciało.

===

Ostatnio ich spotkania zawsze kończyły się ostrą wymianą zdań na temat wzajemnych relacji. Zaczynało się miło i przyjemnie. Anton przyjeżdżał do Lizy, gdy udawało mu się wcześniej wyrwać z pracy, razem jedli kolację albo tylko pili herbatę, później się kochali. Czasami, gdy Elwira mogła zostać z dziećmi, Anton spędzał u Lizy całą noc. Ale rano dziewczyna coraz częściej zaczęła napomykać, że regularne randki powinni zastąpić wspólnym mieszkaniem. Anton świetnie wiedział, co myśli o tym ojciec Lizy, Władisław Nikołajewicz, ale czuł, że chodzi nie tylko o to. A mówiąc szczerze, w ogóle nie o to. O co – nie miał zielonego pojęcia. Coś go jednak powstrzymywało,



niepokoiło i jak gdyby ostrzegało: nie rób tego! Argumenty, które wydawały się Antonowi słuszne i rozsądne, nie przekonywały Lizy. On sam też miał poczucie, że nie są istotne. Od początku do końca. Jakie są więc istotne argumenty? Nie znał odpowiedzi.

Dzisiaj też, słysząc kolejne pytanie Lizy: „Co powiesz na to, żebyśmy się pobrali?” znowu, tak jak poprzednio, odparł:

– Nie powinnaś za mnie wychodzić. Nasz związek nie ma przyszłości.

– Ale ja chcę! – Liza zachmurzyła się i uderzyła piąstką w stół, przy którym pili herbatę. – Chcę zostać twoją żoną! Ty też tego chcesz!

Tego akurat Anton Staszys nie był pewien... Możliwe jednak, że jego wątpliwości są nieuzasadnione, zrodziły się pod wpływem innych okoliczności.

– Twój ojciec nigdy ci na to nie pozwoli!

– No i dobrze! Dlaczego mam go pytać o zgodę? Nie jestem dzieckiem!

– Jesteś gotowa poświęcić relacje z ojcem? – Anton nie potrafił ukryć niedowierzania, a nawet dezaprobaty, co oczywiście nie uszło uwadze Lizy. Jej duże, ciemnoszare oczy rozświetliły się i przybrały zimny wyraz.

Anton wcześniej stracił rodzinę, więc cenił rodzinne relacje i był zdania, że pod żadnym pozorem nie należy ich lekceważyć. Liza wychowywała się w miłości, miała i rodziców, i nową żonę ojca, a później mężów matki, toteż obecność kochających krewnych przyjmowała jako rzecz naturalną i zrozumiałą. Nie ma pojęcia, jak ciężko i samotnie się żyje, gdy tego zabraknie, więc gotowa jest zerwać kontakty z ojcem. A to niedobrze. Poza tym nie wybaczy później Antonowi tego, co zrobiła, i będzie mu to wypominać przy każdej okazji.

– Lizo, zrozum, proszę, że małżeństwo ze mną nie jest dla ciebie. Nie rzucisz przecież kariery i doktoratu, nie zostaniesz gospodynią domową. Potrzebujesz zupełnie innego męża.

Dziewczyna wstała od stołu i podeszła do ściany, krzyżując ręce na piersi.

Zamknęła się, odruchowo zauważył Anton. Nie chce mnie słuchać.

– Co ty powiesz?! Niepokoi cię moja kariera? No to zrób coś, żeby nie ucierpiała. Twierdzisz, że nie możemy być razem, ale nie robisz nic, żeby to było możliwe. Nic a nic!

– Co chcesz, żebyśmy zrobili? – zapytał ze znużeniem.

– Trzymasz się kurczowo swojej pracy. Gdybyś naprawdę chciał się ze mną ożenić, pomyślałbyś o tym, żeby ją zmienić.

Wciąż to samo... W tym momencie Anton zazwyczaj też wstaje, ubiera się, w milczeniu całuje Lizę, mówiąc: „Nie kłóćmy się, kochanie”, po czym wychodzi.

Za każdym razem czuje się później okropnie winny, bo zdaje sobie sprawę, że Liza ma rację, lecz jednocześnie coś nie pozwala mu tego przyznać. Dlatego każdego dnia irytuje się coraz bardziej, nie może sobie znaleźć miejsca, denerwuje się i nie wie, co robi w sytuacji, gdy narzeczony Eli pozałatwia wreszcie swoje sprawy rozwodowe i oficjalnie ureguluje ich relacje, po czym, jak zapewnia, nie pozwoli, żeby żona pracowała jako niania u obcych ludzi. Ma być panią domu i matką ich wspólnych dzieci, no a w tym układzie nie ma miejsca dla Wasylisy i Stiopki. Małżeństwo z mądrą, śliczną, samodzielną i na dodatek kochającą go młodą kobietą jawi się w tym świetle jako jedyne realne i rozsądne rozwiązanie.

Jadąc dobrze oświetloną obwodnicą w kierunku swojej dzielnicy, Anton Staszys nagle stwierdził, że chyba nie ma szczególnej ochoty na małżeństwo z Lizą. Tak, bardzo ją kochał, był nią oczarowany i gdy po raz pierwszy wspomniała o ślubie, z entuzjazmem przyjął jej słowa i nawet budował jakieś obiecujące plany... ale ostatnimi czasy coraz częściej zaczęło mu przychodzić na myśl, że tego nie potrzebuje. A może jednak potrzebuje, lecz czegoś po prostu nie rozumie?

===

Departamenty Głównego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Moskwie mieszczą się, jak wiadomo, nie tylko w dużym eleganckim budynku na Pietrowce 38, ale też w mniej okazałych domach na pobliskich ulicach, w szczególności w zaułkach Kołobowskich. Właśnie tam, w Drugim Kołobowskim, Roman Dziuba natknął się na Nadieżdę Igoriewnę Ryżenko, śledczą, z którą nieraz pracował. Przez pewien czas był nawet zakochany w jej córce, Lenie, która nie zwracała najmniejszej uwagi na pechowego kawalera.

– Romek! – zawołała ucieszona Ryżenko. – Dawno cię nie widziałam! Jak ci się wiedzie w nowym miejscu? Jesteś zadowolony, że się przeniosłeś?

– Na razie wszystko wskazuje, że tak. – Dziuba uśmiechnął się w odpowiedzi.

– A czemu do nas nie zagładasz? Zresztą zdaje się, że z Lenką już koniec? Miłość bezpowrotnie minęła, tak?

Dziuba się zmieszał. Rzeczywiście jego uczucie do Leny Ryżenko się wypaliło, w dodatku nagle, w ciągu dosłownie paru minut. Od tamtej pory przestał wykorzystywać byle pretekst, by wpadać do niej do domu.

– Nie czerwień się. – Nadieżda Igoriewna się roześmiała. – Wszystko w porządku, nic ci po takiej trzpiotce jak moja Lenka. Twardo stąpasz po ziemi i potrzebujesz zupełnie innej dziewczyny, tak samo rozsądnej jak ty.

Potrzebuję Duni, stwierdził w duchu Roman, nawet nie zauważając, że na myśl o niej bezwiednie się uśmiecha. Tylko z nią jest mi dobrze. Tylko ona dobrze mnie rozumie. Rzeczoznawczyni w lombardzie, bez wyższego wykształcenia, z prostej rodziny nie podoba się mojej mamie, Lena Ryżenko na pewno by się jej spodobała. Mimo to ożenię się z Dunią.

– Więc nie gniewa się pani na mnie? – naiwnie, niemal jak dziecko, zapytał Roman.

– Cieszę się, że ci się układa, głuptasie! Z moją Lenką napytałbyś sobie biedy.

Dziuba nagle podjął decyzję. Wiedział, że zamierza postąpić niezgodnie z regulaminem i nikt go za to nie pogłaszczę po głowie. Ale po wczorajszym spotkaniu z Bagłajewem wstąpił w niego duch przekory. Młody wywiadowca nie potrafił go poskromić.

– Nadieżdo Igoriewno, chciałbym zasięgnąć pani rady.

– Bardzo proszę – odparła. – Tylko szybko, bo jestem spóźniona.

– Nie, szybko się nie da. – Dziuba pokręcił głową. – Sprawa nie jest prosta...

– W takim razie wpadnij do mnie dziś wieczorem po ósmej, dobrze? Nie bój się, Lenki nie będzie, wyjechała z przyjaciółmi na dwa dni.

Po co mi to? – ze zdziwieniem pomyślał Dziuba, pożegnawszy się z Ryzenko. Dureń! Dostanę za swoje. Ale nie potrafię inaczej.

===

– Ty dokąd? – z niezadowoleniem zapytał Władisław Nikołajewicz Stasow, gdy Anastazja Kamieńska, zdawszy raport z wykonanej pracy, ruszyła ku drzwiom. – Mam dla ciebie nowe zadanie.

Nastia odwróciła się ku niemu z obojętną miną.

– Nie za dużo czasem tych zadań? Mogę oczywiście zmienić plany i nigdzie nie jechać, tylko żebyś później nie gderał.

Na twarzy Władysława Nikołajewicza odmalowały się kolejno zdziwienie, niezadowolenie, sarkazm i dopiero na końcu to, na co liczyła Kamieńska – radość.

– Spotykasz się z Lilką? Chwała Bogu! Już myślałem, że zamierzasz zignorować moją prośbę.

– Kto by się ośmielił cię zignorować? – Nastia się uśmiechnęła.

– Twoja córka zrobiła się strasznie poważna, cały dzień ma rozplanowany co do minuty, trudno się z nią umówić. Wyznaczyła mi czterdzieści minut przeznaczonych na drogę z Instytutu Państwa i Prawa na Znamienie do mieszkania jej opiekuna naukowego w okolicach Prospektu Kutuzowskiego. Będę więc musiała popracować dzisiaj jako osobisty kierowca twojej księżniczki.

Władisław Nikołajewicz zmieszał się i opuścił wzrok. Całkiem słusznie uważał, że ponosi odpowiedzialność za wychowanie córki.

– Chciałem ci jeszcze powiedzieć, Asiu... Tylko nie uduś mnie od razu, dobrze? Ona nie chce, żeby ją nazywać Lilą, tak jak w dzieciństwie.

– Naprawdę?! – Zdumiona Nastia zatrzymała się w pół kroku i nawet położyła torbę na biurku. – No to jak mam do niej mówić? Jelizawieto Władisławowno?

– Chce, żeby ją nazywać Lizą.

– To ciekawe! Przez całe życie była Lilą, a teraz coś się zmieniło?

– Przestań mnie dręczyć, Aśka, na miłość boską! – jęknął Stasow. – Przykro mi, że muszę się tobą wyręczać. Nie wiem, co mam z nią zrobić. Całkiem przestała mnie słuchać. Jak zaczniesz nazywać ją Lilą, może stanąć okoniem.

– Dobrze – z westchnieniem odparła Nastia. – Niech będzie Liza.

Lila, a raczej Liza Stasowa, którą Nastia Kamińska pamiętała jako poważną, ale bardzo miłą i skora do uśmiechu dziewczynkę, była teraz dorosłą młodą kobietą, jeszcze poważniejszą. W każdym razie gdy Nastia podjechała pod willę, w której mieścił się Instytut Państwa i Prawa, i zobaczyła stojącą przed wejściem córkę Stasowa, jej twarz była surowa i pełna skupienia. Chwilę później rozjaśniła się jednak w ujmującym uśmiechu.

Władik ma rację, pomyślała Nastia. Każdy może się w niej

zakochać.

Lila zdecydowanym krokiem podeszła do samochodu i zajęła przednie siedzenie obok Nasti.

– Muszę się dostać na Kutuzowski, w okolice Łuku Triumfalnego – powiedziała rzeczowo. – Tam pokażę, jak dalej jechać.

– Tak jest, pani generał. – Anastazja uśmiechnęła się w odpowiedzi. – A może najpierw się przywitamy?

– Nie łap mnie za słówka, ciociu Nastiu – surowo odparła Lila.  
– Dzisiaj już się witałyśmy przez telefon. Przejdźmy do rzeczy, dobrze? Tata cię przysłał? Chodzi o Antona?

– Zgadza się. – Nastia westchnęła. – A ponieważ znam twój tatę od dawna, kocham jak przyjaciela i szanuję jako starszego kolegę w pracy, nie mogę mu odmówić. Więc powiem ci wszystko, co moim zdaniem powinnam powiedzieć, ty w milczeniu mnie wysłuchasz, dowiozę cię na miejsce i rozstaniemy się ku obopólnemu zadowoleniu. Umowa stoi?

– Co to, to nie! – prychnęła dziewczyna. – Jeśli uznam, że nie masz racji, nie będę milczeć, nawet na to nie licz.

Wszystko jasne. Charakterek, co się zowie, duża pewność siebie, a przy tym całkowity brak umiejętności poszukiwania porozumienia i pójścia na rozsądny kompromis. Tak, żona Stasowa, Tatiana, chyba się nie myli, twierdząc, że Liza powinna znaleźć się w sytuacji, która choć trochę ją otrzeźwi.

– Dobrze – Nastia potakująco kiwnęła głową – jeśli będziesz innego zdania, mów śmiało, przedyskutujemy twoje argumenty. Nie zamierzam cię przekonywać albo namawiać, chcę jedynie zrozumieć twoje stanowisko. Możliwe, że to akurat ty masz rację, a nie twój ojciec. Przekonaj mnie, a wtedy będę mogła wziąć cię w obronę. Sytuacja wygląda następująco: Anton jest ojcem dwojga małych dzieci, wykonuje niełatwą pracę, która nie pozwala mu swobodnie dysponować czasem ani czegokolwiek planować, na przykład urlopu czy dni wolnych. Potrzebuje niani do dzieci, teraz ją ma, ale wkrótce to się

zmieni. Nie będzie go stać na opłacenie innej opiekunki. Tak, Anton to porządny i rozsądny facet, nie ożeni się z pierwszą lepszą dziewczyną tylko po to, żeby zdobyć bezpłatną nianię dla dzieci. Ożeni się jedynie z miłości, to oczywiste. Ale co będzie, gdy ożeni się z tobą? Jak sobie wyobrażasz wasze wspólne życie? Powiedz mi, a postaram się przekonać twojego ojca, że to ma sens i jest możliwe.

Lila milczała przez chwilę, po czym oświadczyła:

– Anton jest egoistą. Owszem, ma problem, nie przeczę, ale można go łatwo rozwiązać. On sam nie robi jednak nic, czeka, aż go inni wyręcą.

– Naprawdę? – Nastia nie potrafiła ukryć zdziwienia. – No to jak można rozwiązać ten problem?

– To proste. – Lila wzruszyła ramionami. – Anton chce pracować tylko tam, gdzie mu się podoba. Jest skończonym egoistą, nie chce zmienić pracy dla dobra dzieci i robić tego, co go nie interesuje, ale za niezłe pieniądze. Niech zmieni pracę i zatrudni się tam, gdzie dostanie tyle, że wystarczy na nianię. Oto i całe rozwiązanie.

– Ciekawe – wycedziła Nastia z ironią. – I gdzie twoim zdaniem powinien się zatrudnić?

– Jak to gdzie? Prawnicy są wszędzie potrzebni i bardzo dobrze zarabiają.

Jasne. Młoda dziewczyna nasłuchiwała się bredni i naczytała głupstw w Internecie.

– Kochana Lizo, nie chcę cię martwić, ale życie wszyscy iluzjami, jeśli chodzi o to, gdzie i jak można zarobić pieniądze. Uważasz, że prawnicy są wszędzie potrzebni? To mit, moja droga. Dobrze opłacani są specjaliści w dziedzinie prawa podatkowego, a także cywiliści, ci, co mają do czynienia z Sądem Arbitrażowym, z prawnymi regulacjami problemów własności. Anton nic nie wie na ten temat, ma wąską specjalizację: prawo i postępowanie karne, działalność operacyjno-wywiadowcza, taktyka kryminalistyczna. Nie zna się

nawet na technice kryminalistycznej. Kto go zechce?

– Chwileczkę, ciciu Nastiu! A co z adwokaturą? Niech zostanie adwokatem i zajmie się sprawami karnymi, tam można normalnie zarabiać.

Chryste Panie! Nastia Kamieńska ciężko westchnęła. Czego ich tam uczą na studiach? Chyba wyłącznie przepisów prawa, na pewno nie tego, jak je stosować w praktyce. Uczelnie wypuszczają takie oto prymuski, które piszą doktoraty, zdobywają kolejne stopnie naukowe, a później same zaczynają wykładać i uczyć studentów. Czego? Wiadomo. Tego, czego się same nauczyły. Jeśli dodać do tego fakt, że podczas nauki studenci czasami oglądają też seriale telewizyjne, nic dziwnego, że mają w głowach groch z kapustą. Trzeba będzie wyłożyć dziewczynie wszystko od podstaw.

– Jesteś pewna? – zapytała cierpko. – Pracowałaś w ogóle w tej branży? Żeby dobrze i uczciwie zarabiać, adwokat musi mieć spore doświadczenie. Nowicjusze nie zostaną gwiazdami palestry, możesz mi wierzyć. Nowicjusz, na dodatek z policji, będzie wykorzystywany w ściśle określony sposób, bo na razie nic więcej nie potrafi, ma za to dużo pożytecznych znajomości i musi zarabiać na chleb. Czy ty, lada dzień doktor nauk, wiesz na przykład, co powinien zrobić adwokat, gdy zamierza złożyć wniosek do śledczego o przesłuchanie nowego świadka, a nie może dostać się do budynku komitetu śledczego, bo go tam nie wpuszczają? Śledczy zaś nie odbiera telefonów. Albo mówi, że jest poza biurem i dzisiaj już nie wróci.

– Na dole jest skrzynka na wnioski – szybko odparła Lila. – Właśnie na takie okazje.

– Słusznie. – Nastia skinęła głową z uśmiechem. – Adwokat wrzuca wniosek do skrzynki, a później się okazuje, że pismo nie wpłynęło do sekretariatu i śledczy go nie otrzymał. Świadka nie przesłuchano. I nie można wysłuchać jego zeznań w sądzie, skoro nie figurują w materiałach postępowania przygotowawczego. Co powinien zrobić adwokat, żeby tak się



nie stało?

Lila milczała zachmurzona.

– No właśnie – skonstatowała Nastia. – Nie wiesz. Żaden początkujący adwokat tego nie wie. Wiedza przychodzi wraz z doświadczeniem. Tego, kto jeszcze nie ma doświadczenia, wykorzystuje się nieco inaczej. Czyżbyś chciała, żeby Anton zarabiał pieniądze, przyjmując „napiwki w kopertach”? Teoretycznie rzecz biorąc, mógłby na to przystać i zapomnieć o swojej uczciwości, ale nie ma prawa postępować w ten sposób, bo to się wiąże z ogromnym ryzykiem. Co zrobi, jeśli zostanie przyłapany na gorącym uczynku i trafi za kratki? Co się stanie z dziećmi? O tym też musi przecież pomyśleć.

Lila siedziała zaszępiła, przygryzając dolną wargę.

– Może się zatrudnić w agencji ochroniarskiej – wybąkała wreszcie. – Tam też nieźle płacą, w każdym razie więcej niż w policji, wystarczy na nianię. Anton jest w doskonałej formie.

Cóż za mądre rozwiązanie! Godne przedszkolaka!

– Jeżeli zatrudni się w ochronie, wykorzystując walory fizyczne i umiejętność strzelania, podejmie takie samo ryzyko, do którego nie ma prawa jako samotny ojciec – cierpliwie tłumaczyła Nastia.

Właściwie to bardzo dziwne, dlaczego Stasow sam nie powiedział tego córce... Pewnie uciekał się do argumentów, które przytaczał w rozmowie z Nastią: kariera, dzieci, zazdrość i tak dalej. No tak, wszystko się zgadza, w dyskusjach z ojcem Lila zawsze broniła ukochanego, przecież chce za niego wyjść, więc za wszelką cenę pragnie udowodnić, że nie ma nikogo lepszego. Dlatego nie mogła powiedzieć ojcu, że uważa Antona za egoistę. Nie poruszyła tego tematu.

– Można by pomyśleć, że praca detektywa wiąże się z mniejszym ryzykiem – złośliwie zauważyła Lila. – To przecież to samo, tylko za mniejsze pieniądze.

No cóż, święta racja. Ale nie do końca.

– Owszem – przyznała Nastia. – Ryzyko istnieje, i to niemałe.

Ale Anton zajmuje się tym, na czym się zna, co lubi i co mu sprawia przyjemność. A z pracy ochroniarza nie będzie czerpał żadnej przyjemności. Wyczuwasz różnicę?

Lila znowu umilkła, jej kształtny profil wyglądał tak, jakby go wyciosano z kamienia. Widocznie czas dialogu się skończył, nadeszła pora monologu. Szkoda, że dziewczyna nie jest gotowa do konstruktywnej dyskusji. To znaczy, że trzeba będzie dotknąć ją do żywego. Och, gdyby dało się tego uniknąć!

– Powiem ci, Lilu, coś jeszcze, choć pewnie uznasz to za przykre i niesprawiedliwe. Nie upieram się, że mam rację. Proponuję tylko, żebyś w wolnej chwili przemyślała moje słowa. Zgoda?

– Zgoda. – Dziewczyna ponuro skinęła głową.

– Kochasz Antona i chcesz za niego wyjść. Ale on nie może się z tobą ożenić, bo nie ma prawa zniszczyć ci życia i kariery, a to jest nieuniknione, wzięwszy pod uwagę jego możliwości finansowe oraz brak niani i krewnych, którzy mogliby pomóc przy dzieciach. Na razie wszystko się zgadza?

– Powiedzmy – ostrożnie odparła Lila, która zbyt długo znała Anastazję Kamińską, ciocię Nastię, żeby stracić czujność i nie spodziewać się podstępów z jej strony.

– Uważasz, że Anton powinien rzucić pracę i zająć się czymś innym, bardziej dochodowym. Wtedy bez szkody dla własnej kariery będziesz mogła zostać jego żoną, na czym ci bardzo zależy. No więc, moja kochana Lizo, nie sądzisz, że to nie Anton, lecz ty próbujesz rozwiązać problem cudzym kosztem?

Lila milczała, ale Nastia, kątem oka obserwując jej minę, zauważyła, że dziewczyna gorączkowo szuka kontrargumentów. Nie zamierzała się poddać. Ale nie miała też ochoty przyznać racji cioci Nastii. Krnąbrna. Pewna siebie. Ale za to odważna, walczy do upadłego, a to dobra cecha.

– Nie, wcale tak nie sądzę – odparła twardo.

– Udowodnij – wesoło zaproponowała Nastia. – Żądasz od Antona pewnych ustępstw. Dobrze. A w czym sama zamierzasz

ustąpić? On poświęci dla ciebie swój zawód, a ty?

Ta uwaga chyba zaskoczyła Lilę.

– Tutaj na prawo, przy znaku – powiedziała, udając, że uważnie studiuje numery domów. – Jesteśmy prawie na miejscu. Jeszcze jakieś dwieście metrów... O, to tamten dom z zielonymi balkonami.

Nastia zatrzymała się przed wejściem.

– Przykro mi, że cię zdenerwowałam, kochana Lizo, ale na pożegnanie chcę ci zadać jeszcze jedno pytanie. Raczej niezbyt przyjemne. Nie potrzebuję odpowiedzi. Odpowiedź przyda się tobie. Zapytam, a ty się zastanów. Jesteś gotowa?

Lila, już z ręką na klamce, spojrzała na Nastię ze zdziwieniem i odparła zaniepokojona:

– Powiedzmy, że tak. Co jest tak straszne, że powinnam się do tego przygotować?

Nastia uśmiechnęła się w duchu, usiłując zachować powagę.

– Jesteś pewna, że Anton pragnie się z tobą ożenić?

Było to uderzenie poniżej pasa. Przez krótką chwilę poczuła się niezręcznie. Twarz Lili wykrzywił grymas bólu i nienawiści. No proszę, Nastia przysporzyła sobie jeszcze jednego wroga, i to nie byle jakiego, nie bezczelnego aferzystę albo skończonego łajdaka, tylko młodą dziewczynę, naiwną i niedoświadczoną, nieznającą jeszcze prawdziwego bólu, który prędzej czy później przyniesie życie osobiste. Nie, Anastazja Kamieńska nie nadaje się na mentorkę młodzieży, to pewne! Nie radzi sobie z osiemnastoletnim bratankiem, nie dogadała się też z dwudziestosześcioletnią Lilą, nie potrafiła znaleźć wspólnego języka i odpowiednich słów. Zraniła dziewczynę.

Lili Stasowej wyraźnie brakowało doświadczenia życiowego, ale hartu ducha można jej było pozazdrościć. Powoli wysiadła z samochodu, wyprostowała się dumnie i zanim zatrzasnęła drzwi, głośno i dobitnie powiedziała:

– Jestem tego pewna. Anton mnie kocha i chce się ze mną ożenić. I się ożeni. Obiecuję.

Odwróciła się i ruszyła w stronę domu. Nastia odprowadziła ją wzrokiem, myśląc z kpina, że zawiodła Stasowa na całej linii. Trudno, nie pierwszy raz. Po rozmowie z Lilą straciła oczywiście humor, ale przynajmniej nie musi wracać już dzisiaj do biura, może pojechać na strzelnicę i odreagować przykrą rozmowę. Nastia Kamieńska zawsze lubiła strzelać, ale póki pracowała na pełnym etacie, nie miała czasu na systematyczne zajęcia. Podczas corocznych zaliczeń na służbowej strzelnicy osiągała wyróżniające wyniki, ale zawsze miała ochotę na więcej. Teraz, po przejściu na emeryturę, wreszcie pojawiła się okazja. Strzelnic było dużo, a ona miała sporo wolnego czasu.

===

Olga Witort jechała do Ałły Władimirowny Tomasziewicz, zerkając po drodze na mijane sklepy i zastanawiając się, jak sprawić przyjemność aktorce. To mógł być jakiś drobiazg: ciastko z ulubionej cukierni, nowy numer czasopisma z udzielonym przez nią wywiadem i z jej zdjęciem na okładce czy też album ukochanego wykonawcy, którego piosenek lubiła słuchać jeszcze w młodości. Olga pragnęła sprawić Alle choćby niewielką radość!

Zatrzymała się przy drogim sieciowym supermarkecie, znanym ze świeżego ciasta francuskiego, szybko kupiła croissanty z czekoladą, wróciła do auta i położyła torbę na siedzeniu pasażera, obok zawiniętego w papier i przewiązanego sznurkiem obrazu w ramie. Sama oddała płótno do oprawy, dzisiaj je odebrała i wiezie dla Ałły Władimirowny. Szkoda, że tak niewiele może dla niej zrobić! Gotowa jest przenosić góry i dokonywać tego, co niemożliwe dla Wielkiej Aktorki, a musi zadowalać się takimi głupstwami jak oprawa i transport obrazów. I wcale nie chodzi o to, że Olga czegoś nie potrafi, tylko o to, że Alle Tomasziewicz niewiele potrzeba... A ściśle mówiąc, niewiele z tego, na co Olgę naprawdę stać. Tego, czego

Ała Władimirowna naprawdę potrzebuje, Lara Croft nie może jej dać. Nikt zresztą nie może. Nie sposób zwrócić aktorce tego, co straciła.

Ała Tomasziewicz jest starsza od Olgi o ponad dwadzieścia lat, co sprawia, że młoda kobieta, wczesnie osierocona, przeniosła na nią swoje niespełnione uczucia do rodziców. Nigdy nie doczeka się w zamian miłości macierzyńskiej... Ale czy to ważne? Pragnie tylko jednego: służyć swojej bogini, czuć, że jest jej potrzebna i przydatna, ułatwiać życie, jak tylko się da, nawet gdyby chodziło o drobiazgi. Alle podobają się te obrazy, więc Olga chętnie je kupuje, jeździ po nie, oddaje do oprawy, wiesza na ścianach. Niedługo w przestronnym mieszkaniu artystki nie będzie skrawka wolnego miejsca. Ale owe dzieła sztuki, zdaniem Olgi monotematyczne, znaczą dla Ały bardzo wiele, więc będzie je kupować i przywozić. Ała za każdym razem chce jej oddać pieniądze, ale ona kategorycznie odmawia. I za każdym razem się dziwi: czy tak trudno zrozumieć, że czuje się szczęśliwa, gdy może zrobić jakąś przysługę albo coś podarować? To przecież takie proste i oczywiste!

Zresztą sama Olga Witort też chyba nie rozumie wielu rzeczy. Jej zdaniem każdy powinien stawiać sobie cele, których osiągnięcie daje poczucie sukcesu. Z tego punktu widzenia malarzowi, autorowi obrazów, powinno zależeć na rozgłosie, wystawach, zdobyciu uznania i sprzedaży prac. A tymczasem... niczego nie potrzebuje, niczego nie chce, sprzedaje obrazy całkiem niedrogo i ma tylko jedną prośbę: „Nikt nie powinien się dowiedzieć. To mój warunek”. Dlaczego?

===

Gdy Anton wszedł do biura, Roman Dziuba, klnąc na czym świat stoi, wyjmował z drukarki kolejną kartkę.

– Pomógłbyś mi, Tocha, bo ugrzązłem na amen – jęknął

żałośnie. – Wszystko, co znajduję, kładę na twoim biurku, przynajmniej rzuć okiem, dobrze?

Anton kiwnął głową i sięgnął po gruby plik kartek. Szukanie broni, gdy wiadomo tylko tyle, że wystrzelono z niej dziewięciomilimetrowy nabój, to zadanie radosne i produktywne. Polecenie śledczego, żeby szukać broni, która przepadła jak kamień w wodę, oznaczało jedno: należy starannie przeczesywać dostępne bazy danych, usiłując znaleźć albo niewyjaśnione przypadki kradzieży podobnego pistoletu, albo takie same niewyjaśnione przestępstwa, podczas których użyto pistoletu wzmiankowanego typu. Łatwo sobie wyobrazić, ile takich przypadków figuruje w bazach danych, biorąc pod uwagę obecny stopień wykrywalności... Praca jest nużąca, ale absolutnie niezbędna, niestety nie ma innego wyjścia, póki balistycy nie przedstawią ekspertyzy. Dziewięciomilimetrowy nabój pasuje nie tylko do pistoletu Makarowa, ale też do wielu innych typów broni palnej. Trzeba znaleźć wszystkie wzmianki o przestępstwach, w których użyto owych różnych broni, przejrzeć je, przemyśleć i przeanalizować, zestawiając z okolicznościami zabójstwa trenera Bołtjenkowa.

Anton usiłował się skoncentrować na informacjach, które Roman już znalazł i wydrukował, ale praca mu nie szła: nie mógł pozbyć się myśli o działce na Rublowce. Rano zdążył się spotkać ze śledczym, który wszczął postępowanie karne, a po otrzymaniu analizy techniczno-pożarowej umorzył je z uwagi na brak śladów przestępstwa. Przyczyną pożaru była niesprawna instalacja elektryczna. Nikt nie jest winien. Anton zapytał oczywiście śledczego, czy rozpatrywano hipotezę dotyczącą umyślnego zabójstwa dziewczyny nazwiskiem Żurichina, która zginęła w pożarze.

– Co ty pleciesz? – zdziwił się śledczy. – To wina instalacji, wszystko jest tam czyste, sprawdzaliśmy ze sto razy. Nie dowierzasz ekspertyzom? Nawiasem mówiąc, przypominam ci, że ekspertyzę zrobiono u was na Pietrowce. Zresztą sąsiedzi,

których przesłuchiwaaliśmy, zeznali, że Makłyginowie wciąż narzekali na prąd, mówili, że korki wyskakują i coś tam jeszcze, a właściciel niczego nie potrafił naprawić, w głowie miał tylko naukę i chodził nieprzytomny, jak nie z tego świata. No a ofiara, Żurichina, nikomu nie wadziła, pochodzi z innego miasta, przyjechała w przeddzień, nikogo tutaj nie знаła. Jakich mogła mieć wrogów?

Brzmiało to przekonująco, Anton nie miał żadnych podstaw, żeby wątpić w rzetelność dochodzenia. Musi pozbyć się myśli o spalonym domu na Rublowce i zająć się nowym zabójstwem...

Dziuba wciąż zerkał na zegarek, a parę minut po ósmej powiedział:

– Pójdę już, Tocha, dobrze? Muszę koniecznie...

Anton roześmiał się, mimo że był zmęczony.

– Znam te twoje „muszę”! Pewnie pobiegiesz do swojej rzeczoznawczynie?

O romansie Dziuby z Dunią, pracującą w jednym z moskiewskich lombardów, było wiadomo od dawna. Anton nie miał najmniejszej ochoty ślęczyć nad plikiem kartek, ale przypomniał sobie Lizę i umilkł. Życie osobiste wymaga czasu i poświęcenia, w końcu jakkolwiek patrzeć, człowiek jest na nie skazany.

Smutnym wzrokiem odprowadził Romka do drzwi, po czym znowu pogrążył się w gąszczu informacji.

===

Za pięć dziewiąta Dziuba stał przed domem, w którym mieszkała Nadieżda Igoriewna Ryzenko, całkiem rozsądnie uznawszy, że skoro śledcza powiedziała, by przyszedł po ósmej, to znaczy, że o tej porze planuje wrócić z pracy. Trzeba więc dać jej co najmniej godzinę, żeby się przebrała i zjadła kolację. Dobrze, że nie będzie Lenki... Zresztą co za różnica? Już od pół roku Lena Ryzenko właściwie dla niego nie istnieje. I tak go nie

zauważała.

Roman nacisnął guzik domofonu i drgnął zaskoczony, słysząc jowialny męski głos:

– Wejdz, miły druhu!

Zaraz potem się domyślił, że głos należy do Witalija Kirgana, adwokata, niedoszłego męża Nadieżdy Igoriewny. Kirgan został jej narzeczonym w czasie, gdy Roman poznał Dunię, ściśle mówiąc, w listopadzie ubiegłego roku, wtedy to właśnie adwokat poprosił Nadieżdę Igoriewnę o rękę. Ryzenko w pierwszym odruchu się zgodziła, ale później zmieniła decyzję i poprosiła o rok zwłoki, obiecując wrócić do sprawy ewentualnego małżeństwa. Śledcza i adwokat nadal byli w zażyłych stosunkach, ale z jakiegoś powodu Nadieżda Igoriewna nie chciała zalegalizować ich związku.

Wjeżdżając windą, Dziuba już żałował swojej pochopnej decyzji, żeby zwrócić się z prośbą o pomoc do Ryzenko. Po co on się do niej pcha, w chwili gdy jest u niej kochanek, o mały włos mąż? Pewnie chcą być razem, porozmawiać, no i w ogóle... A tutaj on ze swoimi problemami. Z drugiej strony Nadieżda Igoriewna sama zaproponowała, żeby przyjechał wieczorem. Gdyby chciała spędzić czas tylko w towarzystwie Kirgana, wyznaczyłaby inne miejsce spotkania albo by odmówiła.

Gdy tylko Ryzenko otworzyła drzwi, Roman od razu poczuł zapach szarlotki. Nerwowo przełknął ślinę i zaczerwienił się zmieszany.

– Głodny? – życzliwie zapytała Ryzenko. – Zaraz zrobię herbatę, akurat upiekłam ciasto. Idź do pokoju.

W długiej, prostej domowej sukience, z rozpuszczonymi włosami bardzo przypominała swoją córkę, a w przytłumionym świetle kinkietu wcale nie było widać, że jest od niej starsza.

Witalij Kirgan siedział przy nakrytym stole i wesoło się uśmiechał. W drogim dresie i w kapciach wyglądał jak gościnny pan domu.

No i dlaczego Nadieżda nie chce za niego wyjść? – przemknęło



Dziubie przez głowę. Przecież Witalij i tak tutaj mieszka, o proszę, przywiózł sobie kapcie, ma też dres, w który się przebiera. Kto by tam zrozumiał kobiety...

– A oto i młody rywal – głośno oznajmił adwokat, z kpina popatrując na Romana. – No, no, spryciara z ciebie, nadzieźdo! Do twojego grafiku odwiedzin wkradł się jednak błąd, bo zaprosiłaś nas obu w tym samym czasie. Jestem dobrze wychowany, więc nie stanę na drodze waszej namiętności, może pan zostać, łaskawco, ja się wyniosę. Nic tu po starym grzybie, prawda, nadzieźdo?

– Zgadza się. – Ryżenko weszła do pokoju z talerzem szarlotki, którą niedawno wyjęła z piekarnika. – Po co miałbyś tutaj sterczeć? Idź sobie pospacerować, a my z Romeczkiem napijemy się tymczasem herbaty i pogawędzimy o uczuciach. Bo przecież o nich masz zamiar rozmawiać, prawda, Romek?

Dziuba się zmieszał. Znał i śledczą, i adwokata grubo ponad dwa lata, ale do tej pory nie mógł przywyknąć do ich oryginalnego sposobu prowadzenia rozmowy. Wciąż miał wrażenie, że para lada chwila się pokłóci.

– No... – mruknął niewyraźnie, zastanawiając się, co powinien odpowiedzieć, żeby nie zaognić sytuacji.

– Co to znaczy „no”? – Ryżenko uniosła brwi. – Czyżbyś nie chciał rozmawiać o swoim życiu osobistym? Wobec tego o czym? Sądziłam, że zamierzasz zasięgnąć porady w sprawach damsko-męskich.

I znowu Dziuba nie wiedział, czy śledcza mówi poważnie, czy żartuje.

– Siadaj, Romek, siadaj. – Kirgan gestem pokazał krzesło. – Przyzwoici ludzie nie jedzą szarlotki na stojąco.

Podczas gdy nadzieźda Igoriewna nalewała herbatę, adwokat szybkimi, precyzyjnymi ruchami ostrego noża pokroił okrągłą szarlotkę na porcje. Dziuba z podziwem obserwował, jak Kirgan operuje ogromnym nożem.

– Zręcznie panu idzie, Witaliju Nikołajewiczu – powiedział

z zazdrością. – Moja mama zawsze powtarza, że mam dwie lewe ręce do pracy w kuchni i wszystko, co tam stworzę, nadaje się tylko do muzeum brzydoty. Nasza rodzina nigdy nie zostanie bez kawałka chleba, bo przed wejściem będą się ustawiały kolejki jak do Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud.

Wywiadowca szybko zjadł jeszcze gorący kawałek szarlotki i przystąpił do relacjonowania „sprawy trenera”. Przedstawił też swoje wątpliwości co do winy zatrzymanego oraz stanowisko śledczego, twardo trzymającego się linii oskarżenia.

– Bagłajew? – w zamyśleniu powtórzyła Nadieżda Igoriewna. – Poznałam go. Jest bardzo uparty i ambitny, ma opinię człowieka, który ani razu w całej swojej karierze nie wydał nieuzasadnionego postanowienia o zatrzymaniu albo przeszukaniu, więc to oczywiste, że bardzo się boi, by nie utracić swojej reputacji. Prędzej trupem padnie, niż przyzna, że nie ma racji. Ale całkiem możliwe, że się nie myli. Jakie masz jeszcze powody, żeby w to wątpić, prócz tych, o których wspomniałeś?

– Widziałem ludzi, którzy wierzą w Łamzina, zarówno łyżwiarzy, jak i ich rodziców – niepewnie odrzekł Roman.

– No i co z tego? – z ironią zapytał Kirgan. – W porządku, widziałeś ich. Czyżby należeli do jakiejś szczególnej kategorii ludzi, na których wystarczy tylko popatrzeć, żeby wiedzieć, że zawsze mają rację i nigdy się nie mylą?

– Ależ nie... właściwie nie wiem... – Dziuba na dobre stracił rezon i posłał błagalne spojrzenie Nadieżdzie Igoriewnie, która, jak mu się zdawało, słuchała go ze współczuciem i zrozumieniem. Nie to co Kirgan z jego ciągłym sarkazmem i nieufnością do wszystkich i wszystkiego.... – Uwierzyłem im nagle, w jednej chwili. Takie rzeczy się przecież zdarzają?

Ryzenko roześmiała się.

– Oczywiście, że się zdarzają. Ze sto razy miałam z tym do czynienia. Witalij Nikołajewicz też. Ale w sądzie to żaden argument.

– A co jest argumentem?

– Sam przecież wiesz, Romek. – Ryżenko dołała mu herbaty. – Szukaj. Jak znajdziesz, będziesz miał szczęście, a jak nie – pecha.

– Ale jak mam to robić, skoro śledczy każe mi szukać dowodów winy Łamzina? I wciąż wyciera sobie gębę kodeksem, cytuje artykuły, że niby nie mam prawa zajmować się szukaniem dowodów służących obronie, państwo nakazuje mi zajmować się wyłącznie oskarżeniem. Muszę przecież złożyć raport, kiedy miałbym... I w ogóle...

Nadieżda Igoriewna była poważna, ale z twarzy Witalija Kirgana nie schodził uśmiech. Wyglądało na to, że słucha wywiadowcy i zachodzi w głowę, jak można, pracując któryś rok z kolei w wydziale kryminalnym, być tak naiwnym i romantycznym i wierzyć w triumf sprawiedliwości oraz dobroć i przyzwoitość ludzi.

– Niech się tym zajmie adwokat – zauważył. – To nie twoje zadanie, Romeczku. Ty masz wykonywać polecenia śledczego i szukać tego, kto zabił. Udowodnienie niewinności tego, kto nie zabił, należy do adwokata. No więc szukaj prawdziwego sprawcy, skoro nie wierzysz, że to robota twojego Łamzina. Tymczasem adwokat zadba o to, żeby nie skazano niewinnej osoby. Nawiasem mówiąc, kto jest adwokatem Łamzina?

– Nie wiem... To znaczy w chwili zatrzymania i podczas pierwszych przesłuchań był chyba jakiś adwokat z urzędu... A może pan weźmie tę sprawę? – z nadzieją zapytał Dziuba.

I sam się sobie zdziwił, dlaczego ta myśl przyszła mu do głowy dopiero teraz, a nie godzinę temu, gdy zobaczył adwokata. To przecież świetne rozwiązanie! Witalij Nikołajewicz już udowodnił, że doskonale radzi sobie z obroną osób bezpodstawnie podejrzewanych i oskarżanych!

Ale Kirgan tylko wzruszył ramionami, a na jego twarzy znowu pojawił się ironiczny uśmiech.

– Na razie nikt mi tego nie zaproponował – odparł.

– Bardzo proszę, Witaliju Nikołajewiczu – jęknął Dziuba – wiem przecież, że to dla pana żaden problem, niegdyś bardzo nam pan pomógł w sprawie Nataszy Awierkiny!

Kirgan uniósł dłoń w ostrzegawczym geście, a jego twarz natychmiast przybrała poważny wyraz.

– Uspokój się, Romek. Jeśli ci na tym tak zależy, niech żona zatrzymanego skontaktuje się ze mną. Porozmawiam z nią, przez wzgląd na ciebie bezpłatnie i bez kolejki. A później niech sama postanowi, czy zechce skorzystać z moich usług. Tylko ją uprzedź, że jeśli zapragnie, bym reprezentował interesy jej męża, musi się liczyć ze sporymi kosztami, bo będę musiał zatrudnić prywatnych detektywów. A to się wiąże z dodatkowymi nakładami finansowymi. Będzie mogła zapłacić? Bo wiesz, często się zdarza, że ludzie liczą na moją pomoc, a później się dowiadują, ile to kosztuje, i wpadają w histerię, już przecież zwyciężyli w myślach, dałem im nadzieję, a tymczasem wszystko rozbija się o pieniądze. Jeśli chodzi o mnie, mogę pracować bezpłatnie, to moja sprawa, ale detektywom trzeba będzie niestety zapłacić.

– Dziękuję, Witaliju Nikołajewiczu – odparł żarliwie Dziuba. – Bardzo dziękuję! Jutro spotkam się z żoną Łamzina i jej powiem... Tylko ona na pewno zapyta, o jaką sumę chodzi, choćby w przybliżeniu. Co mam jej powiedzieć?

Adwokat rozłożył ręce.

– Tego, kochany przyjacielu, nie powiem ci na sto procent. Żeby wynająć adwokata do sprawy karnej, trzeba wyłożyć średnio od trzydziestu do sześćdziesięciu tysięcy rubli w zależności od stopnia trudności i długości postępowania. Ale powtarzam, z uwagi na naszą dawną przyjaźń jestem gotów pracować za symboliczną zapłatę. Ile zaś zażądają prywatni detektywi – to będzie zależało od rozmiaru zadania. Z kolei rozmiar zadania będzie zależał od tego, co jest już w sprawie karnej i co jeszcze może się w niej pojawić. Dopóki nie zapoznam się ze wszystkimi materiałami, za wcześniej, by

powierzyć zadanie detektywom. Czy to jasne?

– Witaliju – z niezadowoloną miną wtrąciła się Nadieżda Igoriewna, zbierając naczynia ze stołu – jeśli sądzisz, że wyjdę za człowieka, który trwoni domowy budżet, jesteś w wielkim błędzie. Co to za praca za symboliczną zapłatę? Dzisiaj pójdziesz na ustępstwa dla Romka, jutro zrobi ci się żal klienta, a pojutrze ruszymy w świat o kiju, bo okaże się, że pracujesz za darmo. Nie, mój drogi, skoro kierujesz się szlachetnymi porywami, chyba nie założymy rodziny.

I znowu Roman Dziuba przestraszył się, że jego prośba doprowadzi zaraz do kłótni. Czy Nadieżda Igoriewna naprawdę tak myśli? Czy nie ma w sobie ani krztyny współczucia dla człowieka, który nie maczał palców w przestępstwie, o czym Roman jest święcie przekonany? A on, głupiec, sądził, że śledcza Ryzenko jest dobra i sprawiedliwa...

– Ach, jakaż pani wyrachowana, Nadieżdo Igoriewno – z patosem rzekł Kirgan. – Padam do nóżek szanownej dobrodziejce, nie spodziewałem się jednak takiej nikczemności, ponieważ jestem zupełnie inny, niż to wynika z pani osądu.

Dopiero usłyszawszy mocno przekreślony cytat z Ostrowskiego i dźwięczny śmiech śledczej i adwokata, Dziuba się uspokoił.

===

Od samego rana Natalii Siergiejewnie Łamzinie wszystko leciało z rąk. Wczoraj udało jej się jakoś pozbierać i zająć pracą, odbyła zajęcia ze studentami, a nawet zrobiła to i owo w domu. Dzisiaj miała wolne i obudziła się z wrażeniem waty w głowie, z trzęsącymi się rękami i poczuciem całkowitego rozbicia. Długo nie mogła sobie przypomnieć, gdzie wsunęła paczkę kawy kupioną poprzedniego dnia, później z roztargnieniem spojrzała na młynek, zastanawiając się, który guzik wcisnąć. Gdy rozległ się dzwonek do drzwi, wbrew przyzwyczajeniu nawet nie spojrzała przez wizjer i nie zapytała: „Kto tam?”. Od razu

przekręciła klucz i otworzyła.

Na progu stał rudowłosy osiłek o kryształowo niebieskich oczach. Łamzina usiłowała sobie przypomnieć, kim jest, i uznała, że albo to jakiś dawny wychowanek męża, albo chłopak pomylił adres.

– Natalia Siergiejewna? – Rudzielec pytająco spojrzał jej w oczy.

– Tak. Pan w jakiej sprawie?

– Jestem z policji. Starszy lejtnant Roman Dziuba. Mogę wejść?

Łamzina w milczeniu się odsunęła, wpuszczając gościa do środka. Teraz będzie musiała się przyzwyczaić do ciągłych rozmów z policjantami, którzy aresztowali Walerę, uważając, że jest zabójcą. Gdyby tylko wiedziała, co powinna zrobić, żeby skłonić ich do zmiany zdania! Wychodziła ze skóry, tłumacząc i przytaczając argumenty, ale tamci dwaj, którzy przesłuchiwali ją parę razy, nie chcieli niczego słuchać ani zrozumieć. A teraz zjawił się jeszcze jeden, pewnie tak samo uparty i złośliwy, on też chce posłać Walerę do więzienia za zabójstwo, którego nie popełnił... A może to jednak on zabił Miszę Bołtienkowa? Natalia Siergiejewna nie знаła odpowiedzi. I nie zamierzała tego przed sobą ukrywać.

Bez słowa ruszyła do pokoju, gdzie usiadła w fotelu w oczekiwaniu na nowe pytania. Nieprzyjemne, ma się rozumieć. Rudzielec imieniem Roman przysiadł na skraju kanapy, a ona, dawna sportsmenka, bezwiednie i z aprobatą odnotowała, że chłopak trzyma się prosto, a pod cienką bluzą rysują się kształtne mięśnie.

– Porozmawiajmy o pani mężu, Natalio Siergiejewno – zaczął.

Łamzina skinęła głową w milczeniu. Oczywiście, o czym innym można z nią teraz rozmawiać? Tylko o Walerze. O tym, że nienawidził Miszy Bołtienkowa i że chciał go zabić.

– Czy Walerij Pietrowicz ma wrogów? Albo może wie pani, kto jest mu nieżyczliwy?

Pytanie zaskoczyło Natalię Siergiejewnę. Spodziewała się, że policjant zacznie ją wypytywać o pistolet, który rzekomo miał Walera... Najgorsze jest to, że na przesłuchaniu ani razu nie skłamała. W ich rodzinie rzeczywiście nikt nikomu nie zagląda do torby czy do kieszeni i nie szpera w cudzych szufladach i szafkach. Więc Natalia Siergiejewna nie wie, czy Walera miał pistolet.

– Musi pan wiedzieć, młody człowieku, że świat łyżwiarstwa figurowego to kłębowisko żmij – odparła, a po chwili dodała: – A żmije są jadowite. W tej branży wszyscy są wrogami.

– Ale może potrafi pani wymienić jakieś konkretne nazwiska?  
– naciskał Roman.

Natalia Siergiejewna gwałtownie poderwała głowę.

– Po co panu jego wrogowie? Chce ich pan zapytać o Walerę? Chce pan, żeby nagadali o nim bzdur? Chce pan zebrać dowody, że mój mąż jest łotrem i mógł zabić Miszę Bołtjenkowa? Jak pan śmie z tym do mnie przychodzić!

Słowa, które wypowiedziała, dobiegły ją jak gdyby z boku i nagle uświadomiła sobie, że zaczęła krzyczeć. Zrobiła parę głębokich wdechów, usiłując się opanować.

– Jeżeli szuka pan wrogów mojego męża – powiedziała już spokojniej – musi pan udać się gdzie indziej. Bo ja nie zamierzam panu pomóc pogrążyć Walerę.

– Przepraszam, Natalio Siergiejewno, bardzo mi przykro, ale chyba niewłaściwie odebrała pani moje słowa. Chodzi o to, że pani mąż otwarcie groził, że zabije Bołtjenkowa, słyszały to co najmniej trzy osoby w szkole sportowej i tyle samo w Szkole Rezerw Olimpijskich, gdzie pracował denat, nic na to nie można poradzić. Śledczy przesłucha świadków i wyciągnie stosowne wnioski.

Roman umilkł, chociaż Łamzina wyraźnie widziała, że zamierza powiedzieć coś jeszcze. Albo jest niezdecydowany, albo szuka właściwych słów. Natalia Siergiejewna cierpliwie czekała.

– Widzi pani... – odezwał się wreszcie rudowłosy policjant –

nie muszę, rzecz jasna, mówić pani tego wszystkiego, ale... Jednym słowem, wątpię w winę Walerija Pietrowicza, sądzę, że ktoś się dowiedział o jego groźbach i się nimi posłużył, żeby wyrównać rachunki z Bołtienkowem, zasłaniając się pani mężem.

Natalia Siergiejewna pomyślała, że się przesłyszała. Albo znowu coś niewłaściwie zrozumiała.

– Wierzy pan, że Walera nie jest zabójcą? – zapytała na wszelki wypadek.

Roman pokręcił głową.

– Niezupełnie.

– To znaczy?

– Mam wątpliwości. Z jednej strony okoliczności przemawiają za tym, że pani mąż jest winny, z drugiej jednak te same okoliczności mogą świadczyć o tym, że jest niewinny. Wszystko zależy od punktu widzenia.

– Wciąż nie rozumiem. Co mają do tego wrogowie Walery?

– No cóż, gdy wszyscy wiedzą, że jeden człowiek nie lubi drugiego i głośno oznajmia, że chętnie by go zabił, sytuacja staje się wygodna dla kogoś trzeciego. Walerij Pietrowicz rozgniewał się na Bołtienkowa i wykrzykiwał w pracy, że go zabije, a później odwiedził denata i powtórzył to w obecności świadków. Wszyscy wszystko słyszeli i widzieli, więc teraz w razie śmierci Bołtienkowa nikt nie będzie miał żadnych wątpliwości, że to robota pani męża. Wszystko świetnie się ułożyło. Chciałbym zatem wiedzieć, komu mogło zależeć na śmierci Michaiła Walentinowicza Bołtienkowa albo na tym, żeby pani mąż wpadł w kłopoty, albo na jednym i drugim naraz.

Przez krótką chwilę Natalia analizowała to, co usłyszała. Nie wiedziała, czy może zaufać temu mężczyźnie, który jeśli chodzi o wiek, mógłby być jej synem. Dla niej to jeszcze chłopiec. Czy może być chytry i podstępny, udawać współczucie i życzliwość, żeby zdobyć jej zaufanie i sprowokować do nieopatrznej wypowiedzi? A może rudy policjant rzeczywiście nie jest taki jak



inni, jak ci, co przyszli tutaj, aresztowali Walerę, a później przeprowadzili przeszukanie i ją przesłuchiwali? Jak się o tym przekonać? Jak nie popełnić błędu, którego później sobie nie wybaczy?

Postanowiła nie odpowiadać wprost.

– Wobec tego musi pan szukać wrogów Miszy Bołtienkowa, a nie mojego męża. Bo Misza często następował komuś na odcisk.

– A pani mąż nie?

– Mój mąż też. W świecie łyżwiarstwa figurowego roi się od konfliktów i intryg. Może mi pan wierzyć. Nie ma tutaj aniołów, bo one nie przetrwają na lodzie. Ale Walera nie jest żadną szychą, żeby wyrównywać z nim rachunki, nie szkoli sportowców, którzy pretendowaliby do wysokich miejsc na zawodach juniorów czy seniorów, zajmuje się młodymi łyżwiarzami, którzy raczej nie są zdolni.

– Dlaczego? Nie jest dość dobrym trenerem?

Natalia Siergiejewna uśmiechnęła się. Zabawny chłopak, naiwny... Aż dziw bierze. Sądząc z muskulatury, od dawna i systematycznie uprawia sport, a nie rozumie prostych rzeczy.

– Co za różnica, czy ktoś jest dobry czy zły? Liczy się tylko jedno: czy ma układy w Federacji Łyżwiarstwa Figurowego. Jeżeli ma, dostanie i lód, i możliwość doprowadzenia utalentowanego sportowca do podium. Jeżeli nie ma, będzie musiał szybko oddać najzdolniejsze dzieci, bo wszyscy chcą trenować mistrzów i nikt nie pozwoli, żeby robił to jakiś Łamzin.

W intensywnie niebieskich oczach policjanta błysnęło zdziwienie.

– Jak to oddać? Sportowiec to przecież nie rzecz, jeśli zechce, sam odejdzie.

– Boże, ależ pan jest... – Już miała powiedzieć „naiwny”, ale ugryzła się w język. – Są setki mechanizmów! Setki sposobów, żeby trener oddał łyżwiarza.

– Niech pani wymieni chociaż jeden – poprosił Roman i Natalia domyśliła się, że jest naprawdę ciekaw.

– Na przykład zadzwoni ktoś z Federacji i powie: „Oddaj, jeśli nie chcesz, żeby ci obcięto liczbę godzin na lodowisku”. I wtedy trener ustąpi, stuli uszy, bo lodowisko jest mu potrzebne, żeby pracować z resztą grupy. Albo go ktoś nastraszy, że nie pojedzie na międzynarodowe zawody, albo coś jeszcze innego. Są tysiące sposobów, proszę mi wierzyć. Odbierani są sportowcy rokujący nadzieje, ci, którzy mogą zostać zwycięzcami, ale też mistrzowie.

– Dlaczego?

Mój Boże, jak trudno wyjaśnić zakulisowe sprawy osobie, która nie pochodzi z tego środowiska... Na koniec sezonu każdy trener składa raport Federacji, liczba mistrzów sportu w grupie świadczy o jego kwalifikacjach, o tym, że je podnosi. A od tego zależy pensja. Jeżeli ktoś pracuje z dziećmi, one muszą mieć wyniki, jeżeli z nastolatkami – pensja zależy od tego, ilu wśród nich jest kandydatów do tytułu mistrza. W przypadku gdy trener pracuje z członkami reprezentacji juniorów, wymagania są jeszcze wyższe. Natalia Siergiejewna dobrze pamiętała czasy w połowie i pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, gdy Walera zaczynał pracę jako trener. Za czasów władzy radzieckiej pensja wynosiła średnio sto dwadzieścia rubli plus dziesięć rubli za każdego mistrza. Za tytuł mistrza Europy albo świata dawano więcej, ale niedużo. Federacja Łyżwiarstwa Figurowego miała i ma do dzisiaj fundusz premiowy, więc jeśli dodatek do pensji nie był szczególnie wysoki, pod koniec roku można było dostać nagrodę za tytuł mistrza.

Każdemu trenerowi zależało na tym, żeby pracować z dobrymi zawodnikami. Dzięki nim robił karierę i wszystkie nagrody były w zasięgu jego ręki.

Jakimi słowami wyjaśnić temu niebieskookiemu chłopakowi, że system, który funkcjonował i nadal funkcjonuje w łyżwiarstwie figurowym, jest wadliwy? Nawet najlepszemu

trenerowi nie powierza się zawodnika na okres całej kariery. W chwili gdy łyżwiarze osiągają określony poziom, przechodzą do trenerów kolejnej grupy wiekowej. I odbywa się to praktycznie na siłę: albo łyżwiarz przestaje być dostrzegany na zawodach, albo trener dostaje coraz mniej godzin na lodowisku, co tłumaczy się tym, że inne grupy też go potrzebują, podobnie jak hokeiści i ktoś tam jeszcze... Dostęp do lodowiska zostaje ograniczony, co nie pozwala pracować pełną parą, a trener dostaje jasno do zrozumienia: „Oddaj. Naprawdę chcesz stracić godziny na lodowisku? Albo nie pojechać na zawody? Chcesz, żeby twoja utalentowana solistka niezasłużenie spadła na ostatnie miejsce?”. Trenerzy wyższych kategorii wiekowych zabierają zdolne dzieci. Natalia Siergiejewa z goryczą przypomniawszy sobie zdenerwowanie męża, gdy nie pozwolono mu zajmować się dłużej dwoma bardzo zdolnymi solistami. Trenował wtedy dzieci w wieku od siedmiu do dziewięciu lat. Zabrano mu dziewięciolatków. Okres pomiędzy dziesiątym a piętnastym rokiem życia jest dla łyżwiarza najważniejszy, musi wtedy opanować skoki z trzema obrotami i mnóstwo technicznych umiejętności, pracuje nad tym trenerska elita, która ani myśli przyjmować obcych do swojego grona. A Walera, tak jak każdy trener, też chciał się zajmować łyżwiarzami z wyższej kategorii wiekowej i przygotowywać swoich uczniów do zawodów, pojechać z nimi na Grand Prix, na mistrzostwa świata juniorów, tworzyć konkurencję dla dorosłych sportowców... Nic z tego. W Komitecie Sportowym zjawia się jakiś Iwanow czy Pawłow i zaczyna śpiewkę: „Ależ ta dziewczyna jest dobra! Ręczę, że gdy trafi w odpowiednie ręce, zostanie mistrzynią kraju. Ale z dotychczasowym trenerem nic jej nie czeka, będzie nikim”. Niedługo potem trener odbiera telefon z biura Komitetu. „Oddaj”. Dlaczego musi oddać? To jego uczennica, on ją wykształcił i wszystkiego nauczył. „Oddaj!”

To oczywiste, że nie wszyscy mogą uciekać się do pomocy

Komitetu Sportowego, Federacji Łyżwiarstwa Figurowego czy Rady Trenerów. Gdy chodzi o prawdziwego kandydata do medalu – wtedy owszem, można wykorzystać znajomości. Na przykład jeśli trener jest w dobrych układach z prezesem Federacji, może przyjść i powiedzieć: „Słuchaj, to świetny chłopak, rozwiążmy jakoś ten problem, później odpalę ci coś z premii. Użyj swoich wpływów”.

Na ogół trenerzy, którzy upatrzyli sobie jakieś zdolne dziecko, wywierają nacisk na rodziców – to najbardziej dostępny mechanizm perswazji. Nie ma nic prostszego niż telefon do mamy i taty albo wizyta w domu, podczas której rodzice słyszą: „Państwa syn ma niezłe zadatki na dobrego łyżwiarza, ale brak mu umiejętności technicznych. Jeżeli tego nie naprawimy, niedługo osiągnie pewien pułap i się zatrzyma. Jestem osobą, która może państwu pomóc. Znają mnie państwo i wiedzą, że spod mojej ręki wyszło wielu znakomitych sportowców. Proponuję przenieść syna do mnie, będę z nim pracował indywidualnie, zatrudnię najlepszych choreografów i gwarantuję, że chłopak zrobi karierę. Jeżeli chcą państwo, żeby tkwił w tym bagnie i uprawiał łyżwiarstwo wyłącznie dla zdrowia, to proszę bardzo, niech zostanie tam, gdzie jest do tej pory”.

Słyszając taką argumentację, rodzice zaczynają powątpiewać w kwalifikacje trenera i przyglądać się treningom. I zazwyczaj zauważają niepokojące rzeczy, które skłaniają ich do podjęcia decyzji o zmianie trenera i przejściu do innej grupy. Dlaczego? Ano dlatego, że żadna grupa nie jest idealna, jedno dziecko wymaga więcej uwagi, inne mniej, zawsze są powody do zazdrości, a co za tym idzie, do niezadowolenia. Gdy więc ktoś szepnie rodzicom, że trener poświęca ich dziecku nie dość uwagi albo nie doskonali jego umiejętności technicznych, zaczynają się zastanawiać. Później otrzymują kolejny telefon. Ktoś z góry dzwoni na prośbę zainteresowanego trenera: „Radzimy, żebyście przenieśli dziecko. Będzie mu lepiej”. Trwa

urabianie i w końcu łyżwiarz odchodzi. Ostatecznie trener zostaje pozbawiony wszystkiego, co najlepsze, i nie ma szans, żeby się wykazać. Właśnie dlatego istnieje ogromna liczba utalentowanych trenerów, których nazwiska nigdy nie ujrzą światła dziennego, ponieważ wszyscy mają do czynienia wyłącznie z łyżwiarzami należącymi do najniższej kategorii wiekowej, nikt im nie pozwala przygotować sportowców do mistrzowskiego poziomu.

Zdarzały się oczywiście przypadki, doskonale znane Natalii Łamzinie z opowieści męża, gdy trenerzy, którym próbowano odebrać uczniów, dowiadawali się o knowaniach rywali i usiłowali się temu przeciwstawić. Kiedyś na przykład Walera zadzwonił do takiego „agresora” i powiedział: „Obiję ci gębę, jeśli będziesz przekabacał moich łyżwiarzy!”. Rywal się nie wycofał i nawet się nie stropił, od razu pobiegł do Federacji ze skargą, że trener Łamzin mu grozi.

Niedługo potem Walerij Pietrowicz odebrał telefon.

„Dlaczego zachowujesz się w ten sposób? – zapytał ktoś surowo. – Dlaczego ośmielasz się rzucać groźby pod adresem szanowanego człowieka, zasłużonego trenera?”

„Ale on chce mi zabrać ucznia...”

„No to bierz się do roboty – padła ojcowska rada – wtedy nikt nie zechce od ciebie odejść”.

Było to jawna obłuda. Natalia Siergiejewna dobrze wiedziała, że wszystkie próby udaremnienia owego nietypowego wymuszenia kończyły się podobnie.

Sumiennie próbowała wytłumaczyć wszystko młodemu policjantowi.

– Krótko mówiąc, Walera nie ma układow w Federacji – zakończyła. – Dlatego nie jest teraz ważną figurą w organizacji trenerów, a to znaczy, że ma o wiele mniej wrogów niż Bołtjenkow.

– Teraz? – niespokojnie zapytał Roman. – A więc dawniej było inaczej?

– Owszem. Swego czasu Federacja wspierała Walereę i powierzyła mu pracę ze starszymi juniorami. Ale to było dawno. Proszę powiedzieć, jak mogę pomóc mężowi? Mam wrażenie, że mogę panu zaufać, nie przypomina pan śledczego i tamtego policjanta, który mnie przesłuchiwał. Pan jest inny. Dobry. Niech mi pan poradzi i podpowie, co powinnam zrobić – poprosiła Łamzina.

Rudy policjant odwrócił wzrok, jego policzki pokryły się rumieńcem, co z jakiegoś powodu rozczuliło Natalię Siergiejewnę.

– Może powinnam złożyć zeznania? – nalegała. – No wie pan... dodatkowo... Może powinnam powiedzieć, że widziałam, jak Walera wychodził z mieszkania tamtego wieczoru i że na pewno nie miał broni? Śledczy tak mnie piłował w tej kwestii...

Roman spojrzał na nią ze zdziwieniem i z dezaprobatą.

– Ale przecież czytałem pani zeznania. Parę razy powtórzyła pani, że w chwili, gdy Walerij Pietrowicz wychodził z mieszkania, pani była w kuchni i go nie widziała.

– No i co z tego? Dostanę wezwanie do sądu i będę musiała zeznawać, więc powiem co innego. Wiem, że wiele osób tak robi. Powiem, że byłam w szoku, że śledczy to wykorzystał, że naciskał i mi groził. Może nawet uderzył. To chyba pomoże Walerze, prawda? Niech pan nie milczy, tylko coś powie i mi doradzi.

Roman wstał z kanapy i zrobił kilka kroków ku oknu, a później z powrotem, w stronę drzwi.

– Jest pani pewna, Natalio Siergiejewno, że mąż nie miał broni? Tylko proszę o szczerłość. Jesteśmy sami, nie zeznaje pani do protokołu. Nikt się nie dowie. Muszę wiedzieć, jak naprawdę wygląda sytuacja.

Łamzinie zrobiło się gorąco. Nadeszła chwila prawdy. Co zrobić? Zaufać temu chłopakowi? Czy nadal upierać się przy swoim? Nie, to niemożliwe, nie da się dalej żyć, nikomu nie ufając...

– Nie jestem pewna – odparła i poczuła niesłychaną ulgę. – To prawda, że nigdy nie zaglądałam ani do jego szafki w sypialni, ani do szuflad w biurku, ani do torby czy walizek. I nie przeszukiwałam kieszeni. Więc nie mogę stwierdzić z całą stanowczością, że w naszym domu nigdy nie było pistoletu. Po prostu nie wiem. Naprawdę nie widziałam męża w chwili, gdy wychodził, i nie mogę z ręką na sercu powiedzieć, że nie miał pistoletu. Przeżyłam z Walerą dwadzieścia pięć lat, w tym roku świętowaliśmy srebrne gody. Znam go jak nikt inny. Wiem, że może uderzyć. Nakrzyczeć. Nagadać impertynencji i obrazić. Ale nie może nikogo zabić. Oto cała prawda.

Natalia Siergiejewna odetchnęła głęboko i znieruchomiała. Później się rozpłakała.

Szlochając, słyszała, jak Roman jej tłumaczył, że fałszywe zeznania w tym wypadku przyniosą tylko szkodę, bo będzie musiała odpowiadać na pytania raz za razem, indagowana o wszelkie możliwe szczegóły, aż w końcu się pomyli i będzie wiadomo, że świadek Łamzina kłamie.

– Przyłapią panią na sprzecznościach, zaczną przyciskać, a później jeszcze zmuszą do powiedzenia tego, czego nie chce pani powiedzieć. To nie jest dobre rozwiązanie, Natalio Siergiejewno.

– A jakie jest dobre? – chlipnęła, ocierając oczy rękawem bawełnianej bluzy dresowej, w której chodziła po domu. – Jakiego potrzebuję? Co mogę zrobić dla Walery?

– Potrzebuje pani adwokata. Trzeba szukać wrogów zarówno zabitego Bołtienkowa, jak i pani męża. Śledztwo nie pójdzie w tym kierunku, bo wszystkie okoliczności wskazują na winę Walerija Pietrowicza, którego już aresztowano. Śledczy nie jest zainteresowany sprawdzaniem innych hipotez.

– A co może zrobić adwokat? Będzie szukał tego, kto chciał wrobić Walerę?

– Raczej nie. – Roman się uśmiechnął. – Zatrudni prywatnych detektywów. I jeśli jest choć niewielka szansa, by udowodnić, że

pani mąż jest niewinny, adwokat może to zrobić. Jeśli jest pani gotowa, poradzę, do kogo powinna się pani zwrócić.

– Ile to będzie kosztowało?

– Pewnie sporo. – Policjant westchnął. – Usługi prywatnych detektywów są drogie. Ale bez nich adwokat nie znajdzie potrzebnych informacji ani ludzi.

Łamzina uniosła głowę i spojrzała na niego oczami, w których nie było już łez, widniała za to rozpacзлиwa determinacja.

– Znajdę pieniądze.

===

Nie opuszczał go strach. Wyglądało na to, że on, Romek Dziuba, się wygłupił i popełnił niewybaczalny błąd. Oj, oberwie mu się za to od starszych kolegów, a jeśli będzie miał pecha, to i od zwierzchników! On, funkcjonariusz operacyjny, oficer policji, ma obowiązek, o czym przypomniał mu śledczy Bağłajew, pracować tylko na rzecz oskarżenia, nic poza tym. Tymczasem odwiedził żonę zatrzymanego i poradził jej, żeby się udała do dobrego adwokata. Jakby tego było mało, powlókł się razem z nią na spotkanie z rodzicami łyżwiarzy, którzy byli w grupie zatrzymanego Walerija Łamzina. Chociaż gdyby zachował twarz pokerzysty i nie dał się ponieść nerwom, może się wytłumaczyć tym, że musiał posłuchać, co rodzice mają do powiedzenia o aresztowanym trenerze. Z rozmów z Natalią Siergiejewną Łamziną oraz z pracownikami Pałacu Sportu i szkoły sportowej już wiedział, jaka jest zwyczajowa praktyka: rodzice mogą być obecni na treningach średnio raz w tygodniu, zwykle w soboty, żeby na własne oczy zobaczyli, czego uczą się ich dzieci, co umieją, nad jakimi elementami pracują, jakie robią postępy. Ale treningi odbywają się nie tylko w soboty, o tym, co się dzieje na lodowisku w pozostałe dni tygodnia, z wyjątkiem jednego oficjalnie wolnego dnia, mamusie i tatusiowie wiedzą tylko z relacji dziecka. A dziecko może naopowiadać różnych rzeczy...



W dodatku wielu łyżwiarzy przyprowadzają albo przywożą na treningi babcie albo niepracujące mamusie, które w oczekiwaniu na swoje pociechy zbierają się razem, tworząc swego rodzaju klub, gdzie toczą dyskusje tylko na jeden temat: jak wyglądają treningi, co komu powiedział trener, do kogo się nie odezwał, ile uwagi komu poświęcił... A zatem rodzice stanowią cenne źródło informacji. Sytuacja jest napięta, więc ludziom może wymknąć się to, o czym wcześniej nie wspominali, między innymi to, co słyszeli w domu od dzieci, które prosiły, by nikomu nie mówić.

– Nie chcę robić spotkania w Pałacu Sportu – powiedziała Natalia Siergiejewna Łamzina, obdzwaniając rodziców. – Dzisiaj są dwa treningi, poranny już się kończy, a po południu, o piętnastej, zacznie się drugi. Rodzice przywiożą dzieci i będą mieli dwie godziny wolnego. Poproszę, żeby przyszli do kawiarni niedaleko Pałacu, na sąsiedniej ulicy. Nie chcę się natknąć na kogoś, kto pracował z Walerą.

Romanowi było wszystko jedno, gdzie odbędzie się spotkanie z rodzicami. Liczy się wynik. Ci, do których dodzwoniła się Natalia Siergiejewna, zgodzili się przyjść na spotkanie.

– A pozostali? – zapytał Dziuba.

– Pozostali też przyjdą, spotkają przecież w Pałacu tych, do których się dodzwoniłam, i się od nich dowiedzą.

Dziuba i Łamzina przyjechali jakieś piętnaście minut przed czasem. Kawiarnia była nieduża i jeśli sądzić z unoszących się w niej zapachów, raczej tania, z niezbyt wyszukaną kuchnią, za to właściciel okazał się miły i uprzejmy, bez problemu się zgodził, żeby zsunąć parę stolików w rogu sali, i nie oburzał się, że goście prawdopodobnie niczego nie zamówią, posiedzą tylko i porozmawiają. Poproszą najwyżej o wodę, sok czy filizankę kawy.

– To żaden problem, na miłość boską. – Niefrasobliwie machnął ręką. – I tak w tym czasie panują pustki. Od dwunastej do wpół do trzeciej przeważnie nie ma gdzie szpilki

wcisnąć, wszyscy przybiegają na obiad, później też, koło szóstej, młodzież przychodzi na piwo. Ale od trzeciej do szóstej jest przestój.

Roman pomógł dwóm wątlym i anemicznym, młodziutkim kelnerkom zsunąć stoliki i zajął miejsce w najdalszym kącie, ukrywając się w cieniu, który dawały szerokie półki z jakimiś dekoracyjnymi elementami, zdaniem Dziuby niezbyt gustownymi. Policjant nie chciał zwracać na siebie uwagi uczestników zebrania.

Łamzina wydawała się spokojna i skupiona, ale Roman zdawał sobie sprawę, że to efekt olbrzymiego wysiłku woli. Widział ją dzisiaj rano w domu i doskonale wiedział, co naprawdę dzieje się w duszy tej kobiety. Nie dość, że mąż został aresztowany, to jeszcze nieznany policjant, który zjawił się nie wiadomo po co, składa jej dziwną, a w każdym razie niespodziewaną propozycję, udziela rad, jak pomóc mężowi. Czy można mu wierzyć? A jeśli to pułapka? Kolejny podstęp sprzedajnej policji, której zależy tylko na jednym: wsadzić kogoś do więzienia, jak najprędzej zamknąć sprawę i złożyć raport?

Gdyby ona wiedziała, jakiego mam pietra, pomyślał Roman, uśmiechając się w duchu.

– Sądzi pani, że rodzice złożą się na adwokata? – zapytał Łamzinę z powątpiewaniem.

Natalia Siergiejewna spojrzała na niego zdziwiona.

– A jak pan myśli?! Rodzice są gotowi na wszystko dla kariery łyżwiarskiej dziecka.

– Naprawdę? – zapytał z niedowierzaniem.

– W każdym razie potrafią zrobić wiele. Kiedyś na przykład się zdarzyło, że pewna mama przywiozła córkę do Moskwy, no a pieniędzy potrzeba było sporo – na mieszkanie, jedzenie, ubranie, opłacenie treningów, odpowiedni strój i łyżwy. Gdy się skończyły, mamusia sprzedała swoją nerkę, mimo to dziewczynka nie została mistrzynią i obie musiały wrócić do domu. Tyle że bez nerki.

Natalia Siergiejewna miała rację. Ze wszystkich osób, które przyszły na zebranie, tylko dwie odmówiły udziału w składce na adwokata.

– Z mojej córki i tak nie wyrośnie wielka sportsmenka, jeździ na łyżwach tylko dlatego, że lubi pokazywać się na lodowisku w ładnej sukience i być w centrum uwagi. Moim zdaniem powinna się uczyć, a nie trwonić czas. Więc niedługo opuści grupę – oznajmił atletyczny, wysoki mężczyzna w okularach.

Natalia nachyliła się do Dziuby i wyszeptała mu do ucha:

– Dziewczynka wdała się w tatę, zaczęła szybko rosnąć i przybierać na wadze, to sprawa genów, nie ma na to rady. To, co udawało jej się jeszcze pół roku temu, przestało jej wychodzić. Tatuś ma całkowitą rację, jego córka nie ma żadnych widoków na karierę.

Jeszcze jedna dama, szczupła i ruchliwa, butnie i arogancko oznajmiła:

– Wasz Łamzin to zabójca, jego miejsce jest w więzieniu, nasze dzieci nie powinny u niego trenować.

– Jak pani śmie... – Ktoś z obecnych próbował jej przerwać.

– Mówię prawdę, nie ważcie się mnie uciszać! – odrzekła dama. – Łamzin krzyczy na dzieci, wyzywa je od najgorszych, moja córka po każdym treningu wraca zapłakana. Nie będę zaskoczona, jeśli się okaże, że ten człowiek ucieka się też do rękoczynów. Skoro trafił do więzienia, to niech w nim siedzi, nie powinien mieć kontaktu z dziećmi!

– O co jej chodzi? – samym ruchem warg zapytał Dziuba.

– Chce przenieść córkę do innego trenera – tak samo cicho wyjaśniła Łamzina. – A nie ma dostatecznego powodu. Dziewczynka chce zostać w grupie, tymczasem mama uważa, że u Walery nic nie osiągnie, trzeba koniecznie umieścić ją u kogoś, kto sprawi, że zostanie mistrzynią.

Gdy do zakończenia treningu pozostało pięć minut, rodzice wstali i tłumnie ruszyli ku wyjściu. Niektórzy z entuzjazmem zgodzili się udzielić pomocy materialnej trenerowi swoich dzieci,

inni z posepnymi i niezadowolonymi minami obiecali się dołożyć, ale ogólnie rzecz biorąc, zamysł Łamziny się powiódł, teraz można było udać się do adwokata.

===

Na trzydziestu adwokatów pracujących w kancelarii przypadało zaledwie osiem pokoi – za mało, żeby zapewnić każdemu z nich możliwość poufnej rozmowy z klientem w wyznaczone dni i godziny przyjęć. Drzwi do pokojów ciągnęły się wzdłuż długiego korytarza, na którego końcu urzędowała sekretarka w okienku. Niegdyś, za czasów władzy radzieckiej, nie istniały kancelarie adwokackie, działały jedynie poradnie prawne, które pełniły funkcję „umysłu kolektywnego”: każdy obywatel, który zwrócił się po pomoc prawną, mógł liczyć na to, że wszyscy pracownicy urzędu zajmą się rozwiązaniem jego problemu. Dlatego pomieszczenie było przestronne i wspólne, żadnych osobnych pokoi, wszyscy wszystkich widzieli i słyszeli. Później, gdy poradnie zlikwidowano i zastąpiły je kancelarie, pojęcia „tajemnica adwokacka” oraz „prywatność” nabrały istotnego znaczenia, toteż ogromne dawniej pomieszczenia przerobiono na boksy. Etyka adwokacka nie zezwalała na spotkania w domu klienta, no a nie każdy adwokat ma przecież odpowiedni pokój we własnym mieszkaniu.

Owe pomieszczenia były na ogół pozbawione okien, co sprzyjało atmosferze intymności i zaufania, a jeśli nawet miały okna, to zakratowane. Zazwyczaj kancelarie adwokackie mieszczą się przecież na parterze. Nie ma tam, oczywiście, czego ukraść, adwokaci przechowują całe dossier u siebie w domu, a nie w kancelarii, ale bezpieczeństwo parteru to rzecz święta. W biurze przechowuje się tylko umowy dotyczące zakończonych spraw i formularze zleceń, za to przez osiemdziesiąt lat. Dzisiaj wielu wysoko postawionych urzędników oddałoby wszystko za informacje, które zawierały

owe, na pierwszy rzut oka nieszkodliwe, materiały. Komuś, kto był na przykład liderem partii politycznej, mogło bardzo zależeć, by nikt się nie dowiedział, że był karany sądownie za przywłaszczenie. Albo że jego matka, będąca w podeszłym wieku, zwróciła się do sądu o wyegzekwowanie pomocy materialnej od syna. Były też inne powody, nie mniej spektakularne.

Gdy wczorajszego wieczoru Natalia Łamzina zadzwoniła do Witalija Kirgana i powołała się na Dziubę, adwokat, wyznaczając jej spotkanie rano w biurze, spodziewał się, że zobaczy przytłoczoną nieszczęściem kobietę, która będzie płakać, ścisnąć w drżących palcach mokrą od łez chusteczkę i mówić bez związku urywanym głosem. Jakież więc było jego zdumienie, gdy zobaczył dwie kobiety, z których jedna była nie tylko niezakłopotana, lecz nawet agresywna.

– Będzie pan mógł uwolnić tatę? – jeszcze w drzwiach, nie witając się, zapytała na oko dwudziestoletnia dziewczyna. – I sprawi, że zostanie wypuszczony do domu?

Witalij Nikołajewicz stłumił w sobie chęć, żeby ją pouczyć na temat uprzejmości i dobrych manier. Ludzie przychodzą po pomoc do adwokatów w różnych sytuacjach życiowych, czasami w niezwykle trudnych, więc raczej nie ma sensu wymagać od nich przestrzegania zasad savoir vivre'u. Zwłaszcza że starsza Łamzina panowała nad sobą o wiele lepiej niż córka i posłała jej surowe spojrzenie.

– Dzień dobry, nazywam się Natalia Siergiejewna Łamzina – powiedziała, wyciągając rękę. – A to moja córka Alisa.

– Proszę siadać – powiedział Kirgan, pokazując krzesła stojące przy niezbyt szerokim biurku.

Odległość między adwokatem a klientem nie powinna być zbyt duża.

Alisa usiadła z arogancką miną i powtórzyła swoje pytanie.

– Nie znam jeszcze sprawy – wymijająco odparł Kirgan. – Ale na pani miejscu nie żywiłbym wielkich nadziei.

– Dlaczego? – opryskliwie zapytała dziewczyna. – Mówiono nam, że adwokaci mogą to załatwić. Dlaczego pan nie może? Musi pan!

No i masz, zaczęło się. Ktoś komuś kiedyś powiedział... Była chyba taka piosenka, angielska czy amerykańska, w czasach gdy Witalij był jeszcze dzieckiem. Adwokaci nie powinni składać nieuzasadnionych obietnic. Nie mają prawa. Ale niestety, tak jak w każdym zawodzie, zdarzają się wśród nich tacy, którzy łamią to prawo.

– Nie – powtórzył twardo. – Nie mogę. Nawet nie zamierzam obiecywać. Jeżeli sędzia wydał postanowienie o zastosowaniu środka zapobiegawczego, tylko okoliczności świadczące o tym, że zatrzymany musi przebywać w domu, mogą je zmienić. Żadne inne uzasadnienia nie wchodzą w grę. W takich przypadkach sędzia nie ocenia dowodów, rozpatruje jedynie osobę zatrzymanego i nowe okoliczności faktyczne, na przykład ciężką chorobę zatrzymanego albo kogoś z członków jego rodziny, jeśli nie ma nikogo innego do opieki. Ale ani pani, ani mamusi na szczęście nie dotknęła, jak widzę, ciężka choroba.

Alisa Łamzina nie dała się jednak zbić z tropu, napuszone sformułowania prawnicze nie zrobiły na niej wrażenia i jej nie przestraszyły.

– Wszyscy mówią, że ten problem można rozwiązać – dowodziła z uporem. – Nieraz słyszałam w telewizji, że kogoś tam zwolniono za pisemnym poręczeniem. Dlaczego inni mogą to załatwić, a pan nie?

– Inni też nie bardzo mogą. – Kirgan się uśmiechnął. – Ustalmy raz na zawsze: co pani rozumie pod pojęciem „rozwiązać problem”?

Alisa śmiało i bez najmniejszego zakłopotania popatrzyła mu w oczy.

– Sam pan wie. W końcu ludzie wynajmują adwokatów po to, żeby rozwiązywali takie problemy, za to im płacą.

Ojoj... Ciekawe, skąd się biorą te wydumane opinie?

– Adwokatów się nie wynajmuje, szanowna Aliso Walerjewno, adwokatów zaprasza się do współpracy. To istotna różnica. I nie płaci im się, jak raczyła się pani wyrazić, tylko wypłaca wynagrodzenie za wykonaną pracę. Gdyby nie wstawiła się za panią osoba, którą darzę ogromną sympatią, w tym momencie przerwałbym nasze spotkanie.

Westchnąwszy, zdjął z półki zbiór aktów normatywnych i otworzył na odpowiedniej stronie.

– Niech pani spojrzy, to Kodeks etyki adwokackiej. Za naruszenie dowolnego artykułu grozi kara dyscyplinarna łącznie z pozbawieniem licencji adwokackiej. A teraz proszę posłuchać: artykuł dziesiąty, punkt pierwszy: „Przepisy prawa i zasady etyki są nadrzędne wobec woli klienta”. Rozumie pani? Nadrzędne! Pani jest moją klientką, mam obowiązek działać w pani interesie, to prawda, ale jeśli pani interesy polegają na tym, żebym złamał prawo, to niestety... Przepisy prawa i zasady etyki są dla mnie ważniejsze niż pani życzenia. Proszę posłuchać, co jest dalej: „Adwokat nie może usprawiedliwiać naruszenia przepisów prawa i zasad etyki przewidzianych w niniejszym Kodeksie, powołując się na sugestie, prośby czy polecenia klienta”. Właśnie tak to wygląda. Jeżeli w pani interesie będzie znalezienie dowodów usprawiedliwiających albo przynajmniej podających w wątpliwość winę pani ojca, gotów jestem podjąć się pomocy. Jeżeli przyszły panie do mnie po to, żebym nosił koperty z pieniędzmi i rozwiązywał problemy, to niepotrzebnie straciły panie czas. Walerij Pietrowicz nie zostanie zwolniony, jeśli nie znajdzie się inny podejrzany, przeciwko któremu dowody będą bardziej przekonujące. Nie składałam pustych obietnic.

Natalia Siergiejewna, do tej pory siedząca z obojętną miną i bezsilnie zwieszonymi ramionami, nagle się wyprostowała i władczym, surowym tonem powiedziała:

– Wyjdź, Aliso.

Dziewczyna próbowała oponować, ale matka była nieugięta.

– Wyjdź i zaczekaj na mnie na ulicy.

Córka z wyraźną niechęcią opuściła pokój, chwilę później Kirgan usłyszał, że głośno trzasnęły wyjściowe drzwi.

– Niech jej pan wybaczy, Witaliju Nikołajewiczu. – Głos Łamziny zabrzmiał łagodniej. – Alisa bardzo kocha ojca, zupełnie straciła głowę ze strachu. Bardzo pana przepraszam.

Rozmowa przybrała wreszcie normalny, rzeczowy charakter i Natalia Łamzina przystąpiła do opowieści. Mówiła niedługo, widać było, że dokładnie przemyślała swoją relację, by nie tracić czasu. Skończywszy, zapytała:

– Jeżeli podpiszemy umowę, będzie pan mógł załatwić mi widzenie z Walerą?

– To bardzo mało prawdopodobne, ale odpowiem dopiero wtedy, gdy zapoznam się z materiałami sprawy u śledczego. Póki ich nie zobaczę, nie mogę niczego obiecać.

– Ale przecież wszystko panu opowiedziałam!

– To nie wystarczy. Powiedziała pani tylko to, co wie albo co widziała i słyszała. Tymczasem śledczy wie, widział i słyszał coś zupełnie innego. W swoich decyzjach kieruje się nie tym, co pani wiadomo, ale własnymi informacjami. To normalne i słuszne.

Przez pewien czas Natalia analizowała to, co usłyszała, później kiwnęła głową, przytakując jakimś swoim myśłom.

– No dobrze, a pan? Będzie pan mógł otrzymać widzenie?

– Oczywiście. – Kirgan się uśmiechnął. – Jak tylko podpiszemy umowę i otrzymam od pani pełnomocnictwo, udam się do śledczego i poproszę o dwie rzeczy: żeby mnie zapoznał z materiałami sprawy i wydał pozwolenie na widzenie. Jeżeli dostanę je dzisiaj, jutro z samego rana pojadę do aresztu. A właśnie, proszę, żeby pojechała tam pani przede mną i zajęła kolejkę do pokoju widzeń, w przeciwnym razie może się zdarzyć, że będę czekał do wieczora, bo brakuje pomieszczeń. Oto adres.

– A czy... – Kobieta z obawą i z pewnym niepokojem spojrzała



na adwokata. – Czy może pan przekazać mu list ode mnie?

– Nie. I lepiej zostawmy ten temat.

– Przepraszam... Chciałam jeszcze zapytać... Roman powiedział, że będzie pan musiał wynająć prywatnych detektywów... Przepraszam, o nich też powinno się pewnie mówić „zaprosić do współpracy”?

Kirgan cicho się roześmiał.

– Można ich też wynajmować. Ale ja wolę określenie „korzystać z usług”, brzmi poważniej i jest bliższe prawdy. Owszem, całkiem możliwe, że zajdzie taka potrzeba.

– Od czego to zależy?

– Od pani możliwości. Do szukania dowodów wspierających oskarżenie śledczy wykorzystuje funkcjonariuszy operacyjnych, szukanie dowodów wspierających obronę niczym się nie różni, to też poszukiwanie informacji, do tego też potrzeba ludzi. Adwokaci raczej rzadko korzystają z usług agencji detektywistycznej, zazwyczaj członkowie rodziny klienta sami szukają informacji, dobrze więc, gdy rodzina jest duża.

– Ale my nie mamy nikogo... Jesteśmy same z córką... – wybąkała zmartwiona Łamzina. – Walera ma młodszą siostrę, mieszka w Tiumeniu, wyszła za męża za naftowca i już dawno wyjechała, nie będzie mogła pomóc, no a ja jestem jedynaczką, nie mam rodzeństwa ani kuzynostwa. Alisa to dzielna i przedsiębiorcza dziewczyna, ale sam pan widzi, może narobić głupstw, jest impulsywna i gwałtowna, powierzenie jej takiego zadania to spore ryzyko.

– Szkoda... Bo to się wiąże z dodatkowymi kosztami. Dlatego z góry muszę panią poinformować i otrzymać zgodę.

Natalia Siergiejewna ani przez chwilę się nie wahała.

– Zgadzam się. Niech pan robi wszystko, co uzna za stosowne. Muszę uratować Walerę.

– Dobrze. – Witalij Nikołajewicz skinął głową. – Wobec tego przygotuję umowę.

Przyniósł od sekretarki dwa formularze i zaczął je ręcznie

wypełniać, wpisując dane zleceniodawcy, to znaczy Natalii Łamziny, swoje dane, rodzaj i wielkość pomocy prawnej, dane osoby, której pomoc zostanie udzielona, warunki finansowe, adresy i dane bankowe stron...

Natalia Siergiejewna zastanawiała się nad czymś w skupieniu.

Gdy Kirgan poprosił ją o podpisanie umowy, zaskoczyła go pytaniem:

– Czy pan naprawdę może zostać ukarany? Sądziłam, że adwokaci prowadzący prywatną praktykę nikomu nie podlegają, nikt ich nie może pouczać, muszą tylko przestrzegać przepisów prawa, rzecz jasna. Kto może pana ukarać? Szef pańskiej kancelarii?

Witalij Kirgan już dawno przyzwyczał się do myśli, że ludzie mają przeważnie bardzo ogólne i prawie zawsze niesłuszne wyobrażenie o tym, jak wygląda praca w innych zawodach. Trudno ich winić, bo przecież główne źródło informacji to literatura, prasa i telewizja. Czasami, oczywiście, wiadomości pochodzą z pierwszej ręki – od przyjaciół albo członków rodziny, ale w większości przypadków obraz jest mocno zniekształcony albo nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Za każdym razem, słysząc w telewizji sakramentalne słowa „śledczy wydziału kryminalnego”, Kirgan walczył z pokusą, żeby zadzwonić do stacji telewizyjnej i poprosić o pokazanie owego tajemniczego osobnika, który nie istniał i nie istnieje w przyrodzie.

– Jeśli chodzi o szefa, to on nie może nikogo ukarać, bo w kancelarii adwokackiej nie ma szefa. Wie pani, co to jest kancelaria adwokacka? Zebrało się paru adwokatów, znaleźli razem pomieszczenie, w którym urządzili miejsce dla sekretarki i do prowadzenia działalności biurowej, miejsce dla księgowej plus parę pokoi, w których przyjmują klientów. Razem opłacają wynajem kilkupokojowego biura, rachunki za prąd, ponoszą koszty wynagrodzenia sekretarki i księgowej oraz wszelkiej biurowości. I na tym koniec. Wszyscy jesteśmy sobie równi. Jeden z nas pełni wprawdzie funkcję dyrektora, ale to

taki sam adwokat jak cała reszta, on też prowadzi sprawy i przyjmuje klientów. Każdy adwokat przebywa w kancelarii w określonych godzinach, żeby przyjmować ludzi potrzebujących pomocy prawnej albo udzielać pomocy na zlecenie organów śledczych. Jedynie Izba Adwokacka może nałożyć karę na adwokata, i to dotkliwą, łącznie z pozbawieniem statusu.

– Naprawdę? – Oczy Łamzinej rozszerzyły się ze zdziwienia. Widocznie nigdy przedtem nie słyszała, że adwokaci mają swój status, którego na dodatek można ich pozbawić. – A za co można stracić status? Za przestępstwo kryminalne?

Kirgan się roześmiał.

– Skądże, za to przewidziane są zupełnie inne sankcje. Ale za nierzetelne wykonywanie obowiązków – jak najbardziej.

– Nierzetelne? – powtórzyła zdumiona Natalia Siergiejewna. – Co to znaczy?

– Jak by to pani wytłumaczyć? Adwokat ma obowiązek uczciwie, rozważnie i rzetelnie bronić praw oraz interesów klienta, posługując się wszelkimi środkami dozwolonymi przez prawo. Tak stanowi Prawo o adwokaturze i Kodeks etyki adwokackiej. Każde słowo jest tam na wagę złota i jeśli działania adwokata nie odpowiadają choćby jednemu z nich, można go pozbawić statusu. Oto najprostszy przykład. Adwokat jest obecny na posiedzeniu Komitetu Śledczego, zaproszono go, żeby uczestniczył w jakiejś czynności procesowej z udziałem jego klienta, czynność się skończyła, więc rusza biegiem do wyjścia, ale w tej samej chwili ktoś chwyta go za rękaw i mówi: „Przywieziono zatrzymanego, trzeba go natychmiast przesłuchać, potrzebny jest adwokat, idź tam prędko i pomóż”. Adwokat ma mnóstwo innych spraw, ale nie chce psuć relacji ze śledczym, więc idzie. Stwierdza, że zatrzymany został pobity przez funkcjonariuszy i ledwo kontaktuje. W tej sytuacji powinien zareagować i zażądać przeprowadzenia ekspertyz: sądowo-psychiatrycznej i sądowo-lekarskiej. Ale tego nie robi,

pośpiesznie rozmawia z zatrzymanym, radzi mu, żeby się do wszystkiego przyznał, a sam się ulatnia, gdy tylko kończy się przesłuchanie. Później sprawę przejmuje inny adwokat, który robi wszystko jak należy, i okazuje się, że chłopak nic nie zrobił, przyznał się do wszystkiego, żeby uniknąć bicia. W chwili przesłuchania miał złamaną szczękę – tak gorliwi okazali się stróże prawa. Był też chory psychicznie, dlatego dał się przekonać, że powinien podpisać przyznanie się do winy. Gdyby sprawą nie zajął się inny adwokat, niewinny człowiek trafiłby do więzienia. Właśnie za takie niedbalstwo wymierza się karę pozbawienia statusu.

– A za co jeszcze? – zapytała zaintrygowana Łamzina.

– No cóż, powiem, żeby oderwać panią trochę od smutnych myśli. Proszę sobie wyobrazić, że można stracić status nawet za nieostrożne wypowiedzi i nieprzestrzeganie leksyki urzędowej. Kodeks etyki zawiera zapis: „Prowadząc działalność zawodową, adwokat [...] nie narusza praw, dobrego imienia i godności osób, które zwróciły się do niego po pomoc prawną, jak również klientów, kolegów oraz innych osób, przestrzega norm zachowania i ubioru obowiązujących podczas kontaktów służbowych”. A teraz przetłumaczę na normalny język: kolega oraz inne osoby to sędziowie, oskarżyciele publiczni, śledczy, inni adwokaci, świadkowie i ofiary. Właściwie każdy, kto ma styczność ze sprawą, którą prowadzi dany adwokat. I nie daj Boże wyrazić się lekceważąco czy dwuznacznie o którejś z tych osób.

– Na przykład? Używając wulgaryzmów czy przekleństw?

Witalij nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Ależ skąd, nie chodzi o takie skrajności. Pamiętam, że jakieś dziewięć czy dziesięć lat temu pewien adwokat został pozbawiony statusu za takie oto wypowiedzi: „Sądy powszechne w Moskwie jawnie i bezceremonialnie deprecją prawa człowieka”, „Sąd kasacyjny udał, że nie zapoznał się ze skargą”, „Gdy się pyta, która godzina, otrzymuje się odpowiedź, że pada deszcz”,

„Orzeczenie kasacyjne zawiera te same brednie, które znalazły się w wyroku”. To wszystko wystarczyło, żeby wdrożyć postępowanie dyscyplinarne.

– Nieźle! – Natalia Siergiejewna pokręciła głową. – To znaczy, że nie wolno nic powiedzieć? A może pan jednak przesadza?

– Ani trochę. Proszę, jeśli pani nie wierzy, przytoczę cytaty z Przeglądu praktyki dyscyplinarnej. – Wyjął z szuflady biurka książeczkę obłożoną w papier i szybko ją przewertował. – Jest w miarę nowy, ma zaledwie trzy lata. „Komisja kwalifikacyjna zwraca uwagę, że w swojej wypowiedzi, zarówno pisemnej, jak i ustnej, adwokaci zobowiązani są przestrzegać norm leksyki urzędowej (prawniczej), dbać o staranny dobór słów zgodnie z ich znaczeniem (semantyką) i unikać zwrotów używanych w języku codziennym, zwłaszcza jeśli to dotyczy charakterystyk osobowych uczestników rozprawy sądowej”. Sama pani widzi, szanowna Natalio Siergiejewno, że adwokatom stawia się bardzo surowe wymagania.

Łamzina podpisała umowę i wyjęła kopertę z pieniędzmi.

– Z tym nie do mnie. – Kirgan od razu ją powstrzymał. – Zaraz panią zaprowadzę, wszystko pani załatwi, a później przyniesie mi pełnomocnictwo.

Zaprowadził Łamzinę do okienka sekretarki i już miał wracać do pokoju, gdy natknął się na dawnego kolegę ze studiów, niesłychanie energicznego i aktywnego, jeśli chodzi o organizację imprez. Pod koniec czerwca, za półtora miesiąca, wypadała kolejna rocznica uzyskania absolutorium, więc znajomy, jak co roku, zaczął już prowadzić ożywioną działalność zmierzającą do zebrania całej grupy. Dyskutując o tym, kto kiedy odszedł, przeniósł się lub zwolnił, kto zachorował, kto się rozwiódł i ożenił, Witalij co rusz popatrywał na Natalię Siergiejewną, która z markotną miną przestępowała z nogi na nogę przed okienkiem.

No tak, załatwianie dokumentów to żmudna sprawa. Najpierw sekretarka wyjmie z biurka formularz zlecenia, a z sejfu

kwitariusz. Później zamknie okienko i pobiegnie do dyrektora, żeby podpisał umowę. Gdy wróci, sięgnie po rejestr umów, zarejestruje nową umowę, nada jej numer i przystawi pieczęć. Następnie poprosi klientkę o pieniądze. Przeliczy je, wypełni formularz zlecenia i wypisze pokwitowanie. Na oryginale pokwitowania przybije pieczęć i wręczy je kobiecie.

Kirgan zauważył, że po otrzymaniu pokwitowania Natalia zrobiła krok w tył, jak gdyby chciała wrócić do pokoju adwokata, ale sekretarka ją powstrzymała, mówiąc:

– Chwileczkę, to jeszcze nie wszystko!

Pokwitowanie potwierdzające wpłatę pieniędzy to jeszcze nie wszystko. Najważniejsze jest pełnomocnictwo, bez którego adwokat nie ma absolutnie żadnych uprawnień podczas postępowania. Zaraz sekretarka schowa pieniądze i kwitariusz do sejfu i wyjmie stamtąd formularz pełnomocnictwa, wypełni go, wpisując dane z umowy, przybije okrągłą pieczęć...

– Teraz to wszystko – rozległ się głos w okienku. – Oto pełnomocnictwo, proszę je oddać Witalijowi Nikołajewiczowi.

– Pokwitowanie też? – nieśmiało zapytała Łamzina.

– Nie, pokwitowanie jest dla pani, my mamy kopię.

– A co z umową? Ją też powinnam oddać?

– Nie, to pani egzemplarz, Witalij Nikołajewicz odbierze swój później.

Kirgan przeprosił kolegę i razem z Natalią Siergiejewną wrócił do pokoju. Formalności dobiegły końca, rozmowa z klientką też. Łamzina już chwyciła za klamkę, zamierzając wyjść, gdy nagle się odwróciła i znowu podeszła do biurka.

– Proszę powiedzieć, Witaliju Nikołajewiczu, czy potrafi pan uratować mojego męża?

Kirgan westchnął.

– Zrobię, co tylko się da, żeby znaleźć dowody, dzięki którym Walerij Pietrowicz będzie mógł zostać zwolniony. To zadanie maksimum. Ale nikt nie da pani żadnych gwarancji. Całkiem możliwe, że nie uda mi się niczego znaleźć mimo podjętych wysiłków. Dowody winy okażą się bardziej przekonujące. W tym przypadku moje zadanie będzie polegało na tym, żeby zasiać wątpliwości w umyśle sędziego i ubiegać się o zmniejszenie wymiaru kary. Bo widzi pani, Natalio Siergiejewno, sędzia to też człowiek. Gdy wysłucha wystąpień stron, przemyśli nasze argumenty i pójdzie sporządzić orzeczenie. Będzie je pisał i myślał: „Nie wszystko tam oczywiście wygląda ładnie, ale wyrok uniewinniający jest przecież cztery razy dłuższy od skazującego, wymaga o wiele dokładniejszego uzasadnienia, no a kiedy pisać te wszystkie uzasadnienia? Mam mnóstwo spraw na głowie, już i tak z niczym nie nadążam, wracam do domu po północy. Napiszę orzeczenie skazujące, pójdzie mi łatwiej i szybciej, wystarczy przepisać uzasadnienie aktu oskarżenia, nie będę musiał się zastanawiać nad sformułowaniami. Zwłaszcza że śledczy na wszelki wypadek przyniósł też pendrive’a z zarzutami, więc mogę nawet nie przepisywać, tylko skopiować większe partie tekstu. W końcu postępowanie przygotowawcze wymagało wiele pracy, ludzie się starali, zebrali dowody winy, czemu mam im nie ufać? No tak, są jednak pewne wątpliwości... A jeśli oskarżony jest niewinny? No

dobrze, zmniejszą trochę wyrok”. Taka jest prawda, Natalio Siergiejewno. Nie mam prawa jej ukrywać przed panią.

– A więc Walera zostanie skazany? Przecież nie zabił Miszy Bołtjenkowa! Wiem na pewno, że nie zabił! Wierzy mi pan?

Niestety, ludzie wciąż zadają adwokatom to niewłaściwe pytanie. Adwokat nie musi wierzyć klientowi. Każdy człowiek ma prawa zagwarantowane przepisami, niezależnie od tego, czy kłamie, czy mówi prawdę, czy jest zabójcą, czy kryształowo uczciwym i porządnym człowiekiem. Tak więc nawet najbardziej zagorzałego recydywisty nie wolno oskarżyć o to, czego nie zrobił i posłać za kratki. A każdy sprawiedliwie osądzony ma prawo do tego, żeby wymierzona kara była adekwatna do popełnionego przestępstwa. To właśnie adwokat powinien pilnować, żeby wszystkie zasady procesowe były przestrzegane, żeby nie pojawiały się lewe dowody, żeby nie wymuszano zeznań i przyznania się do winy, żeby nie było fałszywych świadków i innych rzeczy, które tak skwapliwie się wykorzystuje w celu jak najszybszego zakończenia postępowania przygotowawczego i skierowania sprawy do sądu, no i żeby opracowując raport, policjanci mogli postawić ptaszek w rubryce „wykryto”, a śledczy – „postępowanie zakończono”. To, czy adwokat wierzy klientowi, nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

Gdy Witalij Kirgan był jeszcze nastolatkiem, jego ojciec, znany adwokat, bardzo przystępnie wyjaśnił mu ten stan rzeczy, dzięki czemu emocjonalne głosy typu: „Jak ci nie wstyd bronić zabójców i gwałcicieli?! Jak możesz patrzeć ludziom w oczy?!” szybko przestały go oburzać, wywołując jedynie żal z powodu powszechnego braku znajomości prawa. Należy wprawdzie przyznać, że ze trzy albo cztery razy stoczył zażartą bójkę z kolegami w szkole, słysząc podobne wypowiedzi pod adresem ojca, ale później zobojętniał i postępował w zależności od sytuacji: albo tłumaczył wszystko tak, jak mu wyłożył ojciec, jeśli sądził, że argumenty pomogą, albo po prostu milczał. Ale



nie wpadał już w szewską pasję i nie wdawał się w bijatyki.

A na pytanie Natalii Siergiejewny Łamziny odpowiedział wymijająco:

– Będę uczciwie i rzetelnie wykonywał swoją pracę, żeby zrobić, co tylko się da. To mogę pani zagwarantować. Niczego więcej żaden porządny adwokat nie może obiecać.

===

Po tamtej potężnej ulewie, podczas której znaleziono ciało trenera Bołtienkowa, przez parę dni pogoda w Moskwie była taka jak zwykle w maju: zimna i pochmurna. Timur Achmedowicz Bağłajew lubił taką aurę. Nie przepadał za ostrym słońcem, choć właściwie nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. Niby wszystko dobrze, błękitne niebo, przyjemny wiaterek, ciepły jak latem, ale wystarczyło, że rano otworzył oczy i zobaczył podłogę zalaną słońcem (okna jego sypialni wychodziły na wschód), a od razu tracił humor.

Dzisiaj też się zirytował, gdy zauważył, że pogoda się zmieniła i jest słonecznie, a szare chmury, miłe jego sercu, się rozwiały. Podczas śniadania prawie się nie odzywał do żony i dzieci, na porannej naradzie ze zwierzchnikami był nieuprzejmy, w stosunku do zatrzymanych zachowywał się nieżyczliwie i arogancko. Po południu poświęcił dwie godziny na przygotowanie dokumentów procesowych, po czym spojrzął na zegarek i z ulgą pomyślał, że do czynności śledczej w sprawie gwałtu, wyznaczonej na szesnastą trzydzieści, pozostało jeszcze czterdzieści minut, będzie więc mógł...

Ale okazało się, że musi zapomnieć o swoich planach. W tej samej chwili zadzwonił bowiem dyżurny i oznajmił, że przyszedł adwokat Kirgan. Bağłajew miał wielką ochotę go nie wpuścić, wymawiając się nawałem pracy, albo poprosić dyżurnego, żeby powiedział, że nie ma go w biurze, wyjechał i nie wiadomo, kiedy wróci. Pokusa była silna... Nie lubił jednak takich

wybiegów i jeśli się do nich uciekał, to tylko w wyjątkowych sytuacjach. A dzisiaj sytuacja na pewno nie była wyjątkowa.

Nie miał okazji poznać wcześniej adwokata, chociaż nazwisko wydało mu się znajome. Zanim otworzyły się drzwi, Timur Achmedowicz przypomniał sobie siwego, niemłodego adwokata, który prowadził wykłady dla studentów specjalizujących się w prawie karnym. Czyżby do tej pory praktykował? – ze zdziwieniem i mimowolnym szacunkiem pomyślał, spodziewając się zobaczyć mężczyznę w sędziwym wieku.

Ale adwokat, który wszedł do pokoju, nie był bynajmniej siwy i wyglądał na rówieśnika Bagłajewa. Jednakże podobieństwo do mężczyzny, którego Timur Achmedowicz widywał niegdyś na uczelni, było uderzające. No oczywiście, to jego syn!

– Dzień dobry, jestem adwokatem, nazywam się Witalij Nikołajewicz Kirgan. – Mężczyzna sprężystym krokiem przeciął pokój i wyciągnął rękę do Bagłajewa. – Mam pełnomocnictwo w sprawie Łanzina.

– Timur Achmedowicz Bagłajew – przedstawił się śledczy.

Adwokat położył przed nim pełnomocnictwo i legitymację adwokacką. Timur Achmedowicz z kamienną twarzą skserował legitymację i zwrócił ją właścicielowi, po czym otworzył sejf, wyjął akta sprawy i włożył do teczki kserokopię oraz pełnomocnictwo.

– No więc, Witaliju Nikołajewiczu, zamieniam się w słuch – powiedział z poważną miną i wbił pytający wzrok w adwokata, jakby nie wiedział, po co ten w ogóle przyszedł i co zamierza tutaj robić.

Kirgan uśmiechnął się ujmująco.

– Pokaże mi pan dokumenty?

Dokumenty... Oczywiście, że śledczy pokaże adwokatowi dokumenty, nie ma prawa tego nie zrobić. Ale nie tak od razu!

Timur Achmedowicz znacząco spojrział na zegarek.

– Niestety za dwadzieścia minut mam przesłuchanie świadka.

– To nic, zdążę – przyjaźnie odparł adwokat.

– Ale nie ma tu teraz miejsca, sam pan widzi, że biurko jest zawałone papierami, nie mogę ich sprzątnąć, muszę je przejrzeć przed przesłuchaniem.

– Nic nie szkodzi, usiądę sobie w kąciuku.

Nagle Bagłajew odzyskał humor. Adwokat spoglądał mu prosto w oczy i miło się uśmiechał. Timur Achmedowicz mimo woli też się uśmiechnął. Obaj wiedzą, że to część gry, rutynowa wymiana zdań. Śledczy nie powinien pałać szczególną niechęcią do adwokata, jeśli, rzecz jasna, adwokat gra uczciwie i według reguł. Przeciwnie, każdy rozsądny śledczy przychylnie traktuje adwokata, bo przestrzeganie zasad dotyczących udziału obrońcy to gwarancja, że wyrok nie zostanie później uchylony z powodu naruszeń prawa procesowego. Poza tym w sądzie trudniej będzie zakwestionować stanowisko oskarżenia, jeżeli wszystkie czynności w postępowaniu przygotowawczym zostaną przeprowadzone zgodnie z prawem, a obrońca miał w nich zapewniony należyty udział.

Nie z każdym adwokatem, oczywiście, Timur Achmedowicz znajduje wspólny język. Obrońcy bywają różni: są tacy, którzy od razu rozpoczęli pracę w zawodzie, ale są też tacy, którzy postanowili zająć się praktyką adwokacką, spędzając uprzednio parę lat w policji czy w prokuraturze. Tych ostatnich Bagłajew nie darzy sympatią. Większość z nich zaczyna znajomość od stwierdzenia, że są „kolegami po fachu”, urobili sobie ręce po łokcie, zajmując się oskarżaniem przestępców, ale „sam chyba rozumiesz, trzeba utrzymać rodzinę, a wiesz przecież, ile płacą w policji. Zresztą w prokuraturze nie lepiej. Zjadłem zęby na tej robocie, więc bez problemu się dogadamy”. Śledczy Bagłajew miał uczulenie na takich obrońców i czuł do nich wyłącznie pogardę. Skoro podjąłeś decyzję o przejściu do intratniejszej pracy, po co się usprawiedliwiasz? Miałeś do tego prawo, na miłość boską. Usprawiedliwienia budziły w Timurze Achmedowiczu całkiem uzasadnione podejrzenia, że dany adwokat nie tyle realizuje się jako obrońca, ile próbuje

„rozwiązać problemy”, wykorzystując liczne znajomości w prokuraturze albo w wydziale kryminalnym. Ohyda.

Jednakże Kirgan wyraźnie nie należał do tej kategorii. Timurowi Achmedowiczowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby rozpoznać dawnych śledczych czy policjantów. Może zdradzał ich wyraz oczu, a może sposób mówienia czy zachowania. Śledczy jeszcze ani razu się nie pomylił. Tłumaczenie, że nie ma zupełnie czasu ani miejsca w pokoju, było niczym innym, jak tylko zwyczajnym badaniem delikwenta: czy będzie się przypochlebiał, czy zacznie grozić i naciskać, czy wykaże się poczuciem humoru? Ogniki tańczące w oczach adwokata świadczyły o tym, że poczucie humoru nie było mu obce.

– Ależ czemu miałby pan to robić w kąciu? – zaproponował Bagłajew. – Niech pan przyjdzie po siódmej wieczorem, gdzieś koło wpół do ósmej, poświęcę panu wtedy tyle czasu, ile będzie trzeba, zwolnię też biurko, żeby mógł pan sobie przy nim wygodnie usiąść.

– I pozwoli pan zrobić kserokopie? – nieufnie zapytał Kirgan.

A to spryciarz! Zgodnie z prawem oskarżony i jego obrońca mogą kopiować materiały sprawy karnej, w tym za pomocą urządzeń technicznych, dopiero po zakończeniu postępowania przygotowawczego, w procesie zapoznawania się z materiałami sprawy karnej. Śledczy powinien im to zapewnić, zgodnie z artykułem 217 Kodeksu postępowania karnego. Zanim nastąpi ta wiekopomna chwila, adwokatowi wolno sporządzać tylko wyciągi. W zasadzie może przepisać nawet cały dokument, nie ma żadnych ograniczeń, ale kopiować, na przykład za pomocą aparatu fotograficznego, telefonu komórkowego czy kserokopiarki... może tylko, jeśli śledczy mu na to pozwoli. Ten ma prawo jednak odmówić. Bo nie musi wyrażać zgody przed zakończeniem postępowania przygotowawczego. To sprawa jego dobrej woli.

Czy warto pozwolić Kirganowi, żeby skopiował dokumenty, z którymi ma prawo się zapoznać? Bagłajew spróbował szybko

wyliczyć w pamięci dokumenty znajdujące się w aktach sprawy, które adwokat ma prawo przejrzeć. Protokół zatrzymania, postanowienie o wszczęciu postępowania karnego, pisemne wyjaśnienie zatrzymanego, protokół przesłuchania, postanowienie o zastosowaniu środka zapobiegawczego, protokół przeszukania... Aha, jeszcze raporty funkcjonariuszy policji o wpłynięciu zawiadomienia i o znalezieniu ciała. Tak, protokół przeszukania...

Niech go piekło pochłonie! Statystyka przecież dowodzi, że dwa zabójstwa w ciągu tego samego wieczoru na tym samym terenie to rzecz mało prawdopodobna, jeśli oczywiście nie mają ze sobą żadnego związku. Więc chyba sam diabeł podkusił dwóch przestępców do popełnienia zbrodni na tym akurat terenie, i to w tak krótkim odstępie czasu!

Zwierzchników też właściwie można zrozumieć. Zabójstwo wysokiego urzędnika z prefektury okręgowej jest dla nich ważniejsze niż zabójstwo zwyczajnego trenera łyżwiarstwa figurowego. Dlatego kazali Bağlajewowi, żeby rzucił wszystko i pognał na sąsiednią ulicę, gdzie eksplodował samochód, którym zastępca prefekta okręgu zamierzał wrócić do domu po wizycie u znajomych. Timur Achmedowicz przeczuwał, że to się źle skończy! Nie miał zwyczaju rzucać zaczętej roboty i zajmować się czymś innym, zwłaszcza jeśli niedoprowadzona do końca sprawa mogła przyjąć nieprzyjemny obrót. No i przyjęła.

Nie zdążył przeprowadzić przeszukania. Zrobił to dopiero rano, no i, rzecz jasna, niczego nie znalazł. Nic w tym dziwnego... Bo chociaż podejrzanego zatrzymano i aresztowano, w domu zostały żona, dawna sportsmenka, i dorosła córka, aktywnie uprawiająca sport, to znaczy dwie silne kobiety, z charakterem i sprawne fizycznie. To jasne, że od chwili opuszczenia mieszkania przez grupę operacyjno-śledczą do chwili powrotu śledczego w celu przeszukania zdążyły wyrzucić albo zniszczyć wszelkie dowody. Tak więc protokół

przeszukania, które nie przyniosło żadnego rezultatu, nie mógł przypieczętować sukcesu śledczego Bagłajewa. Ale przecież to dopiero początek dochodzenia, nic nie szkodzi, że na tym etapie nie ma jeszcze żadnego przełomu. Choć właściwie jest, bo podejrzany został wytypowany i ujęty. Tyle że sukces jest połowiczny.

Ta sytuacja nie podobała się Timurowi Achmedowiczowi, który lubił działać metodycznie i nieśpiesznie. Z drugiej strony nie ma powodu wstydzić się protokołu. Został sporządzony poprawnie, bez naruszenia prawa. No a to, że nie ma wyniku, to rzecz normalna. Wszystko da się naprawić.

– Zgadzam się na zrobienie kserokopii. – Odczekawszy chwilę, Bagłajew skinął głową. – O kolejnych materiałach porozmawiamy później i wtedy zobaczymy. Te, które są, może pan skserować, jeśli to konieczne.

– Dziękuję. – Adwokat uśmiechnął się szeroko i położył skromną wizytówkę na biurku przed Bagłajewem. – Mam nadzieję, że do wieczora nic pilnego się nie wydarzy i nie będzie pan musiał mnie wzywać, ale na wszelki wypadek już teraz zostawiam panu swoje namiary. Aha, potrzebuję też pozwolenia na widzenie w SIZO[7].

Bagłajew uznał, że może oczywiście pójść na rękę sympatycznemu w gruncie rzeczy adwokatowi, ale pośpiech nie jest wskazany. Pozwolił mu skserować materiały? No to niech się cieszy. To prawda, że adwokat ma prawo do widzenia z oskarżonym albo podejrzany z chwilą, gdy włączy się do sprawy. A śledczy nie ma prawa mu nie pozwolić. Ale adwokat będzie musiał okazać w areszcie dokument, pismo podpisane przez śledczego i opatrzone pieczęcią prokuratury. Śledczy może od razu je napisać, ale może też zagrać na zwłokę. Żeby adwokatowi nie przewróciło się w głowie.

– Pozwolenie otrzyma pan wieczorem. – Bagłajew ze smutkiem rozłożył ręce. – Nie mam w pokoju pieczęci, została w kancelarii.

W oczach Kirgana znowu zatańczyły figlarne ogniki. Zdaje się, że był naprawdę doświadczonym adwokatem.

– Timurze Achmedowiczu – powiedział – doceniam pańską gotowość do konstruktywnej współpracy. Do zobaczenia.

Uścisnęli sobie ręce. Odprowadzając wzrokiem adwokata wychodzącego z pokoju, śledczy Bagłajew pomyślał z rozbawieniem, że Kirgan chyba wygrał pierwszą rundę. Raczej nie planował dzisiaj odwiedzin w areszcie, toteż nic nie stało na przeszkodzie, żeby pozwolenie na widzenie z klientem zaczęło do wieczora. Obrońca najpierw chciał przejrzeć dokumenty, żeby się przygotować i zastanowić, jakich informacji potrzebuje od Łamzina i o co go najpierw zapytać. Dlatego potulnie przyjął głupie wytłumaczenie dotyczące braku pieczęci, które mogło wywieść w pole jedynie bardzo niedoświadczonego prawnika.

To, co powiedział na pożegnanie, spodobało się Bagłajewowi. Musi zapamiętać usłyszane zdanie, żeby je wykorzystać w razie potrzeby. Jest doskonałe, w pierwszej chwili nie wiadomo, czy ktoś mówi poważnie, czy z drwiną, nie ma jednak do czego się przyczepić.

===

Popatrując na ekran GPS-a i wybierając trasę objazdu, Nastia Kamieńska po raz kolejny podziękowała w myślach wynalazcom tego wspaniałego urządzenia, które pozwala przynajmniej częściowo unikać korków. Żeby tak jeszcze udało się skrócić do minimum spotkanie z Natalią Łamziną i zaoszczędzić czas. Wykonywanie zadania zleconego przez adwokata zajmującego się sprawą karną to przyjemność, która zdarzała się rzadko, więc Nastia była bardzo zadowolona, gdy Stasow właśnie jej powierzał tego rodzaju pracę. Nie знаła adwokata Kirgana, był nowym klientem w ich agencji, nigdy przedtem nie miała okazji z nim pracować. Do Stasowa zadzwonił jego przyjaciel, szef innej agencji, z informacją, że zwrócił się do niego znajomy

adwokat, z którym parę razy już współpracował, ale gość ma pracochłonne zadanie, a w agencji wszyscy są jak na złość zajęci, bo wynajęto ich do sprawdzania wiarygodności partnerów dużej transakcji.

– Może dasz się namówić i pomożesz dobremu człowiekowi?

Stasow dał się namówić. Nie wiadomo, o czym rozmawiał z klientem, ale dzisiaj z samego rana powierzył Nasti nowe zadanie. Trzeba znaleźć wrogów dwóch trenerów łyżwiarstwa figurowego: Michaiła Bołtjenkowa i Walerija Łamzina. Jeden z nich został zabity, drugi aresztowany w związku z podejrzeniem o zabójstwo, ale są podstawy, by przypuszczać, że Łamzina ktoś zrobił. Zdaniem Stasowa najlepiej byłoby znaleźć takiego figuranta, który chciał dobrać się do skóry obu trenerom, wtedy wszystko będzie jasne: jednego zabił, drugiego zrobił.

No cóż, Anastazja Kamieńska już dawno opracowała sposób poszukiwania wrogów w tego rodzaju sytuacjach. Był niezwykle prosty, lecz gwarantował szybki efekt. Dwadzieścia pięć lat pracy w wydziale kryminalnym nauczyło ją, że sondowanie członków rodziny zarówno ofiar, jak i podejrzanych to sprawa nieproduktywna z punktu widzenia czasu. Ludzie są w stresie, zdenerwowani, trudno im się skupić i mówić o tym, na czym zależy funkcjonariuszom. Chcą przedstawić bliską osobę w korzystnym świetle. Jednym słowem, starają się mówić zupełnie o czymś innym i odpowiadać na zupełnie inne pytania.

Natalia Łamzina już czekała przed wejściem do domu – zaraz po spotkaniu musiała jechać do pracy. Wygląda na to, że ona też nie ma czasu, co daje pewną nadzieję.

Pierwszą rzeczą, o którą zapytała Nastia, było zdrowie Walerija Pietrowicza Łamzina. Odpowiedź na to pytanie zazwyczaj od razu zdradzała układ sił w rodzinie. Jeśli z odpowiedzi będzie wynikało, że Łamzin nie omawia swoich problemów z żoną, nie warto też pytać o jego wrogów, Natalia Siergiejewna z pewnością ich nie zna. Natomiast jeśli kobieta



zacznie się rozwodzić nad samopoczuciem męża i opowiadać o jego chorobach, jest szansa, że uda się poznać nazwiska nieżyczliwych mu osób.

Łamzina zdziwiła się, słysząc pytanie, ale odparła, że Walerij Pietrowicz nie narzeka na zdrowie, już ze sto lat nie brał zwolnienia i na nic się nie uskarżał.

– Narzekanie nie leży w jego naturze – powiedziała. – Nawet gdy odzywają się dawne urazy, nabyte w czasach młodości, po kryjomu łyka tabletki i nie mówi ani słowa. Domyślam się, że go coś boli, gdy przypadkiem zauważam puste opakowanie po lekarstwach w koszu na śmieci.

Odpowiedź zadowoliła Nastię. Z doświadczenia wiedziała, że odpowiedź na pytanie: „Kim są wrogowie?” jest bardzo trudna, zwłaszcza dla ludzi łagodnych i porządnych, którzy zawsze wzdrygają się przed tym, żeby kogoś oczernić, rzucić cień na inną osobę, jeśli nie jest niczemu winna. Dlatego lepiej zapytać: „Kim są przyjaciele?”. A potem właśnie ich wypytać o wrogów. Nastia doskonale wiedziała jeszcze jedno: człowiek, który nie ma skłonności paranoicznych, nigdy nie będzie wyjawiał żonie, że ktoś mu źle życzy. Przyjaciołom, owszem, opowie, zwierzy się, ale nie żonie. Nastia nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje, ale podejrzewała, że mężczyźni nie chcą wyglądać na słabeuszy w oczach ukochanych kobiet. Za nic nie poskarżą się na złe samopoczucie albo problemy w pracy, chociaż właśnie w domu są wśród najbliższych osób, którym nie jest wszystko jedno. Jednakże z jakiegoś powodu znaczna część mężczyzn uważa, że nie ma prawa okazywać słabości i bezradności w gronie bliskich. Walerij Pietrowicz Łamzin chyba należał do tej kategorii. Dlatego nie warto pytać Natalii Siergiejewny o wrogów, ale o przyjaciół – jak najbardziej. Zwłaszcza o tych, którzy ostatnio z jakiegoś powodu się odsunęli.

Pół godziny później Nastia pożegnała się z Łamziną, zapisawszy uprzednio numer telefonu trenera nazwiskiem Gulin. Zdaniem Natalii Siergiejewny jej mąż i Gulin bardzo się

przyjaźnili, i to od dawna, ale dwa czy trzy lata temu przestali się spotykać. Ze słów Walerija Pietrowicza wynikało, że Gulin odwiedził go kiedyś bez uprzedzenia pod pretekstem jakiejś pilnej sprawy, podpatrzył nowy pomysł choreograficzny, na który wpadli Łamzin z choreografem, i włączył go do programu swojej uczennicy.

– Walera oczywiście nie sądził, że Gulin z rozmysłem dopuścił się tej podłości – opowiadała Natalia Siergiejewna. – Rzeczywiście miał sprawę niecierpiącą zwłoki, ale gdy zobaczył nowy element w wykonaniu łyżwiarki Walery, nie mógł się powstrzymać i ukradł pomysł.

– I co było potem? – zapytała zaintrygowana Nastia, która nie miała zielonego pojęcia o łyżwiarstwie figurowym i nie wiedziała, co to znaczy „ukraść pomysł choreograficzny” oraz jaka jest cena takiego czynu. – Czy to źle, że różni sportowcy wykonują ten sam element?

– Gulin zajmował się starszymi łyżwiarzami, nowe kroki i obroty wyglądały znacznie lepiej i bardziej elegancko w wykonaniu jego łyżwiarki niż w wykonaniu dziewczyny Walery. A zresztą uczniowie Walery nie jeżdżą na międzynarodowe zawody, poziom nie ten, tymczasem Gulin rok temu był ze swoimi juniorami na Grand Prix i zaprezentował międzynarodowemu jury program z nową choreografią. Uczennica Walery nie wypadła tak efektownie i występowała tylko na naszym lodowisku, w Rosji, więc wszyscy od razu zaczęli mówić, że to nie Gulin ukradł pomysły Łamzina, tylko odwrotnie, Łamzin okradł Gulina, ale ponieważ jego łyżwiarka jest słabsza, wypadła znacznie gorzej.

– Mąż się zdenerwował?

– To mało powiedziane! Był wściekły! Strasznie krzyczał i przeklinał, od tej pory w naszej rodzinie nie wolno nawet wspominać o Gulinie.

W ciągu trzydziestu minut zdążyły parę razy dotrzeć do najbliższego skrzyżowania i zawrócić. Nastia wolałaby

oczywiście gdzieś usiąść, ale w obecnych warunkach, gdy jest zwyczajnym prywatnym detektywem, a nie oficerem, za którego plecami stoi państwo, musi ustępować i postępować zgodnie z życzeniem klienta. Teraz klientem była właśnie ona, żona zatrzymanego, mimo że za pośrednictwem adwokata. No a Natalia Łamzina czuła się o wiele pewniej w ruchu.

Gdy się pożegnały, Łamzina szybkim krokiem ruszyła w stronę przystanku autobusowego, żeby dostać się do najbliższej stacji metra, a Nastia Kamińska wróciła do samochodu i zadzwoniła do Gulina, żeby się umówić na spotkanie. Słyszając, że chodzi o aresztowanie Łamzina, Gulin przez dłuższą chwilę milczał, potem z westchnieniem się zgodził i podyktował adres.

===

Władisław Stasow po raz kolejny wstał z niewygodnego krzesła i przespacerował się tam i z powrotem. Na końcu korytarza znajdowało się okno wychodzące na boczną uliczkę. Dzień był ciepły, na tarasie małej restauracji po drugiej stronie już nakryto stoliki pod parasolami w biało-czerwone pasy. Na obiad jeszcze za wcześnie, dopiero jedenasta, ale parę stolików było już zajętych – przy jednym grucha para siedemnasto-, osiemnastolatków, oboje w dzinsach i w koszulkach, cienkie kurtki niedbale rzucili na wolne krzesła, przy drugim tęgi facet pije kawę macchiato w wysokiej szklance i czyta coś na tablecie. Stasow zapragnął wyjść i usiąść przy stoliku pod parasolem, zamówić duży dzbanek aromatycznej czarnej herbaty i okazały kawałek tortu, takiego jak ten, który kelner właśnie przyniósł młodym ludziom. Ciasto było apetyczne, przybrane sporą porcją bitej śmietany...

Nie może jednak tego zrobić. To znaczy może, oczywiście, tyle że nie powinien. Tutaj, na korytarzu, cierpliwie czeka na śledczego Bagłajewa, którego ma obowiązek powiadomić, że on,

Władisław Stasow, dyrektor prywatnej agencji detektywistycznej Własta, zawarł umowę dotyczącą poszukiwania informacji w sprawie prowadzonej przez Timura Achmedowicza. Zgodnie z Ustawą O prywatnych usługach detektywistycznych i ochroniarskich powinien to zrobić na piśmie w ciągu doby od chwili zawarcia umowy. Stasow szanował prawo i umiał przestrzegać przepisów w taki sposób, żeby to nie przeszkadzało w pracy. Nauczył się tak sprytnie sporządzać umowy, że nawet w razie konieczności ich przedstawienia nikt nie mógł się do niczego przyczepić. I choć nie ma obowiązku okazywać dokumentu, zdarzają się sytuacje, gdy lepiej to zrobić i nie odmawiać, żeby nie psuć relacji z ludźmi, których przychylność może się później przydać.

Śledczego nie ma jednak w biurze. I nie wiadomo, kiedy będzie. Wystarczy, że Stasow na chwilę się oddali, by napić się herbaty, a nieuchwytny Bağlajew właśnie wtedy się zjawi, by zaraz zniknąć, i znowu trzeba będzie na niego polować. Tak minie doba wyznaczona ustawą, jak później udowodnić, że termin został przekroczony nieumyślnie, nie ze złej woli? Relacje śledczych z prywatnymi detektywami nie są jeszcze unormowane i nie mają żadnych tradycji, tak więc raczej nie warto zakładać, że ktoś zrozumie, wybaczy i spojrzy przez palce. Zawsze trzeba być przygotowanym na najgorsze. To dewiza Władysława Stasowa.

Szczerze mówiąc, takie podejście do pracy i generalnie do życia doprowadziło do tego, że romans jego córki z oficerem śledczym nie daje mu teraz spokoju. Wyobraźnia podsuwa ponure obrazy i konsekwencje. Bez względu na to, czym Stasow się zajmuje, jego myśli krążą wokół Lili, czasami z niezadowoleniem zauważa, że o młodszego syna, Griszę, martwi się znacznie mniej. Griszka nie sprawia żadnych kłopotów, kończy szkołę, dobrze się uczy, szykuje na studia. W dodatku Tania, jego matka, ukochana żona Stasowa, zawsze jest przy dziecku i łagodnie, ale skutecznie je kontroluje.

A Lilka mieszka sama, jej mama, pierwsza żona Stasowa, już od roku przebywa w Ameryce Łacińskiej i raczej szybko nie wróci. Lila jest już oczywiście dorosła, skończyła dwadzieścia sześć lat, więc niezręcznie jej pilnować, mimo to przydałaby się macierzyńska ręka i udzielona w porę mądra rada. Chociaż jaką radę może dać Margarita? Sama prowadzi zwariowane życie... Którego ma już męża? Trzeciego albo czwartego, Stasow stracił rachubę. A z iloma mężczyznami żyła bez ślubu? Ilu miała kochanków? Więc licho wie, może to lepiej, że Rity nie ma teraz w Moskwie. Stasow sam sprostaj wyzwaniu, nie doradzi źle swojej ukochanej księżniczce.

Gdy do drzwi z tabliczką „St. śledczy T. A. Bagłajew, śledczy W. K. Ignatow” zbliżył się blondyn o miłej twarzy i sprężystej sylwetce, Władisław Nikołajewicz prędko oszacował, z którym śledczym ma do czynienia. Jeśli to Ignatow, jest za stary, żeby być „zwykłym” śledczym. W tym wieku, gdy kariera rozwija się prawidłowo, dawno już pora awansować na „starszego”. Mężczyzna ma mądre i żywe oczy, ktoś taki na pewno umie zadbać o własną karierę. Czyli że to właśnie on, starszy śledczy Bagłajew...

– Timur Achmedowicz? – Stasow wstał i zrobił krok w stronę mężczyzny.

Ten wyjął klucz z zamka i wsunął cały pęk do kieszeni, ale nie otworzył drzwi. Odwrócił tylko głowę w stronę gościa.

– Słucham pana.

Głos też ma przyjemny. Może tym razem się poszczęści, śledczy okaże się normalny i nie będzie żadnych problemów?

– Władisław Nikołajewicz Stasow – przedstawił się i wręczył Bagłajewowi wizytówkę z nazwą agencji i pozostałymi danymi. – Przywożem panu pisemne powiadomienie.

– Powiadomienie? – Brwi Bagłajewa poruszyły się ze zdziwieniem.

Wszystko jasne, pomyślał Stasow. Facet nie pracował jeszcze z prywatnym detektywem. Może i czytał ustawę, gdy ją przyjęto,

ale nie zapoznał się ze zmianami oraz uzupełnieniami i nie ma pojęcia, jak ją stosować. No cóż, łatwo nie będzie.

– Proszę wejść. – Timur Achmedowicz z wyraźną niechęcią zaprosił gościa do pokoju. – O czym zamierza pan mnie powiadomić?

Stasow wyjął z teczki kartkę z wydrukowanym pismem, które opatrzył własnym podpisem i pieczęcią firmy dla większej wiarygodności. Ciekawe, czy śledczy będzie się czepiał? Chociaż co właściwie może powiedzieć? Jakie wyłuszczyć pretensje? Ustawa nie wskazuje, w jakiej formie należy przedstawić powiadomienie, więc śledczy nie ma podstaw, żeby je podważyć. Zostało sporządzone i koniec, najważniejsze, że informacja została podana w formie pisemnej i z zachowaniem terminu.

Bagłajew chyba rzeczywiście widzi takie pismo po raz pierwszy. Władisław Nikołajewicz nawet poczuł ciekawość, jak doświadczony śledczy wybrnie z sytuacji. Ile lat musi jeszcze minąć, żeby proces wsparcia informacyjnego postępowania karnego stał się normalny? Jakiś mądrała wymyślił, że rozprawa sądowa w Rosji powinna się odbywać z udziałem obu stron, jak w postępowych krajach demokratycznych! W Kodeksie postępowania karnego znalazł się ten w gruncie rzeczy słuszny zapis, który nie ma jednak oparcia w przepisach proceduralnych.

Udział stron w rozprawie sądowej oznacza, że sąd wysłuchuje zarówno oskarżenia, jak i obrony, po czym rozważa, czyje argumenty są mocniejsze i bardziej przekonujące. O ile dawniej, zgodnie z poprzednim ustawodawstwem, zbieranie dowodów zarówno winy, jak i niewinności wchodziło w zakres obowiązków jednej osoby, to znaczy śledczego, o tyle teraz funkcje rozdzielono. Może to i słuszne. Tyle że oskarżenie otrzymało od państwa potężną machinę do zbierania dowodów, a obrona została, jak to się mówi, z gołym tyłkiem. Że niby sama powinna sobie radzić.

No to sobie radzi. Ale na razie wychodzi jej nie najlepiej...

Adwokat może oczywiście zebrać pewne dowody, ale czy jest w stanie bez żadnej pomocy zrobić to, co niezbędne, żeby oprzeć się machinie państwa? Marzenie ściętej głowy. Do tego potrzeba pomocników. To znaczy prywatnych detektywów. Im zaś trzeba płacić. Każdy klient powinien płacić z własnej kieszeni. Ale czy wszyscy potrzebujący obrony w sprawach karnych są dość majątni? No właśnie. Prywatnym detektywom najczęściej zleca się sprawy cywilno-prawne, pracownicze albo rodzinne: niewierni małżonkowie, trudne dzieci, wiarygodność i zdolność kredytowa partnerów biznesowych, badanie rynku, ustalanie okoliczności świadczących o nierzetelnej konkurencji, poszukiwanie utraconego mienia albo zaginionych osób, zbieranie informacji o kandydatach na stanowisko podczas procedury przyjmowania do pracy.

W Rosji prywatni detektywi są rzadkimi gośćmi w postępowaniu karnym. Jeśli obrona ich zatrudnia, stara się robić to nieoficjalnie, bez umowy i faktury. Nikt nie lubi płacić podatków, to zrozumiałe. Poza tym zgodnie z ustawą prywatny detektyw ma obowiązek powiadomić śledczego, że zawarł umowę i będzie teraz szukał świadków oraz informacji sprzecznych z celami śledczego. Komu to się może spodobać? Dlatego bez umowy jest jakoś... spokojniej. I pewniej. Zdarza się, że prywatni detektywi pracują, żeby podważyć oficjalną linię dochodzenia, a śledczy nie mają pojęcia, co z nimi począć, gdy się zjawiają.

Prawdę mówiąc, Stasow też nie miał zbytnej ochoty, żeby zawierać umowę, o której musi teraz poinformować śledczego. Ale adwokat Kirgan go uprzedził, że zapowiada się praca w wąskim profesjonalnym gronie, gdzie wszyscy się znają i najprawdopodobniej niezbyt lubią, w dodatku ktoś na górze próbuje kontrolować sytuację, więc lepiej nie narażać się na nieprzyjemności. Informacje o tym, że ktoś prócz policjantów kręci się i zadaje różne pytania, na pewno wyciekną i bardzo szybko dotrą do śledczego. A wtedy Noc Świętego Bartłomieja

murowana. Łącznie z odebraniem licencji na świadczenie prywatnych usług detektywistycznych.

Bagłajew parę razy przeczytał dokument, który wręczył mu Stasow, odchrząknął i ruszył ku drzwiom. Władisław Nikołajewicz podążył za nim w milczeniu. Śledczy zamknął pokój i poszedł gdzieś z pismem w ręku, pozostawiając gościa na korytarzu. No jasne. Pobiegł do zwierzchników, żeby się poradzić i zapytać o wytyczne. Znowu trzeba czekać.

Timur Achmedowicz wrócił po dłuższym czasie i ruchem głowy zaprosił Stasowa do pokoju.

– Niech pan przystępuje do pracy – powiedział ze źle skrywanym niezadowoleniem. – Mam nadzieję, że nie muszę przypominać, iż w razie stwierdzenia znamion przestępstwa...

– Pamiętam, Timurze Achmedowiczu – zapewnił go Stasow. – Natychmiast pana powiadomię. Pana albo inną upoważnioną osobę.

– Na to liczę – burknął śledczy, nie patrząc na Stasowa. – Powodzenia.

Gdy Władisław znalazł się na ulicy, poczuł się jak uczeń na wagarach, skreślił za róg i usiadł przy stoliku pod parasolem w pasy. Pięćdziesiąt pięć lat to żaden wiek, człowiek jest dopiero w rozkwicie sił, zwłaszcza ten, kto lubi słodczy. A Władisław Stasow je uwielbiał.

===

Pod wieczór zrobiło się chłodno, a nawet zimno, więc Olga musiała narzucić kurtkę na ramiona, mimo że miała na sobie elegancki kostium. Kurtka psuła oczywiście cały wygląd, ale nie było innego wyjścia. Olga nie zamierzała się przeziębnić, zachorować i trafić do łóżka, musiała pracować, no i być okazem zdrowia, żeby w każdej chwili przyjść Alle z pomocą, jeśli nagle okaże się potrzebna.

Olga nie lubiła imprez korporacyjnych, ale tym razem nie



mogła odmówić: spółka Fighter Trade, jeden z głównych dostawców firmy Oxygen, świętowała swoje piętnastolecie i jej szef, Wadim Konstantinowicz Oriechow, zaprosił mnóstwo gości – wszystkich swoich partnerów, między innymi dyrekcję Oxy, którą reprezentował prezes, będący głową spółki, oraz Olga Witort, kierowniczka działu zakupów.

Impreza odbywała się w wynajętym pensjonacie pod Moskwą. Na dużym, zadbanym terenie znajdowały się świeżo wyremontowane domki, w których goście mogli wygodnie przenocować. Program obejmował dwa dni, a ściślej mówiąc, impreza zaczynała się w piątek wieczorem i miała potrwać do połowy niedzieli.

Prezes Oxy, z którym przyjechała Olga, krążył wśród biesiadników, zawierał nowe znajomości, podtrzymywał stare kontakty, a przy tym sporo pił. Niedługo wymknie się niepostrzeżenie do domku, który mu oddano do dyspozycji, i zaśnie, zamroczony alkoholem, w objęciach jakiejś panny, którą tutaj wyhaczy. A może już wyhaczył. Kierowniczka działu zakupów artykułów nieżywnościowych miała trzy zadania: poznać dwie surowe damy z urzędu celnego i zrobić na nich miłe wrażenie; załagodzić pewien długotrwały konflikt między siecią Oxygen a dostawcą suplementów diety (mimo że BAD-y[8] wchodziły w skład innej grupy artykułów i zajmował się nimi inny dział, korporacja Fighter otrzymała zaproszenie tylko na dwie osoby, więc prezes wybrał Olgę Witort); pilnować prezesa, który, przeholowawszy z alkoholem, mógł nagadać głupstw i popsuć stosunki z ważnymi osobami.

Gwoli sprawiedliwości należy przyznać, że prezes znał swoją miarę i zwykle starał się pilnować, udając się do pokoju ze swoją towarzyszką, jeszcze zanim alkohol na dobre uderzył mu do głowy. Ale zdarzały się przypadki, oj, zdarzały... Olga, z pozoru krucha i wiotka, odznaczała się nieprzeciętną siłą i miała stalowe mięśnie, więc w takich sytuacjach musiała wyciągać szefa z sali i dosłownie na siłę odstawiać tam, gdzie

nie będzie mógł z nikim rozmawiać, a co za tym idzie – niszczyć partnerskich relacji.

Witort sumiennie i z powodzeniem wykonała dwa pierwsze zadania, obiecała paniom z urzędu celnego bezpłatne bilety na występ Ludowej Artystki<sup>[9]</sup> Tomaszkiwicz, zjednała sobie dostawcę BAD-ów, wydebiła od niego zgodę na rychłe przystąpienie do negocjacji i podpisanie obopólnego porozumienia. Pozostało trzecie zadanie.

Znalazła prezesa w towarzystwie pary finansistów, przez chwilę stała za jego plecami, słuchając, co mówi, i doszła do wniosku, że szef jest w niezłej kondycji, do krytycznego stanu jeszcze dość daleko, więc przez trzydzieści albo i czterdzieści minut można się nie martwić.

Gdy od strony rzeki napłynął powiew zimnego powietrza, Olga się wzdrygnęła i szczelniej owinęła kurtką.

– Zimno pani? – rozległ się znajomy głos za jej plecami. – Niefortunnie się pani ubrała?

Olga odwróciła się i stanęła oko w oko z Chiminem, starszym menedżerem Fightera, z którym całkiem niedawno rozwiązywała kwestię kar umownych.

– Tak, zwiódł mnie ciepły dzień i nie pomyślałam, że wieczory za miastem są chłodniejsze niż w Moskwie – przyznała.

– Niech pani sięgnie po coś rozgrzewającego – poradził Chimin. – Łyczek whisky albo koniaku. Koniak jest dobry, próbowałem.

Mężczyzna był w jasnych spodniach, modnej koszuli i kaszmirowym pulowerze, który niedbale narzucił na ramiona. Było mu ciepło, no i wyglądał stylowo.

Nie to co ja, ze złością pomyślała Olga. Nigdy nie potrafię właściwie się ubrać. Paraduję teraz w jedwabnym kostiumie i kurtce sportowej jak głupia.

– Nie piję – odparła gniewnie.

– Wcale?

– Wcale.

– W takim razie pomogę pani wybrać coś do jedzenia. – Chimin wyciągnął głowę, żeby zlustrować to, co się znajdowało na ogromnym stole. – Najważniejsze, żeby było dużo pieprzu. Coś ostrego, z czosnkiem... Nie ma pani nic przeciwko? A może planuje pani namiętne pocałunki wieczorem?

– Nie. – Olga posłała mu zimne spojrzenie. – Żadnych pocałunków.

Mężczyzna lekko odepchnął jakiegoś grubasa, który tarasował dostęp do stołu, sięgnął po płaski talerz i chwilę później wręczył Oldze apetycznie wyglądające tartaletki. Sądząc po zapachu, wybrał te, które były ostro przyprawione.

– Niech mi pani wierzy, Olgo, że dla osób stroniących od alkoholu najlepszy sposób, żeby się ogrzać, to zjeść coś ostrego.

– Dziękuję. – Olga wzięła talerz i zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby usiąść albo przynajmniej wygodnie stanąć, najlepiej sama.

– Chodźmy, pokażę pani wspaniałe miejsce.

Chimin dotknął jej łokcia, popychając delikatnie w odpowiednią stronę.

– Odkryłem je przypadkiem parę minut temu. Zobaczyłem, że kelnerzy niosą grzejniki gazowe, poszedłem za nimi i ujrzałem trzy altanki stojące jedna obok drugiej. Wszystkie są bardzo przytulne, toną w zieleni, i w każdej jest grzejnik. Tam na pewno się pani ogrzeje.

W głowie Olgi zrodziło się nieprzyjemne podejrzenie, że Chimin zaraz zacznie narzucać jej swoje towarzystwo w tych ustronnych altankach, i już zamierzała dać mu odprawę, ale ku jej uldze starszy menedżer Fightera zaprowadził ją ścieżką biegnącą wśród krzaków wprost do miejsca, z którego widać było trzy grzejniki mrugające czerwonym światłem, po czym odszedł.

Wszystkie altanki były puste, w każdej znajdowały się meble ogrodowe – okrągły stół i parę krzeseł z poduszkami. Olga wybrała altankę położoną w głębi, usiadła przy stole w pobliżu

grzejnika i zabrała się do jedzenia. Chimin miał rację, już po trzeciej tartalecie zrobiło jej się ciepło. A może to dzięki grzejnikowi? Zerknęła na zegarek: minęło dopiero dwanaście minut od chwili „ogłędzin” prezesa, więc może jeszcze posiedzieć pół godziny z dala od tłumu i głośnej muzyki, później musi znowu odszukać szefa, żeby ocenić jego stan.

Przymknęła oczy i nawet się chyba zdrzemnęła. Obudziły ją męskie głosy dobiegające z sąsiedniej altanki. Zieleń była tak gęsta, że Olga nie potrafiła nikogo dojrzeć, jednakże niemal od razu rozpoznała głosy: jeden należał do właściciela spółki Fighter Trade, Wadima Konstantinowicza Oriechowa, a drugi do jego syna Filipa, zdaniem Olgi, ograniczonego pyszałka.

– Filip, chcę, żebyś jutro...

Oriechow senior mówił twardo i stanowczo, jakby nie dopuszczał żadnego sprzeciwu.

– Ojej, tato, nie mów mi, co będzie jutro, dzisiaj zostanę tu tak długo, jak długo trzeba, a później wyjadę. Mam ciekawe plany na weekend.

W odróżnieniu od ojca Filip mówił lekko i z ożywieniem, wyglądało na to, że chęci i zamierzenia ojca, który go utrzymywał, w ogóle go nie interesują.

– Słuchaj, Filip – Wadim Konstantinowicz podniósł głos – mówię poważnie. Jakie plany? Dokąd zamierzasz jechać? Powinieneś zostać. Jesteś pracownikiem korporacji, to również twoje święto, musisz zawierać znajomości, żeby już teraz wszyscy cię znali...

– Przestań, tato, powtarzasz w kółko to, co Chimin kładł mi łopatą do głowy. Nie chcę! To przykre, że jestem twoim synem, a zajmuję byle jakie stanowisko, niczym jakiś urzędnik, aż wstyd się przedstawiać. Jak zrobisz mnie kierownikiem działu, wtedy bardzo proszę, wydrukuję sobie wizytówki z fotkami i będę się dumnie przechadzał wśród gości.

– Dokąd się wybierasz, jeśli wolno spytać? Co takiego sobie zaplanowałeś, że jest ważniejsze od święta w firmie?

– Ojej, tato, mam nowego przyjaciela, a z nim nie potrzebuję żadnych świąt, on sam jest jak święto, w dodatku ruchome.

Filip parsknął wesołym śmiechem, Olga usłyszała głucho uderzenie grubego szkła o plastikową powierzchnię stołu. Widocznie chłopak popija piwo prosto z butelki. Tak, jego maniere pozostawiają sporo do życzenia... Na takiej gali nie powinien zachowywać się jak menel spod budki z piwem. „Ruchome święto”... Ciekawe, czy słyszał w ogóle o Ernieście Hemingwayu? Z pewnością nie czytał książki, nieświadomie użył tytułu powieści. Tymczasem Olga była w Paryżu i nie podziela opinii pisarza. Miasto nie kojarzy jej się ze świętem.

– Skąd wytrzasnąłeś tego przyjaciela? Kim on jest? Gdzie pracuje? – natarczywie dopytywał się ojciec.

– Pracuje? – zdumiał się Filip. – Co ty pleciesz, tato?! On nie potrzebuje żadnej pracy, ma forsy jak lodu.

– Ciekawe skąd?

– Wszyscy mu dają. A on umie tak się zakręcić, że nie musi ich oddawać.

– To znaczy?

– Nikt nie potrafi mu odmówić. Znasz takie słowo „charyzma”? Pasuje do niego jak ulał. Jest znany w większości klubów, wszyscy witają go z otwartymi rękami i się nim zachwycają. Lubię spędzać z nim czas. Nawet dilerzy za darmo odpalają mu prochy.

Filipowi brak chyba piątej klepki! Kto zdrowy na umyśle opowiadałby ojcu takie rzeczy?!

– Dilerzy? To znaczy, że chłopak jest narkomanem? – Teraz w głosie Wadima Konstantinowicza dała się słyszeć groźba.

To jednak nie zmartwiło ani nie przstraszyło Filipa. Głośno siorbiąc piwo, lekkomyślnie walił prawdę w oczy.

– Owszem, lubi się trochę zabawić. To normalny gość, teraz wszyscy są tacy: odrobina szaleństwa, dużo whisky, tabuny lasek – Filip roześmiał się rubasznie – i sporo śladów po zastrzykach na rzeźączkę. Szkoda, że nie widziałeś jego

sztuczek karcianych, coś niesamowitego! Palce tak mu migają, że w ogóle ich nie widać. Godzinami można patrzeć i nic się nie wypatrzy.

A więc wszystko jasne, zręczne palce, a także pieniądze niewiadomego pochodzenia w połączeniu z brakiem pracy to wyraźne oznaki tego, że facet nie wychodzi z nielegalnych kasyn. Czyżby Filip był tak tępy, że tego nie rozumie? Dla niego liczy się tylko rozrywka! Tak, nie poszczyściło się Oriechowowi z synem, próżno czekać, by Filip został jego godnym następcą i kontynuatorem, będzie dobrze, jeśli się przedwcześnie nie rozpije.

Ojciec i syn rozmawiali jeszcze przez chwilę, Oriechow senior nalegał, żeby Filip został, a on od niechcienia, ale ze śmiechem się wykręcał i ani myślał rezygnować z planów na weekend. W końcu rozgniewany Wadim Konstantinowicz wrócił do gości, a Filip spędził jeszcze parę minut w altance, wydzwanając do kogoś i umawiając się na spotkanie w klubie nocnym.

Pewnie rozmawia ze swoim nowym kumplem, obojętnie pomyślała Olga, ze wstrętem spoglądając na talerz z niedojedzonymi tartaletkami: jedzenie ją rozgrzało, ale pozostawiło ohydny posmak w ustach. Tyle lat żyje na tym świecie, a wciąż nie może się nadziwić różnorodności ludzkich charakterów i wzajemnych relacji. Ona nie wpadłaby na pomysł, żeby opowiadać rodzicom podobne rzeczy o swoich przyjaciółach. Pewnie wszystko zależy od tego, jak układają się relacje rodziców i dzieci. Relacje Wadima Konstantinowicza z synem są najwyraźniej bliskie i oparte na zaufaniu. Pewnie wykształciły się jeszcze w dzieciństwie.

Tymczasem ona, Olga Witort, jest absolutnie przekonana, że opowiadanie rodzicom o grzeszkach swoich przyjaciół to błąd. Po pierwsze, to nie w porządku, nawet jeśli wszystko jest prawdą, a po drugie, rodzice mogą zabronić się przyjaźnić, parę razy tak się zdarzyło, gdy Olga była jeszcze całkiem mała i chodziła do przedszkola, a później do szkoły. Coś ją podkusiło,

żeby powiedzieć mamie, że Alka Wasniecowa nauczyła ją, sześciolletnią Olę, śmiesznych słów, które oznaczają nieprzyzwoite rzeczy... Mama nie tylko zabroniła jej przyjaźnić się z Wasniecową, ale też dała parę klapsów, nazajutrz zaś poszła do kierowniczkii przedszkola i poprosiła o przeniesienie córki do innej grupy. Przedszkole było przyzakładowe, jedno na całą Moskwę, wiązało się z pracą taty, dzieci było mnóstwo, po trzy grupy starszaków i średniaków i aż cztery maluchów. Później Olga jeszcze raz popełniła ten sam błąd, była wtedy w drugiej klasie. Od tamtej pory wbiła sobie do głowy: rodziców trzeba bardzo kochać, ale nie wolno im się zwierzać.

Gdyby dzisiaj rodzice żyli, na pewno nie zrozumieliby i nie zaaprobowali jej relacji z aktorką Tomasziewicz. Rodzice z reguły rzadko rozumieją, co ich dzieci widzą w tych, którzy im, rodzicom, się nie podobają.

Tymczasem Filip widocznie nie boi się ojca. I nie chodzi o to, że go nie szanuje. Reputacja Wadima Konstantinowicza jest wszystkim znana, nikt go nie nazwie fajtłapą czy niezgułą. To znaczy, że między ojcem i synem panuje prawdziwa przyjaźń albo przynajmniej wzajemny szacunek. Filip, beznadziejny w pracy, jest jednak uczciwy i szczery. W tym, co mówi, nie ma drugiego dna.

Nadeszła pora, żeby skontrolować szefa. Olga z żalem opuściła miejsce przy grzejniku i szybkim krokiem ruszyła tam, gdzie grzmiała muzyka i wybuchały petardy.

===

Trener Gulin okazał się pochmurnym i nerwowym mężczyzną niewielkiego wzrostu, krzepkim i ruchliwym. Żona stanowiła całkowite przeciwieństwo męża, była jedynie podobnego wzrostu. Pulchna i serdeczna, już od progu zaczęła zapraszać Nastię do stołu, proponując paszteciki i faworki domowej roboty. Z głębi mieszkania słyhać było głosy, dziecięce i chyba

nastoletnie – dźwięcznym wysokim tonem wtórował łamiący się bas.

Pewnie to wnuki, pomyślała Nastia i od razu się ofuknęła: Gulin z żoną są koło pięćdziesiątki. Ich wnuki, jeśli je w ogóle mają, muszą być jeszcze małe. Gulina zauważyła spojrzenie skierowane w stronę, z której dobiegały głosy.

– To nasze dzieciaki, dzisiaj nie mają treningu.

– Mieszkają u państwa? – uściśliła Nastia.

– No... prawie. – Gulina się uśmiechnęła. – Są najmłodsze w grupie, reszta jest starsza, te trafiły do nas niedawno, są zamiejscowe, rodzice wynajmują im wspólne mieszkanie w Moskwie, ale wie pani, jak dzieci radzą sobie z codziennymi sprawami. Trzeba ich stale pilnować. Nie potrafią gotować, kupują byle co, zresztą nie mają na to czasu, są zmęczone, a przecież muszą jeszcze chodzić do szkoły. Dlatego u nas spędzają wolne chwile. Przynajmniej nie musimy się z mężem martwić, co jedzą. Piorę i prasuję im też rzeczy, to dla mnie żaden problem. Ale czemu pani stoi? Proszę do pokoju.

Nastia odmówiła poczęstunku, więc Gulina porozumiewawczo kiwnęła głową i zamknęła drzwi prowadzące do przedpokoju, zostawiając męża i gościa samych.

– Tamten stary konflikt Walery z Miszą Bołtienkowem nie był jedyny w młodości – rzekł w zamyśleniu Gulin, gdy Nastia zadała pierwsze pytanie. – Los zetknął ich ze sobą jeszcze raz i okazał się okrutny. Właściwie chyba bym się nie zdziwił, gdyby to Misza Bołtienkow zabił Walerę, a nie odwrotnie. Byli zagorzałymi wrogami.

W tym momencie Gulin urwał, krzywiąc się z niesmakiem. Nie wiadomo, co wywołało jego niezadowolenie.

– Na czym polegał ten konflikt? – zapytała Nastia.

Nagle mężczyzna chyba się zirytował. Brwi zsunęły mu się groźnie, a w oczach błysnęła stanowczość.

– Nic pani nie powiem – odparł ostro, po czym się odwrócił, wbijając wzrok w ciemny ekran wyłączzonego telewizora.



– Dlaczego? – Kamińska usiłowała nadać głosowi ugodowe brzmienie.

– Dlatego że później będę musiał powtórzyć wszystko do protokołu, dostanę wezwanie na przesłuchanie do śledczego, a potem do sądu, no i wszyscy dowiedzą się, co pani powiedziałam. Ja zaś muszę jeszcze pracować w tej branży, za wcześnie na emeryturę. Nie chcę, żeby przez pani próżną ciekawość popsuły się moje stosunki z kolegami oraz zwierzchnictwem w Komitecie Sportowym i Federacji Łyżwiarstwa Figurowego.

Teraz Gulin nawet nie próbował ukryć, że jest zły i się boi. A więc o to chodzi... Tak, wygląda na to, że pomysł zbierania informacji od trenerów jest skazany na porażkę. Można rozmawiać tylko z tymi, którzy odeszli z pracy i przestali być zależni od potężnych szefów i przebiegłych kolegów. Ale ci, którzy już nie są trenerami, mogą nie mieć pojęcia o niedawnych konfliktach Łamzina czy Bołtienkowa. Chociaż... Warto poszukać dziennikarzy sportowych z dużym stażem. Oni zwykle wiedzą mnóstwo ciekawych rzeczy i w odróżnieniu od czynnych trenerów nie boją się o tym opowiadać.

Tak, chyba można zostawić Gulina w spokoju, facet jest cały w nerwach, aż się skurczył i zeszywniał. Zamknął się. Szkoda jednak straconego czasu. Mimo wszystko warto spróbować wycisnąć z niego jakieś informacje.

– Bardzo dobrze pana rozumiem – zaczęła Nastia spokojnym, miarowym głosem. – Jeśli nie zechce pan ze mną rozmawiać, zaraz sobie pójdę. Ale muszę panu powiedzieć, że w sądzie i u śledczego potrzebne są zeznania dotyczące tego, kto dzisiaj zabił Bołtienkowa, a nie tego, dlaczego Łamzin i Bołtienkow pokłócili się przed laty. Fakt ich nieprzyjaznych relacji jest bardzo ważny, to prawda, ale gdyby tamten konflikt, o którym nie chce pan mówić, mógł stać się powodem zabójstwa, toby się stało już dawno. Dlatego proszę mi opowiedzieć wszystko po kolei, żebym mogła wyrobić sobie zdanie na temat skali ich

wzajemnej niechęci oraz ich charakterów i czynów. Gdy będę wiedzieć, jak mógł postąpić Bołtienkow, będzie mi łatwiej znaleźć tych, których mógł potraktować w ten sam sposób w niedalekiej przeszłości. Właśnie wśród nich będziemy szukali przestępcy.

Twarz Gulina wykrzywiła się w uśmiechu niedowierzania.

– Przecież aresztowaliście Walerę Łamzina! A więc macie pewność, że to on jest przestępcą.

– Aresztował go śledczy, a nie my – łagodnie poprawiła go Nastia. – Ja zaś pracuję na zlecenie adwokata, który ma wątpliwości co do winy Walerija Pietrowicza. Dlatego muszę się dowiedzieć, jaki charakter miał zabity i do jakich czynów był zdolny, żeby móc szukać innych ludzi, którym wyrządził krzywdę. Obiecuję, że ani jedno pana słowo nie znajdzie się w materiałach sprawy. Wyłączę też dyktafon.

– Ale nie zamierzam niczego podpisywać!

– To nie będzie potrzebne. – Nastia uśmiechnęła się jeszcze bardziej ujmująco. – Zresztą nie mam prawa żądać, żeby pan cokolwiek podpisywał, rozmawiamy przecież nieoficjalnie. Jeśli to pana uspokoi, nie będę nawet zapisywać tego, co pan powie, tylko posłucham.

Na szczęście pamięć mnie jeszcze nie zawodzi, pomyślała. Słowo w słowo oczywiście nie zapamiętam, ale niczego istotnego nie zapomnę.

Gulin wciąż się wahał, parę minut później Nasti Kamieńskiej udało się jednak przełamać jego opór.

Po obopólnej bójce i umorzeniu spraw karnych Walera Łamzin i Misza Bołtienkow jeszcze przez parę lat czynnie uprawiali sport, później skończyli instytut wychowania fizycznego i zostali trenerami. Mijały lata, Bołtienkow odnosił sukcesy, jego uczniowie byli zwycięzcami ważnych zawodów juniorów i zdobywali nawet medale na międzynarodowych turniejach. Walerij Łamzin miał mniej szczęścia, zresztą podobnie jak wielu innych trenerów, którym szybko odbierano najbardziej

utalentowane dzieci. Ale los uśmiechnął się też do Łamzina: wpływowy działacz Federacji zwrócił na niego uwagę, dzięki czemu dostał możliwość pracy ze starszymi juniorami jeżdżącymi w parach. Już dawno chciał trenować pary, ale ponieważ nie udawało mu się wyjść poza ramy młodszych grup wiekowych, musiał ograniczać się wyłącznie do solistów: do par przydziela się chłopców co najmniej piętnasto-, szesnastoletnich, gdy nabierają tężyzny fizycznej. Dziewczynki zwykle bywają o wiele młodsze – póki są małe i szczupłe, partnerowi łatwiej wykonywać z nimi różne elementy.

W grupie Łamzina znalazła się bardzo zdolna, pracowita i niezwykle ambitna para. Nie wiadomo, dlaczego bardziej renomowani trenerzy jej nie zauważyli. Fakt pozostaje jednak faktem: Łamzin zrobił z nich mistrzów Rosji juniorów. Dostał podwyżkę i zaczął być traktowany z większym szacunkiem, nawet przydzielono mu więcej godzin na lodowisku. Inni łyżwiarze zaczęli się ubiegać o przejście do jego grupy.

I wtedy Michaił Walentinowicz Bołtienkow postanowił zagarnąć cudzy skarb. Skontaktował się z utytułowaną trenerką, która pracowała w Stanach, a w Rosji bywała tylko przejazdem. Termin jednej z jej wizyt zbiegł się akurat z jakimiś zawodami pucharowymi w Pałacu Sportu w podmoskiewskim Odincowie, w których brała udział utalentowana para Łamzina. Michaił Walentinowicz podarował trenerce drogi pierścionek i się z nią dogadał.

Bołtienkow przywiózł ważnego gościa na zawody i poznał z rodzicami młodych łyżwiarzy. Dalej wszystko poszło gładko, utartym torem.

Trenerka podeszła do rodziców, przedstawiła się (tylko pro forma, bo przecież wszyscy, którzy interesowali się łyżwiarstwem figurowym, znali ją z widzenia) i powiedziała: „Macie państwo wspaniałe i bardzo zdolne dzieci, z tym trenerem osiągnęły już maksymalny pułap, muszą się jednak dalej rozwijać. Szkoda, że są jeszcze zbyt małe, gdyby były

choć o trzy lata starsze, przyjąłabym je do swojej grupy. Jak podrosną, wezmę je na pewno, będą trenować w Stanach. A na razie byłoby dobrze, gdyby się nimi zajął Bołtiekow, jest akurat tym trenerem, którego im trzeba. W ciągu trzech lat osiągną odpowiedni poziom, wtedy chętnie je przyjmę i zrobię z nich mistrzów olimpijskich. Mam zaufanie do Miszy, jego sportowcy jeżdżą znakomicie i odnoszą niebywałe sukcesy. Więc proszę to przemyśleć”.

Rodzice juniorów w ogóle się nie zastanawiali, od razu zapalili się do pomysłu i zaczęli namawiać dzieci, żeby przenieśli się do Bołtiekowa...

Gulin umilkł i znowu niespokojnie zerknął na Nastię. Jakby na coś czekał.

– Pewnie chce pani zapytać, kim była trenerka? – powiedział w końcu, a w jego głosie dała się słyszeć obawa pomieszana z wyzwaniem. – No więc proszę przyjąć do wiadomości, że nie podam żadnych nazwisk!

– Wcale tego nie oczekuję – uspokoiła go Anastazja. – Nie potrzebuję nazwisk. W tej sytuacji nazwisko nie ma znaczenia, przecież to dawna sprawa i nie może mieć związku z obecnym zabójstwem. Muszę po prostu zrozumieć mechanizm. Nie znam się na łyżwiarstwie figurowym, więc proszę mi wszystko szczegółowo wyłożyć.

– Ale nazwisk łyżwiarzy też pani nie podam – z uporem ciągnął trener.

– Ma się rozumieć. Niech pan opowiada dalej, jestem bardzo ciekawa, co było potem. – Nastia się uśmiechnęła.

W tej samej chwili w przedpokoju rozległy się głosy żony trenera i dzieci.

– A kto odrobi lekcje? Urządziliście sobie dzisiaj wagary, nicponie, ale lekcje musicie przecież odrobić!

– Jeszcze zdążymy – odparł jakiś chłopiec łamiącym się basem. – Mamy sobie darować kino?

– Za godzinę będzie obiad! A tobie kino w głowie! Marsz do

pokoju odrabiać matematykę, bądź pewien, że sprawdzę. A ty, Katierina, nie patrz tak na mnie, już drugi rok jedziesz na samych trójkach z rosyjskiego, wstyd! Tiomka was podpuszcza, a wy mu ulegacie. No dalej, zdejmuj adidas, wkładaj z powrotem kapcie i idź się uczyć ortografii. Prędko, prędko!

– Niech pani da spokój, zjemy coś w mieście, to żaden problem – odparł dźwięczny dziewczęcy głosik.

Nastia mimo woli zwróciła uwagę na wyrażenie „w mieście”, tak nietypowe dla mieszkańca Moskwy.

– Już sobie wyobrażam, co wy tam zjecie. – Gulina się nie poddawała. – Nawet o tym nie myślcie. Szybko siadajcie do lekcji, za godzinę zjecie to, co wam wolno, a później możecie iść do kina.

Za drzwiami rozległy się odgłosy świadczące o tym, że młodzi sportowcy zmienili obuwie i posłusznie, choć niechętnie, podreptali tam, gdzie mieli odrabiać lekcje. Ależ ta Gulina ma rękę do dzieci! Gdyby Nastia mogła się od niej nauczyć, jak wpłynąć na bratanka... On jest jednak starszy, dzieci, sądząc po głosach, są w wieku od dwunastu do czternastu lat i na razie czują się jeszcze zależne od trenera. A Sańka ma w nosie ciotkę. Liczy się chyba tylko ze swoim kumplem Petrucciem, z jego zdaniem i zachciankami. Ech, gdyby był tak posłuszny jak ci juniorzy, Nastia nie martwiłaby się przynajmniej o jego wrzody, chłopak jadłby to, co mu gotuje, i przestrzegał diety.

– Dieta dzieci jest rygorystyczna? – zapytała trenera.

– I to bardzo. – Skinął głową. – Zwłaszcza dziewczynek jeżdżących w parach. Partnerzy muszą je podnosić, wyrzucać do skoku. Znaczenie ma każdy gram. Zajmuję się solistami, ale solistka też musi pilnować wagi. Zresztą chłopcy też nie mogą jeść tego, na co mają ochotę. Ale z nimi jest oczywiście łatwiej.

– No więc czym się skończyła tamta historia z przejmowaniem pary Łamzina?

– Skończyła się? – Gulin krzywo się uśmiechnął. – Ależ ona dopiero wtedy się zaczęła...

Mistrzowska para juniorów przeniosła się do Bołtienkowa i wkrótce potem Walerijowi Pietrowiczowi Łamzinowi odebrano godziny na lodowisku i obniżono pensję. Odejście do innego trenera to bardzo zły przykład, bo inni łyżwiarze patrzą i myślą: skoro oni odeszli, to znaczy, że trener sobie nie radzi, jest do niczego, przy nim nie zrobimy kariery, powinniśmy też się przenieść. Cała ta sprawa dotkliwie zraniła Łamzina, bo to była jego pierwsza mistrzowska para. Nienawiść do Michaiła Walentinowicza Bołtienkowa sięgnęła zenitu i znajdowała ujście w częstych i zupełnie niedwuznacznych wypowiedziach, na które Walerij Pietrowicz pozwalał sobie nie tylko w wąskim rodzinnym gronie.

Nie chodziło tylko o urażoną dumę. Póki trener ma łyżwiarza z pierwszej półki, nikt go nie rusza. Gdy tylko łyżwiarz odejdzie (na przykład do innego trenera albo w ogóle ze sportu) i nie ma go kim zastąpić, sytuacja trenera diametralnie się zmienia, obcina mu się godziny na lodowisku, zabiera łyżwiarzy, nie puszcza za granicę... O tym, że wyszkolił znakomitego sportowca i wprowadził go na podium, wszyscy od razu zapominają. Gdy łyżwiarz odniesie sukces, zaczyna traktować trenera z góry.

Dlatego trener jest bardzo zależny od wybitnego łyżwiarza i boi się go stracić. Gdy łyżwiarz odejdzie, pensja trenera spada dwu- albo nawet trzykrotnie. W efekcie trener musi się trzymać łyżwiarza rękami i nogami, bo przecież jeśli ten postanowi odejść, nowego mistrza nie wyszkoli w ciągu roku, potrzeba czasu, żeby młodsi osiągnęli wysoką formę, tymczasem pensja spadła, w dodatku inni poszli śladem mistrza. A z czegoś trzeba żyć... Więc trener, od którego odszedł sportowiec, zaczyna przekabacać łyżwiarzy z innych grup. Na dodatek urzędnik z Federacji, który opiekował się Łamzinem, zmienił pracę i przestał kontrolować sytuację.

Walerij Pietrowicz bardzo się przejął i nie zamierzał wybaczyć dawnemu wrogowi. Gdy tylko nadarzyła się okazja, odpłacił mu

pięknym za nadobne. Michaił Walentinowicz Bołtienkow zabrał się ostro do pracy z nową parą, przygotowując ją do udziału w międzynarodowych zawodach. Jakiś tydzień przed startem poważnie zachorował i pogotowie zabrało go do szpitala. Gdy łyżwiarze nagle zostają bez trenera, powierza się ich opiece innego specjalisty, którego wychowankowie nie biorą udziału w danej konkurencji.

Parą zajęła się Swietłana Waszczenko, która wybierała się na zawody ze swoją solistką. Dowiedziawszy się o tym, Walerij Pietrowicz niezmiernie się ucieszył. Swietoczka Waszczenko była niegdyś jego uczennicą i do tej pory miała doń bardzo życzliwy stosunek, często prosiła go o radę, darzyła szacunkiem i oddaniem. Łamzin był pewien, że Swieta zrobi, co trzeba. Nawet nie przez wzgląd na dawnego trenera, ale przez wzgląd na swoją karierę. Ona też przecież pragnie, żeby jej uczennica zajęła jak najwyższe miejsce.

W tej sytuacji konieczna była złożona kombinacja. Rozważywszy w myślach kandydatury wszystkich członków rosyjskiej delegacji udającej się na zawody, Walerij Pietrowicz wybrał trenera pary, która stanowiła realną konkurencję dla jego dawnych wychowanków, a obecnie uczniów Michaiła Bołtienkowa. Jeżeli para Bołtienkowa wypadnie słabo, para trenera, wybranego przez Łamzina do roli pośrednika w kombinacji, będzie miała spore szanse, by zająć wyższe miejsce.

„Ale co ja mogę? – Mimowolny pośrednik rozłożył ręce. – Nie mam żadnych znajomości wśród sędziów oceniających pary”.

„Masz za to swoich ludzi w jury, które będzie oceniało solistki – chytrze zauważył Łamzin. – Specjalista do spraw technicznych to twój przyjaciel, kontroler techniczny też, o ile wiem, nieraz szedł ci na rękę. Więc możesz z łatwością sprawić, żeby dziewczynę Swietki oceniono lepiej i zapewniono jej wyższą lokatę”.

„No i co? Po jakie lichy... – zaczął pośrednik i umilkł. –

Sądysz, że Swieta na to pójdzie?”

„Co ci szkodzi spróbować. – Łamzin nieznacznie się uśmiechnął. – Swieta wie, co może jej przynieść korzyść. Solistka, która po raz pierwszy pokazuje się na międzynarodowych zawodach i trafia do piątki najlepszych, to nie w kij dmuchał”.

Tuż przed występem trener zazwyczaj przekazuje łyżwiarzowi ostatnie wskazówki, uspokaja, dodaje mu otuchy i pewności siebie. Ale może też wytrącić go z równowagi...

– Tylko proszę pamiętać, że ja pani nic nie mówiłem – znowu przypomniał Gulin. – W razie czego wszystkiemu zaprzeczę.

– Oczywiście, oczywiście. – Nastia skwapliwie kiwnęła głową, zauważając w duchu, że Gulin nie wymienił nie tylko nazwisk łyżwiarzy, ale też nazwiska trenera wybranego przez Łamzina. Tymczasem dane Swietłany Waszczenko podał bez wahania. I nie chodzi o zwykłą nieuwagę, bo przecież nazwisko wychowanki Łamzina padło już parę razy. Coś w tym musi być...

Tak więc Swietłana Waszczenko pojechała na zawody ze swoją solistką i z parą Bołtienkowa. Michaił Bołtienkow przyłożył się do pracy z łyżwiarzami, zamierzał ich wprowadzić na europejskie albo nawet światowe podium, toteż włączył do ich programu skok wyrzucany z czterema obrotami. To bardzo skomplikowany i niebezpieczny element, nawet dojrzały łyżwiarze nie zawsze potrafią go wykonać, ale juniorzy na ogół prezentują lepsze umiejętności techniczne i lepiej sobie radzą z trudnymi ewolucjami. Zgodnie z wytycznymi Bołtienkowa Swietłana Waszczenko przygotowywała parę do wykonania tego elementu na zawodach, co znalazło wyraz w formularzu zgłoszeniowym.

– Szczerze mówiąc, nikt z nas nie wierzył, że Misza podejmie takie ryzyko – w zamyśleniu ciągnął Gulin. – Gdy jednak zobaczyliśmy zgłoszenie, dotarło do nas, że sprawa jest poważna. Jeżeli łyżwiarze wykonają skok czysto albo



przynajmniej bez większych błędów, sędziowie nie będą mogli zabrać im punktów. Później para może oczywiście zawalić program i stracić punkty za upadki, praktyka jednak pokazuje, że jeśli występ zaczyna się od udanego skomplikowanego elementu, łyżwiarz nabiera wiary w siebie, rosną mu skrzydła i popełnia o wiele mniej błędów niż wtedy, gdy pierwszy element się nie udaje. Ważne jest też i to, że próbę wykonania trudnego elementu zobaczą i zauważą sędziowie, którzy będą później oceniać łyżwiarzy na zawodach wyższego szczebla. Para Bołtienkowa bardzo dobrze wykonała program krótki, ale tuż przed programem dowolnym Swieta poleciła łyżwiarzom, żeby nie ryzykowali i wykonali skok wyrzucany z trzema, a nie z czterema obrotami. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero później, wtedy widzieliśmy tylko, że tłumaczy im coś surowo i z naciskiem, chłopak słucha jej, kiwając głową, a dziewczyna jest straszliwie spięta. Łatwo było zauważyć, że bardzo się denerwuje.

– Chwileczkę – przerwała mu Nastia – ale w czym problem? Jeżeli skok z trzema obrotami jest łatwiejszy, to dlaczego się denerwowała? Powinna raczej się cieszyć.

– Od razu widać, że nigdy nie uprawiała pani sportu ani nie brała udziału w zawodach – odparł Gulin z westchnieniem. – Jest pani całkowitą dyletantką. Będę musiał wyjaśnić wszystko od podstaw. Najtrudniejsze elementy, wymagające największego wysiłku, planuje się zwykle na samym początku programu, póki łyżwiarze mają jeszcze dość sił. Skok wyrzucany z czterema obrotami zaplanowano na pierwsze trzydzieści sekund. Bardzo trudno w tak krótkim czasie przestawić się na wykonanie innego elementu, nawet gdyby był łatwiejszy. To rzecz możliwa, ale powtarzam, trudna, nie każdy sportowiec potrafi to zrobić, zwłaszcza tak młody i niedoświadczony. Partner przesadził z siłą wyrzutu, zrobił wszystko jak na treningach, to znaczy sprawił, że siła rotacji partnerki była tak duża, iż starczyłoby jej na cztery obroty. A polecenie brzmiało:

wykonać skok z trzema obrotami. Dziewczyna posłuchała, nie zrobiła czterech obrotów, po trzecim obrocie rozłożyła ręce do lądowania. Ale siła bezwładności okazała się zbyt wielka i łyżwiarka nie potrafiła jej opanować. Nie, nie upadła, utrzymała się na nogach, ale wyraźnie się zachwiała i w jednej chwili straciła pewność siebie. To od razu podziało na partnera, oboje zaczęli popełniać drobne błędy, a podczas drugiego skoku wyrzucanego dziewczyna jednak upadła. W dodatku tak nieszczęśliwie, że doznała poważnego urazu ramienia. Ból był nie do zniesienia, mimo to dotrwała do końca programu. Chociaż oczywiście szło jej opornie. No i oceny sędziów były, rzecz jasna, koszmarnie. Ostatecznie okazało się, że para Bołtienkowa uplasowała się niżej niż para trenera pośrednika. Pośrednik dotrzymał słowa, wykorzystał znajomości, dzięki czemu łyżwiarka Swietłany Waszczenko uzyskała niezły wynik.

– Znowu nie mam pojęcia, jak to możliwe – z uporem stwierdziła Nastia. – Nie rozumiem mechanizmu. Może mi pan wyjaśnić?

Gulin odwrócił wzrok, było jasne, że nie ma ochoty rozwodzić się na śliski temat.

– Jeszcze raz powtarzam, że nie chodzi o nazwiska – perswadowała Nastia. – Chcę tylko pojąć istotę sprawy.

I znowu potrzeba było sporo czasu, żeby uspokoić i przekonać trenera, że jego szczerść nie spowoduje żadnych konsekwencji.

– Sędziowie wydają tylko drugą notę, pierwsza należy do kontrolera technicznego i specjalisty oraz dwóch pomocników – wolno tłumaczył Gulin, usiłując tak dobrać słowa, żeby nie powiedzieć za dużo. – Specjalista do spraw technicznych odnotowuje tylko fakt wykonania konkretnych elementów w programie. Albo odwrotnie, ich braku. Nie ocenia jakości. Stwierdza, że element został albo nie został wykonany. Na przykład skoku potrójnego, w którym zabrakło ćwierć obrotu, nie uważa się już za potrójny, tylko za podwójny. A jeśli

obrotów było tyle, ile trzeba, ale łyżwiarz upadł podczas lądowania, to skok ocenia się jako „potrójny minus jeden punkt”. Każdy element ma swój poziom trudności. Na przykład liczba obrotów decyduje o tym, czy element jest drugiego, trzeciego czy czwartego stopnia trudności. Jeśli łyżwiarz wykona żadaną liczbę obrotów, zalicza mu się poziom trzeci, gdy zaś zabraknie części obrotu – poziom drugi albo nawet pierwszy, jeśli element wypadł bardzo kiepsko. Specjalista do spraw technicznych musi orzec: element czwartego stopnia trudności został wykonany, element trzeciego stopnia nie został wykonany i tak dalej do końca programu. Kontroler techniczny go sprawdza. Musi mieć takie same kwalifikacje albo nawet wyższe. W końcu wszyscy są tylko ludźmi, każdy może się pomylić i czegoś nie zauważyć, przecież na tafli lodowej wszystko odbywa się bardzo szybko. Jeden zauważy niepełny obrót, inny nie. Z kontrolerem technicznym i specjalistą łatwiej się dogadać niż z sędziami, bo tych ostatnich jest dużo. Od kontrolera i specjalisty zależy, czy zauważą niepełny obrót. Jak zechcą, to zauważą, a jak nie zechcą, to nie.

Nastia pokręciła głową, próbując nie utonąć w morzu informacji, które się na nią zwały.

– Zaraz, zaraz, sam pan przecież powiedział, że jest i kontroler, i specjalista, to znaczy, że pracują razem, a teraz wygląda na to, że wystarczy się dogadać tylko z jednym.

– Z jednym wystarczy – autorytatywnie oświadczył Gulin. – Zwykle trzymają sztamę i się dogadują.

– A jeśli nie? Jeśli nie uda im się dogadać?

– Takie rzeczy się zdarzają – przyznał Gulin. – To się nazywa „konflikt interesów”. Wtedy oczywiście wszyscy na tym cierpią. Ale nawet jeśli się dogadają, muszą zachować pozory, to znaczy pokazać, że przestrzegają demokratycznej procedury. Będą więc oglądali powtórki na wideo i udawali, że o czymś dyskutują, że rozważają, dajmy na to, czy wyjazd był czysty, czy łyżwa nie dotknęła lodu, ile części obrotu zabrakło... Tak czy siak,

wszystko mają ustalone, zapewniam.

– Rozumiem. I co dalej?

– Obok kontrolera i specjalisty siedzą dwaj asystenci, którzy szybko wprowadzają dane do systemu widocznego na komputerach sędziów. Sędziowie muszą uznać to, co stwierdził specjalista, nawet jeśli zobaczyli coś innego. Słowo specjalisty do spraw technicznych jest ostateczne. Nawet jeśli sędzia widział, że obrót był niepełny i skok powinien zostać uznany za podwójny, a nie za potrójny, nic nie może zrobić. Sędziowie otrzymują wykaz elementów, które zdaniem specjalisty i kontrolera zostały wykonane albo niewykonane w danym programie. Każdy element ma przypisaną wartość bazową. Sędzia może dodać albo odjąć punkty w zależności od jakości wykonania. Na przykład gdy axel ma żądaną liczbę obrotów, ale jest niski i wykonany za wolno, sędzia może odjąć parę punktów od wartości bazowej skoku. Za wysoką jakość wykonania może sporo dołożyć i w ten sposób znacznie powiększyć wartość łącznej noty elementu. Ale to jeszcze nie wszystko. Jest jeszcze druga nota: sędziowie oceniają jakość wykonania, zgodność z muzyką, interpretację, artyzm, jednym słowem, prezentację programu. Tutaj mogą realnie wpłynąć na wynik końcowy, to leży w ich gestii. Od tej części sędziowania w znacznej mierze zależy, które miejsce zajmie łyżwiarz. Wszystko to nosi nazwę „komponentów programu”, dzięki nim można „wyciągnąć” nawet słabego łyżwiarza.

– Naprawdę?

– Ano tak.

– Gdy byłam dzieckiem, mama oglądała pokazy łyżwiarstwa figurowego w telewizji i mówiła, że jeśli łyżwiarz upadł, to katastrofa – z niedowierzaniem zauważyła Nastia.

Gulin obrzucił ją krytycznym spojrzeniem i pokręcił głową.

– Sądząc z pani wieku, to się działo w dawnych czasach – oznajmił niedelikatnie. – Teraz jest inaczej. Co z tego, że zawodnik upadł? Wykonał za to wspaniałą sekwencję kroków!

Sędziowie dadzą mu za nią tyle, że zrównoważą minusowy punkt za upadek.

Coś podobnego! Nastia Kamińska, której obcy był zakulisowy świat sportu, z trudem potrafiła w to uwierzyć. Chociaż właściwie czemu nie? Trenerzy i sędziowie to tacy sami ludzie jak cała reszta, mają te same pragnienia i potrzeby. Dlaczego policjanta albo urzędnika można przekupić, a sędziego sportowego nie? Wszystko jest na sprzedaż, wszyscy się sprzedają. Niestety...

Teraz można wrócić do Swietłany Waszczenko, której nazwiska Gulin z jakiegoś powodu nie bał się wymenić. To niesłychane, żadne inne nazwisko nie padło z jego ust!

Ale odpowiedź trenera na pytanie, gdzie jest teraz Waszczenko i czym się zajmuje, pozbawiła Nastię złudzeń. W ubiegłym roku Swietłana nagle się rozchorowała i umarła.

– A tamta para, która przez nią ucierpiała? Co się z nią stało?

– Od razu po zawodach oboje odeszli z łyżwiarstwa figurowego, dziewczyna długo leczyła uraz, ale ponieważ byli jeszcze bardzo młodzi, w porę się przestawili, zajęli nauką, skończyli studia. Cechował ich upór i pracowitość, byli perfekcjonistami, gdy się do czegoś zabierali, doprowadzali sprawę do samego końca. Podobno poszczęściło im się w biznesie i zamierzają się pobrać. W każdym razie dorobili się już dziecka. Nie zdziwię się, jeśli niedługo pojawią się w rankingu „Forbesa” jako najbogatsi Rosjanie.

– Nie wie pan, dlaczego do tej pory się nie pobrali, skoro mają dziecko?

– To taka cecha łyżwiarzy figurowych. Nie podejmę się wytłumaczyć, dlaczego tak jest, ale to fakt. Chłopcy, którzy jeździli w parach sportowych albo tanecznych, niechętnie myślą o małżeństwie, wolą żyć bez ślubu. Żyją tak latami, mają dzieci, ale się nie żenią. Nawiasem mówiąc, soliści nie cierpią na tego rodzaju przypadłość.

No proszę, to ciekawe! Nastia pracuje dopiero pół dnia nad

sprawą, a zdążyła się dowiedzieć tylu nowych rzeczy! Jakie jeszcze niespodzianki przyniesie jej świat łyżwiarstwa figurowego? Nie miała żadnego rozeznania w tej dyscyplinie, wiedziała tylko jedno: występy łyżwiarzy w telewizji wyglądają przepięknie. A teraz się okazuje, że za tym fasadowym pięknem kryje się grząskie bagno.

Łyżwiarze, którzy odeszli do Bołtienkowa i przegrali zawody, mogli oczywiście żywić urazę do Łamzina i próbować się zemścić, ale to wymagałoby całego szeregu uwarunkowań. Przecież to właśnie Swietłana Waszczenko towarzyszyła im przed pokazem i udzielała ostatecznych wskazówek, więc jeśli mieliby kogoś winić za nieudany występ, to tylko ją. Tymczasem ona nie żyje.

Żeby obarczyć winą Łamzina, musieliby wiedzieć o intrydze, którą uknuł. Czy dopiero teraz mogli ją odkryć? Owszem. I zyskali motyw zemsty. Ale co ma do tego Bołtienkow? Czemu chcieliby zabić trenera, który poświęcił im tyle uwagi, pracował z oddaniem, przygotowywał do wejścia na podium? Michaił Walentinowicz nie wyrządził im żadnej krzywdy. Nie, to się nie klei... Zresztą oboje mają teraz co innego na głowie, odnieśli sukces na nowym polu i powinni być zadowoleni z życia.

To, że Gulin nie podał jednak ich nazwisk, nie ma większego znaczenia, odkrycie tożsamości obojga nie będzie trudne, bo wiadomo, kto się nimi opiekował na tamtych zawodach. Tak więc zdobycie pozostałych informacji też nie sprawi kłopotu. Można oczywiście przycisnąć Gulina, tylko po co? I tak się denerwuje, mimo że jest pewien, iż niczego nie zdradził. Nastia sama może się wszystkiego dowiedzieć i nie szarpać nerwów człowiekowi, który panicznie się boi, że straci swoje miejsce w świecie łyżwiarstwa figurowego.

===

Wjeżdżając windą na dziewiąte piętro, gdzie znajdowało się

nowe mieszkanie Makłyginów, kupione za pieniądze ze sprzedaży parceli na Rublowce, Anton Staszys nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego w ogóle tutaj przyjechał. Czego chce się dowiedzieć? O czym przekonać? O tym, że Inna Wiktorowna Jefimowa, zabita dwa miesiące temu, wznieciła pożar, żeby zmusić właścicieli do sprzedaży działki? Załóżmy nawet, że tak było. I co? Minęły dwa lata. Zanim Anton udał się w odwiedzin do Makłyginów, zebrał informacje na ich temat i już wiedział, że Paweł Anatoljewicz Makłygin jest historykiem, doktorem nauk, profesorem, a jego żona Walentina Jakowlewna Makłygina kierowniczką biblioteki naukowej w tym samym instytucie, w którym mąż zajmuje stanowisko profesora. Oboje są spokojnymi, pochłoniętymi pracą ludźmi, którzy cieszą się ogromnym szacunkiem kolegów, mają gołębnie serca, gotowi są oddać ostatnią koszulę nie tylko bliźniemu, ale też zupełnie obcemu człowiekowi. Chodzą z głowami w chmurach. Czy to możliwe, że tacy ludzie przez dwa lata snuli plan straszliwej zemsty, a później wcielili go w życie? Pewnie tak... Różne rzeczy zdarzają się na tym świecie.

– Niech nam pan wybaczy, na miłość boską – ze skrucą powtarzała Walentina Jakowlewna Makłygina, niezręcznie lawirując między rozstawionymi wszędzie pudłami i pakunkami.

Anton musiał uważnie patrzeć pod nogi, a zarazem na boki, żeby nie wpaść na nierozpakowane rzeczy.

– Przeprowadziliśmy się już parę miesięcy temu, ale nie zrobiliśmy jeszcze porządku. Specjalnie wzięłam nawet urlop, żeby skończyć rozpakowywanie tych stert, ale wciąż nie mam czasu.

Paweł Anatoljewicz siedział przy oknie, a obok niego, na parapecie, piętrzyły się stosy książek i leżał laptop. Kabel, pokonując krętą i skomplikowaną drogę, prowadził prawie przez cały pokój od przedłużacza do gniazdka ukrytego za otwartym pudłem z książkami. Na środku pokoju stał

zaimprovizowany stół – zdjęte z zawiasów drzwi umieszczono na dużym pudle.

– Tutaj właśnie jemy posiłki – wyjaśniła zmieszana Walentyna Jakowlewna, pokazując na wymyślną konstrukcję. – W kuchni nie ma gdzie szpilki wcisnąć. Widok oczywiście nie jest ciekawy... Jeszcze raz proszę nam wybaczyć.

Anton zapewnił ją, że niepotrzebnie przeprasza, i uśmiechając się w duchu, pomyślał: No i czym ona się zajmuje całymi dniami, że nie ma czasu rozpakować rzeczy?

Makłygina jakby czytała w jego myślach.

– Cierpię, wie pan, na chorobę dziewiętnastego wieku, jak ją nazywam. Gdy tylko widzę książkę, muszę koniecznie ją otworzyć, no a gdy otworzę, zaczynam czytać i o wszystkim zapominam. W tych pudłach – zatoczyła ręką, jak gdyby próbując objąć wszystko, co znajdowało się w pokoju – są książki. Codziennie daję sobie słowo, że żadnej nie otworzę, póki wszystkiego nie rozpakuję, ale to na nic. No i tak siedzimy z Pawłem całymi dniami, oboje z książkami w rękach.

Profesor Makłygin oderwał się od pracy, dobrnął do Antona, podnosząc długie nogi nad pudłami, i podał mu rękę. Dłoń miał suchą i szczupłą.

– Bardzo mi miło, zapraszam. – Niski głos brzmiał życzliwie, ale wzrok wydawał się roztargniony.

Naprawdę chodzi z głową w chmurach, pomyślał Anton.

– Pewnie przyszedł pan w związku z Jefimową? – zapytał profesor. – Czytaliśmy w Internecie o jej śmierci. Ale to było chyba dawno...

– Pasza, daj człowiekowi najpierw usiąść! – Walentyna Jakowlewna klasnęła w ręce. – Proszę, niech pan wybierze któreś pudło albo może przyniosę panu taboret z drugiego pokoju? Niech pan nie myśli, że nie mamy krzesel, owszem, mamy, ale wszystkie są zavalone ubraniami. Wyjmujemy je, wie pan, wkładamy, nosimy, później rzucamy na krzesło, wyciągamy coś innego i znowu rzucamy... A jest nas przecież



czworo, mieszkamy z córką i z zięciem, wszyscy pracujemy, więc jakoś nam nie wychodzi... Wiem, że kiepsko sobie radzę z domowymi sprawami, ale proszę o wyrozumiałość.

Anton zrezygnował z taboretu i przysiadł na solidnie wyglądającym pudle oklejonym taśmą i wypakowanym po brzegi czymś twardym. Pewnie książkami.

Na pytanie o pożar Makłyginowie odparli zgodnie i bez najmniejszego wahania. Instalacja elektryczna już dawno szwankowała, bez przerwy wyskakiwały korki, parę razy przewody zaczęły się nawet iskrzyć. Na naprawę jakoś nie było czasu. Światło się pali, kuchenka działa, czajnik jest sprawny – to wystarczy! Oboje nie są wymagający.

Ani Paweł Anatoljewicz, ani Walentyna Jakowlewna nie znali i nigdy nie widzieli dziewczyny, która zginęła w pożarze. Ich córka wyszła za miłego chłopca, który pochodził z prowincjonalnego miasteczka. Latem 2011 roku do zięcia zadzwonił przyjaciel z dzieciństwa i poprosił o radę dotyczącą młodszej siostry. Dziewczyna skończyła szkołę z wyróżnieniem i zamierza zdawać na studia w Moskwie, więc chcieliby się dowiedzieć, czy ma szansę na miejsce w akademiku, bo w Moskwie nikogo nie znają. Zięć obiecał się dowiedzieć, powiedział o telefonie teściom, a oni zaproponowali, żeby dziewczyna zamieszkała w ich domku letniskowym w Razdorach, nic się nie stanie, jeśli przez miesiąc tam nie pojedą. Przyjęliby ją też do mieszkania w Moskwie, chociaż było bardzo małe, nie chodziło jednak o ciasnotę, tylko o to, że dziewczyna musiała się uczyć, a wolne miejsce było tylko w kuchni. No a co to za nauka w kuchni? Nie mówiąc już o spaniu na łóżku polowym.

Zięć się ucieszył, podziękował wylewnie, oddzwonił do kolegi, powiedział, że nie potrzeba żadnego akademika, bo w nim i tak nie ma warunków do nauki, jeden burdel i rozpusta, pokoje wynajmują też gastarbeiterzy, dlatego dziewczyna zamieszka w ich domku letniskowym. Gdy się zjawiła, odebrał ją z dworca

i zawiózł do Razdorów. Zginęła pierwszej nocy. Makłyginowie nawet jej nie widzieli.

A więc tak to wygląda... A Boris Iljicz, dawny sąsiad Makłyginów z Razdorów, zapewniał, że dziewczyna była ich daleką krewną. Chyba nie kłamał umyślnie, raczej nie znał szczegółów.

To znaczy, że zięć zawiózł gościa za miasto... Ciekawe. Może to wcale nie taki dobry chłopak, jak o nim myślą rodzice jego żony? Zgwałcił, a potem zabił dziewczynę. Wywołał pożar, żeby ukryć zbrodnię, wiedział, że instalacja jest w kiepskim stanie, więc zrobił coś z pozoru niewinnego, co doprowadziło do śmierci, żadna ekspertyza tego nie podważy.

– Wasz zięć to dobry chłopak – zauważył Anton. – Dzisiaj rzadko się zdarza, żeby ktoś pomagał krajanom.

– Nasz Jura jest inny. – Walentina Jakowlewna zamachała rękami. – To cudowny, dobry człowiek, kocha naszą Katuszę, a nas szanuje. Ma złote serce.

– Czym się zajmuje?

– Jest kierowcą tira – odparł Paweł Anatoljewicz.

– Często bywa poza domem?

– No oczywiście. – Profesor z roztargnieniem kiwnął głową. – Taka praca.

Anton wsłuchiwał się w głosy Makłyginów, ale nie udało mu się zauważyć najmniejszych oznak niezadowolenia czy choćby lekceważenia w związku z pracą zięcia. Doktor nauk historycznych i kierowniczka biblioteki naukowej, oboje rdzennie moskwianie, nie widzieli nic szczególnego w tym, że ich jedynaczka, będąc studentką prestiżowej uczelni, wyszła za kierowcę tira z małego miasta. Z jakiegoś powodu Makłyginowie, w odróżnieniu od ojca Lizy, nie obawiali się, że małżeństwo zrujnuje dziewczynie życie. Też pewnie chcieli, żeby Jekatierina wyszła za chłopaka z dobrej rodziny, z wyższym wykształceniem i z ciepłą posadą. A może nie chcieli? Anton po raz kolejny skarcił się za to, że nawet gdy jest zajęty pracą, jego

myśli krążą wokół osobistych spraw.

– Napije się pan herbaty? – nagle zaproponowała Walentyna Jakowlewna. – Może zrobię panu kanapki? Rano kupiłam świeżą kiełbasę.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła z pokoju. Paweł Anatoljewicz najwyraźniej pograżył się w rozmyśleniach i całkiem zapomniał o gościu siedzącym obok. Zapadło niezręczne milczenie.

– Pewnie macie państwo duże mieszkanie? – ostrożnie zapytał Anton. – Walentyna Jakowlewna jest w kuchni, drzwi nie ma, a tutaj nie dobiegają żadne odgłosy.

– Owszem, duże. – Makłygin przytaknął z roztargnieniem. – Dawniej mieszkaliśmy w straszliwej ciasnocie, dwa pokoiki, jeden przechodni, drugi tak zwany „końcowy”, można było z niego wyjść tylko do drugiego pokoju. Córka z zięciem przechodzili przez nasz pokój. Bardzo się krępowali, zwłaszcza wieczorami. Sam pan rozumie... My też czuliśmy się niezręcznie. Żyliśmy jednak zgodnie, chociaż w nie najlepszych warunkach. Za to teraz mieszkamy w prawdziwym pałacu. Każdy ma swój kąt, nikt nikomu nie przeszkadza.

Nagle jego spojrzenie odzyskało blask, oczy zrobiły się wyraziste i przenikliwe, na pociągłej, szczupłej twarzy pojawił się figlarny uśmiech.

– A raczej nikt nikomu nie będzie przeszkadzał, gdy wreszcie zrobimy porządek. Pewnie strach patrzeć na ten triumf chaosu, prawda? – Makłygin się roześmiał. – Czworo dorosłych, zdrowych ludzi, ciąża Katiuszki się nie liczy, dziewczyna idzie na urlop macierzyński dopiero za miesiąc, i nikt nie ma dość silnej woli, żeby odłożyć swoje sprawy i rozpakować rzeczy. Do Jurki nie mam pretensji, on akurat jest pełen dobrych chęci, gdy wraca z trasy, za każdym razem powtarza: „No to dyryguj, mamó, co gdzie”. Walusza z pięć minut się z nim krząta, potem zagląda do książki albo do teczki z dokumentami i rękopisami i zapomina o bożym świecie. Jurka pokręci się koło niej jeszcze

ze dwadzieścia minut, po czym macha ręką i wraca do siebie.

Widocznie ten Jurka to dobry chłopak... Ale krewni wielu gwałcicieli mówią o nich później w ten sposób. Że byli cudowni, dobrzy, łagodni, nie skrzywdziliby nawet muchy.

– A czy dziewczyna, która zginęła, była ładna? – zapytał Anton.

Paweł Anatoljewicz wzruszył ramionami i już miał odpowiedzieć, ale nie zdążył. Z kuchni wróciła jego żona, niosąc na plastikowej tacy filiżanki, dzbanek z herbatą, chleb i spory kawałek kiełbasy. Na tacy znajdowała się też drewniana deseczka oraz nóż, który przyciągnął uwagę Antona – rękojeść i ostrze były białe, a sam nóż wyglądał na zrobiony z plastiku i wydawał się jakiś niepoważny, dziecięcy.

Walentina Jakowlewna zabrała się do krojenia chleba i kiełbasy nożem przypominającym zabawkę.

– Ech, szkoda, że nie mamy gazety – rzekł profesor, tłumiąc uśmiech. – Moglibyśmy podziwiać martwą naturę rodem z ubiegłego wieku. Pan, młody człowieku, pewnie już nie pamięta tamtych czasów? Kanapki z kiełbasą na gazecie, typowy obraz lat siedemdziesiątych. Do tego butelka kefiru z zielonym kapslem i parę piw.

– I pomidory – ochoczo podjęła Walentina Jakowlewna. – Zapomniałeś o pomidorach.

Anton nie spuszczał oczu z noża, dziwiąc się, jak tym kawałkiem plastiku można tak zręcznie kroić cienkie plastry.

– Ma pani interesujący nożyk – powiedział.

– Dostaliśmy go w prezencie – odparła Makłygina. – Dawno temu. Jest bardzo poręczny.

– Z czego jest zrobiony? Z plastiku?

Walentina Jakowlewna spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Ależ skąd, to ceramika. Szczerze mówiąc, ja też nie mogłam wyjść ze zdziwienia, gdy go zobaczyłam. Trudno było uwierzyć, że można nim coś odkroić. A tymczasem służy mi już trzeci albo i czwarty rok.

Nóż jest jednak jakiś nieprawdziwy. Podobnie jak Makłyginowie. Chociaż nie, są prawdziwi, ale takich jak oni już dawno nie ma. Chyba tylko w filmach...

– Walusza, młody człowiek pyta, czy dziewczyna, która zginęła, była ładna – powiedział profesor, przełykając kęs kanapki. – Pamiętasz, jej brat pokazywał nam zdjęcia.

– Pamiętam, a jakże. – Walentina Jakowlewna zgodnie kiwnęła głową. – Było mi go bardzo żal. Aż szerniał od bólu, nie był sobą, prosił Jurkę, żeby go zawiózł tam, gdzie to się stało. Do Razdorów, do naszego domku. Miał ze sobą album ze zdjęciami siostry, na okrągło je oglądał i płakał.

– A więc była ładna? – Anton powtórzył swoje pytanie.

– Nie powiedziałabym... – Walentina Jakowlewna utkwiała wzrok w mężu, jakby czekała, aż on odpowie.

Mąż się domyślił i powiedział:

– Zwyczajna. A nawet raczej brzydka. Nie, młody człowieku, niewłaściwie się wyraziłem. Bywają kobiety z nieregularnymi rysami twarzy, niezgrabne, ale mają w sobie coś szczególnego. Bywają jednak i takie, którym czegoś brakuje, wtedy nie liczy się ani twarz, ani figura, bo kobieta i tak nie jest atrakcyjna. No więc tamta dziewczyna, krajanka Jury, była właśnie taka, nic w sobie nie miała.

– Przecież pan jej nie widział – zaproponował Anton. – Trudno oceniać na podstawie zdjęcia. Może była śliczna...

– Na podstawie zdjęcia można to doskonale ocenić – kategorycznie uciął Makłygin. – Niech mi pan wierzy, młody człowieku.

I znowu Anton mimo woli wrócił myślami do Lizy. Czy jest ładna? Tak, oczywiście. Czarująca? Niewątpliwie. Mądra? I to bardzo. No więc dlaczego on zwleka z ożenkiem? Powód nie leży w jej karierze ani w stosunku Władysława Nikołajewicza do ich związku. Chodzi o coś innego. Tylko o co? Jak powinien teraz postąpić? Jaką decyzję podjąć?

Potrząsnął głową, zmuszając się do myślenia o pracy. Zapytał,

co było potem, po pożarze. Opowieść Pawła Anatoljewicza i jego żony niczym się nie różniła od tego, co wyjawiał Boris Iljicz, sąsiad z Razdorów. Makłyginowie nie mieli pieniędzy na odbudowę domku, więc udali się do Jefimowej, żeby porozmawiać o sprzedaży działki. Suma, którą zaproponowała Inna Wiktorowna, pozwalała na znaczne powiększenie metrażu. Więc się zdecydowali.

Anton wracał na Pietrowkę zły i poirytowany. Zmarnował parę godzin. Po co pojechał do Makłyginów? Czego zamierzał się dowiedzieć? O czym przekonać? Czy ci ludzie mogli być zabójcami? Bzdura, kompletny nonsens! Hipoteza, że ich zięć, Jurij Szokin, maczał palce w podpaleniu domu i śmierci dziewczyny, nie jest oczywiście wyssana z palca, ale nie może mieć żadnego związku z zabójstwem Jefimowej. Anton znowu stracił czas nie wiadomo po co, tymczasem Romek Dziuba męczy się sam nad sprawą zabójstwa trenera.

Zupełnie straciłem poczucie rzeczywistości, z gniewem pomyślał Anton Staszys. Muszę uregulować jakoś sytuację związaną z Lizą i podjąć decyzję, inaczej narobię masę głupstw...

===

Rozdrażnienie i złość, które Anton czuł od rana, wylały się potężną falą na nieszczęsnego Romka Dziubę, gdy się dowiedział, że adwokatem w sprawie zabójstwa trenera Bołtienkowa będzie Kirgan. I to nie przypadkiem, ale dzięki interwencji Dziuby.

– Rozum ci odjęło? – wyrzucał młodszemu koledze. – Nie wiesz, że jeśli Kirgan będzie naszym przeciwnikiem w tej sprawie, to się ośmieszymy? Nie wiesz, z kim masz do czynienia? Witalij może być tylko naszym partnerem i sprzymierzeńcem, tak jak w sprawie Nataszy Awierkiny, bo gdy stanie po przeciwnej stronie, zetrze nas na miazgę.

Romek usprawiedliwiał się i opowiadał, jak do tego doszło i dlaczego Witalij Kirgan został wprowadzony w temat...

– Poszedłem do Nadieždy Igorjewny, żeby się poradzić w sprawie Bagłajewa, a u niej akurat siedział Witalij... No i zaproponował swoje usługi. A w ogóle, Tocha, może i wyjdziemy na błaznów, ale przynajmniej niewinny człowiek nie trafi za kratki.

– Niewinny i tak nie trafi! – krzyknął Anton. – Bądź spokojny, tutaj nie pracują sami głupcy! Ty jednak ze wszystkimi się poróżnisz. Módl się, żeby śledczy nie dowiedział się o twoich pokojowych inicjatywach.

– Nawiasem mówiąc, pytał o ciebie – wtrącił Dziuba. – Powiedziano mu przecież, że Pietrowka przysłała dwóch detektywów, tymczasem on widział tylko mnie. Dzisiaj zapytał, gdzie jest drugi. To znaczy ty.

– Usiłuję zamknąć sprawę Jefimowej z Dumy Państwowej – ze złością odparował Anton. – W każdej chwili ktoś może mnie o nią zahaczyć i zażądać raportu, to zabójstwo od dwóch miesięcy wisi mi nad głową. Jakbyś tego nie wiedział! I jeszcze zwalasz mi na kark dodatkowe problemy.

Gdy Anton Staszys prosił podpułkownika Zarubina, żeby szepnął słówko w sprawie przeniesienia Dziuby do ich wydziału, za najważniejsze zalety starszego lejtnanta uznał niebywały upór i dobre przygotowanie, a także niechęć do przyjmowania na wiarę cudzego stanowiska. Wtedy owe zalety pociągały Antona i wydawały się użyteczne w pracy. Teraz gotów był udusić własnymi rękami rudego Romka, który trwał w swoim uporze.

– Sam wiesz, Tocha, ile niewinnych osób siedzi w więzieniu.

– Co to za pomysł, żeby radzić się śledczego, który nie prowadzi sprawy? – Anton nie przestawał się gorączkować. – Kto cię tego nauczył?

– Nie krzycz na mnie. – Roman zerknął spode łba, ale najwyraźniej nie zmieszał się ani nie przestraszył. – Uczono

mnie, że zdanie wykwalifikowanego specjalisty zawsze się przyda. Nie naruszyłem tajemnicy śledztwa, przekazałem Nadziei Igorjewnie tylko fakty i powiedziałem, co mnie niepokoi.

– No tak, rozmawiałeś z Nadieżdą, a w efekcie z Kirganem.

– Przecież ci tłumaczę, jak do tego doszło! To nie moja wina, że Kirgan akurat tam był. A zresztą jego zdanie to zdanie wykwalifikowanego specjalisty.

– Które zawsze się przyda – oschle dokończył Anton. – Już to słyszałem. A więc tak, Romek. Koniec amatorszczyzny. Czy to jasne?

– Jasne – ponuro odparł Dziuba i dodał: – Rozumiem.

Anton uśmiechnął się i zakręcił na obrotowym krześle.

– Rozumiesz, ale się nie zgadzasz, tak?

Dziuba skinął głową w milczeniu. Otworzył sejf, wyjął stamtąd cienką teczkę, szybko przejrzał znajdujące się w niej dokumenty i znowu wsunął na półkę. Rozległ się nieprzyjemny trzask zamykanych drzwiczek.

– Owszem, nie zgadzam się z tobą – powiedział w końcu. – Jesteś starszy stopniem i zajmujesz wyższe stanowisko, więc będę robił, co każesz. Ale nie zamierzam ukrywać, że moim zdaniem się mylisz.

Ho, ho! Młode pokolenie pokazuje rogi... Może nie należało ściągać tutaj Romka?

– Kodeks postępowania karnego też się myli? – z jawną drwiną zapytał Staszys.

Roman nie stracił rezonu.

– Tak, on też się myli. Muszę go przestrzegać, więc będę to robił, ale nikt mnie nie przekona, że jest sprawiedliwy.

Chryste Panie! Skąd biorą się tacy zapaleńcy? I to w naszych czasach... Anton Staszys ma dzisiaj szczęście do ludzi bujących w obłokach, takich, którzy trafiają się tylko w bajkach. I to dla dzieci. Bo bajki dla dorosłych są znacznie bliższe rzeczywistości, jest w nich więcej cynizmu.



– Pamiętasz lekcje literatury ze szkoły, Romek? – zapytał z ciężkim westchnieniem. – Pamiętasz określenie „człowiek wyprzedzający epokę”? Odnosiło się do różnych bohaterów literackich. Swoim myśleniem wyprzedzali czasy, w których żyli.

– Pamiętam – burknął Dziuba. – I co z tego?

– Ano to, że ty raczej jesteś „człowiekiem nienadążającym za epoką”. Minęło już sporo czasu, odkąd przyjęto nowy kpk, a ty wciąż tęsknisz do starego. Uczono cię przecież z nowego, więc skąd w tobie takie przywiązanie do radzieckiego prawodawstwa?

W niebieskich oczach Romana zapłonął nieprzyjemny blask, piegi na pobladłej twarzy wystąpiły jeszcze wyraźniej.

– Ty zaś pasujesz jak ulał do swojej epoki, Tocha. – W jego głosie zabrzmiało rozczarowanie, a nawet gorycz. – Jesteś taki sam jak inni. To, co „radzieckie”, automatycznie uznajesz za złe. Wkułeś to, czego cię uczono, niczego nie analizując i w ogóle się nie zastanawiając. Powiedziano ci, że za czasów władzy radzieckiej demokracja nie istniała, a prawo było niesprawiedliwe, więc przyjąłeś to jako pewnik. Nawet ci chyba nie przyszło do głowy, żeby o tym poczytać i sprawdzić, czy rzeczywiście wszystko wtedy szwankowało.

No tak, Anton doczekał się czasów, w których smarkacze pouczają swoich mentorów. Krew się w nim zagotowała i już miał rzucić ciętą ripostę, gdy nagle przypomniał sobie podręcznik do kryminologii z 1976 roku, którego szukał kiedyś dla Lizy. Trzydziestopięcioletniego podręcznika nie umieszczono w Internecie, w bibliotece uczelnianej też go nie było, znalazł się za to w domowej biblioteczce Dziuby.

Nagle Anton poczuł się nieswojo. Ten rudzielec zarzuca mu brak profesjonalnej wiedzy. Tak, Dziuba wie więcej, trudno tego nie zauważyć, jako wywiadowca ma mniej doświadczenia, ale z całą pewnością ma większą wiedzę prawniczą. Z drugiej strony Romek to wolny ptak, mieszka z rodzicami, nie jest

obarczony rodziną, nigdy nie musiał się zastanawiać, jak zarobić na chleb, nie brakowało mu czasu, żeby się zająć nauką, podczas gdy Anton nie miał do tego głowy. Po śmierci matki i bliskich walczył o przetrwanie, szybko się ożenił, urodziła się Waśka, potem pojawił się Stiopka, później zginęła żona... Nie miał ani sił, ani chęci, ani czasu, żeby się zajmować rzeczami wychodzącymi poza ramy pracy. Lubił swoją pracę, to prawda, i jeśli mógł coś zrobić, żeby poprawić swoje umiejętności zawodowe, robił to chętnie i z przyjemnością. Ale żeby coś ponadto, to nie. Wolał побыć z dziećmi dodatkowe pół godziny.

===

Dzisiaj jego słuch wyłowił wypowiedziane przez kogoś słowa „wydrzeć swoje” i posłuszna pamięć natychmiast przywołała dawny monolog, a także jego oprawę akustyczną: tembr głosu, intonację, szумы w tle.

„Przesrałeś swoje życie i sądzisz, że wszyscy mają się nad tobą litować i żyć tak jak ty? Przepijasz życie, no to je przepijaj, mnie do tego nie mieszaj, wpiję się zębami, ale wydrę swoje! I nie waż się mnie krytykować i pouczać, co i jak mam robić! W końcu dopnę swego. Liczy się efekt!”.

Pastel olejny – czarny i żółto-zielony, na górze czerwony akryl. Kolory gniewu, ropy oraz krwi. Owe rozbrzmiewające w głowie słowa wydają mu się olbrzymim ropniem, który lada chwila pęknie i ohydłą treścią zaleje mózg.

Malarz poczuł, jak nabrzmiewa w nim niekontrolowana wściekłość, ręce sztywnieją, linie o boskiej harmonii stają się nieprecyzyjne. Musiał ponownie pokryć nieudane miejsce czerwonym akrylem i poczekać, aż podeschnie, żeby nanieść rysunek jeszcze raz.

Mężczyzna zna sposób, jak uspokoić ową wszechogarniającą złość, która sprawia, że trzęsą mu się ręce. Sposób jest

wypróbowany, nieraz ratował go z opresji. Musi zdjąć z półki i otworzyć stary notatnik, wyjąć stamtąd kartkę, na której wydrukowano cudowne słowa: „zmarł śmiercią tragiczną”. Wciąż od nowa je czytał, później parę razy przeczytał cały tekst, aż wreszcie poczuł ulgę, ręce znowu zrobiły się ciepłe i giętkie, palce pewnie chwyciły śrubokręt. Linia rysunku jest ponownie precyzyjna i nienaganna.

Właśnie od tych słów wszystko się kiedyś zaczęło...

===

Roman Dziuba już dawno zapomniał, że bywają takie cudowne i ciepłe majowe dni. Nie wiecieć czemu piąty miesiąc roku zapadł mu w pamięć jako deszczowy i wilgotny, z nieodłącznymi przymrozkami, które zdarzały się akurat wtedy, gdy można już było oczekiwać, że okres niepogody się skończy i zacznie się lato... Droga ze stacji kolejki podmiejskiej do domu na ulicy Dubrawnej zajmowała około piętnastu minut, w każdym razie tak mu powiedziano, tłumacząc, którądy powinien iść. Roman nie należał wprawdzie do osób podszytych tchórzem, ale teraz – nie żeby trzęsły mu się kolana, co to, to nie – czuł się trochę niepewnie.

Witalij Kirgan powiedział mu przez telefon, że chce się z nim spotkać prywatny detektyw pracujący na zlecenie adwokata. To od razu wytrąciło go z równowagi – zbyt dobrze pamiętał, jak zareagował Anton, gdy się dowiedział, że do sprawy włączył się Witalij Nikołajewicz i że doszło do tego z inicjatywy Dziuby. A teraz jeszcze spotkanie z detektywem... Zacznie przecież zadawać pytania, Romek będzie musiał na nie odpowiedzieć w taki sposób, żeby z jednej strony nie naruszyć tajemnicy śledztwa, a z drugiej, żeby pomóc mu osiągnąć cel, do którego, szczerze mówiąc, on sam też zmierzał. Ale to jeszcze pół biedy. Nie zdążył jeszcze ochłonać po pierwszych słowach adwokata, gdy ten podał mu nazwisko osoby, z którą miał się spotkać.

Wtedy poczuł się całkiem nieswojo.

Anastazja Pawłowna Kamieńska. Osoba, o której tyle słyszał i od Siergieja Kuźmicza Zarubina, i od Antona Staszysa, a przedtem od swojego ulubionego wykładowcy, docenta katedry działań operacyjno-rozpoznawczych, Nazara Zacharowicza Byczkowa. Kiedyś nawet widział Kamieńską, gdy odwiedziła Byczkowa. Był wtedy jeszcze nieopierzonym studentem i stojąca z docentem przy oknie kobieta w spodniach i w workowatej kurtce, z długimi, ściągniętymi w koński ogon jasnymi włosami nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Nawet potem, gdy Byczkow powiedział mu, że to jego uczennica, która jest teraz świetnym detektywem, Dziuba nie poczuł najmniejszego szacunku. Obraz nie pasował do wysokiej oceny zawodowca. Ale po latach poznał Antona Staszysa i wtedy nazwisko Kamieńskiej co rusz pojawiała się w rozmowach, no a gdy przeniósł się na Pietrowkę, nie było dnia, żeby Kuźmicz z tego czy innego powodu nie wspomniał Nasti Pawłowny.

Teraz ma ją poznać osobiście. Nie zje go, rzecz jasna, mimo to czuł się dość dziwnie. Kirgan podyktował mu numer jej komórki i polecił zadzwonić, co też Roman zrobił, otrzymując zaproszenie, żeby odwiedził Kamieńską w domu, to znaczy, żeby przyjechał na to osiedle, na ulicę Dubrawną.

Póki droga ze stacji wiodła prosto, Roman szedł, w ogóle się nie zastanawiając. Ale na rozwidleniu zatrzymał się i zaczął rozglądać. Kamieńska wspomniała o tym rozwidleniu, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, co właściwie powiedziała. W prawo czy w lewo? Droga wydała mu się tak prosta, że nie chciało mu się zapisywać wskazówek, pomyślał, że zapamięta, to żaden problem. Ale nie zapamiętał...

Postanowił zdać się na łut szczęścia i skręcił w lewo. W oddali majaczyła masywna, nieśpiesznie poruszająca się postać. Roman przyśpieszył kroku, żeby dogonić, jak mu się zdawało, tęgą starszą kobietę i zapytać ją o ulicę Dubrawną. Jednakże zrównawszy się z piechurem, ze zdziwieniem spostrzegł, że to

młody chłopak. Przez ramię miał przewieszoną torbę z laptopem, a w ręce kołysała się solidnych rozmiarów reklamówka z logo sieci fast food.

– Przepraszam, kolego – zwrócił się do niego Roman. – Szukam ulicy Dubrawnej. Idę w dobrym kierunku? Czy powinienem był skręcić w przeciwną stronę?

Chłopak spojrzał nań bardzo poważnie, ale jakoś dziwnie, Dziuba odniósł nawet wrażenie, że nie zrozumiał pytania.

– Dojdę tędy na Dubrawną? – powtórzył na wszelki wypadek.

– Uhm – w zamyśleniu odparł grubas. – Ja też tam poginam. A więc ty też zasuwasz w dobrym kierunku. Bo ja na pewno grzeję w odpowiednią stronę.

Logiczne, pomyślał Roman, uśmiechając się w duchu.

– Mieszkasz tam? – uściślił.

– Nie, mam tam kumpla, partnera i duchowego brata.

– Serio?

– Owszem – przytaknął grubas, nie tracąc nic ze swojej powagi. – Niesamowity gostek, w kompach i w programowaniu i nie ma sobie równych. Prawdziwy mocarz. Całymi dniami siedzę u niego na chacie.

– Macie tam klub fanów stukniętych na punkcie kompów? – domyślił się Dziuba.

Musiał zwolnić tempo, żeby iść równo z niespodziewanym rozmówcą. Chłopak poruszał się nieśpiesznie, ciężko, rozkołysanym krokiem, a gdy mówił, słychać było zadyszkę.

– Uhm. – Znowu kiwnął głową. – Klub. Tylko mały, dla dwóch osób.

– A co, twój guru mieszka sam?

– Praktycznie sam. Starzy wybyli za granicę na pewien czas.

– No to macie luz. – Roman westchnął. – Nikt się nie czepia, nie wisi nad głową.

– Mielibyśmy luz, gdyby nie upierdliwa babka. Parentsi ulokowali ją razem z moim kumplem, żeby szykowała mu żarcie. Emerytka, nie ma się czym zająć, no więc wierci Sańce

dziurę w brzuchu. Dobrze, że przynajmniej mnie nie rusza.

– Ten twój kumpel to małolat, że trzeba mu szykować żarcie?

– A co ja mówię?! – W głosie grubasa po raz pierwszy od początku rozmowy pojawiły się jakieś emocje. – Normalny ziom, uczy się w instytucie, a ta stara raszpla nie daje mu żyć, pruje się z tymi swoimi kaszkami, zupkami i lekarstwami. I wciąż trzeszczy, że długie siedzenie przy kompie jest niezdrowe.

– Nie da się jej jakoś spławić?

– Akurat! Lepiej by było, gdyby jego zgredy wróciły!

Liczba synonimów, którymi posługiwał się grubas, była zdumiewająca! Na określenie czasownika „iść” i rzeczownika „rodzice” miał różne wyrażenia slangowe, które się nie powtarzały.

– A starzy go nie karmią? – zdziwił się Roman. – Moim zdaniem starzy są zawsze gorsi niż dziadkowie, więcej się sadzą. Gdy byłem mały, zostawiali mnie z babką, a ona na wszystko mi pozwalała. Dziadek też się nie czepiał, na wszystko patrzył przez palce.

– Nie, starzy Sańki robią interesy, pracują, przez cały dzień nie ma ich w domu. A wieczorami i w weekendy często przyjeżdżają goście, na okrągło urządzają imprezy, więc nas nie kontrolują. No dobra, jestem na miejscu.

Grubas zatrzymał się przed bramą z tabliczką „ul. Dubrawna 12”. Właśnie ten adres podała Dziubie Anastazja Pawłowna Kamieńska. Dziwnie się jakoś składa: w tym domu mieszka też jakiś student Sańka, którego rodzice wyjechali, a więc Kamieńska nie może być jego mamą. Na dodatek jest jeszcze jakaś stara babka.

Pewnie to duża rodzina, pomyślał Dziuba. Anastazja Pawłowna jest zapewne siostrą któregoś z rodziców Sańki, a babka to jej matka. No oczywiście, jeśli Kamieńska przeszła na emeryturę w wieku pięćdziesięciu lat, jak mówił Kuźmicz, i było to dwa albo trzy lata temu, to znaczy, że jej matka musi mieć co najmniej siedemdziesiąt pięć lat. I to ona jest babką.

– Co tak stoisz jak widły w gnoju? – podejrzliwie zapytał grubas, który wcisnął przycisk domofonu i czekał, aż ktoś mu otworzy.

Dziuba już miał wyjaśnić, że on też przyszedł do tego domu, gdy z głośnika dobiegł ich wesoły głos:

– Włącz, Petruccio! Wał prosto na górę. Drzwi są otwarte.

Rozległ się szcęk zamka elektrycznego i chłopak o dziwnym imieniu pchnął furtkę ramieniem. Dziuba ruszył za nim.

– Ja też tutaj – powiedział szybko na widok zdumionej miny fanatyka komputerów.

– Do Sańki?

I znowu Roman nie zdążył odpowiedzieć. Jego uwagę zaprzętnęła zgrabna dziewczyna w bejsbolówce i w ogromnych, ciemnych okularach, która siedziała na huśtawce, trzymając w jednej ręce książkę, a w drugiej papierosa. Tak, to naprawdę duża rodzina. Pewnie to siostra Sańki.

– A to kto? – zapytał szeptem. – Siostra?

– Gdzie?

– No tam, na huśtawce.

– A, ta – pogardliwie prychnął grubas. – To... To właśnie jest babka. Strasznie wredna. Dobra, gadaj, do kogo masz interes. Bo jak do Sańki, to idziesz ze mną.

– Przyszedłem do babki, nie do Sańki – odparł Dziuba. – Przepraszam, tak jakoś wyszło. Dzięki, że mnie zaprowadziłeś.

Tym razem udało mu się wywołać prawdziwą burzę emocji na twarzy Petruccia. Właściwie było to jedynie pełne zdumienia i niedowierzania spojrzenie, ale w przypadku zatopionego w swoich myślach programisty owo spojrzenie było niczym trzęsienie ziemi.

Pokręciwszy głową z przyganą, Petruccio poczłapał w stronę wejścia, wspiął się po stopniach i znikł w domu, a Roman ruszył na palcach ku huśtawce. Choć bejsbolówka i okulary ukrywały twarz i włosy, ani przez chwilę nie wątpił, że to Kamieńska.

– Czemu się pan tak skrada, jakby chciał coś ukraść? – Usłyszał kpiący głos. – Widzę pana, odkąd wszedł pan z Pietią.

– Przepraszam, myślałem, że mnie pani nie zauważyła, nie chciałem pani przestraszyć. Wydawało mi się, że jest pani pochłonięta lekturą... Nie poruszyła pani nawet głowę.

Kamieńska odłożyła książkę i odepchnęła się nogą. Niebieska wyściełana ławeczka zakołysała się mocniej.

– Żeby mnie przestraszyć, chłopcze, trzeba umieć to zrobić. Niech pan podejdzie i usiądzie. Ma pan na imię Roman, tak? Nie zauważył pan, czy Pietia miał reklamówkę?

Pytanie oszołomiło Dziubę zarówno nieoczekiwaną zmianą tematu, jak i treścią.

– Owszem – odparł z roztargnieniem. – Miał torbę z komputerem na ramieniu i reklamówkę w rękach.

– Niedobrze. – Kamieńska nie wiedzieć czemu westchnęła.

Zdjęła okulary i w tej samej chwili ze szczupłej młodej dziewczyny przeobraziła się w kobietę w średnim wieku ze zmarszczkami wokół oczu. Oczy były jednak wesołe, a nawet figlarne.

Roman od razu przestał jej się bać. A godzinę później nawet nie potrafił sobie przypomnieć, czemu się denerwował.

– Jestem pewien, że Łamzina wrobiono – zapewniał żarliwie. – Dlatego trzeba szukać jego wrogów, a nie wrogów Bołtienkowa.

– Nie wiem. – Kamieńska w zamyśleniu pokręciła głowę. – Nie wiem. Moim zdaniem to zbyt skomplikowane: zabić Bołtienkowa tylko po to, żeby wrobić Łamzina... Nie widzę w tym sensu. Łamzin już i tak dostał wypowiedzenie, drogę do innej, analogicznej pracy ma zamkniętą, więc po co się z nim rozprawiać? I tak ma przechlapane. Bardziej prawdopodobne jest to, że ktoś chciał się pozbyć właśnie Bołtienkowa, a Łamzina, jego zagorzałego wroga, wykorzystał, uznając, że się do tego nadaje ze względu na swoje zwolnienie. Gdyby Łamzin nie został zwolniony, wrobiłby kogoś innego. Trzeba więc szukać wrogów nie Łamzina, tylko Bołtienkowa.



Ale Romana Dziuby nie tak łatwo było zbić z tropu, wywiadowca niezachwianie wierzył w słuszność swojej hipotezy. Walerija Łamzina wrobiono i należy szukać tego, kto chciał mu zaszkodzić. Okrutnie się na nim zemścić.

– Gdyby pani wiedziała, w jakiej dżungli oni tam żyją! Łyżwiarstwo figurowe to nie tylko piękne pokazy na lodzie, ale też świat pełen intryg! Jeszcze wszystkiego nie rozgryzłem, ale to, co słyszałem, wystarczyło, żebym doszedł do wniosku, że dla tych ludzi liczą się głównie ambicje, na drugim miejscu są pieniądze, natomiast sportowcy w ogóle nikogo nie interesują, to jedynie masa mięśniowa, są jak pionki w grze.

Roman widział, że Kamieńskiej nie przekonują jego słowa, ale z jakiegoś powodu otwarcie ich nie kwestionuje.

– Ile osób pracuje nad sprawą? – zapytała.

– Oprócz mnie wywiadowca z terenu i mój kolega.

– A kto ma nad wszystkim pieczę? Kto prowadzi ewidencję operacyjną sprawy?

– Funkcjonariusz z terenu.

– Jasne. – Kamieńska westchnęła. – A twój kolega kim jest dla ciebie? Przełożonym?

– No właściwie... – wybąkał Roman. – Właściwie tak. Opiekunem. Znamy się jeszcze z czasów, gdy pracowałem w okręgu. To on ściągnął mnie na Pietrowkę. Długo przekonywał Siergieja Kuźmicza.

– Mogę to sobie wyobrazić. – Anastazja Pawłowna się roześmiała. – Żeby przekonać do czegoś Kuźmicza, trzeba się nieźle napocić. Pewnie twój opiekun bardzo się starał. A przy okazji, wie, że się ze mną spotykasz?

– Nie – przyznał Roman. – Szczerze mówiąc, urządził mi awanturę, gdy się dowiedział, że poradziłem Natalii Łamzinie, by wynajęła obrońcę. Był wściekły, że podsunąłem jej Witalija Nikołajewicza. Dlatego mu nie powiedziałem. To źle?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Zamiast odpowiedzieć, Kamieńska zadała kolejne pytanie:

– Jak ci się układa z Siergiejem Kuźmiczem?

– Normalnie, a czemu?

– Nie, nic. W waszym wydziale pracuje też Anton Staszys, pamiętam, że spotkaliśmy się kiedyś przy okazji pewnej sprawy. Zabójstwo w teatrze. Tam dopiero była dżungla! A ty mówisz: łyżwiarstwo figurowe... Anton ci nie opowiadał?

– To właśnie on... – zaczął Dziuba i umilkł.

Właściwie nie byłoby w tym nic złego, gdyby podał Anastazji Pawłownie Kamieńskiej nazwiska wywiadowców zajmujących się sprawą zabójstwa trenera Bołtienkowa. Świat by się nie zawalił. Ale z drugiej strony nie powinien tego robić. Kamieńska jest osobą prywatną i nie powinien przekazywać jej służbowych informacji.

– To właśnie on zajmuje się z tobą tą sprawą – z uśmiechem dokończyła Kamieńska. – To jemu nie powiedziałaś o naszym spotkaniu. Nie czerwień się, wszystko w porządku, sama do niego zadzwonię. Podzielmy się pracą, żeby się nie rozpraszać i nie deptać sobie po piętach. Ponieważ nie rozmówiłaś się ze śledczym, musisz udawać, że pracujesz na rzecz oskarżenia. Twoje zadanie to wrogowie Bołtienkowa. Szukasz dowodów niewinności Łamzina i sprawdzasz wszelkie możliwe hipotezy. Może było ich paru – tych, którzy powzięli zamiar zabicia Bołtienkowa, Łamzin jest tylko jednym z nich, chcesz więc zdemaskować całą grupę. Rozumiesz? Tego się trzymaj i ani kroku w tył. A ja zajmę się Łamzinem. Daj mi listę osób, które pracują z nim w Pałacu Sportu i z którymi już rozmawiałaś. Zajmę się pozostałymi, a później zależnie od sytuacji. Umowa stoi?

– Stoi – z ulgą odparł Roman. – Gdy się pani wybierze do Pałacu Sportu, proszę się ciepło ubrać, bo panuje tam przeraźliwe zimno. To znaczy w pomieszczeniach jest normalnie, jak wszędzie, ale na lodowisku można zamarznąć.

Wyjął z torby notes, wyrwał z niego kartkę i przepisał nazwiska świadków, z którymi zdążył porozmawiać. Z domu

numer dwanaście na ulicy Dubrawnej wyszedł z lekkim sercem, mimo że Kamińska nie powiedziała nic szczególnego i nie przekazała mu żadnej ważnej informacji. Gdy jednak ktoś spogląda tak ciepło, głupio się denerwować.

===

Żanna Trawina, trenerka tańców na lodzie, szczupła elegancka kobieta o niezwykle łagodnych i płynnych ruchach, zgodziła się porozmawiać z Nastią Kamińską podczas zajęć z młodszą grupą.

– Mam swoją metodę, razem z choreografem zajmuję się nastolatkami jeżdżącymi w parach, z dziećmi pracuje drugi trener, mój asystent i dawny uczeń, dlatego mogę poświęcić pani czas – wyjaśniła Trawina. – Muszę jednak pozostać na lodowisku. Nie mam przerwy, bo później od razu zaczyna się trening juniorów i wtedy na nich skupię całą uwagę.

Znalazszy się na lodowisku, Nastia z wdzięcznością pomyślała o Dziubie, który poradził jej włożyć ciepłe ubranie. Nieźle by wyglądała na takim zimnie bez kurtki i zimowych butów na grubej podeszwie!

Żanna Trawina nie była pierwszą osobą, z którą rozmawiała Kamińska, ale jak dotąd nie udało jej się dowiedzieć niczego istotnego. Wrogowie? Walerij Pietrowicz Łamzin miał oczywiście wrogów, ale kto ich nie ma w łyżwiarstwie figurowym? Żeby go jednak z premedytacją posłać do więzienia... Tylko jedna osoba, która zgodziła się porozmawiać z Nastią, powiedziała coś, co warto było dokładnie sprawdzić. Walerij Łamzin traktował uczniów niezwykle grubiańsko i łatwo tracił panowanie nad sobą. Podobno potrafił nawet uderzyć. Dziuba też przecież o tym wspominał, opisując zebranie rodziców zorganizowane przez Natalię Łamzinę.

Nastia postanowiła zacząć właśnie od pytania o grubiaństwo trenera. Usta Trawiny natychmiast wykrzywiły się w grymasie,

który zmienił nie do poznania jej sympatyczną w gruncie rzeczy twarz.

– Kto pani to powiedział? – zapytała z pogardą w głosie. – Pewnie Sznitow z Federacji? Też mi bezstronny arbiter! On nie lubi Walerija, faworyzował Bołtienkowa, od dawna łączą ich jakieś finanse. Sznitow zawsze wspierał Michaiła Walentinowicza i pomagał mu na wszelkie sposoby, wszyscy to wiedzą. Pomagał też przyjacielom Bołtienkowa, za którymi się wstawiał. Wrogowie Bołtienkowa stawali się automatycznie wrogami Sznitowa, facet nie miał dla nich litości. Są, wie pani, tacy ludzie, którzy rzucają się każdemu do gardła w obronie „swoich”, a jeśli ktoś nie jest „swój”, traktują go jak parszywego psa. A więc Sznitow pani powiedział?

Nastia pierwszy raz słyszała to nazwisko i odnotowała je w myślach. Musi zapytać, ale nie teraz.

– Co za różnica – odparła wymijająco. – Jestem tylko ciekawa, czy to prawda.

Trawina milczała, w zamyśleniu spoglądając na Nastię.

– Gdybym trenowała pary sportowe albo solistów, przedstawiłabym pani poglądowo to, o czym zaraz powiem. Ale trenuję tancerzy, a z nimi jest inaczej. Więc będzie pani musiała uwierzyć mi na słowo. Każdy trening to niesłychany stres.

– Dlaczego? – zdumiała się Nastia.

– Bo wiąże się ze strachem i z wielkim bólem. Gdy łyżwiarze uczą się potrójnych skoków, skoków wyrzucanych i podnoszeń, muszą pokonywać potworny strach i dotkliwy ból spowodowany ciągłymi upadkami. To bardzo trudne elementy, więc gdy ćwiczą, ich doznania bólowe są tak silne, że mogą sobie z nimi poradzić tylko z przytępionym systemem nerwowym. Właśnie dlatego dochodzi do tak wielu konfliktów wśród par na treningach. I chłopak, i dziewczyna doskonale wiedzą, że są od siebie zależni: upadną czy nie, dotkną łyżwą czy nie. Od tego, jak każde z nich wykona swoje zadanie, zależy na przykład, czy

partnerka złamie nogę, czy nie. Uderzy się w głowę czy nie. Jeśli wykona element niewłaściwie, może uderzyć partnera łyżwą w kolano albo między nogami. Dlatego oboje traktują każdy trening jak walkę. Ich relacje się zaostrzają. Na przykład dziewczyna zahaczyła partnera łyżwą podczas podnoszenia albo przypadkiem trafiła go łokciem w nos, chłopak mocno krwawi i krzyczy: „Kretynko!!! Idiotko!!! Co ty wyprawiasz?!?!”. Padają też gwałtowniejsze słowa. Ona reaguje tak samo. Weźmy, dajmy na to, skok wyrzucany z trzema obrotami. Para się go uczy, partnerka powinna w porę rozłożyć ręce, żeby wylądować tyłem na jednej nodze, to bardzo trudny moment, bo jeśli wyląduje przodem, zrobi sobie krzywdę, rozumie pani? Nie wolno jej nie wykonać pełnego elementu. Gdy partner wyrzuci ją z siłą pozwalającą na wykonanie jednego obrotu, może zrobić „jaskółkę”, to znaczy zdecydować się na skok pojedynczy. Ale jeśli zamierza zrobić trzy obroty, rotacja nie może być niepełna, dziewczyna musi koniecznie wykonać cały element, bo jeśli wyrzuci ręce na boki i wyląduje przodem, może się zabić. Podczas wykonywania każdego elementu powinna maksymalnie się skoncentrować i opanować strach. Bardzo wiele zależy od tego, jak partner ją wyrzuci. Gdy coś sknoci, to przepadło, dziewczyna poszybuje przechylona w bok i upadnie na taflę. Stąd tak ostre reakcje. Nawet jeśli trening jest udany, prawie zawsze towarzyszą mu łyzy. Prawie zawsze zdarzają się konflikty. Nie wszyscy potrafią codziennie pokonywać razem ten stres.

– Wy tłumaczyła mi pani, dlaczego sportowcy mogą się kłócić podczas treningu, ale nie rozumiem, co ma do tego grubiański stosunek trenera? – ni to zapytała, ni to stwierdziła Nastia.

Trawina wzruszyła ramionami.

– Co tutaj jest do rozumienia? Trener sam kiedyś był łyżwiarzem i ma świadomość każdego ryzyka. Wie, jaki strach i ból czują łyżwiarze. Co więcej, rozumie to znacznie lepiej niż oni, bo potrafi ocenić możliwe niebezpieczeństwo. Dlatego też jest w straszliwym napięciu i skacze mu adrenalina. I jeszcze

jedno. Będąc w takim stanie, sportowcy czasami nie potrafią zrozumieć, co trener do nich mówi, jakie daje wskazówki, nawet jeśli zwraca się do nich spokojnie. Powie raz, potem drugi, trzeci, aż w końcu traci cierpliwość i zaczyna krzyczeć. Normalna rzecz... Chwileczkę...

Trawina przerwała, żeby wyjaśnić coś jasnowłosej, na oko siedmioletniej dziewczynce, później rzuciła parę słów asystentowi, wysokiemu, szczupłemu chłopakowi, który był chyba ledwie po dwudziestce, i wróciła do Nasti siedzącej w pierwszym rzędzie trybun dla widzów.

– Łyżwiarstwo figurowe to taka dyscyplina sportu, w której wszystko odbywa się kosztem wyrzeczeń, ograniczeń i bólu – podjęła. – Na treningach łyżwiarz czuje ból i strach. A gdy dostaje nowe łyżwy? To prawdziwy dramat! Para łyżew rozlatuje się w ciągu dwóch, trzech lat treningów i występów, to dotyczy dojrzałych sportowców, łyżwy tych, którzy wciąż rosną, nadają się jeszcze do użytku, ale są za małe, więc potrzebna jest nowa para. Nowe łyżwy można „rozjeździć” tylko w okresie pomiędzy końcem sezonu zawodów a początkiem letnich zgrupowań. W tym czasie treningi nie są tak intensywne, dla łyżwiarzy opracowuje się nowe programy na kolejny rok. Nie ma innej dogodnej pory, bo latem są zgrupowania, a później zaczynają się zawody, który trwają do końca marca, a niekiedy do połowy kwietnia, wtedy łyżwy muszą być już gotowe. Można je „rozjeździć” jedynie pod koniec wiosny. Wie pani, co to oznacza? Każdego dnia krwawe odciski i nieustanny ból. Łyżwiarz nie może poleżeć sobie w domu w miękkich kapciach z zabandażowanymi nogami, musi wkładać łyżwy i trenować. Ma tylko jeden dzień wolny w tygodniu. I na okrągło cierpi. To też wywołuje stres. Jeśli uda mu się „rozjeździć” łyżwy w ciągu tygodnia, mówi się, że ma duże szczęście. Niektórzy męczą się ze dwa, trzy miesiące. Są oczywiście szczęściarze, którzy wkładają nowe łyżwy – i zero problemów, buty pasują jak ulał, żadnych odcisków. Ale to wyjątkowi farciarze. W większości

przypadków tak nie jest. Prawie przez cały czas pobytu na tafli łyżwiarz odczuwa ból, powinna pani o tym pamiętać. Dlatego jego postrzeganie podczas treningów jest zniekształcone, niewinny żart urasta do rangi zniewagi, a polecenie wypowiedziane surowym tonem odbierane jest jako krzyk i grubiaństwo.

– Więc chce pani powiedzieć, że całe to gadanie o grubiańskim zachowaniu trenerów można włożyć między bajki? – z niedowierzaniem zapytała Nastia.

Trawina oderwała wzrok od małych łyżwiarzy, którzy uczyli się jakiegoś kroku pod opieką młodego asystenta, i spojrzała na Kamieńską. W jej oczach Nastia dostrzegła żal pomieszany z goryczą.

– To nie bajki – powiedziała półgłosem. – Trenerzy krzyczą na łyżwiarzy i dopuszczają się rękoczynów, to prawda. Nie wszyscy, oczywiście, nie będę uogólniać. Ale wielu. W dodatku krzyczą nie tylko na lodowisku.

– O Boże! – z przerażeniem zawołała Nastia. – Za co można uderzyć łyżwiarza?

– łyżwiarzkę – z uśmiechem poprawiła Trawina. – Na przykład za objadanie się. Chociaż nie, przesadziłam, na przykład za zjedzoną drożdżówkę. Problem wagi dziewczynek uprawiających łyżwiarstwo figurowe, zwłaszcza tych, które jeżdżą w parach, jest traktowany bardzo surowo. Partner musi przecież podnosić partnerkę, wyrzucać ją, chwytać i obracać. Dziewczynki muszą się pilnować, żeby nie przytyć, a przecież rosną, mają po trzynaście, czternaście lat, w tym wieku dopisuje im apetyt, za drożdżówkę dadzą się posiekać na kawałki. Opowiem pani, jak to było ze mną. – Żanna uśmiechnęła się, tym razem wesoło. – Miałam trzynaście lat, gdy pojechałam na zgrupowanie do Tomska. W suterenie hotelu, w którym się zatrzymaliśmy, była cukiernia i piekarnia, można tam było kupić świeże i bardzo smaczne drożdżówki z kremem. Wtedy zwykła drożdżówka wydawała nam się arcydziełem kulinarnym, bo przecież wciąż

byłyśmy głodne. Pewnego dnia natknęłam się w windzie na instruktorkę, gdy jadłam akurat kupioną drożdżówkę. Instruktorka chwyciła mnie za rękę i zaciągnęła do głównej trenerki, a tamta, nie marnując czasu na rozmowę, wymierzyła mi policzek. Młode łyżwiarki oprócz strachu i bólu mają dwa problemy: głód i wagę. Jeżeli przestrzegają wymaganej diety, bez przerwy chce im się jeść, zwłaszcza w wieku między trzynastym a siedemnastym rokiem życia. Jeśli ktoś nie stosuje diety, podczas ważenia sprawa wychodzi na jaw. No więc dziewczynki zaczynają „pościć” trzy dni przed ważeniem, a zaraz potem znowu się objadają. Ważenie odbywa się na ogół raz w tygodniu, ale jeśli trener zauważy, że łyżwiarka przytyła, w każdej chwili może ją zmusić, żeby stanęła na wadze. I jeśli waga pokaże nie to, co trzeba, łyżwiarka może oberwać po karku, to prawda. Albo dostać po gębie, tak jak ja. Ale zdarzają się też wyjątki.

– Jakież?

– Jeśli dziewczynka jest szczupła i nie przybiera na wadze, nawet gdy je wszystko, na co ma ochotę, można jej wybaczyć drożdżówkę albo ciastko. Ale jeśli ma skłonności do tycia i szybko obrasta w kilogramy, kary za nieprzestrzeganie diety są bardzo surowe. Jeśli chodzi o chłopców, to mogą oberwać na przykład za palenie albo picie. Ale wszyscy łyżwiarze mogą dostać lanie za tępotę, gdy trener po dziesięć razy powtarza, co i jak mają zrobić, a oni go nie słuchają.

– Łamzin też tak postępował?

Trawina odwróciła wzrok i tylko wzruszyła ramionami, z czego Nastia wysnuła wniosek: tak, Walerij Pietrowicz mógł podnieść rękę na swojego łyżwiarza. Teraz można więc zapytać o Sznitowa. Trawina wyraźnie nie ma ochoty kontynuować tematu grubiaństwa trenerów i skwapliwie skorzysta z okazji, by porozmawiać o czymś innym. Będzie tak zadowolona, że z radości powie wszystko, co wie, nawet to, czego raczej nie powinna wyjawiać.



– A co może mi pani powiedzieć o Sznitowie, Żanno?

– O którym? O Igorze Eduardowiczu czy o Olegu?

Nastia musiała udać, że wie, o jakiego Sznitowa jej chodzi. Ale ponieważ tak naprawdę nie wiedziała, wybrała najprostszą drogę: jeden Sznitow został wymieniony z imienia i patronimiku, a drugi tylko z imienia. A więc albo jeden jest starszy, a drugi młodszy, albo jeden to szanowany, poważny Igor Eduardowicz, a drugi jest przeciętnym, najzwyczajniejszym Olegiem. Najlepiej byłoby zacząć od ważniejszego albo starszego.

– Interesuje mnie przede wszystkim Igor Eduardowicz – odparła ostrożnie. – Ale Oleg też, ma się rozumieć.

Anastazja Kamińska zbyt długo pracowała w wydziale kryminalnym i zbyt wiele ludzkich losów poznała, by można ją było czymś zadziwić. Widywała różne rzeczy. To, że sport stanowi takie samo pole do intryg jak każda inna dziedzina, też właściwie wiedziała. Jednakże historia opowiedziana przez Żannę Trawinę okazała się niespodzianką nawet dla emerytowanej pani pułkownik.

Bracia Sznitowowie, starszy Igor i młodszy Oleg, wychowali się w sportowej rodzinie, mama uprawiała gimnastykę artystyczną, a ojciec skoki do wody. Dla chłopców wybrano łyżwiarstwo figurowe. Młodszy, Oleg, okazał się zdolniejszy i razem ze swoją partnerką w tańcach na lodzie znalazł się w pierwszej dziesiątce najlepszych par mistrzostw świata, Igor zaś nie miał tyle zdolności i dość szybko odszedł z łyżwiarstwa, postanawiając zrobić karierę selekcyjona, co mu się w pełni udało. Dzisiaj Igor Eduardowicz Sznitow jest wpływowym urzędnikiem, członkiem Komitetu Wykonawczego Federacji Łyżwiarstwa Figurowego, a jego brat Oleg dość znanym trenerem, osiągającym sukcesy w USA. Bracia zawsze byli ze sobą bardzo zżyci, jeden za drugim skoczyliby w ogień.

Żywym przykładem przejawu braterskich uczuć stała się historia sukcesu pewnej pary tanecznej. Łyżwiarze mieli bardzo

dobrego trenera w Rosji, ale wciąż im się wydawało, że trener poświęca innej parze o wiele więcej uwagi. Tamta para była mistrzowska, więc trener rzeczywiście się przykładał, ale to rzecz normalna, zawsze tak się dzieje, dotyczy to wszystkich grup i każdego trenera. Mistrzowie kończyli karierę, to był ich ostatni sezon, wszyscy o tym wiedzieli i nie robili z tego tajemnicy. Po ich odejściu uwaga trenera i choreografa miała się skupić na młodych, obiecujących łyżwiarzach. To również wszyscy rozumeli. Wszyscy oprócz samych łyżwiarzy, którzy uważali, że opieka trenerska jest niewystarczająca, i nie chcieli czekać do następnego sezonu, aż nienawistni rywale wreszcie odejdą. Decyzję pomógł im podjąć smutny fakt: bardzo słabo wypadli na zawodach, podczas gdy rok wcześniej osiągnęli znaczący sukces i zdobyli wysokie miejsce. Nie chcieli przyznać, że sami zawalili występ, o wiele wygodniej było im myśleć, że winien jest trener: mało z nimi pracował i w ogóle wszystko robił nie tak.

W dodatku mama partnera zaczęła ich usilnie namawiać, żeby odeszli od swojego trenera i pojechali do USA uczyć się u Olega Sznitowa, który z pewnością zrobi z nich jeśli nie mistrzów świata, to przynajmniej Europy. Sama chęć jednak nie wystarczała, żeby wyjechać i trenować za granicą, potrzeba było pieniędzy. łyżwiarze zwrócili się więc do Federacji i pieniądze, ma się rozumieć, im przyznano. Igor Eduardowicz Sznitow zrobił, co mógł, bo bardzo chciał, żeby zdolna para trafiła do jego brata, który też zresztą o to zabiegał. łyżwiarze wyjechali, zaczęli trenować u Olega, przygotowywali się do mistrzostw Rosji, których wyniki miały zadecydować o tym, kto znajdzie się w składzie kadry narodowej na mistrzostwach świata.

Później zaczęła się gra. Należało przecież pokazać, że pieniądze nie poszły na marne, że Federacja się spisała, słusznie postawiła na zdolną parę i znalazła jej odpowiedniego trenera. Żeby tak się stało, para, którą trenował Oleg Sznitow,

musiała zająć wysokie miejsce na mistrzostwach Rosji i trafić na mistrzostwa świata. Problem polegał jednak na tym, że pojawiła się inna para taneczna, która wygrywała kolejne zawody Grand Prix, i była znacznie lepsza od łyżwiarzy Sznitowa. Nawet jeśli uczniowie Olega zakwalifikują się do kadry narodowej i otrzymają prawo udziału w mistrzostwach świata, nigdy nie pokonają świetnych rywali. Ale jeśli się ich pozbyć, nie pozwolić, by trafili do kadry i pojechali na mistrzostwa świata, para Sznitowa ma spore szanse, by zająć wysokie miejsce.

Tak więc Federacja Łyżwiarstwa Figurowego zrobiła wszystko, żeby para, która zwyciężała w zawodach Grand Prix, nie trafiła do kadry. Na mistrzostwach Rosji sędziowie pomijają dobrą parę, wystawiają im zaniżone oceny, a parę Sznitowa windują na podium, co pozwala im trafić do kadry.

Za granicą wszyscy byli w szoku: jak to? Para, która wygrywa zawody Grand Prix, nie jedzie na mistrzostwa świata, zamiast niej jedzie nikomu nieznana para Olega Sznitowa. Ale członek Komitetu Wykonawczego Federacji Łyżwiarstwa Figurowego, Igor Eduardowicz Sznitow, miał w nosie opinię publiczną, ponieważ osiągnął swój cel. Jego brat zasłynął jako trener mistrzów Rosji, członków kadry narodowej.

Wniosek z tej dość typowej, jak się okazało, historii, był przygnębiający: wygrywa nie ten, kto jest zdolniejszy, nie ten, kto jeździ lepiej, ale ten, na kim zależy Federacji. Ona zaś może się kimś zainteresować z różnych powodów, zaczynając od banalnej łapówki, którą należy odpracować, a kończąc na względach zawodowych (uzasadnienie słuszności podjętej decyzji) albo na zupełnie zwyczajnym „podoba się – nie podoba się”.

– Naprawdę można w tak prosty sposób zdecydować o karierze sportowców? – zapytała oszołomiona Nastia.

Ledwie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Naturalnie! – bez najmniejszego wahania potwierdziła Trawina. – Na przykład za czasów władzy radzieckiej duże znaczenie miały prywatne gusta naszych przywódców partyjnych. Wystarczyło, że spodobała im się twarz albo występ jakiegoś łyżwiarza – i załatwione, wybraniec miał tytuł mistrza w kieszeni niezależnie od tego, jak poszły mu skoki albo ile razy upadł. Zgodnie z zasadami selekcji do kadry trafiali dwaj pierwsi zawodnicy, a trzeciego, przeważnie młodego sportowca, wybierała Rada Trenerów. Lecz chociaż mogła jednogłośnie zarekomendować trzeciego członka kadry, decydowano się na kogoś zupełnie innego. Teraz też tak się robi. Jeśli jednak solista albo para zajmują czołowe miejsce na mistrzostwach Rosji, wtedy postanowione. Inna sprawa, czemu je zawdzięczają – swojemu występowi czy poleceniu z góry. Kłopot polega jednak na tym, że trener musi jakoś wytłumaczyć to swoim juniorom: oni przecież nie rozumieją, co się dzieje, wiedzą, że wypadli lepiej, i zachodzą w głowę, dlaczego nie jadą na mistrzostwa, jadą za to ci, co popełniali błąd za błędem.

– Czy trener nie może wytłumaczyć łyżwiarzom, co i jak? – zdziwiła się Nastia.

Trawina spojrzała na nią z nieskrywanym oburzeniem.

– Co też pani mówi! W grę wchodzi etyka trenerska. Niepisana umowa. Nie wolno zdradzać tego łyżwiarzowi, póki kontynuuje

kariere, bo straci motywację. Nie wolno pozwolić, żeby młody sportowiec pomyślał: „Po co mam się starać, skoro wszystko jest z góry ustalone? Jeśli wypadnę dobrze, sędziowie i tak odejmą mi punkty, jeśli zaś wypadnę źle, to mnie wyciągną, więc nie warto się wysilać”. Wszystkie wyjaśnienia, zwłaszcza udzielane dzieciom, muszą być wyważone i precyzyjne, żeby nie tylko nie odebrać im chęci do uprawiania łyżwiarstwa, ale odwrotnie, zmotywować do jeszcze większego wysiłku.

– Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego wszyscy milczeli? Dlaczego nie urządzili awantury?

– Awantura nic by nie dała. – Trawina machnęła ręką z rezygnacją. – Wszyscy by się tylko rozzłościли i na trenerów, i na łyżwiarzy.

Historia jest oczywiście bardzo ciekawa, ale warto by wiedzieć, czy Sznitow mógł podjąć jakieś działania na szkodę Łamzina? Środków mu nie brakuje, ale co z motywacją? Tak, Łamzin stał się z Bołtienkowem, nawet nie raz, lecz dwa razy, niewykluczone, że konfliktów było więcej... Ale przecież to tylko konflikty! I to stare! Od tamtej historii z parą, którą Bołtienkow odebrał Łamzinowi, minęło parę lat. Walerij Łamzin nie stał na drodze kariery Michaiła Bołtienkowa, nie zagrażał mu jako trener, w końcu reprezentowali inny poziom. Zresztą żeby zrobić Łamzina, należało zabić Bołtienkova, a po co Sznitow miałby się rozprawiać ze swoim przyjacielem? Nie, tu chodzi o coś zupełnie innego... Tak czy inaczej, Sznitow może się okazać źródłem cennych informacji. Skoro nie darzy sympatią Łamzina, pewnie opowie o nim wiele ciekawych rzeczy, wśród których pojawią się nazwiska innych nieprzyjaciół i wrogów Walerija Pietrowicza.

===

– Nie mogę cię dłużej kryć, Tocha – jęknął Dziuba.

Jego głos w telefonie brzmiał niepewnie i żałośnie.

– Bagłajew codziennie pyta o ciebie. A ty wpadłeś parę razy i nie pokazujesz mu się na oczy. Wiję się jak piskorz, ale kim jestem w jego oczach? W ogóle nie widzi we mnie człowieka. Zamierza złożyć skargę, że wydział kryminalny nie przykłada się do śledztwa.

– To już ostatni raz, przysięgam, Romek! – Anton mówił zupełnie szczerze, był pewien, że zaplanowany na dzisiaj wyjazd do Razdorów przyniesie ostateczną odpowiedź na najważniejsze pytanie, które go dręczyło. I będzie mógł całkowicie poświęcić się sprawie zabójstwa trenera łyżwiarstwa figurowego. – Zrozum, mam na głowie Jefimową...

– Masz też Bołtienkowa – przerwał mu z gniewem Dziuba. – Dobra, coś wykombinuję. Ale nie daję gwarancji, Bagłajew jest naprawdę wściekły.

Po co tam jadę? – Anton Staszys wciąż zadawał sobie to pytanie, przedzierając się dwupasmową i przez to zawsze zatłoczoną szosą Rublowsko-Uspienską. – Czego chcę się dowiedzieć? Co mnie tam pcha? Sam nie wiem. Coś mi jednak nie daje spokoju. Sytuacja jest prosta i oczywista, nie ma w niej żadnych podtekstów. Dwa lata temu spalił się dom, szwankowała instalacja elektryczna, potwierdzają to zarówno właściciele, jak i ekspertyza pożarowo-techniczna, której nie mam podstaw podważać. Zginęła dziewczyna. Nie ma też podstaw, żeby podejrzewać zabójstwo i podpalenie w celu ukrycia zbrodni, ponieważ eksperci medycyny sądowej ustalili przyczynę śmierci ofiary. Bogata sąsiadka chciała kupić działkę, proponowała za nią godziwą cenę, po pożarze doszło do sprzedaży, ale cena się nie zmieniła. To dowód, że sąsiadka, Inna Wiktorowna Jefimowa, nie miała nic wspólnego z pożarem, w przeciwnym razie kupiłaby działkę o wiele taniej. Człowiek zdolny do podłożenia ognia w celu zmuszenia właścicieli do sprzedaży parceli raczej nie będzie tak szlachetny i wielkoduszny, żeby nie wykorzystać ich rozpaczliwej sytuacji i nie obniżyć proponowanej wcześniej ceny. Gdyby Jefimowa

maczała palce w podpaleniu, cena za działkę okazałaby się znacznie niższa. Minęły dwa lata. Inną Wiktorownę zabito. Sprawy, którymi się zajmowała, oraz jej styl życia mogły stanowić źródło wielu konfliktów i być podłożem do wyrównania rachunków. Czemu się przyczepiłem do tego pożaru, który wydarzył się wieki temu?

Znowu odniósł wrażenie, że w jego wewnętrznym monologu przemknęły jakieś istotne słowa, które go poruszały i sprawiały, że wciąż wracał myślami do spalonego domu w Razdorach. Nie potrafił ich jednak uchwycić.

Dzielnicowego z Razdorów znalazł w komisariacie położonym na parterze murowanego piętrowego domu. Młody chłopak z twardym, cynicznym spojrzeniem małych ciemnoszarych oczu rozmawiał najpierw niechętnie, ale ożywił się, gdy zrozumiał, że majora z Pietrowki nie interesuje sytuacja kryminalna na osiedlu i nie zamierza go oskarżać o to, że nie zna swojego terenu, nie panuje nad sytuacją i nie dba należycie o ład oraz bezpieczeństwo mieszkańców.

Jakieś piętnaście minut później Anton stwierdził, że dzielnicowy nieźle zna się na swojej robocie i zgromadził obszerny materiał informacyjny. A po kolejnych dziesięciu minutach doszedł do wniosku, że chłopak znalazł stałe źródło dochodów: co najmniej połowa właścicieli parceli to ludzie majątni, budują się, wynajmują robotników, w takiej sytuacji często dochodzi do naruszenia przepisów. No a tam gdzie są naruszane przepisy, pojawiają się pieniądze, żeby nikt tego nie zauważył. Dlatego dzielnicowy musi wiedzieć wszystko o wszystkich. Uprawia wstrętny proceder, ale dzięki temu sporo wie.

Dzielnicowy z krzywym uśmiechem wysłuchał Antona, po czym przedstawił swoją opinię: to same kłamstwa.

– Inna Wiktorowna Jefimowa nie należała do osób, które by szastały forszą, była skąpa – oznajmił.

No proszę! Boris Iljicz twierdzi coś zupełnie innego,

Makłyginowie też się nie skarżyli. Widocznie rozbieżność w ocenach wynika z tego, że Jefimowa nie dawała w łapę dzielnicowemu. Ciekawe, jakim cudem udało jej się tego uniknąć? Anton doskonale wiedział, że dzisiaj na każdej budowie na terenie Moskwy i w całym obwodzie dochodzi do ogromnej liczby naruszeń nie tylko przepisów prawa budowlanego, ale też przepisów, które egzekwują dzielnicowi. Nie da się prowadzić budowy, nie przyjaźniąc się z mundurowym. A „przyjaźń” w danym wypadku oznaczała tylko jedno: płacenie mu za to, żeby przymykał oczy na pewne sprawy.

Jednakże dalsza rozmowa dowiodła, że na parcelach Inny Wiktorowny Jefimowej (teraz już dwóch) nie ma i nie było żadnego gastarbeitera, brygadzista jest moskwianinem, zatrudnia swoich ludzi, wszyscy są mieszkańcami stolicy albo jej okolic i mają meldunek. Tak więc właściciele parceli nie można było niczego zarzucić.

– No a ty mówisz, że była skąpa! – zauważył Staszys. – Gdyby była skąpa, wynajęłaby ludzi przyjeżdżających do pracy, można im przecież zapłacić o wiele mniej.

Dzielnicy przychnął:

– Z byka spadłeś? Cała izba deputowanych była zdana na jej łaskę i niełaskę, a wśród nich mnóstwo ludzi, którzy mieli sprawdzonych robotników. Jefimowa nie musiała w ogóle im płacić, to jasne. Nie masz pojęcia, co ona tam wyrabiała w Radzie Federacji! Kto posmaruje, ten pojedzie w delegację. Jeśli szef delegacji da jej w łapę, hotel będzie dobry, samochody też, lot wygodny. A jeśli nie da, będzie mieszkał diabli wiedzą gdzie i diabli wiedzą jak, no i polecą w nocy. Albo nie dostanie wizy w porę. Albo dostanie, ale nie taką, o jaką się ubiegał. W dodatku deputowani nie jeżdżą sami, mają cały sztab asystentów, więc składają wnioski o długoterminową wizę wielokrotną i dołączają listę osób, na którą wpisują Bóg wie kogo! Braci, krewnych, sąsiadów, przyjaciół, no i tych, którzy



im zapłacili. Deputowani z kolei odpalają dołę Jefimowej. Tak więc wszyscy padali przed nią plackiem i się do niej wdzięczyli.

Anton wiedział o tym od dawna, ale tą częścią pracy zajmowali się koledzy z FSB. Dobra orientacja dzielnicowego warta była jednak uwagi. Skoro mężczyzna wie tak dużo, może da się z niego wyciągnąć coś jeszcze?

– No tak – powiedział pojednawczo. – Ale skąd pomysł, że była skąpa? Dobrze zapłaciła Makłyginom za parcelę, mogłaby zapłacić mniej, przecież sami do niej przyszli po pożarze i powiedzieli, że chcą sprzedać. A ona tego nie wykorzystała.

Dzielnicowy przymrużył oczy.

– Kto ci to powiedział? Makłyginowie?

Anton już miał odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Nie pytał o to Makłyginów. Jakoś nie było okazji, zresztą sprawa nie wydawała się ważna. Przecież sąsiad, Boris Iljicz, wyraźnie powiedział, że po pożarze Inna Wiktorowna tylko nieznacznie obniżyła cenę, właściwie prawie w ogóle, bo była kobietą uczciwą i przyzwoitą.

– Nie – odparł. – Makłyginów nie pytałem.

– No więc kto ci powiedział? – Dzielnicowy drążył dalej.

– Ich sąsiad, Boris Iljicz. Uważa, że Jefimowa jest porządna i uczciwa.

– Też miałeś kogo słuchać! Wujek Boria to znany miłośnik mocnych trunków. Nie powiem, że to alkoholik, ale faktem jest, że zdrowo pociąga. Jefimowa go odwiedzała, prosiła, żeby wpłynął na sąsiadów i namówił do sprzedaży działki. Wiesz o tym?

– Owszem. – Anton kiwnął głową.

– Ale pewnie nie wiesz, że po sprzedaży parceli znowu go odwiedziła. – Dzielnicowy uśmiechnął się z satysfakcją.

– Nie wiem. A po co?

– Prosiła, żeby nikomu się nie wygadał, za ile kupiła działkę. Wiedziała przecież, że Makłyginowie przyjaźnią się z wujkiem Borią, więc mu powiedzą, tyle że oni sprzedali działkę – i do

widzenia, nigdy więcej się tutaj nie zjawia, on zaś zostanie i może wyjawiać prawdę.

Anton spodziewał się tego, co zaraz usłyszy, mimo to zapytał:

– A jaka jest ta prawda?

– Taka, że Jefimowa zapłaciła o wiele mniej, niż proponowała przed pożarem. Wprawdzie ta suma też wystarczyła Makłyginom na to, żeby poprawić warunki mieszkaniowe, ale gdyby Inna Wiktorowna potraktowała ich uczciwie, mieszkaliby teraz w centrum Moskwy, a nie koło MKAD-u. Masz chociaż pojęcie, ile kosztuje ar ziemi w Razdorach? Ciężkie pieniądze! Właśnie dlatego mówię, że była skąpa. Nie zawahała się wykorzystać cudzego nieszczęścia. A jednocześnie chciała zachować twarz i nie stracić reputacji, dlatego poprosiła wujka Borię, żeby mówił wszystkim, jaka to ona jest dobra i przyzwoita. Nie za darmo, rzecz jasna. Wujek Boria ma wprawdzie słabość do alkoholu, ale uczciwie „odpracowuje” swoje pieniądze. Wszystkim tutaj rozpowiada, jaka to Jefimowa jest wspaniała. Chyba się domyślasz, że odkąd ją zabito, nie ty pierwszy się tutaj kręcisz. Najpierw maglowała wszystkich FSB, potem detektywi, miejscowi i wasi, z Pietrowki, a na końcu chłopcy z UEB-u[10]. Ale z wyjątkiem wujka Bori nie mieli z kim porozmawiać, Jefimowa nie utrzymywała żadnych kontaktów z mieszkańcami, to było poniżej jej godności, a tych, którzy kupili tutaj parcele, nie zdążyła jeszcze dobrze poznać, dopiero się przecież budowała, nie mieszkała tutaj. Zawarła znajomość z Makłyginami, bo chciała kupić ich parcelę, i z wujkiem Borią, bo się z nimi przyjaźni i może na nich wpłynąć. Tak więc tutaj nikt nic nie wie o Jefimowej, a ten, kto wie, mam na myśli wujka Borię, kłamie.

Anton uważnie przyglądał się dzielnicowemu i na podstawie pewnych ruchów oczu i ust doszedł do wniosku, że mężczyzna chce coś powiedzieć, ale nie potrafi się zdecydować. Ponieważ Anton chciał sprawdzić swoje podejrzenia, postanowił go lekko naprowadzić...

– Pożar był chyba dla ciebie dużym zaskoczeniem – zauważył półgłosem.

Twarz dzielnicowego mimo woli drgnęła. A więc Anton trafił. Właściwie nie potrzebował już żadnych słów. Wszystko było jasne. Dzielnicowy jest pewien albo ma poważne podstawy przypuszczać, że powodem pożaru w domu Makłyginów nie była wcale niesprawna instalacja elektryczna. Antonowi przyszło to na myśl, jeszcze zanim odwiedził Razdory, ale zwiódła go rozmowa z Borisem Iljiczem i jego słowa, że po pożarze Inna Jefimowa nie obniżyła ceny za parcelę. Ekspertyza pożarowo-techniczna potwierdziła hipotezę dotyczącą instalacji, podobnie jak wszystkie materiały szybko umorzonych sprawy... Och, nie należało przechodzić nad tym do porządku dziennego!

Ale z ciebie dureń, Staszys! Ufny dureń, który za dużo myśli o życiu osobistym, a za mało o pracy, ofuknął się w myślach Anton.

To znaczy, że ci, co tak sprytnie umorzyli sprawę pożaru w domu Makłyginów, nie podzielili się z dzielnicowym. Albo się podzielili, ale jego zdaniem niesprawiedliwie. Wziął sobie to do serca i teraz nawet nie protestuje przeciwko temu, żeby brzydka historia wyszła na jaw. No cóż, to już nieźle.

===

– Coś mi się zdaje, że dzisiaj znowu nie będziemy mieli szczęścia i nie zobaczymy twojego Staszysa. – Timur Achmedowicz zachmurzył się z niezadowoleniem, gdy zdyszany Dziuba wpadł do pokoju. – No cóż, tym gorzej dla niego.

Chyba zamierza go sypnąć, z przerażeniem pomyślał Roman. Biedny Tocha, i tak nie jest mu lekko...

Usiłował jakoś usprawiedliwić kolegę, ale Bagłajew tylko potrząsnął głową, co oznaczało, że nie chce niczego słuchać.

– Przyszła odpowiedź od balistyków – powiedział, wyjmując z sejfu teczkę z materiałami sprawy karnej. – Czytajcie.

Fiodor Uljancew sięgnął po zszyte kartki, ale Bałajew go uprzedził i przesunął demonstracyjnie dokument na biurku.

– Czytajcie – powtórzył spokojnie, uśmiechając się pod nosem.  
– Użyłem czasownika w liczbie mnogiej, a nie pojedynczej.

Roman i Fiodor musieli stanąć obok siebie, głowa przy głowie, ramię przy ramieniu, i pochylić się nad biurkiem, żeby zapoznać się z ekspertyzą balistyczną. Romek właściwie nie miał nic przeciwko temu, ale Fiodor chyba nie był zachwycony.

– Może przeczytam na głos? – pojednawczo zaproponował Dziuba, ponieważ strasznie nie lubił, gdy ktoś, z kim pracował, był zły albo niezadowolony.

– No pewnie, tylko ty jesteś uczony – gniewnie odparł Fiodor, nie odrywając oczu od tekstu. – Nikt poza tobą nie umie oczywiście czytać.

– Chciałem dobrze.

Trudno, nie to nie. Przeczytamy po cichu.

„...łuska znaleziona podczas oględzin miejsca zdarzenia... maja 2013 roku na ulicy... jest częścią składową standardowego 9 mm naboju 9 x 18 (PPO) produkcji krajowej (Zakłady Amunicyjne w Tule). Wzmiankowany nabój stanowi typową amunicję do pistoletu Makarowa PM, PMM, Stieczkina APS, pistoletów maszynowych Kedr, Klin, Kiparis, PP-90 oraz innej broni gwintowanej. Nabój, którego łuska została poddana ekspertyzie, mógł zostać wystrzelony z broni palnej własnej roboty albo przerobionej, przystosowanej do strzelania nabojami kaliber 9 mm przeznaczonych do pistoletów Makarowa i Stieczkina”.

Uljancew potarł ogoloną głowę.

– Teraz przynajmniej wiem, czego szukać – skonstatował.

Dziuba milczał. W ekspertyzie napisano oczywiście, że „nabój mógł zostać wystrzelony”, ale w danym przypadku owo sformułowanie nikogo nie zwiedzie, ekspertyza zawiera szczegóły, które potwierdzają, że nie tylko „mógł zostać wystrzelony”, ale też „został wystrzelony”.

– No to świetnie, że wiesz. – Śledczy uśmiechnął się z satysfakcją. – Twoje poszukiwania źródła nabycia broni przyniosły jakieś rezultaty?

Uljanecw z przygnębieniem pokręcił głową.

– Na razie żadnych punktów zaczepienia.

– Od razu ci mówiłem, że kierunek poszukiwań jest do bani. – Ton głosu Bałajewa stał się ostry i nieprzyjemny. – Jeżeli Łamzin przerobił pistolet, działał najprawdopodobniej swoimi kanałami. Należy przecież do świata sportu, a więc...

– A więc kluby strzeleckie, bo to też sport – ochoczo i radośnie podchwycił Fiodor. – Facet może mieć tam kolegów, a w każdym klubie są rusznikarze, którzy mogą zrobić w swoich warsztatach, co się komu żywnie podoba.

– Słusznie. Dlatego zwijaj się, Fiedia, weź zdjęcie Łamzina, obejdź kluby i strzelnice, szukaj rusznikarza, do którego facet zwrócił się z prośbą o przerobienie na przykład pistoletu gazowego. Gdzie go nabył – tego się dowiemy, na pewno nie kupił oficjalnie, już dostałem odpowiedź na zapytanie, nawet nie załatwiał zgody na kupno, to znaczy, że nabył go nielegalnie. Ty zaś, Dziuba, będziesz szukał źródła nabycia pistoletu, uruchom informatorów, nie będę cię zresztą uczył, sam wiesz.

Aż do tej chwili Roman stał nieruchomo, starając się nie zwracać na siebie uwagi śledczego, i łudził się, że wszystkie zadania dotyczące broni będą adresowane wyłącznie do Uljancewa. Dziuba nie chciał szukać pistoletu. Chciał znaleźć innego podejrzanego. Do tej pory wszystko szło gładko, Bałajew patrzył tylko na Fiodora i się doń zwracał, więc wydawało się, że torpeda pójdzie bokiem... Ale nie poszła.

Romek Dziuba nie należał jednak do osób, które się poddają i chowają głowę w piasek.

– A co z motywem, Timurze Achmedowiczu? Przecież polecił mi pan szukać wrogów Bołtienkowa i możliwych motywów zabójstwa. Przyjął pan moją hipotezę, że przestępców mogło być

kilku...

Oczy śledczego się zwięziły, spojrzenie, które skierował na starszego lejtnanta, było zimne i nieprzyjemne.

– Sądzisz, Dziuba, że jestem idiotą? Nie mamy szukać wrogów, musimy udowodnić winę Łamzina. Bołtienkow mógł mieć wrogów do licha i trochę, ale zabił go Łamzin. Wszystkie poszlaki świadczą przeciwko niemu. Więc bierz się do roboty.

– Ale przecież badanie rąk i ubrania nic nie wykazało! – Roman wciąż jeszcze nie dawał za wygraną.

– Mówiłem ci już sto razy: ujemny wynik w tym przypadku niczego nie dowodzi, Łamzin mógł włożyć skórzane rękawiczki, których później sprytnie się pozbył razem z pistoletem. Albo zrobiły to jego żona i córka.

Nie, Romek nie da się zbić z tropu tym argumentem, ma jeszcze zapasowe naboje. Nie zamierza się poddawać, będzie walczył do końca.

– No dobrze, a ubranie? Przecież lało jak z cebra, ubranie, w którym wyszedł, powinno być mokre i właśnie takie ubranie, które się suszyło w łazience, zabraliście do analizy, żeby zabezpieczyć ślady prochu, osmalenia i smaru. I niczego nie znaleźliście. Więc chyba włożył skafander i wyrzucił go razem z rękawiczkami i bronią!

Bagłajew popatrzył na niego dziwnie, a Dziuba zobaczył w jego spojrzeniu coś w rodzaju aprobaty czy szacunku. W każdym razie było to coś, czego się absolutnie nie spodziewał po Timurze Achmedowiczu. Dlatego też uznał, że mu się jedynie przywidziało.

– A ty coś się tak rozsiadł? – Śledczy nagle zwrócił się do Fiodora Uljancewa. – Dostałeś zadanie? No to ruszaj.

Póki za Uljancewem nie zamknęły się drzwi, Bagłajew nie powiedział więcej ani słowa.

– Dobry z ciebie chłopak, Roman – zaczął, gdy zostali sami w pokoju. – Wkładasz serce w pracę, więc nie będę się na ciebie gniewał, tylko wytłumaczę. Łamzin wypada na ulicę za

Bołtienkowem, to fakt, którego nikt nie kwestionuje i nie podaje w wątpliwość. Tak? Tak – odpowiedział sam sobie i znaczącym gestem zgiął jeden palec u ręki. – Przedtem się pokłócili, a jeszcze wcześniej dwa razy doszło między nimi do poważnego konfliktu. Tak? Tak. Po swoim zwolnieniu Łamzin krzyczał, że zabije Bołtienkova. Było tak? Było. Znalazłeś przecież świadków, a ja ich przesłuchałem. A później Łamzin odwiedził Bołtienkova w pracy, wrzeszczał na niego w pokoju trenerów i groził mu śmiercią. I znowu to ty znalazłeś świadków.

Timur Achmedowicz zrobił długą pauzę i uniósł przed sobą lewą dłoń z czterema zgiętymi palcami.

– To wszystko świadczy przeciwko Łamzinowi – ciągnął. – Teraz zobacz, co mamy „za”. Czyste ręce? Od tego są rękawiczki. Brak broni? Mógł pozbyć się pistoletu i rękawiczek od razu po zabójstwie. Czyste ubranie? To oczywiście poważny argument, ale! Ile czasu minęło od chwili zabójstwa do momentu, gdy weszliśmy do mieszkania Łamzina? Ponad dwie godziny. W tym czasie facet spokojnie wraca do domu, przebiera się, ubranie, w którym był w chwili wystrzału, wynosi na przykład na strych i tam je ukrywa albo daje na przechowanie jakiemuś bliskiemu sąsiadowi. Nie mówię już o tym, że mógł zwyczajnie gdzieś wyjść, a potem wrócić. Teraz musi tylko zdjąć ubranie, w którym wyszedł drugi raz, powiesić je, żeby się suszyło, i spokojnie czekać na rewizję. Owszem, wychodził z mieszkania, cały przemókl, tam wisi mokre ubranie, proszę, możecie je sobie wziąć. To oczywiste, że nie znajdziemy na nim żadnych śladów prochu, osmalenia i smaru. Ale to absolutnie – słyszysz? – absolutnie nie dowodzi niewinności Łamzina. Tak, dwadzieścia minut po zabójstwie na miejscu pracowała już grupa operacyjna, wszyscy, którzy wchodzili albo wychodzili z pobliskich klatek schodowych, zostali spisani, ale Łamzin nie mieszka w domu, przy którym znaleziono zwłoki, nawet nie w sąsiednim, tylko budynek dalej. Chłopcy rejestrowali każdego, kto mieszka w piątej i w szóstej

klatce, niedaleko miejsca znalezienia zwłok, bo szukali świadków, tych, którzy mogli coś widzieć albo słyszeć. Więc Łamzin mógł bez problemu wyjść i wrócić niezauważony. Przypomnij sobie okoliczności: północ i ulewny deszcz. Kogo można było w ogóle spotkać na ulicy? To jasne, że nikt się nie błąkał. Nie znaleźliśmy nikogo, kto by cokolwiek widział.

Dziuba nie potrzebował wykładu Bağlajewa, bo sam doskonale wszystko pamiętał. Czytał raporty policjantów, którzy dokładnie sprawdzili wszystkie samochody zaparkowane w pobliżu, szukając przypadkowego świadka, który mógłby złożyć zeznania. I znaleźli tylko faceta, który był wstawiony, bał się wrócić do żony nietolerującej nadużywania alkoholu i spał snem sprawiedliwego. A tamten jedyny przechodzień, który wracał z pracy, znalazł ciało Bołtienkowa i wezwał policję, w chwili zabójstwa jechał jeszcze metrem.

– Tak więc dowody przeciwko Łamzinowi są znaczące – zakończył Bağlajew. – A to, co świadczy na jego korzyść, zdrowy rozsądek nakazuje podważyć.

Tak, trudno z tym dyskutować.

– Rozumiem – krótko odparł Roman.

Trudno z tym dyskutować... na razie.

Trzeba jeszcze raz porozmawiać z sąsiadami Łamzina, którzy słyszeli, jak drzwi jego mieszkania trzasnęły dwa razy, i złożyli zeznania. Może któryś z nich zerknął przez wizjer? I będzie mógł opisać, w jakim ubraniu był Łamzin, gdy wybiegał za Bołtienkowem. Łamzin twierdzi, że nie korzystał z windy, zawsze schodził i wchodził po schodach na swoje czwarte piętro. A więc ktoś z mieszkań, które mijał, mógł go zauważyć. A nuż się okaże, że opis ubrania całkowicie pasuje do rzeczy, które zabrano do ekspertyzy? Wtedy można będzie stwierdzić, że właśnie w tym ubraniu Łamzin opuścił dom, udając się za ofiarą zabójstwa, a to, że nie stwierdzono na nim żadnych śladów cząsteczek prochu i opalenia, będzie przemawiało na jego korzyść.



– Mogę zobaczyć materiały z obchodu mieszkań? – zapytał Roman takim niewinnym tonem, na jaki go tylko było stać.

Może mu się poszczęści i znajdzie informacje o lokatorach, którzy wspomnieli coś o wizjerze. Czasem człowiek słyszy, że trzaskają drzwi sąsiadów albo rozlegają się kroki na schodach, i spogląda przez wizjer: Kto tam idzie? Do kogo? Po co? Ciekawscy sąsiedzi to ulubieni świadkowie wywiadowców. Teraz w nich cała nadzieja. Dziuba przypomniał sobie żart, który niedawno przeczytał w Internecie: „Pan Bóg nie może upilnować wszystkich. Dlatego stworzył sąsiadów”.

Bagłajew kiwnął głową, wyjął materiały i położył je przed Dziubą. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, więc Romek przez chwilę miał wrażenie, że udało mu się wywieść w pole śledczego. Ale się mylił.

– Wiem, co zamierzasz zrobić – nie podnosząc głosu, spokojnie oświadczył Timur Achmedowicz. – Masz rację. Idź i znajdź tego, kto widział, że Łamzin nie był w ubraniu, które zabraliśmy. Wiem, że przyświeca ci inny cel, możesz myśleć, co chcesz, ale będziesz robił, co powiem.

Roman w milczeniu zacisnął zęby. I tak robi po swojemu. Nie uspokoi się, póki się nie przekona, że nie ma racji. Kiedy się przekona, wtedy proszę, Łamzin może zostać uznany za winnego i skazany. Ale najpierw on, starszy lejtnant Dziuba, musi wyczerpać wszelkie możliwości i sprawdzić swoje przypuszczenia. Niech nawet okażą się niesłuszne. To nic. Będzie miał za to spokojne sumienie.

Przejrzał wszystkie materiały i zrobił notatki, po czym wyszedł, czując w głębi duszy wdzięczność dla Bagłajewa za to, że nie zbeształ go w obecności Fiodora Uljancewa. Mimo swojej niechęci do Timura Achmedowicza, twardo stojącego po stronie oskarżenia, Dziuba nie mógł nie przyznać, że chyba zaczyna go darzyć sympatią.

===

Dlaczego człowiek nie może sobie sprawić sobowtóra, i to nie jednego, najlepiej ze trzy albo cztery? Roman ma tyle spraw na głowie, z niczym nie nadaża, wszystko leci mu z rąk, bo nie spał przez pół nocy – szukał w Internecie materiałów napisanych przez dziennikarzy sportowych, starając się wybrać najlepszego specja od łyżwiarstwa figurowego. Anastazja Pawłowna Kamińska poradziła, żeby zasięgnąć języka właśnie u dziennikarzy, a nie u tych, którzy są dzisiaj bezpośrednio związani z tą dyscypliną sportu. Argumenty, które przytoczyła, wydały się Romanowi całkiem przekonujące. Przecież wiadomo, że ludzie nie będą chcieli zdradzać nieładnej prawdy, bo muszą jeszcze pracować... No a dziennikarze nie mają się czego bać.

O czwartej rano wybór Romana padł na Tamiłę Warłamownę Alasanię. Po przeczytaniu dziesiątków jej reportaży, artykułów i szkiców wywiadowca doszedł do wniosku, że kobieta wie więcej niż ktokolwiek inny na temat łyżwiarstwa figurowego. Rano zdobył jej adres i numer telefonu, ale nie odważył się zadzwonić i poprosić o spotkanie. Uznał, że osoba w tym wieku i z takim doświadczeniem nie zechce z nim rozmawiać. W Internecie wyczytał też, że Tamiła Warłamowna ma osiemdziesiąt trzy lata i cztery lata temu podczas fety z okazji osiemdziesiątych urodzin porywająco odtańczyła w restauracji nie tylko gruzińskie, ale też hiszpańskie i latynoamerykańskie tańce. Reportażowi o jubileuszu jednej z najstarszych rosyjskich dziennikarek towarzyszyło mnóstwo zdjęć, na których Roman zobaczył wysoką kobietę z masywnymi ozdobami na szyi, palcach i w uszach. Twarz miała nieładną, oczy czujne i bystre, nawet podczas przyjęcia, a uśmiech przyjazny i nieco smutny. Napatrzywszy się na Tamiłę Alasanię, z przygnębieniem skonstatował, że sobie z nią nie poradzi. Dziennikarka każe mu się wynosić... Dobrze, że wpadł na pomysł, by obejrzeć materiał z jej jubileuszu, bo przecież najpierw pomyślał, że skoro to osiemdziesięcioletnia

staruszka, pewnie jest samotna i bezradna, od dawna nie wychodzi z domu i ucieszy się na widok gościa. Ucieszy się, niedoczekanie! Tacy „ciekawscy” jak on stoją pewnie w kolejce przed drzwiami jej mieszkania. A on, starszy lejtnant Dziuba, nie przedrze się przez ten tłum.

Wygląda na to, że bez Antona się nie obejdzie.

– Co to ma być? – ze zdziwieniem zapytał Staszys, gdy Roman wręczył mu swoją komórkę z wybranym już numerem. Pozostawało tylko nacisnąć przycisk „połącz”.

– Potencjalny świadek.

– A czemu sam nie możesz zadzwonić?

– Bo się jej boję – wyznał Dziuba. – Nie wiem, jak z nią rozmawiać, żeby zgodziła się na spotkanie. Mogę wszystko popsuć.

Poinformował zwięźle Antona, kim jest Tamiła Warłamowna i dlaczego muszą z nią koniecznie porozmawiać. Anton wysłuchał go w milczeniu, skinął głową i zadzwonił. Wbrew obawom Dziuby bez problemu umówił się na spotkanie. Tamiła Warłamowna poleciła detektywom, żeby niezwłocznie przyjechali.

– Niepotrzebnie się jej bałeś – zauważył Staszys, oddając telefon Romanowi. – To normalna kobieta, całkiem miła. Czemu założyłeś, że będzie inaczej?

– Wiesz, ile ona ma lat?! Osiemdziesiąt trzy! Urodziła się za króla Ćwieczka! – Dziuba zaczął się usprawiedliwiać. – Moich rodziców jeszcze nie było na świecie, gdy już wykonywała swój zawód. Gdy to sobie uświadomiłem, opadły mi ręce. Nawet czterdziestoletnie osoby uważają mnie za nieopierzonego smarkacza, a co dopiero staruszkowie.

Oczy Antona dziwnie błysnęły.

– Osiemdziesiąt trzy, mówisz? – wycedził. – A głos nie był wcale stary. No dobra, zorientujemy się na miejscu. Wskakuj do samochodu, jedziemy.

Roman nie potrafił określić, w jakim humorze jest jego

towarzysz. Zajmując miejsce na przednim siedzeniu i zapinając pasy, wyczuwał napięcie i rozdrażnienie, które od niego były. Czemu się wścieka? Czyżby on, Roman, znowu zrobił coś nie tak? A może nie układa mu się na froncie osobistym? Albo zwierzchnicy dali mu popalić?

– No to gadaj – rzucił z gniewem Anton, gdy wyjechali na autostradę – skąd te niespodziewane pomysły?

Intensywnie niebieskie oczy Romana wyrażały nieskalaną niewinność.

– Jakie pomysły? Dlaczego niespodziewane?

– Bo podczas pracy nad sprawą Bołtjenkowa ani razu nie wspomniałeś o dziennikarzach sportowych. Wszyscy twoi świadkowie byli trenerami, choreografami, sportowcami albo pracownikami administracyjnymi szkół sportowych. Skąd nagle pojawiła się myśl, żeby porozmawiać z dziennikarzami?

– Znikąd...

– Jasne – rzucił Anton, zerkając w boczne lusterko. Kierowcy jaskrawoczerwonego sportowego auta najwyraźniej brakowało doświadczenia, więc trzeba było uważać, żeby nie zahaczył o tylny zderzak albo lewy błotnik. – Sytuacja wygląda następująco: Bağlajew nas uprzedził, że do sprawy włączyli się prywatni detektywi. Wiadomo, że na zlecenie Witalika Kirgana. Spotkałeś się z jednym z tych domorosłych agentów. Chyba nie zaprzeczysz?

– Owszem – odparł szczerze Roman. – I co z tego? Przecież ci tłumaczyłem...

– Doskonale pamiętam, co mi tłumaczyłeś – ze złością przerwał mu Staszys. – Ja z kolei wytłumaczę ci jeszcze raz, skoro jesteś tak tępy i nie rozumiesz...

Nie zdążył dokończyć, bo Dziuba odezwał się cicho:

– To Kamińska, Tocha. Prosiła, żeby cię pozdrowić.

– Kto?!

Staszys omal nie wypuścił kierownicy z rąk, ale w porę się zreflektował i wyrównał samochód, który gwałtownie odbił

w bok. Kierowca auta jadącego sąsiednim pasem wściekle zatrafił.

– Anastazja Pawłowna Kamieńska – głośniej i pewniej powtórzył Roman.

– Cholera!

Z dziesięć minut w samochodzie panowało milczenie. Roman co rusz zerkał na kolegę, próbując odgadnąć, o czym myśli. Wcale nie chciał, żeby Tocha się gniewał...

– Opowiadaj – rzucił wreszcie Staszys.

Dziuba odetchnął z ulgą.

Zanim znaleźli się koło domu, w którym mieszkała Tamiła Warłamowna Alasania, Roman zdążył przekazać Antonowi to, czego się dowiedział w ciągu paru ostatnich dni, oraz informacje, którymi podzieliła się z nim Kamieńska. Wjeżdżając windą na szóste piętro, Anton chyba po raz dziesiąty powtórzył:

– Jeśli Bağlajew się dowie, to cię zabije. Uważaj, Romek!

A Dziuba po raz dziesiąty go zapewnił:

– Nie dowie się.

Drzwi otworzyła im czarnowłosa, ciemnooka dziewczynka, na oko dwunastoletnia.

– Tamiła! – krzyknęła w głąb mieszkania, które wydało się detektywom niezwykle przepastne. – Gliniarze do ciebie przyszli.

Dziuba parsknął cichym śmiechem.

– Zaproś ich tutaj – rozległ się ochrypły od papierosowego dymu, ale bynajmniej nie starczy głos.

– Proszę za mną, panowie oficerowie – z przekazem powiedziała dziewczynka i ruszyła długim korytarzem z mnóstwem drzwi.

Dawna komunałka, zajmowana kiedyś przez wielu lokatorów, pomyślał Roman. To dziwne, że zrobiono tylko niewielki remont, nie widać żadnej gruntownej przeróbki. Widywałem już takie mieszkania.

Na korytarzu unosił się smakowity zapach – widocznie jedne

z drzwi prowadziły do kuchni. Stale głodny Dziuba pociągnął nosem i wyodrębnił dwa podstawowe składniki: smażony ser i wanilię.

Tamiła Warłamowna siedziała przy komputerze i pisała coś z werwą. Dziuba przypomniał sobie zdjęcia i mimo woli popatrzył na pomarszczone i pokryte plamami dłonie dziennikarki – żadnego pierścionka. W tej samej chwili zobaczył garść ozdób w stojącej przy komputerze płytkiej miseczce przypominającej popielniczkę. Mimo że przez szeroko otwarte okno wpadał chłodny majowy wiatr, pokój przesiąknięty był mocnym zapachem tytoniu – właścicielka była zagorzałą palaczką.

Pierwszy odezwał się Anton Staszys.

– Dzień dobry, Tamiło Warłamowno.

Dziennikarka lekkim ruchem obróciła się na fotelu, wstała i wyciągnęła rękę.

– Proszę mi mówić Tamiła. Nawet moja prawnuczka tak mnie nazywa. A ma dopiero jedenaście lat. Wy zaś jesteście znacznie starsi. – Roześmiała się. – Dlatego tym bardziej nie musicie zwracać się do mnie oficjalnie.

Wyłączyła komputer i nieśpiesznie, z niesłychaną starannością włożyła na palce wszystkie ozdoby. Na dnie miseczki pod pierścionkami leżały jeszcze dwie masywne bransolety.

Zauważywszy spojrzenie Dziuby, wyjaśniła:

– Przyzwyczaiałam się do noszenia biżuterii w młodym wieku, mam dużo krewnych na Kaukazie, zawsze przywozili mi srebrne ozdoby. Ale przeszkadzały mi pisać, zaczynałam przecież pracować, gdy były tylko maszyny do pisania, nawet nie elektryczne, jedynie mechaniczne. No i żadnych komputerów. Pierwszy sprawiłam sobie, gdy byłam już po sześćdziesiątce, aczkolwiek szybko do niego przywykłam, klawiatura jest przecież taka sama jak w maszynie. Nawyków jednak nie zmieniłam – gdy siadam do pracy, zdejmuję

grzechoczące ozdoby, a gdy skończę, znowu je zakładam. Teraz oczywiście piszę o wiele wolniej niż w młodości, sami rozumiecie.

Wesoło potrząsnęła krótko ostrzyżoną, siwą głową, wskutek czego wiszące na szyi naszyjniki i wisiorki głucho brzęknęły, a długie, duże kolczyki się zakołysały.

– Siadajcie, nie krępujcie się – poprosiła. – Postaram się odpowiedzieć na wszystkie pytania. Z wyjątkiem jednego, rzecz jasna.

– Jakiego? – szybko i czujnie zapytał Anton.

– Nie potrafię powiedzieć, kto tak naprawdę zabił Miszę Bołtienkowa. – Dziennikarka się uśmiechnęła. – To pewnie jedyna rzecz, której nie wiem, jeśli chodzi o świat łyżwiarstwa figurowego.

Mina Antona wskazywała, że raczej w to nie wierzy. Ale Dziuba przez parę godzin studiował teksty Tamiły Warłamowny w Internecie i wiedział, że kobieta nie przesadza.

– Wiem, że wszyscy uważają Walerę Łamzina za zabójcę – zaczęła bez zbędnych wstępów. – I mają ku temu ważne podstawy. Wystarczy przypomnieć historię z bójką, późniejszy incydent z parą, którą Misza Bołtienkow sprytnie mu odebrał, no i tę odrażającą sprawę Swiety Waszczenko, która umyślnie wytrąciła łyżwiarzy z równowagi tuż przed występem, żeby „wspomóc” inną parę w zamian za wyższe miejsce dla swojej solistki. Interesują was szczegóły którejs z tych historii?

– Czy para, o której mowa, Tamiło, mogła chować urazę do Łamzina? – zapytał Dziuba, który nie zapomniał tego, co powiedziała Kamieńska poprzedniego dnia.

– Oczywiście, że tak. Dlaczego miałoby być inaczej? – Brwi Tamiły Warłamowny lekko się uniosły. – Ale można tylko teoretycznie założyć, że właśnie teraz łyżwiarze zaczęliby się mścić na Walerze. O tym, że Swieta Waszczenko działała za namową swojego dawnego trenera, dowiedzieli się pięć lat temu. Nawiasem mówiąc, ode mnie. Wtedy rzeczywiście mogli

się rozgniewać, wpaść we wściekłość i coś zrobić. Ale od tej pory minęło sporo czasu, w ich życiu wydarzyło się wiele rzeczy i teraz zupełnie nie mają głowy do tego, żeby zajmować się takimi głupstwami jak zemsta, możecie mi wierzyć.

– A co się wydarzyło? – Roman żywo się zainteresował.

Otworzyły się drzwi i znowu pojawiła się ładniutka ciemnooka dziewczynka.

– Tamiła, babcia pyta, gdzie podać poczęstunek: tutaj czy w jadalni? I czy panowie oficerowie zjedzą z nami obiad czy tylko podwieczorek?

Tamiła Warłamowna przenosiła pytające spojrzenie z Romana na Antona, oczekując odpowiedzi.

– Nie, nie, bardzo dziękujemy, to niepotrzebny kłopot – odezwał się wreszcie Dziuba, z trudem pokonując chęć, żeby się zgodzić. Sądząc po zapachu na korytarzu, przygotowano coś smacznego...

– Sprawa nie podlega dyskusji – kategorycznym tonem oświadczyła dziennikarka. – Nikt was nie pyta o zgodę. W moim domu nie może być inaczej. Pytanie brzmi: co wybieracie? Nikt nigdy nie wyszedł ode mnie, nie spróbowałszy naszych firmowych dań. Prawa kaukaskiej gościnności są dla nas święte. Moja synowa, babcia mojej prawnuczki, to Rosjanka, ale uczyła się gotować jeszcze pod okiem mojej mamy, a lepszej od niej znawczynie kuchni gruzińskiej nie było i nie ma. Co babcia przygotowała? – zwróciła się do dziewczynki.

– Chaczapuri i tort – zameldowała tamta bez cienia uśmiechu.

Wyglądało na to, że prawnuczka Tamiły Warłamowny Alasanii bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki.

– A więc zrobimy tak. – Dziennikarka podjęła decyzję. – Nakryj nam tutaj i przynieś chaczapuri. A później panowie oficerowie sami zdecydują, czy spróbują nasz słynny tort miodowo-orzechowy.

Chaczapuri i tort miodowo-orzechowy... A więc wąż nie zawiódł Dziuby, bezbłędnie wyczuł zapach smażonego sera



i wanilii.

Dziewczynka kiwnęła głową w milczeniu i znikła za drzwiami.

Anton chyba nieuważnie przysłuchiwał się rozmowie, jego uwagę przykuwały grzbiety książek, ciasno ustawionych na półkach sięgających sufitu.

– Więc co się wydarzyło w życiu tych łyżwiarzy, którzy odeszli ze sportu do biznesu? – powtórzył pytanie Dziuba, dziwiąc się, dlaczego Anton nie przejawia żadnej aktywności. Szybkie spojrzenia, które Tamiła Warłamowna od czasu do czasu na niego rzucała, świadczyły o tym, że ona też zauważyła dziwną bierność drugiego gościa.

– Oboje skończyli studia, zdobyli wykształcenie, otworzyli swój interes. Choć właściwie biznesem zajęli się, gdy tylko przestali trenować, jeszcze podczas studiów. Odnieśli sukces, zaczęli robić karierę. Urodziło im się dziecko, mimo że nie sformalizowali swojego związku. Ale później doszło do tragedii, dziecko zginęło, a oni się rozstali. Sami widzicie, że okoliczności były dramatyczne, w tej sytuacji nie marnowaliby czasu na jakieś bzdury.

Ciekawy tok myślenia! Zabójstwo z zemsty albo z powodu nieprzyjaznych relacji to głupstwa i bzdury... Gdyby to komuś powiedzieć, pękłby ze śmiechu. Zresztą nie wiadomo... Może Tamiła Warłamowna ma rację. Może z punktu widzenia osiemdziesięcioletniej dziennikarki sportowej tak to właśnie wygląda. Ale z punktu widzenia starszego lejtnanta Dziuby, wywiadowcy z Pietrowki, sprawa wygląda zupełnie inaczej. To nie głupstwa ani bzdury, tylko ciężkie przestępstwo, które należy wyjaśnić.

– Musicie jednak wiedzieć – ciągnęła tymczasem Tamiła, zapalając kolejnego papierosa – że Bołtienkow, podobnie jak każdy trener, zwłaszcza uznany, miał mnóstwo wrogów, w dodatku nie w zamierzchłej przeszłości, tylko obecnie.

– Kogo na przykład? – Anton nie wytrzymał i włączył się do rozmowy.

- No cóż, przykładów nie trzeba daleko szukać, weźmy chociażby Nikołaja Nikiticza Anikiejewa, szanowanego człowieka w podeszłym wieku i znakomitego trenera, który pracował od lat. Bołtienkow potrzebował lodowiska, no i upatrzył też sobie parę dobrych łyżwiarzy, których trenował Nikiticz. Najpierw próbował ich sobie zjednać, ale oni nie zdradzili swojego trenera. Wiecie, co wtedy zrobił? Napisał anonim do Federacji, oskarżając Nikołaja Nikiticza o pedofilię. Teraz to modny temat, od razu go podchwycono, zwłaszcza że lodowisko było rzeczywiście potrzebne młodszym trenerom, którzy zdaniem Federacji rokowali duże nadzieje. Nikt nie chciał ruszać Nikiticza bez powodu, bo był zasłużony i cieszył się poparciem niektórych działaczy Federacji. Byli jednak i tacy działacze, którzy popierali młodych obiecujących trenerów, więc skwapliwie wykorzystali okazję, by odsunąć starego trenera od pracy. Wiecie, jak to się robi? Nikt nikogo nie oskarża wprost. Pewnego dnia przychodzą działacze z Moskomsportu<sup>[11]</sup> i zaczynają rozmawiać w cztery oczy z rodzicami. „Czy dziecko nic państwu nie mówiło? Na nic się nie skarżyło? Na przykład na trenera?” I przez cały czas dają do zrozumienia, o jakie skargi im chodzi. No a rodzice bywają różni. Jedni są zadowoleni z postępów dziecka i uważają, że trener robi wszystko, co do niego należy, inni zaś, plus minus połowa, uważają, że trener nie poświęca ich dziecku dosyć uwagi, zajmuje się innymi łyżwiarzami i w ogóle lubi tylko tych, którzy wsuwają mu koperty do kieszeni, a tych, za których pobiera oficjalnie wynagrodzenie, właściwie niczego nie uczy. Tacy rodzice są zawsze niezadowoleni, rozglądają się, gdzie by tu przenieść dziecko, żeby jak najprędzej zdobyło tytuł mistrza. Więc chętnie przyłożą rękę do tego, żeby pogrążyć Nikiticza, zwłaszcza jeśli się im napomknie, że w razie nieprzyjemności grupę przejmie inny trener, który wychował niejednego mistrza. Można też powiedzieć, że grupa zostanie rozwiązana i łyżwiarze przejdą do innych trenerów, ale „my przecież wiemy, że

państwa dziecko jest bardzo utalentowane, więc umieścimy je u świetnego trenera, który szybko zrobi z niego mistrza”. Tak to mniej więcej wygląda. Istnieje wiele sposobów, by przekonać rodziców.

– A skąd pani wie, że inicjatorem nagonki był właśnie Bołtiekow? To pewne? – zapytał Roman.

W odpowiedzi dziennikarka posłała mu kpiące i wymowne spojrzenie.

Anton chyba znowu stracił zainteresowanie rozmową, jego oczy z roztargnieniem błędziły po obrazach i zdjęciach, które wisiały na ścianach. Drzwi bezszelestnie się otworzyły i ta sama dziewczynka wniosła tacę z talerzami, serwetkami w ładnym stojaku i ogromnym półmiskiem, nad którym unosił się oszałamiający aromat chaczapuri. Szybko i zręcznie rozstawiła wszystko na szerokiej, niskiej ławie i tak samo bezszelestnie znikła, nie zamieniając ani słowa z prababcią i jej gośćmi.

Smarkata jest niezłe wyszkolona! – z uznaniem pomyślał Dziuba. Pewnie do Tamiły bez przerwy przychodzą goście i dziewczynce wpojono, że nie przerywa się rozmowy dorosłym. Za jakieś dziesięć lat będzie świetną żoną!

– Nie wiem na sto procent. – Tamiła Warłamowna zrobiła gest zapraszający do stołu. Roman bojaźliwie zerknął na Staszysa i poczęstował się chaczapuri. Nic się chyba nie stanie, jeśli zje jeden kawałek, tylko jeden?

Tamiła Warłamowna uśmiechnęła się doń z aprobatą, skinęła głową i podjęła:

– Ale obracam się w łyżwiarstwie figurowym od ponad siedemdziesięciu pięciu lat, najpierw sama je uprawiałam, później szybko wystrzeliłam w górę, zrobiłam się wysoka jak żyrafa i musiałam zrezygnować ze sportu. Za to przez sześćdziesiąt pięć lat stałam przy bandzie. Nie sądzicie, że to wystarczy, by jako tako poznać zakulisowe życie i mechanizmy, które kierują czynami i decyzjami? No więc wiele osób ma podstawy, by przypuszczać, że tak właśnie było. Kola Anikiejew

został zaszczyty z inicjatywy i za namową Miszy Bołtienkowa. Jak bowiem ludzie myślą? Kto dostał więcej godzin na lodowisku, ten odniósł korzyść. Kto dostał najlepszych łyżwiarzy, ten jest zainteresowany. A wszystko to – i dodatkowe godziny na lodowisku, i najlepszych łyżwiarzy – dostał właśnie Bołtienkow. Zresztą to przecież oczywiste: najpierw Misza ciągle odwiedzał dyrektora i prosił o zwiększenie liczby godzin na lodowisku, a dyrektor wciąż próbował odebrać godziny innym trenerom...

– Odebrać? – przerwał zaintrygowany Dziuba. – Nie rozumiem, jak można odebrać godziny innym trenerom, skoro jest harmonogram.

– Ależ można! Oto przykład. Od trenera odchodzi dobry łyżwiarz, później drugi, więc zwierzchnicy go wzywają i mówią: „Twoja grupa jest słaba i nie robi postępów, masz trzy godziny rano i dwie i pół po południu, więc oddasz pół godziny rano, pozostały czas w zupełności ci wystarczy, bo przecież nie pracujesz na medale”. Oto i cała rozmowa. Mniej czasu na trening powoduje, że trener nie poświęca wszystkim należytej uwagi, to zaś budzi coraz większe niezadowolenie, coraz więcej łyżwiarzy uważa się za pokrzywdzonych, wskutek czego inni też zechcą odejść. To z kolei stanie się nowym powodem, by zmniejszyć limit godzin. Wyzwała się reakcja: gorsze wyniki – mniej godzin na lodzie, mniej godzin na lodzie – gorsze wyniki. Błędne koło.

– No dobrze, Bołtienkow odwiedzał dyrektora i żądał dodatkowych godzin na lodowisku. Co było dalej?

– Misza udał się do Federacji, żeby odwiedzić dawnego przyjaciela, który go zawsze bardzo wspierał, i poskarżył się na dyrektora. Również dwa dni później zjawili się kontrolerzy i zaczęli zadawać pytania. On oczywiście był w Federacji tylko po to, żeby wpaść na chwilę do przyjaciela. Nie ma to żadnego związku z tym, że dwa dni po jego wizycie zwołali się urzędnicy z pytaniami. Nikt jednak nie wierzy, że to zbieg okoliczności.

Tamiła Warłamowna znowu się roześmiała i upiła parę łyków wody prosto z plastikowej butelki, która stała na ławie. Dziuba niecierpliwie czekał na dalszy ciąg opowieści – dziennikarka była urodzoną aktorką, stale zmieniała tembr głosu oraz intonację w zależności od tego, czy prowadziła narrację, czy przytaczała czyjeś wypowiedzi, więc Roman, który nigdy nie miał czasu, żeby pójść do teatru, czuł się jak widz na znakomitym przedstawieniu.

– A skąd pani wie, kiedy Bołtienkow odwiedził przyjaciela w Federacji? – zadał kolejne pytanie.

– Ktoś go widział – wyjaśniła. – A raczej widziano ich razem, gdy akurat wychodzili roześmiani z pokoju tego urzędnika, szli korytarzem i z ożywieniem rozmawiali. Tamtego dnia było posiedzenie Rady Trenerów, a starszy trener Szkoły Rezerw Olimpijskich, w której pracował Misza, był członkiem Rady. Nazajutrz powiedział, że widział Miszę ze Sznitowem.

Czy to nie ten urzędnik z Federacji, który postawił wszystkich na nogi, żeby sprawa zabójstwa trafiła na Pietrowkę? – pomyślał Roman, szybko zapisując nazwisko „Sznitow” w leżącym na kolanach notesie, w którym już było nazwisko Nikołaja Nikiticza Anikiejewa. – Czemu tak skromnie? Można było od razu zaangażować MWD[12], podobno są tam najlepsi spece. Kamieńska też wczoraj wspominała o Sznitowie, a więc nie ulega wątpliwości, że z zabitym Bołtienkowem łączyły go zażyłe relacje.

– Nie wie pani, Tamiło, gdzie teraz jest Anikiejew? Jak możemy go znaleźć?

Dziennikarka posmutniała.

– Umarł niemal od razu po tamtej awanturze. Ostry zawał.

– Kiedy to się stało?

– Całkiem niedawno, w ubiegłym roku.

A więc trzeba sprawdzić. Trener Anikiejew mógł mieć dorosłe dzieci i dorosłych uczniów, którzy zapalali żądzą zemsty.

Półmisek z chaczapuri nagle opustoszał, zupełnie

niespodziewanie dla Dziuby. Tamiła Warłamowna opowiadała tak ciekawie i barwnie... Zdaje się, że wspominała też o torcie miodowo-orzechowym...

Gdy wywiadowcy pożegnali się z gościnną dziennikarką, na dworze zrobiło się już ciemno. Siedząc w pokoju przy otwartym na oścież oknie, Dziuba w ogóle tego nie zauważył. Pewnie pochłonęła go rozmowa...

– Coś ty taki niemrawy, Tocha? – zaatakował Staszysa. – Przez cały czas milczałeś, nie zadawałeś pytań, oglądałeś książki i inne rupiecie. Wiem, że jesteś w kiepskim nastroju, ale to przecież praca, a nie labia. Co z tobą?

Anton uśmiechnął się pojednawczo i klepnął Romana po ramieniu.

– Zdaje się, że prosisz, żebym cię czegoś uczył? No to cię uczę. Zapamiętaj. Są dwa rodzaje kobiet: jedne zadowolają się każdym przejawem zainteresowania ze strony mężczyzn, inne są niezadowolone i poirytowane, gdy mężczyźni nie zwracają na nie uwagi. A zatem sposób, w jaki się z nimi rozmawia, powinien być inny. Kobiet należących do pierwszego rodzaju trzeba uważnie słuchać, wtedy opowiedzą wszystko z wdzięczności. Z drugim rodzajem kobiet należy postępować inaczej. Mniej więcej tak, jak się zachowałem wobec Tamiły.

Roman spojrział na niego z osłupieniem.

– Jaki sposób, Tocha? O czym ty mówisz?

Staszys usiadł za kierownicą samochodu stojącego koło wejścia, po czym powoli i uważnie wyjechał na ulicę.

– Gdy rozmawiałem z Tamiłą przez telefon, nie wiedziałem, ile ma lat. Ale jej głos mi zdradził, że to kobieta przyzwyczajona do adoracji ze strony mężczyzn i bezwiednie z nimi flirtuje. Później powiedziałeś, że ma osiemdziesiąt trzy lata, więc wyciągnąłem oczywisty wniosek, że mimo szacownego wieku wciąż lubi być w centrum uwagi, zwłaszcza męskiej. Jeśli więc pozbawić ją tej uwagi, stanie na uszach, żeby jej słuchano. Widziała, że nie interesuje mnie rozmowa, bo zrobiłem wszystko, żeby tak

myślała. Więc zaczęła opowiadać coraz ciekawsze i coraz bardziej bulwersujące rzeczy, by dopiąć celu. Chciała mnie zmusić do słuchania. Chciała, żebym słuchał i na nią patrzył. Zupełnie podświadomie, rzecz jasna, ponieważ w gruncie rzeczy nie jestem jej do niczego potrzebny. Przez lata wypracowała określoną strategię zachowania. Gdybym postępował tak samo jak ty, to znaczy słuchał z rozdziawionymi ustami i notował wszystkie fakty i nazwiska, idę o zakład, że powiedziałyby nam znacznie mniej. Dlatego musiałem udawać obojętność i robić wrażenie nieokrzesanego. Nawet nie spróbowałem chaczapuri, żeby nie wypaść z roli. Było chociaż dobre?

– Niesamowite – potwierdził Dziuba. – A jak się dowiedzieć, do jakiego typu należy kobieta, z której trzeba wyciągnąć informacje?

– Nauczę cię tego – obiecał Anton. – Ale nie teraz. Teraz ustalmy plan dalszego działania. Z tego, co powiedziała Tamiła, mogą nas interesować dwa wątki.

– Chciałbym wziąć na tapetę Anikiejewa – oznajmił Roman. – Wydaje mi się, że to nasz najlepszy trop. Może się tam znaleźć całe mnóstwo chętnych, którzy szukają zemsty.

– Zgoda – odparł Anton. – W takim razie ja się zajmę łyżwiarzem, tam na pewno nie będzie tłumu, więc z góry ci dziękuję, Romek, że oddajesz łatwiejsze zadanie starszemu koledze i opiekunowi obarczonemu rodziną.

– Jestem przecież młody. – Dziuba się roześmiał. – Nieopierzony chłoptaś, jak lubicie mówić. Mam więcej sił.

Wyjął telefon i znalazł potrzebny numer w spisie połączeń.

– Zaraz namierzę Anikiejewa i jego rodzinę. Podrzucisz mnie, gdzie trzeba?

– Nie ma sprawy. – Stasow kiwnął głową. – W ramach wdzięczności. Dzwon.

Pięć minut później Dziuba miał już adres wdowy po Nikołaju Nikiticzu Anikiejewie.

===

Klucz obrócił się w zamku tylko do połowy i drzwi się otworzyły. To znaczy, że Wardan jest w domu i znowu nie zamknął drzwi od środka. Co z nim począć?! Ma dwanaście lat, powinien być już całkiem samodzielny i odpowiedzialny, a nie nauczył się jeszcze zamykać drzwi.

Grant Arturowicz Gandzumian zdjął buty i starannie wsunął je do drewnianej szafki, włożył domowe kapcie i ruszył do gabinetu, żeby zostawić tam teczkę z dokumentami. We wszystkim lubił porządek. Teczka, nawet jeśli jest pusta, nie powinna poniewierać się gdzie popadnie, jej miejsce jest w gabinecie na piętrze.

Na schodach omal się nie przewrócił. Syn znowu zostawił torbę z dressem i łyżwami na podeście. Co za dziwny nawyk: pokonuje równo połowę schodów i rzuca torbę na podest. Pewnie jest po treningu tak zmęczony, że nie może wspiać się na górę, dźwigając ciężką torbę, pomyślał Grant Arturowicz i się uśmiechnął.

Czasami udawało mu się przyjechać do Pałacu Lodowego i odebrać Wardana z wieczornego treningu. Ale nie zawsze miał czas. Bardzo kochał swojego młodszego syna, którym obdarzyła go Goar, druga żona. Sam wybrał mu imię: Wardan w tłumaczeniu z ormiańskiego znaczy „nagroda”.

Grant Arturowicz postawił teczkę na biurku w gabinecie, po czym zajrzał do pokoju syna. Chłopiec leżał na kanapie, oczy miał zamknięte, w uszach słuchawki. Telewizor z ogromnym ekranem był ściszony. Nic dziwnego, że chłopiec nie usłyszał ani trzaśnięcia wejściowych drzwi, ani tego, że ojciec wszedł do pokoju. Grant Arturowicz dotknął lekko ręki syna i pociągnął za kabel od słuchawek. Oczy w obramowaniu gęstych, czarnych rzęs natychmiast się otworzyły, a twarzyczka Wardana rozjaśniła się w radosnym uśmiechu.

– Cześć, tato.



- Cześć, synu. Wcześniej dziś wróciłeś. Coś się stało?
- Trening skończył się pół godziny przed czasem – wyjaśnił chłopiec. – Mają tam jakieś zebranie.
- Odrobiłeś lekcje?
- Jeszcze po południu, między treningami.
- A gdzie mama?

Goar nie chciała siedzieć w domu, mimo że Grant Arturowicz z łatwością mógł utrzymać niepracującą żonę. Jego skromny biznes kwitł i chociaż nie przynosił nadzwyczajnych dochodów, był stabilny i bezpieczny. Jedyne, na co nalegał Gandzumian, to niepełny etat. Pragnął, by ukochana żona czekała na niego w domu, gdy wróci z biura. Teraz dochodzi już jednak dziewiąta i nie wiadomo, dlaczego Goar do tej pory nie ma.

- Pobieгла do cioci Luby z drugiego piętra po paprykę, szykowała coś dla ciebie na kolację i papryka się skończyła.

Grant Arturowicz odetchnął z ulgą. Na szczęście nic się nie stało, żadnych niespodzianek. Doskonale znał Lubę i wiedział, że Goar nie wróci tak szybko. Gdy kobiety zaczną plotkować, czas przestaje dla nich istnieć.

Wszedł do sypialni, zdjął garnitur i koszulę, powiesił je w garderobie, przebrał się w domowy strój i wrócił do gabinetu. Zadzwoił na komórkę Goar.

- Jestem w domu – oznajmił z uśmiechem, słysząc przestraszony głos żony, która chyba dopiero teraz zdała sobie sprawę, że zagadała się z przyjaciółką, a mąż wrócił z pracy i czeka na kolację.

- Już biegnę! – rzuciła Goar.

Doświadczony Grant Arturowicz oszacował, ile czasu zabierze żonie droga do domu. Jakies pięć minut będzie biadolić i sobie wyrzucać, że przegapiła godzinę powrotu męża, przez kolejne pięć minut Luba będzie jej radzić, jak ma postąpić i co powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, później jeszcze ze trzy minuty będą się umawiać „na jutro”, plus czas na przejście z drugiego piętra na czwarte. Łącznie co najmniej piętnaście

minut. W zupełności wystarczy, żeby włączyć komputer i przejrzeć pocztę.

To doprawdy zadziwiające, jak duża liczba maili pojawia się w skrzynce w ciągu zaledwie półtorej godziny, które człowiek spędza w drodze z pracy do domu! Grant Arturowicz cenił porządek, więc zawsze po skończonej pracy przeglądał pocztę. A po przyjeździe do domu stale odkrywał zatrzęsienie nowych maili. Ponad połowa to śmieci, można ich nawet nie otwierać, jakieś reklamy oraz informacje od firm, nieprzedstawiające żadnej wartości dla biznesmena Gandzumiana. Otworzył i przeczytał trzy wiadomości od krewnych, na które odpowie po kolacji, bez pośpiechu, z przyjemnością, szczegółowo omawiając poruszone kwestie. Rodzina jest bardzo liczna, ale porozrzucana po całym świecie i Gandzumian ze wszystkimi prowadzi ożywioną korespondencję.

Jeszcze parę maili miało charakter handlowy – w załączonych plikach znajdowały się teksty umów, projektów, planów biznesowych i propozycji.

I jeszcze jedna wiadomość. Bez nadawcy. Grant Arturowicz przeczytał krótki tekst i się zachmurzył. *Dostałem zlecenie na pana. Ale sprawa jest otwarta. Jeśli jest pan gotów do rozmów, to...* Dalej następowały jakieś zawiłe wskazówki, których Gandzumian nawet nie przeczytał do końca. To już czwarty taki list w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Ktoś ma na niego zlecenie! Akurat. Nie da się nabrać. Prymitywne zagranie w celu wyłudzenia forsy.

Na dole trzasnęły drzwi, rozległy się ciężkie, pośpieszne kroki: wróciła Goar. Po urodzeniu Wardana pulchna dziewczyna mocno się roztyła, ale Grantowi to nie przeszkadzało i kategorycznie zabronił żonie się odchudzać. Zakaz został przyjęty z entuzjazmem – Goar lubiła smacznie zjeść.

Wyłączył komputer i zszedł na kolację. Wystarczyło, że objął żonę, a od razu odzyskał dobry humor, zepsuty przez anonimowy mail. A ponieważ Goar gotowała wyśmienicie, pod

koniec posiłku Grant Arturowicz Gandzumian na dobre zapomniał o dziwnej wiadomości.

===

Wdowa po Nikołaju Nikiticzu Anikiejewie, trenerze, którego podejrzewano o pedofilię i który umarł na zawał, przywitała Dziubę nadzwyczaj nieuprzejmie.

– To odrażająca historia, którą mąż przypłacił życiem – powiedziała ostro, nawet nie proponując detektywowi, żeby wszedł do pokoju, albo chociaż do kuchni.

Głucha, zaciekła nienawiść wylewała się z niej potężną falą. Barczysty Roman przestępował z nogi na nogę w ciasnym przedpokoju i marzył tylko o jednym: jak najszybciej dowiedzieć się tego, co trzeba, i wyjść. Anikiejewa odpowiadała krótko i monosylabami, patrzyła z pogardą, jakby to właśnie on, Romek Dziuba, był winien tego, co się przydarzyło Nikołajowi Nikiticzowi.

Anikiejewowie mieli dwoje dzieci, ale żadne nie związało się ani z Moskwą, ani ze sportem. Syn z żoną mieszkał i pracował na Dalekim Wschodzie, a córka wyszła za Holendra i zamieszkała w Amsterdamie. Po pogrzebie nie odwiedzali Moskwy. Wychowankowie? Tak, oczywiście, rodzina trenera jest drugą rodziną sportowca, czasami to nawet coś więcej, trener i sportowiec spędzają przecież razem mnóstwo czasu.

– Byliśmy z mężem niemal drugimi rodzicami dla niektórych dzieci. – Głos Anikiejewej nieco złagodniał. – Paru wychowanków męża do tej pory mnie odwiedza i pomaga, jak tylko potrafi.

No tak, z synem i córką kompletna klapa, raczej nie maczali palców w zabójstwie Bołtienkowa, ale wychowankami warto się bliżej zainteresować. Anikiejewa zamyśliła się przez chwilę, po czym wymieniła cztery osoby, które najczęściej ją odwiedzają. Trzy nazwiska były żeńskie. Jedno męskie. Giera Marczenko.

– Chłopak też przychodzi? – Dziuba udał zdziwienie. – Zazwyczaj to dziewczęta troszczą się o nauczycieli i o nich pamiętają. Chłopcy chyba są mniej opiekuńczy, prawda?

– Giera to bardzo dobry chłopak – ze wzruszeniem odparła Anikiejewa. – Zawsze stara się dla mnie coś zrobić i, nawiasem mówiąc, odwiedza mnie częściej niż dziewczęta. Mimo że zawsze mu powtarzam: „Jesteś już dorosły, pora na randki, a ty tracisz czas na starą kobietę”.

– Na randki? To ile on ma lat?

– Dwadzieścia dwa.

Teraz Dziuba naprawdę się zdziwił. Jak to dwadzieścia dwa? Rok temu, gdy wydarzyła się ta historia, Giera Marczenko od dawna nie był juniorem, tymczasem w grupie Anikiejewa nie było i nie mogło być starszych łyżwiarzy.

– To znaczy, że Nikołaj Nikiticz zajmował się seniorami?

– Giera już dawno zrezygnował z łyżwiarstwa, rzucił je w wieku czternastu lat po poważnym urazie, ale nigdy nie zapominał o swoim trenerze. Chłopak ma złote serce, w dzisiejszych czasach mało kto jest tak lojalny.

Co prawda, to prawda, pomyślał Roman. Oddanie nauczycielowi to rzadkie zjawisko, zwłaszcza teraz, i to ze strony mężczyzn. Chyba ten niezwykły Giera Marczenko jest tym, kogo szukam.

– Czy Giera nie próbował omawiać z panią powodów tragedii, która spotkała Nikołaja Nikiticza? Może kogoś oskarżał? – Dziuba zadał pytanie, którego nie powinien był zadawać.

Zrozumiał to jednak zbyt późno. Duszna i nieprzyjemna atmosfera nienawiści i pogardy, wypełniająca mały przedpokój, w jednej chwili stała się wręcz jadowita.

– Chyba pan zwariował! – Głos Anikiejewej przeszedł w krzyk. – Jak pan śmie podejrzewać Gierę? Doskonale wiem, co pan ma na myśli, cała Moskwa mówi tylko o zabójstwie tego drania, a pan zamierza oskarżyć Gierę! Zapewniam, że to się panu nie uda!

Dziuba próbował się wycofać, ale nie potrafił powiedzieć nic sensownego. Pod naciskiem starszej, pałającej gniewem kobiety zupełnie się pogubił.

– Wynocha stąd!

Anikiejewa z pewnym wysiłkiem odepchnęła Romana na bok, żeby z hukiem przekręcić zamek wejściowych drzwi i demonstracyjnie je przed nim otworzyć.

– I żeby pana noga nie powstała więcej w moim domu! Niech się pan nie waży ruszać Giery!

Roman nie zawalił oczywiście sprawy, dowiedział się przecież tego, na czym mu zależało. Mimo to był w podłym nastroju.

Mogłem pojechać do domu, w którym mieszka Łamzin, i jeszcze raz przejść się po mieszkaniach, poszukać świadka, który widział, w jakim ubraniu był zatrzymany, gdy wybiegał za Bołtienkowem, myślał ze skruchą, trzęsąc się w autobusie, który miał go dowieźć do metra. A nuż by mi się udało i znalazłbym potrzebnego świadka... Co prawda nie wiadomo, czy jego zeznania potwierdziłyby moją hipotezę, może raczej ucieszyłyby śledczego. Mimo to mógłbym się pochwalić jakimś wynikiem. I niewykluczone, że byłbym zadowolony. A teraz... czuję się jak parszywy pies, który próbował zwędzić kawałek mięsa ze stołu i oberwał za to po grzbiecie.

Ale wątek z Gierą Marczenką zapowiada się ciekawie. Możliwe, że... Jutro z samego rana trzeba go odszukać.

===

Rozstawszy się z Dziubą, Anton już zamierzał przyjrzeć się bliżej chłopakowi, który jeździł w parze tanecznej i miał pewien związek z zabitym Michaiłem Bołtienkowem, gdy nagle wezwano go na zebranie grupy operacyjno-śledczej zajmującej się sprawą zabójstwa Inny Wiktorowny Jefimowej. Kolejne parę godzin diabli wzięli! Później major Staszys nie miał już nastroju do pracy i pod wieczór przepępniały go wyłącznie złość

i rozdrażnienie. Porozmawiawszy przez telefon z Elą i dowiedziawszy się, że może zostać z dziećmi do rana, zadzwonił do Lizy i umówił się, że do niej wpadnie.

Liza poczęstowała Antona smaczną kolacją i chętnie wysłuchała opowieści o Tamile Warłamownie, leciwej dziennikarce. W pewnej chwili Staszys odniósł nawet wrażenie, że dziewczyna naprawdę interesuje się jego pracą i w ogóle wszystkim, co go dotyczy. Jest mądra, wyrozumiała, świetna w łóżku... Co więc jest nie tak? Dlaczego tak trudno mu się zdecydować na ostateczny krok? Czy rzeczywiście z powodu jej ojca, z którym nie chciał popsuć relacji? Czy chodzi o coś innego?

Po kolacji postanowili położyć się wcześniej, żeby się wyspać.

– Wyłącz komórkę, Antonie – zażądała Liza, gdy wrócił spod prysznic i zamierzał wsunąć się już pod kołdrę.

– A jeśli ktoś będzie mnie szukał? Nie jest jeszcze za późno na telefon – zaproponował.

– Mimo to wyłącz. Nie chcę, żeby nam przeszkadzano. Bez przerwy ktoś nam przeszkadza – gniewnie odparła Liza. – Wszyscy cię potrzebują, a ja chcę, żebyś należał tylko do mnie. Jestem córką detektywa i doskonale wiem, jak wygląda wasz czas wolny. W każdej chwili ktoś może zakłócić spokój. Nigdy nie możemy pobyć zwyczajnie razem. Czasem mi się wydaje, że spotykasz się ze mną tylko po to, żeby nie uważano cię za odludka, a tak naprawdę niczego ode mnie nie potrzebujesz, nawet nie zależy ci na tym, żeby pójść ze mną do łóżka.

Anton próbował załagodzić sytuację i uśmiechnął się pojednawczo.

– Ależ, Lizo, zachowaj zdrowy rozsądek, przecież ci go nie brakuje! Kto może do mnie zadzwonić o dziesiątej wieczorem? Tylko z pracy, jeśli wydarzyło się coś naprawdę pilnego. Albo Ela, jeśli coś z dziećmi. W takich sytuacjach nie mogę być niedostępny. Chodź do mnie – odchylił kołdrę zapraszającym gestem – chodź, póki nikt nie zadzwonił.

I oczywiście w tej samej chwili odezwała się jego komórka.

– Nie odbieraj – zażądała Liza, wsuwając się pod kołdrę i mocno się do niego przytulając.

Staszys sięgnął po telefon leżący na szafce.

– Przynajmniej zobaczę, kto to. A nuż Ela.

– Dobrze, jeśli to Ela, odbierz, ale w innym wypadku nie, słyszysz? – W głosie Lizy zabrzmiała stalowa nuta.

Okazało się jednak, że to nie Ela. Na ekranie wyświetliło się nazwisko „Kamieńska”. Właściwie Anton mógł nie odbierać, telefon nie był z pracy i sprawa na pewno nie była pilna. Mimo to nie miał najmniejszej ochoty postąpić tak, jak prosiła Liza. A właściwie nie prosiła, tylko żądała. Odezwał się w nim duch przekory, a może urażona ambicja... Licho wie, co nim kieruje! Ale nie będzie chodził na pasku Lizy, nie będzie i koniec!

– Słucham panią, Anastazjo Pawłowno – powiedział oschle do słuchawki.

Nie usłyszał niczego nowego, ponieważ już wiedział od Romka, że adwokat Kirgan wynajął Kamieńską. Anastazja mówiła to, co wypadało. Że nie zamierza przeszkadzać i rzucać kłód pod nogi, że wysoko ceni profesjonalizm Antona Staszysa, że jest otwarta na każdą współpracę i że ich wspólne śledztwo, które prowadzili ponad dwa lata temu, pozostawiło jej bardzo miłe wspomnienia. Anton odpowiadał chłodno i powściągliwie, rzucał krótkie, nic nieznaczące słowa i z tonu głosu Kamieńskiej domyślił się, że rozmówczyni wyczuwa jego niezadowolenie.

Co właściwie mi się nie podoba? – zastanawiał się poirytowany, odłożywszy telefon i ułożywszy się wygodnie na poduszce. A może chodzi o coś zupełnie innego: może się cieszyć, że Kamieńska zajmuje się tą sprawą? Sam nie wiem, czy jestem zły. I nie mam pojęcia, co w tej sytuacji powinienem zrobić: kipieć ze złości czy się cieszyć? Nie potrafię uporządkować myśli ani emocji, mam w głowie zupełny chaos...

– To była Kamieńska? Ciocia Nastia? – zapytała Liza.

Anton skinął głową w milczeniu.

– Chodziło jej o mnie? Klarowała ci, że nie powinieneś się ze mną żenić?

Anton uniósł się na poduszce i spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Skąd ten pomysł? Anastazja Pawłowna wie o nas?

– Oczywiście! Przecież pracuje u mojego taty. Już ją napuścił, przeprowadziła ze mną pouczającą rozmowę. A teraz zabrała się do ciebie, tak? Ale należą ci się brawa, trzymałeś się twardo, niczego nie tłumaczyłeś, rzucałeś tylko krótko: „tak”, „nie”, „zrozumiałem”. Słusznie, nie należy wdawać się w wyjaśnienia, zrobimy tak, jak będziemy chcieli, prawda?

Liza przytulała się do niego, obsypywała pocałunkami ramiona i szyję, więc na pewien czas Anton oderwał się od przykrych rozmyślań. W pewnej chwili przemknęło mu nawet przez głowę: Przecież Liza ma rację. Po co mamy się przejmować cudzym zdaniem? Zrobimy tak, jak nam pasuje!

Jednakże euforia szybko minęła i obejmując Lizę, poczuł, że zły humor powraca ze zdwojoną siłą. I nie chodziło wcale o Kamińską. Liza, pewna, że Anastazja Pawłowna dzwoniła na prośbę ojca, wciąż próbowała się dowiedzieć, co ciotka właściwie powiedziała, ale każde jej pytanie wprawiało go w coraz większe rozdrażnienie. Mniejsza o Kamińską! Lizę nurtuje tylko jeden problem: chce wyjść za Antona. Tymczasem on ma zupełnie inny problem, w dodatku niejeden.

Wciąż wracał myślami do reprimendy, której udzielił mu dzisiaj szef grupy operacyjno-śledczej zajmującej się sprawą zabójstwa Inny Jefimowej. Anton nawet nie zdążył jeszcze wspomnieć o swoich podejrzeniach dotyczących podpalenia domu Makłyginów, gdy szef grupy rzucił oschle: „Ta hipoteza jest bezużyteczna, nie będziemy marnować na nią czasu, to stara historia”. I zapowiedział Staszysowi, żeby się nie ważył angażować śledczego oraz policjantów z Razdorów i nie zawracał im głowy bezsensownymi podejrzeniami.

Szybko się uwinęli! Minęło niewiele czasu, odkąd Anton rozmawiał ze śledczym prowadzącym sprawę pożaru, a ten już



zdażył naskarzyć zwierzchnictwu, które od razu wydało polecenie: „Nie ruszać, a jeśli ktoś się ośmieli, dać mu po łapach”. Sprawa jest oczywista, zwierzchnicy śledczego też są w układzie, nie inaczej, zważywszy na to, jak szybko wszystko się potoczyło. Gdyby śledczy przyjął forszę od Jefimowej z pominięciem zwierzchników, potrzebowałby teraz o wiele więcej czasu, żeby przygotować atak na niedomyślnego detektywa z Pietrowki.

Nie, zmarła Inna Wiktorowna nie była skąpa, okazała się bardzo hojna, o nikim nie zapomniała, nawet o biegłych. I o wywiadowcach. Ale pominęła dzielnicowego. Skrzywdziła chłopaka. Opłakany rezultat widać gołym okiem.

===

Wróciwszy o piątej rano od Ałły Władimirowny, Olga Witort rzuciła się na łóżko w ubraniu, przespała dwie godziny i przyszła do pracy z podkrążonymi oczami. Zasypiała na stojąco, z trudem udawało jej się skupić na sprawach zawodowych. Menadżerki z jej wydziału udawały, że niczego nie widzą – wiedziały, że ich szefowa, Lara Croft, nie lubi się zwierzać i nie potrzebuje współczucia. Tylko Wołodia, odczekawszy, aż dziewczęta pobiegną na obiad, zapytał, co się stało.

Olga miała do niego szczególny stosunek, więc raczyła odpowiedzieć.

– Przyjaciółka zadzwoniła do mnie w nocy i poprosiła, żebym przyjechała. Zanim tam dotarłam, zanim z nią porozmawiałam, zanim wróciłam... To nic takiego, normalna sprawa.

– Normalna? – zdziwił się Wołodia. – Jeśli to nic takiego i nie wydarzyła się żadna katastrofa, może należało odmówić? Albo poczekać do jutra? Czyżby kobieta nie wiedziała, że rano trzeba iść do pracy? Nie brak jej tupetu. Zresztą jeśli ktoś nas traktuje w ten sposób, to znaczy, że na to pozwalamy.

Olga, ma się rozumieć, natychmiast stanęła w obronie Ałły Władimirowny i przedstawiła furę argumentów usprawiedliwiających jej zachowanie.

– Co ty możesz o tym wiedzieć?! To bardzo nieszczęśliwa kobieta, ma zszargane nerwy, niedawno pochowała męża, a przedtem jej życie przypominało piekło. Mąż bardzo źle ją traktował, poniżał na każdym kroku. Teraz została całkiem sama, męczy ją samotność, nie potrafi jej znieść. Czuje się okropnie, rozumiesz? Nie mogę zostawić jej bez wsparcia, gdy prosi, żebym przyjechała. To nieludzkie.

– Jeśli mąż źle ją traktował, powinna się teraz cieszyć i korzystać z życia, a nie cierpieć – zauważył Wołodia. – Facet ją bił? Sprowadzał obce baby do domu? Co niby robił?

Olga westchnęła. Ależ ten Wołodia ma prymitywne wyobrażenia! Bicie żony i zdradzanie jej to rzecz niewłaściwa, naganna, za to inne formy zachowania są dopuszczalne i nie należy ich potępiać.

– Na przykład wmawiał jej, że jest głupia, roztargniona i nieporadna zawodowo. Kłamał, wprowadzał ją w błąd, a później sugerował, że o czymś zapomniała, bo jest już stara i do niczego się nie nadaje.

– Ahaa – wycedził menadżer. – Znana historia. Nic nowego.

– O czym ty mówisz? – zdziwiła się Olga.

– Był taki film ze sto lat temu, nosił tytuł *Gasnący płomień*. Typowy sposób manipulowania ludźmi, zarówno w rodzinie, jak i w pracy.

– *Gasnący płomień*? Nie widziałam. Nawet o nim nie słyszałam.

Wołodia skinął głową w milczeniu i wbił wzrok w komputer. Olga wróciła do swojego boksu, włączyła komputer i wpisała tytuł filmu do wyszukiwarki. Wynik mocno ją zaskoczył: George Cukor wyreżyserował film w 1944 roku. Wygląda na to, że cichy i niepozorny menadżer Wołodia powołuje się na film, który powstał dziesiątki lat przed jego urodzeniem. Nawet jeśli

pojawił się w dystrybucji, to na pewno były to czasy, gdy chłopak nie mógł go jeszcze obejrzeć. Dziwne... Skąd Wołodia wie o tym filmie? To do niego niepodobne, Olga nie sądziła, że chłopak ma inne zainteresowania niż te, które doskonale знаła.

– Interesujesz się starym kinem amerykańskim? – zapytała, podchodząc do jego biurka.

– Nie z własnej woli. – Wołodia uśmiechnął się i skinął głową.  
– Moja mama zajmuje się tym zawodowo, przy niej ja też się wciągnąłem. Swoją drogą te stare hollywoodzkie filmy to prawdziwe cacka. Najpierw myślałem, że to nudne starocie, ale potem obejrzałem kilka i mi się spodobały. W każdym razie zrobione są o wiele solidniej i bardziej fachowo niż to, co się teraz kręci.

Słowa Wołodi zaciekały Olgę, wracała do nich przez cały dzień i postanowiła ściągnąć wieczorem film z Internetu i go obejrzeć. Pod koniec dnia senność ją opuściła, odzyskała wigor.

Wróciwszy do domu, zaparzyła mocną kawę, wsypała do miseczki górę herbatników i usiadła przy komputerze. Jednakże wyszukiwarka podała nie tylko odsyłacze do informacji o filmie i o możliwości jego obejrzenia, ale też do dziwnego określenia „gaslighting”, utworzonego, jak się okazało, od amerykańskiego tytułu filmu *Gas Light*. Nowy termin znalazł zastosowanie w psychologii i stanowił określenie przemocy domowej mającej na celu poniżenie, a w ostatecznym rezultacie zniszczenie samooceny i samoidentyfikacji ofiary.

Zapominając o śnie i o zamiarze obejrzenia filmu, Olga zaczęła czytać wszystko po kolei, przeglądała odsyłacze do źródeł literackich, studiowała artykuły naukowe i obszerne dyskusje...

Okazało się, że to, co się zdarzyło w rodzinie Ałły Władimirowny, nie tylko zdarza się w wielu innych rodzinach, ale ma swoją nazwę i nawet zostało opisane przez naukowców. Istnieją też dobrze przemyślane sposoby oraz metody polecane przez psychologów, jak rozpoznać gaslightera i jak mu się przeciwstawić, żeby nie dopuścić do autodestrukcji. Ach, gdyby

wiedziała o tym, gdy żył jeszcze mąż Ałły Władimirowny! Teraz już nic nie da się zrobić...

Uwagę Olgi przykuło zdanie: „Maltretowanemu człowiekowi może pomóc tylko inny człowiek”. Kto inny mógł pomóc Alle, jeśli nie jej oddana wielbicielka i fanka? A ona niczego nie zauważyła... I nic jej, Olgi Witort, nie tłumaczy.

Przetrząsała Internet w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie: Czy można jeszcze coś zrobić, czy można naprawić i odbudować to, co zostało zniszczone? Przecież dopiero teraz zrozumiała, czemu los był dla niej tak łaskawy i pozwolił jej żyć u boku uwielbianej Ałły Tomaszkiej. Jej misją jest uratowanie aktorki, swojego bożyszczka. Tylko jak? Jak?

Olga wertowała artykuły naukowe i popularnonaukowe, aż w końcu trafiła na materiały o neurotycznej miłości będącej przejawem postgaslightingu. Tego właśnie szukała! Miała wrażenie, że każde słowo opisuje jej obecne relacje z Ałłą Tomaszkiej. Jak gdyby ktoś deptał im po piętach, słuchał ich i podglądał, bezlitośnie odnotowywał każde zdanie, spojrzenie i czyn.

Olga zakochała się w Alle Tomaszkiej, gdy była jeszcze całkiem mała. Aktorka zagrała rolę Wróżki w popularnym filmie dla dzieci i dziesięcioletnia Ola zobaczyła w niej anioła piękna i dobrego. Wycinała jej zdjęcia z dostępnych gazet oraz czasopism i wklejała do albumu. I wciąż czekała, aż Tomaszkiej znowu wystąpi w filmie. Tamten film często powtarzano w telewizji, ale nie pojawiały się nowe produkcje z jej udziałem.

Gdy Olga miała jakieś piętnaście lat, dowiedziała się, że Ałła Tomaszkiej występuje w teatrze. Od tej pory zaczęła regularnie chodzić na przedstawienia. Nie było ich dużo, Tomaszkiej grała w nich skromne, epizodyczne role. Ale Ola gorliwie zbierała pieniądze i na każde przedstawienie przychodziła z kwiatami, czasem z bukietem, a czasem z jednym kwiatkiem, zależnie od możliwości.

Na przełomie lat dwutysięcznych nastąpił gwałtowny rozwój Internetu, wtedy też Olga, już studentka, nawiązała kontakt ze swoim bożyszczem. Zaczęła pisać pełne zachwyty recenzje ze spektakli, w których występowała Ałła Władimirowna, zwracając szczególną uwagę na aktorkę i zadając to samo pytanie: Czemu dla tak wspaniałej artystki nie ma miejsca w filmie? Odpowiedź była niestety prosta i banalna: Ałła Władimirowna, tęga i postawna w młodości, w wieku dwudziestu czterech lat wcieliła się we Wróżkę, ale koło trzydziestki mocno przytyła, więc nie było dla niej ról w filmie. Wszystkie bohaterki były młode, zgrabne i piękne, lecz ona, mimo że twarz miała nadal gładką i piękną, nie mogła ich zagrać z uwagi na figurę, no a do roli matek bohaterek nie nadawała się ze względu na wiek. Wszyscy dawno zapomnieli o roli Wróżki, a w drobnych, podrzędnych rolach w teatrze trudno ją było zauważyć.

Ałła Władimirowna wiodła szczęśliwe życie razem z mężem, dyrektorem instytutu naukowo-badawczego, i wychowywała syna. Pracy w teatrze było niewiele, toteż prowadziła dom i była przykładną żoną oraz wzorową matką.

I nagle w jednej chwili wszystko się zmieniło. Dostała propozycję roli starszej bohaterki w tanim, ale długim serialu. Zgodnie z koncepcją twórców bohaterka miała wyglądać młodo, być ładna, ale przy kości, w trakcie całego filmu wytrwale się odchudzała i chociaż nie udało jej się wysmuknąć, spotkała wielką miłość w osobie lekarza dietetyka. Oprócz Tomaszewicz nie było innych kandydatek nadających się do tej roli – Ałła Władimirowna idealnie odpowiadała zamysłowi scenarzystów i reżysera zarówno pod względem wieku, jak i wyglądu, w dodatku nie była gwiazdą, a więc (co bardzo ważne!) nie zażądałaby niebotycznego honorarium. A przecież główna bohaterka ma dużo dni zdjęciowych i jej honorarium w znacznej mierze decyduje o budżecie serialu.

Miesiąc po wyemitowaniu serialu cały kraj znał Ałłę

Tomaszkiewicz, ludzie zaczęli podchodzić do niej na ulicy i prosić o autografy, w sklepach przepuszczano ją w kolejkach do kasy. Kolejne propozycje filmów posypały się jak z rękawa. W ciągu dwudziestu lat zastoju twórczego Ałła Władimirowna stęskniła się za pracą aktorską, więc nie odrzucała żadnych ról, nawet niewielkich albo w sytuacji, gdy scenariusz był bardzo kiepski, a reżyser naprawdę słaby. Bez końca jeździła to na Ukrainę, to na Białoruś – tam najczęściej kręcono seriale, wykorzystując wspaniałe moce produkcyjne i wysokiej klasy personel Studia Filmowego imienia Dowżenki oraz Filmu Białoruskiego. Coraz rzadziej bywała w domu, ale sławy i pieniędzy wciąż jej przybywało.

Założyła swoją stronę w Internecie, na której można było zostawić prywatną wiadomość, co natychmiast wykorzystwała Olga Witort. Ku swojemu zdziwieniu dziewczyna bardzo szybko dostała krótką, ale bardzo serdeczną odpowiedź od aktorki, nieśmiało napisała jeszcze raz, bojąc się uwierzyć we własne szczęście, i już miesiąc później obie panie rozpoczęły ożywioną korespondencję, a po dwóch miesiącach się spotkały i poznały osobiście albo – jak to się teraz mówi – w realu. Okazało się, że Ałła Władimirowna potrzebuje nieustannej pomocy w różnych drobiazgach, zaczynając od opłacenia rachunków za usługi komunalne, a kończąc na modyfikacji strony internetowej, więc Olga chętnie podjęła się robienia tych wszystkich rzeczy. Odwoziła aktorkę na dworzec i na lotnisko, odbierała po powrocie, wykonywała rozmaite polecenia, towarzyszyła na pokazach filmów, w których występowała Tomasziewicz, pielęgnowała podczas choroby, szukała robotników po całej Moskwie, gdy Ałła postanowiła, że pora zrobić remont domku letniskowego, a później pilnowała prac remontowych oraz wykończeniowych. Stała się niezastąpioną pomocnicą i podporą swojej idolki, jej bratnią duszą.

A później męża Ałły Władimirowny grzecznie poproszono, by przeszedł na emeryturę. Jeszcze wczoraj wszechwładny

dyrektor ogromnego instytutu, mający samochód z kierowcą, dzisiaj stał się nikim. Nikomu niepotrzebny, bardzo szybko poszedł w odstawkę. Tymczasem jego małżonka cieszyła się powodzeniem i była rozchwytywana.

Wszystko zaczęło się od narzekania na zaniedbany dom. Ała Tomasziewicz ze śmiechem przyjmowała uwagi męża, traktując je jak niewinne żarty. Przecież ten mądry człowiek nie może nie widzieć, jak ona ciężko pracuje, ile zarabia i jak bardzo jest zmęczona! Nie może mówić poważnie! Ała nie zauważyła, kiedy uwagi stopniowo przerodziły się w zaczepki, a zaczepki w pretensje.

Później doszło do ostrej i bezstronnej krytyki działalności zawodowej żony. Krytykę, początkowo zaprawioną lekką ironią, szybko zastąpił sarkazm i otwarte obelgi. Mąż nie mógł pogodzić się z tym, że zamienił się z żoną rolami: dawniej to on odnosił sukcesy na każdym polu i utrzymywał rodzinę, a teraz siedzi w domu bezużyteczny, a żona jest gwiazdą ekranu i żywicielką rodziny. Gdy zadzwoni telefon, wiadomo, że to nie do niego, ale do niej, a przecież przedtem było na odwrót. W dniu jej urodzin nie zamykają się drzwi do mieszkania – kurierzy jeden po drugim przynoszą bukiety i kosze kwiatów oraz torby z prezentami. Dawniej to on przez trzy albo cztery dni przywoził z pracy prezenty i bukiety, które wręczano mu na urodziny. Instytut jest duży, wszyscy chcieli zaskarbić sobie przychylność dyrektora, poza tym koledzy z innych instytutów darzyli go szacunkiem.

Mąż emeryt nie potrafił zaakceptować nowej sytuacji i zaczął metodycznie pastwić się nad utalentowaną, odnoszącą sukcesy żoną, pomniejszając jej osiągnięcia i wyolbrzymiając do niewyobrażalnych rozmiarów każdą wadę albo przypadkowy błąd. Przy żonie, która była nie tylko mierna, ale też wiecznie wszystkiemu winna, no i beznadziejnie głupia, czuł się ważniejszy.

Jego perfidia zdumiewała Olgę. Gdy żona uczyła się roli,

często jej proponował:

– Pomogę ci. Daj mi scenariusz.

Łatwowierna Ałła wręczała mu tekst i zaczynała deklamować z pamięci. Mąż kiwał głową z aprobatą, wodząc wzrokiem po kartce, i w pewnej chwili poprawiał.

Ałła machinalnie powtarzała „poprawioną wersję” i przechodziła dalej, lecz później przerywała i ze zdziwieniem stwierdzała:

– Tu coś się nie zgadza... To nielogiczne. Powinno być tak, jak powiedziałam za pierwszym razem.

I powtarzała pierwotną wersję.

Mąż krzywił się z niezadowoleniem.

– Źle! Powiedziałaś... A tutaj jest inaczej, przecież cię poprawiłem!

Zaczynał się spór, który zawsze kończył się następującą konkluzją: Ałła ma kłopoty z pamięcią oraz koncentracją i jest nieudolna zawodowo. Mąż nigdy się nie mylił. Tymczasem Olga, zagorzała fanka Ałły Władimirowny, czytała scenariusze filmów z jej udziałem, przechowywała w komputerze teksty przysyłane pocztą elektroniczną, analizowała fragmenty stanowiące przedmiot sporu i za każdym razem z przerażeniem stwierdzała, że Ałła miała rację.

Czemu on tak postępuje? Czemu? Przecież Ałła Władimirowna dobrze zapamiętała swoją kwestię, tymczasem on ją poprawił, później zbił z tropu i zasugerował, że wszystko poplątała... Olga długo zbierała się na odwagę, żeby porozmawiać o tym z Tomaszkiem.

W odpowiedzi usłyszała:

– Co ty mówisz, dziecko! On ma rację, rzeczywiście się zgubiłam i pomyliłam kwestie...

– Ależ on nie ma racji! – Olga usiłowała ją przekonać. – Przejrzałam tekst i widziałam wszystko na własne oczy! Proszę pozwolić, żebym to ja pomagała pani uczyć się roli.

Aktorka westchnęła ze znużeniem.



– Oleńko, moje dziecko, on nie potrafi odnaleźć się w nowej sytuacji, boleśnie przeżywa własną bezużyteczność i stara się być przydatny. Sam zaproponował mi przecież pomoc, a więc chciał dla mnie coś zrobić. Jeżeli i tutaj zacznę uciekać się do twojej pomocy, poczuje się odtrącony.

– Ale przecież on panią oszukuje! Nie popełnia pani żadnych błędów, a on mąci pani w głowie i przeszkadza.

– Nie, on nie oszukuje. – Ałła Władimirowna pokręciła głową.  
– Chce być jedynie przydatny. Zauważenie i poprawienie błędu to realna pomoc. Więc znajduje błąd. Nawet jeśli go wcale nie było. Gram według jego reguł. Bo tylko tak mogę mu pomóc. Nie rzucę przecież pracy i nie zajmę się znowu domem, żeby łatwiej mu było poradzić sobie z urażoną ambicją. Nie przeżyjemy z jego emerytury. A poza tym w wielu rzeczach ma rację, nie jestem już młoda, pamięć mi szwankuje i coraz trudniej mi uczyć się roli. To prawda, że często zapominam swoich kwestii i się mylę.

Olga Witort była mądra i taktowna, nie trzeba jej było dwa razy powtarzać. Od razu wyczuła niechęć Ałły Władimirowny do krytykowania ukochanego męża, toteż nie poruszała więcej tego tematu. W grę wchodzi życie osobiste Ałły, nie zamierza się w nie wtrącać.

Po pokazie każdego nowego filmu z udziałem żony mąż poddawał jej pracę pogardliwej analizie, która kończyła się wygłoszeniem tej samej opinii:

– Co za idiota wpadł na pomysł, żeby cię zaangażować do filmu! Grałaś sobie spokojnie w swoim zaściankowym teatrze, nikt cię nie widział i nie słyszał, no i nie robią tam żadnych zbliżeń. A w filmie twój brak talentu od razu rzuca się w oczy. Kiedy ci się to wreszcie znudzi i przestaniesz wystawiać się na pośmiewisko? Tego zwyczajnie nie da się oglądać!

Mężczyzna nie krępował się Olgi, dawno się do niej przyzwyczaił, traktował niemal jak członka rodziny i nie wahał się wypowiedzieć swojego zdania w jej obecności. Za każdym

razem Olga się wzdrygała, widząc, jak Ałła Władimirowna kuli ramiona, a na jej ustach pojawia się uśmiech pełen skruchy. Nie rozumiała, dlaczego aktorka nie reaguje ostro i agresywnie, dlaczego ulega presji męża i daje się poniżać. Pewnego dnia zdobyła się na odwagę, żeby o to zapytać, i w odpowiedzi usłyszała: „Ja go kocham”. Później już o to nie pytała. Miłość to skomplikowana rzecz... Co tutaj można powiedzieć?

Tymczasem Ałła Władimirowna dodała z rezygnacją:

– Nie ma powodu ukrywać, że on ma słuszość. Nie jestem wielką aktorką. Zwyczajna rzemieślniczka ze mnie i tyle. Jestem dobrą, a nawet bardzo dobrą odtwórczynią. Nie zostałam obdarzona wybitnym talentem.

Olga absolutnie się z tym nie zgadzała, ale wszystkie jej argumenty, pochwały i słowa pełne zachwyty wywoływały tylko uśmiech na twarzy Ałły.

– Masz dobre serce i darzysz mnie szczerą miłością, więc nie jesteś obiektywna. On ma słuszość.

Rok temu mąż nagle zmarł, serce nie wytrzymało. Olga Witort stała się dla Ałły Tomasziewicz najbliższą osobą, bez której nie potrafiła się obejść.

A zatem mąż Ałły Władimirowny podnosił własną samoocenę, poniżając i niszcząc tego, kto był obok, to znaczy żonę. Gdy Ałła została sama, usiłowała odbudować poczucie własnej wartości, pozyskując miłość absolutną. W ten sposób powstał neurotyczny łańcuch mąż – Ałła – Olga...

Witort poczuła nagle niepokój, a nawet wstyd. Pojawiła się wstrętne myśl, że została wykorzystana. Już dawno zauważyła, że prośby i żądania Ałły Władimirowny nosiły czasem dziwny albo kłopotliwy charakter. Była jednak pewna, że geniusz ma prawo do kapryśków, a tacy jak ona zjadacze chleba nigdy się nie dowiedzą, co myślą, czują i przeżywają wielcy ludzie.

Ałła mogła na przykład zadzwonić do niej o trzeciej nad ranem.

– Przyjedź, proszę, Oleńko, bardzo źle się czuję...

Olga zrywała się z łóżka, szybko ubierała, biegła do samochodu, gnała przez całe miasto, przyjeżdżała – i zastawała idylliczny obraz: Ałła Władimirowna siedzi w peniuarze przy stole i układa pasjansa.

– Jakoś nie mogę zasnąć po zdjęciach – mówiła jak gdyby nigdy nic. – Pobądź ze mną, zrób mi herbatki.

Pół godziny później zaczynała ziewać i odsyłała Olgę z powrotem.

Takie rzeczy poruszały oczywiście Olgę, ale tłumaczyła sobie, że okazała realną pomoc, nie zostawiła bliźniego w potrzebie, nie pozwoliła, by poczuł się samotny i porzucony. A to, że Ałła Władimirowna postąpiła egoistycznie, wyciągając pracującą kobietę w środku nocy, nie powinno wcale dziwić, bo będąc geniuszem, ma do tego prawo.

===

Z samego rana Dziuba udał się do domu, w którym mieszkał Walerij Pietrowicz Łamzin. Nie liczył na szybki, a tym bardziej pozytywny wynik, bo obchód mieszkań to czynność żmudna i czasochłonna, zabiera parę dni. Jeśli oczywiście postępować metodycznie i nie lekceważyć nikogo spośród tych, którzy przebywają w budynku w porze interesującej wywiadowcę. Niektórzy lokatorzy otwierają drzwi, inni zaś nie. Ci, co otwierają, nierzadko oznajmniają:

– Tamtego dnia wszyscy byliśmy w domu, ale teraz nie ma nikogo prócz mnie.

Tak więc drzwi niby otworzono, ale potencjalnego świadka nie udało się przesłuchać. Zdarza się też, że ktoś mówi:

– Tamtego wieczoru mieliśmy gości...

I znowu, jeśli podejść do tego metodycznie, należy ustalić tożsamość wszystkich przybyłych, znaleźć ich i przesłuchać. Bo przecież bywa różnie... To, co interesuje wywiadowców, mógł widzieć gość, a nie lokator.

Krótko mówiąc, Roman nie liczył na nic szczególnego, po prostu sumiennie obszedł wszystkie mieszkania na niższych piętrach, posępnie skonstatował, że będzie musiał wrócić jeszcze niejeden raz, po czym udał się do Giery Marczenki, którego adres ustalił już przed południem.

– Giera jest w szpitalu – rzeczowo oznajmiła na oko osiemnastoletnia dziewczyna – Znowu dokucza mu noga.

– Od kiedy? – z ciekawością zapytał Roman.

Bardzo chciał usłyszeć, że Marczenko trafił do szpitala całkiem niedawno, zaledwie parę dni temu...

– Już drugi miesiąc – odparła.

Dziuba wciąż jeszcze nie tracił nadziei. Po pierwsze, wdowa po Anikiejewie oznajmiła, że Giera nie chodzi na randki, z czego płynął wniosek, iż chłopak nie ma dziewczyny, tymczasem w mieszkaniu rezyduje jakaś panienka... To znaczy, że Anikiejewa nic nie wie na temat Giery. Jeżeli miał niedobre zamiary, kobieta może ich w ogóle nie znać. A po drugie, ludzie, którzy tak długo leżą w szpitalu, bardzo często mogą się swobodnie poruszać. Poważny stan dawno minął, trwa rehabilitacja, chory nie jest przykuty do łóżka i zazwyczaj mimo licznych dolegliwości może opuścić salę. W dodatku na długo. Zwłaszcza wieczorem albo w nocy.

– A ty kim jesteś dla niego? – zainteresował się Dziuba. – Narzeczoną?

– Też coś! – prychnęła. – Jaką narzeczoną? Giera nie ma narzeczonej. Jestem jego siostrą.

To akurat nie pasuje... Ale nie szkodzi, pocieszył się w duchu Roman, nie pasuje tylko w jednej sytuacji, tymczasem jest jeszcze druga. Zapytał dziewczynę, w którym szpitalu leży jej brat, po czym pojechał do kliniki traumatologii.

Ale i tutaj czekało nań niepowodzenie. Giera Marczenko, dawny wychowanek Nikołaja Nikiticza Anikiejewa, leżał na wyciągu. Nawet nie mogło być mowy, żeby wstał i dotarł choćby do toalety, a co dopiero pojechał do innej części miasta i wrócił.

Nie, chłopak nie mógł być zabójcą Michaiła Bołtienkowa. Warto jednak z nim porozmawiać.

– Jak sądzisz, czy ktoś z dawnych wychowanków Anikiejewa mógł się zemścić za śmierć trenera?

Giera zamyślił się, a później uśmiechnął zmieszany.

– Raczej nie.

– Dlaczego? Skąd ta pewność?

– Sam pomyśl: ci, którzy trenowali u Nikiticza, gdy to się stało, są jeszcze dziećmi, więc można ich od razu wyeliminować. No a ci, którzy dawno odeszli ze sportu, w ogóle zapomnieli o Nikiticzu i jest im wszystko jedno.

– Ale ty przecież nie zapomniałeś – zauważył Dziuba.

– No cóż... Ja nie jestem dobrym przykładem. – Giera zmieszał się jeszcze bardziej. – Ci, co od niego odeszli, ale nie rzucili sportu i trenowali u kogoś innego, też nie nadają się do roli mścicieli.

– Dlaczego? – uparcie dopytywał się Dziuba.

– Dlatego że łyżwiarzom to nie w głowie, póki aktywnie trenują. Skupiamy się wyłącznie na łyżwiarstwie, nie potrafimy myśleć o niczym innym. Stale trwa odsiew, łyżwiarstwo figurowe to ciężkie i bardzo traumatyczne zajęcie. Ten, kto nie potrafi znieść stresu albo nie ma zdolności, szybko rezygnuje. Jeżeli w wieku osiemnastu czy dwudziestu lat łyżwiarz nadal trenuje, to znaczy, że uprawia sport nie dla przyjemności, nastawiony jest na wyniki, treningi zajmują mu tyle czasu, że rzadko ma wolną chwilę. Prócz jazdy na lodzie niewiele umie. Wie pan, jak łyżwiarze o sobie mówią? „Uczymy się pisać nogami, a czytać w ogóle się nie uczymy”.

– Wciąż mówisz „my”, „nas” – zauważył Roman. – A przecież od dawna już nie uprawiasz łyżwiarstwa.

– No i co z tego? – spokojnie odparł Marczenko. – Kręcę się w pobliżu, ze wszystkimi utrzymuję kontakt. To znaczy z tymi, z którymi kiedyś trenowałem. Dzięki temu wciąż jestem na bieżąco.

Zanim Dziuba ostatecznie przyznał się do klęski, zajrzał do lekarza prowadzącego. Ten potwierdził, że chłopak w żadnym razie nie mógł nigdzie wyjść ani wczoraj, ani tydzień czy nawet dwa tygodnie temu.

Roman westchnął, wstąpił do najbliższego baru, szybko zaspokoił głód i ruszył z powrotem do domu, w którym mieszkał aresztowany Walerij Pietrowicz Łamzin, podejrzewany o zabójstwo.

===

Składając u Bağajewa wniosek o przesłuchanie dwóch nowych świadków – wdowy po Nikołaju Nikiticzu Anikiejewie i jego ucznia, Giery Marczenki – adwokat Witalij Kirgan nie liczył właściwie na sukces. I okazało się, że miał rację.

– Co ci świadkowie mogą zeznać? – z niezadowoleniem zapytał Timur Achmedowicz. – Potwierdzą alibi Łamzina? A może widzieli na własne oczy, kto strzelał do ofiary?

– Ani jedno, ani drugie. Mogą za to opowiedzieć nieciekawą historię, w której nasz denat, Michaił Bołtienkow, odegrał, o dziwo, główną rolę. Są ludzie pragnący się na nim zemścić.

– Szanowny... – śledczy poszukał wzrokiem wizytówki Kirgana, którą wsunął do kalendarza na biurku – ...Witaliju Nikołajewiczu, po świecie chodzą setki, jeśli nie tysiące ludzi, którzy mają powody, żeby nie lubić zarówno mnie, jak i pana. Niektórzy chcieliby pewnie wyrównać z nami rachunki. Nie mam jednak żadnych podstaw, żeby ich przesłuchiwać.

– Nie mogę się z panem zgodzić – szybko zaproponował Kirgan. – Mamy ofiarę. I hipotezę, że została zabita z powodu wrogich relacji osobistych. Bierze pan pod uwagę tylko jeden konflikt z udziałem Bołtienkowa, ja zaś próbuję dowieść, że takich konfliktów jest znacznie więcej, niewykluczone, że znacznie poważniejszych, więc proponuję rozpatrzyć też inne hipotezy w śledztwie. Wskutek fałszywych oskarżeń o pedofilię,

wysuniętych przez Bołtienkova, trener Anikiejew zapadł na śmiertelną chorobę. Wnoszę zatem o przesłuchanie wdowy po Anikiejewie, a także jego ucznia, który jest oddany rodzinie trenera i regularnie odwiedza wdowę.

Kirgan wiedział, że Bałajew odmówi. Ale chciał się przekonać, w jakiej formie i jakim tonem to zrobi.

– Dobrze. – Timur Achmedowicz kiwnął głową. – Niech pan składa wniosek, rozpatrzę go w ciągu trzech dni, jak stanowi prawo, i podejmę decyzję. Ale chcę panu oszczędzić czasu i wysiłku, szanowny Witaliju Nikołajewiczu, więc od razu powiem: decyzja będzie negatywna. Pański wniosek zostanie odrzucony.

Wręczając śledczemu dwa egzemplarze wniosku, Kirgan smutno się uśmiechnął i pokręcił głową.

– Jak powiedziałby niezapomniany Julian Iłarionowicz Mering, „co za cios”. Szkoda, wielka szkoda, że nie osiągnęliśmy porozumienia w tej kwestii.

Oczy Bałajewa nagle błysnęły, znudzona twarz się ożywiła.

– Pan też uczęszczał na jego wykłady? Niezwykły człowiek! Podobno wciąż jeszcze można go spotkać w audytorium.

Julian Iłarionowicz Mering, najstarszy profesor na wydziale prawa, prowadzący cykl wykładów z historii państwa i prawa, miał wspaniałe poczucie humoru i na zajęciach sypał cytatami z Ostrowskiego, którego sztuki znał chyba na pamięć. Był oczarowany melodią języka potocznego dziewiętnastego wieku i wiele wyrażen, których nieraz używał, wryło się w pamięć studentów.

– A jakże – potwierdził adwokat. – Od tamtej pory moje ulubione powiedzenie brzmi: „Nasza sytuacja grozi upadkiem”. Idealnie pasuje, prawda?

– Owszem. – Twarz Bałajewa znowu przybrała znudzony i poważny wyraz.

Jeden egzemplarz wniosku włożył do akt, a na drugim złożył podpis i zwrócił go adwokatowi.

– Niech pan nie próbuje przeciągnąć mnie na swoją stronę wspominkami o naszych wspólnych wykładowcach. Jeśli już mówimy o powiedzeniach najczęściej używanych przez szanownego profesora Meringa, przytoczę to, które każdy student słyszał przynajmniej raz, przeważnie w trakcie zaliczeń i egzaminów. „Nie dam się przekonać, choćby mnie posiekano w kawałki”. Mam nadzieję, że pan pamięta?

– Pamiętam. – Kirgan się roześmiał. – Przy okazji chciałem zapytać: czemu mnie pan w ogóle nie wzywa? Czyżby nie prowadzono żadnych czynności śledczych z udziałem mojego klienta?

Pytanie było retoryczne. Witalij Nikołajewicz regularnie odwiedzał Łamzina w areszcie i doskonale znał odpowiedź. Ale musiał znowu wybadać grunt.

– Jak zajdzie potrzeba, to wezwę – oschle odparł Timur Achmedowicz. – Na razie nie ma takiej konieczności. Trwają czynności operacyjne.

– A zapoznanie z wnioskami biegłych dotyczącymi łuski i ubrania? Czyżby ich pan jeszcze nie dostał?

– Ekspertyza już jest – przyznał śledczy – ale bez części badawczej. Chyba pan wie, że przygotowanie całego tekstu, z którym muszę zapoznać pańskiego klienta, wymaga sporo czasu. Kiedy wszystko będzie gotowe, wtedy proszę bardzo.

– Jasne – pogodnie odrzekł adwokat. – A więc nie?

– Nie – twardo odparł Bağłajew. – Czy to wszystko?

– Na dzisiaj tak. W tej sytuacji pozwoli pan, że się pożegnám.

Kirgan nie stracił dobrego humoru. Odrzucenie wniosku obrony jest tak powszechne, że czasem aż dziw bierze, gdy dzieje się inaczej. Romek Dziuba to rozgarnięty chłopak, ma wycucie, więc jeśli powiedział, że nie znalazł żadnych kandydatów do roli mściciela w związku z konfliktem pomiędzy Bołtienkowem a Anikiejewem, nie warto się trudzić, bo hipoteza jest najpewniej fałszywa. Jednakże z krótkiej rozmowy ze śledczym Witalij wyniósł sporo korzyści. Po pierwsze, Bağłajew



otacza nabożną czcią kodeks postępowania karnego. Po drugie, nie zależy mu na tym, żeby pokazać, kto tutaj jest szefem, a kto żebrakiem wyciągającym rękę. Po trzecie, Timur Achmedowicz raczej nie należy do tych, którzy próbują stworzyć złudzenie gorączkowej pracy nad sprawą karną i w sytuacji braku jakiegokolwiek działania „nabijają punkty” licznymi dokumentami, które ani ziębia, ani grzeją, za to akta wyglądają solidnie i od razu wiadomo, że śledczy nie siedzi z założonymi rękami, tylko haruje jak wół razem z wywiadowcami. Jeżeli zwierzchnicy zapytają, ma, jak to mówią, „czym się wykazać”. Po czwarte, śledczy nie jest zwolennikiem spoufalania się i skracania dystansu z byle powodu. Po piąte, ma dobrą pamięć. I po szóste, jest wrażliwy na piękno języka. Blask w oczach i ożywienie podczas cytowania Ostrowskiego mówiły same za siebie. No cóż, informacji jest dość, by w przyszłości budować skuteczniejsze relacje.

===

Wysoki, barczysty młody mężczyzna wziął rozbieg i bez trudu przesadził płot otaczający podwójną parcelę w Razdorach. W nocy nie prowadzi się robót, brygadzista surowo przestrzega zasady: po dwudziestej trzeciej nie wolno hałasować. Wprawdzie po drugiej stronie parceli znajduje się barak, w którym nocuje stróż, ale facet się nie wysila – kraść na razie nie ma czego, niszczyć też, drogich materiałów wykończeniowych jeszcze nie przywieziono.

Mężczyzna zatrzymał się w miejscu, gdzie kiedyś stał dom Makłyginów. To tutaj pożegnał się z dziewczyną, którą znał od chwili jej urodzenia. On, Jurek Szokin, i jego serdeczny druh Igor mieszkali na tej samej ulicy prowincjonalnego miasteczka, chodzili do tego samego przedszkola, później uczyli się w jednej klasie i przez całe dziesięć lat siedzieli w jednej ławce. Gdy Igorowi urodziła się siostra, została siostrą ich obu. Rodzice

Igora są bardzo pracowici, oboje harowali na dwóch, a nierzadko i trzech etatach, żeby zaspokoić wszystkie potrzeby rodziny i żeby dzieciom niczego nie brakowało. Często powierzali córkę opiece starszego brata, a w gruncie rzeczy także opiece Jurka, bo chłopcy spotykali się wcześniej rano i rozstawali dopiero wtedy, gdy rodzice zapędzali ich do łóżek. Wszystko robili razem: odprowadzali dziewczynkę do żłobka, odrabiali lekcje, grali w piłkę, przygotowywali mleko w proszku, majsterkowali w garażu, wrzucali pieluszki do pralki... Z pampersami było wtedy krucho, często ich brakowało, więc musieli uciekać się do starego, wypróbowanego sposobu, tym bardziej że w rodzinach zachowały się dawne pieluszki Igora, a także Jurka, wielokrotnie prane i prasowane i dzięki temu miękkie.

Dziewczynka była słabowita, drobna i chuda, często chorowała, więc chłopcy dbali o nią i nikomu nie pozwalali jej skrzywdzić. A ona, jak gdyby próbując zrekompensować niemożność biegania z koleżankami, całymi dniami ślęczała nad książkami i uczyła się najlepiej w klasie. Jeszcze w przedszkolu wychowawczynie często sadzała dzieci w kółku, dawała siostrzyczce Igora książkę i polecała czytać dzieciom na głos, a sama biegła do kuchni napić się herbaty i poplotkować z kucharkami albo z nianiami, niekiedy zdążyła też wpaść do sklepu albo nawet do przychodni lekarskiej, która mieściła się w tym samym budynku. Pięcioletnia dziewczynka czytała płynnie i z uczuciem, więc maluchy słuchały jej z otwartymi buziami, przeżywając niedole Ellie, Totoszki oraz ich przyjaciół szukających Szmaragdowego Miasta[13] albo Oli i Alo, które trafiły do Królestwa krzywych zwierciadeł[14]. Książki były stare, ale na nowe, napisane w ciągu ostatniego dziesięciolecia, przedszkole nie miało pieniędzy, więc obywano się tym, co przynosili rodzice oraz dziadkowie.

Siostra Igora skończyła szkołę z wyróżnieniem, rzecz jasna, i z furą dyplomów za zwycięstwo w olimpiadach obwodowych

z różnych przedmiotów humanistycznych. Do tego czasu Jurek Szokin już dawno zrobił prawo jazdy i jeździł tirami, poznał miłą dziewczynę, moskwiankę, ożenił się z nią i prowadził spokojne i szczęśliwe życie w rodzinie rodziców żony, Pawła Anatoljewicza i Walentyny Jakowlewny Makłyginów, którzy przyjęli zięcia bardzo serdecznie. Pewnego dnia zadzwonił Igor – siostra chce zdawać egzaminy do instytutu w Moskwie. Poprosił Jurka, żeby się dowiedział, czy przy uczelni jest akademik i czy dają w nim miejsca maturzystom. A Jurek, wiadomo, od razu zwrócił się po radę do teściów. Walentyna Jakowlewna natychmiast zamachała rękami.

– Co ty mówisz, Jurij, jaki akademik! Nawet jeśli jest przy instytucie, nie ma w nim warunków do nauki. Dziewczyna jest prymuską, mimo to będzie musiała przystąpić do co najmniej jednego egzaminu. Już ja znam te akademiki, w zamian za pieniądze kierownicy umieszczają w nich byle kogo! Nie, nie i jeszcze raz nie! Niech przyjeżdża i zamieszka u nas.

– Ale gdzie? – Jurij rozłożył ręce z zakłopotaniem. – Ciśniemy się we czwórkę w dwóch pokojach, a ona musi gdzieś przecież spać i się uczyć.

– A może w Razdorach? – zaproponował Paweł Anatoljewicz. – Tam jest spokojnie, nikt jej nie będzie przeszkadzał.

– Jak to? – wybąkał wzruszony niemal do łez młody kierowca.  
– Przecież kochacie ten dom i działkę, spędzacie tam każdy weekend...

– Nic się nie stanie, jeśli nie pojedziemy tam przez miesiąc – stanowczo odparła Walentyna Jakowlewna. – Wszystko już posadziliśmy, wystarczy tylko podlewać, no i od czasu do czasu gdzieniegdzie wplewić, ale sądzę, że twoja przyjaciółka sobie poradzi.

– Sam się tym zajmę! – ochoczo zapewnił Jurij. – Wracając za każdym razem z trasy, zajadę do Razdorów i wszystko zrobię. Dziękuję wam, och, bardzo dziękuję!

Siostra Igora przyjechała, gdy Jura miał akurat trzy dni

wolnego, więc odebrał ją z dworca i odwiózł kolejką podmiejską do Razdorów. Przez całą drogę dziewczyna zapewniała, że postara się nie sprawić kłopotu, nie będzie korzystać z prądu, wstanie skoro świt, żeby się uczyć, a jak się ściemni, pójdzie spać, więc nie narazi nikogo na koszty. Postara się też oszczędzać wodę, nie będzie jej puszczać bez potrzeby. Wzięła nawet ze sobą talerze jednorazowe, żeby nie zmywać naczyń i nie zużywać wody. Jurij słuchał jej z rozczuleniem i tłumaczył, żeby nie przesadzała, że może ze wszystkiego korzystać, jego rodzina nie zbiednieje, ale ona się uparła i przez całą drogę w kółko powtarzała to samo. Jurij ją rozumiał, był przyzwyczajony do takiego życia, bo przecież zanim się ożenił, dźwigał wodę z hydrantu i liczył zużyte kilowaty. Zostawił dziewczynę w domu, pokazał, gdzie co się znajduje i jak się włącza, po czym się pożegnał, zamierzając przyjechać nazajutrz i przywieźć jej jedzenie, żeby nie siedziała głodna.

Ale nazajutrz nie miał już komu zawieźć jedzenia...

Teściowie mieli złote serca, więc ani przez chwilę niczego nie podejrzewali. Zresztą instalacja elektryczna była rzeczywiście w kiepskim stanie, stale się iskrzyła, wyskakiwały też korki. Ani Paweł Anatoljewicz, ani Walentina Jakowlewna nawet nie dopuszczali do siebie myśli, że pożar mógł nie być dziełem przypadku. Jurek złożył wizytę śledczemu, próbował nawet dotrzeć do jego zwierzchników, pisał też do prokuratury, prosił, żeby wszystko dokładnie sprawdzono: dziwnym zbiegiem okoliczności Jefimowa chciała kupić parcelę, ale właściciele jej nie sprzedawali, bo byli przywiązani do domu, teraz jednak dom przestał istnieć, więc gotowi są sprzedać... Wszystko ułożyło się nazbyt gładko. Ale nikt nie chciał słuchać Jurija Szokina. Podsunęto mu pod nos wyniki ekspertyzy, w której widniało czarno na białym: żadnego podpalenia.

Nikt nie ponosi winy.

On jednak nie mógł się uspokoić. On, Jurij Szokin, czuł się winien. Sam przecież zaproponował Igorowi, żeby siostra

zatrzymała się w ich domku, sam ją tam zawiózł. Gdyby nie zaproponował, tylko odwiózł do akademika – niechby się działo, co chce: popijawy, hałas i zgiełk do rana, kompletne rozprężenie, ale dziewczyna nadal by żyła. A on ją zawiózł do Razdorów. Wygląda więc na to, że jej nie upilnował.

Ta zdzira Jefimowa dostała za swoje. Nikt nie wie, komu ile zapłaciła albo co obiecała, ale rezultat widać jak na dłoni: uznano, że przyczyną pożaru była niesprawna instalacja. Zły uczynek nie ukryje się przed Bogiem. Teraz Inna Wiktorowna leży na cmentarzu. A Jurijowi Szokinowi ulżyło.

Jednakże jakiś detektyw z Pietrowki odwiedził Makłyginów i wypytywał o Jefimową. Dlatego Szokin się zaniepokoił. Makłyginowie nikogo nie interesowali, przez tyle czasu nikt nie zadawał im żadnych pytań, a tutaj nagle... Czyżby policja uznała, że śmierć Jefimowej łączy się z pożarem? Niedobrze, że gliniarze zaczęli to rozgrzebywać. No bo kto jest pierwszym podejrzanym? Wiadomo. Kto mógł się zemścić za dziewczynę? Też wiadomo. Są tylko dwie osoby, którym z łatwością można przypisać zabójstwo, Jurka to świetnie wie. Po co szukać jakiegoś ważniaka na górze, który mógł zlecić zabójstwo Inny Wiktorowny z powodu brudnych interesów i który użyje swoich układów, żeby się wymigać, gdy można zrobić kierowcę, za którym nikt się nie wstawi i nie zapłaci ani kopiejki?

Jura nie może tutaj więcej przyjeżdżać. Odkąd zginęła siostra Igora, często bywał w Razdorach. Przyjeżdżał w nocy, zatrzymywał się w tamtym miejscu, gdzie było pogorzeliśko, oddawał się rozmyśleniom i wspomnieniom. Wyobrażał sobie, jak nieszczęsna dziewczyna udusiła się w kłębach dymu. Dobrze, że nie spaliła się żywcem i nie czuła bólu. Później, po pewnym czasie, Makłyginowie sprzedali działkę i nowa właścicielka od razu postawiła płot, teraz nie tak łatwo dotrzeć do miejsca, gdzie stał dom. Ale żaden płot nie powstrzyma Jurka przy jego wzroście i muskulaturze, trzy kroki na rozbieg, dwie sekundy na skok. Nadal przyjeżdżał w nocy i tkwił tam,

dreńczony poczuciem winy za śmierć dziewczyny.

Nie powinien tutaj przyjeżdżać. Jeżeli gliniarze naprawdę uznali, że Jefimowa została zabita z powodu pożaru, wystarczy, że ktoś zobaczy zięcia Makłyginów, a nie uda mu się wykręcić. I niczego nie udowodni.

[1] MCZS (Ministerstwo po czieżwyczajnym sytuacjam) – Ministerstwo do spraw Sytuacji Wyjątkowych. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] MKAD (*Moskowskaja kolcewaja awtorodoga*) – Moskiewska Obwodnica Samochodowa.

[3] Najwyższe wyróżnienie w dziedzinie sztuki.

[4] UEBiPK (Uprawlenie ekonomiczeskiej biezopasnosti i protivodiejstwija korrupcii) – Wydział Bezpieczeństwa Ekonomicznego i Przeciwdziałania Korupcji.

[5] DIUSSZ (*Dietsko-junoszeskaja sportiwnaja szkoła*) – Dziecięco-Młodzieżowa Szkoła Sportowa.

[6] UPK (*Ugołowno-processualnyj kodeks*) – Kodeks Postępowania Karnego.

[7] SIZO (*sledstwiennyj izolator*) – areszt (śledczy).

[8] BAD (*biologiczeski aktiwnyje dobawki k piszczje*) – aktywne biologicznie dodatki do żywności.

[9] Najwyższe wyróżnienie w dziedzinie sztuki.

[10] UEB (Uprawlenie ekonomiczeskiej biezopasnosti) – Wydział Bezpieczeństwa Ekonomicznego.

[11] Moskompport (Moskowskij Komitet Sporta) – Departament Sportu i Turystyki w Moskwie.

[12] MWD (Ministerstwo wnutriennich dieł) – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

[13] Powieść *Czarodziej Szmaragdowego Miasta* A. Wołkowa jest adaptacją *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* L. F. Bauma.

[14] Radziecka baśń filmowa z 1963 roku na motywach powieści W. Gubariewa.

## Część 2

Anton z trudem koncentrował uwagę na drodze. Czuł się zmęczony. I to śmiertelnie. Nie wiadomo, co go bardziej wyczerpywało – obowiązki służbowe czy sytuacja osobista, z której nie wiedział, jak wybrnąć. Już zadzwonił do Eli i obiecał, że za godzinę będzie wolna. Właściwie mógł zostać trochę dłużej w pracy, nie ma jeszcze dziesiątej, ale zupełnie opadł z sił. Dzień był wypełniony tysiącem spraw, no i zaczął się zupełnie nieciekawie...

Rano naczelnik wydziału wezwał Staszysa i Zarubina, żeby niemal słowo w słowo powtórzyć to, co poprzedniego dnia oznajmił szef grupy operacyjno-śledczej, tylko w ostrzejszej formie. Ogólny sens jego wypowiedzi sprowadzał się do tego, że mają przestać się obijać i zajmować beznadziejną hipotezę, niech lepiej wezmą się do roboty, zabójstwo trenera pozostaje wciąż niewyjaśnione, a przecież sprawa spoczywa nie na FSB, jak w przypadku Jefimowej, tylko na MWD, to znaczy na nich.

– I dlaczego Dziuba pracuje sam? Nie po to wyznaczyłem cię na szefa, żebyś strugał wariata! – wypominał Antonowi. – A ty, Siergieju Kuźmiczu, gdzie się ślepisz?

Podczas tej tyrady Siergiej Kuźmicz wpatrywał się w sufit. Ale gdy wrócili do pokoju, który zajmowali we trzech – Zarubin, Staszys i Dziuba – wyraził swoje zdanie. Zarzucił Antonowi, że zwałił sprawę zabójstwa na barki młodego i niedoświadczonego



Romka. No a wywiadowca, Fiodor Uljancew, nie wrywa sobie rękawów, bo w terenie – jak to w terenie – ciągle coś się dzieje i na nic nie ma czasu.

Anton przyznawał w duchu rację Zarubinowi. Rzeczywiście włączył się do sprawy Bołtienkowa dopiero w przeddzień, dokładnie wypytał Dziubę, co ten już ustalił, i odwiedził z nim dziennikarkę sportową Tamię Alasanię. Po spotkaniu wytyczyli kierunki śledztwa, Romek zajął się oskarżonym o pedofilię zmarłym Anikiejewem, Anton zaś poszukiwaniem informacji o młodym łyżwiarzu z pary tanecznej, o którym wspomniała Tamię.

Każda rozmowa z potencjalnym świadkiem przynosiła wyniki w postaci nowych nazwisk: sportowców, trenerów, działaczy Moskomsportu i Federacji Łyżwiarstwa Figurowego FR, urzędników Ministerstwa Sportu, dziennikarzy oraz pracowników administracji w kompleksach sportowych... Baza świadków rozrastała się nie tylko każdego dnia, ale dosłownie w każdej chwili. A przecież oprócz motywu zabójstwa pozostawała jeszcze niewyjaśniona kwestia broni, z której zastrzelono Bołtienkowa i której wciąż nie znaleziono. Jeżeli zabójcą jest Łamzin, to skąd ją wziął i, co najważniejsze, gdzie ukrył? Uljancewowi nie udało się jeszcze, zdaniem Dziuby, znaleźć świadka, który potwierdziłby, że Łamzin rzeczywiście zamierzał kupić pistolet i szukał możliwości, jak to zrobić. Nie rozpoznano go też na zdjęciu w żadnym warsztacie rusznikarskim i nie potwierdzono, że choćby raz się tam zjawił. Nie przerobił przecież sam lufy pistoletu, przystosowując ją do strzelania ostrymi nabojami! Biedny Romek dwoił się i troił, dobrze, że część pracy ze świadkami wzięła na siebie Kamińska, zatrudniona przez adwokata jako prywatny detektyw.

Przez cały dzień Antonowi udało się przesłuchać parę osób i wieczorem wyszła na jaw kolejna historia o Bołtienkowie, którą można by uznać za niezwykle ciekawą, gdyby nie to, że

skończyła się tragicznie. Wiele lat temu w grupie Michaiła Walentinowicza Bołtienkowa trenował chłopiec, Jewgienij Zielenow. Sumienny, znakomity technicznie, nie miał sobie równych w elementach obowiązkowych. Był jednym z niewielu, a może nawet jedynym, który potrafił powtórzyć figury Panina-Kołomienkina. A to wiele mówiło. Ale niestety jego słabą stroną były skoki. Poruszał się na lodzie płynnie, dynamicznie i z gracją, do trzynastego czy czternastego roku życia wypracował znakomitą technikę jazdy, ale gdy skończył szesnaście lat, nagle w krótkim czasie wystrzelił w górę, mięśnie się wydłużyły i potrójne skoki zaczęły sprawiać mu kłopot. Na nic się zdały wysiłki. Nie potrafił już skakać. Gdy miał siedemnaście lat, stało się oczywiste, że nigdy nie zrobi kariery jako solista, wtedy trener Bołtienkow poradził mu, żeby przeniósł się do innej grupy i zajął tańcem.

Zielenow bardzo lubił łyżwiarstwo figurowe, więc posłuchał rady trenera. Zaczął jeździć w parze z bardzo dobrą partnerką, oboje robili szybkie postępy i, jak to mówią, zabłysnęli, od samego początku plasując się dość wysoko jak na nową i niezgraną parę taneczną, nie tylko na krajowych, ale też międzynarodowych zawodach juniorów. Zmienili trenera i wyglądało na to, że wszystko układa się dobrze. A później coś poszło nie tak i się popsuło...

Historia była smutna, ale fakt, że nie udało mu się zrobić kariery w tańcach na lodzie z pomocą nowego trenera, nie był najistotniejszy. Najważniejsze było to, że próba samobójcza Żeni Zielenowa skończyła się niestety śmiercią chłopaka, mimo że lekarze zrobili, co w ich mocy, żeby go uratować. Serce jednak nie wytrzymało. A winę za to ponosił nie kto inny jak Michaił Walentinowicz Bołtienkow.

Żeby to ustalić, Staszys musiał odszukać i skłonić do mówienia jeszcze trzy osoby. Ale w końcu udało mu się stworzyć w miarę spójny obraz.

Któregoś roku, będąc już pod opieką Bołtienkowa, Żenia

przechodził ciężką anginę i mimo że nie był jeszcze zdrowy, trener zmusił go do wyjazdu na zawody. Jak się okazało, takie podejście jest dość powszechne: sportowcy w nie najlepszej formie „wspierają” innego zawodnika. Albo inny łyżwiarz musiał zdobyć tytuł mistrza i w tym celu należało pokonać aktualnych mistrzów, albo chodziło o zdobycie punktów. Od początku było wiadomo, że piętnastoletni Jewgienij Zielenow, będący w kiepskiej formie po przebytej anginie i nietrenujący od prawie miesiąca, wypadnie słabo, za to łyżwiarz, którego chciano „wesprzeć”, zajmie wyższą lokatę, a co za tym idzie, awansuje w rankingu. Żenia nie chciał jechać na zawody, mówił, że nie czuje się na siłach, że wypadnie nieciekawie, bo nie jest gotów, ale Michaił Walentinowicz się uparł, kazał mu nie stroić fochów i zagroził, że jeśli będzie się stawiał, nie pojedzie na międzynarodowe zawody. A może nastraszył jeszcze inaczej. Chłopak ustąpił, wypadł rzeczywiście kiepsko, pozwalając słabszemu łyżwiarzowi się wyprzedzić, to znaczy wykonał swoje zadanie. Po zawodach doszło do powikłań po chorobie. Później Żenia oczywiście wyzdrowiał, znowu zaczął trenować, ale miał problemy z sercem, które odtąd wyraźnie szwankowało. Mógłby przeżyć próbę samobójczą, gdyby nie słabe serce.

Pojawili się więc nowi kandydaci do roli zabójcy Bołtjenkowa. Żenia Zielenow na pewno miał rodziców, przyjaciół, a może rodzeństwo. Co prawda nie wiadomo, dlaczego ktoś czekał taki szmat czasu, przecież historia wydarzyła się, gdy chłopak miał piętnaście lat, skończyła cztery lata później, w dodatku było to ponad dekadę temu. Chociaż... jeśli chodzi na przykład o młodszego brata, to całkiem możliwe... Chłopiec dorósł. Albo dziewczyna, siostra.

Trzeba odszukać przede wszystkim rodziców Żeni Zielenowa i z nimi porozmawiać. Zobaczyć, co to za rodzina, dowiedzieć się, czy Żenia miał przyjaciół, którzy byliby zdolni do zemsty. Ich też nie można wykluczyć: gdy wszystko się wydarzyło, uprawiali jeszcze łyżwiarstwo i zajmowali się własną karierą,

a jeśli odeszli ze sportu, to studiowali, zdobywali wykształcenie i zawód. I oto minęły lata, dawni chłopcy wydorośleli, stali się silnymi młodymi mężczyznami, dlaczego nie mieliby wziąć odwetu za śmierć przyjaciela?

Tak, wszystko pięknie, tylko Anton Staszys goni resztkami sił. Musi jechać do domu, żeby zwolnić nianię. A potem do rodziców Zielenowa. Chociaż zdążył już zasięgnąć języka przez telefon i wiedział, że ojciec Żeni umarł parę miesięcy temu, a matka będzie do późna w pracy. Nawet jeśli zaraz pojedzie do niej, a nie do domu, do dzieci, nikt mu nie otworzy.

Jest jednak ktoś, kogo może poprosić o pomoc. Nic się nie stanie, jeśli popełni drobne oszustwo. To nie kłamstwo, tylko druga strona prawdy.

Wyjął telefon i szybko znalazł numer Kamieńskiej.

– Pomoże mi pani, Anastazjo Pawłowno? Jestem kompletnie wykończony, a mam namiary na świadka, który może się przydać, żeby uniewinnić Łamzina. Ale trzeba pojechać do niego późnym wieczorem. A ja mam dzieci, sama pani wie.

Tak jak się spodziewał, Kamieńska od razu zgodziła się odwiedzić matkę Żeni Zielenowa, aktorkę Ałłę Władimirownę Tomasziewicz.

– Już myślałam, że mnie pan unika – powiedziała ze śmiechem. – Dzwoniłam przecież po spotkaniu z Romanem i dałam jasno do zrozumienia, że jestem otwarta na każdą formę współpracy i nie zamierzam przeszkadzać. A pan wciąż nie dzwoni. Uznałam, że mnie pan ignoruje. Tak było?

– Ależ skąd! – Anton gwałtownie się obruszył. Gwoli sprawiedliwości należy zauważyć, że tylko udawał oburzenie.

To, co powiedział później, było jednak zupełnie szczerze.

– Jestem szczęśliwy, że znowu z panią pracuję! Prawdę mówiąc, dopiero dzisiaj włączyłem się na dobre do sprawy Łamzina i Bołtienkowa, przedtem zajmowałem się innym zabójstwem.

– Wybaczam. – Kamieńska się roześmiała. – Więc mówi pan,

że Tomasziewicz jest teraz na zdjęciach? Nie wie pan gdzie? W studiu czy w plenerze?

– Nie wiem – przyznał Anton. – Jak można się tego dowiedzieć? Powiedziano mi tylko, że do końca miesiąca pracuje codziennie, z wyjątkiem niedzieli, od siedemnastej do późnego wieczora. Kręci jakiś tasiemcowy serial.

– Dowiem się – obiecała Kamińska. – Jeszcze dzisiaj spróbuję ją namierzyć. W najgorszym razie jutro z samego rana.

Anton odetchnął z ulgą. Na dzisiaj koniec. Jutro rano pojedzie do Federacji Łyżwiarstwa Figurowego i porozmawia z urzędnikiem, który sprawował troskliwą opiekę nad Bołtienkowem i na wszelkie sposoby pomagał rozprawić się z tymi, którzy byli mu nieżyczliwi.

===

Staszys pojechał do Igora Eduardowicza Sznitowa, członka Komitetu Wykonawczego Federacji Łyżwiarstwa Figurowego, nie umawiając się wcześniej na spotkanie. Kamińska podała Dziubie nazwisko Sznitowa, więc Romek był już u niego, ale oczywiście nic nie wskórał – jest jeszcze za młody na rozmowę z urzędnikiem takiego szczebla. Albo z takim charakterem. Należy podjąć kolejną próbę, zwłaszcza że oprócz informacji o Łamzinie można od Sznitowa wyciągnąć szczegóły historii o tym, jak Bołtienkow wygryzał Anikiejewa.

Anton nie zdał się oczywiście na łut szczęścia i dowiedział się swoimi kanałami, o której godzinie można zastać Igora Eduardowicza, mimo to musiał stracić trochę czasu, żeby go złapać. Sznitow, tęgi, a nawet nieco nalany mężczyzna, na oko czterdziestopięcioletni, nie okazał, rzecz jasna, żadnej radości z powodu wizyty detektywa. O Waleriju Pietrowiczu Łamzinie wyrażał się negatywnie, nie przebijając w słowach.

– Ten bydlak był w stanie zabić, jeszcze w młodości przejawiał skłonność do przemocy i agresji – oznajmił kategorycznie.

Anton udał, że słyszy o tym po raz pierwszy, chociaż Romek wszystko mu już dokładnie opowiedział, zresztą nie tylko to, co usłyszał na własne uszy, ale i to, czym podzieliła się z nim Kamińska.

– Agresywny? W czym to się przejawia?

– No jak to! Złamał szczękę Bołtienkowowi, pańskim zdaniem to nie przemoc?

– Ale to się wydarzyło dawno temu, w dodatku tylko raz, gdy obaj byli jeszcze bardzo młodzi – zauważył Anton.

W głosie Sznitowa zabrzmiał pouczający ton, twarz przybrała stosowny wyraz.

– Musi pan wiedzieć, że dzieciństwo sportowców kończy się, gdy mają pięć lat. W wieku piętnastu lat to już samodzielni i dorośli ludzie, w dodatku bardzo silni fizycznie, wielu z nich zarabia pieniądze i pomaga rodzicom, a pan mówi: dzieci! – zirytował się i nie krył rozdrażnienia. – Właściwie nie rozumiem, po co mnie ciągle nachodzicie! Był już u mnie taki rudy chłopak, a teraz pan się zjawił, żeby znowu wypytywać o Łamzina, jakbym dwa czy trzy dni później mógł opowiedzieć o nim coś więcej! Nie ma pan lepszego zajęcia? Chodźcie tam i z powrotem i wciąż pytacie o to samo... Łudziłem się, że wywiadowcy z Pietrowki są lepsi niż ci z okręgu. Tymczasem okazuje się, że to też lenie. Może nawet więksi. Przepraszam, na mnie już pora, mam naradę.

Łudził się... A więc to właśnie Sznitow wszczął hałas wokół zabójstwa Bołtienkowa i zadzwonił do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z żądaniem włączenia najlepszych pracowników do śledztwa.

No cóż, narada to narada. Korytarz też jest dobrym miejscem do kontynuowania rozmowy. Anton wyszedł z gabinetu razem ze Sznitowem, zadając wciąż pytania, na które Igor Eduardowicz musiał jednak udzielić odpowiedzi. Zresztą o Łamzinie wypowiadał się bardzo chętnie.

– Gdyby pan słyszał, jak on się wydziera na wszystkich, w tym

również na łyżwiarzy, jak ich wyzywa! Od krów, baranów i świń... To jeszcze najłagodniejsze określenia z jego bogatego słownika. Krótko mówiąc, nie liczy się ze słowami.

Za to kiedy Anton zapytał o Anikiejewa, Sznitow odparł ze złością:

– Co mają do tego Bołtienkow i Łamzin? Nie widzę żadnego związku.

Jasne. A zatem Sznitow nic nie powie.

Wszyscy, których spotykali po drodze, witali się z urzędnikiem, przymilnie zaglądali mu w oczy i służalczo się uśmiechali. Wszyscy jak jeden mąż. Oprócz kobiety w surowym kostiumie biznesowym, która mijała ich z teczką w rękach. Nie patrzyła na Sznitowa, a on demonstracyjnie się odwrócił.

Pożegnawszy się z Igorem Eduardowiczem, Anton uważnie obejrzał gablotę ze zdjęciami na dole w holu. Oto i ona, kobieta w kostiumie biznesowym. Tylko na zdjęciu jest w dresie, stoi na podium, na piersi ma złoty medal na szerokiej wstędze. Zdjęcie pochodziło sprzed jakichś dwudziestu pięciu lat, może było nawet starsze. Teraz kobieta jest koło pięćdziesiątki. Ludmiła Wołyniec.

Wszyscy drżą ze strachu przed potężnym działaczem. Wszyscy prócz Ludmiły Wołyniec. Doskonale! Tram pam pam!

===

Na duszący zapach jest tylko jedno lekarstwo – chłód i powiew świeżości. Nic ciepłego ani kojarzącego się ze słodką i ciężką wonią. Plamy pasteli olejnych mają zimną tonację, pokrywa je bladoniebieska farba akrylowa o stalowym odcieniu. A w uszach natarczywie rozbrzmiewa nieprzyjemny, ostry głos kobiety, którejomal nie przewrócił, pędząc długim korytarzem i nie widząc niczego wokół.

„Uważaj, jak chodzisz! Zupełnie straciłeś wyczucie! Idiota! Jutro wywalą cię z drużyny! Chociaż byś przeprosił, cholerny

zbochenku!”

Stała i krzyczała za nim, a on biegł, nie odwracając się, i wciąż nie mógł się pozbyć wstrętnego, mdląco słodkiego zapachu jej perfum. Od wielu lat ta woń go prześladowała. Wywołuje wymioty i przyprawia o ból głowy. Niektóre kobiety używają tych perfum do tej pory, więc często w środkach komunikacji publicznej zapach brutalnie i siłą wdziera się do nozdrzy, nie pozwalając oddychać. W takie dni mężczyzna chodzi chory.

Dzisiaj nigdzie nie wyczuł zapachu, ale przypomniał sobie głos, słowa, niegustowne, ordynarne kwiaty na sukience i znowu wróciła woń perfum. Zaczęło go mdlić. Jedyne lekarstwo to zimne i świeże odcienie pasteli oraz akrylu.

Dzwonek do drzwi sprawił, że drgnął, ale od razu sobie przypomniał: to pewnie Olga, umówili się, że przyjdzie i zrobi kilka zdjęć nowego obrazu, żeby Ała Władimirowna mogła podjąć decyzję co do zakupu. Zawsze tak robili. Artysta malował według własnego uznania, Ała zaś wybierała to, co jej się podoba. Nie wszystko przypadowało jej do gustu. Ale kupowała często. W każdym razie pieniądze, które dostawał za obrazy od swojego jedyne nabywcy, wystarczały na skromne utrzymanie, a także na to, żeby pomagać matce i robić niedrogie, ale sympatyczne prezenty przyjaciółce.

Olga stała na progu, rzeczowa, skupiona i poważna, wyraźnie nieusposobiona do nieśpiesznej pogawędki i delectowania się herbatą. No i dobrze. On też nie ma teraz głowy do rozmów i przyjmowania gości. Zresztą Olga nigdy się u niego nie zatrzymuje.

– Cześć, co słychać? – zapytała, otwierając torebkę i wyjmując aparat.

Malarz wzruszył ramionami.

– Wszystko w porządku, jak zwykle.

Kobieta energicznym krokiem ruszyła do pokoju, od razu przecięła „mieszkalną” część i skierowała się do stojących przy



ścianie obrazów, rzucając tylko przelotne spojrzenie na nieskończoną pracę na sztalugach.

– Nie zabiorę ci dużo czasu, muszę zdążyć na spotkanie. Co mogę sfotografować?

– Te obrazy.

Wskazał ręką dwie nowe prace i patrzył, jak Olga robi parę ujęć. Poruszała się szybko, sprężysto, przypominając dziką kotkę. Plan ogólny, średni i zbliżenie, żeby można było zobaczyć, jak mienia się kolory w wydrapanych liniach.

– A to? – Ruchem głowy pokazała sztalugę.

– Dopiero zacząłem.

Olga uważnie studiowała bladoniebieski akryl o stalowym odcieniu. Farba jeszcze schła, nie było na niej wydrapanych linii.

– A co jest pod spodem?

– No... – Podeszedł do stolika zastawionego pudełkami z tubkami pasteli olejnych i z butelkami terpentyny.

Na drugiej półeczce leżał stos szmatek ubrudzonych farbą, w które artysta wycierał ręce po wycieniowaniu, a na trzeciej, najniższej – kartki z próbkami kolorów.

Mężczyzna sięgnął po pierwszą z góry i wręczył ją Oldze.

– Coś takiego.

– Te odcienie powodują, że można zamarznąć. – Uśmiechnęła się lekko kącikami ust pokrytych ciemną pomadką. – Mogę zrobić zdjęcie? A nuż się jej spodoba?

– Tak, oczywiście – obojętnie odparł artysta. – Ciekawe, jak długo jeszcze Ała Władimirowna będzie kupować moje prace. Nie jestem przecież idiotą i wiem, że tylko dla mnie przedstawiają wartość.

– Dla niej też.

Rozmowa z Olgą na parę minut oderwała go od rozmyślań, ale teraz dziewczyna robi zdjęcia niedokończonego obrazu, a w jego głowie znowu rozbrzmiewa wstrętny, natarczywy głos: „Uważaj, jak chodzisz! Idiota! Degenerat! Jutro cię wywalą!”. Głos

przyniósł wspomnienie zapachu, od którego momentalnie zrobiło mu się niedobrze. Mimo woli zamknął oczy i zachwiał się na nogach. Olga zauważyła jego stan i się zmartwiła. Niech ją diabli, nic się przed nią nie ukryje!

– Co się stało?

– Nic, zakręciło mi się w głowie.

– Może potrzebujesz lekarza? Albo lekarstwa? Skoczyć do apteki? – Pytała spokojnie i rzeczowo, w jej głosie nie było paniki ani nawet niepokoju.

– Niczego mi nie potrzeba, już przeszło.

Olga popatrzyła na niego z powątpiewaniem, po czym ruszyła do drzwi.

===

Ała Władimirowna Tomasziewicz mieszkała w samym centrum Moskwy, wewnątrz Pierścienia Bulwarowego, przez który czasami bardzo trudno było się przedrzeć z powodu korków, toteż Kamieńska wyjechała z domu wcześniej, z dużym zapasem czasu. Poprzedniego dnia, gdy Anton poprosił ją, by się spotkała z aktorką, dość szybko udało jej się dowiedzieć, że film, w którym występowała, kręcono w jednym z podmoskiewskich klubów i że zdjęcia potrwają do trzeciej w nocy. Zdobyła też numer telefonu komórkowego aktorki, więc gdy się do niej dodzwoniła, umówiły się na południe. Ała Władimirowna musiała się wyspać i odpocząć, ponieważ wieczorem znowu czekały ją zdjęcia od siedemnastej do północy – tak miała ułożony grafik.

Jak zwykle zadziało prawo pecha. Na ogół, gdy człowiek ma wyliczony czas, trafia na korki i się spóźnia, a gdy wyjedzie ze sporym zapasem, spodziewając się zwartego potoku aut, z jakiegoś powodu droga jest pusta i przybywa na miejsce za wcześnie. Nastia miała jeszcze czterdzieści minut do wyznaczonego spotkania z Tomasziewicz, więc spędziła je

w dużej księgarni, szybko znajdując potrzebny jej słownik, a przez resztę czasu z przyjemnością przeglądając podręczniki oraz informatory z zakresu prawoznawstwa.

Ała Władimirowna, bardzo tęga kobieta z ładną gładką twarzą, w luźnym domowym szlafroku i z długimi, niedawno umyтыми i jeszcze wilgotnymi włosami, rozsypanymi na ramionach, uśmiechnęła się do niej przyjaźnie i ujmująco.

– Zachodzę w głowę, do czego jestem pani potrzebna – mówiła, prowadząc Nastię do salonu z miękkimi fotelami w prowansalskie kwiatki. – Długo się zastanawiałam: może ktoś na planie filmowym miał wypadek, albo w naszym teatrze czy w domu? Ale chyba nikogo nie zabito ani nie ograbiono. Pani naprawdę jest prywatnym detektywem? Czy pracuje pani w policji i oszukała mnie pani, żebym się nie przestraszyła?

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że Tomasziewicz jest nazbyt spokojna i pogodna jak na osobę, która wie, że całkiem niedawno ktoś, kogo zapewne zna, okrutnie zemścił się za śmierć jej jedynaka. Ale to przecież aktorka... Może zagrać wszystko.

Na wiadomość o śmierci Michaiła Walentinowicza Bołtienkowa zareagowała takim zdumieniem, że nie uległo wątpliwości, iż słyszy o tym po raz pierwszy.

– Dlaczego przyszła z tym pani do mnie? – zapytała zaskoczona. – Co ja mogę powiedzieć o tym człowieku? Od lat o nim nie słyszałam.

Ale kiedy Nastia zapytała o syna, Ała Władimirowna zmieniła się na twarzy – po miłym, ujmującym uśmiechu nie pozostało ani śladu.

– Do tej pory trudno mi rozmawiać o Żenieczce. Może to nie jest konieczne? – poprosiła cicho, patrząc na Nastię oczami pełnymi łez.

Kamińska delikatnie nalegała, uważnie przypatrując się aktorce i próbując bezbłędnie odczytać jej reakcje. Nie, ta rozmowa chyba jest dla niej niespodzianką. Niebawem Ała

Władiimirowna zrozumiała, że nic nie wskóra tłumaczeniem oraz prośbami, i przystąpiła do opowieści.

W wieku piętnastu lat Żenia przeszedł ciężką anginę mieszkową, po czym nagle oznajmił, że jedzie na zawody. Tak postanowił trener, Michaił Walentinowicz. Ale o tym Żenia powiedział jej dopiero później, wtedy jedynie oświadczył, że jedzie, bo zawody są dla niego bardzo ważne, a czuje się całkiem nieźle. Ała się wahała, nie chciała go puścić, przecież jeszcze do końca nie wyzdrowiał, ale syn przysiągł, że czuje się dobrze i lekarz sportowy powiedział, że wszystko w porządku i może jechać. Wrócił z zawodów kompletnie przybity: wypadł źle, zajął ostatnie miejsce, a na dodatek zaczęło mu dokuczać serce. Pojawiły się komplikacje: bóle w klatce piersiowej, zadyszka, temperatura, osłabienie. Diagnoza: infekcyjne zapalenie mięśnia sercowego oraz reumatyzm stawów. Po pobycie w szpitalu Żenia zaczął wracać do zdrowia, pilnie trenował, ale jedna rzecz nałożyła się na drugą, gdy w ciągu następnego roku znacznie wyrósł i skoki zaczęły sprawiać mu trudność. Z jednej strony długie mięśnie, a z drugiej silny ból, reumatyzm stawów powoduje nieprzyjemne dolegliwości podczas ruchu i przy obciążeniu fizycznym. Ale o tym, żeby zrezygnować z łyżwiarstwa, nie mogło być nawet mowy, chłopak był gotów znosić chroniczny ból. Utracił jednak umiejętność wykonywania skoków. Przeniósł się więc do innego trenera i zajął tańcami – tam skoki nie są potrzebne, szczególną wagę przywiązuje się do stylu i techniki jazdy, a w tym mistrz sportu Jewgienij Zielenow zawsze bił na głowę pozostałych łyżwiarzy. Potrafił nawet wykonywać niektóre figury Panina-Kołomienkina, czym nieustannie wzbudzał zachwyt kolegów ze szkoły sportowej.

Zaczął jeździć w parze z bardzo dobrą partnerką, z którą po pewnym czasie połączył go namiętny romans. Żenia tak się zaangażował, że gdy osiemnastoletnia dziewczyna zaszła w ciążę, zaproponował jej porzucenie sportu, urodzenie dziecka

i założenie normalnej rodziny. Ale ukochana odmówiła, chciała uprawiać łyżwiarstwo i osiągać sukcesy, marzyły jej się laury i tytuły, nie zamierzała z powodu dziecka rezygnować ze sportowej kariery. Zdecydowała się na aborcję. A zaraz potem wpadła na pomysł, żeby przenieść się do innego trenera, który może z nich zrobić prawdziwe gwiazdy.

W tamtym czasie ów trener był rzeczywiście niezwykle popularny: młody, atrakcyjny, uroczy, z charyzmą, zaczynał kiedyś jako łyżwiarz, później został choreografem i dzięki wymyślonemu i opracowanemu przezeń programowi rosyjska solistka stanęła na podium mistrzostw świata, co było ogromnym sukcesem dla rosyjskiego łyżwiarstwa figurowego kobiet. Do młodego i dotąd mało znanego choreografa zaczęły walić tłumy sportowców, prosząc, żeby się nimi zajął. Przez pewien czas się opierał i wymawiał, jest przecież tylko choreografem i reżyserem, a nie trenerem, to zupełnie inna specjalność, później zdobył się jednak na odwagę i postanowił spróbować sił na nowym polu.

Spróbował. Byłoby kłamstwem twierdzić, że radził sobie śpiewająco, nie znał się przecież na pracy trenera, ale układał ciekawe i efektowne programy, więc gdy trafiali do niego łyżwiarze z dobrymi podstawami, osiągali sukces. I wszyscy od razu zapominali, że to, co umieją, zawdzięczają innemu trenerowi... Liczył się tylko dzisiejszy sukces, a na taflę wyprowadzał zwycięzców właśnie on. Jemu należy się cześć i chwała. I nowi uczniowie.

Jewgienij uległ namowom i pojechał do Sankt Petersburga, gdzie mieszkał i pracował popularny młody trener. Żenia bardzo kochał swoją partnerkę i był gotów zrobić dla niej wszystko, mimo że dawny choreograf mu się nie podobał. Jak się okazało, nie bez powodu. Nowy trener uwiódł dziewczynę, która zakochała się w nim do szaleństwa.

Żenia Zielenow z partnerką mieli po dziewiętnaście lat, gdy przyjechali do Petersburga, wynajęli mieszkanie i zamierzali się

pobrać. Tymczasem nagle powstała drużyna „partnerka i trener”, która grała przeciwko niemu. Chłopak wiedział, że jego ukochana sypia ze swoim instruktorem, ale codziennie musiał z nią ćwiczyć na lodowisku, wykonywać elementy, odgrywać głębokie, namiętne uczucia, nie przestając przy tym myśleć: „Ona się z nim spotyka, kocha go, jestem od niego całkowicie zależny, nie mam żadnych praw i muszę go słuchać, nie mogę zrezygnować z zawodów, do których zmierzałem przez całe życie, włożyłem w to wiele lat pracy”.

Później sytuacja się zaostrzyła: partnerka zaszła w ciążę, tym razem z trenerem, i oznajmiła, że urodzi dziecko, bo pragnie je z nim mieć i jest tak zakochana, że gotowa jest nawet rzucić sport. Tymczasem trener, młody i atrakcyjny, ale już żonaty, nie zamierzał jej poślubić, o czym ona doskonale wiedziała. Może liczyła na to, że dziecko go z nią zwiąże, bo nie miał jeszcze własnych pociech. Ale Żenia Zielenow nie zniósł tej sytuacji, był to dla niego zbyt silny cios. Mężnie dobrnął do ostatnich zawodów w sezonie, oświadczył partnerce, że odchodzi, po czym spakował rzeczy i wrócił do Moskwy.

– Na pogrzebie jeden z jego kolegów zdradził mi, że niedługo przed śmiercią Żenia powiedział: „Przeżyłem jako mężczyzna takie upokorzenie, którego nigdy nie zapomnę”. – Ała Władimirowna nie zauważała łez, które spływały jej po policzkach. – Nie miałam pojęcia, że mój syn tak cierpi, w ogóle mi się nie zwierzał. Jedynie stwierdzał fakty: „Sonia jest teraz z naszym trenerem, zamierza urodzić mu dziecko”. Mówił spokojnie, bez emocji. Nawet mi do głowy nie przyszło, że to dla niego sprawa życia i śmierci. Zdobył gdzieś tabletki, dużo... Nie było mnie wtedy w Moskwie, pojechałam na Wałaaam, mieliśmy tam zdjęcia. Mąż go znalazł, gdy wrócił z pracy. Wezwano mnie, oczywiście, przyjechałam od razu, byłam w domu następnego ranka, ściągnęłam najlepszych lekarzy, ale nie potrafili nic zrobić. A raczej zrobili wszystko, co mogli. Mimo to Żenieczka umarł. Lekarz powiedział, że gdyby nie słabe serce, toby z tego

wyszedł.

Kamieńska odczekała parę minut, pozwalając, by Ała Władimirowna się uspokoiła.

– Mówiła pani, że na pogrzebie Żeni byli jego przyjaciele – zaczęła ostrożnie, przechodząc do najważniejszej sprawy. – Czy znała pani wcześniej któregoś z nich?

– Ależ naturalnie. – Tomasziewicz kiwnęła głową. – Czasami ktoś z drużyny przychodził do Żenieczki, odwiedzała go też jego partnerka, Sonia. Ale rzadko ich widywałam, bo przecież mieli niewiele wolnego czasu i zwykle ich wizyty odbywały się podczas mojej nieobecności. Na pogrzebie było dużo ludzi, nie miałam jednak do nich głowy i niewiele pamiętam. Zapamiętałam tylko słowa kolegi Żeni, bo boleśnie mnie uderzyły.

– A czy po śmierci syna któryś z jego przyjaciół kontaktował się z panią?

Tomasziewicz pokręciła głową i żałośnie się rozpląkała.

Dosyć, powiedziała sobie Nastia. Pora kończyć te męczące wspomnienia, trzeba mieć litość.

Wstała z niewygodnego, niskiego pufa bez oparcia i poczuła, że okropnie rozboleły ją plecy. Oparwszy dłonie na biodrach, zrobiła parę kroków po pokoju, odwracając się tyłem do płaczącej aktorki, i dopiero teraz zwróciła uwagę na sporą liczbę obrazów porozwieszanych w pokoju. Były w tym samym stylu, pozbawione treści, przypominały ornament wykonany jakąś nieznaną techniką.

– Jakie ciekawe prace – uprzejmie zauważyła Nastia, żeby zmienić nieprzyjemny dla Ały Władimirowny temat rozmowy i zacząć rozmawiać o czymś neutralnym. – Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Czy te ornamenty coś znaczą? Jest w nich jakiś sens?

Tomasziewicz przestała płakać.

– Podobają mi się – odparła, wstając z fotela. – Kupuję prace tego malarza, bo przynoszą mi ukojenie. Nawet nie potrafię

wyjaśnić dlaczego.

Aktorka sprawiała wrażenie wyciszonej, oczy miała suche i tylko palce, kurczowo zaciskające mokrą chusteczkę, zdradzały niedawne wzburzenie. Pora się pożegnać, pomyślała Nastia. Musi jednak zapytać jeszcze raz. Nie otrzymała bowiem jasnej i zadowalającej odpowiedzi na najważniejsze pytanie. Czy może któryś z przyjaciół Żeni do tej pory nie pogodził się z jego śmiercią i pragnął się zemścić na trenerze, który przyczynił się do choroby serca przyjaciela?

Tomaszkiewicz wzruszyła ramionami. Pytanie chyba jej nie przestraszyło, w każdym razie Nastia nie zauważyła żadnych oznak zdenerwowania na jej twarzy.

– Już wspominałam, że nie utrzymuję kontaktów z przyjaciółmi syna. W tamtych czasach, gdy Żenia uprawiał łyżwiarstwo, też ich prawie nie znałam. Przykro mi to mówić, ale nie interesowałam się bliżej życiem Żenieczki, bo akurat wtedy po wielu latach przerwy zaczęłam dostawać propozycje ról w filmie, miałam bardzo napięty grafik, często wyjeżdżałam, nikt nie miał przecież pieniędzy i zdjęcia kręcono tam, gdzie było taniej – na prowincji, na wsi, w dawnych republikach związkowych. Wciąż byłam poza domem. Dlatego, niestety, nie potrafię pani pomóc.

– Ałło Władimirownno. – Nastia chwyciła już za klamkę, zamierzając wyjść, ale postanowiła zadać jeszcze jedno, ostatnie pytanie: – Czy pani zdaniem Bołtienkow jest winien śmierci pani syna?

Aktorka spojrzała na nią w zamyśleniu.

– Tak – odparła stanowczo i spokojnie. – Tak właśnie uważam. Bez wątplenia jest winien.

No cóż, z zakłopotaniem myślała Nastia, idąc krętym zaułkiem w stronę Miasnickiej, gdzie zostawiła samochód, o takich wynikach mówi się: zero postępu.

===



Za niecałe piętnaście minut Anton powinien dotrzeć do domu, bo wieczorne ulice są raczej puste. Gdy więc zadzwoniła Ela, powiedział lekkomyślnie:

– Oczywiście, może pani już iść, będę za kwadrans. Przez ten czas dzieciom nic się nie stanie.

– Mogłabym zaczekać na pana – oznajmiła niepewnie – ale musimy zdążyć na lotnisko, żeby odebrać mamę Aleksandra, bo właśnie wraca...

Anton wcale nie był ciekaw, skąd wraca mama Aleksandra Andriejewicza Truszczowa i dlaczego troskliwy syn musi ją odebrać koniecznie w towarzystwie przyszłej żony.

– Niech pani jedzie, Elu – przerwał z rozdrażnieniem. – Wszystko w porządku, zaraz będę na miejscu.

Gdy parkował koło domu, samochodu Truszczowa już nie było. To znaczy, że pojechali. No i dobrze. Anton nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie z narzeczonym niani swoich dzieci, chociaż obaj się znali i utrzymywali przyjazne stosunki. Jak zwykle podniósł głowę i zerknął na okna mieszkania: w kuchni światło jest zgaszone, w jego pokoju też, okno pokoju dzieci również jest ciemne. Światło paliło się tylko w oknach salonu.

Pewnie oglądają kreskówki albo grają na komputerze, pomyślał z rozczuleniem.

Na klatce schodowej, zazwyczaj dobrze oświetlonej, było ciemno. Znowu jakiś obwieś wykręcił żarówkę. A może się spaliła i nie zdążono jej wymienić.

Uczucie czegoś twardego wbijającego się w plecy, kształtem przypominającego lufę pistoletu, nadeszło wraz z cichym, zduszonym szeptem:

– Nie wtykaj nosa w tę sprawę i w niej nie grzeb. Zostaw ją. Inaczej pożałujesz.

Ach, jak dobrze mają scenarzyści wymyślający historie do filmów! Pisarze też nie mają powodu do narzekań. Obrót,

uderzenie, szybki przysiad, zręczny chwyt... Znakomicie! Widz jest zadowolony, a czytelnik szczęśliwy. Tylko z jakiegoś powodu nikt nie wymyśla historii o samotnym ojcu, na którego czeka w domu dwójka małych dzieci i który musi koniecznie jak najszybciej wrócić, póki dzieciaki, po pierwsze, nie zaczęły się bać, a po drugie, nic nie zmajstrowały. Tatuś może oczywiście zachować się jak bohater i wdać się w bójkę. Całkiem możliwe, że major policji Staszys weźmie w niej górę. Nie ma jednak żadnych gwarancji. Bo nie wiadomo, kto stoi za jego plecami, jakiego jest wzrostu i postury, jakie ma przygotowanie i jaką broń. Ojciec z dwojgiem małych dzieci nie ma prawa bezmyślnie ryzykować. Jeśli coś mu się stanie, opiekę nad dziećmi przejmie państwo, bo Staszys od dawna już nie ma żadnych bliskich krewnych.

– Kto cię przysłał? – zapytał półgłosem, starając się mówić spokojnie, żeby nie zdenerwować mężczyzny stojącego z tyłu.

– Nie twoja sprawa. Masz siedzieć cicho i nie wtykać nosa tam, gdzie nie trzeba. Jasne, tatusiu?

– Oczywiście. – Anton się uśmiechnął. – Nie jestem przecież głupi. Może zabierzesz gnata i porozmawiamy normalnie?

– Nie mamy o czym gadać. Jak będziesz grzeczny, nic ci się nie stanie. Umowa stoi?

– Stoi. Nie jestem samobójcą, umiem dbać o własną skórę. Idź, nie bój się, nie zamierzam się odwracać.

Za tajemniczym nieznajomym zamknęły się drzwi, lecz Anton wciąż stał na nieoświetlonej klatce schodowej, próbując przeanalizować wrażenia. Z jakiego kierunku dobiegał głos? Ile kroków zrobił nieznajomy, zanim zamknęły się drzwi? Jak szybko oddychał? Na jakiej wysokości trzymał pistolet? Wyglądało na to, że był raczej niski, w każdym razie o wiele niższy od rosnącego Antona. Jakies 165–167 centymetrów. Odpowiadała temu liczba kroków, na podstawie których łatwo obliczyć długość nóg.

Staszys zerknął na zegarek. Dzieci czekają. Spodziewają się,

że tata wróci za piętnaście minut, a minęło już ponad dwadzieścia.

Mimo to wyjął telefon i zadzwonił do Eli.

– Czy na klatce schodowej paliło się światło, gdy pani wychodziła? – zapytał.

– Nie, żarówka chyba się przepaliła – odparła spokojnie. – Gdy wracałam z Wasią z treningu, wszystko było w porządku.

– Proszę dać telefon Aleksandrowi Andriejewiczowi – powiedział Anton.

Ela umiała nie zadawać niepotrzebnych pytań i już chwilę później w słuchawce rozległ się niski, stanowczy głos Truszczowa.

– Słucham, Antonie.

– Nie zauważył pan, czekając na Elę, czy do budynku wchodził niewysoki mężczyzna, mniej więcej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów, rozglądał się i zachowywał nerwowo?

Truszczow zastanawiał się dosłownie przez parę sekund.

– Owszem. Widziałem kogoś takiego.

– Może go pan opisać?

– No cóż, nie starałem się zapamiętać. Wyglądał zwyczajnie. Kurtka solidnych rozmiarów, chyba wiatrówka, kaptur. Ach tak, pomyślałem jeszcze, po co mu kaptur, przecież na dworze jest ciepło, i uznałem, że to pewnie ćpun. Oni chodzą tak ubrani bez względu na pogodę. Niewysoki, szczupły. Szarpnął drzwi, ale się nie otworzyły, macie przecież domofon. Stał przez chwilę i czekał, aż ktoś wyjdzie. Kiedy wyszła Ela, wtedy wślizgnął się do środka. Czemu pan pyta, co się stało?

– Nie, wszystko w porządku, dziękuję, Aleksandrze Andriejewiczu – szybko odparł Anton. – Szerokiej drogi.

Dziwne to wszystko... Jeżeli Truszczow widział akurat tego mężczyznę, który zaatakował Antona, to skąd ten typ mógł dokładnie wiedzieć, o której Staszys wróci do domu? Śledził go? Domyślił się, obserwując drogę, którą pokonywał, że major wraca do domu? Możliwe. Ale toby znaczyło, że musiał bardzo

się starać, by dotrzeć parę minut przed Antonem, wejść do środka, wykręcić żarówkę i się zacząć. Chociaż nie, Ela mówi, że żarówka nie paliła się już wtedy, gdy wychodziła, a nieznajomy dopiero wtedy wchodził. A więc albo był tutaj już wcześniej i zajął się oświetleniem, albo ma współnika. Ten, który napadł na Antona, wykręcił żarówkę i czekał gdzieś niedaleko, może na skwerze, a może w barze albo w kawiarni, albo po prostu siedział na ławce na przystanku autobusowym. A ten drugi, który był samochodem, jechał za Antonem i gdy uznał, że policjant kieruje się w stronę domu, dał cynk kumplowi. Tak, najprawdopodobniej tak właśnie było.

No i co to za jedni? Pewnie policjanci z Razdorów. Uznali, że muszą się zabezpieczyć, nie wystarcza im, że zwierzchnictwo swoimi kanałami wywiera na nim presję. A może o tym nie wiedzą, działają ze strachu i na własne ryzyko. Anton spróbował przypomnieć sobie wszystkich funkcjonariuszy, z którymi się kontaktował, pracując nad sprawą Jefimowej. Było ich sporo, wśród nich niewysocy i szczupli. Nawiasem mówiąc, śledczy, który prowadził sprawę pożaru w domu Makłyginów, świetnie pasuje do opisu. A także jeden z wywiadowców... Nie, chyba nawet dwóch. No i bądź tu teraz mądry, o kogo chodzi.

Z drugiej strony co za różnica, kto to był? Użyto wszelkich sposobów nacisku, żeby zablokować próby Antona zmierzające do zbadania konkretnej linii dochodzenia, zaczynając od drobnej napaści, a kończąc na haubicach w postaci generalskich instrukcji.

Staszys zdecydowanym krokiem ruszył do windy i chwilę później otwierał drzwi swojego mieszkania. Dzieci dopadły go z radosnym piskiem i uwiesiły się – postawna, podobna do ojca Wasylisa jego ręki, a sześciolatek Stiołka na razie jeszcze nogi.

– Czemu tak długo, tato? – z wyrzutem jęknęła Wasia. – Ela powiedziała, że zaraz będziesz, a ciebie wciąż nie ma i nie ma. A w telewizji leci taki straszny film, amerykański, akurat ktoś

zabił policjanta w dniu jego urodzin, wyobrażasz sobie? W domu czekają na niego goście, cieszą się, a on nie żyje... Bardzo się przestraszyłam. A nawet rozplakałam.

Anton poczuł się nieswojo. No proszę, wystarczy zostawić dzieci same na pół godziny, a już oglądają w telewizji nie to, co powinny.

– Żal ci się zrobiło policjanta? – Objął czule córkę, wziął na rękę i pocałował.

– Nie, pomyślałam o tobie – drżącym głosem odparła Wasylisa.  
– Nie ma cię i nie ma, a Ela powiedziała, że zaraz przyjdiesz. Więc może leżysz gdzieś zabity, a my ze Stiopką czekamy i o niczym nie wiemy...

I znowu się rozplakała.

Uspokajając przestraszoną i roztrzęsioną córkę, Anton znowu pomyślał, że rola bohatera nie jest dla niego. Filmy akcji mają się nijak do życia.

===

Rano Anton Staszys nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, czego właściwie chciał od niego wczorajszy nieznajomy. Jeśli chodzi o sprawę Jefimowej, można by założyć, że to pomysł towarzyszy broni, policjantów z Razdorów. Ale przecież oprócz zabójstwa Jefimowej wyjaśniane są też inne przestępstwa. Na przykład to, którego ofiarą padł trener Bołtienkow, a także parę wcześniejszych. „Nie wtykaj nosa w tę sprawę i w niej nie grzeb”. Przydałoby się więcej konkretów... Chociaż wczoraj wieczorem Anton był przekonany, że napaść wiązała się z pożarem w domu Makłyginów, dzisiaj zaczął w to powątpiewać.

Powierzywszy dzieci opiece Eli, machinalnie zjadł swoje codzienne śniadanie, na które składała się kanapka z serem oraz kubek kawy, po czym udał się do Federacji Łyżwiarstwa Figurowego. Tym razem miał zamiar spotkać się nie

z członkiem komitetu wykonawczego, Sznitowem, ale z Ludmiłą Wołyniec, nawiasem mówiąc, też członkinią komitetu, która tak wyraźnie, a nawet otwarcie ignoruje wpływowego urzędnika. Ze środowiska osób tak czy inaczej związanych z łyżwiarstwem figurowym wciąż docierały głosy na temat protekcji, ale Anton nie potrafił ich rozgryźć w kontekście sportu. Igor Eduardowicz Sznitow sprawował opiekę nad zabitym trenerem Bołtienkowem... Jak to się dzieje? W czym wyraża? Może motyw zabójstwa kryje się właśnie w owych powiązaniach i wynikających z nich konfrontacjach?

W Federacji powiedziano, że Ludmiła Wsiewołodowny dzisiaj nie będzie, wyjechała do kompleksu sportowego w Nowogorsku. I odmówiono, ma się rozumieć, podania jej numeru telefonu komórkowego. No a Staszys, ma się rozumieć, potrzebował zaledwie dziesięciu minut, żeby go zdobyć. Wołyniec odebrała połączenie nie od razu, dopiero po czwartym czy piątym sygnale. Sądząc z przytłumionego głosu, przechodzącego w szept, oraz z krótkich, urywanych zdań, które rzucała, była akurat na jakiejś naradzie.

– Wrócę do Moskwy najwcześniej za dwie godziny. Może nawet później. O piątej powinnam być w City[\[15\]](#). Odpowiada panu parking przy centrum Expo o trzeciej?

Również o trzeciej Anton Staszys, pokazawszy ochroniarzowi legitymację, wjechał na parking. Ludmiła Wołyniec zjawiała się dwadzieścia minut później i nawet nie przyszło jej do głowy, żeby przeprosić za spóźnienie. Choć właściwie dwadzieścia minut spóźnienia przy obecnym ruchu na drogach to nic niezwykłego, można uznać, że człowiek przyjechał przed czasem. Uścisk dłoni Wołyniec był mocny i energiczny. Anton już zaczął się zastanawiać, gdzie trenerka zamierza z nim porozmawiać, tymczasem ona, jak gdyby odgadując jego pytanie, zaproponowała, żeby usiedli w samochodzie.

– Tutaj w każdym wieżowcu jest pełno lokali, ale w tych, gdzie można spokojnie porozmawiać, ceny są wręcz złodziejskie,

a tam, gdzie jest taniej, nie da się normalnie posiedzieć z uwagi na zgiełk i zamieszanie. – Uśmiechnęła się. – No i szkoda czasu na to, żeby tam dotrzeć.

Anton skinął głową w milczeniu i otworzył przed nią przednie drzwi od strony pasażera.

– Domyślam się, że chce pan porozmawiać na temat Michaiła Walentinowicza? Czy może raczej Walerija Pietrowicza? – zapytała, gdy Staszys zajął miejsce kierowcy.

Sądząc z tonu, jakim to powiedziała, pomysł oskarżenia Łamzina nie był jej bliski. Może Ludmiła ma jakieś własne przypuszczenia?

– Szczerze mówiąc, interesuje mnie pani opinia na temat Łamzina. Mam też jedno pytanie, które może się wydać dziwne, ale muszę je zadać, bo jestem dyletantem w tej kwestii i nie rozumiem pewnych rzeczy. Jaki wpływ może wywierać Federacja na konkretnego łyżwiarza?

– A co tu jest do rozumienia? – Wołyniec szczerze się zdziwiła.

– Chyba źle się wyraziłem... Wszyscy mi mówią, że Igor Eduardowicz Sznitow sprawował opiekę nad Bołtienkowem i jego łyżwiarzami. To prawda?

– Oczywiście, to żadna tajemnica.

– Ale co to znaczy? Na czym polega tego rodzaju opieka? Przecież urzędnik z Federacji nie może wykonać figur za sportowca, a jeśli łyżwiarz upadł, Sznitow nie może tego cofnąć. A może czegoś tu nie rozumiem?

Wołyniec nieznacznie się uśmiechnęła.

– Nie wie pan o wielu sprawach. Gdyby pan wiedział, od razu by pan zrozumiał.

I zaczęła opowiadać o wpływie urzędników na wyniki sportowe oraz o tym, dlaczego warto utrzymywać dobre stosunki z działaczami.

– Działacze, widzi pan, mają duże możliwości, mogą bardzo zaszkodzić i rzucać kłody pod nogi nie tylko trenerom, ale też konkretnym łyżwiarzom, jeśli z jakiegoś powodu poczują do

nich niechęć. Słyszał pan może o czymś takim jak zgłaszanie się na właściwe zawody?

Taak... Wciąż pojawiają się nowe dane. Anton aż się wzdrygnął, myśląc, ile jeszcze informacji będzie musiał przyswoić, zanim dokona selekcji i zajmie się tylko tymi, które mogą pomóc w wyjaśnieniu zabójstwa.

– Właściwe? To znaczy jakie?

– Musi pan wiedzieć, że w sezonie jest bardzo dużo zawodów, żaden łyżwiarz nie bierze udziału we wszystkich, musi wybrać te, w których będzie uczestniczyć. Nie tylko wybrać, ale też znaleźć się w składzie uczestników. A to, może mi pan wierzyć, bardzo trudne zadanie. Mówimy o tym otwarciu: „Zakwalifikowanie się do właściwych turniejów to poważny problem”. Żaden łyżwiarz nie chce przegrywać i zajmować słabego miejsca. Wszyscy pragną znaleźć się jak najwyżej. Bo im wyższe miejsce zajmą, tym więcej dostaną punktów, co z kolei wiąże się z rankingiem i z możliwością uczestniczenia w późniejszym finale. łyżwiarz musi wybrać zawody z takim składem uczestników, który zapewni mu duże szanse. Ważni są uczestnicy albo kraj, w którym odbywają się zawody. Kraj będzie usiłował zapewnić swoim łyżwiarzom tytuły mistrzów albo zechce przynajmniej umieścić ich na podium, jeśli ma oczywiście takich łyżwiarzy. Weźmy na przykład sytuację solisty. Etap turnieju odbywa się w kraju, który ma dwóch albo trzech bardzo dobrych solistów, więc wiadomo, że nasz solista nie zostanie mistrzem w tym etapie. Nie ma najmniejszego sensu go zgłaszać, bo zdobędzie niewiele punktów. Ten sam kraj nie ma dobrych par sportowych, zawodnicy pretendują najwyżej do dziesiątego miejsca, więc w tej kategorii pojawiają się spore szanse. Pod warunkiem, że do etapu nie zgłoszą się inne dobre pary. Krótko mówiąc, to kwestia matematyki, w dodatku bardzo złożonej. Federacje umawiają się między sobą, których łyżwiarzy zgłoszą i na które turnieje. Starają się, żeby wszyscy odnieśli korzyść.



– To znaczy, że będzie tak, jak się dogadają? – z niedowierzaniem zapytał Anton.

– Nie zawsze. Czasami zdarza się, że Federacje wszystko uzgodnią, wszyscy są zadowoleni z ustaleń, a tymczasem ISU[16] albo komitet organizacyjny kraju, w którym odbywa się dany etap, oznajmiają: „Nie, kandydatura waszego łyżwiarza na danym etapie Grand Prix nas nie urządza, mamy już numer jeden z tego kraju i z uwagi na rangę zawodów potrzebujemy waszego drugiego albo trzeciego numeru”. Czy moje wyjaśnienia są zrozumiałe?

– Nie – szczerze przyznał Anton. – Nie mam pojęcia, o co chodzi z rangą zawodów oraz z numerami.

Wołyniec westchnęła.

– No to niech pan słucha. Pierwsze miejsce jest tylko jedno. Tak?

– Tak.

– Za każde miejsce naliczane są punkty. Im wyższe miejsce, tym więcej punktów, pierwsze miejsce to największa liczba punktów. Jasne?

– Owszem. – Anton się roześmiał. – Bardzo dobrze pani tłumaczy. Byłaby pani wspaniałym wykładowcą.

– Dlaczego „byłabym”? Jestem wykładowcą, przez wiele lat byłam trenerem, teraz też mam uczniów. Jedziemy dalej. Jeżeli na tym samym etapie spotkają się najlepsi łyżwiarze z poszczególnych krajów, pierwsze miejsce zajmie tylko jeden z nich, pozostali zajmą szóstą albo ósmą lokatę, zdobędą więc niewiele punktów w tym etapie. A w innym etapie spotkają się później najslabsi, mimo to któryś z nich będzie pierwszy, choćby nawet wystąpił fatalnie, i otrzyma więcej punktów. W efekcie zbierze tyle punktów we wszystkich etapach, że wyprzedzi dobrego łyżwiarza, który źle wybrał zawody i był ósmy albo nawet czwarty. Dobry łyżwiarz tak naprawdę jeździ sto razy lepiej niż tamten, który zajął pierwsze miejsce w „słabym” etapie, ale nie zakwalifikuje się do finału turnieju

z uwagi na zbyt małą liczbę punktów. To niesprawiedliwe i niesłuszne. Dlatego należy podzielić uczestników w ten sposób, żeby w każdym etapie znalazły się i gwiazdy, i słabeusze. Wtedy do finału Grand Prix trafią naprawdę najlepsi łyżwiarze. O tym wszystkim decyduje Federacja razem z trenerami oraz ISU.

– Rozumiem. To znaczy, że umawiają się wcześniej, kogo gdzie zgłoszą, tak?

– Zgadza się.

– Ile mają na to czasu przed zawodami? Miesiąc? Dwa?

– Ależ skąd. – Wołyniec się roześmiała. – O tym trzeba decydować teraz, mimo że zawody zaczynają się dopiero jesienią. Poruszenie już trwa.

– Jak jeszcze Federacja uzależnia od siebie łyżwiarza?

– Sposobów jest wiele. Na przykład pieniądze. To bardzo drażliwa kwestia, nasza dyscyplina jest dość droga. Wie pan, ile kosztują dobre łyżwy? Nie wie pan? No więc para dobrych butów z łyżwami to koszt około półtora tysiąca euro. Skąd młody łyżwiarz ma wziąć takie pieniądze? Problem znika, gdy ma majątnych rodziców. Ale przecież nie wszyscy utalentowani łyżwiarze pochodzą z zamożnych rodzin. Członkom reprezentacji łyżwy należą się bezpłatnie, płaci za nie Federacja, ale co z innymi? Kostiumy też nie są wcale tanie, jeden strój kosztuje od siedmiuset do tysiąca euro, a w sezonie potrzeba co najmniej trzech albo czterech, do każdego programu i do każdego pokazu. Tak więc przez rok uzbiera się niezła sumka. Najlepszym łyżwiarzom przysługują pieniądze na kostiumy, dostają je z Federacji i płacą nimi w pracowni albo prywatnym krawcom, gdzie kto wybierze. Pieniądze przysługują, ale to nie znaczy, że są wypłacane. Federacja nie ma dość funduszy, żeby od razu i w porę wypłacić je wszystkim. Więc zaczyna się walka. Duże znaczenie ma stosunek Federacji do łyżwiarza albo do jego trenera. Na uszycie odpowiedniego stroju potrzeba przecież czasu, nawet jeżeli krawcowa nie ma dużo pracy, trzeba liczyć

co najmniej dwa tygodnie, a jeśli jest bardzo zajęta, to nawet miesiąc albo dwa. Co ma zrobić łyżwiarz w sytuacji, gdy zawody są za trzy tygodnie, a Federacja do tej pory nie wypłaciła mu pieniędzy? Kogo lubi, ten już dawno dostał pieniądze i uszył kostium, a kogo nie lubi, ten musi sam rozwiązać problem. Jak? Nikogo to nie interesuje. Jeśli pieniądze się należą, prędzej czy później zostaną wypłacone, rzecz jasna, ale czasami bywa niestety za późno.

– Jasne. A jakie są jeszcze możliwości?

– Istnieje bardzo powszechny i nieprzyjemny konflikt zdolnych juniorów z liderami reprezentacji seniorów. Chodzi o to, że trzynasto-, czternastoletnie dziewczęta są znacznie lepsze pod względem technicznym niż dorosłe łyżwiarki.

– Jak to? – zdziwił się Anton. – Trudno w to uwierzyć.

– A jednak. Dojrzałe dziewczęta i młode kobiety z uwagi na wagę i figurę nie potrafią już tyle co wiotkie i filigranowe podlotki. W ubiegłym roku określono granicę wieku, która zabrania dziewczętom uczestniczyć w zawodach dla dorosłych, ale dawniej na to pozwalano. Niech pan sobie wyobrazi taką sytuację: juniorka jest tak dobra, że na mistrzostwach Rosji wyprzedza najlepsze łyżwiarki z reprezentacji seniorów. Kraju i Federacji to nie obchodzi, bo z uwagi na wiek przepisy nie pozwalają juniorce uczestniczyć w międzynarodowych zawodach. Ale to, że wyprzedziła liderki reprezentacji, spowodowało, że spadły w rankingu i mają niższy status. łyżwiarki są niezadowolone, ich trenerzy się denerwują. Sytuacja staje się groźna w momencie, kiedy trener liderki reprezentacji ma układy w Federacji albo w Komitecie Sportowym, a trener zdolnego juniora nie zna nikogo w administracji. Najgorsze jest to, że w wyniku porachunków ucierpi nie tylko łyżwiarka i jej instruktor, ale też cała grupa, do której należy dziewczyna. Na grupie można się odegrać za pomocą próżni informacyjnej.

– To znaczy?

– Zataja się na przykład informację, że można dostać kostium. Albo nagrodę. Wszystkim szkołom sportowym przysługują jakieś rzeczy. Członkom reprezentacji należy się, rzecz jasna, o wiele więcej, ale to, co dostają szkoły, też jest nie do pogardzenia. Można zabrać godziny na lodowisku, to najbardziej skuteczny i powszechny sposób wywierania nacisku. Federacja ma wiele możliwości, żeby uprzykrzyć życie łyżwiarzowi, zaczynając od ustalenia miejsc na zawodach, a kończąc na decydowaniu o jego dalszym losie. Właśnie dlatego łyżwiarze, wybierając trenera, kierują się nie tyle jego talentem, ile obecnością opiekunów w Federacji.

– Nawet o losie? – z powątpiewaniem zapytał Staszys. – Na czym to polega?

– Sprawa jest bardzo prosta! Może na przykład chodzić o udzielenie zgody na występy w innym kraju. To przecież bardzo dochodowy interes! Nie wiedział pan?

– Nie – przyznał Anton. – Pierwszy raz o tym słyszę.

– Opowiem panu pewną historię, ale takich historii są dziesiątki, jeśli nie setki, a wszystkie bardzo podobne. Wiele lat temu miałam dobrego ucznia, jeździł w parze, został bez partnerki, próbował trenować sam, gdy nagle zaproponowano mu wyjazd do innego kraju, żeby dołączył do łyżwiarki, która szukała partnera. Chłopak poszedł do Federacji poprosić o zgodę. W odpowiedzi usłyszał: „Nigdzie nie pojedziesz. Jeśli zrobisz to samowolnie, zdyskwalifikujemy cię na dwa lata”. Może pan sobie wyobrazić, co znaczą dla łyżwiarza dwa lata bez udziału w zawodach? Dwa sezony to bardzo dużo, przerwa może zrujnować karierę. Ale zgodnie z przepisami wszystko jest w porządku, łyżwiarz musi opuścić dwa sezony, jeśli Federacja nie wyrazi zgody.

– Ale dlaczego? Dlaczego nie może jechać, skoro i tak nie będzie reprezentował Rosji, bo przecież nie ma partnerki?!

– Dlaczego? Dlatego! Federacja potrzebuje pieniędzy. I wymusza je wszelkimi sposobami. Albo od Federacji kraju,

który zaprasza łyżwiarza, albo od rodziców dziewczyny, jeśli są bogaci i mogą kupić córce partnera. Takie rzeczy też często się zdarzają. Albo łyżwiarz może się wykupić. Bywa też, że urzędnicy są po prostu złośliwi, uprawiają demagogię. „Nie pozwalam i koniec!” Sportowiec się oburza: „Do czego jestem wam tutaj potrzebny? Zajmuję czwartą czy piątą pozycję w rankingu, nie wywalczę złotego medalu dla kraju”. „Co z tego? Jesteś naszym rosyjskim łyżwiarzem. Dlaczego mamy wspierać konkurencję? Wyszkoliliśmy cię, zainwestowaliśmy w ciebie, a ty teraz chcesz wyjechać na taflę w barwach innego kraju i rywalizować z naszymi łyżwiarzami. Wykluczone!” I co łyżwiarz ma zrobić? Jeśli znajdzie pieniądze albo zapłaci za niego Federacja kraju, który go zaprasza, to w porządku. Ale jeśli tak się nie stanie, to sprawa jest przegrana. Inny kraj nie potrzebuje łyżwiarza, który będzie musiał opuścić dwa sezony. Zresztą dziewczyna też nie będzie tak długo czekać.

– To właśnie usłyszał pani uczeń? „Nie pozwalam i koniec”?

– Ależ nie, jego historia skończyła się całkiem nedorzecznie. Federacja zamierzała go puścić, widocznie trafił na dobry humor urzędnika podejmującego decyzję. Urzędnik był jednak w bliskich, przyjacielskich stosunkach z pewną damą z Moskomsportu, pazerną na pieniądze. Widocznie dzielił się z nią dochodami, a może robili razem jakieś interesy. No więc urzędnik powiedział jej, że był u niego mój uczeń i poprosił o zgodę na wyjazd. Ich rozmowa była bardzo ciekawa, spotkali się podczas zawodów, gdy wszędzie kręcili się dziennikarze, a jeden z nich, mój dobry znajomy, wszystko słyszał i mi przekazał. Rozmowa wyglądała mniej więcej tak: „I co nam za niego dadzą?” „Nic, niech sobie jedzie. Warto go puścić i nie robić problemów, bo głosy tego kraju przydadzą nam się w ISU”. „Zwariowałaś? Zabraniam ci! To przecież precedens! Jak puścisz jednego bez wykupu, później już od nikogo nie dostaniesz złamanej kopiejki!” „No dobrze, dobrze, nie gorączkuj się, nie puszczę go, skoro jesteś temu przeciwna”.

Rozmowę prowadzono niby żartem. Aż trudno sobie wyobrazić, żeby dorośli, poważni ludzie w ten sposób, w drodze na trybuny, w jednej chwili mogli zdecydować o czyimś losie.

– Coś podobnego! Czyżby ta dama z Moskomsportu liczyła na grubą sumkę za pani ucznia? Sama pani przecież powiedziała, że nie miał tytułu mistrza, był zaledwie czwarty czy piąty w rankingu.

– Kto wie... Tak jej zależało na pieniądzach, że nie gardziła nawet drobnymi kwotami. Ale możliwe, że chodziło o coś innego.

– O co?

– W tym konkretnym przypadku raczej nie o pieniądze. Urzędniczka mnie nie lubiła, a co za tym idzie, nie znosiła moich uczniów i szkodziła im na każdym kroku. Pewnie zapyta pan teraz, czemu mnie nie lubiła? – Wołyniec się uśmiechnęła.

– Oczywiście, że zapytam. Nie zawadzi zapytać, skoro wychodzą na jaw tak ciekawe fakty. Więc czemu urzędniczka z Moskomsportu powzięła do pani niechęć?

Do urzędniczki zwróciła się jej przyjaciółka, dawna koleżanka z klasy, mieszkająca w tym samym syberyjskim mieście, z którego pochodziła owa dama. Córka przyjaciółki jeździła w parze sportowej, a jej partner był jakimś ich krewnym, chyba dalekim kuzynem dziewczyny. Rodzice juniorów uznali, że pora wysłać dzieci do Moskwy, do najlepszego trenera. Najlepszy ich zdaniem był ten, który miał furę odznaczeń. Wołyniec nie zaliczała się do najlepszych trenerów juniorów, ale zdobyła tytuł mistrzyni i miała dobrą opinię. Rodzice chcieli, by dzieci trafiły właśnie do jej grupy. Zwrócili się więc do znajomej urzędniczki z Moskomsportu, która zapewniła, że użyje swoich wpływów, kontaktów i możliwości i wszystko załatwi. Nie wiedzieć czemu była pewna, że para spodoba się Ludmile Wołyniec i nie będzie żadnych problemów. Jednakże wyniki prezentacji okazały się nie takie, jakich spodziewali się łyżwiarze oraz ich rodzice. Dziewczynka przypadła do gustu

Ludmile Wołyniec, trenerka uznała, że dobrze się zapowiada, ale chłopiec nie zrobił na niej wrażenia, o czym natychmiast powiadomiła rodziców. Ci próbowali ją przekonać, ale Wołyniec okazała się nieprzejednana: chłopiec nie wchodzi w rachubę. Przyjmie albo tylko dziewczynkę, albo nikogo. Tymczasem dzieci nie chciały się rozstawać, dziewczynka wspaniałomyślnie oświadczyła, że nie zostanie w Moskwie bez swojego partnera, woli wrócić do domu. Rozgniewani rodzice udali się do urzędniczki z Moskomsporu, wyrzucając jej, że ich oszukała, że tak naprawdę nie ma żadnych możliwości, że jest zarozumiała i nadętą biurokratką, krętaczką, która składa puste obietnice i udaje nie wiadomo kogo, a w gruncie rzeczy nic nie znaczy. Wybuchła karczemna awantura i wszyscy, ma się rozumieć, poznali jej powód.

– W sumie to bardzo kłopotliwa sytuacja – w zamyśleniu podsumowała Ludmiła. Widać było, że wspomnienia wytrąciły ją z równowagi. – Bardzo często się zdarza, że trzeba ocenić nową parę, lecz okazuje się, że tylko jedna osoba jest coś warta. Trener od razu widzi, który łyżwiarz dobrze się zapowiada, a z którego nic nie będzie. Ale oni przyszli jako para. Przyszli razem. Niektórzy instruktorzy przyjmują oboje partnerów, doskonale wiedząc, że niebawem rozdziela parę i zostawia tylko jedno z nich.

– A jak to się odbywa? Jak się rozdziela parę?

– No cóż, są różne sposoby. Można słabo przygotować ją do zawodów albo w ogóle nie przygotować. Nie przykładają się. Niech sobie sami radzą. Para będzie się starać, ale nie sprosta zadaniu, wyniki okażą się marne i później trener powie: „Rozumiesz chyba, że w tym składzie niczego nie osiągniesz, musisz zmienić partnera albo partnerkę na kogoś lepszego, jeśli masz zamiar się rozwijać”.

– Coś takiego! A jakie są inne sposoby?

– Można działać przez rodziców, to też jest dość skuteczne. Trener zaprasza rodziców łyżwiarza, którego potrzebuje,

i zaczyna kłaść im do głowy, że „owszem, para przyszła razem, ale macie państwo takiego wspaniałego chłopca, czeka go błyskotliwa kariera, tyle że z tą dziewczyną mu się nie uda, znajdę wam lepszą partnerkę, właściwie już ją mam, decyzja należy do was”. Najbardziej traumatyczny sposób, o dziwo, to uczciwe postawienie sprawy. Od razu po prezentacji pary trener mówi, że zgadza się przyjąć chłopca, ale dziewczynka nie jest mu potrzebna, albo odwrotnie. „Jeśli jesteście gotowi się rozstać, to dobrze, a jeśli nie, to znaczy, że żadne z was nie jest mi potrzebne. Nie potrzebuję was jako pary”. Dzieci cierpią, płaczą, przejmują się, jedno musi zdradzić drugie i powiedzieć: „Zostaję w tej grupie, a ty idź, gdzie chcesz”. To bardzo trudne, zwłaszcza jeśli się przyjaźnią. Zdarza się, że chłopiec zachowuje się jak dżentelmen i mówi: „Nie, nie zostawię jej”, no i nie odchodzi do nowego trenera, para zostaje u dawnego instruktora, ale później chłopak przez całe życie będzie to wypominał dziewczynie. Odmówił ze względu na nią, tymczasem mógł się zgodzić, zostać u nowego trenera i zajmować wysokie miejsca. „A ty mnie pociągnęłaś na dno...” Albo odwrotnie, dziewczyna zostaje z chłopakiem, nie porzuca go, a później ma do niego pretensje, że nie zrobiła kariery sportowej i się dlań poświęciła.

– Niczego pani nie ukrywa... Nie boi się pani? – z ciekawością zapytał Staszys.

– Czego mam się bać?

– Rozmawialiśmy już z wieloma trenerami i działaczami, ale wszyscy powtarzają to samo: „Liczę na pańską dyskrecję, bo muszę jeszcze trochę popracować w tej branży...”. Sama pani rozumie.

– Aha, o tym pan mówi... Ale ja będę tutaj pracować jeszcze tylko przez tydzień. – Wołyńiec się uśmiechnęła. – Już mnie uprzedzono. Nawiasem mówiąc, pański znajomy, Igor Eduardowicz, się postarał. Nie przepada za mną. Podobnie jak ja za nim.



– A czym mu pani dopiekle?

– Niczym konkretnym. Mam jedynie zepsutą reputację. Po tym wypadku, o którym panu opowiadałam, po odmowie przyjęcia pary przysłanej przez wpływową urzędniczkę z Moskomsportu, zaczęto o mnie mówić: „Wołyniec ośmieliła się postawić samej Jefimowej! Jefimowa ma układy w Federacji, na samej górze, a ta głupia Ludmiła się z nią poróżniła”. Mam więc opinię kobiety nie tylko kłótliwej, ale też głupiej – ze smutkiem w głosie zakończyła Ludmiła. – Kto by się przyznawał do kogoś takiego jak ja?

Jefimowa z Moskomsportu... Jefimowa...

– Nie wie pani, czy Jefimowa została w branży sportowej? – ostrożnie zapytał Anton.

– Inna Wiktorowna? Nie, zrobiła oszałamiającą karierę, od dawna nie jest już działaczką sportową, teraz urzęduje w Gosdumie albo w Radzie Federacji. Tam też znalazła pewnie sposób, jak zarobić pieniądze.

A więc tak się sprawy mają... Może Inna Wiktorowna Jefimowa została zabita nie z powodu pracy w aparacie Gosdumy? I nie chodzi o podpalenie domu na upragnionej parceli? Może korzenie tej historii sięgają o wiele głębiej w przeszłość? Ciekawe, czemu nikomu nie przyszło do głowy, żeby się zainteresować, czym Jefimowa zajmowała się dziesięć, piętnaście lat temu? Ustalono tylko, że już od pięciu lat pracuje w aparacie Gosdumy, a przedtem robiła mniej więcej to samo, tylko w Mosgordumie<sup>[17]</sup>. I tym się zadowolono.

Ale za co po tylu latach ktoś mógł tak okrutnie się na niej zemścić? Może za to samo, za co zabito Bołtienkowa? Trzeba koniecznie poszukać związku pomiędzy trenerem a dawną działaczką Moskomsportu. O Bołtienkowie zebrano mnóstwo informacji, ale nazwisko Inny Jefimowej nigdzie się nie przewinęło.

Za dziesięć piąta Ludmiła Wołyniec pożegnała się z Antonem, opuściła jego samochód i wsiadła do swojego auta, żeby

podjechać do innego budynku w kompleksie. Staszys spoglądał za nią zamyślony, później wyjął telefon i zadzwonił do Kamieńskiej. Tak, Romek palnął głupstwo, zwracając się do Kirgana, to jasne. Anton, ma się rozumieć, tego nie pochwala. Ale po paru dniach spędzonych na zbieraniu informacji o świecie łyżwiarstwa figurowego już zaczął wątpić w słuszność decyzji śledczego. W takim kłębowisku intryg i konfliktów na pewno pełzają rozmaite żmije, gotowe zaatakować trenera Bołtjenkowa. Więc to chyba błąd, żeby skupiać uwagę oskarżenia wyłącznie na Łamzinie.

Kamieńska od razu przyznała mu rację i potwierdziła, że warto by się spotkać, wymienić informacje i dokonać przynajmniej częściowego podsumowania.

– Jesteśmy jak Łabędź, Rak i Szczupak z bajki – zauważyła. – Kręcimy się w kółko, rozmawiamy z tymi samymi ludźmi. Właściwie nie mamy czym się wymieniać, tymczasem pracę należy rozdzielać racjonalnie. Więc rozszerzę pańską propozycję. Spotkajmy się we troje: pan, ja i Roman.

Anton obiecał przywieźć Dziubę i zanotował adres, punkty orientacyjne oraz wskazówki, jak dotrzeć na miejsce.

– Nieźle się pani powodzi, Anastazjo Pawłowno – mruknął. – Czyżby prywatni detektywi zarabiali teraz krocie? Może powinienem zdjąć naramienniki i się przekwalifikować?

– Gdyby to była prawda... – Kamieńska zabawnie westchnęła. – To dom mojego brata. Oboje z żoną pojechali za granicę, żeby leczyć młodsze dziecko, a mnie poprosili, żebym pomieszkała ze starszym synem i miała go na oku.

===

Roman Dziuba nigdy nie narzekał na pamięć wzrokową, więc bezbłędnie pokazywał Antonowi drogę do domu, w którym czasowo pomieszkiwała Anastazja Kamieńska, mimo że nie był tutaj wcześniej samochodem.

– Ale pałac! – Anton pokręcił głową, gdy dotarli na posesję. – Kim jest jej brat? Bankierem i oligarchą?

– Bankierem – przytaknął Dziuba. – Ale nie oligarchą. Czytałem o nim w Internecie, to normalny facet, żonę też ma normalną, nie siedzi w domu i nie jest na garnuszku męża, tylko pracuje.

Anastazja Kamińska przyjaźnie pomachała do nich ręką z wysokich schodów.

– Szybciej, chłopcy, kolacja stygnie!

W tej samej chwili Roman Dziuba zupełnie przestał się jej bać. Nie potrafił nawet powiedzieć, czy kolacja, którą ich poczęstowała, była dobra. Bez przerwy chciało mu się jeść, więc smakowało mu wszystko bez wyjątku. Tym bardziej że skupił uwagę nie na tym, co było na talerzach, ale na relacji Antona, który przez całą drogę nie pisnął ani słowa na temat zdobytych w ciągu dnia informacji.

Na pytanie Romka odparł wprost:

– Będę przecież musiał zreferować sprawę, jak przyjedziemy, a nie mam ochoty powtarzać dwa razy tego samego.

– Jesteś nieużyty. – Dziuba westchnął. – Ja ci wszystko opowiedziałem jak głupi, a ty...

– Nie jesteś głupi – roztropnie zauważył Anton, tłumiąc uśmiech. – Prawdziwy z ciebie kolega, można na ciebie liczyć. Nie zamierzam słuchać twojej opowieści po raz drugi. Obgadamy z Kamińską, co trzeba, ja pojedę do domu, a ty zostaniesz i będziesz jej opowiadał, co zechcesz. Wrócisz kolejką podmiejską. Tylko się nie obraż, dobrze? Chyba rozumiesz, że muszę wracać do domu. Nie mogę czekać, aż zdasz szczegółową relację Kamińskiej. Mimo całego szacunku, jakim ją darzę.

Przez chwilę Roman się zastanawiał, czy powinien się obrazić, ale uznał, że to nie ma sensu. A teraz z ciekawością słuchał Antona opowiadającego o handlu łyżwiarzami.

– To przecież pachnie niewolnictwem! – zdziwił się. – Sprzedają człowieka, jakby był rzeczą. A nie powiedzieli, ile za

niego biorą?

– Nie pytałem. – Anton się roześmiał. – Ale pewnie niedużo. W każdym razie zdaniem Wołyniec pieniądze czasem wpływały oficjalnie, niby na potrzeby Federacji, ale przeważnie było tak, że gotówka lądowała w czyjejs kieszeni.

– Opuścić dwa sezony. – Dziuba z przygnębieniem pokręcił głową. – Mogę sobie wyobrazić...

– Albo jeden sezon, jeżeli łyżwiarz dostał zgodę na wyjazd – zauważył Anton. – Tak czy inaczej, przerwa jest nieunikniona, pytanie tylko, jak długo potrwa: rok czy dwa lata.

– A co się stanie, jeśli zainteresowany odejdzie sam? – zapytała Kamieńska. – Co Federacja może zrobić? Będzie się za nim uganiać po całej Europie albo Ameryce? Jaki jest mechanizm nacisku?

– O ile dobrze zrozumiałem, Federacja pisze protest do ISU z żądaniem dyskwalifikacji łyżwiarza na okres dwóch lat za samowolne przejście do innej Federacji.

– A jeśli nie napisze? – drażyła dalej Nastia.

– Wtedy nikt się pewnie nie dowie. – Anton wzruszył ramionami.

– To znaczy, że Federacja beznamiętnie donosi na swojego dawnego łyżwiarza? – Dziuba się oburzył. – Panują tam niezłe porządki! A więc jeśli nasz kraj nie potrzebuje łyżwiarza, to Federacja albo na niego naskarży, albo obedrze go ze skóry.

– Albo jego, albo inną Federację, albo rodziców zainteresowanej strony. Ale w sumie masz rację, tak to właśnie wygląda.

– Nadal jednak nie rozumiem – ciągnął z uporem Roman. – W przypadku łyżwiarza jeżdżącego w parze sprawa jest jasna, jeśli u nas nie ma partnerki, a może ją znaleźć gdzieś za granicą. Ale czemu odchodzi solista? Żeby zostać mistrzem jakiegoś małego kraju?

– Też zapytałem o to Wołyniec, a ona mi wyjaśniła, że złoty medal nie jest celem, pierwsze miejsce w małym kraju nikogo

nie zwiedzie, cały sportowy świat przecież doskonale wie, kto jeździ dobrze, a kto źle. Mistrz kraju ma jednak prawo uczestniczyć w międzynarodowych zawodach. A to rzecz nie do przecenienia. Sędziowie go zobaczą i zauważą... To ważne dla łyżwiarza, ale też dla kraju, który chce się pokazać na międzynarodowym turnieju, bo przecież wiele osób nie wie, gdzie ten kraj się znajduje i że w ogóle jest na mapie – wyjaśnił Anton, po raz kolejny spoglądając na zegarek.

Na widok jego miny Roman domyślił się, że ma zamiar się pożegnać. Z dziesięć minut ustalali jeszcze, kto co będzie robił, żeby znaleźć związek łączący Michaiła Bołtjenkowa z Inną Jefimową, po czym Anton pojechał do Moskwy, do dzieci.

===

Ten dobroduszny, rudowłosy chłopak o niebieskich oczach budził w Nasti Kamieńskiej głęboką sympatię i niemal macierzyńskie uczucia: był szczery i nie bacząc na specyfikę swojej pracy, pragnął wierzyć w zwycięstwo dobra i sprawiedliwości!

– Nie chce mi się wierzyć w to, co powiedziała Wołyniec Antonowi, Anastazjo Pawłowno. To przecież niemożliwe! Niech pani sama przyzna, że to forma niewolnictwa!

– Spróbujmy to sprawdzić – odparła.

Chłopak ma właściwe podejście – we wszystko powątpiewa, wszystko sprawdza, nie jest leniwy, lubi szukać informacji. Przypomina Nasti ją samą, gdy miała dwadzieścia pięć lat, jest tylko pewniejszy siebie. W jego wieku ona, Nastia Kamieńska, wszystkich się bała – zarówno szefów, jak i kolegów. Ale najbardziej bała się popełnić błąd.

Tymczasem Romek jest zupełnie inny, błąd to dla niego nie koniec świata, tylko źródło zdobycia nowego, pożytecznego doświadczenia. Ech, gdyby ona w młodości była tak mądra jak ten rudzielec! Oszczędziłaby sobie nerwów...

Nastia przyniosła swój komputer i Dziuba zasiadł do szukania informacji, ona zaś zabrała się do zmywania brudnych naczyń, które zostały po kolacji. Na górze panowała martwa cisza: Sania i Petruccio nie robili żadnego hałasu, siedzieli przy komputerach i prawie ze sobą nie rozmawiali. Od czasu do czasu rozlegały się tylko ciężkie kroki Pieti, gdy chłopak wychodził do toalety.

– Zaraz obejrzymy dokumenty Międzynarodowej Unii Łyżwiarskiej – mruczał Roman, otwierając kolejne odnośniki. – Są aż trzy: Konstytucja ISU, Przepisy ogólne ISU, Przepisy specjalne i techniczne dotyczące jazdy parami i tańców na lodzie. Niech pani zauważy, Anastazjo Pawłowno, że ISU ma własną konstytucję. To prawdziwe osobne, suwerenne państwo.

Perspektywa studiowania dokumentów regulujących funkcjonowanie łyżwiarstwa figurowego nie wydała się Nasti porywająca, niech Romek sobie czyta, skoro go to interesuje, ona tymczasem zatroszczy się o bratanka: pora go nakarmić i zmusić do zażycia lekarstw. Karmienie Sani, gdy jest w towarzystwie Petruccia, to zadanie dla osoby o stalowych nerwach. Odkąd Nastia pojawiła się w domu brata, ani razu nie udało jej się go wykonać. No bo jak, mili państwo, można zmusić osiemnastoletniego geniusza komputerowego, żeby zjadł kaszę manną, skoro przez cały dzień siedzi przy nim jeszcze mądrzejszy geniusz programowania, który przyniósł ze sobą ogromną torbę pełną chipsów, hamburgerów i coli? Łączą się tutaj dwa aspekty – psychologiczny z fizjologicznym: brak woli i chęci. Nastia zdawała sobie sprawę, że przecież obiecała bratu i jego żonie... Jednak zadanie wydawało się niewykonalne. Mimo to podejmowała wciąż nowe próby, szukała narzędzi oraz sposobów i w końcu problem przybrał formę zabawnej szarady, którą rozwiązywała chętnie i z pasją.

Podgrzała w kuchence mikrofalowej kaszkę ryżową, a na patelni solidną porcję pieczonej baraniny, ułożyła na talerzu pomidory pokrojone w grube plastry i marynowane ogórki,

umieściła wszystko na tacy, nie zapominając o chlebie, sztuczkach i serwetkach, i ruszyła na piętro. Sania i Petruccio siedzieli przy jednym komputerze, całkowicie czymś pochłonięci.

– Masz tutaj swoją kaszkę, Pietia – powiedziała Nastia bezbarwnym głosem, usiłując ukryć rozbawienie. – Zjedz, proszę, wszystko, bo jesteś na diecie, musisz dbać o zdrowie.

– Uhm – odruchowo rzucił Petruccio, nie odwracając głowy.

Chyba nawet nie słyszał, co powiedziała emerytowana niańka Sańki, ale na wszelki wypadek przytaknął, żeby prędzej się odczepiła.

– Dla ciebie, Sania, jest pieczeń, nie masz żadnych zakazów żywieniowych. I nie zapomnij dać tabletek Pieti.

Bratanek okazał się bardziej uważny i wyłowił uchem jakiś nieprzyjemny zgrzyt w wypowiedzi.

– Peter ma zjeść kaszkę, a ja? – zapytał, nie odrywając jednak oczu od ekranu.

– A ty nic – odparła Nastia. – Przecież powiedziałam: dla Pieti jest kaszka i tabletki. A ty się obejdiesz.

Szybko się odwróciła, zostawiając Sanię z osłupiałą miną, i zbiegła po schodach na dół. Romek siedział w kuchni połączonej z jadalnią ze wzrokiem wbitym w komputer i przez chwilę Nastia miała wrażenie, że znalazła się w surrealistycznym świecie, w którym jej pokolenie dożywa swoich dni na śmietniku, nikomu niepotrzebne, z naiwnymi i bezużytecznymi wyobrażeniami o uczuciach, emocjach i cierpieniach, a następne pokolenie nie jest zainteresowane życiem, pograżyło się w świecie bezdusznych maszyn i fałszywych informacji. Kto w takim razie chodzi po Ziemi, skoro jedni już zakończyli swoją tułaczkę, a drudzy nie zamierzają jej zaczynać?

– Anastazjo Pawłowno, może przeczytam pani na głos wymogi techniczne? – niespodziewanie zaproponował Dziuba.

Nastia się speszyła.

– Po co?

– Przecież to ciekawe!

Co za chłopak, wszystko wydaje mu się ciekawe...

– No to czytaj – zgodziła się Nastia. – A ja tymczasem obiorem ziemniaki, żeby moi mężczyźni mieli jutro ugotowane.

Dziuba wykonał polecenie.

– Artykuł trzysta drugi, punkt pierwszy: konkurencja par sportowych składa się z programu krótkiego i dowolnego.

– Bardzo pouczające – prychnęła Nastia. – Można by pomyśleć, że nikt o tym nie wie.

Przez chwilę szukała zwykłego noża, bo ten do obierania ziemniaków całkiem się stępił, i ocknęła się dopiero wtedy, gdy uznała, że się przesłyszała.

– Powtórz! – zażądała. – Bo chyba źle zrozumiałam.

– Artykuł trzysta dwa, punkt czwarty – posłusznie powtórzył Roman. – Skład pary: jedna kobieta i jeden mężczyzna.

Nastia parsknęła takim śmiechem, że aż wypuściła nóż z ręki.

– No coś ty, Romek? Dla kogo są te przepisy? Dla debili? Jedna kobieta i jeden mężczyzna! Myślałby kto! To dopiero odkrycie! To znaczy, że są inne możliwości? Para może się składać z dwóch kobiet i z trzech mężczyzn?

Dziuba zaczekał, aż Nastia się uspokoi, po czym zupełnie poważnie wyjaśnił:

– Nie ma się z czego śmiać, Anastazjo Pawłowno. Nawiasem mówiąc, to samo jest w artykule trzysta trzecim dotyczącym par tanecznych. To nie przypadek.

– Jak to?

– Natknąłem się na informację, że w pierwszej połowie dwudziestego wieku pojawiły się pary tej samej płci, dwie kobiety albo dwóch mężczyzn. Żeby tego uniknąć, wprowadzono osobny zapis do wymogów.

Nastia osłupiała.

– Mówisz serio? To niemożliwe? Zmyślasz!

– Wcale nie zmyślam – z urazą odparł Dziuba. – Oglądałem



film dokumentalny o historii łyżwiarstwa figurowego, była w nim o tym mowa. Widziałem zdjęcia na własne oczy.

– Nie wierzę.

– Daję słowo, Anastazjo Pawłowno! Jak pani chce, zaraz znajdę w sieci i pani pokażę.

– No to pokaż.

Nastia była święcie przekonana, że Romek coś poplątał, więc spokojnie obierała ziemniaki. Musiała ich obrać sporo: po pierwsze, za jakieś dwie godziny zjawi się Czistiakow, głodny jak wilk, a ostatnią porcję pieczeni właśnie oddała chłopcom. Zostało jeszcze trochę kaszki na mleku, ale sumienie nie pozwalało Nasti proponować jej mężowi. Po drugie, jutro Loszka będzie w domu, więc zarówno on, jak i Sania z Petrucciem (bez Petruccia się nie obejdzie, pewnie przyjdzie koło dwunastej i przesiedzi do późnego wieczora) będą musieli coś jeść.

Już w młodości Nastia Kamińska się nauczyła, że ugotowane wcześniej ziemniaki zawsze ratują sytuację – można je później podgrzać albo zalać rozmąconymi jajkami (nie zawadzi też wkroić pokrojoną w kostkę kiełbasę), wykorzystać jako bazę do niewymyślnej sałatki albo zjeść na zimno z olejem słonecznikowym i solą gruboziarnistą.

Romek szukał dość długo, co utwierdziło Nastię w przekonaniu, że wszystkie te bzdury mu się przyśniły i w filmie nie ma takich zdjęć.

– O proszę, znalazłem. Niech pani zobaczy.

Kamińska odłożyła do zlewu nóż wraz z obranym do połowy ziemniakiem i podeszła do komputera. Rzeczywiście, dwóch mężczyzn.

– Zaraz znajdę jeszcze parę składającą się z kobiet.

Nastia stała za plecami Dziuby, przyglądając się, jak chłopak szuka właściwego miejsca, od czasu do czasu zatrzymując film. Nagle jej uwagę przykuło coś dziwnego, a zarazem znajomego.

– Zatrzymaj – poleciła. – I cofnij trochę.

Na ekranie znieruchomiały linie i pętle tworzące ładny

element ornamentu. Te same linie i pętle, które widziała na obrazach wiszących na ścianach mieszkania Ałły Tomasziewicz.

– Co to takiego? – zapytała z napięciem w głosie.

Dziuba włączył odtwarzanie i Nastia usłyszała komentarz lektora:

„Do dzisiaj nikt nie potrafi powtórzyć słynnych figur, który kreślił na lodzie wybitny rosyjski łyżwiarz Nikołaj Panin-Kołomienkin”.

Ciekawe. Opowiadając o Żeni Zielenowie, Anton i matka Zielenowa, aktorka Tomasziewicz, wymienili nazwisko wielkiego łyżwiarza, który wykonywał kombinację skomplikowanych figur. A utalentowany Żenia umiał ją powtórzyć, wzbudzając tym zachwyt i zawiść innych łyżwiarzy. Tymczasem Ałła Władimirowna na pytanie Nasti o obrazy niefrasobliwie odparła, że autor jest jakimś malarzem, a jego obrazy podobają jej się dlatego, że działają na nią uspokajająco.

Czy Ałła Władimirowna mogła nie wiedzieć, że rysunki na obrazach są figurami Panina-Kołomienkina? Chyba nie, bo z dumą mówiła o talencie syna i o tym, że na lodzie nie miał sobie równych, że w odróżnieniu od wielu innych umiał powtórzyć te skomplikowane figury. A więc wiedziała. I nawet nie przyszło jej do głowy, że malarz, który je rysuje, też jest na pewno łyżwiarzem. Nic o nim nie wie. W ogóle jej nie interesuje. Dlaczego?

Jest w tym wszystkim jakaś nieprawidłowość. Matka tragicznie zmarłego łyżwiarza kupuje obrazy artysty, dawnego łyżwiarza, i nie ma pojęcia, że to sportowiec... Zresztą artysta wcale nie musiał być kiedyś łyżwiarzem, maluje na zamówienie. A zleceniodawcą jest Ałła Władimirowna, która robi to przez pamięć o zmarłym synu. W tej sytuacji nie może być jednak prawdziwe twierdzenie, że chodzi o jakiegoś malarza, o którym Tomasziewicz nic nie wie i którego w ogóle nie zna.

– Dlaczego oglądałeś ten film, Romek? Po co?

Dziuba wzruszył ramionami.

– To przecież ciekawe! Nic nie wiem na temat łyżwiarstwa figurowego. Nie miałem powodu, żeby się nim zainteresować. No a teraz wymaga tego praca. Trzeba wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Poza tym jestem zwyczajnie ciekaw. A dlaczego pani pyta? Źle zrobiłem?

– Dobrze. – Nastia się uśmiechnęła. – A nawet bardzo dobrze! Jesteś geniuszem, Romek, albo masz niesamowitą intuicję. Albo kieruje tobą niewidzialna ręka. Okazuje się, że mamy duże problemy z aktorką Tomasziewicz.

Opowiedziała Romanowi o obrazach w mieszkaniu Ałły Władimirowny. Dziuba ze zdziwieniem pokręcił głową i zwichrzył palcami rudą czuprynę.

– Jak pani sądzi, kiedy mam o tym powiedzieć śledczemu? A może na razie nie mówić?

– To zależy od tego, czy masz co napisać w raporcie – ze śmiechem odparła Nastia. – Jeśli nie masz, będziesz musiał powiedzieć, inaczej wyjdiesz na lenia, który przez dłuższy czas nie zrobił nic pożytecznego w sprawie. Jakie zadanie ci powierzono?

– Miałem szukać świadków w domu Łamzina. Bagłajew podejrzewa, że Łamzin przekazał do ekspertyzy nie to ubranie, w którym wybiegł za Bołtienkowem i które miał na sobie w chwili strzału. No a ja, szczerze mówiąc, liczę na to, że jest odwrotnie.

– I jak? Znalazłeś kogoś?

Roman westchnął ze smutkiem.

– Jeszcze nie. Stoję w miejscu i ani w tę, ani we w tę. Sama pani wie, że namierzanie mieszkańców i ich gości to prawdziwa mordęga.

– Wiem, wiem – uspokoiła go Nastia. – Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Nie jestem twoim szefem. A poinformowałaś Bagłajewa o nagonce na Anikiejewa?

– Jeszcze nie. Powiedziałem Witalijowi Nikołajewiczowi. Ale

Bagłajew wyśmiał go razem z tą hipotezą. Więc nie będę się pchał, niech myśli, że to pomysł prywatnych detektywów, a ja sumiennie wykonuję to, co mi zlecił. Uruchamiam informatorów, biorę w obroty nielegalnych rusznikarzy, krótko mówiąc, szukam śladów broni, z której zastrzelono Bołtienkova, a także jej związku z Łamzinem.

– No to pięknie. – Uśmiechnęła się. – Brawo. Umiejętne dozowanie informacji to gwarancja dobrej reputacji detektywa w oczach prokuratury i szefów wydziału kryminalnego. Ucz się, Romek. A propos Bagłajewa. Kiedyś miałam z nim do czynienia, ze dwa albo trzy razy, było to co prawda dawno, jeszcze kiedy pracowałam. Facet jest prawdziwym profesjonalistą, więc trochę się dziwię, że wam się nie układa. Rozumiem, że chodzi o tajemnicę śledztwa i tego rodzaju rzeczy... ale może mi zdradzisz, o co poszło?

Widziała, że Roman się waha i nie potrafi zdecydować, czy powinien powiedzieć jej o śledczym, czy zachować informacje dla siebie.

– Nie mogę, Anastazjo Pawłowno – wydukał w końcu, czerwieniąc się przy tym jak piwonia. – Proszę się nie gniewać. Pracuje pani przecież dla adwokata, więc na pewno mu pani powie, on zaś zdradzi się z tym przed Bagłajewem. A wtedy marny mój los, nikt mi tego nie daruje.

– Jasne. – Nastia westchnęła. – Nie gniewam się, rozumiem. Wprawdzie nigdy nie byłam na twoim miejscu, bo gdy pracowałam w wydziale, nie miałam styczności z prywatnymi detektywami, ale ogólnie rzecz biorąc, twój tok myślenia nie jest mi obcy. W takim razie sama opowiem ci o Timurze to, co pamiętam. A pamiętam dwie rzeczy. Po pierwsze, Timur strasznie nie lubi, gdy ktoś na niego krzyczy albo go popędza.

– Kto by lubił takie rzeczy! – zauważył Dziuba. – To się nikomu nie podoba. Mogę dostać jeszcze kawałek chleba, Anastazjo Pawłowno?

Nastia popatrzyła na niego z uśmiechem. Głodny, młody,

zaabsorbowany pracą. A ona myślała, że dzisiejsze uczelnie nie wypuszczają takich absolwentów. Szybko zrobiła ogromną kanapkę, kładąc na chleb wszystko jak leci – kiełbasę, ser, a także cienki plasterek gotowanej wołowiny przygotowanej dla Sańki. Łobuz i tak jej nie zje!

– Może herbaty? – zaproponowała, spoglądając na posilającego się detektywa.

– Nie trzeba, niech się pani nie kłopotce, wystarczy szklanka wody.

Ale Nastia, rzecz jasna, nałała mu herbaty.

– Wróćmy do rozmowy – powiedziała, siadając znowu przy stole naprzeciwko Dziuby. – Jak słusznie zauważyłeś, nikt nie lubi, żeby ktoś podnosił na niego głos i go popędział. A Timur szczególnie. W jego przypadku następuje tak zwane afektywne zaburzenie myślenia. Obiło ci się o uszy takie pojęcie?

– No pewnie. – Roman kiwnął głową. – Przerabialiśmy to na zajęciach z psychologii sądowej. Nawet pisałem trochę na ten temat w pracy, którą przygotowywałem na uczelniany konkurs. Ale Timur Achmedowicz nie wygląda na kogoś, kto cierpiałby na tę przypadłość. Jest bardzo spokojny, skupiony, we wszystkim lubi porządek i dokładność...

– No właśnie! Słusznie zauważyłeś! Człowiek w normalnym stanie, niezestresowany, zachowuje się w taki sposób, żeby się czuć komfortowo. Timur czuje się komfortowo, gdy wokół panuje spokój, wszystko odbywa się powolutku, według planu, w zgodzie z prawem i z przepisami. Gdy tylko pojawia się stres, traci grunt pod nogami, bo ktoś na niego krzyczy i go wyzywa, żąda od niego rzeczy, które są sprzeczne z jego poukładanym stylem bycia. I zaczyna popełniać błędy. Nie sugeruję, żebyś to wykorzystywał i wyprowadzał go z równowagi, nawet o tym nie myśl! – Nastia ostrzegawczo uniosła rękę. – Mówię ci o tym tylko po to, żebyś lepiej rozumiał jego postępowanie.

– Jasne, Anastazjo Pawłowno. A druga rzecz?

– Jaka druga?

Pochłonięta swoim wywodem, zupełnie zapomniała, co powiedziała na początku.

– Mówiła pani, że pamięta dwie rzeczy o Bagłajewie – przypomniał Dziuba.

Nastia poczuła bolesne ukłucie. Wiek, wiek... Kiedyś była dumna ze swojej pamięci, w każdej chwili mogła wyciągnąć z jej zakamarków dowolną informację, która kiedyś tam trafiła. A teraz nie. Minęło zaledwie parę minut, a ona już straciła wątek, zapomniała, od czego zaczęła. Niedobrze. Coś trzeba z tym zrobić.

– Tak. – Kiwnęła głową z roztargnieniem, próbując przepędzić irytujące, niefortunne myśli. I powtórzyła już bardziej stanowczo: – Tak. Druga rzecz. Nasz przyjaciel Timur Achmedowicz kolekcjonuje lapsusy językowe. Wiedziałaś o tym?

Niebieskie oczy Romka błysnęły i przybrały trudny do opisanego kolor.

– Lapsusy? To znaczy? Błędy? Niedorzeczne wypowiedzi?

– Właśnie. Więc jeśli chcesz sprawić mu przyjemność, zanieś mu coś takiego – poradziła Nastia.

– Skąd miałbym to wziąć? – z zakłopotaniem zapytał Roman.

– Poszukaj w pamięci, czytałeś przecież mnóstwo naszych służbowych dokumentów – powiedziała Nastia i natychmiast ugryzła się w język.

„Naszyc służbowych dokumentów...” Jakich „naszych”? Już dawno straciła prawo do tego słowa. Nie pracuje. Odeszła na emeryturę.

– Bagłajew zbiera tylko lapsusy z zakresu prawa? – uściślił Dziuba.

– Zgadza się.

Romek wznosił oczy w górę, zmarszczył czoło i poruszył ustami, próbując przypomnieć sobie coś odpowiedniego, po czym ze smutkiem spojrzał na Nastię.

– Nic mi nie przychodzi do głowy. Chyba że coś takiego: „Ślad pozostawił człowiek obuty w nierozdeptane jeszcze walonki”. To

z protokołu oględzin miejsca zdarzenia. Pamiętam, że pokładaliśmy się z chłopakami ze śmiechu, gdy to przeczytaliśmy. Nic więcej nie potrafię sobie przypomnieć.

Tymczasem Nastia nie miała z tym żadnego problemu! Czyżby to była prawda, że z wiekiem słabnie tylko pamięć krótkotrwała, a długotrwała pozostaje nienaruszona? W ciągu paru minut Kamińska zapomniała własne słowa, za to doskonale pamięta wspaniałe z uwagi na swoją niedorzeczność fragmenty starych dokumentów. Teraz owe cytaty mogą się przydać młodemu wywiadowcy.

– Zapisuj – rzuciła z uśmiechem.

Dziuba od razu sięgnął po leżący na stole tablet.

– „Podczas oględzin miejsca zdarzenia ustalono, że Dorina zakończyła życie, popełniając samobójstwo bez oznak przemocy, to znaczy powiesiła się prawidłowo” – zaczęła dyktować. – To z oględzin. Teraz z raportów milicjantów: „W parku znaleziono ciało Sizowa, który godzinę temu zmarł w szpitalu”. I jeszcze coś: „Zwróciłem się do Karpowa z prośbą, żeby przerwał chuligańskie wybryki, ale on nie zareagował należycie na moje uwagi, tylko z pomocą gitary darł się jak potępieniec i groził mi śmiercią”.

Roman śmigał palcem po klawiaturze sensorycznej, zapisując tekst. Widać było, że ma w tym dużą wprawę.

– Chciałbym to usłyszeć na własne uszy – powiedział z rozmarzeniem w głosie, notując ostatnie zdanie.

– Jeszcze jedno – ciągnęła Nastia – z protokołu ekshumacji zwłok: „Ekshumowanego nieboszczyka przekazano w celu powtórnego zbadania ekspertowi medycyny sądowej Siergiejewowi, którego po zakończeniu badania umieszczono w trumnie, zamknięto wiekiem, zabito gwoździami, opuszczono do grobu i zasypano ziemią, przywracając grobowi pierwotny wygląd”.

– Biedny Yorick. – Dziuba westchnął z udawanym smutkiem.

– Nieszczęsny ekspert Siergiejew. Ależ musiał mieć minę, gdy

przeczytał o sobie takie rzeczy...

– Co tu się dzieje? – rozległ się donośny głos Czistiakowa. – Dyktando na egzaminie z rosyjskiego?

Nastia drgnęła i się odwróciła. Pochłonięta rozmową, nie usłyszała, jak mąż wchodzi do mieszkania. Zresztą Loszka zawsze poruszał się niemal bezszelestnie. Nie to co ona, niezdarna i niezgrabna: wiecznie o coś zaczepi i na coś wpadnie...

– Ojej, dzień dobry – rzucił przestraszony Roman, zrywając się z krzesła.

Nastia podeszła do męża i go pocałowała.

– Cześć, kochanie. Czemu straszysz uczciwych ludzi? Zakradasz się jak złodziej nocą.

– Jestem przecież ciekaw, co porabia ukochana zoneczka podczas mojej nieobecności. – Losza się uśmiechnął. – Widzę, że przygarniasz młodych ludzi i uczysz, jak mają się poprawnie wysławiać. To godne pochwały. Dostanę coś do zjedzenia?

– Oczywiście.

Romek zaczął pośpiesznie się zbierać.

– Bardzo dziękuję za pomoc, Anastazjo Pawłowno. Będę już uciekał.

Nastia odprowadziła Dziubę do furtki i zrobiła parę głębokich wdechów, żeby poczuć zapach wilgotnego i zimnego, ale już wiosennego, a nawet niemal letniego powietrza.

– Dziękuję – jeszcze raz powtórzył Romek. – Nie boi się pani spędzać wieczorów sama w tak dużym domu? Wokół ciemno, sąsiedzi daleko, posesje ogromne, w razie kłopotów nikt pani nie usłyszy. Mąż zawsze tak późno wraca?

– Ależ skąd. – Nastia się roześmiała. – Raczej odwrotnie, przeważnie siedzi tutaj, pracuje w domu, ale kiedy wybiera się do swojego instytutu, stara się zrobić jak najwięcej i rozwiązać wszystkie bieżące problemy, żeby móc później pobyć w domu przez parę dni. Dlatego jeśli już wyjeżdża do pracy, wraca koło północy. A zresztą nie jestem sama, na górze siedzą dwaj



leserzy, jeden ma osiemnaście lat, drugi jest trochę starszy, przecież go widziałeś, przyszedłeś razem z nim poprzednim razem.

– Pamiętam. – Romek się uśmiechnął. – Widziałem Pietię, nawet z nim rozmawiałem. Jeżeli drugi jest tak samo zwariowany na punkcie komputerów, to kiepscy z nich obrońcy. Ma pani chociaż broń w domu?

– Gdzie tam – pogodnie odparła Kamieńska.

– A dobrze pani strzela?

– Strzelam naprawdę dobrze. – Roześmiała się. – Ale tylko dla własnej przyjemności. Regularnie odwiedzam strzelnicę, żeby potrenować. Bo w życiu codziennym chyba mi się nie przyda ta umiejętność.

Zerknęła na zegarek.

– Jeśli chcesz zdążyć na pociąg o dwudziestej trzeciej siedemnaście, musisz już lecieć.

Wcisnęła guzik breloka otwierającego furtkę od środka, ale Dziuba wciąż stał i się wahał, jak gdyby chciał powiedzieć coś jeszcze.

– O co chodzi, Romek?

– Może mi pani powiedzieć, Anastazjo Pawłowno, gdzie Tomaszewicz ma w nocy zdjęcia? Zdaje się, że już się pani dowiadywała.

Nastia z ciekawością popatrzyła na detektywa. Ma rację, po co tracić czas. Jeśli wiadomo, gdzie przebywa teraz Ała Władimirowna, czemu tam nie pojechać i z nią nie porozmawiać? Pokusa okazała się tak wielka, że Nastia Kamieńska nie potrafiła jej się oprzeć.

– Zaczekaj chwileczkę – poprosiła. – Nie odchodź, zaraz wrócę.

Pobiegła do domu, gdzie Czistiakow, już przebrany, siedział przy stole, czekając na kolację.

– Loszyk, muszę pojechać z Romkiem w pewne miejsce – powiedziała pośpiesznie, wyjmując z lodówki to, czym zamierzała uraczyć męża.

– Wcale mnie to nie dziwi – prychnął Czistiakow. – Wybór między młodym a starym facetem jest oczywisty.

– Proszę cię, Loszka – jęknęła, wsuwając plastikowy pojemnik do kuchenki mikrofalowej i stawiając patelnię na kuchenkę – naprawdę muszę, to przecież moja hipoteza, mój wynik. Nie gniewaj się, proszę.

– Wcale się nie gniewam. – Aleksiej parsknął śmiechem. – Tylko lubię na ciebie patrzeć, gdy czujesz się winna. To rzadki widok. Zawsze masz przecież rację.

– Nieprawda. – Nastia z ulgą przyjęła słowa męża. – Przeważnie nie mam racji, toteż ciągle towarzyszy mi poczucie winy i braku własnej wartości. To co, leczę?

– Leć. – Czistiakow skinął głową, otwierając książkę. – Dziecko w porządku? Są jakieś zalecenia?

– Dziecko jest z Pietią, zaniósłam obu jedzenie, ale nie jestem pewna, czy coś tknęli. Przypomniałam o lekarstwach. Mikrofalówka jest ustawiona na trzy minuty, palnik pod patelnię wyłącz za pięć minut – wyrecytowała Nastia, sznurując adidasy. – Nie zapomnij wziąć chleb. Musztarda do mięsa jest w lodówce.

– Może lepiej już idź, dobrze? – żartobliwie poprosił Aleksiej. – Bo bez ciebie jestem jak dziecko we mgle...

Nastia wypadła na schody, trzymając w ręku kluczyki od samochodu. Dziuba posłusznie stał przy furtce, w tym samym miejscu, gdzie go zostawiła. Parę minut później jechali już w kierunku MKAD-u. Droga do miasta pod Moskwą, gdzie w jednym z klubów trwają nocne zdjęcia do serialu z udziałem Ałły Tomasziewicz, zajmie im koło godziny. Jeśli będą mieli oczywiście szczęście i autostrada nie okaże się zapchana tirami, które mogą się poruszać dopiero po dwudziestej drugiej.

===

Zaparkowanie samochodu przed klubem, w którym odbywały

się zdjęcia, nie było łatwe: wjazd blokowały terenówki, autobusy i mnóstwo aut. Nastia znalazła miejsce dopiero trzysta metrów dalej, później oboje z Dziubą ruszyli pieszo.

– Pomożesz sforsować ochronę, Romek, bo masz legalne papiery, a ja porozmawiam z Ałłą, dobrze?

– Oczywiście, Anastazjo Pawłowno – potulnie przytaknął Dziuba.

Gdy udało im się wreszcie dotrzeć na plan filmowy, okazało się, że Ałła Władimirowna nakłada charakterystyczną: zaplanowane na dzisiaj sceny z jednego odcinka już nakręcono, teraz należało sfilmować to, co będzie się działo w następnym, a w nim aktorka wygląda inaczej. Musieli więc poczekać.

Na widok Nasti kobieta przyjaźnie pomachała ręką.

– Przyszła pani zobaczyć, jak kręci się serial? – Skupiona i energiczna Ałła Władimirowna nie wydawała się w ogóle zmęczona.

Co za okropny zawód, pomyślała Nastia, patrząc na aktorkę. Pierwsza w nocy, jeszcze dwie godziny zdjęć, z fizjologicznego punktu widzenia to najbardziej nieodpowiedni czas do działania. Pracę w nocy zawsze uważano za szkodliwą dla zdrowia, za nocne zmiany płacono więcej, nawet jeśli obowiązki nie były uciążliwe i wystarczało jedynie siedzieć. A tutaj człowiek sobie nie posiedzi. Jak oni to wytrzymują?

– Chciałam panią zapytać, Ałło Władimirowno, co przedstawiają obrazy, które wiszą w pani mieszkaniu? – Nastia uznała, że nie ma sensu tracić czasu na ceregiele.

W oczach aktorki błysnął niepokój i chyba niezadowolenie.

– To po prostu rysunki, już pani mówiłam.

– Muszą jednak coś znaczyć, symbolizować – z uporem ciągnęła Kamieńska. – Więc pytam panią: co one znaczą?

– Zupełnie nic. – Tomasziewicz odpowiadała spokojnie, ale Nastia wyraźnie słyszała w jej głosie zakłopotanie pomieszane ze złością.

– Kim jest autor obrazów, Ałło Władimirowno?

– Już pani o to pytała. A ja odpowiedziałam, że nie wiem. Jakiś malarz.

– Jak się nazywa?

– Nie pamiętam. Nosi jakieś proste nazwisko. Nie rozumiem, co mają do tego obrazy i jakiś malarz! Odwiedziła mnie pani, żeby powiadomić o zabójstwie trenera Żenieczki, to przynajmniej potrafiłam zrozumieć! – Złość brzmiała coraz wyraźniej i Nastia już nie wątpiła, że są z Dziubą na dobrej drodze. – Jaki związek z trenerem mają moje obrazy?!

– Niech się pani nie denerwuje, Ałło Władimirownno – odparła pojednawczo. – Obrazy przedstawiają figury wybitnego łyżwiarza Panina-Kołomienkina. Pani syn był jednym z niewielu, a może nawet jedynym łyżwiarzem, który potrafił je powtórzyć. Nie może pani o tym nie wiedzieć. Więc kim jest autor? Jak się nazywa?

Tomaszkiewicz chyba nieco ochłonęła, w każdym razie jej głos brzmiał łagodniej i bardziej głucho.

– Naprawdę nie wiem.

– No dobrze, a skąd pani bierze obrazy? Przecież nie spadają z nieba, prawda? Gdzieś ich pani szuka, a potem je kupuje...

– Nie! – prawie krzyknęła aktorka, ale od razu się opanowała i dodała ciszej: – Nie szukam ich i nie kupuję. Ktoś mi je przywozi.

– Kto?

– Znajoma.

– W każdej chwili może być pani wezwana na plan, Ałło Władimirownno – z wyrzutem powiedziała Nastia. – Tymczasem gra pani na zwłokę, mając pewnie nadzieję, że nie zdążę zadać wszystkich pytań. Skończmy tę zabawę. Kto przywozi obrazy?

– No... Ola.

Znowu to samo! Jak dorosła kobieta, niemłoda, po pięćdziesiątce, może się łudzić, że wszystko rozejdzie się po kościach, że policja zostawi ją w spokoju, nie uzyskawszy potrzebnych odpowiedzi? To prawda, że Anastazja Kamińska

nie ma nic wspólnego z policją, Ała doskonale wie, że Nastia jest jedynie prywatnym detektywem, nie działa oficjalnie i nie jest niebezpieczna. Ale obok niej stoi przecież starszy lejtnant Dziuba, stuprocentowy gliniarz z legitymacją służbową, którą, rzecz jasna, pokazał Tomasziewicz. Więc na co ona liczy? Na łut szczęścia? Czy na głupotę rozmówców?

– Jaka Ola? – cierpliwie zapytała Nastia. – Ma jakieś nazwisko? Rok urodzenia? Adres? Numer telefonu?

– Witort. Olga Witort – niechętnie wybąkała Tomasziewicz. – Nie znam dokładnego roku urodzenia, myślę, że jest po trzydziestce. Adresu też nie znam, nigdy jej nie odwiedzałam.

– A telefon?

– Nie potrafię podać z pamięci, mam zapisany w komórce.

– Więc niech pani łaskawie sprawdzi – z uporem poprosiła Kamieńska.

– Nie wzięłam ze sobą telefonu, przecież pani widzi, że jestem ubrana do zdjęć.

– Dobrze. – Nastia ustąpiła. – Nie to nie. Dziękuję, Ałło Władimirowno. Jeśli zajdzie potrzeba, odwiedzę panią znowu. – Umilkła na chwilę, po czym chytrze się uśmiechnęła i dodała: – Albo zrobi to ktoś inny. Ale wtedy rozmowa będzie mniej przyjemna.

Gdy tylko opuścili budynek klubu, Kamieńska wyjęła telefon z torebki.

– Nie śpisz jeszcze?

– Nie – odparł roztargniony głos.

– Pietia już poszedł?

– Nie.

– Poproś go, żeby został, będę za jakieś czterdzieści minut – powiedziała.

– Gdzie będziesz? – Bratanek chyba się ocknął.

A jednak miała rację, podejrzewając, że chłopak nie reaguje tylko na rzeczy przewidywalne. Każde naruszenie rutynowego ciągu informacji powoduje, że Sania przynajmniej trochę

przytomnieje.

– W domu – odparła ze śmiechem, maszerując z Dziubą w stronę samochodu.

– To gdzie jesteś? Nie w domu?

– Mam randkę. Z młodym kochankiem. Zaraz przywiozę go do domu, to się poznacie.

– Ojej... – Tym razem był wyraźnie zaskoczony. – A gdzie jest wujek Losza?

– W domu, w domu, uspokój się. No więc tak: nie puszczaj Pieti, sam też się nie kładź, obaj będziecie mi potrzebni. Zrozumiałeś?

– A co z wujkiem Loszą? – zapytał zbity z tropu Sania.

– Nic – rzuciła Nastia i się rozłączyła.

Bardzo dobrze. Po pierwsze, Sania na własnej skórze poczuje, jak to jest, gdy ktoś rozmawia, używając wyłącznie wykrzykników, i niczego nie tłumaczy. A po drugie, gdy tylko Nastia znajdzie się w domu, zaprzęgnie do pracy młodych geniuszy komputerowych. Mogą przynieść pożytek, jeśli nie krajowi, to przynajmniej tym, którzy wyjaśniają przestępstwa.

– Mam nadzieję, że Sania i Petruccio znacznie ułatwią nam zadanie – powiedziała, wsiadając do samochodu. – Dokąd cię podrzucić? Gdzie mieszkasz?

Romek milczał, wpatrując się w swoje wytarte dżinsy.

– Roo-mek! – zawołała nieco głośniej. – Słyszysz mnie? Pytam, dokąd cię podrzucić?

Dziuba podniósł na nią oczy.

– Mogę pojechać z panią, Anastazjo Pawłowno? Czy nie wypada?

– Wypada – odparła bez wahania. – Nie tylko wypada, ale należy. Może trzeba będzie na gorąco omówić to, czego się dowiemy, i sporządzić plan działania, żeby rano nie tracić czasu.

– Pani mąż nie będzie temu przeciwny?

Nastia posłała Romanowi kpiące spojrzenie.

– Żeby mój mąż zaczął się sprzeciwiać i niepokoić, musiałabym przyprowadzić do domu Placida Dominga albo Anthony’ego Hopkinsa. Postaci mniejszego kalibru nie mogą wzbudzić w nim zazdrości. Za dobrze mnie zna.

Dziuba milczał zmieszany. Wyglądało na to, że się zastanawia, czy starszy lejtnant policji może rywalizować z wielkim śpiewakiem albo aktorem. I chyba doszedł do wniosku, że nie, nie może.

===

Nad ranem pokój Sani Kamieńskiego przypominał wysypisko śmieci z epoki katastrof technogenicznych. Na podłodze poniewierały się opakowania po fast foodach i puste plastikowe butelki, pokryte zadrukowanymi kartkami, które pokreślono na kolorowo: Sania i jego przyjaciel Petruccio szukali informacji na temat Olgi Witort, bezczelnie włamywali się do jej skrzynki pocztowej, czytali korespondencję, przechodzili dalej, wykorzystując adresy jej rozmówców, kopiowali fragmenty dyskusji, w których uczestniczyła, i je drukowali... Nastia i Roman szybko wszystko przeglądali, zaznaczając flamastrami to, co wydało im się ciekawe i znaczące, a młodzi mistrzowie kontynuowali poszukiwania. Co chwila w pokoju zjawiał się Czistiakow, przynosił świeżo zaparzoną kawę dla Nasti i kolejną butelkę zimnej wody mineralnej dla Dziuby.

Za każdym razem na widok męża Nastia prosiła: „Posłuchaj tego, Losza...”, „Przeczytaj to, Losza, bo może coś przeoczyliśmy...”, „Zerknij tutaj, Losza...”.

W końcu Aleksiej przyniósł swojego laptopa i włączył się do pracy. Po pewnym czasie Nastia zauważyła, że Piotr z szacunkiem popatruje na jej męża.

– Młody spec docenił starego grzyba – powiedziała szeptem do Dziuby.

– To dobrze – odparł tak samo cicho. – Bo widzi w pani

wyłącznie zramolałą staruszkę.

Nastia parsknęła śmiechem i natychmiast rozejrzała się przestraszona, czy nikt nie zauważył, że ona świetnie się bawi, podczas gdy wszyscy ciężko pracują. Ale nikt nie zauważył, bo wszyscy rzeczywiście pracowali.

Parę minut po siódmej przed Nastią leżał starannie wydrukowany tekst stanowiący komplet informacji, które udało się znaleźć w Internecie. Adres zamieszkania Olgi Witort, miejsce pracy, wykształcenie, lista najbliższych krewnych, których okazała się zaledwie garstka, nazwiska przyjaciół, z którymi aktywnie korespondowała. Nawet analiza danych owych przyjaciół, pozwalająca wyodrębnić tych, z którymi warto porozmawiać w pierwszej kolejności. Olgę Witort należało wziąć pod lupę, jeszcze zanim dojdzie do osobistej znajomości.

Nastia wysłała Romana do domu, żeby się przespał, a sama usiadła przy biurku, umieszczając przed sobą informacje o internetowych znajomych Olgi. Na czatach Witort podpisuje się różnie, czasami imieniem „Olga”, ale przeważnie używa nicków, na przykład „Lara Croft”. To znamienne. Świadczy o tym, że młoda kobieta, która przywozi Alle Tomaszewicz obrazy zagadkowego malarza związanego z łyżwiarstwem figurowym, uważa się za osobę zdecydowaną, twardą i niezwykle sprawną fizycznie. Prawdziwa Lara Croft z popularnego filmu nie zna litości dla wrogów i beznamiętnie ich zabija, gdy uzna, że to sprawiedliwe. A Olga Witort? Jak bardzo przypomina swoją ulubioną bohaterkę?

Trzeba dowiedzieć się wszystkiego, co tylko możliwe na temat Olgi, ale tak, żeby jej nie spłoszyć. Nastia jeszcze raz przebiegła wzrokiem informacje o przyjaciółkach i wytypowała niejaką Albinę, która, jeśli wierzyć temu, co pisała o sobie w sieci, zajmuje się małym dzieckiem. To znaczy, że jest szansa, by ją zastać bez uprzedniego umawiania się i porozmawiać w cztery oczy. Dziewczyna nie wspominała ani o niani, ani o mamie czy teściowej, które pomagają jej przy dziecku.



Przypuszczenia Nasti się sprawdziły, Albina była w domu. Sympatyczna, pogodna młoda kobieta trzymała na rękach dziewięciomiesięczne dziecko i patrzyła na nie z takim wyrazem twarzy, że mogłaby pozować do obrazu Madonny.

Nastia się przedstawiła, pokazała legitymację prywatnego detektywa i powiedziała, że Olgą Witort zainteresowała się duża firma, której nazwy nie może jednak wyjawić, a która zamierza złożyć Oldze propozycję pracy, ale najpierw chce zebrać informacje o kandydatce. Kłamstwo było niewinne i nie do sprawdzenia: nawet jeśli Albina powie o tym przyjaciółce, Nastia ma prawo nie zdradzać nazwy firmy. Młoda mama ze zrozumieniem skinęła głową.

– To świetnie! Ola jest zdolna i niezwykle pracowita, zasługuje na lepszą posadę niż ta, którą ma teraz. Nie wiem tylko, czy będę mogła pani pomóc, ostatnio rzadko się widzimy, mimo że dawniej bardzo się przyjaźniłyśmy i byłyśmy nierozłączne.

– A co się stało? Dlaczego przestałyście się spotykać?

– Nic się nie stało, ale odkąd urodziłam dziecko, nie mam czasu dla koleżanek, chyba pani wie, ile sił zabiera opieka nad noworodkiem.

Albina dotknęła ustami głowy dziecka i błogo przymknęła oczy, wdychając jego zapach.

– Gdy trafiała się wolna chwila, przeznaczałam ją na sen, muszę się przyznać, że wciąż chce mi się spać, nawet jeszcze teraz. – Albina uśmiechnęła się z zakłopotaniem i znowu pocałowała dziecko. – No a Ola dużo czasu poświęca Alle Władimirownie, więc ciężko nam znaleźć parę godzin, żeby się spotkać. Ale regularnie do siebie dzwoniemy. I prawie codziennie rozmawiamy w sieci, wymieniamy chociaż parę zdań.

Nastia zrobiła zdziwioną minę.

– Ała Władimirowna? Kto to taki? Jej mama?

– Ała Tomasziewicz, aktorka. Zna ją pani?

– Słyszałam o niej – ostrożnie odparła Nastia. – Tylko nie wiem, czy dobrze zrozumiałam: Olga i Tomasziewicz są

spokrewnione?

– Ależ skąd, o żadnym pokrewieństwie nie ma mowy! Olka jest zapatrzona w Ałłę Władimirownę już od dawna, niemal od dziecka. Kobieta jest jej bożyszczem. Ola stara się być użyteczna i pomocna. Tak naprawdę Ałła to nieszczęśliwa osoba, mimo że jest słynną aktorką, ma dużo pieniędzy i wszyscy rozpoznają ją na ulicy. Najpierw straciła syna, później męża. A przedtem przez dwadzieścia lat nie grała w filmach, dostawała tylko epizodyczne role w teatrze. W sumie nie ma czego zazdrościć. Olka wspiera Ałłę i się nad nią lituje.

– Jaki charakter ma Olga?

– A czemu pani pyta? – Albina nagle się zaniepokoiła. – Przecież powiedziała pani, że z Olą wszystko w porządku, że zbiera pani o niej informacje jako o kandydatce do pracy. Oszukała mnie pani? Ola coś wywinęła?

– Nic nie wywinęła, niech się pani nie denerwuje – pośpiesznie odparła Nastia. – Firmie bardzo zależy na Oldze, ale sprawa jest delikatna, nie można się pomylić. Stanowisko jest odpowiedzialne, dobrze płatne, wiąże się jednak z wieloma obowiązkami i dostępem do poufnych danych, więc wymaga kryształowej uczciwości i nienagannej opinii.

– O to może się pani nie martwić! Jeśli trzeba ciężko pracować, nie znajdziecie nikogo lepszego niż Ola. Stanie na głowie, dokona rzeczy niemożliwych, ale zrobi wszystko, co trzeba.

– A co z kondycją fizyczną? Może na przykład nie spać przez dwie, trzy doby? Bo w firmie często ogłaszany jest stan pogotowia...

– Ależ oczywiście! Olka jest silna i wytrzymała jak wielbłąd, od lat uprawia fitness, ma stalowe mięśnie.

– Umie strzec cudzych sekretów?

– Naturalnie! – gorąco zapewniła Albina.

Widać było, że ze wszystkich sił stara się pomóc przyjaciółce w otrzymaniu nowej, dobrze płatnej pracy i szczerze się nią

przejmuje.

A więc rozwinięta fizycznie, wytrzymała, z wysokim potencjałem i na dodatek zapatrzona w Ałłę Tomasziewicz... Jeszcze w nocy, wyszukując posty podpisane przez Larę Croft, Nastia i Dziuba zwrócili uwagę, że najmniejsza wzmianka o Alle Tomasziewicz w blogach poświęconych teatrze i kinie nie pozostawała bez komentarza Lary. Dziewczyna włączała się do dyskusji i zaciekle broniła aktorki przed napaściami, a nawet wieloznacznymi aluzjami. Tak, Olga Witort była rzeczywiście oddaną wielbicielką aktorki. I chyba nadawała się do roli zabójczynie człowieka, który był pośrednio winien śmierci Żeni Zielenowa, syna Ałły Władimirowny.

Jeśli tak jednak jest, powinna być widoczna pewna konsekwencja... Bołtienkow odpowiada za chorobę Żeni. Ale przecież o to samo można oskarżyć lekarza sportowego, który stwierdził, że stan zdrowia Zielenowa pozwala mu trenować i brać udział w zawodach. Można też oskarżyć jego partnerkę Sonię, która zdradziła ukochanego. A także trenera – wielkiego amatora sypiania z uczennicami. Wszyscy są pośrednio winni. Dlaczego wybrano tylko Bołtienkova?

A niby czemu uznałam, że tylko Bołtienkova? – zapytała samą siebie Nastia. Może pozostali już dawno nie żyją. Przecież nie znam nawet ich nazwisk... No i dobrze, jak Romek się obudzi i do mnie zadzwoni, dam mu nowe zadanie.

===

Jeśli Anastazja Kamieńska sądziła, że po nocnej szycie Romek Dziuba będzie wylegiwał się w łóżku do południa, to się pomyliła. Starszy lejtnant zdrzemnął się w kolejce podmiejskiej, a później w metrze i o dziesiątej rano był gotów do dalszego działania. Na przykład do wizyty w biurze spółki Oxygen, gdzie Olga Giennadjewna Witort zajmowała stanowisko kierowniczkę działu zakupów artykułów nieżywnościowych.

Zadanie pokonania rzeszy surowych ochroniarzy i nieustępliwych dziewcząt w recepcji wielopiętrowego biura okazało się niełatwe, ale Romek użył całego swego uroku osobistego, wspartego legitymacją służbową oraz wymyślonym na poczekaniu kłamstwem, żeby go wpuszczono i żeby się nie rozeszło, że interesuje się akurat Olgą Witort z firmy Oxygen.

W budynku mieściły się biura dziesiątek spółek i firm. Romanowi udało się przekonać cały personel parteru, że w ramach pracy nad jakąś mityczną sprawą karną zajmuje się badaniem cen brazylijskiej kawy. Prowadząc pertraktacje, zdążył przebiec wzrokiem i zapamiętać wiszącą na ścianie listę najemców pomieszczeń biurowych wraz ze wskazaniem pięter, na których znajdowały się firmy.

Znalazłszy się na właściwym piętrze, wpadł prosto na sympatycznego chłopaka o pogodnej, szczerzej twarzy.

– Wiesz może, gdzie jest dział zakupów? – zapytał Dziuba.

– Jakich? – Nieznajomy posłał mu kpiące spojrzenie. – Tych działów jest tutaj do licha i trochę. Każdy dotyczy innej grupy artykułów.

Roman przypomniał sobie, że dział, któremu szefowała Witort, miał jakąś długą nazwę. Wygląda na to, że ważne jest każde słowo...

– Artykułów... nieżywnościowych. – Ucieszył się, gdy w końcu udało mu się przypomnieć.

– To tamte drzwi po prawej na końcu korytarza, zobaczysz wywieszkę – bez wahania odparł chłopak. – Dziewczyny są na miejscu, ale jej akurat nie ma, więc idź śmiało, nikt cię nie ugryzie.

– Jej, to znaczy kogo? – zdziwił się Dziuba.

– No jak to kogo? Lary. Przyszedłeś przecież do Lary, tak? Czy może do kogoś innego?

– A tak, do Lary. Dziękuję – pośpiesznie odparł Roman.

Czyli nawet pracownicy nazywają ją Larą Croft... Olga Witort

musi mieć ciekawą opinię!

Dotarł do drzwi, obok których wisiała tabliczka informująca, że właśnie tutaj znajduje się dział zakupów artykułów nieżywnościowych, i wszedł bez pukania. Przy trzech biurkach siedziały dwie dziewczyny i młody mężczyzna. Panie były pochłonięte rozmową, a mężczyzna spoglądał w zamyśleniu na ekran komputera, na którym widniała jakaś tabelka z liczbami.

Gaduley zauważyły gościa i obdarzyły go czarującymi uśmiechami.

– Pan do nas? – kokieteryjnie zapytała jedna z nich, a druga od razu zauważyła:

– Bo jeśli nie do nas, to niepotrzebnie się pan fatygował. Olgi Giennadjewny dzisiaj nie będzie, pojechała z szefem na negocjacje.

– Ojej, przepraszam, ale ze mnie gapa. – Roman udał zakłopotanie. – Chyba pomyliłem drzwi. Szukam Megamedu. To nie tutaj?

Doskonale wiedział, że biuro firmy Megamed znajduje się na innym piętrze. Ale przecież nie może zdradzić prawdziwego celu swojej wizyty...

– Pomylił pan nie drzwi, lecz piętra. – Dziewczęta parsknęły śmiechem. – Megamed jest dwa piętra wyżej.

– Dziękuję!

Ogólnie rzecz biorąc, był zadowolony z wizyty. Po pierwsze, przekonał się, że informacja w Internecie się nie zestarzała. Olga Witort rzeczywiście pracuje tutaj. Co więcej, nie jest na urlopie, w delegacji czy na zwolnieniu. Po drugie, poznał z grubsza opinię, jaką kobieta cieszy się wśród kolegów. Teraz można ruszać dalej. Nie zawadziłoby obejrzenie nieoficjalnie mieszkanie Witort, ale najpierw należy sprawdzić jej alibi na czas zabójstwa Michaiła Walentinowicza Bołtienkowa.

W tej sytuacji Roman zadzwonił do Kamieńskiej.

– Nie śpisz? – zdziwiła się. – Myślałam, że odsypiasz noc.

– Już się wyspałem. Mogę skorzystać z pomocy pani

bratanka?

– Pewnie, jeśli tylko jest w domu. A do czego ci Sańka?

– Chcę sprawdzić alibi Olgi Witort. Jest tylko jeden sposób, żeby zrobić to tak, by się o niczym nie dowiedziała.

– Jasne – ze śmiechem odparła Kamińska. – Nie mam nic przeciwko. Zaraz będę na placu Gagarina, a ty gdzie teraz jesteś?

Okazało się, że Roman jest dość daleko, ale szybko udało im się uzgodnić miejsce, skąd Kamińska zabierze go swoim samochodem, żeby zawieźć do pasjonata programowania.

– Wpadłem na pewien pomysł – oznajmił Roman, podczas gdy samochód włókł się zapchaną autostradą. – Trzeba znaleźć w Internecie listę pracowników firmy Oxygen, a jeśli się uda, listę pracowników działu, w którym pracuje Witort, później odszukać ich pocztę i ją zhakować. Przejrzeć ich prywatną korespondencję, rozumie pani? Całkiem możliwe, że w listach, którymi się wymieniają, znajdą się jakieś plotki i inne informacje. Na przykład o naradach albo delegacjach z udziałem Olgi. A więc najpierw trzeba jeszcze raz wejść na jej skrzynkę pocztową i uważnie przeczytać, co i do kogo pisała mniej więcej dzień przed zabójstwem Bołtienkowa, a także zaraz po jego śmierci. Jeśli dokądś poszła i gdzieś była, trzeba to sprawdzić. A później zestawzić z korespondencją jej pracowników i przyjaciół. Źle tłumaczę?

Odniosł wrażenie, że na twarzy Kamińskiej odmalowała się nuda, jakby plótł same bzdury. Poczuł się nieswojo.

– Tłumaczysz rzeczywiście nie najlepiej – odparła z uśmiechem. – Ale rozumiem, o co ci chodzi. Teraz posłuchaj moich wniosków. Alibi Olgi trzeba koniecznie sprawdzić, tutaj masz rację. Sprawdzić je należy tak, żeby pod żadnym pozorem się nie zorientowała. Ale zanim zajmiemy się Olgą, musimy przyjrzeć się jeszcze trzem osobom: lekarzowi sportowemu, który pozwolił Jewgienijowi Zielenowowi wziąć udział w zawodach, partnerce Zielenowa, Soni, oraz ich ostatniemu

trenerowi, który mieszka obecnie w Sankt Petersburgu. Należy koniecznie ustalić ich nazwiska oraz miejsce pobytu. Jeśli nic im nie jest, możliwe, że z Olgą się pośpieszyliśmy. Ale jeśli ktoś z nich stał się ofiarą przestępstwa, będziemy musieli wziąć Olgę w obroty. Dlatego jedziemy teraz do mnie i padamy Sańce do nóg, jeśli jest w domu. Żeby się z tym wszystkim szybko uporać, potrzebujemy świetnie oprogramowanego kompa. Do jawnych informacji dotarlibyśmy sami, tylko toby trochę potrafiło. Ale włamać się do czyjejs poczty żadne z nas nie potrafi. – Zerknęła na niego i powtórzyła: – Mam rację?

– Owszem – potwierdził Romek, doskonale wiedząc, że jest nieszczerzy.

Poradziłyby sobie. Ale potrzebowałyby do tego kompa z odpowiednimi programami, takiego, jaki ma Sańka albo jego przyjaciel Pedro. Dziuba nie ma takich programów ani w swoim domowym komputerze, ani tym bardziej w biurze na Pietrowce.

Gdy otworzyła się brama prowadząca na posesję Kamieńskich, oczom Romka ukazał się iście idylliczny obrazek: grubas Pietia siedział na kamiennych stopniach przed wejściem i z rozmarzeniem na twarzy zajadał hamburgera, a może cheeseburgera – z daleka trudno było dostrzec. Dziuba wysiadł z samochodu i ruszył w stronę chłopaka, a Kamieńska wjechała do garażu.

– Co tutaj robisz?

– Czekam na Sańkę – nieśpiesznie odparł Petruccio.

– To znaczy, że w domu nikogo nie ma? A gdzie jest Aleksiej Michajłowicz?

– Tnie komara – beznamiętnie rzucił Peter. – Nie wszyscy są przecież takimi twardzielami jak ja i Sańka. On jest stary, musi odpoczywać.

Stary, z wyrzutem pomyślał Roman. Co to za starość? Sam przecież widziałeś, że potrafi nie mniej, a może nawet więcej od ciebie.

Ale na głos powiedział zupełnie coś innego.

- Gdzie Sańka? Na uczelni?
  - Podrażował do sąsiadów, prosili, żeby zajrzał do ich kompa, bo to straszna padaka.
  - Kiedy wróci?
  - Cholera wie... – Pietia wzruszył ramionami. – To zależy.
  - A mógłbyś włączyć jego komputer? – ciągnął Dziuba.
  - Żaden problem. A to konieczne?
  - Konieczne. I pilne.
  - Oki-doki.
- Piotr milczał przez chwilę, a później zapytał:
- Słuchaj, a co my właściwie robiliśmy przez całą noc?
- Roman osłupiał.
- Jak to co? Szukałeś dla nas informacji i nie wiesz, co robiłeś? Masz coś z głową?
  - No wiem, czego szukałem, ale nie trybię po co. Poprosiliście, nie ma sprawy, trzeba pomagać bliźniemu... Ale po co to wszystko robiliśmy?
- Dziuba spojrzał uważnie na Piotra i pokręcił głową z dezaprobatą.
- Ogólnie rzecz biorąc, pomagaliśmy wszyscy Anastazji Pawłownie. To się wiązało z jej pracą.
  - Z jaką pracą, co ty gadasz? – Pietia parsknął śmiechem. – Przecież to emerytka! Nie ściemniaj!
  - Nie jest emerytką – poprawił go Roman. – To oficer policji w stanie spoczynku. A teraz pracuje gdzie indziej.
  - Przestań wciskać mi kit! – Chłopak machnął ręką. – Gdzie może pracować takie wapno?
  - Jest prywatnym detektywem.
- Petruccio wytrzeszczył oczy i znieruchomiał, zapominając połknąć kęs, który przeżuwał.
- Jaki film! To prawda czy lecisz ze mną w kulki?
  - Słowo daję! – żartobliwie zapewnił Dziuba, w głębi duszy nieźle się bawiąc. – A czemu tak się dziwisz? Sania ci nie mówił, gdzie pracuje jego ciotka?



– No nie... Właściwie nie pytałem. Powiedział, że jest na emeryturze, więc po co miałem dalej pytać? Wiadomo, że skoro to lamus na emeryturze, to nie pracuje.

Roman zobaczył Kamińską zamykającą garaż, wstał ze stopnia, na którym siedział razem z Petrucciem, nachylił się do chłopaka i powiedział półgłosem:

– Posłuchaj mojej rady, przyjacielu. Zauważ, że oprócz twojego kompa i programów są jeszcze ludzie na świecie. I nie zawsze tacy, jak myślisz. Chodźmy włączyć komputer, robota czeka.

Petruccio strząsnął w milczeniu okruszki z džinsów i ze swetra, po czym ruszył za Romanem i Kamińską do domu.

===

Sania Kamiński wrócił jakąś godzinę później, kolejne półtorej godziny później zbudził się Czistiakow i delikatnie napomknął o obiedzie, więc Nastia niechętnie zeszła na dół, żeby przygotować coś dla męża, Romana i Pieti, no i oczywiście „zdrowy” posiłek dla Sani.

To nie ma sensu, myślała poirytowana, krojąc warzywa na dietetyczną zupę, chłopak i tak tego nie zje, trzeba będzie wylać. Ale są dwa duże plusy: po pierwsze, będę miała czyste sumienie, a po drugie, przynajmniej nauczę się coś gotować. Kasze na mleku i zupy już opanowałam, pora przejść dalej. Dobrze, że wczoraj ugotowałam ziemniaki, miałam przecucie, że nie będzie czasu na szykowanie normalnego obiadu.

Czistiakow zlustrował zapasy w lodówce, wyjął z zamrażalnika jakieś opakowanie, powąchał je (choć co niby mógł poczuć w mrożonce?) i przestudiował drobne cyfry oznaczające termin przydatności.

– Mógłbym usmażyć mięso – zaproponował, z powątpiewaniem patrząc na opakowanie. – Leży już od dawna, pora coś z nim zrobić.

– Za długo. – Nastia pokręciła głową. – Zrobię coś prostszego,

żeby było szybciej. Zerknij, Loszyk, czy nie ma tam gdzieś kiełbasy.

Aleksiej uważnie przejrzał wszystkie półki i wyjął zawinięty w elegancki papier firmowy kawałek wędliny niewiadomego pochodzenia, w dodatku mocno zeschnięty.

– To chyba było kiełbasą w czasach przedhistorycznych – oznajmił. – Nic świeższego nie widzę. A co planujesz?

– Chciałam zalać rozmąconymi jajkami ziemniaki z kiełbasą, kojarzysz? Robiliśmy tak przez całe życie. – Zdjęta łyżką cedzakową szum z wody, w której gotował się lekkostrawny kurczak dla Sańki.

– Pamiętam. – Losza się uśmiechnął. – Bardzo nam smakowało. No to skoczę do sklepu, samochodem obrócę w dziesięć minut.

– Świetnie – odparła Nastia z wdzięcznością. – Przypomniały mi się dawne dzieje. Pamiętasz, jak byliśmy młodzi, wечно zajęci i wciąż nam się wydawało, że nie ma nic ważniejszego od pracy?

Czistiakow popatrzył na nią kpiąco, a zarazem ciepło.

– Można by pomyśleć, że teraz zmieniłaś zdanie. Dobra, jadę. Masz jakieś życzenia co do gatunku kiełbasy?

– Wszystko jedno, byleby tylko nie była surowa – odparła Nastia. – Ojej, Loszyk, weź też keczup, dobrze? Skoro wracamy do lat młodości, zadbajmy o szczegóły.

– Keczup? – zdziwił się. – Przecież było go pełno, parę dni temu widziałem dwie czy trzy butelki w lodówce.

– Zapominasz o Pieti. – Nastia westchnęła. – Wciąż pałaszuje kanapki z keczupem, najpierw je to, co przynosi ze sobą, i częstuje tym Sańkę, a później zaczynają razem buszować w lodówce i robić kanapki, koniecznie z keczupem. Dzisiaj w nocy wszystko wymietli.

Nastia słyszała, jak za mężem zamknęły się drzwi, chwilę później przez okno dobiegł ją odgłos auta wyjeżdżającego z garażu.

Po krokach na drewnianych schodach poznała, że Peter i Dziuba schodzą na dół.

– Anastazjo Pawłowno! – Romek wpadł do kuchni połączonej z jadalnią, wymachując kartkami. – Olga Witort ma stuprocentowe alibi! Wszystko sprawdziliśmy, niech pani sama zobaczy!

Pietia bez słowa otworzył lodówkę. Nie znalazł tam niczego, co by się nadawało do kanapek. Nic dziwnego, po takiej nocy... Chłopak w milczeniu sięgnął po kawałek chleba i znowu zajrzał do lodówki.

– Keczupu też nie ma – zauważyła Nastia. – Zaczekaj chwilę, niedługo będzie obiad.

Peter westchnął ciężko, otworzył szafkę, wyjął słoik miodu, posmarował chleb i usiadł przy stole. Poruszał się po kuchni nie gorzej niż jej właścicielka, doskonale wiedział, gdzie co się znajduje.

Nastia przykręciła gaz pod garnkiem, w którym gotował się kurczak, i jeszcze raz ze zdziwieniem pomyślała o dziwactwie Daszy, żeby zainstalować kuchenkę gazową w nowoczesnej kuchni.

„Jedzenie ugotowane na gazie ma zupełnie inny smak”, zapewniała żona brata. „Płyta elektryczna tego nie zagwarantuje”.

Szczerze mówiąc, Nastia Kamieńska nie dostrzegała żadnej różnicy, ale nie chciała się spierać.

Z tekstu, który Dziuba z Pietią wydrukowali z Internetu, wynikało, że w dniu zabójstwa Michaiła Bołtienkowa Olga Witort była w Irkucku w podróży służbowej, w dodatku nie sama, ale z dwiema osobami. W wieczór zabójstwa (w Irkucku o tej porze była już głęboka noc) siedziała w hotelowym pokoju w towarzystwie Ksiuszy, menadżerki ze swojego działu, oraz szefa innego działu spółki Oxygen. Musieli razem przeanalizować propozycję partnerów i przygotować strategię oraz taktykę prowadzenia negocjacji, które miały się zacząć

o dziesiątej rano. Dwukrotnie podczas nasiadówki zarządzono półgodzinne przerwy, podczas których Ola i Ksiusza rozmawiały ze znajomymi w Internecie, a kierownik, jak przystoi mężczyźnie, przeglądał wiadomości ze świata polityki i ekonomii. W ciągu dwóch przerw Olga zdążyła wysłać trzy e-maile (jeden z nich był dość długi, adresowany do dawnej koleżanki z klasy, obecnie mieszkającej w Australii), porozmawiać z mnóstwem osób na Facebooku, OK[18] i WKontakcie[19], a także sprawdzić, czy nie pojawiły się nowe komentarze na temat Ałły Tomasziewicz, pewnie po to, żeby natychmiast stanąć do boju w obronie ukochanej aktorki. Olga napisała wielu osobom, że jest w Irkucku, że panuje tu teraz noc i że szykują się w trójkę do jutrzejszych rozmów. Kontrola wykazała, że urządzenie mobilne, przez które Witort łączyła się z Internetem, znajdowało się rzeczywiście w Irkucku, a nie w Moskwie.

Ale to jeszcze o niczym nie świadczyło...

– Czy możemy być pewni, Romek, że tamtego wieczoru Olga naprawdę była na Syberii? – z niedowierzaniem zapytała Nastia. – Przecież mogła dać swojego smartfona komuś, kto leciał do Irkucka, przekazać mu wszystkie hasła i poprosić, żeby wszedł do Internetu i napisał posty w jej imieniu. A sama została w Moskwie.

Widocznie podobna myśl zaświtała w głowie Dziuby, bo w milczeniu wręczył jej plik kartek.

Ksiusza-Ksana

*Całkiem ją pogięło, trzeba prosić o zgodę nawet na wyjście do toalety. Sama siedzi jak przykuta i nikomu nie pozwala się ruszyć.*

Michaił

*Wyluzuj, nie możesz wyskoczyć na pięć minut na korytarz? Zadzwoń, przynajmniej usłyszę twój głosik.*

Ksiusza-Ksana

*Nie chcę się narażać. Z naszą Larą Croft nie ma żartów. Nie znosi, gdy ktoś wychodzi z pokoju podczas burzy mózgów.*

Michał

*Dlaczego? Co to za fanaberie?*

Ksiusza-Ksana

*Jest bardzo podejrzliwa. Pewnie zdarzały się wypadki, że ktoś wyszedł podczas narady i ujawnił informacje. Jakby nie można było tego zrobić przez Internet. Tak czy siak, Lara lubi stroić fochy. Do diabła z nią, nie opłaca się dzwonić.*

Michał

*A sama też nie wychodzi?*

Ksiusza-Ksana

*Nie. Tylko do toalety. Dobra, zostawmy ją... Powiedz lepiej, jak mnie kochasz.*

– Dalej nie ma już nic ciekawego – bąknął Dziuba.

Jasne, że nie ma, pomyślała Nastia. Pewnie rozmowa przybrała erotyczny charakter.

Na pozostałych kartkach znalazły się fragmenty rozmów Ksiuszy z innymi osobami, z których nieubłaganie wynikało, że Olga stale przebywała w pokoju z dziewczyną i nigdzie nie wychodziła. Najwyżej do toalety.

– A co ze współnikiem? – zapytała Nastia. – Jeżeli chciała się zemścić za syna Tomaszewicz, nie musiała zabijać sama. Kogo mogła wykorzystać? Na przykład kochanka... Romek, czy Witort ma kochankę?

Dziuba przeczesał włosy palcami i niepewnie skinął głową.

– Trafiło mi się coś na ten temat, ale nie wchodziłem

w szczegóły, bo to nie ma związku z alibi.

– Ale pisała jakieś miłosne e-maile? – uściśliła Nastia.

– Nie. – Dziuba rozłożył ręce. – Ani razu. Są posty pracowników firmy Oxygen, w których pojawiają się plotki, że Lara Croft sypia ze swoim pracownikiem, menadżerem z jej działu, którego zatrudniła jakieś półtora roku temu.

– Aha – w zamyśleniu wymamrotała Nastia. – Jeśli sypia z podwładnym, to wiadomo, dlaczego nie ma listów. Codziennie widują się w pracy. Możliwe też, że mieszkają razem. W dodatku od dawna są kochankami, więc pewnie siła ich uczuć nie jest już tak wielka jak na początku. Zatrudniła go, gdy mieli romans.

– Skąd pani wie? – ze zdumieniem zapytał Dziuba.

– Nie urodziłam się wczoraj. – Nastia się uśmiechnęła. – W rozkwicie związku kobieta nie może, wyjeżdżając w trzydniową delegację, nie napisać ani razu do swojego partnera.

– Może do siebie telefonują, a nie piszą – zaproponował Romek.  
– Albo wysyłają SMS-y. Nie pytaliśmy przecież operatora sieci komórkowej...

I ugryzł się w język. Nie mógł powiedzieć na głos, w dodatku w obecności Pieti, czegoś, co by sugerowało, że oficer policji, będąc w zмовie z prywatnym detektywem i wykorzystując osoby postronne, drastycznie narusza prawo, włamując się do komputerowych baz danych, na strony internetowe i w ogóle wszędzie, gdzie tylko się da. Natura ludzka bywa pokrętna! Można coś robić, ale mówienie o tym wydaje się nie na miejscu. Ani Pieti, ani Sani nawet przez myśl nie przejdzie, że robią coś nielegalnego. Głupio przejmować się tym, czym zajmuje się co drugi „spec od programowania”. Wszyscy tak robią i co? Nikt przecież nie kradnie, to tylko zabawa... Niektórzy zarabiają na otwieraniu cudzej korespondencji na czyjeś zlecenie, no i co z tego? Wszyscy muszą jeść, wszyscy potrzebują pieniędzy. Nastia nie spotkała jeszcze hakera, który byłby w pełni

świadom, że postępuje niewłaściwie.

No a ja? – zapytała samą siebie. Co ja wyprawiam? Wszystko zaczęło się zupełnie niewinnie, od szukania dostępnych informacji, siedzieliśmy z Romkiem w kuchni, obierałam ziemniaki, on czytał na głos wymogi techniczne, pełna idylla i triumf prawa. I nagle, krótko potem, wciągnęliśmy się w szukanie informacji poufnych, Sania z Peterem zaczęli się włamywać na strony... Nawet nie zauważyliśmy z Romkiem, że przekroczyliśmy granicę. Przecież nie chcemy zrobić nic złego, nie zamierzamy ukraść czyichś pieniędzy czy poznać cudzych sekretów, chcemy jedynie zdobyć informacje, które pomogą wyjaśnić zabójstwo. Robimy coś pożytecznego i dobrego. W końcu to samo zrobiliby dla Romka chłopcy z Wydziału K[20], tylko o wiele później i w znacznie mniejszym zakresie. No a my poradziliśmy sobie sami.

Nastia doskonale rozumiała, że jej argumenty są raczej wątpliwe...

– Wiadomo, jak się nazywa kochanek?

– Owszem. Władimir Własow – natychmiast odparł Peter.

Okazało się, że nie tylko zajadał chleb z miodem, ale też uważnie słuchał.

– A coś więcej na jego temat?

– Chwila – obiecał Pietia. – Zrobi się.

Czistiakow wrócił nie tylko z kiełbasą i keczupem, kupił jak zwykle wiele innych rzeczy, które jego zdaniem na pewno się przydadzą.

– Myślisz, że oni – ruchem głowy pokazał schody prowadzące na górę – będą jeść danie naszej młodości?

– A mają wybór? – Nastia się roześmiała. – Nic innego nie dostaną. Dla Sańki jest przetarta zupa jarzynowa, a reszta musi jeść ze wspólnego kotła. Zresztą Sańka pewnie nie ruszy zupy i się do nas przyłączy.

Na górze rozległ się okrzyk ni to radości, ni to zdumienia.

– Chyba coś znaleźli – zauważył Czistiakow, wyjmując nóż

i umieszczając kiełbasę na deseczce do krojenia. – Jak kroić?  
W kostkę, w paski czy w plastry?

– Tak, jak to robiłeś przedtem.

Losza z wyrzutem popatrzył na żonę.

– To, że przez całe życie cię karmiłem i stałem przy garach, Aśka, jakoś przeboleję. Ale jest mi niezmiernie przykro, że nawet nie zwróciłaś uwagi na moje starania i nie wiesz, że za każdym razem inaczej kroilem kiełbasę.

Nastia się zmieszała. Ludzie żyją tyle lat razem, a później okazuje się...

– Losza – wybąkała z poczuciem winy – ależ ja... Przecież wiesz...

– No dobrze, niech ci będzie, puszczę to w niepamięć.

Chciał dodać coś jeszcze, ale nie zdążył, bo po schodach zbiegł Dziuba z oczami błyszczącymi z zachwytu.

– Znaleźliśmy go! Ten Władimir Własow, kochanek Olgi, to dawny łyżwiarz. Później skończył instytut wychowania fizycznego i został trenerem. Ale z pracą mu nie wyszło i już od jakichś trzech lat nie ma nic wspólnego ze sportem.



No proszę, pomyślała Nastia, teraz wszystko pasuje. Można z czystym sumieniem siadać do obiadu.

===

Niesprawiedliwość zawsze była dla niego ciemnobrazowa. Koloru gorzkiej czekolady. Niby przysmak, ale gorzki, nawet lekko kwaśny. Słowa, które rozbrzmiewają mu w głowie, też są niby słuszne, ale w istocie kwaśno-gorzkie, niesprawiedliwe.

„Powinieneś być więcej się starać i trenować! Złej taneczniczki zawadza rąbek u spódnicy. Twoim zdaniem wszyscy wokół są winni, tylko ty jeden jesteś bez zarzutu. To niemożliwe. Skoro nie wyszło, to znaczy, że sam jesteś winien”.

Ileż razy w życiu słyszał te słowa! Zwłaszcza od starszej siostry, która wypowiadała je bardzo często i którą marzenia mamy o synu na podium pozbawiły właściwie dzieciństwa. Siostrze, która była starsza o sześć lat, powierzono odprowadzanie chłopca na lodowisko i przyprowadzanie go z powrotem, nie dawano też kieszonkowego, bo każdą dodatkową kopiejkę w skromnym rodzinnym budżecie przeznaczano na nowe łyżwy i kostiumy dla młodego łyżwiarza, a także na „wyrazy wdzięczności” dla trenera. Siostra, bystra, utalentowana i pracowita, od szesnastego roku życia zaczęła dorabiać, dając korepetycje z chemii, matematyki i języka obcego słabszym uczniom, jednakże matka i babcia zabierały jej pieniądze i wydawały na przyszłość związaną ze sportem.

Za każdym razem, gdy nie udawało mu się odnieść sukcesu, siostra z nienawiścią powtarzała: „Powinieneś być więcej się przykładać i starać, inwestujemy w ciebie tyle pieniędzy i wszystko na próżno! Nie mogę sobie kupić nowych butów, chodzę w dziurawych, mimo że haruję od rana do wieczora, bo wszystkie pieniądze idą na ciebie! A ty nic nie robisz, tylko kręcisz tyłkiem na lodzie!”.

Słowa siostry wydawały mu się okrutne i niesprawiedliwe. Czy

nie dość ciężko pracował? Nie wkładał całej duszy w sport? Czy to jego wina, że świat sportu jest bezlitosny i rządzi nim zasady, których żaden łyżwiarz, zwłaszcza młody, nie jest w stanie złamać? Zresztą on nawet nie zna jeszcze tych zasad. Ofiarnie, z pełnym oddaniem robił, co tylko mógł. Zrywał się na dźwięk budzika o piątej rano, żeby zdążyć na trening, który zaczynał się o siódmej, znosił ustawiczny ból i przewycięzał ustawiczny strach, odrabiał lekcje skulony na ławce w męskiej szatni, jedząc kanapki zrobione w domu przez babcię. Kanapki też były powodem nienawiści siostry. Na przełomie lat dziewięćdziesiątych półki w sklepach świeciły pustkami, później, na początku roku dziewięćdziesiątego drugiego, zaopatrzenie się poprawiło, ale wszystko było znacznie droższe. Mama z babcią odkładały mu najlepsze rzeczy, żeby miał co ze sobą wziąć, bo przecież wychodził z domu wcześniej rano i wracał późnym wieczorem. Siostra nie dostawała ani kawałeczka smacznej kiełbasy czy sera.

„Zostaw, to do kanapek dla Wołodi”, strofowała ją babcia.

Gdy w domu pojawiały się owoce, były przeznaczone wyłącznie dla niego. Tak więc każdy nieudany występ miał swój nieuchronny finał w postaci kolejnego oskarżycielskiego monologu starszej siostry. W rodzinie liczyło się tylko zwycięstwo, wszystko inne uznawano za niepowodzenie.

Wiele lat później, gdy był już dorosły, usłyszał te same słowa, ale od osoby, której zaufał i postanowił opowiedzieć, jak źle go potraktowano i jakie wilcze prawa panują w świecie sportu, z pozoru tak pięknym.

Liczył na zrozumienie i współczucie, ale w odpowiedzi usłyszał:

– No cóż, bracie, sam jesteś sobie winien. Gdybyś się przykładał, toby wyszło inaczej. Skoro przez tyle lat tłułeś jedno i to samo i nic nie wskórałeś, widocznie jesteś kiepski. Nieudacznik z ciebie. Loser, krótko mówiąc.

Słowa boleśnie go dotknęły. O wiele boleśniej, niż gdy je

wypowiadała siostra. Ją przynajmniej zrozumiał, gdy dorósł. Jego sportowe dążenia spoczęły na jej barkach. Ale co daje prawo obcym ludziom wygłaszać takie sądy? Nic przecież nie wiedzą, nie rozumieją... Nie płakali w szatni z powodu krwawych odcisków, nie wzbijali się w powietrze w potrójnym skoku, wiedząc, że niezaleczone kolano może odmówić posłuszeństwa, a nowa kontuzja doprowadzić do kalectwa, nie „wyrzucali” partnerki, zamierając z przerażenia w obawie, że kąt nachylenia jest nieprawidłowy i dziewczyna może się zabić. Czy można im to wszystko wytłumaczyć? Zresztą nawet nie zechcą słuchać! Chcą tylko oglądać w telewizji łyżwiarzy w pięknych kostiumach, poruszających się z gracją po lodzie w takt pięknej muzyki. Nikt nie chce wiedzieć, ile pracy, bólu, strachu, potu i łez, brudu i nikczemności kryje to lśniące opakowanie.

W tamtej chwili twardo postanowił: nikt nie powinien wiedzieć o jego dawnym sportowym życiu. Nie chce, żeby go nazywano nieudacznikiem. Loserem. Może naprawdę jest nieudacznikiem i wstyd mu z tego powodu. Nikt nie powinien wiedzieć. Nikomu więcej nie będzie niczego tłumaczył.

===

Zebranie w całość wszystkich elementów sportowej biografii Władimira Własowa nie było trudne. Urodził się w 1980 roku, w 1984 roku babcia po raz pierwszy zaprowadziła go na lodowisko. Mieszkał z mamą, babcią i starszą siostrą, ojciec porzucił rodzinę niemal zaraz po narodzinach Wołodi. Mama jest filmologiem, wykłada na WGIK-u[21], w obszarze jej zainteresowań leży kino angielskie i amerykańskie od lat trzydziestych do pięćdziesiątych.

Gdy Wołodia miał dziesięć lat, trafił do grupy Michaiła Walentinowicza Bołtienkowa, a jako trzynastolatek został mistrzem Rosji juniorów w kategorii solistów i zajął dość

wysokie jak na swój wiek miejsce na jednym z międzynarodowych turniejów. Razem z nim do grupy Bołtienkowa należał Żenia Zielenow, syn aktorki Ałły Tomaszkiwicz.

Wołodia nie został jednak w grupie Bołtienkowa...

– Przeniósł się do Ludmiły Wołyniec, znanej łyżwiarki, mistrzyni – z triumfalną miną oznajmił Antonowi Dziuba. – Nie ma więc sensu szukać kolejnych informacji, lepiej znowu się z nią spotkać i wypytać o Własowa. Mówiłeś przecież, że chętnie opowiada.

Tym razem Ludmiła Wsiewołodowna wyznaczyła spotkanie na lotnisku – leciała na Węgry, żeby przez miesiąc pracować z węgierską parą. Nie znalazła innego miejsca ani czasu na rozmowę z detektywem. Anton zaklął w myślach – droga na lotnisko Domodiedowo i z powrotem zabierze mu cały dzień. Ale nie było wyboru.

– Nie mam zbyt wiele czasu – od razu uprzedziła Wołyniec, gdy Anton odszukał ją na lotnisku. – Pięć minut temu zapowiedziano odprawę pasażerów mojego lotu, więc proszę się streszczać.

Sama się streszczaj, odparował w duchu Staszys. Moje pytania będą krótkie, ty zaś będziesz odpowiadać.

Od samego rana był w złym humorze i złościł się na wszystkich po kolei, w tym również na Bogu ducha winną Wołyniec.

Usiedli na plastikowych krzeselkach przy oknie. Panował spory zgiełk, co pół minuty rozlegały się komunikaty w dwóch językach. Trudno wymyślić gorsze miejsce do rozmowy ze świadkiem.

– Wołodia Własow? Tak, miałam takiego ucznia – bez wahania odparła Ludmiła. – Co pana interesuje? I dlaczego pan o niego pyta?

– Bo był uczniem Bołtienkowa, zanim przeszedł do pani grupy – wyjaśnił Staszys.

– Owszem. – Skinęła głową. – Gdy trenował u Miszy, został mistrzem Rosji juniorów, ale nie udało mu się powtórzyć sukcesu. Na następnych mistrzostwach był niemal ostatni. Zaczęły się bóle w kolanach, nie mógł wykonywać pewnych elementów, między innymi skoków. Jazda w parach wymaga mniej tego typu akrobacji, toteż przydzieliłam mu partnerkę. Właściwie z tego powodu przyjął go do swojej grupy – był wysoki, atletycznie zbudowany, dawno wypatrzyłam go u Miszy, potrzebowałam partnera dla bardzo dobrej łyżwiarki.

Partnerka Wołodi, dziewczyna z Uljanowska, była niezwykle utalentowana, ale nerwowa. O takich mówi się „start minus”: na treningach wszystko jej się udawało, ale nie mogła występować. Gubiła się na zawodach. Wołodia był bardzo opiekuńczy, chronił ją i darzył sympatią. Ale po trzech czy czterech występach dziewczyna wróciła do domu, doszła do wniosku, że sobie nie poradzi.

Później do Własowa uśmiechnęło się szczęście: Ludmile Wołyniec udało się „zdobyć” dla niego bardzo dobrą partnerkę, jego rówieśniczkę, ale niewielkiego wzrostu i lekką jak piórko. Wołodia zaczął pilnie trenować, żeby jej dorównać, para okazała się niezła i robiła szybkie postępy, awansując dość wysoko z niskiego miejsca. Oboje mieli po osiemnaście, dziewiętnaście lat i występowali już w kategorii seniorów.

Na mistrzostwach Rosji walczyli o trzecie miejsce i o awans do kadry narodowej. Ich występ okazał się bardzo udany, wszyscy byli pewni, że trafią do trójki medalistów, lecz niespodziewanie zajęli czwarte miejsce. Bardzo się tym przejęli, rzecz jasna, ale odezwał się w nich sportowy charakter i zaczęli przygotowywać się do kolejnego sezonu.

W tym momencie odnowiła się jednak kontuzja kolana Wołodi. Chłopak musiał poddać się operacji. Rehabilitacja nie była łatwa i wymagała czasu, więc Wołodia nie mógł trenować. I wtedy partnerka oznajmiła: „Wybacz, ale nie mogę czekać, tracę formę”. Znalaziono jej nowego partnera. A właściwie sama

go sobie znalazła...

Co się później wydarzyło w życiu Władimira Własowa, Anton już wiedział. Romek Dziuba dotarł do wszelkich dostępnych informacji. W wieku dwudziestu dwóch lat Własow zaczął studia w instytucie wychowania fizycznego i pracował jednocześnie jako drugi trener Michaiła Walentinowicza Bołtienkowa, później został drugim trenerem w innej grupie, po czym porzucił sport, przez jakiś czas pozostawał bez pracy, a od półtora roku jest zatrudniony jako menadżer w dziale zakupów artykułów nieżywnościowych spółki Oxygen, gdzie trafił najprawdopodobniej dzięki swojej kochance Oldze Witort. Ludmiła Wołyniec ożywiła ów ogólny obraz, dorzucając pewne ciekawe szczegóły.

– Po ukończeniu studiów Wołodia postanowił odejść od Miszy i spróbować własnych sił, ale bardzo szybko się okazało, że sprawa nie wygląda różowo i trudno mu będzie zrobić karierę trenera. Nie wrócił jednak do Bołtienkowa, został drugim trenerem u dawnego kolegi z drużyny, Koli Nosulenki, który nieźle sobie radził w tej branży. Przez jakiś czas Wołodia pracował z Kolą, ale zaczął zaglądać do kieliszka i od niego też odszedł. Wtedy straciłam go z oczu i więcej o nim nie słyszałam.

– A dlaczego nie wrócił do Bołtienkowa, gdy zrozumiał, że nici z samodzielnej pracy? Poprzytkali się? – zapytał Anton.

– Nie, dogadywali się bez problemu, ale Wołodia pracował z nim, gdy był studentem, po zdobyciu dyplomu uznał, że bycie asystentem u dawnego trenera jest dla niego, wykwalifikowanego specjalisty, poniżające. No a poza tym Michaił Walentinowicz cieszy się renomą – gdy jego łyżwiarz odnosi sukcesy, nikt nie wątpi, że to jego zasługa, nazwisko drugiego trenera nigdzie się nie pojawia. Wołodia pragnął impulsu i sławy, więc uznał, że jeśli będzie pracował z mniej znanym i zasłużonym trenerem, ma szansę zostać zauważony. Zaproponował więc swoje usługi dawnemu koledze z drużyny. Nie wiem, co się stało, rzadko go widywałam, odkąd przestał

uprawiać łyżwiarstwo, wiadomości o nim docierały do mnie okreśną drogą, ale znając Wołodię, mogę przypuszczać, że czuł się niekomfortowo, pracując ze swoim trenerem, który był od niego o wiele starszy. Wołodię to krępowało, nie potrafił wyrażać własnej opinii i podejmować samodzielnych decyzji. Łatwiej mu się pracuje i rozmawia z rówieśnikami, którym może powiedzieć: „Zgłupiałeś?”. Sam pan chyba rozumie.

– Jasne. A dlaczego Własow odszedł od... Przepraszam, zapomniałem nazwiska trenera, u którego zaczął pracować po otrzymaniu dyplomu.

– Nosulenko. Kola Nosulenko. Trudno powiedzieć... Pewnie się nie zgrali. Kola skarżył się, że Wołodia Własow przychodzi do pracy na kacu, no a później zaczął się pojawiać niezupełnie trzeźwy. To pewnie zaważyło.

– Ostatnie pytanie: nie wie pani, czy Własow nie miał jakichś zatargów z Inną Wiktorowną Jefimową z Moskomsporu?

Po raz pierwszy od początku rozmowy w oczach Ludmiły Wsiewołodowny błysnęło zainteresowanie.

– No jak to... To przecież właśnie ona nie puściła go za granicę. Pamięta pan, wspominałam o tym? Jestem pewna, że Wołodia Własow nie był jedyną osobą, której Jefimowa uniemożliwiła zrobienie kariery z powodu pieniędzy.

To ciekawe... Chyba trzeba będzie pożegnać się z hipotezą dotyczącą zabójstwa urzędniczki Gosdumy z powodu pożaru na Rublowce. Szkoda. Teoria była obiecująca. Zresztą może to i lepiej, biorąc pod uwagę fakt, że praca Staszysa nad tą linią dochodzenia wywołała dziwną reakcję zwierzchników, a także jakiegoś nieznanego, który mu groził. Pozostało tylko ustalić szczegóły.

– Czy Własow wiedział, że to właśnie Jefimowa stanęła mu na drodze?

– Owszem. – Wołyńiec kiwnęła głową. – Powiedziałam mu, gdy się o tym dowiedziałam.

– I jak zareagował?

– Nijak. Był zmęczony po treningu, nie w głowie mu były emocje. Wybąkał tylko coś w rodzaju: „A to zdzira” czy „To dopiero żmija”. Później nigdy więcej o tym nie wspominał. Zwłaszcza że zarówno on, jak i my wszyscy doskonale wiedzieliśmy, że Inna Wiktorowna, po pierwsze, nie przepada za mną, a po drugie, nie lubi moich uczniów i z czystej złośliwości oraz pazerności stara się zrobić wszystko, żeby nie puścić za granicę tych, którzy nie mogą zapłacić. Tak naprawdę płacono nie jej, tylko ludziom z Federacji, ale ona dostawała swoją działkę. Wszyscy świetnie o tym wiedzieli, więc właściwie nie było nic dziwnego w tej sytuacji. Musi pan zrozumieć, że łyżwiarze są wyprani z emocji i namiętności, nie mają na to ani sił, ani czasu. W tamtym okresie Wołodia stracił już partnerkę, która nie chciała czekać, aż chłopak wyleczy zoperowane kolano, on jednak wracał powoli do zdrowia i zaczął trenować, zawsze był bardzo uparty. Trenował i miał nadzieję, że w końcu dostanie nową partnerkę. No i zaproponowano mu dziewczynę, ale najpierw musiał dostać zgodę Federacji na reprezentowanie innego kraju. Zgody nie dostał, co przesądziło o jego przyszłości. Nie widział dalszych perspektyw. Miał dwadzieścia jeden lat, karierę za sobą i był właściwie inwalidą. Wtedy podjął studia i zaczął się przymierzać do zawodu trenera.

Chyba już piąty albo szósty raz zapowiedziano odprawę lotu, więc Ludmiła Wsiewołodowna zaczęła się niepokoić. Anton pomógł jej zanieść bagaż na stanowisko odprawy, po czym się pożegnał. Dowiedział się wszystkiego, co go interesowało. Mógł jeszcze, rzecz jasna, o to i owo popytać, pewnie wyszłyby na jaw inne ciekawe fakty, ale jeszcze na uniwersytecie MWD uczono go, że zdenerwowany świadek to zły świadek.

===

Szybko ustalili, kto czym się zajmie w najbliższych godzinach. Kamieńska odszuka i sprawdzi dawną partnerkę Własowa,



która nie chciała czekać, aż chłopak całkowicie wyleczy kolano; Dziuba pojedzie do Nikołaja Nosulenki, trenera, z którym pracował Własow, zanim ostatecznie odszedł ze sportu; no a Anton Staszys odwiedzi Władimira Własowa i wybada go pod kątem udziału w zabójstwach Michaiła Walentinowicza Bołtjenkowa oraz Inny Wiktorowny Jefimowej.

– Co ma do tego Jefimowa, jeśli Własow mścił się za swojego kolegę Żenię Zielenowa? – zapytał Dziuba. – Bo jeśli mścił się za własne niepowodzenia, wtedy Bołtjenkow, który zrobił z niego mistrza Rosji, w ogóle tutaj nie pasuje. A może sądzisz, że Własow poszedł na całość i brał odwet na osobach, które w ten czy inny sposób zrujnowały życie łyżwiarzom?

– Nie wszystkim, tylko jemu i Zielenowowi – odparł Anton. – Zobaczymy.

Gdy detektywi zaczynają kombinować za plecami prokuratury i własnego zwierzchnictwa, zawsze rodzi to mnóstwo komplikacji.

Nie oglądajcie, dzieci, seriali o policjantach, myślał Anton w drodze do domu Władimira Własowa. Bo nie ma w nich ziarna prawdy. Gdybym mógł uzasadnić swoje działania tak, żeby się nie narazić na gniew śledczego albo szefa, poprosiłbym najpierw o zarządzenie obserwacji Własowa, zobaczyłbym, dokąd facet chodzi i z kim się spotyka. Dzięki temu jechałbym teraz do niego, wiedząc, że jest w domu. Można by było skontrolować też jego rozmowy telefoniczne, nie założylibyśmy oczywiście podsłuchu, bo żeby uzyskać zgodę sędziego, trzeba by się nieźle napocić, ale wysłalibyśmy przynajmniej zapytanie do operatora sieci komórkowej i dostalibyśmy informacje o telefonach i SMS-ach z jego numeru, a także z numeru Olgi Witort. Chłopcy Kamieńskiej znają się oczywiście na rzeczy, są młodzi i zuchwali, więc kozakują i nie myślą o następstwach swoich czynów, nie udało im się jednak włamać do bazy operatora komórkowego. Na szczęście nie sforsowali potężnej ochrony. No cóż, pozostaje tylko mieć nadzieję, że poszczęści mi

się z Własowem.

Dom, w którym zgodnie z otrzymanymi informacjami mieszkał Władimir Własow, znajdował się w pobliżu MKAD-u, na obrzeżach „starej” Moskwy. Typowy mrówkowiec, który pod względem liczby mieszkańców można by pewnie porównać z małym miastem. Obawy Staszysa się nie potwierdziły, drzwi otworzyły się zaraz po pierwszym dzwonku. Przed Antonem stał wysoki, dobrze zbudowany młody mężczyzna z nijaką, pozbawioną wyrazu twarzą i brwiami uniesionymi w zdziwieniu.

– Pan do mnie? O co chodzi?

Na widok legitymacji detektywa Własow chyba się nie zdziwił, ale też nie przestraszył. Wzruszył tylko lekko ramionami i skinął głową.

– Proszę do środka.

Przedpokój w mieszkaniu był raczej umowny, zrobiwszy dwa kroki, Anton znalazł się w pokoju, dość przestronnym i podzielonym jak gdyby na dwie części. W pierwszej wszystko wyglądało „normalnie”: kanapa, telewizor, nieduży stolik z komputerem i jeszcze jeden stolik przed kanapą, który, sądząc po nieumytych kubkach i talerzach, pełnił funkcję obiadowego. Natomiast druga część pokoju przypominała pracownię malarską. Po bliższym przyjrzeniu się Anton stwierdził, że rzeczywiście nią była. Na podłodze przy ścianach stały obrazy, jeden podobny do drugiego, zdaniem Antona trudno je było nawet nazwać malarstwem – delikatne barwne ornamenty na jednolitym tle – czarnym, niebieskim, czerwonym, żółtym....

Naruszając zasady dobrego tonu, szybko przeciął część mieszkalną i zatrzymał się przy sztalugach z niedokończonym obrazem. Też jakieś kolorowe linie na czarnym tle, ale nie takie jak na innych obrazach. Anton nie był w mieszkaniu Ałły Tomaszkiej, znał jednak wiszące tam prace z opisu Kamieńskiej. Dostał też od niej wydruk kadrów z filmu, na którym zobaczyła rysunki figur Panina-Kołomienkina.

Wszystko wskazywało na to, że autorem owych obrazów był Własow. Tylko nie wiadomo, dlaczego Tomasziewicz nie podała jego nazwiska i twierdziła, że malarz jej w ogóle nie interesuje. Własow i Zielenow byli w tej samej grupie i się przyjaźnili, matka Żeni Zielenowa nie mogła o tym nie wiedzieć. Tymczasem powoływała się na Olgę Witort, która rzekomo przywoziła obrazy nie wiadomo skąd. A może naprawdę nie wiedziała? Może Olga ukrywa przed Ałłą swojego kochanka? Z jakichś ważnych dla niej powodów...

Anton otworzył notes i wyjął złożoną we czworo kartkę z wydrukowanym rysunkiem. Obejrzał się – Własow pośpiesznie sprzątał brudne naczynia ze stołu. Staszys szybko rozwinął kartkę i porównawszy rysunki z tymi na obrazie, znowu schował ją do notesu. No proszę, czasami śledztwo bywa bardzo ciekawe! Gwałtownie się obrócił i prawie zderzył z Własowem, który stanął za jego plecami.

– Więc jest pan artystą? – Anton udał zdziwienie i zaskoczenie.

– Jaki tam ze mnie artysta – niefrasobliwie odparł Własow. – Chyba pan żartuje. Owszem, zabawiam się najmniej skomplikowaną techniką. Nigdy nie uczyłem się malarstwa.

– A ten rysunek? Coś oznacza?

Własow zawahał się, wyglądał na zmieszanego.

– To sekwencja.

– Sekwencja?

– Sekwencja kroków w łyżwiarstwie figurowym. Kiedyś przecież jeździłem... dawniej...

Widocznie to nie był przyjemny temat dla Własowa. Dziwne. Dlaczego? Co złego w tym, że był łyżwiarzem? A może rzeczywiście maczał palce w zabójstwie trenera i nie chce zdradzić swojego związku z tą dyscypliną sportu?

– Wiem, że był pan kiedyś łyżwiarzem – obojętnie powiedział Anton, jak gdyby temat sportu nie był najważniejszy w rozmowie. – A przy okazji, słyszał pan, że pański dawny

trener został zabity?

– Michaił Walentinowicz? – Własow zachował pełen spokój. – Oczywiście, że o tym słyszałem. Podawano w wiadomościach, dzwoniли też znajomi. To okropne... Kto to zrobił? I za co?

– Na pytanie „kto” nie znam jeszcze odpowiedzi, ale na pytanie „za co” chciałbym otrzymać odpowiedź od pana.

Władimir odwrócił wzrok, ale nie wydawał się zdenerwowany, raczej smutny i zamyślony.

– Słuchaj, może przejdźmy na ty – zaproponował. – Bo jakoś mi głupio...

– Zgoda – odparł Staszys. – Więc za co ktoś mógł zabić twojego trenera?

– Nie mam pojęcia, za co można było zabić Michaiła Walentinowicza – nieśpiesznie odparł Własow. – W ogóle sobie nie wyobrażam, za co można zabić trenera łyżwiarstwa figurowego, zwłaszcza jeśli nie zajmuje się sportowcami, którzy walczą o medale olimpijskie. Gdyby opiekował się pretendenciami do podium olimpijskiego, wtedy można by puścić wodze wyobraźni... Toczą się tam brudne gierki. Ale Bołtjenkow... Nie, nie mam pojęcia. Będziemy tak stać przy sztalugach? Może usiądziemy?

Anton ruszył za nim do części „mieszkalnej”, gdzie można było usiąść tylko na kanapie – nie było tam ani fotela, ani nawet krzesła czy choćby taboretu. Kanapa była twarda i zdaniem Antona bardzo niewygodna. Od razu ogarnęła go złość, która nawiasem mówiąc, ostatnio go nie odstępowała: ani usiąść wygodnie, ani rozmawiać. Trudno prowadzić rozmowę z kimś, kto siedzi obok, a nie naprzeciwko. Wstał więc i się rozejrzył. Nie, nie było tutaj żadnych innych mebli nadających się do siedzenia.

– Masz jakieś krzesło? – zwrócił się do Własowa.

– Tak, chwileczkę.

Władimir wyszedł i wrócił chwilę później z rozkładanym krzesłem, obitym skórą. Krzesło okazało się jeszcze bardziej

niewygodne, ale przynajmniej można je było ustawić tak, żeby rozmowa przebiegała komfortowo.

– A tobie jak się układa, to znaczy układało z Bołtienkowem?  
– Staszys zadał kolejne pytanie. – Dochodziło między wami do zgrzytów?

– Zwariowałeś?! Jakich zgrzytów? Dzięki niemu zostałem mistrzem Rosji, medalistą etapu Grand Prix juniorów, a gdy przestałem uprawiać łyżwiarstwo i zacząłem studiować, wziął mnie do siebie na drugiego trenera, umożliwił zdobycie doświadczenia. Czułem dla niego jedynie wdzięczność.

– Ale przecież odszedłeś – zauważył Anton. – Do Ludmiły Wsiewołodowny Wołyniec. To znaczy, że nie było ci najlepiej u Bołtienkova? Tak mam to rozumieć? Sam przecież powiedziałeś, że dzięki niemu zostałeś mistrzem Rosji. Ale odszedłeś. Dlaczego?

– Bo mnie wyrzucił! – Własow się roześmiał. – Byłem młody, popędliwy, głupi, można by rzec, jak małe dziecko. Nie rozumiałem, że trener stworzył mnie od stóp do głów, że to jego zasługa, myślałem, że jestem nie gorszy od innych, zhardziałem, zacząłem zadzierać nosa, przestałem go słuchać. Wiesz, jak trenerzy wybierają łyżwiarzy do swojej grupy? Zwracają uwagę na dwie rzeczy: zdolności i posłuszeństwo. Dla trenera to bardzo ważne, żeby łyżwiarz był posłuszny, tylko wtedy może go czegoś nauczyć. Nikt nie wybiera krnąbrnych. Tymczasem ja ze swoją młodzieńczą głupotą stałem się niewygodny dla Bołtienkova. Pewnego pięknego dnia powiedział: „Bardzo zdolny chłopak z ciebie, Wowa, możesz daleko zajść. Jeśli zajmie się tobą inny trener, czeka cię kariera. Wierz mi, będzie dla ciebie lepiej, jeżeli przejdiesz do Wołyniec”. Wtedy oczywiście nie rozumiałem, dlaczego to ma być dla mnie dobre, uwierzyłem na słowo. Nic przecież nie wiedzieliśmy o pracy trenera, interesowała nas tylko jazda na łyżwach, za to od dzieciństwa świetnie znaleźliśmy powiedzenie „będzie mi lepiej u innego trenera”. Rozmawialiśmy o tym już

w wieku dziesięciu, jedenastu lat. Albo my, albo nasi rodzice. Więc gdy Michaił Walentinowicz zwrócił się do mnie w ten sposób, nawet się nie zdziwiłem, przeciwnie, przyjąłem to jako rzecz naturalną, jestem w końcu gwiazdą, do licha, mistrzem Rosji juniorów, to oczywiste, że powinien się mną zajmować najlepszy trener. Wołyniec była mistrzynią olimpijską, znał ją cały kraj, a kto znał Bołtjenkowa?

Anton uważnie go obserwował, analizując mowę ciała, gesty, mimikę oraz ton głosu. Z jednej strony, brak oznak napięcia i kłamstwa albo choćby nieszczerości. Ale z drugiej, mężczyzna wiele lat poświęcił łyżwiarstwu figurowemu. Więc potrafi doskonale nad sobą panować. Cokolwiek by się działo, wychodząc na lód, łyżwiarz musi się uśmiechać! Ani sędziowie, ani publiczność nie powinni widzieć, że drętwieje ze strachu.

– No to czemu nie wróciłeś do Bołtjenkowa, gdy nie powiodło ci się w pracy na własny rachunek?

– Dobre pytanie! Jesteś facetem i się nie domyślasz? – ironicznie zapytał Własow. – Miałem wrócić, żeby mnie znowu niańczył? To oczywiste, że nie brałem tego pod uwagę. Ambicja.

– Jasne. A co z tamtą historią, kiedy nie pozwolono ci wyjechać za granicę?

– No cóż... – Władimir rozłożył ręce. – Nie pozwolono. Wielu łyżwiarzy znalazło się w takiej sytuacji, nie tylko ja. Nie rozumiem, o co ci chodzi. A zresztą to przecież nie była sprawka Bołtjenkowa, tylko tej zdziry Jefimowej, w tamtych czasach była taka działaczka w Moskomsporcie. Muszę się jednak przyznać, że chciałem oczywiście wyjechać, ale później doszedłem do wniosku, że dobrze się stało, iż nie pojechałem.

– A to czemu? – z ciekawością zapytał Staszys.

– Pogadałem z tym i owym... Między innymi z chłopakiem, który zajmował się tańcem. Pozwolono mu wyjechać do Włoch, gdzie czekała na niego partnerka... Tak naprawdę kupił go ojciec dziewczyny, sprytny biznesmen, miał furę pieniędzy, a córce nie układało się z partnerami. Tamten chłopak wrócił

rok później i długo nie mógł ochłonąć. Tutaj wydaje nam się, że życie za granicą jest usłane różami, że to kraina mlekiem i miodem płynąca, tymczasem prawda jest zupełnie inna... Łyżwiarz pozwala się „kupić” i jest tam traktowany jak czyjaś własność, ktoś go utrzymuje, daje mu mieszkanie, a później zaczyna to wypominać i żądać, żeby żył w określony sposób. Chłopak czuje się bezsilny i upokorzony. „Zapłaciliśmy za ciebie, więc rób, co ci się każe”. Na początku wszystko wygląda cudownie, łyżwiarz żyje sobie jak pączek w maśle, niczego mu nie brakuje. A później, gdy próbuje być samodzielny, słyszy: „Ubieramy cię i karmimy, mieszkasz u nas, więc przestrzegaj harmonogramu dnia i trenuj, kupiliśmy cię dla córki, więc tylko z nią możesz się spotykać”. Rodzice w Europie i Ameryce przeważnie chcą, żeby para była parą, to znaczy w kupionym dla córki partnerze widzą potencjalnego narzeczonego i męża. Zainwestowali w niego, więc chcą, żeby inwestycja się opłacała. Chłopak, rzecz jasna, próbuje się buntować. „Czy ja jestem niewolnikiem? Myślicie, że mnie kupiliście?” A oni odpowiadają: „Owszem, kupiliśmy”. Tymczasem chłopak sądził, że kupiono go tylko jako łyżwiarza, że ma pełne prawo żyć, jak mu się podoba. Okazuje się, że nie ma. Wielu tego nie wytrzymuje. Są oczywiście tacy, którzy akceptują postawione warunki, część jednak ucieka. Niektórzy zostają za granicą i przenoszą się do innego kraju, inni wracają do Rosji. Można więc powiedzieć, że Jefimowa oszczędziła mi upokorzeń – mnie też znaleźli rodzice dziewczyny, więc żyłbym na ich łasce.

Szczyśliwym trafem Własow sam wspomniał o Jefimowej! Ale jeśli to on ją zabił, chyba by nie wymienił jej nazwiska, zdradzając tym samym, że dobrze pamięta urzędniczkę, która zniszczyła jego karierę sportową.

– Jeśli już mowa o Jefimowej... Co robiłeś w dniu jej zabójstwa?

Własow zamarł, na jego twarzy ukazał się wyraz bezgranicznego zdumienia. Brwi mu się lekko ściągnęły, oczy

zweżyły, jakby usiłował się skoncentrować i uzmysłowić sobie to, co usłyszał.

– W jakim dniu... W dniu czego?... Nie rozumiem... Możesz powtórzyć?

Reakcja była zupełnie naturalna.

– Powiedziałem, że Jefimowa została zabita, i zapytałem cię, co robiłeś w dniu jej śmierci. Bo może postanowiłeś zemścić się za to, że cię załatwiła, i ją sprzątnąłeś – ze śmiechem odparł Anton.

Czoło Własowa się wygładziło, zmarszczki, które powstały wskutek napięcia, znikły i cała twarz mu się rozjaśniła.

– Jefimowa nie żyje? – zapytał zdumiony. – To chyba niemożliwe! Mówisz serio?

– Serio. Wyglądam na żartownisia?

– Kiedy to się stało? Dawno?

– Jakies dwa miesiące temu. A dokładnie dwudziestego marca. Więc co robiłeś dwudziestego marca?

Przez chwilę Własow patrzył na niego zaskoczony, później chyba do niego dotarło, że Anton mówi poważnie, i zapytał:

– Jaki to był dzień tygodnia?

– Środa.

– Rano byłem w pracy, a wieczorem... już nie pamiętam. Może skoczyłem gdzieś z kumplami, a może wróciłem do domu. Przydałoby się trochę konkretów. Coś się wydarzyło tego dnia? Łatwiej mi będzie sobie przypomnieć. Zdaje się, że sprawdzasz moje alibi, tak?

Właściwie nie było żadnej potrzeby, żeby to robić, bo Innę Wiktorownę Jefimową zabito między piętnastą a szesnastą. A więc trzeba odtworzyć minuta po minucie dzień pracy Własowa. Sądząc jednak z jego słów, facet nie ma pojęcia, o której doszło do zabójstwa.

– Zacznijmy od rana – zaproponował Anton. – O której przyszedłeś do biura, kto cię tam widział, gdzie wychodziłeś... Krótko mówiąc, wszystko po kolei.



– Zerknę do kalendarza.

Własow wyjął z kieszeni dzinsów telefon i zaczął wciskać przyciski.

– Jest, znalazłem. Środa, dwudziesty marca. Tego dnia szefowa zaprzęła mnie do negocjacji z pewnym dostawcą, wcześniej należało przygotować tabelę zbiorczą. Tak, zgadza się, pamiętam tę tabelę, siedzieliśmy nad nią do rana, nawet nie mogliśmy wyjść do toalety, szefowa stała nam nad głowami i popędzała, bo partnerzy mieli się zjawić o drugiej. Liczyliśmy, że jak pójdzie na negocjacje, skoczymy do kafejki, żeby coś przekąsić. Zrobiliśmy zestawienie, a ona zaciągnęła nas do sali konferencyjnej. I jeszcze zagroziła, że jeśli dane nie będą się zgadzać, na miejscu wyjaśni, kto zawinił, i go zabije.

Tak, Anton już słyszał od Dziuby, że Olga Witort nie ma litości dla podwładnych. Romek opowiadał też o jakiejś dziewczynie, która się skarżyła, że Lara nie wypuszcza nikogo nawet do toalety, gdy sytuacja jest gardłowa.

– Szefowa jest ostra? – Uśmiechnął się.

– To istny żandarm w spódnicy – rzucił Własow. – Lepiej trzymać się od niej z daleka.

– Ale ty nie stosujesz się do tej zasady, prawda?

– Ja? Nie rozumiem, co masz na myśli.

Lekko ściągnięte brwi ponownie nadały twarzy Władimira wyraz szczerzego zdumienia.

– Podobno jesteście w zażyłych stosunkach.

– Aha, o to ci chodzi! – Własow parsknął śmiechem. – Nie słuchaj tych bzdur, nie ma w nich ziarna prawdy.

– Czyżby? No to jak trafiłeś do firmy? Nie przyjmują tam ludzi z ulicy. Zwłaszcza że w twoim CV nie mogło się znaleźć nic prócz łyżwiarstwa. Chyba że wymyśliłeś sobie lipną karierę zawodową.

Anton zadawał pytania wesoło i życzliwie. Teraz był już pewien, że chłopak nie ma związku z zabójstwem Jefimowej. Ale musiał jeszcze sprawdzić jego alibi na czas zabójstwa

Bołtchenkowa.

– Naprawdę interesuje cię, dlaczego mnie przyjęto?

– Naprawdę.

– Szefowa mnie wkręciła.

– Domyśliłem się tego. A czym się kierowała? Dlaczego cię zatrudniła? Nie dlatego, że mieliście romans?

– Coś ty się uparł z tym romansem? – Własow machnął ręką z irytacją. – Można by pomyśleć, że kobiety przyjmują do pracy tylko swoich kochanków. Zrobiła to na prośbę matki mojego kolegi, Żeńki Zielenowa, z którym kiedyś trenowałem. Dawno temu. Chłopak już nie żyje... – Twarz Własowa sposepniała. – A jego matka mnie lubi i ponieważ dobrze zna moją szefową, poprosiła ją, żeby mi znalazła pracę. Tak więc nie chodziło o sprawę łózkowe, zrobiła to z czystej sympatii.

To znaczy, że Własow trafił do firmy Oxygen dzięki protekcji Ałły Tomasziewicz... A Wołodia Własow przyjaźnił się z jej synem, Żenią Zielenowem, który popełnił samobójstwo. Obrazy Własowa wiszą w mieszkaniu Tomasziewicz, ona zaś udaje, że nie ma pojęcia, kto jest ich autorem. Co za stek kłamstw! I nie wiadomo, czemu mają służyć. Teraz trzeba się dowiedzieć, co Własow myśli o śmierci kolegi z drużyny.

– Powiedziałeś, że twój przyjaciel nie żyje... Nieszczęśliwy wypadek? Czy chorował? Był przecież młody, chyba w twoim wieku – rzekł współczująco.

– Odebrał sobie życie – ponuro odparł Własow. – Nieszczęśliwa miłość i takie tam rzeczy...

– Kiedy to się stało?

– Dawno, z dziesięć lat temu.

– Był zdolnym łyżwiarzem?

– Kto, Żeńka? – Twarz Własowa znowu się rozjaśniła. – Miał znakomitą technikę jazdy. Pytałeś o obraz... To słynna sekwencja kroków Żeni, tylko on potrafił wykonać ją bezbłędnie.

Własow ożywił się, wstał, podszedł do sztalug, chwycił

śrubokręt i zaczął pokazywać poszczególne elementy rysunku.

– Zobacz – powiedział z błyskiem w oku – zwrot, zwrot odwrotny, trójka odwrotna, twizzle, pętlica, jeszcze jedna pętlica, później przekładanka, znowu twizzle, jeszcze jeden zwrot i zwrot odwrotny.

Delikatnie dotykał ostrzem śrubokręta łuków, pętli i krzywizn, które tworzyły nieprzerwany łańcuch na rysunku.

– Żeńka wykonywał połowę sekwencji na jednej nodze, nie opierając się na drugiej! – mówił podekscytowany Władimir. – A jakie robił ostre zwroty! I z jaką prędkością! Wykonywał figury Panina, mało kto na świecie to potrafi. Gdyby te elementy liczyły się na zawodach, jak wtedy, gdy zaczynaliśmy z Żeńką karierę, zostałby mistrzem olimpijskim, bo nikt nie dostałby wyższych not za figury obowiązkowe, możesz mi wierzyć. Ale figury Panina to figury specjalne, a nie obowiązkowe, na początku ubiegłego wieku była taka konkurencja: figury specjalne. Na zawodach wykonywano figury obowiązkowe, specjalne i program dowolny. Każdy łyżwiarz sam wymyślał figury specjalne, a rysunek oddawał sędziom, żeby mogli śledzić precyzję wykonania. Później konkurencję usunięto z zawodów, pozostawiono tylko figury obowiązkowe. A pod koniec lat osiemdziesiątych one też zostały wycofane. Więc Żeńka wykonywał figury Panina tylko na treningach, dla własnej przyjemności.

– Figury Panina? – Anton znowu udał zdziwienie. – Co to takiego?

– Proszę, zobacz. – Własow pokazał stojące przy ścianach obrazy. – To właśnie są figury Panina-Kołomienkina. Gdy Panin wykonywał je na mistrzostwach świata, sam Ulrich Salchow dostał ataku hysterii. Słyszałeś w ogóle o Salchowie?

Słowo wydawało się znajome, Staszys słyszał czasem w telewizji wyrażenie „potrójny salchow”. Nigdy nie zasiadał do oglądania zawodów łyżwiarstwa figurowego, ale mama z siostrą się tym pasjonowały... Okazuje się, że skok został nazwany na

cześć znanego łyżwiarza. Coś takiego...

Z udawaną ciekawością zaczął studiować różnokolorowe rysunki.

– Co nieco słyszałem – odparł z roztargnieniem. – Naprawdę tak trudno wykonać te figury? Zupełnie się na tym nie znam.

– Nie tylko trudno, to wręcz niemożliwe. Gdy przed zawodami Panin wręczył sędziom kartkę z rysunkami, wszyscy byli pewni, że nie zdoła odtworzyć ich na lodzie, w dodatku z jednego najazdu, po trzy razy na jednej nodze, i to tak, żeby siatka linii rozchodziła się najwyżej na dwadzieścia centymetrów. W idealnym układzie linie powinny całkowicie się pokryć. W wykonaniu Panina tak właśnie było, rozumiesz? Kreślił swoje figury na lodzie z matematyczną precyzją nawet podczas jazdy do tyłu, a przecież łyżwiarzowi nie wolno się oglądać! Zresztą zobacz. – Własow pokazał śrubokrętem punkt na rysunku, w którym linie zbiegały się pod bardzo ostrym kątem. – Wiedziałybyś, jak zrobić coś takiego?

Anton wrócił pamięcią do wypraw na lodowisko w dzieciństwie. Gdyby jechać do przodu, to... Nie, ostry kąt był wykluczony, jeśli poruszać się w tym samym kierunku.

– A widzisz! – triumfalnie zawołał Własow.

Wyglądało na to, że opowieść o talencie przyjaciela sprawia mu niesłychaną przyjemność.

– A Żeńka potrafił! Podczas wykonywania kombinacji skomplikowanych obrotów na jednej nodze zatrzymywał się, jak gdyby nieruchomiał na chwilę, nie tracąc równowagi, po czym płynnie zmieniał kierunek, jechał tyłem na tej samej nodze i kontynuował serię obrotów.

Anton znowu zaczął się przyglądać rysunkowi na sztalugach.

– A tutaj, co to takiego? – zapytał, pokazując nieskomplikowany jego zdaniem element.

– To choctaw. A tutaj mohawk. I trójka – szczegółowo i z widoczną satysfakcją wyjaśniał dawny łyżwiarz.

– Dziwne określenia – zauważył Anton.

– Pochodzą od nazw plemion indiańskich. Niektóre kroki z ich rytualnych tańców przeszły do łyżwiarstwa figurowego. Jeszcze w dziewiętnastym wieku.

A o chorym sercu Zielenowa ani słowa... Nie wiedział? Czy milczy umyślnie, żeby nie wspomnieć o Bołtienkowie?

– Tak, to naprawdę trudna sztuka – wycedził Anton. – Nigdy bym nie zapamiętał tych nazw.

– Daj spokój. – Władimir się uśmiechnął. – Gdy człowiek się tym zajmuje, nie ma w tym nic trudnego. Tylko z boku tak się wydaje.

– A więc matka Żeni pomogła ci znaleźć pracę? – ciągnął Staszys, znowu siadając na krześle. – A dlaczego? Przecież minęło dziesięć lat. A może nadal się z nią widzisz?

– Przyjaźniliśmy się z Żeńką od dziesiątego roku życia, mieliśmy tego samego trenera. – I znowu Anton zauważył, że Własow opuścił nazwisko Bołtienkowa. Przypadek? A może zamierzone działanie? – Później, gdy go przewieziono do szpitala, siedziałem tam razem z Ałłą Władimirowną aż do końca. Długo go ratowano, dwie doby. Ale się nie udało. No a później ją odwiedzałem, dzwoniłem do niej. Więc pomogła mi po starej znajomości.

Władimir starannie zasłonił nieukończoną pracę dużym kawałkiem materiału, po czym wrócił na kanapę.

Nie wygląda na poruszonego, przemknęło przez myśl Antonowi. Gdyby się denerwował, przechadzałby się tam i z powrotem albo przestępował z nogi na nogę. A on usiadł.

– No dobrze, a gdzie byłeś w dniu zabójstwa Bołtienkowa?

– Odbiło ci? – Własow się zirytował. – Podejrzewasz mnie o zabicie Michaiła Walentinowicza?

– A dlaczego nie? – Anton uśmiechnął się szeroko, nie chcąc przestraszyć dawnego sportowca. – Póki przestępca nie został złapany i nie udowodniono mu winy, zabójcą może okazać się praktycznie każdy. Czemu nie ty?

– Po co miałbym go zabijać? Co niby mogło nas poróżnić?

To prawda, Władimir Własow i Michaił Bołtienkow nie mieli powodów do zatargu. Ale we wszystkim powinien panować porządek. Pytanie zostało zadane, kolej więc na odpowiedź.

– Mimo to chciałbym wiedzieć, gdzie byłeś i co robiłeś czternastego maja wieczorem.

– Czternastego? – z widoczną ulgą rzucił Własow. – Dobry Boże, mama obchodziła sześćdziesiąte urodziny, w instytucie świętowano jej jubileusz, później wszyscy poszliśmy do restauracji. Przyjechała siostra z Anglii, specjalnie wzięła urlop na dziesięć dni.

– Dużo było gości?

– W restauracji? Pewnie ze dwadzieścia osób.

– Podasz mi jej nazwę?

– Nie ma sprawy. – Własow się uśmiechnął. – Sprawdzaj.

Anton zapisał nazwę i adres lokalu. To chyba wystarczy. Warto by tylko ustalić jeszcze pewien drobiazg. Inna Wiktorowna Jefimowa została zabita nożem, wyjęto go z ciała po znalezieniu zwłok. Był to zwyczajny nóż kuchenny ze stali, wykonany przez japońską firmę Samura.

– Pora na mnie. – Staszys podniósł się, jak gdyby zamierzał wyjść. – Muszę jeszcze przedrzeć się przez korki na drugi koniec miasta. Pieskie życie, nawet nie ma czasu na obiad, rano o siódmej zjadłem kanapkę i nie wiadomo, kiedy znowu zobaczę jedzenie. Nie poratowałbyś mnie kromką chleba z serem? Albo paroma herbatnikami?

Własow szybko poderwał się z kanapy.

– Nie ma sprawy, oczywiście, chodźmy do kuchni.

Wygląd kuchni dobitnie świadczył o braku wrażliwości Własowa na to, co zwykło się nazywać ciepłem domowym. Okna bez zasłon, na parapecie puste słoiki, lampa pod sufitem chyba nigdy niemyta, podobnie jak kuchenka gazowa. Meble nie od kompletu, na podłodze wytarte linoleum. Tymczasem Staszys słyszał, że firma Oxygen nieźle płaci nawet zwykłym menadżerom. W dodatku telewizor w kuchni, jak i ten

w pokoju, był najwyższej klasy. No tak, prawdziwy mężczyzna nie żałuje pieniędzy na sprzęt, kuchnia zaś nie należy do jego priorytetów.

Anton usiłował pokazać, że nie chce robić kłopotu.

– Gdzie masz noże? Daj chleb, sam sobie odkroję...

Noże znajdowały się razem ze sztuccami w szufladzie.

„Porządna pani domu nigdy nie trzyma noży kuchennych razem ze sztuccami”. Stasow przypomniał sobie słowa niezującej mamy. „Noże należy przechowywać osobno, na specjalnym stojaku”.

Tak, dawny łyżwiarz Władimir Własow nie zaliczał się do kategorii porządnickich. Miał dwa noże: jeden większy, drugi mniejszy.

– A nóż do chleba? – zapytał Anton. – Gdzie go trzymasz?

– Żyję skromnie – odparł Własow z niepojętą goryczą. – Do krojenia chleba wystarcza mi zwykły nóż. Przestań wydziwiać.

– To znaczy, że masz tylko dwa noże?

– A po co więcej? – niewzruszenie odparł Władimir.

Staszys odkroił kawałek podeschniętej bagietki.

– Ależ ten nóż jest tępy – zauważył krytycznie. – Kupiłbyś sobie japoński, na przykład Samura, podobno rzadko trzeba go ostrzyć.

Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy dawnego łyżwiarza. Może wspaniale nad sobą panował i był przygotowany na każdą uwagę policjanta, a może rzeczywiście nigdy nie słyszał o tych nożach.

No cóż, albo Władimir Własow naprawdę nie maczał palców w zabójstwie Jefimowej, albo policjanci mają do czynienia z bardzo niebezpiecznym i przebiegłym przeciwnikiem. Tak czy inaczej, trzeba skrupulatnie sprawdzić jego alibi na dzień zabójstwa Michaiła Bołtienkowa. Bo hipoteza dotycząca zemsty za śmierć Jewgienija Zielenowa nadal wydaje się bardzo przekonująca.

Z samochodu Anton zadzwonił do Dziuby.

– Sprawdź szybko alibi Własowa, Romek, na wieczór czternastego maja – polecił. – On sam twierdzi, że był w restauracji na przyjęciu z okazji jubileuszu matki. Zapisz adres. A ja zaraz wrócę do biura i złożę zapytanie o broń.

– Zaczekaj, przecież zajmuję się Nosulenką – odparł stropiony Roman. – Powiedziałaś, w której szkole sportowej pracuje, no więc właśnie tam jadę...

– Zawróć – nakazał Staszys. – Nosulenko ci nie ucieknie. Najpierw trzeba sprawdzić alibi Własowa. Przyjaźnił się z Jewgienijem Zielenowem, do tej pory utrzymuje kontakt z jego matką, więc mamy chyba w garści podejrzanego numer jeden. Jeśli się okaże, że dostał pozwolenie na broń i że ma marne alibi, będziemy mogli odtrąbić zwycięstwo.

– Jak chcesz. – Dziuba westchnął z przygnębieniem.

Anton poczuł się nieswojo. Szkoda chłopaka. Ale nie ma rady, praca to praca. Dobrze pamiętał siebie w wieku dwudziestu pięciu lat, odrywano go od jednego zadania, by przydzielić inne, i przesuвано jak pionka na szachownicy. Niekiedy było mu bardzo przykro... Ale z czasem to mija. Tak też będzie w przypadku Romka.

Następny telefon był od Kamieńskiej.

– Znalazłam dawną partnerkę Własowa – oznajmiła. – Jest cała i zdrowa, nikt nie nastawał na jej życie. Mam do pana prośbę, Antonie...

– Słucham – odparł z niezadowoleniem.

No proszę, zaczyna się. Wykorzystanie zasobów administracyjnych. „Po starej znajomości”, jak się wyraził Władimir Własow.

– Chciałabym przejrzeć komunikaty – poprosiła. – Nie proszę o nic poufnego. Tylko to, co jest dostępne dla wszystkich. Przekazujecie przecież komunikaty do mediów.

– A po co? – zdziwił się Anton.

– Tak sobie. Czasami to coś daje. Naprowadza na jakąś myśl. Często się przydawało. Każde przestępstwo jest przecież jak



kamień wrzucony do wody. Rozchodzą się kręgi. Na ogół nie są kryminalne, ale zdarza się, że jeden z kręgów wyróżnia się w jakimś punkcie czy w jakiejś części.

Anton niewiele pojął z jej słów, ale w końcu Kamieńska to swój człowiek i udziela znacznej pomocy. Dlaczego miałby nie pójść jej na rękę?

– Dobrze, przywiozę – obiecał. – Albo prześlę e-mailem.

===

Ledwie za policjantem zamknęły się drzwi, Własow rzucił się do komputera. Kiedy zabito tę zdziwą Jefimową? Dwudziestego marca? Zaczął przetrząsać wiadomości sprzed dwóch miesięcy, szukając znajomego nazwiska... Jest! Inna Wiktorowna Jefimowa... aparat Gosdumy... naczelnik wydziału protokolarnego i kontaktów z mediami...

A więc policjant go nie oszukał. Rzeczywiście już jej nie ma. Nigdy więcej nie usłyszy jej ostrego, nieprzyjemnego głosu. I nie poczuje odrażającego, cierpkiego i duszącego zapachu perfum. Ta zołza nikomu więcej nie robi świństwa, nie podstawi nogi, żeby napchać własne kieszenie. Nikogo więcej nie nazwie idiotą i degeneratem, nie „pomoże” wylecieć z drużyny. Koniec. Można o niej nie myśleć.

Trzeba się tylko cieszyć. Radość, podobnie jak za pierwszym razem, pojawiła się gdzieś w okolicach splotu słonecznego i przyjemnym wibrującym ciepłem zaczęła się powoli rozlewać we wszystkie strony, ogrzewając i wzmacniając osłabione serce oraz ospały umysł. Władimir nie mógł oderwać wzroku od ekranu komputera i wciąż na nowo delektował się tekstami serwisów informacyjnych. O zabójstwie Inny Jefimowej rozpisywano się przez cały tydzień, później, jak to zwykle bywa, pojawiły się nowsze i atrakcyjniejsze wiadomości, wszyscy zapomnieli o znalezieniu ciała pracownicy aparatu Gosdumy.

Ale dlaczego? Jak to się stało, że on, Władimir Własow, o tym

nie wiedział? Przecież powinien był wiedzieć. Powinien był.

No dobrze, zdąży to jeszcze wyjaśnić. Najważniejsze, że Jefimowa nie żyje. Szkoda, że nie kupił drukarki, wciąż zbierał się, żeby to zrobić, ale odkładał... Będzie musiał znaleźć ten materiał jutro w pracy, wykorzystać okazję, gdy nikogo nie będzie w biurze, i wydrukować. Później złoży starannie kartkę i wsunie ją do starego notesu, tam gdzie przechowuje pierwszą wiadomość: „zginął tragicznie...”. Te słowa są dla niego ratunkiem, kotwicą w szalejącym morzu nienawiści, sensem wszystkiego, co się jeszcze wydarzy w jego życiu.

===

Do końca dnia Anton zdążył popchnąć do przodu parę spraw, wrócił na Pietrowkę, spełnił obietnicę daną Kamieńskiej, wysyłając jej pocztą elektroniczną komunikaty, i nawet otrzymał informację, że Władimir Własow nigdy nie dostał i nie próbował dostać zgody na zakup broni. Podczas gdy Staszys zastanawiał się, jak najlepiej wykorzystać resztę wieczoru – pojechać do domu, spotkać się z Lizą czy zaczekać na Dziubę – zadzwonił Romek.

– Jesteś na miejscu?

Głos młodego wywiadowcy wydawał się przygnębiony i znużony.

– Owszem.

– Zaczekasz na mnie? Jadę już Strastnym, będę za jakieś dziesięć minut.

– Jasne – odparł z westchnieniem Anton.

Problem sam się rozwiązał. Może to i lepiej. Myśl o Lizie sprawiła, że znowu zaczął się denerwować, tracić panowanie nad sobą i czuć jak ostatni drań, który nie chce się ożenić z porządną dziewczyną.

Dziuba był rzeczywiście przygnębiony. Sporo się dowiedział o łyżwiarzu Własowie, ale okazało się, że facet miał mocne alibi

na czas zabójstwa Bołtienkowa. Tamtego dnia, a raczej wieczoru, czternastego maja, matka Własowa obchodziła sześćdziesiąte urodziny, przyszło sporo przyjaciół i znajomych, przyjechała nawet starsza córka z Anglii, gdzie pracuje już od paru lat, z tej okazji wzięła urlop na dziesięć dni, żeby pomóc w przygotowaniach i pobyć w domu. Wołodia, rzecz jasna, też był, widziały go dziesiątki gości, nigdzie nie wychodził.

Restauracja, w której świętowano okrągłą rocznicę, znajduje się bardzo daleko od miejsca, gdzie zastrzelono Bołtienkowa, żeby tam pojechać i wrócić, potrzeba jakiejś godziny, a biorąc pod uwagę ulewny deszcz, nawet półtorej albo i więcej. Władimir nie znikł z pola widzenia na tak długo.

– No tak – powiedział zbity z tropu Anton. – Facet ma alibi, ale nie ma pozwolenia na broń. To ostatnie jest właściwie bez znaczenia, broń można kupić bez pozwolenia na każdym kroku, więc to żaden argument. Chwytaj zdjęcie i ruszaj do boju, sprawdź strzelnice i rusznikarnie, a także nielegalne warsztaty. Nie muszę cię chyba uczyć. Alibi to gorsza sprawa. Słuchaj, Romek, a może to jednak Łamzin? Prawie mnie przekonałeś, że jest niewinny, uwierzyłem w twoje dowody, jak głupiec zacząłem szukać z tobą i z Kamieńską innych podejrzanych, po spotkaniu z Własowem właściwie byłem już pewien na sto procent, że znaleźliśmy prawdziwego zabójcę, ale teraz ogarnęły mnie wątpliwości.

– Łamzin, jeśli pamiętasz, też nie ma oficjalnego pozwolenia na broń – odparował Dziuba.

– Ale alibi też nie ma – zaoponował Staszys. – Za to ma motyw. W dodatku udowodniony, potwierdzony zeznaniami licznych świadków.

– Własow też ma motyw!

Uparciuch z tego Romka! Trudno go zbić z pantafelku. Anton znowu, po raz nie wiadomo który pomyślał, że nie wie, czy to dobrze, czy źle.

– Ma – przytaknął. – Ale nieudowodniony.

Już chciał powiedzieć coś przekonującego na temat stanowiska prokuratury, ale nie zdążył – odezwała się komórka.

– Nie za późno dzwonię, Antonie? – niepewnie zapytała Kamieńska. – Jest pan jeszcze w pracy?

Pewnie znowu czegoś potrzebuje. Chyba sam diabeł podkusił Kirgana, żeby wybrać biuro, w którym pracuje ta namolna Anastazja Pawłowna!

– A o co chodzi? – zapytał ostrożnie.

– Co pan wie o zamachu na Gandzumiana?

– Na kogo?

Anton po raz pierwszy słyszał to nazwisko.

– Grant Arturowicz Gandzumian – powtórzyła Kamieńska. – Rana postrzałowa spowodowała uszkodzenie tkanek miękkich ręki, na szczęście nie była groźna dla życia. Dwa dni temu.

– I co? – Anton nadal nie kojarzył. – Jaki związek...

– Ktoś strzelał do niego w pobliżu Pałacu Sportu. Gandzumian przyjechał, żeby odebrać syna z wieczornego treningu, chłopiec uprawia łyżwiarstwo figurowe. Zjawił się przed czasem, wysiadł z samochodu i poszedł na spacer do parku, wokół Pałacu Sportu jest duży park. Tam ktoś do niego strzelił.

– Proszę mi dać piętnaście minut, wszystkiego się dowiem – szybko odparł Staszys.

Kwadrans później obaj z Dziubą byli gotowi przekazać Kamieńskiej pierwsze, bardzo skąpe, rzecz jasna, informacje. Ktoś strzelał do Gandzumiana z odległości mniej więcej dwóch metrów, w plecy, ale trafił na szczęście w ramię. Gandzumian nie widział napastnika, bo zaskoczony bólem, potknął się i upadł. Śledczemu i wywiadowcom powiedział, że od pewnego czasu dostawał listy, jak się wyraził, „mętnej i wątpliwej treści, jakoby ktoś dostał na mnie zlecenie, ale gotów jest się dogadać”. Gandzumian nie zamierzał się dogadywać z szantażystą i nie reagował na zaczepki, uznawszy je za głupią zabawę albo prymitywną próbę wyciągnięcia łatwych pieniędzy od naiwnego biznesmena. Listy są jeszcze w elektronicznej

skrzynce pocztowej, policjanci je widzieli, próbowali ustalić IP komputera, z którego zostały wysłane, ale adres okazał się lipny. Zdaniem Gandzumiana zamach nie był związany z listami, które wydały mu się niepoważne. Jest pewien, że za próbą zabójstwa stoi któryś konkurent. W chwili obecnej to podstawowa hipoteza w śledztwie. Inna hipoteza zakłada, że w grę wchodzi życie rodzinne i osobiste biznesmena: mężczyzna miał kochankę albo jego żona prowadziła podwójne życie.

– Będziemy mogli porozmawiać z Gandzumianem? – zapytała Kamieńska. – Jest w szpitalu czy wrócił już do domu?

– Na razie leży w szpitalu.

– A więc spotkamy się tam jutro rano.

– Nie sądzi pani, że to zbieg okoliczności? Zabity dentysta wcale nie oznacza, że wszystkie przestępstwa popełnione w pobliżu przychodni stomatologicznych w Moskwie są powiązane z jego śmiercią – złośliwie zauważył Staszys.

– Ja nic nie sądzę – bardzo poważnie odparła Kamieńska. – Myślenie jest szkodliwe, jak pokazuje praktyka. Jutro o dziesiątej będę u Gandzumiana w szpitalu. Proszę zdecydować, czy pan do mnie dołączy.

Anton nie miał ochoty jechać do szpitala. Ale od czego są młodszy koledzy, którym powierza się to, czego nie chce się robić samemu. Można im na przykład powiedzieć, żeby skoczyli po piwo. Albo pojechali do szpitala...

===

– Nie rozumiem, co ci ludzie mają w głowach! – wołał oburzony Dziuba po powrocie ze szpitala, gdzie razem z Kamieńską przesłuchiwał Granta Arturowicza Gandzumiana. – Ktoś mu pisze, że dostał na niego zlecenie, a on żyje sobie jak gdyby nigdy nic i się nie przejmuję! Trzeba być chyba obranym z rozumu, żeby się tak zachowywać! I to ma być biznesmen!

W innych okolicznościach Anton chętnie zawtórowałby

Dziubie. Ale nie dzisiaj.

Dzisiaj jego myśli zaprzętał kto inny. Władimir Własow, który jak się okazało, znał Granta Arturowicza. Mało tego, nie tylko znał, ale miał nawet do niego pewne pretensje.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że świat łyżwiarstwa figurowego jest tak skomplikowany – z niezadowoleniem stwierdził Gandzumian. – Obok czystego sportu pełno tam jakichś dziwacznych powiązań i podwodnych prądów. W końcu zatroszczyłem się jedynie o syna.

Trzy lata temu szkoła sportowa, do której uczęszczał Wardan, otrzymała polecenie zredukowania liczby uczniów. Z grupy chłopca należało usunąć dwóch łyżwiarzy. W tej sytuacji trener Nikołaj Nosulenko zaprosił Granta Arturowicza z żoną Goar na rozmowę.

– Dostałem polecenie, żeby usunąć z grupy dwóch uczniów – powiedział ze smutkiem. – Będę musiał pozbyć się Wardana. Państwa syn robi słabe postępy. Chętnie bym go zostawił, rzecz jasna, bo jest pilny i bardzo go lubię, mam z nim dobry kontakt. Nie mogę jednak usunąć zdolnego łyżwiarza, chyba państwo rozumiecie? Serce mi pęka, ale co począć? Gdybym mógł więcej pracować z Wardanem, chłopak by się podciągnął. Właśnie z tego powodu muszę zredukować grupę. Nie mam dość godzin na lodowisku, żeby pracować indywidualnie ze wszystkimi łyżwiarzami.

Gandzumian zinterpretował powyższe słowa w określony sposób: trener musi mieć jakiś profit.

– A co trzeba zrobić, żeby przyznano panu więcej godzin na lodowisku? – zapytał wprost.

– Mieć dobre układy z dyrektorem Pałacu Sportu.

– Czego by to wymagało?

– Chyba pan rozumie... Finansowanie jest niewystarczające, nie utrzymujemy temperatury na lodowisku, w szatniach panuje niewłaściwa temperatura...

Tych wszystkich „nie” nazbierało się dość sporo. Grant

Arturowicz miał bardzo szerokie pole do działania.

– Jeśli rozwiążę niektóre problemy, zostawi pan moje dziecko?  
– zapytał, patrząc trenerowi prosto w oczy.

Z oczu wyzierała szczerość.

– Ma się rozumieć! Jeżeli zapewnię pomoc sponsora, dyrekcja na pewno pójdzie mi na rękę i przydzielą więcej godzin na lodowisku. Wtedy będę mógł zostawić Wardana i będę miał dość czasu, żeby z nim popracować. I to nawet więcej niż z innymi.

Jednym słowem, rodzice i trener się dogadali. Wardan Gandzumian został w grupie, usunięto zaś innego chłopca. Później się okazało, że zajmował się nim drugi trener. Władimir Własow.

Tenże Własow przyjechał do biura Gandzumiana, żeby się rozmówić. Krzyczał, że rujnowanie kariery zdolnego łyżwiarza to rzecz niegodziwa, że ojciec Wardana niszczy w ten sposób zarówno życie chłopca – przyszłego mistrza, jak i życie Własowa, początkującego trenera, który już nigdy nie będzie miał okazji się wykazać, bo nie dostanie tak zdolnego dziecka.

Grant Arturowicz wezwał ochronę i polecił usunąć awanturnika. Później Własow się nie pojawiał – nie przychodził ani nie dzwonił. Biznesmen uznał, że konflikt został zażegnany. Krótco potem dowiedział się od syna, że drugi trener się zwolnił i już nie prowadzi zajęć, jego miejsce zajęła łyżwiarka z grupy seniorów, z którą pierwszy trener ma romans. Niebawem się pobrali i razem zajmowali grupą.

Ale niedługo. Rok, a może nieco ponad rok później trener zginął, a młoda wdowa zrezygnowała z pracy. Grupę rozwiązano, więc teraz Wardan uczęszcza do innej szkoły.

To znaczy, że Nikołaj Nosulenko zginął jakieś dwa lata temu... Ale przecież wczoraj Romek jechał akurat do niego, gdy Anton go powstrzymał i polecił zająć się alibi Własowa. No i bądź tu teraz mądry, czy tak jest lepiej.

– Jak zginął Nosulenko? – zapytał Anton. – Zabójstwo?

– Gandzumian twierdzi, że to wypadek samochodowy. Ale może nie wiedzieć, co tak naprawdę się wydarzyło. Trzeba ustalić.

– No to ustalaj, coś się tak rozsiadł! – rzucił Anton z irytacją.

Dziuba sapnął obrażony, po czym obrócił się w stronę komputera.

Czemu się na niego wściekam? – ofuknął się w myślach Staszys. Zachowuję się jak kapryśna panienska, poddaję się chwilowym nastrojom. Jeśli się okaże, że Nosulenکو został zabity, powstaje ciekawy łańcuch: konflikt z Gandzumianem – zamach na biznesmena, konflikt z trenerem – zabójstwo. Własow musiał przecież oskarżać Nosulenkę o to, że z grupy usunięto jego ucznia, zdolnego łyzwiarza. Na pewno się domyślał, że trener dogadał się z ojcem Wardana. Domyślał się, rzecz jasna, bo inaczej nie urządziłby awantury Gandzumianowi. A przedtem próbował też pewnie rozmówić się z Nosulenką. Wszystko wskazuje na Własowa... Nie, nie wszystko. Nie pasują Bołtienkow i Jefimowa, Własow ma alibi na czas ich śmierci. Dwa do jednego. Pięćdziesiąt procent szans. Do licha!

– Jedziemy do Bagłajewa! – zarządził. – Trzeba go poinformować o Gandzumianie. Powinien się orientować, bo musimy poznać opinię balistyków na temat kuli i łuski. Tylko uważaj, żeby za dużo nie gadać, Bagłajew nie może się dowiedzieć o naszych wyczynach. Jasne?

Dziuba nie odpowiedział. Nawet nie skinął głową. W milczeniu wyłączył komputer i zmierzył Antona przenikliwym spojrzeniem. W jego niebieskich oczach nie było ani gniewu, ani nienawiści. Widniał w nich twardy jak skała upór.

===

– No i co ma do tego ten biznesmen? – zapytał pochmurnie Timur Achmedowicz Bagłajew. – Nie widzę związku ze sprawą



Bołtienkowa. Chyba mydlicie mi oczy...

Anton zaczął mętnie tłumaczyć, że przesłuchiwali z Dziubą świadków, wypytując o konflikty pomiędzy Łamzinem a Bołtienkowem, no i jedna z osób wymieniła nazwisko Nosulenki, później wspomniała o Gandzumianie, po czym nagle się okazało, że parę dni wcześniej doszło do napadu z użyciem broni palnej na Gandzumiana. Wyjaśnienia nie trzymały się kupy – im dłużej Anton mówił, tym wyraźniej widział, że śledczy mu nie wierzy.

Nagle Dziuba, który dotąd milczał, przerwał Staszysowi.

– W grupie Bołtienkowa był łyżwiarz, który miał powody do zemsty na trenerze. Był też w konflikcie z Gandzumianem.

Anton zachłysnął się i umilkł. No i kto prosił smarkacza, żeby się wtrącał? Przecież go uprzedzał, żeby za dużo nie gadał.

Bagłajew pocmokał, uśmiechnął się i skinął głową.

– Mam rozumieć, że podsuwacie mi innego podejrzanego?

– Nie, Timurze Achmedowiczu. – Dziuba zachował pełen spokój, czym wprowadził Antona w niemałe zdziwienie. – Szukamy związku tego łyżwiarza z Łamzinem. Jeśli go znajdziemy, będziemy mogli śmiało mówić o grupie składającej się z co najmniej dwóch osób. Łamzin zabił Bołtienkowa, a drugi współnik próbował zabić Gandzumiana. Nie znaleziono broni, z której strzelano do Bołtienkowa, więc niewykluczone, że użyto jej po raz drugi. Warto sprawdzić.

Nieźle! Anton nie spodziewał się tego po Romku. Ależ sprytnie wszystko wymyślił! W dodatku hipoteza śledczego dotycząca winy Łamzina nie została podana w wątpliwość, a to ważne.

– Warto – przyznał Bagłajew. – To ma sens. Brawo. Ustalcie związek tego figuranta z Łamzinem.

Pośpiesznie zesli śledczemu z oczu, póki ich nie rozgryzł.

– Gdzie się nauczyłeś tak kłamać? – Staszys nie krył aprobaty i podziwu. – I to bez przygotowania, na wariata. Dobrze, że Achmedycz nie zapytał o nazwisko figuranta i nie wpadł na pomysł, że sam go przesłucha. Marnie byśmy wtedy wyglądali...

Hazardzista z ciebie, Romeczku.

Dziuba nie odpowiedział. Anton przyjrzał mu się uważniej.

– Nie kręć, Romek! – powiedział surowo. – Przyznaj się: wierzysz w to, co powiedziałeś śledczemu? Sądzisz, że Własow maczał palce w zabójstwie Bołtienkowa? Facet ma przecież alibi, sam je sprawdzałeś. Więc skąd ten pomysł? Wiesz coś, o czym ja nie wiem? A może masz jakieś informacje na temat jego związku z Łamzinem?

– Niczego nie mam – cicho i dobitnie odparł Dziuba. – I wcale tak nie sędzę. Zobaczyłem, że nie potrafisz przekonująco wytłumaczyć Bagłajewowi, o co nam chodzi, i przy tym się nie narazić. Próbowałeś skłamać, ale się nie udało. No więc przejąłem pałeczkę. I tyle.

– Co ci jest, Romek? Ostatnio zachowujesz się dziwnie. Dawniej byłeś inny.

Dziuba poderwał głowę i obrócił się do Antona.

– To ty zachowujesz się dziwnie – powiedział ze złością. – Kiedyś byłeś zupełnie inny. Wciąż się wściekasz, wszystko cię drażni. W ogóle nie myślisz o sprawie, jakbyś miał w nosie pracę. Chciałem się od ciebie czegoś nauczyć, cieszyłem się, gdy pomogłeś mi przenieść się na Pietrowkę, sądziłem, że oto teraz zacznie się nowe życie, będę miał kogoś, kto mnie poprowadzi, pokaże, pomoże. A ty... Rozumiem, że masz problemy, ale czyżbyś sądził, że nikt poza tobą ich nie ma? Wszyscy żyją jak w raju, tylko ty jeden cierpisz? Wszyscy mają kłopoty, w życiu każdego coś się dzieje, nie wolno tak... Łamzin siedzi w areszcie, śledczy jest przekonany o jego winie, a my im dalej brniemy, tym większą zdobywamy pewność, że podejrzanych może być całe mrowie, a motywów milion, tyle że tobie to chyba obojętne. Nawiasem mówiąc, znalazłem świadka, który może szczegółowo opisać, jak był ubrany Łamzin, gdy wybiegał z domu wieczorem w dniu zabójstwa. Właśnie te rzeczy oddano do analizy. Nie znaleziono na nich żadnych śladów. Ale ciebie to nie interesuje. Chodzi ci tylko o jedno: żeby zwierzchnicy nie

wezwalili cię na dywanik, a śledczy się nie czepiał. Jeżeli zamierzasz mnie tego uczyć, to lepiej wróć, skąd przyszedłem.

Antona oblała fala wstydu i pociemniało mu w oczach. Czy aż tak widać, że przestał myśleć o pracy, pochłonięty problemami osobistymi? Miał dość zdrowego rozsądku i samokrytycyzmu, by przyznać się przed sobą samym, że ukochana praca odeszła na drugi, a nawet na trzeci plan, głowę zajmują zupełnie inne myśli, które nie pozwalają skupić się na sprawach zawodowych. Miał jednak nadzieję, że nikt prócz niego tego nie widzi. Wygląda jednak na to, że się mylił. Romek wszystko zauważył i go ocenił. Kto jeszcze to dostrzegł? Sierioża Zarubin? Kamieńska? Nie, Kamieńska chyba nie ma pojęcia o jego kłopotach z nianią i z dziećmi... Chociaż właściwie czemu nie? Pracuje u Stasowa, zna go od lat, podobnie jak Lizę. Przyjaźni się też z Zarubinem, on zaś wie wszystko na temat Antona. Niech to szlag! Jeśli Anastazja Pawłowna myśli podobnie jak Romek, to nic, tylko zapaść się pod ziemię! Gdy pracowali razem nad zabójstwem w teatrze, nie mogła się nachwalić jego umiejętności... Teraz jest pewnie rozczarowana...

Musi wziąć się w garść. W końcu odejście niani nie jest kwestią najbliższych dni, może o tym pomyśleć jutro, jak powiedziałaaby Scarlett O'Hara. Tymczasem zabójstwa, które trzeba wyjaśnić, to sprawy niecierpiące zwłoki.

Mamy do czynienia z co najmniej trzema przestępstwami: Jefimowa, Bołtienkow i Gandzumian. Możliwe też, że Nosulenko, jeśli się okaże, że to nie był wypadek.

– Zdążyłeś się czegoś dowiedzieć o śmierci Nosulenki? – zapytał Dziubę, starając się nie napotkać jego wzroku.

– Rozbił się samochodem, gdy odpoczywał w Grecji. Samochód był wynajęty. Podróżował z żoną i z jej przyjaciółką. Kobiety zostały ranne, a Nosulenko zginął. Prowadził w stanie nietrzeźwym. Właściwie wszyscy byli pod dobrą datą – zwiędłe odparł Roman.

– To pewne?

– Pewne.

A więc dwa trupy i jeden ranny. Dobre i to.

– Wiadomo coś o żonie Nosulenki?

– Znam tylko imię i rok urodzenia, niczego więcej nie zdążyłem się dowiedzieć.

– Więc zadzwoń i się dowiedz. – Anton westchnął, wsiadając do samochodu. – Dowiedz się, gdzie mieszka i pracuje, pojedziemy z nią porozmawiać. Od razu skoczmy też do sklepu, muszę kupić Waśce dzinsy, obiecałem jej na koniec roku szkolnego.

Słońce nagrzało miasto do tego stopnia, że Anton otworzył okno. Wprawdzie szosa tonęła w spalinach i w smogu, nic jednak nie mogło zagłuszyć zapachu letniego powietrza, które wpadało do środka. Sąsiednim pasem jechało zdezelowane auto i okropnie tarabaniło. Dziuba gdzieś dzwonił i o coś pytał, ale jego głos niemal całkowicie tonął w warkocie starego gruchota.

Staszys bezwiednie wrócił myślami do własnej przyszłości. Ciekawe, jak Ela rozwiąże sprawę samochodu, gdy będzie odchodziła. Auto należy do niej, Anton korzysta z niego tylko dzięki jej uprzejmości.

Kątem oka zauważył, że Dziuba zmienił się na twarzy i jakimś bezradnym gestem opuścił rękę z telefonem.

– I co? – Anton się do niego odwrócił. – Zdobyłeś adres?

– Owszem – odparł Romek dziwnym głosem. – Tyle że to nie ma sensu.

– Co takiego?

– Ona nie żyje. Została zabita.

– Kto? – Anton nic nie rozumiał.

Znowu skupił uwagę na drodze. Jechali akurat przez źle wyregulowane skrzyżowanie z przejściem dla pieszych, które zaczynało się jakieś trzy metry za skrętem w prawo. Wielu kierowców kończących manewr tuż przed zmianą świateł musiało przepuścić pieszych, utrudniając tym samym ruch

w prostopadłym kierunku. Trzeba było używać klaksonu i sprawnie manewrować, żeby przeciąć jezdnię.

– Żona Nosulenki.

Staszys nerwowo szarpnął ramionami i nacisnął guzik podnoszący szybę. Źle słyszał wskutek hałasu. A raczej słyszał dobrze, ale nie był pewien tego, co usłyszał. Dziuba powiedział coś dziwnego...

– Kto nie żyje? – powtórzył znowu. – Wybacz, straszny hałas za oknem, nie dosłyszałem.

– Galina Nosulenko. Sprawcę ujęto i skazano.

– Kiedy?

– Siedem miesięcy temu, w październiku dwa tysiące dwunastego roku. Sprawa została wyjaśniona w ciągu paru dni. W grudniu odbyła się już rozprawa sądowa.

– Szybko – mruknął Anton. – Kim był zabójca?

– Przyjezdny z Tadżykistanu, migrował w poszukiwaniu pracy. To było zabójstwo na tle rabunkowym. Tocha, on ją zastrzelił.

– Jak to zastrzelił? – zdziwił się Anton. – To niemożliwe! Skąd facet z Tadżykistanu miałby pistolet? To zupełnie inna kategoria! Jeżeli miał pistolet, to albo nie jest tak naprawdę robotnikiem najmującym się do pracy, albo kierował nim inny motyw. Gdzie są akta? W archiwum sądu? Gdzie doszło do zabójstwa?

– W okolicach Rublowki. Galina Nosulenko była tam masażystką w ekskluzywnym salonie SPA. Nie miała samochodu, szła skrajem lasu na dworzec kolejki podmiejskiej.

– No proszę... A łyżwiarstwo figurowe? Praca trenera? Lśniący lód i wdzięczni wychowankowie, którzy zostali mistrzami? Może chodzi o inną Nosulenko?

– Nazwisko i rok urodzenia pasują. Ale zaraz sprawdzę jeszcze raz.

Znowu Rublowka... Kolejny zbieg okoliczności? Chociaż nie, bo Jefimowa została zabita wcale nie tam, gdzie budowała dom. Znaleziono ją przecież w jej samochodzie zaparkowanym koło

salonu piękności, który regularnie odwiedzała, korzystając z usług kosmetyczki, z solarium oraz z innych zabiegów. Salon SPA... Salon piękności... Rublowka... Do licha, czyżby wyłaniała się nowa hipoteza? Ale jak, jak te zbrodnie mogą być powiązane? Trener łyżwiarstwa figurowego, biznesmen, urzędniczka z Gosdumy, masażystka z salonu SPA... To oczywiste, że wszystkich łączy łyżwiarstwo figurowe, każda ofiara miała z nim jakiś związek. Ale Jefimowa i Nosulenko łączą się jakoś... wyraźniej. Chyba należałoby je wykluczyć z tego łańcucha. W jednej grupie są Bołtienkow i Gandzumian, w drugiej panie. Sposoby popełnienia zbrodni też są różne. Trzy postrzały i śmierć zadana nożem. W takim układzie trzeba wykreślić Jefimową. Cholera, nic nie pasuje!

Anton nie miał wcale ochoty jechać do wywiadowców, którym podlegała Rublowka. Napsuli im krwi, wpytując o zabójstwo Jefimowej! A później Staszys wyskoczył jeszcze z tym pożarem... Niczego mu już nie powiedzą. Trzeba ich jakoś podejść.

Dziuba wciąż jeszcze z kimś rozmawiał, więc Anton wykorzystał dogodną chwilę na następnym skrzyżowaniu i wyciągnął telefon. A nuż Kamieńska pomoże?

– Na Rublowce? – zapytała. – Tak, mam tam znajomych. Jeśli uda mi się z nimi skontaktować, postaram się czegoś dowiedzieć.

– Policjanci krzywo tam na mnie patrzą. – Anton zaczął się usprawiedliwiać. – Mają mnie wyżej uszu, więc proszę się na mnie nie powoływać.

– A kto mówi o policjantach? – Anastazja Pawłowna się uśmiechnęła. – Jakoś się z nimi nie zaprzyjaźniłam. Specjalizowałam się raczej w śledczych.

Sprzed sklepu, w którym Anton zamierzał kupić dzinsy dla córki, akurat odjechał samochód, więc udało mu się zaparkować tuż przy wejściu.

– Zaczekaj – rzucił w stronę Dziuby. – Zaraz wracam.  
Ale Romek też wysiadł.

– Pójdę kupić coś do jedzenia – wyjaśnił.

– Zgoda – odparł Anton.

Takich dzinsów, jakie sobie umyślił na prezent dla Wasylisy, niestety nie było. Chciał kupić jasnoniebieskie z przetarciami, ale dzinsy w odpowiednim rozmiarze i z przetarciami były tylko ciemnoniebieskie, szare i czarne. Jasnoniebieskie się znalazły, były jednak o dwa rozmiary za duże. Anton się zdenerwował, ale później wpadł na pomysł, żeby zadzwonić do córki. To przecież on chciał jaśniejsze. A może Waśce podoba się inny kolor?

– Tato, jasnoniebieskie to obciach – autorytatywnie oświadczyła dziesięciolatka. – Lepiej szare. I wolę z dziurami, a nie z przetarciami.

Staszys westchnął z ulgą. Akurat szare dzinsy były z dziurami, pozostałe modele miały tylko przetarcia. Uregulował rachunek i prawie biegiem puścił się do samochodu. Dziuba stał oparty o maskę, wystawiając twarz ku słońcu. Reklamówkę z jedzeniem umieścił przy nogach, na asfalcie.

– Dokąd teraz? – zapytał, leniwie otwierając oczy, które przymrużył przed jaskrawym słońcem.

No rzeczywiście, dokąd teraz? Mają adres Galiny Nosulenko, ale po co jechać tam, gdzie mieszkała zabita kobieta? To znaczy, owszem, miałoby to sens, gdyby wiedzieli ponad wszelką wątpliwość, że w mieszkaniu przebywa bliska jej osoba, która ją dobrze znała i może powiedzieć coś ważnego. Ale na razie nie mieli takich informacji. Zresztą możliwe, że Romek coś wie i milczy. Ostatnio zrobił się skryty. Dopiero teraz powiedział o świadku, który opisał, jak był ubrany aresztowany Łamzin. Śledczemu chyba w ogóle o tym nie wspomniał. Ale dlaczego nie powiedział Antonowi? Chyba przestał się z nim dzielić informacjami, widząc, że Staszys nie ma głowy do pracy. Niedobrze. Wszystko wygląda bardzo niedobrze.

– Z kim mieszkała Nosulenko? – zapytał Anton.

– Najpierw z mężem, a po jego śmierci sama. Może miała

jakiegoś lokatora, ale nie był zameldowany.

– Mieszkanie jest prywatne? Kto je przejął po śmierci Galiny?

– Nie mam pojęcia.

– Ale ktoś tam mieszka?

– Nie wiem, Tocha. Nie jestem asem wywiadu. Trzeba znaleźć dzielnicowego i go zapytać.

– No to jedziemy – z rozdrażnieniem odparł Anton.

W tej samej chwili usłyszał siebie z boku. Znowu poczuł wstyd. Podczas gdy się zastanawiał, czy powinien przeprosić Romka, zadzwoniła Kamieńska.

– Nie jedziemy do mieszkania Nosulenko – w zamyśleniu oznajmił Dziubie – tylko na Rublowkę, do salonu, w którym pracowała.

Broni, z której zastrzelono Galinę, nie znaleziono. Ale z ekspertyzy kuli wyjętej z ciała i łuski znalezionej na miejscu przestępstwa wynikało, że strzał oddano z pistoletu gazowego, który został przerobiony na ostre naboje. Zatrzymany i podejrzany o zabójstwo robotnik, słabo mówiący po rosyjsku, przyznał się, że popełnił zabójstwo w stanie upojenia alkoholowego, przestraszył się swego czynu i wyrzucił pistolet. Gdzie – nie pamięta. Do jakiegoś zbiornika wodnego... „Dojechałem do Moskwy, wysiadłem na Dworcu Białoruskim, przesiadłem się i jakieś półtorej godziny tłukłem się innym pociągiem za miasto”. To wszystko, co udało się od niego wyciągnąć. Nie potrafił nawet wskazać kierunku, w którym jechał pociąg. Zresztą nie ma się czemu dziwić, był przecież pijany jak bela... Wspomniane półtorej godziny też stało pod znakiem zapytania, równie dobrze mogło chodzić o czterdzieści minut albo nawet całe trzy godziny.

Śledczy, z którym rozmawiała Kamieńska, nie pamiętał, rzecz jasna, żadnego nazwiska świadka w sprawie karnej. Za to przypomniał sobie, że bliską przyjaciółką ofiary była właścicielka salonu, w którym pracowała Galina Nosulenko. I to właśnie z nią Anton chciał się spotkać.



===

Tym razem adwokat Kirgan zjawił się u śledczego Bagłajewa z twardym postanowieniem uzyskania zgody na przesłuchanie nowego świadka. Poprzednim razem spodziewał się odmowy, która szczerze mówiąc, była słuszna. Dzisiaj sytuacja jest jednak inna, więc Witalij Nikołajewicz nie zamierzał się poddawać.

– Możliwe, że będziemy musieli poczekać – zwrócił się do drepczącego obok tęgiego emeryta: znalezionego przez Romka Dziubę świadka, mieszkającego na drugim piętrze w tej samej klatce schodowej co Walerij Łamzin. – I to długo. Najsmutniejsze jest to, że czekanie może się okazać daremne, jeżeli śledczy nie zechce pana przesłuchać. Wtedy stracimy tylko czas. Ale postaram się zrobić, co tylko w mojej mocy, żeby do tego nie doszło. Mam nadzieję, że mnie pan nie zawiedzie i nie powie, że musi wracać albo że jest zmęczony. Chyba pan rozumie, że waży się los człowieka oskarżonego o ciężkie przestępstwo, w dodatku niesłusznie.

– Naturalnie, naturalnie, doskonale rozumiem – pośpiesznie przytakiwał świadek, usiłując nadążyć za adwokatem stawiającym długie kroki. – Mam czas, zaczekam dopóty, dopóki będzie trzeba, kto to widział, żeby zamykać w więzieniu niewinną osobę, zwłaszcza Walerija Pietrowicza, to przecież święty człowiek, tylu młodych próżniaków sprowadził na dobrą drogę, znalazł im zajęcie, żeby nie wałęsali się po ulicach...

Dzisiaj dyżurny przy wejściu okazał nadzwyczajną czujność, długo studiował legitymację adwokata i dowód osobisty świadka, po czym burknął:

– Niech pan zadzwoni do śledczego, żeby wydał przepustkę.

Kirgan sumiennie zadzwonił, spodziewając się, że usłyszy długi sygnał w słuchawce.

Ale Bagłajew odparł:

– Mam teraz konfrontację. Będę wolny dopiero za godzinę.  
– Zaczekam – bez wahania odparł Witalij Nikołajewicz. – Razem ze świadkiem.

– Proszę przekazać słuchawkę dyżurnemu. – W głosie śledczego pobrzmiwało wyraźne niezadowolenie.

Ale... Adwokat zdążył się już przecież dowiedzieć, że Timur Achmedowicz szanuje kodeks postępowania karnego. I nie pociągają go tanie sztuczki.

Czekali znacznie dłużej, niż zapowiedział śledczy, przez cały ten czas Witalij Nikołajewicz cierpliwie słuchał licznych historii potwierdzających, że Walerij Pietrowicz Łamzin to wspaniały sąsiad i przyzwoity człowiek. Konfrontacja się skończyła, Bagłajew wyszedł z pokoju, skinieniem głowy przywitał adwokata i w milczeniu go minął. Wrócił dopiero po jakichś dwudziestu minutach.

– Proszę – rzucił, nie zatrzymując się.

Świadek ochoczo zerwał się z miejsca, ale Kirgan powstrzymał go gestem.

– Chwileczkę, najpierw muszę porozmawiać ze śledczym.

Tym razem Bagłajew od razu przypomniał sobie imię i patronimik adwokata. Nic w tym zresztą dziwnego, spotkali się całkiem niedawno, gdy podejrzanego zapoznawano w obecności adwokata z wynikami ekspertyzy. We wnioskach stwierdzono, że na ubraniu przekazanym do analizy nie stwierdzono cząsteczek prochu ani sadzy. Gdyby już wtedy Kirgan wiedział, że Romek znalazł świadka, wystąpiłby z wnioskiem o jego przesłuchanie jeszcze podczas czynności śledczej i wniosek zostałby zaprotokołowany. Ale Romek znalazł gadatliwego świadka niestety dobieg później, więc adwokat musiał działać rutynowo, to znaczy sporządzić długi wniosek ze szczegółowym uzasadnieniem, pisząc w nim, że on, adwokat Witalij Nikołajewicz Kirgan, dowiedział się, iż taki a taki obywatel, zamieszkały tam i tam, posiada informacje potwierdzające to i to...

– Co tym razem? – niezycziwie zapytał Bağlajew. – Kolejna straszna historyjka o możliwej zemście?

– Niestety. – Adwokat wymownie rozłożył ręce. – Wszystko jest o wiele bardziej prozaiczne. Mam świadka, który widział Łamzina biegnącego za Bołtienkowem po schodach.

– Ach tak. I co z tego?

– Dobrze się przyjrzał, jak Łamzin był ubrany. Gotów jest to szczegółowo opisać. Jego opis pokrywa się z opisem ubrania, które zostało oddane do ekspertyzy. Innymi słowy, Łamzin dał wam ubranie, które miał na sobie, gdy gonił Bołtienkowa, i jak wykazała ekspertyza, nie znaleziono na nim żadnych śladów. Pan zaś, Timurze Achmedowiczu, nie krył swoich wątpliwości. Mówił pan, że Łamzin mógł wam dać dowolne ubranie, wcale nie to, w którym był w chwili strzału, miał ku temu sposobność. Właśnie dlatego wynik ekspertyzy wydał się panu nieprzekonujący. No więc znalazłem świadka.

– Poproszę o wniosek. – Bağlajew wyciągnął rękę, nie patrząc na adwokata. – Zapoznam się z nim.

Kirgan wręczył mu oba egzemplarze. Odczekał jakąś minutę, uważnie obserwując oczy śledczego, prześlizgujące się po linijkach tekstu.

– A może go przesłuchamy, Timurze Achmedowiczu?

– Rozpatrzę pański wniosek i wydam postanowienie – sucho odparł Bağlajew.

– Jestem pewien, Timurze Achmedowiczu, że pańska decyzja będzie pozytywna. Sprawa jest przecież oczywista, nie można odrzucać takiego dowodu. A świadek czeka na korytarzu. Nie zajmujemy dużo czasu.

Bağlajew zrobił dziwną minę. Kirgan widział taki wyraz twarzy u ludzi, którzy zdali sobie sprawę, że nadeszła chwila podjęcia nieprzyjemnej decyzji. W przypadku śledczych takie chwile bywają wtedy, gdy nagle do nich dociera, że hipoteza, nad którą z takim uporem pracowali i w którą święcie wierzyli, nie tylko się zachwiała, ale runęła. Tymczasem podjęto już decyzje

procesowe, z których trzeba będzie się tłumaczyć zarówno przed sądem, jak i przed własnymi zwierzchnikami. A bywa, że i przed własnym sumieniem.

Kirgan cierpliwie czekał. Z doświadczenia wiedział, że w takich momentach czasami trzeba naciskać, ale niekiedy lepiej milczeć, żeby niczego nie popsuć. Timur Achmedowicz wyraźnie należał do ludzi nieznoszących jakiejkolwiek presji.

– Niech pan przyprowadzi świadka – powiedział wreszcie.

Sprawa ruszyła do przodu, myślał Kirgan, słuchając odpowiedzi świadka na pytania Bağłajewa. Pewne informacje dotarły jednak do świadomości śledczego i sprawiły, że zwątpił w winę swojego klienta. A to już nieźle.

===

Właścicielka salonu SPA, w którym przed śmiercią pracowała Galina Nosulenko, była kobietą elegancką, zadbaną i sprawiała wrażenie rzeczowej i majątnej bizneswoman. Póki się nie odezwała. Wystarczyło, że otworzyła usta, a od razu zamieniła się w prostą, wiejską dziewczynę, której słownictwo pozostawiało sporo do życzenia i która do tej pory nie pozbyła się gardłowego „h”, zastępującego „g”.

– Gala uczyła się w tej samej szkole sportowej, w której pracował Kola, ale trenowała w grupie dorosłych łyżwiarzy, Kola zajmował się młodszymi dziećmi. Podobała się Kolce, że strach – opowiadała ochoczo. – No a Gałka koniecznie chciała za niego wyjść. Kręcili ze sobą dwa lata, póki gość nie dojrzał. Gałka parła do ożenku z moskwianinem, żeby się jakoś urządzić, była przecież przyjezdna, a wynajem chaty sporo kosztował. No i w ogóle... W sporcie wiodło jej się nieszczególnie, krótko mówiąc, nie zrobiła kariery, nie zarobiła pieniędzy, no a musiała jakoś dalej żyć. No więc wzięła Kolkę w obroty. Czemu nie? Trener, w dodatku sympatyczny, nie leżał, ma się rozumieć, na forsie, za to miał mieszkanie, a to wystarczyło,

żeby się zahaczyć, zanim nawinie się coś lepszego. Sama przeszłam podobną drogę. Gala wzięła ze mnie przykład, kiedyś wynajmowałyśmy razem chatę, ale ona wtedy dopiero przyjechała, a ja byłam już po pierwszym rozwodzie. Krótko mówiąc, Gałka wyszła za Kolę, najpierw z nim pracowała, przyjął ją do swojej grupy na drugiego trenera, później zobaczyła, że dochody są marne, i zrobiła kurs masażu. W tym czasie byłam już znowu mężatką, mąż kupił mi ten salon, więc przytuliłam Gałkę. Czemu nie pomóc kumpelce? Płacę dobrze, mamy bogatych klientów, dają hojne napiwki, więc nie miała powodu do narzekań.

– Opowiadała pani o Władimirze Własowie? – zapytał Anton.

Właścicielka salonu zmarszczyła czołko, ale po jej twarzy nie przemknął nawet cień zadumy.

– A kto to taki?

– Był drugim trenerem.

– Aha, ten! – Ucieszyła się. – Tak, Gałka wspominała o jakimś Wowce, chyba nazywał się Własow...

– Co mówiła?

– Opowiadała, jak go wygryzała z lodowiska – zadowolonym tonem oznajmiła przyjaciółka zabitej Galiny.

– Naprawdę wygryzała? – z niedowierzaniem zapytał Anton. – I sama o tym opowiadała?

– No a co w tym dziwnego? Czego miała się wstydzić? Takie jest życie. Albo ty kogoś załatwisz, albo ten ktoś załatwi ciebie. Wszystkie środki są dozwolone. Gałka śledziła każdy krok tego Wowy, kablowała na niego trenerowi, to znaczy Kolce. Skarżyła się, a czasami nawet ściemniała, mówiła to, czego tak naprawdę nie było.

– Na przykład?

– Że Wowa pije. Facet rzeczywiście popijał, to prawda. Tyle że nie tak często i nie tak dużo, jak twierdziła Gałka i jak sądził Kolka. Krótko mówiąc, Gałka już od dawna sypiała z Kolą, gdy Wowa pokłócił się z ojcem jakiegoś chłopca. Kola dowiedział się

oczywiście i powiedział: „Póki piłeś po cichu i przychodziłeś wczorajszy na treningi, znosiłem to, ale teraz, gdy awanturujesz się z rodzicami, nie będę cię dłużej trzymał. Wynoś się, zamiast ciebie wezmę Gałkę”. No i Gałka dopięła swego: zdobyła męża, pracę, lokal i stałe zameldowanie.

– Co było dalej? – z ciekawością zapytał Dziuba.

– Wowa przydybał ją koło damskiej szatni i nawrzeszczał, że jest jędzą, że specjalnie to wszystko urządziła. No a Gala powiedziała mu w oczy to, co myślała. Że każdy musi sam się o siebie martwić i kombinować, żeby się ustawić. Coś w tym stylu.

A więc Nikołaj Nosulenko zwolnił Własowa. A Galina przyłożyła do tego rękę, w dodatku nieźle się postarała. To znaczy, że Własow mógł mieć pretensje do obojga.

Ale Nikołaj zginął w Grecji i dawny łyżwiarz nie mógł mieć związku z jego śmiercią. Galina została zastrzelona podczas próby rabunku przez jakiegoś robotnika. Zastrzelona z przerobionego pistoletu gazowego...

Nie, nic tutaj nie pasuje. Nic się nie klei. Od początku wszystko poszło w niewłaściwą stronę. Informacje zbierano chaotycznie, bez wyraźnego planu, więc dzisiaj stanowią bezładną zbieraninę danych. Wszystko dlatego, że śledztwo obrało jeden kierunek, a Dziuba z adwokatem przyjęli drugi. Dalsza praca bez Bałajewa jest niemożliwa, trzeba jednak stworzyć przekonujący łańcuch argumentów, który zmusi śledczego jeśli nie do wycofania się, to przynajmniej do zwątpienia w hipotezę dotyczącą winy Walerija Łamzina.

To znaczy, że wszystko trzeba zaczynać od początku.

===

– Musimy zebrać jak najwięcej informacji o Własowie – podsumowała Kamieńska. – Ma pan rację, Antonie, powstał rzeczywiście spory bałagan. Szukaliśmy wszelkich możliwych

kandydatów na podejrzanych, a teraz nie możemy złożyć wszystkiego w całość.

W ogrodzie Ermitaż, który znajdował się naprzeciwko budynku GUWD na Pietrowce, było o tej porze tłoczno. Staszys, Dziuba i Kamińska nieśpiesznie przechadzali się od fontanny koło pomnika wszystkich zakochanych do pomnika Wiktora Hugo i z powrotem.

– Ale przecież sprawa jest oczywista! – Roman się gorączkował. – Ucierpieli wszyscy, do których Własow mógł żywić urazę. Czy to nie wystarczy śledczemu?

– Nie wiemy, czy wszyscy – sprzeciwiła się Kamińska. – Nosulenko nie pasuje, bo zginął w wypadku. Nawiasem mówiąc, wasza Jefimowa też nie za bardzo... Zabito ją nożem, podczas gdy pozostałe trzy ofiary zastrzelono. Dlaczego przestępca zmienił sposób działania? Zwłaszcza że jak twierdzicie, Własow ma alibi zarówno na czas zabójstwa Jefimowej, jak i na czas zabójstwa Bołtienkowa. Śledczy wyrzuci was za drzwi z takimi informacjami i muszę przyznać, że będzie miał rację. Sprawdziliście alibi Własowa na czas zamachu na Gandzumiana?

– Jeszcze nie, sprawdzamy – odparł Anton.

– A w związku z Galiną Nosulenko?

– Przecież to się wydarzyło dawno, w październiku ubiegłego roku, o jakim tu mówić alibi? – Dziuba westchnął. – Nikt sobie niczego nie przypomni.

– Więc mamy tylko jeden argument, żeby przekonać waszego śledczego: dwa zabójstwa – Bołtienkowa i Galiny Nosulenko – popełniono przy użyciu przerobionego pistoletu gazowego, którego jednak nie znaleziono – skwitowała Kamińska. – Nie wiadomo też, czy chodzi o jeden pistolet. Żeby wyrobić sobie jakie takie zdanie, trzeba porozmawiać z balistykami, ale nieoficjalnie. W tym celu należy dotrzeć do ekspertyzy obu kul i łusek, żeby biegli mogli przestudiować część badawczą. Miejmy nadzieję, że dostaniecie od Bałajewa ekspertyzę

pistoletu, z którego strzelano do Gandzumiana. Mam nazwisko biegłego, który wykonał ekspertyzę w sprawie Nosulenka. Jeśli mi powiecie, kto zrobił ekspertyzę w sprawie Bołtienkowa i komu powierzono ekspertyzę kuli w historii z Gandzumianem, postaram się dowiedzieć tego, co trzeba. Nie gwarantuję, że się uda, ale dołożę starań. Jeśli się okaże, że chociaż w dwóch przypadkach na trzy użyto tego samego pistoletu, będziecie mieli z czym pójść do śledczego.

– A jeśli będzie inaczej? – zapytał przygnębiony Stasow. – Czuję, że się nam nie poszczęści.

– To możliwe. – Kamieńska westchnęła. – Wszystko może się zdarzyć. Wtedy trzeba szukać poparcia waszej hipotezy w innych miejscach. Właśnie dlatego proponuję, żebyście dokładnie przeanalizowali karierę sportową figuranta Własowa.

Detektywi odprowadzili Kamieńską do samochodu.

– Robisz coś w ogóle, żeby znaleźć pistolet? – surowo zapytał Anton, gdy zostali sami.

Roman ponuro skinął głową. Właściwie było to zadanie Fiodora Uljancewa, ale on szukał dowodów, że Walerij Łamzin nabył i przerobił pistolet gazowy. A Dziubę interesował Własow. Musiał uruchomić swoich informatorów, no ale młody wywiadowca przeważnie nie ma ich wielu. Więc informatorzy informatorami, ale najlepiej liczyć na własne nogi...

– Domyślam się, że idzie ci jak po grudzie. – Staszys się uśmiechnął. – Dobra, jedźmy do domu. Jutro też jest dzień.

===

Przez dwa następne dni Dziuba był tak zagoniony, że wieczorem, a raczej późną nocą nie tylko padał z nóg, ale też niezbyt dobrze pamiętał, co robił, gdzie był, z kim rozmawiał i, rzecz najważniejsza, czego udało mu się dowiedzieć. Z trudem zasypiał, wiercił się na kanapie, co rusz przewracając poduszkę i z przerażeniem myśląc o zbliżającym się poranku: zbudzi się



i niczego sobie nie przypomni, nie powiąże faktów w całość, a to z kolei uniemożliwi stworzenie spójnego obrazu...

Trzeciego dnia rano zadzwonił do Antona i powiedział, że zjawi się koło piętnastej. Niczego nie wyjaśniając. Praca wywiadowcy ma taką zaletę, że czasami można niczego nie tłumaczyć nawet najbliższemu koledze. Roman zerknął na wiszący za oknem termometr, upewnił się, że na dworze jest ciepło, włożył nową ciemnoniebieską koszulkę i stare ulubione dżinsy, na nogi wsunął adidasy, po czym ruszył do Tamiły Warłamowny Alasania.

Tym razem drzwi otworzyła mu sama dziennikarka.

– Niech pan wejdzie – zaprosiła go. – Wcale się nie zdziwiłam, gdy pan do mnie zadzwonił, Romeczku. Chyba mogę tak do pana mówić?

– Oczywiście. – Dziuba się stropił. – Proszę mówić, jak pani wygodnie.

Alasania może go nazywać Romeczkiem, Romusiem, a nawet Rudzielcem, byle tylko okazało się, że wie to, czego on koniecznie musi się dowiedzieć.

– Dlaczego się pani nie zdziwiła?

– Bo pamiętam, jak mnie pan słuchał. – Tamiła się roześmiała. – Z otwartymi ustami. Chwytał pan każde słowo. A pański kolega w ogóle nie słuchał, nie był ciekaw.

No jasne, nie był ciekaw... Gdyby dziennikarka знаła prawdę!

I znowu, jak za pierwszym razem, musiał przemierzyć długi korytarz przesiąknięty aromatycznymi zapachami z kuchni. Ale dzisiaj zapachy i możliwa perspektywa poczęstunku nie wzbudzały w nim ekscytacji. Dzisiaj był jeden z tych rzadkich dni, gdy Romek Dziuba tracił apetyt ze zmęczenia. Już sama myśl o jedzeniu wywoływała mdłości.

I znowu siedział w zadymionym pokoiku z szeroko otwartym oknem. Tylko komputer tym razem nie jest włączony. I nie ma Antona.

– Niech pan pyta – zezwoliła Tamiła, siadając na niewielkiej

kanapie. – Co jeszcze chce pan wiedzieć?

– Pamięta pani łyżwiarza, który się nazywał Władimir Własow?

Tamiła wbiła wzrok w sufit, zabębniła po kolanie palcami ozdobionymi srebrnymi pierścieniami.

– Na poczekaniu nie powiem – odparła w końcu. – Muszę zajrzeć do swojego archiwum. W jakich latach występował?

– Jest z osiemdziesiątego rocznika.

– No cóż, jeśli mam o nim jakieś informacje, są na szczęście w komputerze. Proszę chwileczkę poczekać.

Przesiadła się na krzesło i włączyła komputer.

– Jeśli jest z osiemdziesiątego rocznika, występował już wtedy, gdy wprowadzałam wszystko do komputera – wyjaśniła, podczas gdy łądował się system. – Gdyby był starszy, musiałabym szukać w archiwum papierowym, w teczkach, a mam w nich straszliwy bałagan. Wciąż brak mi czasu, żeby uporządkować stare notatki. Żeby je zlogarytmować, jak lubi żartować mój wnuk.

Tamiła otworzyła parę plików i wesoło prychnęła.

– Naturalnie, to on, pański Władimir Własow, mistrz Rosji juniorów w jeździe solowej, później występował w parze sportowej, ostatnia partnerka Trietiakowa, ostatni trener Ludmiła Wołyniec, przedtem trenował u nieżyjącego Michaiła Bołtjenkowa. To ten?

– Ten! – zawołał uradowany Dziuba.

– W takim razie proszę jeszcze chwileczkę poczekać, przejrzę notatki, żeby sobie wszystko przypomnieć.

Roman cierpliwie czekał, obserwując dziennikarkę, która czytała teksty na ekranie. Teksty były różnej objętości, jedne liczyły dwie, trzy linijki, inne miały po parę stron.

– Już pamiętam. Więc co chce pan wiedzieć o Własowie?

– Interesują mnie tamte zawody, gdy jeździł już w parze z Trietiakową i walczył o miejsce w reprezentacji.

– Tak, tak... – z roztargnieniem odparła Tamiła, wyszukując

właściwe miejsce. – Jest, znalazłam. Mistrzostwa Rosji. Pamiętam, a jakże. Mam zapisane, że para Trietiakowa–Własow pojechała bardzo dobrze, ich czwarte miejsce okazało się niespodzianką dla wielu osób. Wszyscy byli pewni, że zostaną brązowymi, a nawet srebrnymi medalistami. Ich występ był porywający! Wszystko im się udało!

– Powiedziała pani, że dla wielu osób to była niespodzianka – ostrożnie zauważył Roman. – Dla wielu, czyli nie dla wszystkich?

– Brawo! – Tamiła Warłamowna się roześmiała. – Będzie z pana świetny detektyw. Umie pan słuchać. A ja, stara baba, oduczyłam się mówić tak, żeby nie chwymano mnie za słowa. Tracę czujność, to sprawa wieku, co poradzić.

– Więc co się wydarzyło? – ciągnął Dziuba, wiedząc już, że znalazł to, po co przyjechał do dziennikarki.

– Nic szczególnego. Para została nisko oceniona. Należało wcisnąć do reprezentacji inną parę, którą była zainteresowana Federacja, no więc ją wcisnęto. Mimo że łyżwiarze, którzy trafili do reprezentacji, wystąpili, obiektywnie rzecz biorąc, gorzej. Wtedy funkcjonował jeszcze stary system sędziowania, więc wystarczyło pięć głosów z dziewięciu. Gdyby nie wymieniono sędziego, para Trietiakowa–Własow na pewno znalazłaby się na podium. Ale mieli okropnego pecha. Wymieniono jednego sędziego. Niezbyt dla nich szczęśliwie, bo nowy sędzia okazał się uległy wobec Federacji.

– Wymieniono sędziego? A dlaczego? Specjalnie, żeby wepchnąć do reprezentacji inną parę? – Dziuba zaczął sypać pytaniami. – Czyja to była inicjatywa?

– Myli się pan, tutaj inicjatywa jest niemożliwa. Wykazy sędziów zostały zatwierdzone na długo przed zawodami, jakiś miesiąc wcześniej, więc musiały być ważne podstawy ku temu, żeby tuż przed zawodami usunąć jakiegoś sędziego i wprowadzić zapasowego. Słaba para miała po prostu więcej szczęścia. Wprowadzono sędziego, który był elastyczny. Pański

Własow miał paskudnego pecha, a jego rywalom dopisało szczęście. Chociaż powtarzam, że para Trietiakowa – Własow wystąpiła świetnie i miała wszelkie szanse, żeby dostać się do reprezentacji.

– A więc uważa pani, że wymiana sędziego była przypadkowa?  
– z niedowierzaniem zapytał Roman.

– Oczywiście – zdecydowanie odparła Tamiła. – Ponad wszelką wątpliwość. Sędzia sam poprosił o zamianę, w przededniu zawodów wydarzyła się jakaś tragedia w jego rodzinie, ktoś zachorował czy umarł... Krótko mówiąc, musiał pilnie wrócić do domu.

– Do domu?

– No tak. Sędzia Jelisiejew przyjechał z Permu, miał tam rodzinę, a zawody odbywały się w Moskwie.

– Rozumiem... No i kto go zastąpił?

– Jarcewa.

– Z Moskwy?

– Z Jekaterynburga.

– W takim razie jeszcze jedno pytanie. Czy ktoś mógł zapłacić Jelisiejewowi, żeby poprosił o zamianę pod pretekstem kłopotów rodzinnych?

Tamiła popatrzyła na niego w zamyśleniu.

– Dobre pytanie... Słuszne. Ktoś oczywiście mógł spróbować. Jeżeli było wiadomo, że następny w kolejności sędzia jest tym, którego potrzeba. Ale Jelisiejew by odmówił. Dam sobie rękę uciąć, że by odmówił. Należał do tych, o których mówi się, że są nieelastyczni. Nie da się go urobić.

– A Jarcewa?

– O, z nią to zupełnie inna sprawa! Jarcewa jest znana ze swojej elastyczności i zamiłowania do drogich prezentów w postaci wyrobów futrzarskich i jubilerskich. Jak już mówiłam, Własow i jego partnerka mieli wyjątkowego pecha, że to właśnie ona zastąpiła Jelisiejewa.

– Da mi pani namiary? – Dziuba uśmiechnął się błagalnie.

– Naturalnie – przytaknęła Tamiła Warłamowna i dodała: – Jeśli się nie zestarzały.

Do piętnastej (Dziuba obiecał Antonowi, że o tej porze się zjawi) pozostawały ponad dwie godziny. Roman twardo odmówił poczęstunku zaproponowanego przez dziennikarkę, po czym opuścił gościnny dom rodziny Alasaniów i wykorzystał czas z pożytkiem: o trzeciej był gotów zameldować, że Jarcewa, sędzina międzynarodowej kategorii, jest cała i zdrowa, mieszka w rodzinnym mieście na Uralu, a sędzia Jelisiejew przeprowadził się parę lat temu z Permu do Moskwy i wykłada na uczelni, którą przez wzgląd na dawne czasy nazywano instytutem wychowania fizycznego, ale którą później wiele razy przemianowywano i dzisiaj nosiła już zupełnie inną, dłuższą i trudniejszą nazwę.

– Dałem Kamieńskiej namiary na Jelisiejewa, obiecała z nim porozmawiać, jeśli znajdzie go w Moskwie – entuzjastycznie relacjonował Dziuba.

Jednakże Anton był nastawiony bardzo sceptycznie.

– Co chcesz wyciągnąć z tej historii? Po co ci sędzia? Czas biegnie, Romek, a my drepczemy w miejscu. Ty zaś, zamiast zajmować się sprawą...

– Zajmuję się nią – zdecydowanie odparł Dziuba. – Jestem pewien, że Jarcewa to kolejna ofiara, bo nisko oceniła Własowa. Ale za nic się nie przyzna, że ktoś ją przekupił. Więc trzeba skłonić Jelisiejewa do przyznania się, że ktoś go zmusił, by poprosił o zamianę i wyjechał.

– Więc jesteś pewien, że go do tego zmuszono?

– Na sto procent.

– No dobrze. – Anton westchnął. – A jeśli nie ma go w Moskwie?

– To go znajdziemy.

– Ciekawe, kto zapłaci za poszukiwania. Ty? – mruknął Staszys. – A może zapomniałeś, że to, co teraz robimy, nie znajduje uznania u śledczego?

– Kirgan zapłaci – burknął Romek.

===

Pytanie, kto zapłaci, nie było wcale bezpodstawne. Nastia Kamieńska bez trudu odszukała sędziego Jelisiejewa w Rosyjskim Państwowym Uniwersytecie Wychowania Fizycznego, Sportu i Turystyki. Usłyszawszy, że chodzi o zabójstwo Michaiła Walentinowicza Bołtienkowa, sędzie, docent jednej z katedr, wyraził pełną gotowość do współpracy, najwyraźniej puszczając mimo uszu, że będzie pomagał nie w oficjalnym śledztwie, ale prywatnemu detektywowi. Jednakże gdy tylko rozmowa dotknęła tematu dawnych mistrzostw Rosji, na których Jelisiejew miał sędziować konkurencję par sportowych, rozmówca Nasti wyraźnie stracił zapał i zmarkotniał. Widać było, że nie ma ochoty do tego wracać.

– Jeżeli nie wyjaśni pan, dlaczego musiał poprosić o zamianę i wyjechać, pomyślę, że postąpił pan nieuczciwie – uprzedziła szczerze.

Stali przy oknie w połowie długiego korytarza, na którego końcu znajdowały się drzwi prowadzące na basen. Jelisiejew patrzył na Nastię ze smutkiem, ale nie odwracał wzroku.

– Dobrze, powiem pani, dlaczego musiałem wyjechać. Chociaż to nie powód do dumy.

Po chwili milczenia podjął:

– Mój syn został zatrzymany za posiadanie narkotyków. Groził mu poważny wyrok. Musiałem pilnie wrócić do domu i spróbować rozwiązać problem. Żona zadzwoniła przerażona...

– Rozumiem. Udało się wszystko załatwić?

– Owszem. – Jelisiejew kiwnął głową. – Musiałem zdążyć, póki trwały czynności sprawdzające, bo gdyby wszczęto postępowanie karne...

– Tak, jasne – przerwała mu Nastia. – Mogę poprosić o nazwisko osoby, która pomogła panu rozwiązać problem?

– Nie – szorstko odparł Jelisiejew. – Musi mnie pani zrozumieć.

– Rozumiem – odparła. – Sama się dowiem, to żaden kłopot.

– Proszę tego nie robić. – Jelisiejew podniósł głos. – Nie trzeba, proszę! Minęło tyle lat! Po co rozgrzebywać tę historię? Poszedłem pani na rękę, wyznałem szczerze, co się stało, choć wiem, że to mi nie przysparza chwały. Tamtego oficera, z którym się dogadałem, też nikt nie pochwali za jego czyn. Ale takie jest życie, niechże pani zrozumie! Wszyscy tak robią. I nikt nie trafia za kratki ani za wręczanie łapówki, ani za jej przyjęcie. Po co to pani w ogóle drażni? Jaki to może mieć związek ze śmiercią Miszy Bołtjenkowa?

– Żadnego. – Nastia się uśmiechnęła. – Czy później nie widywał pan już Władimira Własowa? Może rozmawialiście? Albo się pokłóciliście?

– Pokłóciliśmy się? – W oczach Jelisiejewa błysnęło zdumienie.

– Co też pani mówi?! Kto to widział, żeby łyżwiarz spierał się z sędzią! Nigdy i za nic w świecie! Pamiętam Własowa z innych zawodów, które się odbyły po mistrzostwach. Na poprzednich też go zauważyłem... I na treningach, rzecz jasna. Chyba pani wie, że sędziowie przychodzą na treningi, żeby obejrzyć łyżwiarzy i się zorientować, jak są przygotowani, dzięki temu mogą być bardziej obiektywni podczas zawodów. Sędzia może na przykład zauważyć, że na treningach łyżwiarz wykonuje jakiś skok w ośmiu przypadkach na dziesięć, a więc świetnie go opanował. Co innego, gdy skoczył dziesięć razy, ale osiem prób było nieudanych. To znaczy, że raczej nie ma tego skoku w swoim arsenale. Gdy łyżwiarzowi nie udaje się skok na zawodach, sędzia już wie na pewno, czy to przypadek, czy prawidłowość. Może więc odjąć mniej lub więcej punktów za źle wykonany element. Dlatego powtarzam: widziałem tego łyżwiarza, ale nigdy z nim nie rozmawiałem. A dlaczego pani pyta o Własowa? Słyszałem, że aresztowano Walerija Łamzina, a nie Własowa.

– Pytam nie o Własowa, ale o to, dlaczego zastąpiła pana wtedy Jarcewa.

– Czy to ma jakiś związek?

– Kto wie, kto wie – zagadkowo odparła Nastia.

Trzeba lecieć do Permu i dowiedzieć się wszystkiego na miejscu. Możliwe, że syn Jelisiejewa naprawdę wpadł z partią narkotyków i kochający ojciec pośpieszył z Moskwy, żeby wyciągnąć z tarapatów ukochane dziecię. Ale możliwe, że to kłamstwo wymyślone na poczekaniu, teraz albo wtedy, gdy trzeba było poprosić o zamianę. Prawda zaś jest taka, że sędzię Jelisiejewa przekupiono. Dano mu pieniądze albo obiecano coś innego za to, że poprosi o zamianę, powołując się na wymyślone i przez nikogo niesprawdzone okoliczności. No cóż, jeżeli w Permie się okaże, że syn Jelisiejewa w interesującej Nastię chwili nie trafił na komisariat ani nie został o nic oskarżony, można będzie pracować dalej. Jeżeli zabójcą jest rzeczywiście Władimir Własow i jeżeli postanowił wyrównać rachunki z tymi, którzy tak czy inaczej zrujnowali mu życie i karierę sportową, mężczyzna nie może pominąć ani Jelisiejewa, ani Jarcewej. Pod warunkiem, rzecz jasna, że poznał prawdziwy stan rzeczy.

Przed wyjazdem do Permu należało ustalić, czy klient jest gotów ponieść koszty. Taka jest rzeczywistość: płaci ten, kto zamawia muzykę. Żadnych inicjatyw, zwłaszcza związanych z wydatkami.

– Do Permu? – z niezadowoleniem wycedził Władisław Stasow, wysłuchawszy relacji Nasti. – Też wymyśliłaś... Nie zawracaj mi głowy, lepiej powiedz, co to za zadanie ze skrzynką i z adwokatami, które dałaś Lilce. Dziewczyna mnie pyta, a ja nie wiem, co powiedzieć. A swoją drogą, co należy zrobić, gdy adwokat chce, żeby świadek został przesłuchany podczas postępowania przygotowawczego, bo jego zeznania mogą pomóc uniewinnić oskarżonego, a później się okazuje, że śledczy nie dostał wniosku i sąd wyprasza świadka?

– To proste jak drut, Władik. – Nastia się roześmiała. –



Adwokat idzie na najbliższą pocztę i wysyła wniosek listem wartościowym za potwierdzeniem odbioru. Nie inaczej, bo do listu wartościowego dołącza opis zawartości w dwóch egzemplarzach, w którym pisze czarno na białym, że do takiego a takiego śledczego wystosował wniosek w takiej a takiej sprawie karnej, poda też oczywiście jej numer i tożsamość oskarżonego. Urzędnik na poczcie wyda pokwitowanie, które opieczętuje datownikiem. Adwokat otrzyma też drugi egzemplarz opisu. W tej sytuacji śledczy, który nie ma najmniejszej ochoty włączyć danych dowodów do sprawy, już się nie wykręci. Po pierwsze, listonosz na pewno dostarczy przesyłkę wartościową za potwierdzeniem odbioru do sekretariatu i nie wyjdzie, póki koperta nie zostanie otwarta, a pismo zarejestrowane. I po drugie, jeśli dojdzie do jakiegoś matactwa i na rozprawie oskarżenie zacznie wykazywać, że brak dowodów wynika z tego, że obrona nie wnioskuje o ich włączenie podczas postępowania przygotowawczego, adwokat wyciągnie z teczki dwie bezcenne karteczki: jedną opatrzoną datą wysłania wniosku, drugą z opisem dokumentu. Wtedy sędziemu nie pozostanie nic innego, jak tylko zrugać prokuraturę i przesłuchać jednak świadka.

– A po co zawracałaś tym głowę Lilce? – zapytał zdziwiony Staszys. – Robi przecież doktorat z kryminologii, a nie z adwokatury.

– Nie zawracałam, tylko na przykładzie pokazałam, że nikt nie zostanie dobrym, świetnie zarabiającym adwokatem bez doświadczenia. Ona jest przecież przekonana, że Anton może rzucić pracę w wydziale kryminalnym i poświęcić się adwokaturze. No więc chciałam jej udowodnić, że nie ma pojęcia o subtelnościach zawodu adwokatów. I co z Permem? No dalej, podejmij jakąś decyzję. Albo przynajmniej zapytaj klienta – nalegała. – Niech on ją podejmie. Przyznaję, że nie uśmiecha mi się lecieć, ale jak trzeba, to trzeba.

– Też miałbym kogo pytać – burknął Stasow. – W Permie

zostało paru moich kumpli ze Szkoły Milicyjnej w Omsku, któryś na pewno pomoże.

Nastia wzruszyła ramionami.

– Twoja sprawa. Ty tu rządzisz.

– Zgadza się. Dlatego pójdziesz teraz do sąsiedniego pokoju i napiszesz dokładny raport za ostatnie... – Przekartkował notes i kiwnął głową z satysfakcją. – Za ostatnie pięć dni. Nie dostałem od ciebie nawet paru zdań! Z dnia na dzień robisz się coraz bardziej bezczelna, Aśka! Myślisz, że skoro jesteśmy starymi przyjaciółmi, możesz robić, co ci się żywnie podoba?

Nastia roześmiała się i delikatnie potargała Stasowa za włosy, które mocno się przerzedziły w ciągu ostatnich lat.

– A ty, jak widzę, zaczynasz się czuć coraz pewniej w fotelu szefa. Napiszę raport w domu, dobrze, Władik? I przyniosę jutro. Albo wyślę e-mailem.

– Żadnych „w domu”! Idź i bierz się do roboty, nigdzie nie pójdziesz, póki nie napiszesz.

Nastia zdążyła już się skrzywić obrażona, gdy nagle Staszys nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Ale dałaś się nabrać! Nieźle ci nagadałem, hę? Wiem przecież, że nie będziesz mogła ani jeść, ani pić, ani spać, póki się nie dowiesz, co wydarzyło się w Permie. Więc uznałem, że dam ci jakieś zajęcie, podczas gdy będę odgrzewał stare znajomości. Jazda stąd! – huknął. – I nie pokazuj mi się na oczy, póki nie skończysz raportu.

No i dobrze, myślała Nastia, włączając komputer na biurku. Może podczas pisania uporządkuję myśli. A zatem w życiu Władimira Własowa nastąpiły wydarzenia, które uniemożliwiły mu zrobienie kariery sportowej, a później trenerskiej. Roszada sędziów i zamiana Jelisiejewa na Jarcewą spowodowały, że nie zakwalifikował się ze swoją partnerką Trietiakową do reprezentacji narodowej. Urzędniczka z komitetu sportowego, Jefimowa, przeszkodziła mu w wyjeździe za granicę, wskutek czego nie mógł trenować z nową partnerką i występować

w barwach innej Federacji. Galina Nosulenko zrobiła, co tylko w jej mocy, żeby go wygryźć z posady trenera. Biznesmen Gandzumian pozbawił sposobności pracy ze zdolnym dzieckiem, a tym samym okazji, by mógł się wykazać jako zdolny trener. Nikołaj Nosulenko go zwolnił. To wszystko. Nic innego nie wpłynęło w istotny sposób na jego życie. Co w efekcie? Jelisiejew i Jarcewa są cali i zdrowi. Nikołaj Nosulenko zginął w Grecji. Galina Nosulenko nie żyje, ale sprawca zabójstwa został ujęty i skazany. Jefimową zabito, ale inaczej – zadźgano ją nożem. Biznesmen Gandzumian został ranny. Wszyscy ci ludzie mieli związek z Własowem, tyle że jedni żyją, a inni nie. Ci, którzy stracili życie, pożegnali się z nim w różny sposób. Jedyna zbieżność to użycie przerobionego pistoletu gazowego w dwóch przypadkach. Niewykluczone, że w trzech, ale o tym będzie można mówić dopiero po otrzymaniu wyników ekspertyzy balistycznej w sprawie Gandzumiana. Słabo, oj, słabo... Całość nie trzyma się kupy. Na pierwszy rzut oka hipoteza dotycząca udziału Własowa wyglądała bardzo obiecująco, ale jeśli przyjrzeć się bliżej – nie ma racji bytu. Największy problem polega na tym, że zabójstwo Michaiła Bołtienkowa w ogóle się w nią nie wpisuje. Dzięki Bołtienkowowi Wołodia Własow został mistrzem Rosji juniorów w jeździe solowej. Gdy zrezygnował z kariery, to właśnie Bołtienkow zatrudnił go na stanowisku drugiego trenera. Własow nie mógł więc czuć do dawnego instruktora nic prócz wdzięczności. No ale trzeba też pamiętać o przerobionym pistolecie gazowym...

Stasow miał rację. Pisanie raportów jest bardzo pożyteczne.

Nastia włączyła drukarkę i w zamyśleniu spoglądała na wysuwające się z niej kartki. Drukarka szumiała cicho, mimo to Nastia nie usłyszała, że drzwi się otworzyły i na progu stanął Władisław Nikołajewicz.

– Zachodzę w głowę, Aśka, czy jesteś znakomitym detektywem, czy raczej źródłem kłopotów – oświadczył

z niezadowoleniem.

Nastia drgnęła i się odwróciła. Zakłopotana mina szefa wskazywała, że chyba naprawdę ma poważny dylemat. Zerknąwszy na zegarek, Nastia stwierdziła, że minęła zaledwie godzina. Czyżby Stasow już zdobył jakieś informacje?

– Syn sędziego Jelisiejewa naprawdę wpadł z narkotykami w tamtym roku. Czy ojciec dał łapówkę, to kwestia otwarta, tak czy inaczej, sprawa została zatuszowana. Więc pod tym względem wszystko, czego się dowiedziałas, to prawda.

– Pod tym względem? – zapytała z niepokojem. – A pod innym? Jest tutaj jakieś drugie dno?

– Jakby ci to powiedzieć... Może tak, a może nie. Tamten policjant, który przydybał chłopaka z prochami i spisał protokół, zginął w ubiegłym roku.

– Na służbie? Czy to nieszczęśliwy wypadek?

– Ani jedno, ani drugie. Zabójstwo. Do tej pory niewyjaśnione, chociaż cała policja w Permie, jak pewnie się domyślasz, stanęła na głowie. Napisałaś raport?

– Odczep się, Stasow! – z irytacją zawołała Nastia! – Co ma do tego raport?!

– Jak dasz raport, powiem ci to, co najważniejsze.

Nastia w milczeniu wyjęła kartki z szuflady w drukarce, spięła je i wręczyła Władisławowi. Ten zerknął na imponujący plik i z satysfakcją kiwnął głową.

– Ujdzie w tłoku. No więc oficer policji w Permie, w stopniu pułkownika i na odpowiedzialnym stanowisku, został zastrzelony z pistoletu gazowego niewiadomego pochodzenia. Broni, jak pewnie się już domyślasz, nie znaleziono.

No to jesteśmy w domu...

===

Anton był tak rozdrażniony, że nie mógł zasnąć. Wiercił się pod kołdrą i zastanawiał, co mu jest. W ciągu ostatnich miesięcy

coraz częściej bywał w takim stanie. Czuł do siebie obrzydzenie i mdliło go ze wstydu.

O trzeciej w nocy poszedł do kuchni, żeby zaparzyć sobie herbaty. Z przyzwyczajenia zatrzymał się koło pokoju dzieci, cicho otworzył drzwi, żeby zerknąć na syna i córkę. W ciemności, rozrzedzonej nieco światłem z ulicy, wydało mu się, że Wasylisa gwałtownie się poruszyła, jak gdyby nie spała. Podeszedł bliżej na palcach i usłyszał stłumione pochlipywania dobiegające spod kołdry. Przysiadł na skraju łóżka i nachylił się nad córką.

– Wasiu! – zawołał szeptem. – Co się stało, Wasieńko? Miałaś straszny sen?

Pochlipywania przeszły w powstrzymywane łkania. Anton wziął na ręce Wasylisę owiniętą w kołdrę i wyniósł z pokoju, w obawie, że Stiopka się zbudzi. Posadził córkę na krześle w kuchni, otulił i usiadł naprzeciwko. Wasia nie patrzyła na niego, skrajem poszwy wycierała mokre policzki i cicho zawodziła. Anton cierpliwie czekał, aż się uspokoi. Włączył czajnik, wyjął z lodówki karton soku, przelał do plastikowej butelki i włożył do zlewu pod strumień gorącej wody, żeby sok nie był za zimny.

Wasia przestała wreszcie płakać, ale siedziała w milczeniu, odwracając wzrok.

– Napijesz się soku? – Anton podsunął jej szklankę.

Dziewczynka bez słowa chwyciła sok i wypła go duszkiem.

– Dziękuję – wybąkała.

– Co się stało, Wasiu? – łagodnie zapytał Anton. – Ktoś ci zrobił przykrość? Coś ci się przyśniło? A może coś cię boli?

Wasylisa znowu odwróciła oczy i głęboko westchnęła. To był wyraźny znak, że zaraz wyjawii „straszłą prawdę”. Nie miała zwyczaju kłamać, nie wiadomo, czy wynikało to z jej natury, czy też było kwestią wychowania. Świetnie wiedziała, za co może dostać burę albo nawet karę, ale zawsze mówiła prawdę. Jeśli w ogóle mówiła, a nie milczała.

– Dlaczego nikt cię nie kocha, tato?

Anton spojrzał na nią zdziwiony.

– Jak to nikt mnie nie kocha? A ty? A Stiopka? Czyżbyście mnie nie kochali?

– My się nie liczymy, jesteśmy dziećmi. Twoi przyjaciele cię nie kochają.

– Skąd ten pomysł? Kto ci naopowiadał takich bzdur?

– Słyszałam, jak Ela rozmawiała ze swoim Truszczowem – odparła Wasia, a po chwili dodała: – Przez telefon.

Wiadomo, że przez telefon. Aleksander Andriejewicz Truszczow był przyszłym mężem ich niani.

– To znaczy, że podsłuchiwałaś? – Anton ze złością przymrużył oczy.

– Tak. – Wasia śmiało nań popatrzyła.

Nigdy nie kłamała.

– Zawsze podsłuchuję, bo jestem ciekawa.

– I co takiego powiedziała Ela? Że moi przyjaciele mnie nie kochają?

– Nie, powiedziała, że nie rozumie, dlaczego sam próbujesz rozwiązywać swoje problemy, jak gdybyś mieszkał na pustyni i nie miał koło siebie osób, które mogą ci pomóc. A dalej się domyśliłam.

– Czego się domyśliłaś?

– Że skoro nie ma koło ciebie osób, które mogą ci pomóc, to znaczy, że nie masz przyjaciół. A nie masz ich, bo ludzie cię nie kochają.

– Bardzo ciekawe. – Anton pokręcił głową. – Czemu mnie nie kochają? Czyżbym był aż tak zły?

Wasyliśa popatrzyła na niego z powagą, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Jesteś bardzo zły, tato. Zawsze się gniewasz, krzyczysz na Stiopkę, na mnie też. Mówisz surowym głosem. Minę też masz surową. Oboje ze Stiopką się boimy. Dawniej byłeś inny. Jeżeli ożenisz się z Lizą, uciekniemy z domu. Ona też jest zła, nie

lubimy jej, zadręczycie nas razem.

Anton ledwie się opanował, żeby nie krzyknąć, wziął głęboki oddech i starał się mówić spokojnie.

– To też usłyszałaś od Eli?

– No coś ty! – Oczy Wasi zrobiły się okrągłe. – Ela nigdy tak nie powie. Miłka mi powiedziała.

– Miłka to twoja koleżanka z klasy?

– No coś ty! – powtórzyła dziewczynka. – Chodzimy razem na aikido. Pamiętasz, opowiadałam ci, że Miłka jest najstarsza w naszej grupie, to mistrzyni okręgu.

– Ile ma lat ta wasza mądra Miłka? – zainteresował się Anton, czując, jak ziemia usuwa mu się spod nóg.

– Już trzynaście. Mieszka z ojczymem, więc wie, co mówi. Jest najsilniejsza w grupie, jak jeszcze trochę podrośnie, sama go będzie biła. Ja też już niedługo będę duża, więc żadna Liza nie jest nam potrzebna, mogę sama pilnować Stiopki. Więc zaczekaj jeszcze troszeczkę, bardzo cię proszę.

W oczach Wasylisy znowu stanęły łzy, usta jej zadrżały.

Boże, to straszne... Zaledwie parę miesięcy, a on nawet nie zauważył, w jakie piekło zamienił życie własne i swoich dzieci. Czuł się tak, jak gdyby spadła mu zasłona z oczu. Nagle zobaczył siebie i całą sytuację z boku i omal nie jęknął. Uklęknął przed siedzącą na krześle córką, wziął w dłonie jej wciąż jeszcze mokrą twarzączkę, zajrzał w oczy.

– Wybacz mi – powiedział cicho. – Obiecuję, że wszystko się zmieni. Nie ożenię się z Lizą, nie bój się.

– A z kim? – zapytała Wasylisa, która w jednej chwili poweselała. – Najlepiej z Elą! Niech rzuci swojego Truszczowa, jest wstrętny, łysy i brzydki, nie to co ty. Prawda, tato?

– Chodźmy spać, Myszko. – Anton zmusił się do uśmiechu, wziął Wasię na ręce i zaniósł do łóżka.

Siedział na skraju dziecięcego łóżeczka, póki oddech dziewczynki się nie wyrównał i nie uspokoił. Później wrócił do kuchni, zaparzył herbatę, ale jej nie wypił. Poszedł do łazienki

i stanął pod gorącym prysznicem. Wydawało mu się, że cały jest pokryty lepiałą mazią, ohydną i cuchnącą, w dodatku nie tylko on jest brudny, wszystko wokół niego nurza się w błotnistej brei – ludzie, praca... Dzieci są zastraszone. Romek Dziuba się obraził. Siergiej Kuźmicz Zarubin jest niezadowolony, chociaż tego nie okazuje. Liza... Tak, Anton lubi z nią sypiać. W ciągu pierwszych miesięcy znajomości był w niej zakochany po uszy, to prawda. Ale fascynacja minęła, pozostał tylko seks i świadomość, że powinien się ożenić. Dlaczego powinien? Bo ona tak chce? Czy dlatego, że dzieci potrzebują matki? Potrzebują, ale przecież nie takiej jak Liza...

Boże, przecież wcale jej nie kocham, pomyślał nagle z przerażającą jasnością.

Wciąż szorował ciało ostrą gąbką, spłukiwał pianę, znowu wyciskał żel i znowu się szorował. Póki nie poczuł ulgi. Zawinąwszy się we włochaty szlafrok, usiadł w kuchni, wypił dwa kubki herbaty, wyjął komórkę i wysłał wiadomość do Lizy: „Zadzwoń, proszę, jak się zbudzisz”. Nie będzie długo czekał, Liza to ranny ptaszek, wstaje najdalej o siódmej, a przeważnie o szóstej. Zmył naczynia, zgasił światło i położył się, umieszczając telefon pod łóżkiem przy wezglowiu.

Gdy Liza Stasowa zadzwoniła, Anton nie spał, nie udało mu się jednak zasnąć.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział beznamiętnym głosem.

– Coś się stało? – zapytała z niepokojem. – To pilne?

– Tak, pilne. I bardzo ważne. Mogę zaraz przyjechać?

– Jak to, teraz?

– Tak, przed pracą.

– Dobrze, przyjedź, będę w domu do dziewiątej, później muszę...

– Przyjadę – przerwał Anton i się rozłączył.

Jest za dwadzieścia siódma, o siódmej przyjdzie Ela, Anton akurat zdąży się przygotować. Zanim pojawiła się niania, stał



już ubrany przy drzwiach. Pewnie miał niewyraźną minę, bo Elwira od razu zapytała:

– Coś się stało, Antonie? Coś z dziećmi?

– Wszystko w porządku. Muszę być dzisiaj wcześniej...

Próbował załagodzić sytuację uśmiechem, ale uśmiech był sztuczny i wypadł nienaturalnie.

O siódmej nie było jeszcze korków, więc parę minut przed wpół do ósmej Anton stanął przed drzwiami mieszkania Liza. Liza, skupiona i surowa, już po porannej gimnastyce i prysznicu, otworzyła mu ubrana w dżinsy i luźną koszulkę.

– Zjesz śniadanie? – zapytała, całując Antona.

– Nie, dziękuję. Muszę ci powiedzieć coś przykrego, Lizo. – Uznał, że nie wejdzie do pokoju, powie wszystko tutaj, przy drzwiach. – Zawiniłem wobec ciebie. Zachowałem się jak świnia.

– Zdradziłeś mnie? – Brwi Liza nieco się uniosły, usta drgnęły w szyderczym półuśmiechu.

– Nie. Ale musimy przestać się spotykać. Nasz związek naprawdę nie ma przyszłości, już ci o tym mówiłem. Nie mogę się z tobą ożenić. Nie mam prawa dłużej się z tobą widywać, uniemożliwiając ci zbudowanie innych, właściwszych relacji.

– A więc się nie ożenisz... – wolno powtórzyła Liza bezbarwnym tonem. – Będiesz łaskaw powiedzieć czemu? Lubisz mnie odwiedzać i ze mną sypiać, ale nie masz ochoty na wspólne życie? Nie wydaje ci się, że to dziwne?

– Owszem. – Anton skinął głową. – Ale ponieważ byłem już żonaty, powiem ci z pełną odpowiedzialnością: sypianie i spotykanie się z kimś to nie to samo co wspólne życie. To zupełnie co innego, Lizo. Zwłaszcza jeśli są dzieci.

– Ale ja cię kocham. – Teraz jej głos wydawał się bezradny, a nawet zakłopotany. – Chcę zostać twoją żoną i matką twoich dzieci. Sądzisz, że nie nadaję się na żonę i matkę?

– Nadajesz. – Uśmiechnął się, po raz pierwszy od kilku godzin szeroko i szczerze. – Ale ja nie będę dla ciebie dobrym mężem.

Twój ojciec ma rację. Nic z tego nie wyjdzie. Jeśli zaraz powiesz, że cię oszukałem i zdradziłem, przyznam ci rację. Masz prawo obrzucić mnie najgorszymi słowami. Przyjmę je, bo będziesz miała słuszność. Wybacz mi, jeśli potrafisz.

Nic więcej nie miał do powiedzenia. Odwrócił się w milczeniu i cicho zamknął za sobą drzwi.

Wsiadł do samochodu, wyjął komórkę i zadzwonił do Kamieńskiej. Nie ma jeszcze ósmej, nie wypada dzwonić o tak wczesnej porze, ale dzisiaj nie dbał o konwenanse.

– Przepraszam, jeśli panią obudziłem – powiedział, słysząc głos Anastazji Pawłowny.

– Nie obudził pan. Co się stało?

– Proszę mi pomóc, Anastazjo Pawłowno, błagam. Narozrabiałem.

Ambicja zawodowa też była mu obojętna.

– Naturalnie. – Odniósł wrażenie, że Kamieńska się uśmiecha.

– Jeśli tylko dam radę. Niech pan przyjeżdża.

===

Szef służby ochrony spółki Fighter Trade, niewysoki, krzepki mężczyzna nazwiskiem Wąsikow, noszący wśród pracowników przezwisko Wąs, lubił przychodzić do pracy wcześniej. Był zagorzałym miłośnikiem porządku i dyscypliny, więc żaden spóźnialski nie umknął jego bystrym oczom. Służba ochrony w dużej spółce to nie tylko ochrona, ale też walka z wyciekami informacji i niesolidnymi partnerami, więc pracowników biurowych podlegających Wąsowi było prawie tyle samo co ochroniarzy.

Wąs pełnił funkcję nie tylko naczelnika. Był zaufaną osobą właściciela spółki, Wadima Konstantinowicza Oriechowa. Niektórych zadań nie powierzał nikomu, sam je wykonywał. Chodziło o dyskrecję, jak łatwo się domyślić.

Oriechow regularnie zleca Wąsowi nieoficjalne sprawy. Bóg

pokarał Wadima Konstantinowicza synalkiem! Aż nie do wiary, że przedsiębiorczy i poważny człowiek wychował takiego nicponia! Chłopak zadaje się nie wiadomo z kim, szlaja nie wiadomo gdzie, nie zdobył żadnego sensownego wykształcenia, studiował na jakiejś prywatnej uczelni, rzecz jasna, i wtykał wykładowcom koperty z pieniędzmi, zamiast czytać podręczniki. Ma co prawda dyplom, ale wiedzy za grosz. Tylko patrzeć, jak się wpakuje w kłopoty. Biedak Oriechow wciąż musi, jak to się mówi, trzymać rękę na pulsie, więc powierza Wąsowi zadanie śledzenia Filipa, sondowania, gdzie i z kim chłopak przebywa, no i czym się zajmuje. Trzeba też, rzecz jasna, zbierać informacje o wszystkich jego przyjaciółach, których nazwiska docierają do uszu ojca.

Od niedawna Filip ma nowego kumpla, który wzbudził niepokój Wadima Konstantinowicza, więc Wąs sumiennie zabrał się do poszukiwania informacji. Szukał metodą, którą sam wymyślił. Wymagała co prawda sporo czasu, ale gwarantowała wspaniały efekt. Czaty, blogi oraz serwisy społecznościowe w przestrzeni internetowej pozwalały pozyskać mnóstwo ciekawych informacji, należało uzbroić się tylko w cierpliwość i znać miejsca, które Oriechow junior zwykle odwiedzał. Wąs nie posuwał się do hakerstwa, to, co było ogólnie dostępne, wystarczało aż nadto.

Pierwsza informacja o nowym przyjacielu Filipa sprawiła, że aż prychnął ze złością: taki sam skończony łajdak jak Filipek. Czego ten typek nie wyczynia! Szuler karciany, podsuwa narkotyki smarkaczom i młodym dziewczynom, zaraził chorobą weneryczną parę pańienek, nie oddaje też długów... Krótko mówiąc, niezłe ziółko!

Odkąd Wąs otrzymał zadanie, codziennie przeglądał Internet, żeby nie przegapić chwili, w której nazwisko Filipa pojawi się w jakimś negatywnym kontekście obok nazwiska figuranta. Ale na razie panował spokój. Wszelkie świństwa, które można było napisać o latorośli właściciela spółki, napisano już wcześniej,

a nowe jeszcze się nie pokazały.

===

– Podskoczę na dworzec po Romka, dobrze? Tak będzie szybciej  
– powiedział Anton, wstając od stołu w jadalni, na którym leżał olbrzymi arkusz brystolu, pokreślony kolorowymi flamastrami.

– Oczywiście – przytaknęła Kamieńska. – A ja tymczasem podgrzeję zupę dla moich obiboków.

– Myśli pani, że Petruccio ją zje? – Anton się uśmiechnął. – Sądząc po torbie, z którą przyszedł, jedzenia powinno wystarczyć do rana.

– Panu i Romkowi starczyłoby pewnie na trzy dni, ale dla naszego Pedra to drobna przekąska.

Nastia wstała i oparła ręce na biodrach, krzywiąc się z bólu. Od rana pracowali z Antonem nad schematem zebranych informacji, siedzieli nachyleni, więc plecy, rzecz jasna, szybko dały o sobie znać. Pomysł zaproszenia Dziuby należał do Nasti, ale Anton go poparł. Roman powinien przyjechać, żeby doprecyzować parę punktów.

Staszys z Dziubą wrócili szybciej, niż Nastia się spodziewała. Usłyszała ich głosy, stojąc z tacą nad głowami bratanek i jego przyjaciela. Należy zauważyć, że po pierwszej próbie wykorzystania młodej siły niewolniczej do przeczesywania przestrzeni internetowej Sania i Pietia zaczęli traktować Nastię inaczej, nie żeby z większym szacunkiem, ale przynajmniej ją zauważali. Odmawiali też niesmacznych dietetycznych dań nie tak kategorycznie i niegrzecznie jak do tej pory. Nastia, rzecz jasna, wiedziała, że nie zjedzą tego, co im przynosi, ale przynajmniej nie odzywali się po chamsku, a to postęp! Zresztą dla Pieti przynosiła dania, które gotowała dla siebie oraz Czistiakowa, i wiedziała, że chłopcy zjedzą je razem, a porcję Sańki wyrzucą do muszli klozetowej. Ale jeśli bratanek zje choćby parę łyżek tego, co powinien, to już dobrze. Będzie miał

mniej miejsca w żołądku na to, co mu szkodzi.

– Po co to wszystko? – z zakłopotaniem powiedział Pietia. – Mogliśmy zejść na dół i zjeść w kuchni.

Nastia z ciekawością zerknęła na geniusza komputerowego. Co to ma znaczyć? Czemu nagle zaczął się krępować? Dawniej nawet nie odwracał głowy w jej stronę, gdy przynosiła jedzenie albo lekarstwa dla Sańki.

– Będziecie mi tam przeszkadzać, bo pracujemy – odparła. – Wasze ciekawskie buźki nie są nam potrzebne. Podobnie jak uszy.

To było mało finezyjne... A wręcz prymitywne. Taka drobna dziecinna zemsta. Ale, o dziwo, okazała się dość skuteczna. Obaj specjaliści w dziedzinie programowania zgodnie odwrócili głowy od komputerów i wbili w nią wzrok. Ich oczy płonęły ciekawością: Sańki – niespokojną, a Pieti – niecierpliwą. To znaczy, że nie wszystko stracone, są jeszcze rzeczy na tym świecie, które mogą zainteresować tych, którzy z pozoru lubią tylko swoje kompy i programy.

Nie tylko ona usłyszała męskie głosy dobiegające na piętro przez otwarte okna.

– Kto tam jeszcze przyszedł? – zapytał Sania, który rano widział tylko Antona.

– Roman.

– To ten rudy, tak?

– Owszem. – Nastia skinęła głową.

– Robicie tam konspiracyjne zebranie? – zainteresował się Petruccio. – Dlaczego nasze uszy będą wam przeszkadzać?

– Organizujemy siatkę szpiegowską. – Nastia się uśmiechnęła.

– Więc siedźcie cicho i nie schodźcie, żebyście się nie plątali pod nogami i nie przeszkadzali poważnym ludziom w pracy. Jasne?

Zamknęła za sobą drzwi, pozostawiając Sanię i Pietię w stanie kompletnego oszołomienia.

Roman wykonał wszystkie zadania i zdał raport, co pozwoliło wnieść uzupełnienia do schematu. Teraz siedzieli we trójkę przy

stole, przyglądając się otrzymanemu obrazowi. Arkusz był podzielony na dwie części. W pierwszej rozmieszczono ogólne informacje o przestępstwach, mniejsza zawierała dane o potencjalnym podejrzanym, dawnym łyżwiarzu Władimirze Własowie. Należało się zastanowić, czy obie części do siebie pasują.

Czyny i zamiary pewnych ludzi parokrotnie uwarunkowały koleje losu przypuszczalnego figuranta. Niektóre działania owych ludzi wywołały komplikacje i problemy w jego życiu. Czy logiczne jest założenie, że wszyscy, którzy postąpili w określony sposób, zostali przez niego znienawidzeni? Owszem. Że zechce się na nich zemścić? To też możliwe. Ogrom przedsięwzięcia zaskakuje, jako że ludzi, którzy postąpili tak, a nie inaczej, znalazło się bardzo wielu, ale różne rzeczy zdarzają się na tym świecie... Dobrze, założmy, że tak jest. Teraz należy odpowiedzieć na pytanie, czy figurant jest zdolny opracować plan tak śmiałego przedsięwzięcia i, co ważniejsze, go zrealizować? Z tego, co udało się dowiedzieć o Władimirze Własowie, wygląda na to, że nie, nie jest zdolny. Jak dotąd wyłaniały się tylko dwie hipotezy: albo zabójstwa popełnił ktoś inny, nie Własow, albo plan przedstawia się inaczej, niż sobie wyobrażają, opierając się na otrzymanym schemacie.

Po pierwsze, bynajmniej nie wszyscy, którzy postąpili w pewien sposób, wpływając na los łyżwiarza, ucierpieli z rąk mściciela. Obie jego partnerki żyją i mają się dobrze. Co więcej, przesłuchując tych, z którymi Własow trenował kiedyś w jednej grupie, Roman zapytał: „Czy Własow nie obraził się na swoją partnerkę za to, że nie zaczekała, aż wyleczy kontuzję kolana, i zmieniła partnera?”. I od wszystkich otrzymał jednakową odpowiedź: „Nikt z nas nie obraża się za coś takiego. Wszyscy przecież rozumieją takie rzeczy. To prawo stada. Każdy myśli tylko o sobie i o swojej karierze, to normalne. Wyszarpuje swój kawałek i nikomu nie oddaje. Ale nie mamy też za złe innym, że tak postępują. Wszyscy jesteśmy tacy sami. Inaczej się nie da”.

Po drugie, Własow miał alibi na czas popełnienia zabójstw urzędniczek z aparatu Gosdumy Jefimowej oraz trenera Bołtienkowa, a także zamachu na biznesmena Gandzumiana. W dodatku nie naciągane, tylko mocne i niepodważalne. Galina Nosulenko i podpułkownik policji z Permu zostali zastrzeleni w ubiegłym roku, więc ustalanie alibi to sprawa niemal beznadziejna, chyba że w owym czasie odbył się jakiś jubileusz albo impreza korporacyjna. No a sprawcę zabójstwa Galiny skazano, odsiaduje teraz wyrok.

Sam Własow, spokojny i niewidoczny plankton biurowy, w wolnym czasie malujący obrazy techniką „wydrapywania farby i pastelu” i odtwarzający tylko figury i sekwencje kroków, absolutnie nie pasuje – ani na podstawie zebranych informacji, ani na podstawie subiektywnego wrażenia Antona Staszysa – do roli groźnego mściciela, bezwzględnego, przerażającego i agresywnego, który dopada ofiarę w najdogodniejszym czasie i miejscu. Na razie zebrano niewiele informacji o jego stylu życia, ale tego, co już wiadomo, wystarczy, by stwierdzić, że prowadzi uporządkowaną i przewidywalną egzystencję. Dwa wieczory w tygodniu spędza z matką, albo odwiedzając ją w domu, albo towarzysząc na jakichś pokazach filmowych. Dwa razy w tygodniu po pracy odwiedza klub sportowy. Jego życie osobiste też jest proste i nieskomplikowane – spotyka się z rozwiedzioną młodą kobietą, która mieszka w tym samym bloku co on, w klatce obok. Kobieta mieszka z matką i z dzieckiem, więc widują się u Własowa. W jego rozkładzie dnia trudno znaleźć przerwy, które podważyłyby jego alibi na czas popełnienia przestępstw. Tak samo trudno znaleźć wolne godziny na podjęcie działalności, która przynosiłaby znaczne dochody, pozwalające wynająć płatnego zabójcę.

Gdy jednak za punkt wyjścia przyjąć nie osobowość podejrzanego, lecz sposób popełnienia przestępstwa, wyłania się nieco inny obraz. Z pięciu przestępstw cztery popełniono przy użyciu broni palnej, w jednym przypadku użyto noża.

Przynajmniej w trzech przypadkach na cztery strzelano z przerobionego pistoletu gazowego.

Gdy tylko zostanie ukończona ekspertyza balistyczna w sprawie zamachu na Gandzumiana, nastąpi całkowita jasność. W żadnej z czterech historii nie znaleziono broni. Niby wszystko się zgadza, ale dlaczego Jefimową zabito innym narzędziem? Jeżeli pistolet jest ten sam i znajduje się nadal w rękach przestępcy, czemu się nim nie posłużył? Zgubił go? Ktoś mu ukradł? Ale przecież zabójstwo Bołtienkowa popełniono dwa miesiące po śmierci Inny Wiktorowny Jefimowej i sprawca użył przerobionego pistoletu gazowego. Dlaczego więc zrobił dziwny wyjątek dla Jefimowej? Nie mógł strzelić? Coś tu nie gra, Innę Wiktorownę znaleziono martwą w jej samochodzie zaparkowanym na podwórzu, mniej więcej sto pięćdziesiąt metrów od budynku, gdzie znajdował się salon piękności, który regularnie odwiedzała – nie było miejsca, żeby bliżej zaparkować.

Jefimowa odwiedziła gabinet kosmetyczny i solarium, zrobiła depilację, wyszła, pokonała sto pięćdziesiąt metrów, skręciła na podwórze i wsiadła do samochodu. Zabójca powinien był podejść do niej od strony kierowcy. Bez przeszkód mógł strzelić. Ugodzić nożem było trudniej, biorąc pod uwagę fakt, że ofiara siedziała już w aucie.

Co mówią eksperci w sprawie Jefimowej? Że cios zadano z góry, a nie z boku, to znaczy, że przestępca był wyższy od ofiary. Taki cios mógł zostać wymierzony tylko w przypadku, gdy Jefimowa stała. Zabójca podszedł do niej w chwili, gdy otwierała drzwi samochodu, zadał cios, chwycił ją pod pachy i umieścił na siedzeniu. W takim położeniu ją znaleziono.

Dlaczego nóż? Dlaczego nie pistolet? Odpowiedź wydawała się oczywista: na dworze było jasno, na podwórze wychodzi wiele okien, odgłos strzału mógł przyciągnąć czyjąś uwagę i przestępca ryzykował, że ktoś go zauważy. Znaleziono oczywiście przypadkowych świadków, ale widzieli tylko



mężczyznę w kurtce z głęboko nasuniętym kapturem. Nie są w stanie nikogo rozpoznać. W razie strzału takich świadków byłoby znacznie więcej i na pewno znaleźliby się tacy, którzy idąc z naprzeciwka, dojrzeliby twarz zabójcy. Zresztą to też nic pewnego, bo głęboko nasunięty kaptur w połączeniu na przykład z czapką i szalikiem sprawia, że możliwość rozpoznania staje się znikoma.

A zatem nóż użyty za dnia... I znowu to samo pytanie: dlaczego? Dlaczego pozostałe przestępstwa popełniono przy całkowitym braku świadków, gdy było już ciemno, a Jefimową zabito w ciągu dnia? Może styl jej życia nie przewidywał sytuacji, kiedy znajdzie się sama w bezludnym i ciemnym miejscu? Możliwe, możliwe...

Wieloletnia praktyka Nasti w wyjaśnianiu zabójstw podpowiadała jednak co innego: przestępca bardzo rzadko zmienia sposób działania, jeśli uważa go za skuteczny i jeśli nie zachodzą żadne okoliczności uboczne, uniemożliwiające użycie wypróbowanego sposobu. Muszą istnieć bardzo poważne powody, by człowiek, dwukrotnie strzelający do swoich ofiar, chwycił nóż, a później znowu sięgnął po pistolet.

Trzecią podstawę do analizy stanowi motyw. Inna Wiktorowna przyłożyła rękę do tego, by Własow nie wyjechał za granicę, nie trenował poza granicami Rosji i nie występował w barwach innego państwa. To jasne. Ale przecież ostateczną decyzję podjął urzędnik z Federacji, a nie ona. Owszem, Jefimowa miała w tym swój udział. Ale dlaczego zemsta nie dosięgnęła urzędnika? Galina Nosulenko (którą można z dużym prawdopodobieństwem wpisać na listę ofiar, zakładając, że śledztwo prowadzono nierzetelnie i ubogiego przyjeźdnego, źle mówiącego po rosyjsku, zmuszono, żeby się przyznał do tego, czego nie zrobił) gorliwie wykurzała Własowa ze szkoły sportowej, chwytając się wszelkich sposobów. To też jest jasne.

Biznesmen Gandzumian zapłacił za to, żeby syn pozostał w grupie, wskutek czego usunięto z niej zdolne dziecko, którym

zajmował się Własow. Pewnie w świecie sportu to wystarczający powód do nienawiści i idącej w ślad za nią zemsty.

A policjant z Permu? Łatwo można się domyślić, jak się wszystko odbyło: oficerowi, wtedy jeszcze kapitanowi milicji, dobrze zapłacono za to, żeby przyłapał na gorącym uczynku syna sędziego Jelisiejewa – człowieka niewygodnego, z którym nie sposób się dogadać. Jelisiejew musi pilnie wrócić do domu, żeby załatwić sprawę i wyciągnąć synalka z kłopotów, a w kolejce czeka sędzina Jarcewa – osoba sprawdzona, zaufana i pewna.

Jelisiejew wraca do Permu, płaci (jeszcze raz!) temu samemu oficerowi milicji i ratuje syna, a tymczasem sędzina Jarcewa „właściwie” ocenia konkurencję par sportowych i umieszcza parę Trietiakowa–Własow dopiero na czwartym miejscu, starannie i elegancko zamykając przed nimi drzwi do reprezentacji. Jelisiejew nie jest oczywiście niczemu winien, załatwiono go jak chłopca, ale Jarcewa... Aż prosi się o zemstę. Tymczasem nie ma jej na liście ofiar.

W tym miejscu pojawia się kolejna trudność: wszystkie ofiary tak czy inaczej zaszkodziły przestępcy (jeśli oczywiście przyjąć, że owym przestępcą jest Władimir Własow). Wyjątek stanowi Michaił Walentinowicz Bołtienkow, dzięki któremu Własow został mistrzem Rosji juniorów i który przyjął go do siebie na drugiego trenera, gdy Władimir zrezygnował z uprawiania łyżwiarstwa, uświadomiwszy sobie, że nie zrobi już kariery. Brak motywu, żeby zabijać Bołtienkova.

Nie ma też żadnych dowodów, że Władimir Własow nabył przerobiony pistolet gazowy. Choćby jeden. Romek Dziuba i drugi funkcjonariusz, Fiodor Uljancew, uruchomili swoich informatorów, by znaleźć możliwy kanał dostawy lewej broni, ale na razie brak punktów zaczepienia. Co więcej, sprawdzali też możliwości przerobienia pistoletu na ostrą amunicję, wszędzie pokazywali zdjęcie Własowa. I znowu nic. Nikt nie rozpoznał dawnego łyżwiarza.

No i jaki z tego wniosek?

– Z tego wniosek, że potrzebujemy ekspertyzy wszystkich pistoletów. – Nastia westchnęła. – Inaczej nic nie osiągniemy. Nie możemy siedzieć i dywagować, czy użyto tego samego pistoletu, czy może było ich więcej. Do tego potrzebny jest jednak wasz śledczy, bez niego się nie uda.

– Jak dotąd nic nam się nie udaje – posępnie stwierdził Dziuba. – Jefimowa nie pasuje ze względu na narzędzie zabójstwa, Bołtienkow ze względu na motyw, Galina Nosulenko – na sprawcę. Jeśli wziąć pod uwagę alibi, to tylko dwa pierwsze przestępstwa się nadają, pozostałe trzy nie pasują. A jeśli weźmiemy pod lupę osobowość podejrzanego, to w ogóle nic nie pasuje.

– Zapomniałeś jeszcze o tych, do których Własow mógł powziąć urazę – zauważył Anton. – Sędzia Jelisiejew, który w przededniu zawodów poprosił o zastępstwo w jury, jest cały i zdrowy. Sędzina Jarcewa, którą wyznaczono zamiast Jelisiejewa i która nisko oceniła Własowa i jego partnerkę Trietiakową, uniemożliwiając im zakwalifikowanie się do reprezentacji, też pozostała przy życiu. Trietiakowa, która rzuciła Własowa, cieszy się dobrym zdrowiem. Wybór jest dość dziwny. Facet na jednych się mści, a na innych nie. Dlaczego?

– Zwyczajnie nie zdążył – burknął Dziuba. – Czekają w kolejce na jego czarnej liście.

– Optymista! – Nastia się roześmiała. – A jeśli rozważyć pomysł z płatnym zabójcą? Przeszkadza nam niezbite alibi Własowa. Jestem pewna, że jeśli spróbujemy sprawdzić dwa pierwsze przypadki – Nosulenko i policjanta z Permu – wynik będzie ten sam. Jak wyglądają finanse Własowa? Jest w stanie wynająć kogoś do wykonania swojego długofalowego planu zemsty?

– Z finansami krucho – odparł Anton. – Żyje skromnie. Za obrazy też nie dostaje kroci. Jego styl życia nie przypomina stylu życia ludzi, którzy śpią na pieniądzech. A przecież mamy

do czynienia z pięcioma zabójstwami, no może z czterema, jeśli Nosulenko zabił jednak tamten wyrobnik, którego posłano za kratki. W grę wchodzi olbrzymie pieniądze.

– Niedobrze. – Nastia postukała flamastrem w blat. – Bardzo niedobrze. Żeby pójść z tą hipotezą do śledczego, potrzeba mocnych argumentów. Własow nie pasuje tu jako podejrzany. Chyba że...

Zamyśliła się, spoglądając na podest schodów, tam gdzie stopnie skręcały w górę. Na jasnym drewnie kładł się szary cień, jego kształt łatwo dawał się rozszyfrować. To zadziwiające, jak to masywne, niezgrabne ciało mogło tak bezszelestnie przemieścić się od drzwi pokoju Sańki na schody. Motyw to rzeczywiście niebagatelna sprawa. Niemożliwe staje się możliwe.

– Jazda stąd, Pietia – powiedziała, podnosząc nieco głos. – Masz głupi zwyczaj podsłuchiwania dorosłych, jesteś jeszcze za mały na takie rozmowy.

Petruccio potulnie zawrócił, ale jego kroki rozbrzmiewały teraz bardzo wyraźnie – już się nie skradał.

Mam chyba nie po kolei w głowie, wesoło pomyślała Nastia. Trzymają się mnie sztubackie żarty. Może to początki uwiadu starczego i powoli dziecinnieję?

Jak to powiedział Romek, odczytując swoje notatki? „Nikt z nas nie obraża się za coś takiego. Wszyscy przecież rozumieją takie rzeczy. To prawo stada. Każdy myśli tylko o sobie i o swojej karierze, to normalne. Wyszarpuje swój kawałek i nikomu nie oddaje. Ale nie mamy też za złe innym, że tak postępują. Wszyscy jesteśmy tacy sami. Inaczej się nie da”. Jak to można zinterpretować? Trietiakowa myślała o swojej karierze, nie o chorym kolanie Własowa, nie zaczęła na niego i zmieniła partnera. Czy to pasuje do koncepcji? Jak najbardziej. Sędzina Jarcewa wykonywała polecenie Federacji, od której jest zależna. Jak nie posłucha, skończy marnie, będzie sędziować jakieś zawody w robieniu pompek, a o wyjeździe za granicę na koszt Federacji nawet nie ma co marzyć. To też jest jasne. Jelisiejew w ogóle nie jest niczemu winien.

Teraz przeanalizujmy ofiary z punktu widzenia tej koncepcji. Policjant z Permu miał na celu nie karierę, ale własną kieszeń. Ojoj, nieładnie... Galina Nosulenko nie zamierzała robić kariery sportowej, tylko wyjść za moskwianina z mieszkaniem i urządzić się w stolicy. Inna Jefimowa też nie ryzykowała kariery, próbowała wyciągnąć forszę od kogo się da. Niedobra ciocia... Grant Arturowicz Gandzumian nie uprawiał sportu, usiłował wkręcić synka, co go sporo kosztowało. Jeśli pominąć zabójstwo Bołtienkova, pojawia się czytelna zasada: przestępca gotów jest zrozumieć i wybaczyć czyny, które są związane z czyjąś karierą, sportową albo inną. Natomiast za czyny

podyktowane wyłącznie chciwością, pazernością i próżnością gotów jest się zemścić.

Wtedy wszystko się zgadza. Wszystko. Oprócz Bołtienkowa. Nie ma takiego czynu, za który Własow mógłby go nienawidzić. Bołtienkow zrobił go mistrzem, dobrowolnie oddał innej trenerce, która gotowa była rozwijać w młodym łyżwiarzu talent tancerza. A przecież nikt nie lubi oddawać obiecujących sportowców, zwłaszcza mistrzów, za których dostaje się dodatki do pensji, wszyscy biją się o nich do upadłego. W dodatku Michaił Walentinowicz przyjął później Własowa do pracy na stanowisko drugiego trenera, póki ten studiował. Ich relacje zawsze były przyjazne, nie doszło między nimi do żadnego konfliktu.

Za dużo przypuszczeń. Za dużo. Alibi Własowa mówi tylko o tym, że mężczyzna ma nieustalone jeszcze przez policję źródło znacznego dochodu, które pozwala mu opłacać jakiegoś najemnika. Czy to możliwe? Naturalnie. Skazanie sprawcy zabójstwa Galiny Nosulenko może być efektem machinacji, wymuszania zeznań i przyznania się do winy, co się u nas zdarza na okrągło. Czy to możliwe? Możliwe, i to jeszcze jak! Użycie noża podczas zabójstwa Jefimowej to wynik przeanalizowania sytuacji i świadomego podjęcia decyzji o wyborze narzędzia zbrodni z uwzględnieniem miejsca i czasu. To możliwe? No cóż... jeśli płatny zabójca ma dość rozsądku i doświadczenia, to owszem, możliwe.

Ale Bołtienkow, Bołtienkow... Tutaj nic nie da się wymyślić.

Więc albo Nastia się pomyliła i zasada doboru ofiar jest inna, albo kto inny zabił Michaiła Walentinowicza Bołtienkowa i z zupełnie innego powodu.

Albo...

– Albo nie wiemy czegoś o Bołtienkowie. – Nastia nie zauważyła, że ostatnią myśl wypowiedziała na głos.

Zobaczyła wpatrzony w nią dwie pary zdumionych oczu: ciemne i bystre należały do Antona, jasnoniebieskie i żarliwe –

do Romana.

– Co się tak na mnie gapicie? – zapytała z irytacją. – Wstawajcie, jedziemy do żony Bołtienkowa.

– Ona nic nie wie – z przygnębieniem rzekł Dziuba. – Nie ma nic wspólnego ze sportem, jest lekarzem w MCZS. Nie była jeszcze żoną Bołtienkowa, gdy Własow u niego trenował. Fiedia Uljancew się z nią spotkał, potem ja z nią rozmawiałem, Bałtajew też ją przesłuchiwał. Kobieta nie zna świata sportu.

– Ale Bołtienkow miał jeszcze jedną żonę – dodał Anton. – Śledczy jej nie przesłuchiwał.

– Macie jej dane?

Anton spojrział pytająco na Dziubę, po raz kolejny tego dnia czując ukłucie ambicji. Że też tak lekceważąco traktował pracę! Wstyd i hańba. Dobrze, że wziął się w garść. Może uda się jeszcze nadrobić stracony czas. Na szczęście Romek się spisał, harował za dwóch w tej sprawie.

– Mamy. – Roman otworzył notes. – Nazwisko, adres, miejsce pracy. I telefon.

– No to zadzwoń i się umów – poleciła Nastia. – A ja tymczasem nakryję do stołu, musimy coś zjeść, bo jeśli pojedziemy na spotkanie, nie wiadomo, kiedy znowu nadarzy się okazja.

Właściwie miała na dzisiaj zupełnie inne plany, praca z Antonem i Romkiem się w nich nie mieściła. Chciała pojechać do supermarketu na zakupy i ugotować coś dla męża, bratanka i Petruccia. Sańkę i Pietię udało jej się nakarmić tym, co się znalazło w lodówce i w szafkach, jednakże skąpe resztki nie wystarczą, żeby zaspokoić głód dwóch silnych i zdrowych młodych mężczyzn, ona też się nie naje. Musi coś wykombinować, choćby jakieś grzanki... Ale nie ma do nich żadnych składników: nie zostało ani kawałek kiełbasy czy sera, wszystko poszło na obiad dla Pieti. Gdyby jednak posmarować chleb masłem i podgrzać w piekarniku, to ze słodką herbatą będzie jak znalazł. Lepsze to niż nic. Można też szybko

ugotować makaron, polać roztopionym masłem i posypać cukrem, kiedyś tak ją karmiono, gdy w Moskwie zaczęły się problemy z żywnością i nie zawsze można było kupić w sklepach to, na co się miało ochotę. Jakoś więc sobie poradzi, najważniejsze, że chłopcy nie umrą z głodu.

Romek odszukał pierwszą żonę Michaiła Bołtjenkowa, zatrudnioną w moskiewskim liceum na stanowisku nauczycielki wychowania fizycznego, i umówił się na spotkanie.

– Życie bywa zaskakujące – stwierdził w zamyśleniu, jedząc gorące grzanki z żytniego chleba i popijając je mocną, słodką herbatą. – Siedzimy w eleganckim domu, wybudowanym w elitarnym miejscu, gdzie pełno milionerów i rozmaitych oligarchów. I jemy suchy chleb.

– No jasne – ze śmiechem odparł Anton. – W takim domu powinno się jeść homary w sosie francuskim i popijać wyszukanym winem! Brak ci poczucia harmonii, Romek?

– A żebyś wiedział. – Dziuba popatrzył nań przebiegle. – Nawiasem mówiąc, moje wrodzone poczucie harmonii oburza się, że Anastazja Pawłowna mówi do ciebie per pan. Nie zasłużyłeś na to, Tocha, nie dorosłeś do takiego zaszczytu.

– Rzeczywiście, Anastazjo Pawłowno. – Anton zwrócił się do Nasti, która trzymała w lewej ręce grzankę i robiła listę sprawunków, zamierzając zrobić je w drodze powrotnej. Zajęcie pochłonęło ją do tego stopnia, że nie słyszała początku rozmowy i ocknęła się dopiero na dźwięk swojego imienia.

– Tak?

Oderwała wzrok od listy i podniosła głowę.

– Pytam, dlaczego zwraca się pani do mnie per pan? Do Romka per ty, a do mnie per pan. To się ze sobą kłóci. Narusza poczucie harmonii Romka, ja zresztą też czuję się niezręcznie.

Nastia z ciekawością popatrzyła na Staszysa. No cóż, tak się złożyło. Poznali się dwa i pół roku temu, gdy pracowali razem nad przestępstwem popełnionym w teatrze. Wtedy Anton nie miał jeszcze trzydziestki, ale wyglądał bardzo poważnie



i bardzo... dorośle. Był dojrzały. I umiejętnie zachowywał dystans. Nie wypadało więc go tykać. Teraz, gdy łączyła ich stara znajomość, można to było zmienić, ale Anton, posępny, nerwowy, wciąż niezadowolony i spięty, jakoś do tego nie zachęcał. Co innego Romek – otwarty, szczery, sympatyczny.

– Dobrze pytanie. – Uśmiechnęła się. – Boję się, Antonie, że odpowiedź się panu nie spodoba.

– Nie szkodzi, zniosę ją, nawet jeśli będzie przykra.

– Niech pan pamięta, że sam się pan prosił... – Zerknęła na niego badawczo, jak gdyby sprawdzając jego odporność. – Nie zachęca pan do bliższych kontaktów i do poufałości. Wieje od pana chłodem. Dawniej było inaczej, dobrze pamiętam, jaki pan był jesienią dwa tysiące dziesiątego roku, gdy się poznaliśmy. Wtedy też nie zachęcał pan do poufałości, ale były od pana ciepło, współczucie i chęć pomocy. Teraz jest pan inny. Przepraszam, jeśli sprawiłam panu przykrość.

Anton milczał przez chwilę, wycierając zatłuszczone palce w papierową serwetkę, później uśmiechnął się szeroko.

– Bardzo słusznie pani zauważyła, Anastazjo Pawłowno. Nie mam nic na swoją obronę. Zróbmy tak: od dzisiaj przestaję być nieprzyjemny i zimny, a pani zaczyna mi mówić na ty. Zgoda?

– Zgoda. – Nastia z roztargnieniem skinęła głową, przebiegając wzrokiem listę.

Musi dodać jeszcze parę pozycji, póki nie zapomniała. Za to później w sklepie nie trzeba będzie wyęźać pamięci, wystarczy posłużyć się kartką, nie martwiąc się, że przeoczy się coś ważnego.

Przed wyjściem Nastia odwróciła schemat na drugą stronę i śmiejąc się z siebie w duchu, starannie umieściła pod nim parę ledwie widocznych włosów. Jeśli Sania i Pietia okażą się ciekawscy, od razu to zauważą. To oczywiście dziecinada, ale jest naprawdę ciekawa, czy chłopcy zechcą zobaczyć, nad czym pracowali dorośli.

===

Gdy na dworze było ciepło, zajęcia wychowania fizycznego w liceum odbywały się na boisku. Właśnie tutaj, na niedawno pomalowanej jaskrawozielonej ławce, siedziała pierwsza żona Michaiła Bołtienkowa, czekając na wywiadowców. Gdy zobaczyła, że jest ich troje, nie kryła zdziwienia.

– Ojej, ale was dużo! Myślałam, że będę rozmawiać tylko z jedną osobą... Kto z was do mnie dzwonił?

– Ja. – Dziuba zrobił pół kroku naprzód. – Ja dzwoniłem.

Minęło co najmniej piętnaście lat, odkąd Władimir Własow trenował u Bołtienkowa, więc zakładali, że żona trenera niczego sobie nie przypomni. Ona jednak sobie przypomniła. I bardzo szybko okazało się dlaczego.

– Wołodia Własow był bardzo dobrym łyżwiarzem, Misza zawsze go chwalił, był zadowolony i cieszył się z sukcesów. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek się pokłócili, chociaż w tym środowisku to dość rzadkie zjawisko.

– Więc dlaczego Własow przeniósł się do innej grupy, skoro wszystko układało się tak pomyślnie?

– To była nieładna historia. – Kobieta uśmiechnęła się ze smutkiem. – Misza zwyczajnie sprzedał go Miłoczce Wołyniec. Byliśmy wtedy w trudnej sytuacji. Rok dziewięćdziesiąty czwarty, MMM[22]... sami wiecie. Straciliśmy wszystko, na co liczyliśmy. No i akurat zjawiała się Miłoczka, która potrzebowała chłopca odpowiedniego wzrostu, budowy i w odpowiednim wieku dla swojej łyżwiarki. Żaden trener, rzecz jasna, nie odda tak po prostu mistrza, to przecież wiąże się z dodatkiem do pensji, wprawdzie niedużym, ale zawsze to coś. Więc Misza powiedział Miłoczce, że jeśli mu zapłaci, nie będzie zatrzymywał Wołodi, przeciwnie, postara się mu nawet wytłumaczyć, dlaczego powinien się do niej przenieść.

– Własow wiedział, że go sprzedano? – zapytała Nastia.

Dawna żona Bołtienkowa wruszyła ramionami.

– Chyba nie. Skąd? Ani Misza, ani Miłoczka nie mogli mu tego powiedzieć. Żaden trener nie zdradzi tego łyżwiarzowi. No a nikt więcej nie wiedział, tylko Misza, Miłoczka i ja.

– Jest pani pewna, że ani Michaił Walentinowicz, ani Ludmiła Wsiewołodowna nikomu o tym nie powiedzieli? Własow mógł się przecież dowiedzieć, że go sprzedano, nie od trenera, tylko od kogoś z zewnątrz.

– Mógł – przyznała Bołtjenkowa. – Ale nie potrafię wam pomóc. Nie wiem. Sama nigdy o tym nie wspominałam. No a za Miszę i Miłoczkę nie mogę ręczyć. Chociaż to mało prawdopodobne, żeby o tym trąbili po całym mieście.

Detektywi opuścili teren liceum i ruszyli do samochodów.

– Gdzie teraz jest Wołyniec? – zapytała Nastia, otwierając drzwi swojego służbowego peugeota.

– Na Węgrzech – posępnie odparł Staszys.

– Kiedy wróci?

– Za jakieś trzy tygodnie, nie wcześniej.

– Macie numer telefonu?

– Mamy. Dzwonić?

– Zadzwoń. Nie polecimy przecież do Budapesztu. – Nastia się uśmiechnęła. – Pytanie jest oczywiście niedelikatne, będzie się czuła niezręcznie, ale postaraj się tak je sformułować, żeby jednak odpowiedziała.

Anton skinął głową i wyjął komórkę.

– Mam do pani jeszcze jedno pytanie, Ludmiło Wsiewołodowno – zaczął, gdy tylko się przedstawił, nie zainteresowawszy się nawet, czy trenerka może rozmawiać. – Jak pani sądzi, czy Własow mógł poznać prawdziwy powód, dla którego znalazł się w pani grupie?

Brawo, pomyślała Nastia z aprobatą. Rozsądnie. Bez nacisku, patosu, oskarżeń i oceny etycznej. Tylko fakty.

Nie wiadomo, czy Ludmiła Wołyniec mogła w tej chwili rozmawiać, ale najwyraźniej była nie w humorze. Anton w milczeniu słuchał wibrującego falsetem głosu, który dobiegał

ze słuchawki, później nadal się nie odzywając, wsunął telefon do kieszeni.

– Nawet się nie pożegnałeś – zauważył zdziwiony Roman. – I nie podziękowałeś.

– Bo rzuciła telefon – odparł Anton. – Sprawa wygląda tak. Wołyniec sama mu o tym powiedziała. Gdy Własow pracował u Nosulenki, przyszedł kiedyś do niej, żeby się poradzić, rozmowa zesłała na temat etyki trenerskiej, przejmowania sportowców, zahaczyła też o Bołtienkova, no i wtedy Wołyniec mu powiedziała. Przy okazji. Tak przynajmniej twierdzi. Chciałem zapytać, jak Własow zareagował na tę wiadomość, ale się rozłączyła.

– A więc będziesz musiał zadzwonić jeszcze raz, później, gdy ochłonie – powiedziała Nastia. – Na razie to wystarczy. Własow wiedział, że Bołtienkow go sprzedał. A więc wszystko wpisuje się w schemat: Wołyniec kupiła go dla własnej kariery, więc Własow nie ma do niej pretensji. Ale Bołtienkow sprzedał go wyłącznie z chęci zysku. Wszystko się zgadza.

Anton obiecał, że niebawem znowu zadzwoni do Wołyniec.

– Miejmy nadzieję, że się opamięta. – Uśmiechnął się. – I odpowie na pozostałe pytania.

– Dobrze. – Nastia kiwnęła głową. – W takim razie my z Romanem wracamy.

– Pani z Romanem? Czyżby on teraz podlegał pani, nie mnie? – Anton się roześmiał i Nastia zauważyła, że jeszcze wczoraj chyba się rozgniewał, słysząc te słowa, a dzisiaj dobrodusznie się śmieje. – Nie da się odwrotnie? Niech Romek sam się poci, a pani mną pokieruje, będę wtedy spokojniejszy.

– O nie. – Nastia też roześmiała się w odpowiedzi. – Potrzebuję prymitywnej męskiej siły do dźwigania toreb z zakupami. I osoby, która lubi surfować w Internecie. Bo ty za tym chyba nie przepadasz?

– Co prawda, to prawda – przyznał Staszys. – Jakoś nie mam do tego serca.

– No to załatwione. Możesz wrócić do domu i побыć z dziećmi, my z Romanem sobie poradzimy.

Uruchomiła już silnik, gdy Anton zapukał w przednią szybę od strony Dziuby. Nastia wcisnęła przycisk, otwierając okno.

– Mam pytanie, Romek...

Widać było, że Anton czuje się niezręcznie, więc Nastia uznała, że to pewnie przez nią. Chybaby wolał, żeby nie słyszała. Musiała więc udać, że potrzebuje czegoś z bagażnika. Okazało się jednak, że chodzi o coś innego. Anton nie usiłował mówić cicho, więc wszystko doskonale słyszała.

– Twoja Dunia pracuje codziennie?

– Owszem – odparł zdziwiony Dziuba. – Od dziesiątej do siódmej. Ale grafik jest ruchomy, żeby wychodziło po dwa dni wolnego naraz, bo lombard jest czynny sześć dni w tygodniu. A czemu? Chcesz coś zastawić? Czy może wycenić?

– Szukam kogoś, kto mógłby odbierać wieczorem Waškę z aikido. Na wypadek, gdyby Ela odeszła. Rano sam mogę odprowadzać Stiopkę do przedszkola i podrzucać Waškę do szkoły, ale nie dam rady ich odbierać. Jak sądzisz, mógłbym poprosić Dunię? Chociaż czasem...

Głos Staszysa był błagalny i pobrzmiwało w nim poczucie winy.

– Żaden problem! – zapewnił Roman. – Oczywiście, że Dunia pomoże, ja też mogę pomóc, nie mamy przecież wspólnych dyżurów, więc jak będziesz siedział przez całą dobę, to cię podmienię, możesz być pewien. Pamiętasz, opowiadałeś mi kiedyś o swojej koleżance ze szkoły, mieszka w tym samym domu co ty. Wpadła do ciebie, gdy oblewaliśmy sprawę jubilera. Przypominasz sobie?

– Owszem, Tańka Koszewaja. I co z tego?

– Przecież powiedziała wtedy: „Nie masz nic przeciwko, Tosza, że posiedzę u ciebie pół godzinki? Nie mogę dłużej znieść tego koszmaru”. I siedziała z nami chyba dwie godziny, a może i dłużej. Mówiłeś, że jej rodzice tego popijają, starszy brat też

nie stroni od kieliszka.

– Owszem, pamiętam.

– No właśnie! – z triumfem zawołał Roman. – Więc czemu jej nie poprosisz, żeby posiedziała wieczorem z dziećmi? Wydaje mi się, że chętnie przyjdzie, może nie codziennie, ale... Lubi cię, więc chętnie pomoże, no i posiedzi sobie w ciszy i w spokoju.

Nastię znudziło udawanie, że wciąż nie może znaleźć ważnej rzeczy wsuniętej do bagażnika. Zatrzasnęła pokrywę i podeszła do Antona.

– A mnie, jeśli dobrze pamiętam, opowiadałeś o sąsiadach, parze małżeńskiej, która miała olbrzymią bibliotekę i która bardzo cię wspierała, gdy zostałeś sam. A przy okazji, jeśli mogę być w czymś pomocna, nie zapominaj o staruszce. – Uśmiechnęła się. – Teraz wyniosłam się za miasto, ale sytuacja jest tymczasowa, niedługo znowu wrócę do Moskwy. Mam wprawdzie nienormowany czas pracy, tak jak ty, za to dużo wolnego. I zawsze samochód na chodzie. Czistiakow też jest pod ręką. Pamiętaj o tym.

– Dziękuję wam – wybąkał Anton, a Nastia odniosła wrażenie, że jest bliski płaczu.

Ale chyba jej się przywidziało. No bo czy dzielny major rosyjskiej policji, wywiadowca z Pietrowki może płakać?

===

Wewnętrzne rozdrażnienie, które nie opuszczało Antona już od wielu tygodni, ustąpiło, pozostały gorycz i poczucie winy wobec Lizy i dzieci. A także ból, który jednak sprawił, że myśli odzyskały jasność.

Wszystko jest przecież proste i oczywiste, myślał, przyciskając pedał gazu. Nie zrobiłem najprostszyc rzeczy. W ogóle nic nie zrobiłem. Jako profesjonalista jestem do niczego. Romek niepotrzebnie liczy, że się czegoś ode mnie nauczy. Zawiodłem go. Siebie też. I wszystkich.

Przyjechał do Makłyginów bez uprzedzenia. Ani Pawła Anatoljewicza, ani Walentyny Jakowlewny nie było w domu, drzwi otworzyła mu ładna młoda kobieta w zaawansowanej ciąży.

Niedługo pora na urlop macierzyński, pomyślał Anton.

– Rodzice wspominali o pańskiej wizycie. – Przyszła mama uśmiechnęła się życzliwie. – Ma pan jeszcze jakieś pytania?

Anton obdarzył ją takim samym beztroskim uśmiechem, mimo że serce pękało mu ze smutku i z bólu.

– Najpierw zapytam, jak pani na imię.

– Katia.

– A ja jestem Anton, bardzo mi miło. – Ostrożnie uścisnął małą, delikatną dłoń. – Proszę powiedzieć, Katiu, czy mieliście kiedyś w domu japońskie noże Samura?

– Owszem – przytaknęła bez wahania. – Jednego wciąż używamy, jest bardzo poręczny.

– Mogę rzucić okiem?

– Oczywiście. Chodźmy do kuchni, tylko niech pan nie zwraca uwagi na bałagan, pełno tam pudeł...

Od poprzedniej wizyty Antona niewiele się zmieniło w mieszkaniu. W każdym razie nie zrobiono w nim porządków. Córka Makłyginów patrzyła na gościa tak, jak gdyby go w ogóle nie widziała, pochłonięta myślami o przyszłym dziecku. Nawet się nie zdziwiła, dlaczego policjant, który był u rodziców w sprawie zabójstwa ich dawnej sąsiadki, nagle zapytał o jakiś nóż. Interesowało ją tylko jedno: macierzyństwo.

– Proszę. – Katia wręczyła mu ten sam biały nożyk, którym Walentyna Jakowlewna zręcznie kroїła kielbasę i który przypominał Antonowi zabawkę.

Uważnie obejrzał nóż. Rzeczywiście ostry. I bardzo lekki. Ale nie ma na nim znaku czy logo firmy. Skąd wiadomo, że to naprawdę Samura? A zresztą co za różnica? Jefimowa została zabita stalowym nożem kuchennym, a nie tym śnieżnobiałym cackiem.

– Macie inne noże Samura?

– Gdzieś powinien być jeszcze jeden. – Katia zaczęła w zamyśleniu wodzić wzrokiem po rozpakowanych do połowy pudłach, które zagracały kuchnię. – Dostaliśmy w prezencie komplet składający się z dwóch noży, doskonale pamiętam. Każdy był w osobnym pudełku. Małego ceramicznego używamy na okrągło, raz-dwa się znalazł po przewodzie, gdy zaczęliśmy wypakowywać rzeczy. A drugi, ze stali, musi leżeć na dnie jakiegoś pudła, więc do tej pory nie rzucił nam się w oczy. A dlaczego pan pyta? Chyba nie były kradzione? – W jej głosie zabrzmiał niepokój. – Albo podrobione? Dostaliśmy je od uczciwej osoby, to koleżanka mamy, jest docentem na uczelni. Skąd wzięłaby kradzione noże?

Wyglądało na to, że wszyscy w rodzinie Makłyginów byli nie z tego świata. Anton nie chciał straszyć młodej kobiety, więc wykorzystał jej sugestię.

– Nie ma logo – zauważył. – Niewykluczone więc, że koleżance pani mamy podsunęto trefny towar, podając za firmowy. Spróbujmy razem poszukać drugiego noża.

– Tak, oczywiście. – Katia kiwnęła głową, przysiadła na taborecie i przysunęła bliżej siebie jedno z pudeł.

Anton ulokował się na podłodze i zajął drugim pudłem. Wszystkich pudeł, rozpakowanych do połowy, w jednej trzeciej albo wcale, było koło dziesięciu. Całkiem możliwe, że trzeba będzie przejrzeć każde z nich.

Szczęście uśmiechnęło się jednak do Antona. Już z trzeciego pudła Katia triumfalnie wyciągnęła długie, prostokątne czarne etui z napisem „Samura”.

– Jest! Mówiłam przecież, że schował się na samym dnie.

– Mogę?

Anton niemal wyrwał jej z rąk pudełko i otworzył. Noża nie było w środku. Sądząc z kształtu wnętrza, był to taki sam nóż, jakim zabito Innę Wiktorownę Jefimową.

– A gdzie nóż? – zapytał, starając się nie okazać



zdeenerwowania.

– Nie ma go tam? – zdziwiła się Katia. – Powinien być w pudełku, ani razu go nie używaliśmy. Dostaliśmy noże przed przeprowadzką, gdy się jeszcze pakowaliśmy w starym mieszkaniu. Kiedy się tutaj przenieśliśmy, mały nożyk od razu się znalazł i poszedł w ruch, a dużego nie mieliśmy czasu poszukać. Gdzie mógł się podziać? Leżał przecież na samym dnie, a tego pudła jeszcze nie rozpakowaliśmy... – z roztargnieniem mamrotała Katia, przeglądając wyciągnięte przedmioty, jak gdyby któryś z nich, na przykład łyżka cedzakowa czy kieliszek, mógł jakimś cudem zamienić się w stalowy nóż kuchenny.

– A może ktoś go ukradł?

– Boże kochany, ale kto? – Katia popatrzyła na niego płonącymi oczami, w których malowało się jedynie zdziwienie. – Komu potrzebny jest nóż kuchenny?

– Czy ja wiem? Może ktoś wam pomagał się pakować? Gdy ludzie się przeprowadzają, często proszą przyjaciół, sąsiadów czy krewnych o pomoc, samemu trudno sobie poradzić.

– To prawda... – Twarz Kati rozjaśniła się w łagodnym uśmiechu Madonny. – Sąsiedzi pomagali. I kolega Jury, akurat przyjechał do Moskwy i się u nas zatrzymał. Ale on nie mógł ukraść, to przecież kolega Jury, od dziecka są nierozłączni... Nie, Igora można od razu wykluczyć. Chyba nie sądzi pan, że to on?

Katia nagle się zaniepokoiła.

A więc Igor. Od małego z Jurijem Szokinem, czyli swojak. Czy to czasem nie brat dziewczyny, która zginęła?

– Nic się nie stało. – Anton zaczął ją pocieszać. – Może ktoś go zwyczajnie przełożył. Jak wrócą rodzice, proszę ich zapytać, dobrze? A kiedy wrócą?

– Wieczorem, mają jakąś uroczystość w instytucie.

– Ktoś jeszcze mieszka z wami? – Sprytnie udawał, że się nie orientuje i się dotąd nie interesował.

- Mój mąż, Jura.
- Kiedy wróci do domu? Jest teraz w pracy?
- Tak. – Katia skinęła głową, wyglądała na przybitą. – Pojechał w trasę. Wróci za cztery dni.
- No to świetnie. – Anton się uśmiechnął. – Gdy wróci, jego też proszę zapytać.
- Ale sam zapytam go wcześniej, pomyślał, zjeżdżając windą.
- Właściwie był już niemal pewien, jaką dostanie odpowiedź.

===

Po powrocie Nastia Kamieńska od razu sprawdziła, czy zniknęły umieszczone pod schematem włosy. No oczywiście, tak jak się spodziewała, geniusze komputerowi byli zwyczajnie, po dziecięcemu ciekawi. Nie dość, że żaden włos nie był na swoim miejscu, to jeszcze arkusz brystolu leżał nie tak, jak go zostawiła. A więc Sania i Pedro go odwracali, i to nie raz.

Widocznie schemat, którego nie rozumieli, mocno rozpalił młode umysły, bo po raz pierwszy, odkąd Nastia zamieszkała w domu brata, jej pojawienie się zostało zauważone.

- To ty, Nastiu? – rozległ się z góry głos bratanka.
- To my! – zawołała w odpowiedzi.
- A ilu was jest?
- Dwie sztuki. Romek i ja. Gdzie Czistiakow?
- Chyba w pokoju.

Nadzwyczajny postęp! Jeszcze całkiem niedawno Sania nawet nie zauważał nieobecności ciotki i strasznie się dziwił, gdy się okazywało, że nie ma jej w domu. A teraz nie tylko usłyszał, że przyszła, ale też orientował się, gdzie jest jej mąż.

Stał się cud, z uśmiechem pomyślała Nastia, wypakowując zakupy z reklamówek i umieszczając je w szafach oraz na półkach lodówki.

Zostawiła Dziubę samego i poszła do pokoju, gdzie pracował Losza, gdy nie jeździł do instytutu. Zastała go, gdy akurat

rozmawiał przez telefon, wyraźnie rozgniewany, chyba robił komuś wymówki za przekroczenie terminu oddania planowej pracy. Nie przerywając ustnej reprimendy, gestem poprosił, żeby podeszła, posadził ją sobie na kolanach i cmoknął w skroń.

– Kogo tak strofowałeś? – zapytała Nastia, gdy skończył rozmowę.

– To chyba oczywiste – odparł z uśmiechem. – Każdy szef ma wielu podwładnych i niezliczone możliwości, więc znalezienie kogoś, żeby zmyć mu głowę, nie nastrecza żadnych trudności. Sama wróciłaś?

– Z Romkiem.

– Znowu organizujesz komunistyczny czyn społeczny?

– A jak inaczej? – ze śmiechem odparła Nastia, przytulając się do męża. – Praca za darmo w oparciu o czysty entuzjazm to jedyna rzecz, za pomocą której można zwalczyć przestępczość. Pomożesz?

– Mam inne wyjście? Oczywiście, że pomogę. Ale w zamian za kolację. Bo w kuchni pusto.

– Wszystko przywiozłam, zaraz przygotuję.

– No dobrze. – Czistiakow delikatnie zsunął żonę z kolan i wstał od biurka. – Przygotujemy jedzenie na cztery ręce, tak będzie szybciej, w tym czasie zagonimy niewolników na plantację.

– Sądysz, że się uda? – zapytała z powątpiewaniem. – Romek jest gotów, po to przyjechał, ty pomożesz, ja później się włączę. Ale za młodzież nie ręczę.

– Nie martw się – prychnął Czistiakow. – Sądząc po tym, jak panowie krążyli wokół waszego schematu, który sprytnie zostawiłaś na stole, nie będą mieli nic przeciwko temu, żeby popracować. Obaj umierają z ciekawości.

Aleksiej się nie mylił. Ledwie Dziuba włączył laptopa Nasti, a ona z Aleksiejem chwycili noże i zaczęli wyciągać garnki oraz patelnie, jak spod ziemi zjawili się Sania z Petrucciem. Miny

mieli niby obojętne, ale w oczach płonąła ciekawość.

– Kiedy będzie coś do jedzenia? – zapytał Sania, błędząc wzrokiem wcale nie po rozłożonej na stole żywności, tylko po dużym stole w jadalni, gdzie leżał katorżniczy schemat, nad którym pracował już Roman.

Pietia zachowywał się naturalniej, nie lubił albo nie umiał udawać, toteż nie grał komedii, tylko ciężko przycłapał do dużego stołu i stanął za plecami Dziuby, bezceremonialnie wpatrując się w obrazy na ekranie.

– Co kombinujesz? – zapytał wprost.

Dziuba nie odpowiedział, tylko posłał Nasti pytające spojrzenie.

– Szukamy informacji o Własowie – odparła. – To ten, którego znaleźliście poprzednim razem.

– Przecież chyba wszystko wyczailiśmy – zdziwił się Petruccio. – Sami wtedy powiedzieliście: „Dosyc, game over”.

– Wtedy tak było, ale teraz potrzebujemy czegoś więcej. Jak chcesz przynieść realną korzyść społeczeństwu, siadaj i szukaj – powiedziała Nastia, mieszając w garnku kolejną porcję kaszy dla Sani. – A jak nie, to wal na górę i nie stercz tutaj. Zawołam was na kolację.

– Dogadajmy się, Nastiu – niespodziewanie zaproponował Sania. – My ci wyczaimy informacje o Własowie, a ty mi dasz pieczone ziemniaki zamiast kaszy. Nie mogę już na nią patrzeć.

– Jak nie możesz, to nie patrz. – Nastia obojętnie wzruszyła ramionami. – Jedz z zamkniętymi oczami. A informacji poszukamy sami, jest nas troje: Losza, Romek i ja, to w zupełności wystarczy.

– No dobra, nie wściekaj się – burknął Sania, ruszając z powrotem ku schodom. – Chodź, Petruccio.

Gdy za chłopcami zamknęły się drzwi na piętrze, Nastia szturchnęła Czistiakowa.

– Jak myślisz, co to oznacza?

– Zrobią, co trzeba – zapewnił Aleksiej. – Możesz być pewna.

Przygotowanie kolacji dla trzech zdrowych mężczyzn, wrzodowca i kobiety w średnim wieku ze średnim apetytem zajęło ponad godzinę. Żeby nie przeszkadzać pracującemu Dziubie, Nastia nakryła do kolacji w kuchni. Zazwyczaj nie siadali razem do stołu, bratankowi i jego przyjacielowi zanosila tacę na górę, a oboje z Czistiakowem jedli razem przeważnie tylko śniadanie – ich rozkłady zajęć się nie pokrywały. Jeśli chodzi o kolację na pięć osób, to lepiej byłoby nakryć w jadalni, która jest do tego przeznaczona, ale obecnie jadalnia była miejscem pracy. Trudno, jakoś się wszyscy pomieszczą. Tym razem Nastia postanowiła nie iść na górę z tacą. Algorytm należy od czasu do czasu zmieniać, to chyba wychodzi Sańce na dobre.

Już miała zawołać Sanię i Pietię, gdy Dziuba oderwał wzrok od komputera.

– Czegoś tu nie rozumiem, Anastazjo Pawłowno... To pewnie jakieś bzdury...

– A o co chodzi?

Od razu do niego podeszła, zapominając, że na talerzach stygnie jedzenie.

– Znalazłem coś dziwnego na temat Własowa... Może chodzi o kogoś innego? To przecież niemożliwe! Albo Tocha się pomylił. Chociaż zwykle nie myli się co do ludzi. Proszę, niech pani sama zobaczy, skopiowałem parę rzeczy i umieściłem w jednym pliku.

Nastia szybko przebiegła wzrokiem teksty napisane różną czcionką. Nie do wiary! Okazuje się, że dawny łyżwiarz Władimir Własow jest bywalcem paru nieciekawych klubów, w dodatku on sam jest jeszcze mniej ciekawy. Handluje psychotropami, można je kupić od niego na krechę, skrzywdził dziewczynę w ciąży, rzucił ją czy publicznie obraził, jest też oszustem karcianym... Skąd bierze na to czas, skoro, jak ustalili wywiadowcy, prowadzi uporządkowane i skromne życie, dwa razy w tygodniu spotyka się z matką, kolejne dwa wieczory

spędza na sali gimnastycznej, maluje obrazy w domu. No i regularnie chodzi do pracy.

– Może to rzeczywiście nie ten Własow? – zapytała Nastia z powątpiewaniem. – Imię i nazwisko są popularne, tysiące osób mogą je nosić.

– Też tak pomyślałem, dlatego tak długo mi zeszło, bo sprawdzałem – wyjaśnił Dziuba. – Ale wszystko się zgadza, jest tam wzmianka i o jeździe figurowej w przeszłości, i o pracy w firmie Oxygen. Nazwa firmy nie została wprawdzie podana, mowa jest jednak o tym, że facet zajmuje stanowisko menadżera w jakiejś dużej sieci handlowej.

– Musimy mieć absolutną pewność – stanowczo odparła Nastia. – Siadajmy szybko do kolacji, nakarmimy chłopców i zabierzemy się do roboty.

Na zaproszenie do stołu Sania i Petruccio zareagowali, o dziwo, natychmiast. Z miny bratanek Nastia wyczytała, że perspektywa jedzenia kaszy i gotowanego kurczaka ani trochę go nie pociągała, ale chłopak starał się, jak tylko mógł, dzielnie wpychał w siebie ohydne dietetyczne danie, z zawiścią zerkając na cudze talerze.

– Czemu nie kaprysisz? – niewinnie zapytała Nastia. – Zdążyłam się już przyzwycząić. Bez twojego marudzenia nudno przy stole. No dalej, zaczynaj, jestem gotowa.

– A niech cię – burknął Sania. – Co z tym waszym Własowem? Znaleźliście to, czego szukaliście?

– Czemu pytasz?

– No bo my też... Czekaaliśmy tu i tam... Więc jeśli jesteście ciekawi...

Nastia nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Boże, w gruncie rzeczy łatwo przejrzeć tych chłopców. Niby są dorośli, wiedzą i umieją to, o czym ona nie ma pojęcia. A jednak biegłość w posługiwaniu się komputerem nie zastępuje znajomości życia.

– My też nie zasypiamy gruszek w popiele – rzeczowo oznajmił

Czistiakow. – Romek już znalazł wszystko, co trzeba.

– A wiecie, że facet sprzedawał po potrójnej cenie pierwsze lepsze tabletki z apteki, ściemniając, że to ecstasy? – zapytał Petruccio, z niedowierzaniem przymrużając oczy.

– Uhm. – Dziuba skinął głową, energicznie przeżuując kawałek pieczeni. – Klub Joystick. Zgadza się?

– Aha. – W głosie Pieti dało się słyszeć rozczarowanie. – A że pożyczka pieniądze od wszystkich i nigdy nie oddaje?

– Od wszystkich jak leci – dodał Roman. – Ale najwięcej pretensji mają ci, co urzędują z nim w Burych Wilku albo w Joysticku.

Sania i Petruccio zwiesili nosy na kwintę. Nastia zrobiło się nawet przykro.

– Ale tego chyba nie wiecie, że facet tak naprawdę nie pracuje? – nagle zapytał Pietia. – Niby jest zatrudniony w jakiejś firmie, ale w ogóle się tam nie zjawia.

To akurat jest ciekawe! Jak to się nie zjawia? Nastia badawczo spojrzała na Dziubę.

– Mogę przysiąc, Anastazjo Pawłowno! – ze wzburzeniem odezwał się Roman. – Własow tam pracuje, sprawdzałem, był na miejscu. Anton też sprawdzał. I w postach pracowników firmy wciąż się przewija jako kochanek Olgi Witort, któremu dała posadę i toleruje jego nieróbstwo. Ale mowa była o tym, że facet się nie nadaje i nic nie potrafi, a nie o tym, że nie przychodzi do biura. Przychodzi, mogę dać sobie rękę uciąć!

A więc tak to wygląda...

Nastia szybko zebrała brudne naczynia, włożyła je do zmywarki i wyjęła filiżanki ze spodeczkami.

– Herbatę albo kawę każdy nalewa sobie sam i pije na stanowisku pracy – oznajmiła tonem nieznoszącym jakiegokolwiek sprzeciwu. – Słuchajcie, jakie was czeka zadanie. Ktoś wrzuca do Internetu informacje szkalujące Własowa. To zupełnie oczywiste. Najdalej jutro chcę wiedzieć, kim jest ta osoba. Wszyscy zrozumieli zadanie?

Odpowiedzią był odgłos odsuwanych krzeseł i szybkich kroków po drewnianych stopniach na górę.

– Hej, wy tam! – krzyknęła za uciekającymi Sańką i Petrucciem. – Uprzedzam: nie zaniosę wam herbaty na górę. Kawy też nie. Dzisiaj jest samoobsługa!

– Uhm! – dobiegło ze schodów.

Dziuba z irytacją patrzył na otwartego laptopa.

– Pani sprzęt, Anastazjo Pawłowno, się nie nadaje. Potrzebuję takiego oprogramowania, jakie ma pani bratanek.

– W pokoju brata jest świetny komputer, idź tam i pracuj – zaproponowała. – Jeśli oczywiście Aleksiej Michajłowicz nie ma nic przeciwko.

– Aleksiej Michajłowicz ma coś przeciwko – wtrącił Czistiakow. – Akurat pracuję na tym kompie. Mam wprawdzie laptopa, ale jest oprogramowany podobnie jak ten. Nie nadaje się do hakerstwa.

– No to zaczekamy, aż chłopcy wszystko załatwią. – Nastia wzruszyła ramionami. – Jak chcesz, Romek, to jedź do domu.

– Co za pomysł, Anastazjo Pawłowno?! – Dziuba się oburzył. – Zaczekam. Może jeszcze pogrzebię i znajdę coś ciekawego.

– No to sobie grzeb – zezwoliła Nastia.

Zrobiła porządek w kuchni i wyszła na taras z filiżanką kawy. Usiadła przy stole, z przyjemnością zapaliła papierosa, upiła pierwszy łyk – najsmaczniejszy i najśłodszy. Lubiła te wieczorne godziny, gdy zapadała ciemność, cichy głos cywilizacji i pozostawały tylko te należące do przyrody: szelest liści, świergot ptaków, ciche brzęczenie niewidocznych owadów...

Harmonię naruszył odgłos hamującego samochodu przed bramą. Ogrodzenie wokół domu i posesji Aleksandra Kamińskiego było szczelne, więc samochodu nie było widać. Chwilę później zadzwoniła komórka Nasti.

– Nie śpi pani jeszcze, Anastazjo Pawłowno? – rozległ się głos Antona Staszysa.

– Nie w głowie mi spanie. – Uśmiechnęła się. – Mamy tu pełne



pogotowie.

- Romek jest u pani?
- A jak inaczej?! Haruje za dziesięciu!
- Mogę wpaść? Nie za późno?
- Jesteś przed domem? – Domyśliła się.
- Owszem.

Nastia wyjęła z kieszeni breloczek, wcisnęła guzik zwalniający blokadę bramy.

- Wjedź do środka.

Anton powoli wjechał na teren posesji, starannie zaparkował, wysiadł z samochodu i wspiał się po stopniach na taras.

– Przepraszam, że przyjechałem. Ale pomyślałem, że... Właściwie mam nowe informacje i warto by je omówić. Ma pani rację, dłużej nie można czekać, jutro musimy iść z tym do Bagłajewa.

- Chcesz kawy? – zaproponowała Nastia.

– Później, jeśli można. Najpierw porozmawiajmy... No więc Jefimową należy wykluczyć z listy. Mam co najmniej dwóch podejrzanych i żaden z nich to nie Własow. Wygląda na to, że on jej nie zabił.

– To przecież wspaniale! – Nastia się ucieszyła. – Cały schemat rozsypał nam się z powodu noża, którym zabito Jefimową. A teraz pozostają tylko strzały. Mów dalej. Później ja też powiem ci coś ciekawego.

Uważnie wysłuchiwała historii o rodzinie Makłyginów, o dziewczynie z prowincjonalnego miasteczka, która zginęła w pożarze, i o zaginionym japońskim nożu.

- Tak – wycedziła. – Nieładna historia. Z pieniędzmi, prawda?

– No właśnie! – skwapliwie podjął Anton. – Na tym polegał mój błąd. Powinienem być od razu na to wpaść. Tymczasem dopiero dzisiaj do mnie dotarło. Pani od razu dostrzegła istotę sprawy. Fakt, że do pożaru doszło dwa lata temu, a Jefimową zabito dopiero w marcu tego roku, zbił mnie oczywiście z tropu. Byłem pewien, że jedno z drugim nie ma nic wspólnego, minęło zbyt

dużo czasu. Ale wciąż coś mi nie dawało spokoju... Coś, co łączyło się z pieniędzmi i z przeprowadzką. Nie potrafiłem się skupić i tego poskładać. A dzisiaj mnie olśniło.

– Naturalnie. – Nastia skinęła głową. – Rozumiem. Zięć Makłyginów nie wiedział, ile Jefimowa zapłaciła za parcelę. Powiedziano mu, że dużo, tyle, że wystarczy na kupno przestronnego mieszkania w Moskwie. Wstydział się zapytać teściów, nie chciał im zaglądać do kieszeni. Jest kierowcą, sporo czasu spędza w trasie, więc Makłyginowie z córką zajęli się szukaniem nowego mieszkania i sprzedają starego. A oni, jak twierdzisz, bujają w obłokach, są łatwowierni i nieżyciowi. Dopiero gdy się wyjaśniło, na jakie mieszkanie starczyło pieniędzy, Jurij Szokin domyślił się, ile Jefimowa naprawdę zapłaciła za działkę. Bo gdyby zapłaciła uczciwie, jak sądził wcześniej, oferowana kwota wystarczyłaby na kupno dużego mieszkania w pobliżu centrum. Jaki był tok myślenia Szokina? Jego zdaniem podpalenie mogło mieć tylko jeden cel: nabycie parceli za tanie pieniądze. Skoro cena działki nie została obniżona, to znaczy, że Jefimowa nie przyłożyła do tego ręki i był to rzeczywiście nieszczęśliwy wypadek. Gdy jednak Szokin dowiedział się, że cenę obniżono dwu- albo nawet trzykrotnie, nabrał pewności, że było to podpalenie. A więc dziewczyna, siostra jego przyjaciela, zginęła nie przypadkiem, tylko w wyniku przestępstwa. I dlatego dopiero teraz obmyślił plan zemsty i wcielił go w życie.

– Albo on, albo jego przyjaciel, brat zabitej – zauważył Anton. – Igor Żurichin. Pod koniec marca był w Moskwie, mieszkał u Makłyginów i nawet pomagał im w przeprowadzce. Mógł sobie od nich pożyczyć japoński nóż Samura.

– To logiczne. – Nastia kiwnęła głową. – A co teraz porabia Żurichin? Gdzie przebywa?

– Zdążyłem ustalić, że nie ma go w miejscu zamieszkania.

– A więc może być tutaj, w Moskwie.

– Chyba tak. Dlaczego nie? Teraz pani kolej, proszę

powiedzieć, co nowego odkryliście.

Nastia westchnęła, dopiła kawę, która już dawno wystygła i wydawała się wstrętna w smaku.

– Mamy tutaj, Antonie, zupełnie niezrozumiałą sytuację. Jesteś pewien swoich wrażeń dotyczących Własowa?

– No... Ostatnio właściwie niczego nie jestem pewien – przyznał. – Popełniam błąd za błędem. Czyżbym się znowu pomylił?

– Albo się pomyliłeś i Własow nie jest wcale tak spokojny i nieszkodliwy, jak ci się zdaje, albo ktoś w niewiadomym celu wrzuca do Internetu nieprawdziwe informacje na jego temat. Mój bratanek i jego bliski przyjaciel Pietia próbują się teraz dowiedzieć, kto to robi. Istnieje bowiem grono ludzi, które zna naszego figuranta wyłącznie z negatywnej strony. Chcę wiedzieć, co to za grono i kto nim manipuluje. Sytuacja przedstawia się w ten sposób, tylko jeśli przyjmiemy, że się nie pomyliłeś.

– A jeśli się pomyliłem? – ze smutkiem zapytał Anton. – Anastazjo Pawłowno...

– Daj spokój, Antonie, nie trzeba – przerwała mu łagodnie. – Wiem o wszystkim. Władisław Nikołajewicz już do mnie dzwonił. Liza nie wpadła oczywiście w histerię, jej konstrukcja psychiczna wyklucza taką reakcję. Nie chce jednak rozmawiać z ojcem, nie otwiera mu drzwi i rzuca słuchawkę. Rozstaliście się, o ile dobrze zrozumiałam?

– Owszem. – Westchnął.

– Z czyjej inicjatywy?

– Z mojej.

– Jasne.

Naprawdę wszystko było jasne i nie wymagało dodatkowych wyjaśnień.

Nastia ostrożnie dotknęła dłoni Antona.

– To boli? – zapytała cicho.

– Sam nie wiem – wyznał Anton. – Chyba tak... Ale jest mi

raczej wstyd. Czuję się jak drań.

– Postąpiłeś uczciwie – powiedziała Nastia. – A to, o dziwo, zawsze boli. Jak sądzisz, dlaczego ludzie tak często kłamią? Owszem, w jakichś dziesięciu procentach przypadków robią to dla własnej korzyści. Ale w pozostałych dziewięćdziesięciu – żeby nie sprawić komuś przykrości. Takie jest życie. Niestety. Już późno, Antonie, pewnie musisz wracać do dzieci.

– Ela zabrała je do siebie na weekend. Więc się nie śpieszę. Obiecałem, że jutro zabiorę je na lody, jeśli nie wydarzy się nic pilnego. Ale wygląda na to, że się wydarzy.

Siedzieli w milczeniu na nieoświetlonym tarasie – gdy Nastia wyszła z filiżanką kawy, światło jeszcze nie było potrzebne, a teraz nie chciało jej się wstawać.

Drzwi prowadzące do domu otworzyły się z hukiem i na taras wysypała się malownicza grupa na czele ze zwalistym Pertucciem, którego rozlane ciało zasłaniało nie tylko szczupłego Sanię, ale też barczystego i krzepkiego Dziubę.

– Co tak siedzicie w ciemnościach... – zaczął Pietia i urwał na widok sylwetki, w której nie od razu rozpoznał Antona.

– Możesz włączyć światło? – poprosiła Nastia. – Bo nie mam ochoty wstawać.

Rozległ się trzask włącznika i łagodne żółtawe światło zalało taras.

– Nie wiecie, co odkryliśmy! – zawołał podekscytowany Petruccio.

– Zaczekaj, opowiedz po kolei – przerwał mu Sania. – Zaczynaj od samego początku, żeby pokazać rozmach naszego działania.

– Wyhamuj! – zmitygował go Pietia. – Krótko mówiąc, pełno tam lewych adresów IP dla zmylenia tropów, ale się dokopaliśmy: wszystkie informacje wrzucał jeden i ten sam człowiek, nazywa się Filip Oriechow. To...

– Zaczekaj. – Sania znowu powstrzymał kolegę. – Pominąłeś to, co najważniejsze. No więc, Nastiu, sprawdziliśmy wszystko, co pisali na privach i blogach bywalcy klubów, w których

rzekomo urzęduje Własow. Nikt go tam nigdy nie widział i nie zna. Żadnej wzmianki. Wszystkie posty firmowane są różnymi nickami i pochodzą z różnych adresów, ale ich autorem jest Filip Oriechow. Nieźle, co?

– Nieźle. – Nastia pokręciła głową. – Kim jest ten sprytny osobnik?

Sania i Pietia zgodnie umilkli i spojrzeli na Dziubę, który trzymał się skromnie z boku. Łatwo było się domyślić, że w pewnym momencie panowie podzielili się jednak robotą, żeby nie deptać sobie po piętach i nie chodzić tymi samymi ścieżkami. A może mądry Czistiakow im to podsunął?

– Filip Oriechow to jedyny syn właściciela firmy Fighter Trade, Wadima Konstantinowicza Oriechowa – rzeczowo poinformował Roman. – Oficjalnie jest menadżerem w dziale obsługi klientów VIP, odpowiada za dostawy do sieci Oxygen. A nieoficjalnie to nicpoń, obibok i łajza.

– Do sieci Oxygen – w zamyśleniu powtórzyła Nastia. – No a tam pracuje Władimir Własow. Niewykluczone więc, że się znają. To nawet więcej niż pewne, skoro Oriechow tak gorliwie obrzuca go błotem. Widocznie Własow czymś mu się naraził. A więc do roboty, młodzieży, włamujcie się, gdzie chcecie, bylebyście się dowiedzieli, dlaczego Własow i Oriechow mają ze sobą na pieńku. Poszukajcie przede wszystkim ich prywatnej korespondencji. Gdzie Czistiakow?

– Pracuje w pokoju – odparł Sania. – Zawołać?

– Nie przeszkadzaj uczonemu. – Nastia się roześmiała. – Niech sobie pracuje.

– A my nie pracujemy? – zachnął się Petruccio. – Może jesteśmy na wczasach? Przecież pomagamy w ważnej sprawie...

– Pomagacie, pomagacie – uspokoiła go Nastia. – Idźcie już.

Bratanek z kolegą zniknęli w domu, a Dziuba został, usiadł koło Antona i spojrzął nań pytająco.

– Od dawna tu jesteś?

– Od dawna. Jakaś godzinę.

– A po co przyjechałeś? Coś się stało?

– Czy ja wiem? – Staszys wzruszył ramionami. – Zdaje się, że rozwiązałem sprawę zabójstwa Jefimowej. No i zastanawiam się, co zrobić, żeby się jej nie pozbyć. To ja znalazłem rozwiązanie. Ale będę musiał czekać jeszcze cztery dni, jeżeli nikogo nie powiadomię i nikt mi nie pomoże.

– Żarty sobie stroisz! – Romek nie uwierzył. – Naprawdę rozwiązałeś tę sprawę? A więc to na pewno nie Własow?

– Wygląda na to, że nie. Mam dwóch podejrzanych, trzeba zatrzymać obu, bo bez względu na to, który z nich zabił, drugi jest współnikiem. Ale jeden jest kierowcą i pojechał w trasę, wróci dopiero we wtorek, a drugi nie wiadomo, gdzie się podziewa, nie ma go w miejscu zamieszkania. Sam nie dam sobie rady, nie chcę jednak powiadamiać zwierzchnictwa, bo sami wszystko robią, a mnie jak zwykle uścisną tylko rękę. Chyba się domyślasz, że wolą umieścić zabójstwo Jefimowej w rubryce „motywy obyczajowe”, a nie szukać zleceniodawcy wśród ważnych urzędników, którzy wykorzystają swoje układy i narobią nieprzyjemności. Nikt nie chce się podkładać. Zobacz, wystarczyło, że wywlekłem sprawę pożaru, a od razu zamknęli mi usta. Więc jeśli tylko wspomnę o swojej hipotezie, od razu mi ją odbiorą, dobrze będzie, jeśli nie zmiażdżą ręki z radości.

– To rzeczywiście problem – wycedził Dziuba. – A może ja ci pomogę? Nieoficjalnie, rzecz jasna, bo przecież nie należę do waszej grupy.

– Zastanowię się. – Anton skinął głową. – Może na coś wpadnę. Anastazjo Pawłowno, nic mi nie przychodzi do głowy w związku z Własowem i Oriechowem. Tego ostatniego oczywiście nie widziałem, ale sądząc z tego, co mówi Romek, facet nie może mieć żadnych zatargów z Własowem. Zbyttno się różnią, żeby mogli utrzymywać ze sobą jakieś kontakty.

– Zobaczymy. – Nastia westchnęła. – Trudno mi wyrokować, nie widziałam ani jednego, ani drugiego. Nawiasem mówiąc, trzeba by się zainteresować, gdzie dzisiejszej nocy baluje młody

Oriechow. Jest piątek, to najlepsza pora, żeby poszaleć w klubie do rana. Bądź tak dobry, Romek, idź do chłopców i powiedz im, żeby zwrócili na to uwagę, jeśli udało im się już coś znaleźć.

– Właściwie sam mogę to zrobić – zauważył Dziuba. – Jeśli mnie puszczą do jednego ze swoich kompów, przejrzę prywatne czaty.

– No to zajmij się tym – zezwoliła. – A przy okazji, nie musisz już wracać? Niedługo przecież północ. Zaraz ucieknie ci ostatni pociąg.

– Wygania mnie pani? – z urazą zapytał Dziuba.

– Skąd. – Energicznie potrząsnęła głową. – Sprawdzam twoją gotowość do poświęcenia się dla ojczyzny i dla sprawy walki z przestępczością. Jeśli się dowiesz, że Filip Oriechow spędza dzisiejszy wieczór w konkretnym klubie, zapraszam cię na randkę. Jeśli oczywiście nie będzie ci wstyd pojawić się w towarzystwie usiłującej odjąć sobie parę lat starszej pani, która może być twoją matką.

Dziuba znieruchomiał na chwilę, po czym szybko wstał.

– Nie jestem głupi, zrozumiałem – rzucił i zniknął w domu.

Anton odprowadził go zamyślonym wzrokiem.

– Chce pani pojechać do klubu obejrzeć Oriechowa? – zapytał.

– Dlaczego nie? Może go poznam, a może tylko popatrzę i poobserwuję z boku. Trzeba przecież wiedzieć, z kim mamy do czynienia. I co to w ogóle za sprawa. Zaczekamy na wyniki poszukiwań, dowiemy się, dlaczego jest skłócony z Własowem, i można ruszać. Żal mi oczywiście Romka, zepsuję mu reputację... Ale ciebie nie mogę prosić, masz dzieci, twoja reputacja jest ważniejsza. – Nastia się roześmiała. – A zresztą nie przypominasz naiwniaka, którego może wykorzystać nimfomanka w emerytalnym wieku. Tymczasem Romek świetnie się nada do tej roli.

– Nie wiem, czy powiedziała mi pani komplement, czy mnie zbeształa. – Anton się uśmiechnął.

– Sama też nie wiem. – W odpowiedzi Nastia również się uśmiechnęła.

Gdzieś z prawej strony rozległ się przenikliwy gardłowy pisk, do którego natychmiast dołączył jeszcze jeden głos, bardziej chrapliwy.

– Koty się biją – wyjaśniła Nastia. – Na sąsiedniej posesji jest jakaś rasowa i niewysterylizowana kotka, więc ściągają do niej kawalerowie z całej okolicy, w dodatku przez okrągły rok, nie tylko wiosną. Najczęściej pojawia się olbrzymi rudy kocur, pewnie uważa się za głównego konkurenta, kogoś w rodzaju oficjalnego narzeczonego, więc jeśli razem z nim pojawi się, nie daj Boże, ktoś jeszcze, bójka murowana.

– Tak – w zamyśleniu wycedził Anton. – Zwierzęta to świetna rzecz... Moja córka prosi o pieska. A syn o królika. Nawet nie wiem, kiedy będę mógł sobie na to pozwolić. Królik to jeszcze pół biedy, siedzi w klatce, wystarczy go karmić i po nim sprzątać. Ale pies to już problem. Trzeba go wyprowadzać, w dodatku regularnie, a jak to pogodzić z moim rozkładem zajęć?

– Wasylisa niedługo skończy jedenaście lat, Antonie, czemu traktujesz ją jak małe dziecko? To już duża dziewczynka, uprawia sport. Jeździ już na zgrupowania?

– W tym roku pojedzie pierwszy raz.

– No widzisz. Jest dojrzała i samodzielna. Może pora, żebyś obdarzył ją większym zaufaniem? Twoja niania chyba nie tylko pomaga jej w lekcjach?

– Owszem, nauczyła ją gotować, razem sprzątają i robią zakupy. Ela poświęca bardzo dużo czasu, żeby ją wszystkiego nauczyć, ale...

– Daj spokój! – Nastia machnęła ręką ze zniecierpliwieniem. – Przypomnij sobie siebie w tym wieku. Pewnie obywałeś się bez niczyjej pomocy. Przestań się nad nią trząść i trzymać ją za rączkę. Musisz sobie uświadomić, że nie ma już pięciu lat. Wspomnisz moje słowa: gdy tylko Ela wyjdzie za mąż



i przestanie u ciebie pracować, okaże się, że doskonale sobie radzicie bez niani. Wiem, czego się boisz, na twoim miejscu też bym się bała. Ale żeby dziecko nie chodziło samo po ulicach, możesz poprosić o pomoc jakąś młodą emerytkę, która odbierze je ze szkoły i zaprowadzi na zajęcia sportowe, a później do domu. Odbierze też Stiopeę. To nie będą duże koszty. No a w domu, zwłaszcza jeśli będziesz regularnie robił zakupy, Wasylisa świetnie sobie poradzi. Przecież wiesz, że dzieci uprawiające sport dojrzewają szybciej od swoich rówieśników. Przez pierwsze miesiące nie obejdzie się oczywiście bez problemów, Stiopka będzie musiał nauczyć się sam spędzać czas w domu, ale z tym można się uporać. Wierz mi, Antonie, że nie będzie tak tragicznie, jak ci się teraz zdaje.

Z mieszkania dobiegły ich głosy, Sania mówił coś podekscytowany, Petruccio słabo oponował, ale wszystko zagłuszył potężny bas Czistiakowa.

– Powiedziałem: cisza! Powoli i nie obaj naraz!

Głosy znowu się odezwały, ale teraz ciszej i po kolei.

– Chyba mają problem do omówienia – zauważyła Nastia. – Chodźmy, włączymy się do dyskusji.

Wstali i weszli do środka. Pięć minut później sytuacja była mniej więcej jasna. Po pierwsze: Filip Oriechow umówił się dzisiaj przynajmniej z dwoma kumplami w klubie Joystick. Po drugie: przez ostatnie pół roku żadnemu ze swoich internetowych znajomych Filip ani razu nie wspomniał, że pokłócił się z jakimś Władimirem Własowem. Co więcej, w prywatnych postach Filipa nawet nie pojawiło się jego nazwisko. I po trzecie, rzecz najciekawsza: w przestrzeni internetowej nie ma śladu jakichkolwiek kontaktów między Filipem Oriechowem a Władimirem Własowem. Żadnych maili ani postów na stronach. Jakby się nie znali i nigdy nie widywali.

– Przecież nie mogli się nie widywać – zauważył Dziuba. – W pracy Oriechow odpowiada za dostawy do firmy Oxygen, to

znaczy, że musiał stale kontaktować się z działem Olgi Witort, w którym pracuje Własow.

– A więc ich konflikt ma charakter biznesowy – wywnioskował Anton. – Dlatego Filip nie pisze o nim w prywatnych postach, bo i tak żaden z jego kumpli, z którymi urzęduje w klubach, nie zna Własowa i nie zrozumie problemów związanych z pracą.

Zapadło milczenie, ale każdy wiedział, czego nie powiedziano na głos. Prostoduszny Petruccio odezwał się pierwszy.

– Jeśli się w to pakować, potrzeba czasu, ochrona jest tam taka, że nie wystarczy pięć minut. I łatwo wpaść.

– A trafić do pudła jeszcze łatwiej – dodał Dziuba. – Jeśli jednak chcemy jutro iść do Bagłajewa, trzeba wyjaśnić tę kwestię. Wprawdzie załatwianie potrzebnych dokumentów to średnia przyjemność, ale jeśli dostaniemy wstępną zgodę, można się później dogadać, robiąc słodkie oczy.

Tak, włamywanie się na strony operatorów sieci telefonicznej to sprawa żmudna i grząska. Trzeba się jednak dowiedzieć, czy Własow i Oriechow się kontaktują. Jak pokazała pierwsza, bardzo powierzchowna kontrola, panowie nie spotykają się w Internecie, nie wymieniają się mailami ani postami. W każdym razie nie występują pod prawdziwymi nazwiskami. Ale może rozmawiają przez telefon i wysyłają do siebie SMS-y?

– Zrobimy tak – oznajmiła stanowczo Nastia. – My z Romkiem pojedziemy zaraz do klubu, obejrzymy sobie tego Oriechowa. Nie podoba mi się, że w sieci nie ma jego zdjęć. A ty, Antonie, jutro z samego rana spotkaj się z Olgą Witort i spróbuj wycisnąć z niej, co tylko się da na temat kontaktów Własowa i Oriechowa.

– A my? – chórem zapytali Sania i Petruccio. – Co mamy robić?

– Wy do łóżek.

– Jeszcze czego! – pogardliwie prychnął Sania. – Może jeszcze dasz nam smoczki?

– Skoro nie chce wam się spać, szukajcie, gdzie i kiedy

skrzyżowały się drogi naszych miłych panów. Kto znajdzie pierwszy, dostanie cukierka. Antonie, wracasz do domu czy zostajesz?

– Pojadę z wami do klubu.

– Nie ma potrzeby – powstrzymała go Nastia. – Nie powinniśmy wszyscy troje się tam pokazywać. Niech przynajmniej jedno z nas nie rzuca się w oczy. Jak chcesz, posiedź w samochodzie i zaczekaj. Uwiniemy się raz-dwa.

– Dobrze – przytaknął Anton. – Ma pani rację. Później zabiorę do siebie Romka, wtedy się naradzimy.

– W takim razie prędko coś zjedzcie. Jak powiedziano by w jakimś południowoślowiańskim regionie: „Wybaczcie, dobre ludzie, że strawa skromna, ale czym chata bogata, tym rada”. Za warunki z góry przepraszam. Ja tymczasem pobiegnę się przebrać i zadzwonię w parę miejsc. I uprzedzam: nie przestraszcie się, gdy wrócę. Widok będzie przerażający.

Gdy wchodziła do sypialni, czuła na plecach niedowierzające spojrzenia. Tylko jedna osoba spośród obecnych – jej mąż – wiedziała, że Anastazja Kamińska może się zmienić nie do poznania.

Nastia otworzyła szafę i w zamyśleniu przejrzała jej zawartość. Sypialnia jest przeznaczona dla gości, więc są tutaj rzeczy tylko jej i Loszki, ubrania Daszy znajdują się w garderobie koło sypialni gospodarzy. Jaki wizerunek powinna wybrać? Tamten, o którym wspomniała? Podstarzała nimfomanka pod rękę z młodym kochasiem... Żeby stworzyć taki obraz, trzeba by zajrzeć do szafy Daszki i wybrać jakąś krótką spódnicę. Na niewysokiej Daszy taka spódnica wygląda przyzwoicie, sięga do kolan, ale przy wzroście Nasti znacznie się uniesie. Nogi, na szczęście, można jeszcze pokazywać, nie ma powodu się wstydzić. A może wybrać inny wizerunek?

Nastia opadła na szerokie łóżko i wyjęła komórkę z kieszeni dżinsów. Dobrze, że niedawno zadzwoniła do Eugenie (na co dzień Jewgieniji Władimirowny, a jeszcze wcześniej Żeński

Mniszki), przypomniła o swoim istnieniu i przekonała się, że madame cieszy się dobrym zdrowiem i nie odmówi pomocy. Już po północy, ale o tej porze Eugenie ma najwięcej pracy.

– Powiedz mi, Żenieczko, czy masz kogoś w klubie Joystick? – zapytała, słysząc w słuchawce znajomy niewinny kryształowy głosik, dzięki któremu prostytutka Żenia otrzymała kiedyś przezwisko Mniszka. – Nie, nie chodzi mi o kogoś z branży uciech, ale raczej o szefostwo, żeby wszystko odbyło się kulturalnie. Aha... Aha... Dziękuję, kotku, teraz zajmę się swoim strojem, a ty do mnie oddzwon, dobrze?

Tak... Ubranie to nie problem, ale makijaż... Nastia Kamieńska nawet w młodości nie znosiła się malować bez widocznej potrzeby. Jeśli jednak wymagała tego praca, robiła to z rozmysłem i przyjemnością. Teraz akurat był taki przypadek, ale wolała nie tracić czasu.

Może uprościć jakiś proces? Jeśli wybrać ubranie, które będzie mówiło samo za siebie, twarz zejdzie na drugi plan. A więc wąskie różowe spodnie, krótki czarny żakiet dopasowany w talii, na szyi sznur pereł, w uszach perłowe kolczyki gwoździe. Perły nie pasują do karnacji Nasti, nadają skórze niezdrowy odcień. Ale o to właśnie chodzi. W perłach Nastia zawsze wygląda dziesięć lat starzej. Pierścionek z dużą perłą postarzy też dłonie.

No i dobrze, dalej można się już nie wysilać, nie trzeba nawet malować oczu, wystarczy szminka, ale koniecznie w kolorze spodni. Nasti nie jest w różowym do twarzy, ale zbliżona tonacja świadczy o zamiłowaniu do surowego i eleganckiego stylu. Może nie być twarzowo, Nastia nie musi być ładna, ważne, żeby stworzyć odpowiedni wizerunek. Wprawdzie trzeba będzie włożyć pantofle na wysokich obcasach, ale nic nie szkodzi, jakoś to zniesie, wizyta w klubie nie powinna potrwać długo.

Akurat chowała pomadkę do czarnej, ozdobionej sztucznymi perłami kopertówki, gdy zadzwoniła Eugenie. Trzy minuty

później Anastazja Kamieńska była gotowa do wyjścia. W jednej ręce trzymała elegancką torebkę, a w drugiej reklamówkę z pantoflami, które włoży już na miejscu. Wolała prowadzić samochód w adidasach albo w mokasynach.

– Raczej nie przypominasz nimfomanki. – Czistiakow zlustrował żonę krytycznym spojrzeniem, gdy pojawiła się w salonie.

– Rozmyśliłam się – beztrąsko oznajmiła Nastia. – Nimfomanka i alfons to trywialny i oklepany obraz. Lepsza będzie przedsiębiorcza kobieta o wątpliwej reputacji i jej wierny paż, któremu czasami pozwala na zbliżenie.

Dziuba patrzył na nią z otwartymi ustami.

– I jak, Romek? – zapytała wesoło. – Coś ci się nie podoba?

– Jest pani... – Zaczerwienił się i odwrócił wzrok. – To znaczy...

– Stara? To zamierzone. Antonie, ile na oko dałbyś mi lat?

Staszys spojrzał na nią w zamyśleniu.

– Co najmniej sześćdziesiąt.

– Gdy jest pani w dżinsach i w koszulce, nie dałbym pani więcej niż trzydzieści – wypalił Romek. – A teraz jest pani tak poważna, że strach. Nareszcie rozumiem, dlaczego Petruccio nazywa panią babką. Pewnie widział panią w podobnym stroju?

– Nie. – Nastia się roześmiała. – Wydaje mi się, że zaczął mnie zauważać dopiero parę dni temu, przedtem byłam dla niego abstrakcyjnym pojęciem, a nie postacią fizyczną. Rodzice Sańki to wapno, tym bardziej starsza siostra ojca. Po co się jej przyglądać? Swoje przeżyła i nie ma z niej żadnego pożytku, jest tylko źródłem problemów, zmusza do przyjmowania lekarstw, serwuje niesmaczne jedzenie, strofuje za hamburgery i colę, w dodatku bez przerwy zrędzi, że siedzenie na okrągło przy komputerze jest niezdrowe. Prawda, Romek, że Petruccio tak mówił?

– Owszem – przyznał Dziuba. – Ale mu powiedziałem, że jest osłem.

– Brawo. – Czistiakow skinął głową z aprobatą. – obrońca. Nie

pozwoił obrażać starszej pani. A przy okazji, Aśka, jak chcesz, weź mój samochód, jest solidniejszy. Bo twoje srebrzyste cacko wygląda bardzo niepoważnie.

– Słuszna myśl – przytaknęła Nastia. – Dziękuję, Loszyk.

===

Pod klub Joystick zajechali dwoma samochodami: Nastia z Dziubą czarną terenówką, za nimi Anton swoim autem. Gdy zaparkowali, Nastia szybko zmieniła obuwie i gdy Romek, jak na pazia przystało, otworzył drzwi i pomógł jej wysiąść, na nogach miała czarne, ozdobione różowymi paskami szpilki z metalowymi flekami. W wybranym przez nią wizerunku istotne znaczenie miał sposób chodzenia, wszyscy powinni z daleka słyszeć ważną damę. Buty oczywiście sprawiły, że Nastię od razu zaczęły ćmić plecy, ale co poradzić...

Przewyciężając ból, podeszła do ochrony, dźwięcznie stukając obcasami po asfalcie.

– Zawołaj Sagdiejewa – powiedziała przez zęby, nie patrząc na umięśnionego dryblasa, który przeprowadzał „face control”. – Powiedz, że do Roberta Arkadjewicza od Minieja.

Dryblas zmienił się na twarzy, odwrócił się i szybko powiedział coś do mikrofonu. Dosłownie chwilę później z budynku wypadł łysy ruchliwy typ, lecz jego nieokazała powierzchowność nie zwiódła Nasti – od razu doceniła zimne i twarde spojrzenie pewnego siebie człowieka, który zna się na swoim fachu. Sagdiejew, prawa ręka szefa klubu, Roberta Arkadjewicza.

Tak naprawdę Robert Arkadjewicz był właścicielem Joysticka, ale w oficjalnych dokumentach figurował jedynie jako kierownik, którego zatrudniono. Klub, jak to przeważnie bywa, został zapisany na kogoś, kto nawet o tym nie wiedział. Tymczasem Miniejew, inaczej Miniej, od którego rzekomo przyszła dama w różowych spodniach, był postacią dużego formatu, więc jeśli kogoś przysłał, nie wolno go było

lekceważyć. To byłoby niewłaściwe. A nawet niebezpieczne. Miniej zajmował w MWD na tyle wysokie stanowisko, że jedno jego słowo mogło obrócić w perzynę każdy „podległy” mu klub. Wpadka nie groziła, Eugenie już dawno była damą serca Minieja, więc wszyscy zostali uprzedzeni.

– Zapraszam do środka – rzekł uprzejmie Sagdiejew. – Robert Arkadjewicz czeka na panią.

Nastia w milczeniu ruszyła do drzwi, nie oglądając się na Dziubę, który, zgodnie z instrukcjami, nie odstępował jej na krok, trzymając się nieco z tyłu. Z przodu biegł Sagdiejew, otwierał drzwi i torował przejście. W zadymionym klubie panował hałas i było tłoczno, wśród gości przeważała młodzież w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat, smarkateria nie miała tu czego szukać – ceny w Joysticku przyprawiały o zawrót głowy. Nastia z satysfakcją odnotowała w myślach, że jej pojawienie się zostało zauważone. Wszyscy obracali się na jej widok i odprowadzali ją wzrokiem. A więc się udało: przejście przez salę było widoczne i słyszalne. Tak jak planowała.

– Dajcie coś do picia i jedzenia mojemu chłopcu – półgłosem poleciła Sagdiejewowi, gdy zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi na tylny korytarz. Właśnie tam mieścił się gabinet szefa.

– Jak pani sobie życzy – odparł Sagdiejew, machnął do kogoś ręką, pokazując Dziubę, po czym szybko i cicho wydał odpowiednie polecenia.

Na korytarzu od razu zrobiło się ciszej, drzwi do pokoju szefa były pierwsze z prawej. Sagdiejew zapukał i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

– Gość od Miniejewa, Robercie Arkadjewiczu – zameldował.

– Proś – rozległ się przyjemny, dobrze postawiony baryton. – I zadysponuj, co trzeba.

Nastia bezceremonialnie odsunęła stojącego w wejściu Sagdiejewa i wtargnęła do środka, rzucając:

– Niech przyniosą kawę i wodę bez gazu.

Kierownik klubu okazał radość na widok interesantki, wstał i pocałował ją w rękę. Ale gdy tylko za Sagdiejewem zamknęły się drzwi, jego twarz przybrała spokojny i poważny wyraz.

– W czym mogę pomóc, Anastazjo Pawłowno? Chyba chce pani u mnie posiedzieć, żeby wszyscy sądzili, że przyszła pani w jakiejś sprawie. Zgadza się? Czy może źle zrozumiałem?

– Nie myli się pan. – Nastia się uśmiechnęła. – Dziękuję, że zgodził się pan pomóc. Nikt nie powinien się dowiedzieć o naszej umowie i o prośbie Minieja, nawet pański najbliższy współpracownik Sagdiejew. Dobrze? Mogę na pana liczyć?

– Oczywiście. – Robert Arkadjewicz kiwnął głową. – Ale w zamian za szczerość. W granicach rozsądku, ma się rozumieć. Nie lubię być traktowany instrumentalnie.

Drzwi znowu się otworzyły i urocza dziewczyna wtoczyła wózek z napojami i przystawkami. Nastia zrobiła parę nerwowych kroków po pokoju, mówiąc przy tym ze złością:

– To naruszenie umowy, drogi Robercie Arkadjewiczu, opóźnienia płatności są niedopuszczalne, ludzie Kaznaczeja tego nie rozumieją...

Dziewczyna już miała obsłużyć szefa i jego gościa, ale na widok wściekłego spojrzenia Roberta Arkadjewicza, ze strachem się wycofała. Gdy znowu zostali sami, Nastia usiadła na sofie obitej miękką skórą i z ulgą zsunęła pantofle.

– Powiem panu, jak sprawa wygląda. – Uśmiechnęła się łagodnie. – W pańskim klubie przesiaduje pewien młody mężczyzna. Musimy mu się przyjrzeć. Nie wiemy, jak wygląda, ale ponieważ jest stałym bywalcem, proszę, żeby kazał pan komuś z obsługi go znaleźć i nam pokazać. Na sali został mój asystent, który wykona całą robotę. Moje pojawienie się to zasłona dymna, wszyscy powinni myśleć, że przyszedł ze mną, siedzi i czeka, aż skończymy interesy. To pozwoli mu uniknąć zbędnych pytań i jednocześnie zapewni pewną swobodę. Jedyne, o co pana proszę, to identyfikacja człowieka, który nas



interesuje. Poszukiwania mogą zabrać sporo czasu, wypytywanie jest wykluczone, znajomość powinna być przypadkowa i naturalna. Czy ktoś może w tym pomóc?

Robert Arkadjewicz wstał z fotela i zrobił zapraszający gest.

– Proszę się przesiąść tutaj, wszędzie mamy kamery, obraz jest na moim komputerze. Jeśli poda mi pani nazwisko tego człowieka, natychmiast zarządzę, żeby go znaleźć. Obsługa go pani pokaże.

Chwilę później wydał niezbędne dyspozycje. Nastia usiadła przy jego biurku i zaczęła przeglądać obrazy z licznych kamer, przełączając widok z jednej sali na drugą, z korytarzy na hole przed toaletami, posłusznie podążając za wysokim, bardzo szczupłym kelnerem, którego pokazał jej kierownik. Filip Oriechow został zidentyfikowany jakieś dziesięć minut później. Był w sali, w której skąpo ubrane dziewczęta wykonywały erotyczny taniec na scenie. Siedział w towarzystwie dwóch młodych mężczyzn i czterech pań. Pewnie któryś z panów nie potrafił się zdecydować. Możliwe też, że czwarty kompan gdzieś wyszedł, na przykład do toalety.

Nastia wyjęła z torebki telefon i zadzwoniła do Dziuby.

– Jest w drugiej sali – oznajmiła. – Tej z erotycznymi tańcami. Siedzi na końcu, trzeci stolik w lewym rogu, trzech facetów, cztery panienki.

– Rozumiem, znajdę – krótko odparł Roman.

Kamera na sali była zainstalowana w taki sposób, że stolik, przy którym Filip Oriechow miło spędzał czas, widać było dość wyraźnie, jednakże sam Filip siedział odwrócony plecami i jego twarz była widoczna tylko wtedy, gdy obracał się bokiem. Nastia z zaciekawieniem śledziła rozwój wydarzeń. Romek właśnie wchodzi na salę z wysoką szklanką w ręce, rozgląda się wokół niepewnie, z zainteresowaniem patrzy na półnagie dziewczęta na scenie, powoli zmierzając w stronę Oriechowa... Coś jednak poszło nie tak. Dziuba znieruchomiał, odwrócił się, zrobił parę kroków do tyłu i ukrył się za filarem, znikając

z zasięgu kamery.

Niemal od razu zadzwonił telefon Kamieńskiej.

– Widziałem go, gdy byłem w Oxygenie – szybko powiedział Roman. – Rozmawialiśmy. Pytałem go o dział Olgi Witort. Jeżeli mnie pozna, cała bajeczka na nic.

– Nie ruszaj się, muszę pomyśleć – odparła.

Z ciężkim westchnieniem wsunęła stopy w pantofle na obcasach i wstała z sofy, która okazała się nad wyraz wygodna.

– Będę musiała zostawić pana na parę minut, szanowny Robercie Arkadjewiczu. Ale wrócę.

– Coś się stało?

– Niewielka komplikacja. Zaraz to załatwię i będziemy dalej popijać sobie kawę. Można wejść z korytarza na tamtą salę? Czy tylko przez salę, przez którą się tutaj dostałam?

– Oczywiście, że można z korytarza. Na prawo i do końca, ostatnie drzwi.

Nastia wyszła na cichy, chłodny korytarz, dotarła do wskazanych drzwi, odtworzyła w pamięci obraz z kamery wideo: filar, za którym stoi Romek, powinien być z lewej strony, to jakieś pięć metrów, jeszcze dalej na lewo znajduje się stolik, przy którym siedzi Oriechow. Odległość między filarem a stolikiem jest zbyt duża, trzeba ją zmniejszyć, przede wszystkim z uwagi na głośną muzykę i gwar rozmów. Znowu zadzwoniła do Dziuby.

– Zaraz wejdę służbowym wejściem. Rozejrzyj się, znajdź drzwi i oceń odległość. Zanim do ciebie podejdem, musisz się znaleźć za plecami Oriechowa, stań jak najbliżej, żeby mógł nas usłyszeć.

– Zrozumiałem.

Pchnęła drzwi i znowu otoczyły ją zgiełk i ciemność, którą gwałtownie rozdzierały jaskrawe rozbłyśki różnokolorowych światła. Romek spisał się doskonale, uwzględnił zarówno odległość, jak i tempo jej marszu – spotkali się tuż za plecami Oriechowa.

– Po co się tutaj kręcisz? – Nastia zaczęła mu robić wymówki

nieprzyjemnym tonem. – Znowu wypatrujesz swojej panienki? Gdzie ci kazałam siedzieć?

Nie była pewna, czy Dziuba właściwie zrozumiał jej plan, więc na wszelki wypadek nie pozwalała mu się wtrącić, uznawszy, że sama powie, co trzeba.

– Miałeś stać przy drugim wyjściu i czekać, aż wrócę. Więc zasuwasz tam i czekaj. Dobrze, że sprawdziłam, jak wykonujesz moje polecenia. Jeszcze jedna wpadka i twój okres próbny się skończy. Będę jeszcze zajęta przez jakieś pół godziny. W tym czasie masz stać tam, gdzie powiedziałam, cholerny leszerze!

Gwałtownie się odwróciła i wyszła. Wszystko, czego wymagała asekuracja, zostało powiedziane. Jeżeli Filip przypomni sobie, że widział Romka w Oxygenie, gdzie tamten szukał Olgi Witort, chłopak ma teraz okazję udawać beznadziejnie zakochanego amanta, który prowadzi poszukiwania swojej księżniczki tam, gdzie ona może przebywać. Jeśli Filip będzie miał wątpliwości, zawsze można wymyślić bajeczkę o innej pracy i powiedzieć, że Roman jest ochroniarzem od niedawna – w tym celu niezbędna była wzmianka na temat okresu próbnego. Wyznaczone pół godziny pozwalało przerwać kontakt w żądanej chwili, w razie potrzeby można było przedłużyć albo skrócić wskazany czas. Do zawarcia znajomości służyła właściwie cała reszta, łącznie z paskudnym charakterem chlebowdawczyni, jej grubiaństwem i bezceremonialnością.

Nastia wróciła do pokoju Roberta Arkadjewicza, nalała sobie kawy z ładnego srebrnego dzbanka, wyposażonego w specjalną trójkątną łapkę, żeby się nie oparzyć o gorący metalowy uchwyt.

– Wszystko w porządku? – zapytał kierownik, wertując dokumenty na biurku. – Chce pani popatrzeć na salę czy woli posiedzieć na sofie?

– Pooglądam, jeśli pan pozwoli.

Robert Arkadjewicz w milczeniu zwolnił jej miejsce przy biurku, wziął jakąś teczkę i ulokował się w głębokim fotelu,

zakładając nogę na nogę i nieśpiesznie kołysząc stopą w eleganckim pantoflu z niesłychanie drogiej skóry. Nastia z ciekawością obserwowała rozmowę Oriechowa i Dziuby. Przez pewien czas Roman stał, później Filip zaprosił go do swojego stolika. Romek grał swoją rolę jak należy, nie zapominał popatrywać co dwie, trzy minuty na zegarek (jakżeby inaczej! Chlebowodawczyni obiecała, że skończy za pół godziny!), odmówił alkoholu, ale jedną z dziewcząt ochoczo podszczypywał, jak przystoi młodemu mężczyźnie spędzającemu czas w nocnym klubie.

Ciekawe, czy Filip go rozpoznał. Romek nie jest w ciemną bity, usiadł na samym skraju półokrągłej kanapy, zmuszając Oriechowa, żeby się przesunął i obrócił bokiem do kamery. Wprawdzie Dziuba siedział teraz plecami do kamery, ale to już nie ma znaczenia. Sądząc po jego gestykulacji, mówił coś na temat broni. Słusznie, o czym innym można rozmawiać z ochroniarzem? Filip wydawał się zainteresowany, nawet zadawał pytania.

Wreszcie Dziuba, po raz kolejny zerknąwszy na zegarek, stanowczo wstał od stołu. Zrobił pierwsze wrażenie, kontynuacja znajomości nie jest konieczna. Nastia też wstała.

– Bardzo panu dziękuję, Robercie Arkadjewiczu, ogromnie mi pan pomógł – podziękowała serdecznie. – Liczę na pańską dyskrecję.

– Ma się rozumieć. – Szef klubu szeroko się uśmiechnął, nie kryjąc ulgi, że dziwna wizyta na szczęście dobiegła końca. – W razie potrzeby służę pomocą. Wezwać Sagdiejewa?

– Oczywiście. – Nastia kiwnęła głową, ze wstrętem wkładając znowu szpilki. – Muszę wyjść tą samą drogą, którą przyszedłam, wszyscy powinni to widzieć. Pańska kelnerka już pewnie roztrąbiła na prawo i lewo, że zjawiłam się, by przekazać niezadowolony Kaznaczeja, więc nie będziemy psuć wrażenia.

Ruchliwy Sagdiejew zjawił się niemal w tej samej chwili, po czym nastąpił uroczysty przemarsz niemłodej damy w różowych

spodniach i w czarnym żakiecie przez całą salę w towarzystwie barczystego rudowłosego ochroniarza. Jeżeli Filip Oriechow się zainteresuje, zobaczy to, co usiłowano mu pokazać: ważny gość, najwyraźniej z kryminalnego światka, którego zaufany kierownika usłudze prowadzi najpierw do gabinetu szefa, a później do wyjścia. Nie ma w tym nic groźnego. A tym bardziej budzącego skojarzenie z policją.

Role zostały sumiennie odegrane aż do chwili odjazdu samochodu przed klub. Auto Antona natychmiast ruszyło w ślad za Kamieńską i Dziubą.

– I co ty na to? – zapytała Nastia, zatrzymując się parę przecznic dalej, żeby zmienić buty.

Anton też się zatrzymał i przesiadł do ich samochodu.

– Moim zdaniem, Anastazjo Pawłowno, to nie był najlepszy pomysł, żeby siadała pani za kierownicę – zauważył. – To... rodzi pytania, krótko mówiąc. Podważa wiarygodność.

– Możliwe – przyznała. – Ale nie mogę puścić Romka za kierownicę wozu Loszy. Co innego, gdybyśmy jechali moim. Auto należy do firmy, mam upoważnienie, dokumenty są w porządku. A z samochodem Loszki jest problem. Gdyby nas zatrzymano, mielibyśmy kupę nieprzyjemności. Mniejsza o mnie, w moim dowodzie stoi jak byk, że jestem żoną obywatela Czistiakowa, jakoś bym się wykręciła, choć nie wiadomo, czy szybko i skutecznie. No a po co Romkowi kłopoty? Dlatego na wszelki wypadek wspomniałam o okresie próbnym. Jeśli ktoś zacznie się zastanawiać, dlaczego ochroniarz nie siedzi za kierownicą, odpowiedź jest oczywista: jeszcze mu zbytnio nie ufam, za krótko pracuje. Poza tym jestem już starszą panią, mam prawo do kaprysów. No i co powiecie, jakie wynieśliście wrażenia?

Roman nie śpieszył się z odpowiedzią, siedział zamyślony i roztargniony, więc Anton odezwał się pierwszy.

– Gdy byliście w klubie, sprawdziłem Oriechowa w naszych bazach. Nic szczególnego nie znalazłem prócz pewnej ciekawej

rzeczy: dostał pozwolenie na zakup pistoletu gazowego. I nawet go użył, w dodatku dwukrotnie, jak przewiduje prawo. A więc kupił oficjalnie dwa pistolety.

– Kiedy? – szybko zapytała Nastia.

Anton się uśmiechnął.

– Pora świetnie pasuje, Anastazjo Pawłowno. Równo dwa miesiące przed zabójstwem policjanta w Permie.

– Ale po co? Po co zawraca sobie głowę zabójstwami ludzi, którzy nic złego mu nie zrobili? A teraz wylewa kubły pomyj na Własowa, którego ledwie zna... Wygląda na to, że chce zrobić Własowa, i to na dobre, zabijając ludzi, do których facet mógł mieć pretensje. Ale dlaczego? Nadal coś się nie zgadza, bo gdyby chciał w ten sposób rozprawić się z Własowem, podrzucałby dowody. Na przykład podsunałby mu broń... A na Własowa niczego nie ma. Absolutnie niczego. Czemu milczysz, Romek? Mów.

– No cóż... – nieśpiesznie zaczął Dziuba. – Oriechow mnie nie rozpoznał. Najpierw nie mogłem w to uwierzyć, słowo daję! Wszyscy mnie przecież zapamiętują, bo jestem rudy. Więc byłem święcie przekonany, że facet sobie przypomni! Ale nic z tego.

– Może ma problemy ze wzrokiem? – zasugerował Anton. – Nie zwróciłeś uwagi, czy mruży oczy?

– Chyba nie. Ale nie ma pamięci do twarzy, to pewne. Gdy siedzieliśmy przy stoliku, poprosił kelnera o whisky, a później przypominał dwóm innym kelnerom, którzy koło nas przechodzili, że wciąż czeka, że przecież złożył zamówienie! Kumple Oriechowa za każdym razem pękali ze śmiechu i mu tłumaczyli, że to nie ich kelner. A tak w ogóle chłopak jest sympatyczny i dobronny, bardzo mi współczuł, że mam taką chlebodawczynię... no wiecie jaką. Gdy tylko pani wyszła, od razu się do mnie odwrócił i zagadnął, zapytał, kim pani jest. Gdy mu powiedziałem, że jestem pani ochroniarzem, zaczął wypytywać o broń. Specjalnie wspomniałem o podziemnym

kasynie, że niby dawniej było gdzie pograć w karty, a teraz sprawy się skomplikowały – ale nie zareagował. Wcale. Nawet nie mrugnął okiem.

– A więc to wierutne kłamstwo, że jest szulerem karcianym – stwierdził Anton.

– No a co ja mówię? – Romek powoli się rozkręcał. – Później, gdy wziąłem dziewczynę na kolana, zażartowałem grubiańsko na temat higieny życia płciowego, i znowu żadnej reakcji. A zatem to nie jego tematy. Krótko mówiąc, to oczywiste, że Własow nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

– Oczywiście, oczywiście – mruknęła Nastia. – Ale warto by wiedzieć czemu. No dobrze, kochani, pora spać. Romek, możesz coś jeszcze dodać?

– Czy ja wiem? – Dziuba się zamyślił. – Właściwie jest jeszcze pewna rzecz... Filip Oriechow uważa, że normalni ludzie powinni być tacy jak on. Tylko kompletni debile są inni. Rozumiem, że wszyscy ludzie w większym lub mniejszym stopniu skupiają się wyłącznie na sobie i uważają, że mają patent na życie, ale u Oriechowa ta cecha... chyba dominuje. Nawet mu nie przejdzie przez myśl, że można mieć inne zdanie i chcieć czegoś innego, nie tego co on.

– A czego on chce? – z ciekawością zapytała Nastia.

– Fury pieniędzy i żeby nic nie robić, oddawać się tylko rozrywkom. Jachty, siedmiogwiazdkowe hotele, dziewczyny, alkohol, krótko mówiąc, cały asortyment prymitywnej dżentelmeńskiej filozofii. Żadnych rozmów o swoim biznesie, o tym, żeby zostać surowym szefem, dyrygować ludźmi, podejmować decyzje, zbijać forszę. Ta strona życia w ogóle go nie interesuje. W dodatku jest święcie przekonany, że każdy normalny człowiek powinien chcieć tego samego i myśleć w ten sam sposób.

– Ciekawe. – Anton skinął głową. – To wszystko? Czy jest coś jeszcze?

– No... – Dziuba zawahał się i zmieszał. – Właściwie jest, ale

nie wiem, czy to ważne...

– No mów, nie wstydź się – zachęcił go Staszys.

– Facet często powtarza: „I koniec!”, to jego ulubione powiedzenie. Na początku nie zwróciłem uwagi, każdy z nas ma swoje powiedzonka, więc to normalne... Ale później wsłuchałem się uważniej. Nawet nie wiem, jak to wytłumaczyć... W każdym razie wygląda na to, że facet nie spogląda w przyszłość. Ma tylko doraźny cel i uważa, że jeśli go osiągnie, to wystarczy. Problem się rozwiąże.

Nastia się zachmurzyła.

– Chyba nie do końca rozumiem. Możesz podać przykład?

– Zacytuję wam niemal dosłownie: „Gdybym miał forszę, życie mieniłoby się wszystkimi kolorami! Śnieżnobiały jacht na Morzu Śródziemnym, stada odjazdowych lasek, hektolitry whisky. I koniec! Życie nie umierać!”. Teraz rozumiecie?

– Teraz rozumiem. – Nastia się uśmiechnęła. – Facet jest zdania, że całe życie można spędzić na jachcie w otoczeniu dziewcząt i alkoholu. Tylko co będzie, gdy pieniądze się skończą, a dziewczyny się zestarzeją i utracą świeżość? A nuż mu się znudzi? A jeśli sam zacznie się starzeć i chorować? Nie, nasz mały Oriechow nie sięga myślą tak daleko, widzi tylko doraźny cel. I koniec! No to podsumujmy: teraz musimy się przespać, a rano zrobić parę rzeczy. Ty, Antonie, spotkasz się z Olgą Witort, żeby się dowiedzieć, czy Własow i Oriechow dobrze się znają i czy nie mieli jakichś zatargów. To po pierwsze. Teraz drugie: trzeba ustalić, gdzie był Oriechow, gdy zabito policjanta w Permie, Galinę Nosulenko i Michaiła Bołtjenkowa, a także podczas napadu na Gandzumiana. Jeżeli to, czego się dowiemy, zaspokoi naszą ciekawość, będziecie musieli iść, moi kochani, do śledczego. Nie obiecuję, że rozmowa okaże się miłą. To był trzeci punkt naszego obszernego programu. Teraz punkt czwarty: należy jak najszybciej zebrać informacje o spółce Fighter Trade, interesuje mnie przede wszystkim szef ochrony. A także charakterystyka



psychologiczna Oriechowa seniora, zwłaszcza jego relacje z synalkiem. I ostatnia rzecz: sprawdźcie wszystkie miejsca, gdzie można było przerobić pistolet. Pokazywaliście już tam zdjęcie Łamzina i nic nie wskóraliście, później zrobiliście to samo w odniesieniu do Własowa – i znowu nic. Trzeba będzie ruszyć po raz trzeci i sprawdzić Oriechowa. Nie macie mi za złe, że zaczęłam się rządzić?

– Wszystko w porządku, Anastazjo Pawłowno – odparł Anton.  
– Sam przecież poprosiłem o pomoc.

– No i jak? Pomogłam choć trochę? – zapytała z uśmiechem. – Zresztą na razie trudno ocenić. Jutro się okaże. A raczej już dzisiaj. Dosyć, pora do domu.

===

Anton zabrał Dziubę do siebie na noc. Właściwie nie na noc, tylko żeby spędzić żalną końcówkę nocy, bo już prawie świtało. Mieszkanie, w którym nie słychać było włączonego telewizora i dziecięcych głosów, wydawało się olbrzymie i puste. Zanim Ela zabrała dzieci do swojego domu za miastem, przygotowała Antonowi jedzenie na dwa dni, więc detektywi mogli zaspokoić głód.

– Wiesz co, Tocha? Poprośmy Kuźmicza o pomoc – zaproponował Romek, błyskawicznie uporawszy się z lyulya kebabem na talerzu. – Ma dobre układy z technikami, zrobią dla niego wszystko bez żadnych papierów, wystarczy butelka alkoholu. Pomógł nam przecież sprawdzić alibi Własowa, więc czemu nie spróbować jeszcze raz? Masz telefon Oriechowa?

– Na razie nie, ale to żaden problem, zdobędziemy. W sobotę będzie raczej ciężko, ale może Olga się przyda. Powinna znać numer jego komórki. Potrzebujemy przecież nie tamtego numeru, który oficjalnie kupił od operatora, ale tego, którym naprawdę się posługuje. A to może być zupełnie inny numer, chyba rozumiesz.

– Pewnie, że rozumiem. – Dziuba się zasepił. – Podrzucmy Kuźmiczowi jeszcze jeden numer, tego twojego chłopaka, brata dziewczyny, która zginęła w pożarze.

– Masz na myśli Żurichina?

– No tak! Musisz go przecież znaleźć, a nie chcesz się zwracać do tych, co się tym zajmują. Może z Kuźmiczem wypali?

– Romek! – Anton spojrzał na niego surowo. – Gdzie się tego nauczyłeś? Nieładnie jest oszukiwać starszych kolegów, a zwłaszcza szefów.

– Aha, wiem, jeszcze w dzieciństwie mama mnie przed tym ostrzegała. – Romek się roześmiał. – A później, już w Akademii, nauczono mnie, że bez kłamstwa nie da się rozwiązać żadnej sprawy. Taka praca. Po co o tym wszystkim mówię? Jeśli przekonasz Kuźmicza i wciśniesz mu oba numery, pomogę ci z Żurichinem. Szybko i gładko, nikt się nie dowie. Weźmiesz go w obroty, a później oddasz swojej grupie, która pracuje nad sprawą Jefimowej. Gdy będziesz miał przyznanie się do winy, nikt już tego nie zakwestionuje. Można nawet poczekać do wtorku, aż ten kierowca się zjawi, zdjęć go po cichu, pokazać mu zeznania Żurichina, co wtedy zrobi? No i przekazać od razu dwóch. Wtedy nie będzie wyjścia, nikt nawet nie piśnie.

– Marzyciel z ciebie, Romek. – Anton westchnął. – Chodźmy spać, wrócimy do tego rano.

Pościelił Dziubie w pokoju dziecięcym na kanapie, na której spała Ela, gdy zostawała na noc. Dał mu czyste ręczniki i usiadł w pokoju, czekając, aż zwolni łazienkę. Litościwa Ela często zabierała dzieci do siebie za miasto nie tylko ze względu na świeże, czyste powietrze, ale też po to, żeby Anton mógł spędzić noc z Lizą. Teraz to już niepotrzebne...

Kiedy był u Lizy? Wczoraj? Przedwczoraj? A może dzisiaj? Wydaje mu się, że minęły wieki... Może nie powinien tak nagle zrywać znajomości? Zadał cios w plecy bez uprzedzenia. Za co? Liza to miła osóbką, mądra i przyzwoita. Owszem, dzieci za nią nie przepadają, a on nie darzy jej uczuciem, które sprawia, że

chciałoby się spędzić życie razem, ale czy to powód, żeby postępować tak bezceremonialnie? Liza na to nie zasłużyła. To nie jej wina, że fascynacja Antona minęła, a miłość się nie pojawiła. Z drugiej strony, długie pożegnania są jeszcze bardziej bolesne.

Anton przyniósł z kuchni szklanki, wyjął ledwie napoczętą butelkę koniaku, nalał trochę i wypił duszkiem. Z łazienki przyczłapał Dziuba, zaróżowiony po gorącym prysznicu i owinięty w pasie dużym ręcznikiem kąpielowym.

– Wypijesz? – zaproponował Anton.

– Pewnie. – Romek kiwnął głową. – Tylko niedużo, bo mi uderzy do głowy. Zaniósłeś biegłym pudełko po nożu?

– Zaniósłem, prosiłem, żeby obejrzeliby szybko i po cichu. Na tamtym nożu, którym zabito Jefimową, nie było odcisków palców, ale znalazły się ślady substancji potowo-tłuszczowej. Jeżeli na pudełku obok śladów Makłyginów będą też ślady ich zięcia Szokina i jego kumpla Żurichina, to nic nie da, bo obaj brali udział w pakowaniu rzeczy podczas przeprowadzki. Ale jeśli tych śladów nie będzie, wtedy zacznę wątpić w winę tej pary. Ślady substancji potowo-tłuszczowej na nożu są jednak obiecujące.

– To znaczy?

– Grupa krwi B Rh minus. Rzadko spotykane połączenie. Więc jeśli Szokin albo Żurichin ma taką grupę krwi, można dalej dążyć. Ale byłoby oczywiście lepiej, gdyby przyznali się do winy. To dałoby większą pewność. Nalać ci jeszcze?

– Tylko trochę – znowu poprosił Dziuba. – Jeśli chodzi o przyznanie się do winy, pomyślałem o czymś jeszcze, Tocha... Jak wcisnąć Bagłajewowi zabójstwo Nosulenka? Sprawca siedzi w więzieniu, sprawę uznano za rozwiązaną, więc jeśli podniesiemy raban, nikt nas nie zrozumie. Wybuchnie skandal. Polecą głowy. Ale milczeć też nie możemy, w końcu siedzi niewinny człowiek, trzeba go wypuścić.

Anton wypił, przymrużył oczy, potrząsnął głową.

– Po pierwsze, jeszcze nie wiemy na pewno, czy jest niewinny. Możemy tylko przypuszczać, w jaki sposób wymuszono na nim przyznanie do winy.

– Ale kula pochodzi przecież z przerobionego pistoletu gazowego.

– I co z tego? Czy na świecie jest tylko jeden człowiek, który zabija ludzi z takiej broni? To może być czysty zbieg okoliczności, jak w przypadku Jefimowej.

– A nie za dużo tych zbiegów okoliczności w jednej sprawie? – odparował Romek.

– Za dużo – przyznał Anton. – Ale w życiu różnie bywa, możesz mi wierzyć. Po drugie, wywiadowcy, którzy zajmowali się tym przyjezdnym z Azji Środkowej, nie są dyletantami, więc nie oddadzą niewinnej owieczki na rzeź. Ich głowy są dla nich cenniejsze, jeśli oczywiście nie są draniami mającymi w nosie prawo. Rozumiałbym jeszcze, gdyby sprawa była głośna, media trąbią, zwierzchnictwo co dwie godziny domaga się raportu. Wtedy oczywiście każdy sposób dobry, żeby rozwiązać sprawę i złożyć raport. W tej sytuacji można było z głupoty albo ze strachu przed zwierzchnikiem zrzucić wszystko na niewinną osobę. A tutaj co mamy? Masażystka z salonu SPA. Po co chłopcom kłopoty? Raczej mieli jakiegoś figuranta, którego przyłapali na gorącym uczynku na przykład podczas rozboju albo gwałtu, zaczęli go przyciskać i okazało się, że popełnił też parę zabójstw, więc dożywotnia kara więzienia go nie minie. No i się dogadali: on się przyzna do zabójstwa Nosulenko, a za to na przykład jego rodzina, która mieszka pod Moskwą, nie zostanie deportowana i będzie mogła sobie dalej żyć. Normalny układ.

– A jeśli to jednak dranie lekceważący prawo? Tak czy siak, skandal jest pewny, Tocha. Tymczasem nikt nie lubi skandali. Więc Bagłajew wdepcze nas w ziemię za Nosulenko. Nie będzie słuchał żadnych argumentów.

– Bagłajew ma najgorzej, Roman, musimy to zrozumieć. Nalać

jeszcze?

– Nie, już wystarczy – zdecydowanie odmówił Dziuba.

– A ja sobie jeszcze łyknę. – Anton znowu kapnął alkoholu do szklanki. – Musimy go przekonać, że zamknął niewinnego człowieka. A on będzie musiał przyznać nam rację i tak to wszystko obrócić, żeby nie stracić twarzy. W tym momencie podsuwamy mu informację, że jest jeszcze zabójstwo Nosulenko, więc trzeba wyciągnąć akta z archiwum, wznowić sprawę i połączyć postępowania, plus sprawa Gandzumiana, no i trzeba też zwrócić się o akta z Permu. Z Gandzumianem i policjantem z Permu nie ma problemu, ale o sprawie Nosulenko będzie musiał zameldować kierownictwu Komitetu Śledczego. Pomyśl, ilu wrogów sobie przysporzy, jeśli będzie naciskał na sfałszowanie materiałów sprawy karnej. Czy to mu jest potrzebne?

– Nie jest. – Roman sennie kiwnął głową. Ze zmęczenia i w wyniku wypitego alkoholu zamykały mu się oczy. – Więc co zrobimy?

– Nie wiem. – Anton wzruszył ramionami. – Mam pewien pomysł, ale raczej kiepski. Można sprawdzić tego gościa, którego wsadzono za Nosulenko. Jeśli się okaże, że udowodniono mu kupę ciężkich przestępstw, to do diabła z nim, niech siedzi. Wtedy zapomnimy o historii z Nosulenko. Zostawimy tylko policjanta, Bołtienkowa i Gandzumiana. Ale jeżeli zdołamy udowodnić, że wszystkie trzy zabójstwa to robota tego samego człowieka, co za różnica, czy będzie siedział za trzy, czy za cztery ciężkie przestępstwa – i tak dostanie dożywocie. Już teraz musimy podjąć decyzję, żeby stanąć przed śledczym w zwartym szeregu. Ale przedtem musimy jeszcze przemówić do rozumu Uljancewowi, bo chce zrzucić zabójstwo Bołtienkowa na Łamzina, żeby poprawić sprawozdawczość, toteż nie spodobają mu się nasze wywody.

– Wygląda to rzeczywiście kiepsko – przyznał Dziuba. – Za to pojawia się coś, czym możemy pohandlować. Jeśli przydusimy

Oriechowa, zarzucając mu zabójstwa, a dowody dla śledczego będą słabe, usuniemy historię Nosulenko w zamian za przyznanie się do pozostałych zabójstw.

– Nie, to nie przejdzie. – Anton pokręcił głową. – Oriechow ma bogatego tatusia, więc adwokat będzie znał się na rzeczy i szybko wyjaśni swojemu klientowi, że to nie wpłynie na wymiar kary. Będziemy więc mieli tylko poszlaki i żadnego dowodu, nic nie zrobimy Oriechowowi. Nawiasem mówiąc, Bağlajew też to rozumie. Poślizgnął się na Łamzinie, drugi raz nie pójdzie na coś takiego. No dobrze, spróbujmy się przespać, jutro mamy dużo pracy.

Dziuba nie oponował i już chwilę później z pokoju dziecięcego dobiegało miarowe, głośne sapanie. Anton był pewien, że nie zaśnie, ale wbrew swoim obawom dość szybko zapadł w sen.

===

W żadnym oknie nie paliło się światło, więc gdy Nastia weszła do domu, w środku panowała zupełna cisza. Włączyła lampę przy drzwiach, żeby znaleźć kapcie, nieopatrznie rzuciła na podłogę reklamówkę z pantoflami i metalowe fleki nawet przez folię dźwięcznie uderzyły o kamienne płytki, którymi wyłożono podłogę w przedpokoju. Cały parter z wyjątkiem kuchni i łazienki stanowił otwartą przestrzeń – hol płynnie przechodził w salon, salon w jadalnię, między jadalnią a kuchnią były rozsuwane drzwi, których Nastia nigdy nie zamykała.

Z salonu dobiegło ją stęknienie połączone ze skrzypieniem skórzanej kanapy.

– To ty, Aśka? Zapal światło, bo nic nie widzę – rozległ się głos Czistiakowa. – Zdrzemnąłem się, czekając na ciebie.

Nastia pstryknęła wszystkimi wyłącznikami, wsunęła kapcie, po czym podeszła do męża, przysiadła obok i przytuliła się do jego ramienia.

– Myślałam, że śpisz w wygodnym łóżku w sypialni, jak

przystało na przyzwoitego uczonego – zażartowała ze skruchą.

– Nie, jak przystało na przyzwoitego męża, czekam na żonę, która pracuje po nocach. – Aleksiej się uśmiechnął. – No i jak? Wyprawa się udała?

– Uhm – mruknęła Nastia, z ulgą przymykając oczy.

Przy Loszy zawsze ogarniała ją dziwna błogość i spokój.

– Chłopcy śpią? – zapytała.

– Obaj, i to jak zabici. Pietka nawet nie poszedł do domu. Wykończyłaś ich, despotko. Jutro też pewnie znajdziesz im coś do roboty?

– Jeśli chodzi o chłopców, to jeszcze nie wiem, ale sama chyba będę miała trochę zajęć.

– No to jazda do łóżka – zarządził Aleksiej.

– Nie chcę! – Nastia jeszcze mocniej przywarła do męża. – A może napijemy się herbaty na tarasie, Losza? Noc jest ciepła, powietrze pachnące i rześkie, w ogóle nie chce mi się spać.

Czistiakow lekko odsunął ją od siebie, uważnie spojrzał w oczy, po czym uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Dobrze. Idź się przebrać, zdejmij ten starczy strój, a ja tymczasem zaparzę herbatę. Jaką? Czarną czy zieloną?

– Jakaś smaczną, może kwiatowo-jagodową – poprosiła. – I przestań krytykować mój strój, bo jest, nawiasem mówiąc, modny i elegancki.

– Ale wyglądasz w nim okropnie! – Losza się roześmiał. – Jak złośliwa stara jędza. Znasz powiedzenie, że bycie dziadkiem to nic strasznego, ale spanie z babcią to koszmar? No a ja, jak każdy normalny facet, chciałbym myśleć, że mam piękną i młodą żonę.

Nastia wspięła się po cichu na górę, przebrała i zeszła na taras, gdzie na stole stał już duży porcelanowy dzbanek i filiżanki. Chwilę później zjawił się Czistiakow, niosąc w jednej ręce miseczkę z sucharkami, a w drugiej talerz z cienko nakrojonym serem.

– Nawet nocne picie herbaty powinno mieć ładną oprawę –

rzekł, nalewając czerwonałą aromatyczną herbatę kwiatową. – A wiesz, Aśka, że po przejściu na emeryturę bardzo się zmieniłaś?

– Ja? – zdumiała się. – Skąd ci to przyszło do głowy? Jestem taka jak przedtem.

– Nic podobnego. Po pierwsze, póki pracowałaś, przez cały czas byłaś senna, poranne wstawanie na dzwonek budzika było dla ciebie prawdziwą torturą, przecież pamiętam. A teraz zaraz będzie świtać, a ty w ogóle nie myślisz o spaniu.

– I co to oznacza?

– Że się starzejesz, moja kochana. – Aleksiej się roześmiał. – To sprawa lat, nie ma na to rady. Początki bezsenności starczej.

– A niech cię! – odparła zniesmaczona Nastia. – Udało ci się popsuć mi humor. A co po drugie? Bo jeśli jest równie wstrętne, nie waź się mówić!

– Ależ, Asieńko, dlaczego wstrętne? Zjedz trochę sera, zawiera wapno, które jest niezbędne dla starzejących się kobiet, żeby nie zachorowały na osteoporozę – powiedział z kpina Czystiakow. – A bezsenność jest przecież wspianiała! Masz pojęcie, ile zyskuje się dodatkowego czasu? Między innymi na pracę. Cierpiący na bezsenność mogą przeczytać nieprzeczytane dotąd książki i obejrzeć wszystkie filmy, których nie udało im się zobaczyć. Ale to tylko jedna strona medalu, jak słusznie zauważyłaś. Druga jest związana z tym, że przestałaś się przejmować każdym głupstwem, mało tego, teraz nie martwisz się nawet z poważnych powodów. Wciąż jesteś w dobrym humorze i się uśmiechasz. Nie zauważyłaś?

Nastia ze zdziwieniem popatrzyła na męża.

– Mówisz serio? Naprawdę przez cały czas nie schodzi mi z twarzy głupkowaty uśmieszek? To okropne!

– To nie jest głupkowaty uśmieszek – pośpiesznie zapewnił ją Aleksiej. – Po prostu się uśmiechasz. Nawiasem mówiąc, bardzo ładnie.

– Jeśli dodasz jeszcze, że zaczęłam też gotować, to cię uduszę



– obiecała Nastia.

– O nie, nie jestem aż tak obłudny! Przecież wiem, że twoje wyczyny w kuchni podyktowane są jedynie obowiązkiem wobec rodziny i nie sprawiają ci żadnej przyjemności.

Nastia dołała sobie herbaty.

– A wiesz, Loszyk, że chyba masz rację – powiedziała w zamyśleniu. – Rzeczywiście przestałam się martwić i tracić nerwy na każdym kroku, jak mi się zdarzało w młodości. Pewnie osiągnęłam już wiek, gdy człowiek zaczyna rozumieć, z jakiego powodu należy się denerwować i martwić, a z jakiego nie warto.

– No dobrze, pójdę twoim tokiem myślenia i przyznam, że to nie sprawa wieku, ale stanu umysłu. Mam rację, bo jestem mężem, a mężowie zawsze mają rację.

– A te zmiany... nie podobają ci się? – ostrożnie zapytała Nastia. – Coś cię teraz we mnie drażni?

Aleksiej wsunął do ust garść sucharków i zaczął je chrupać.

– Kocham cię już tyle lat, Aśka, że szczerze mówiąc, nie ma znaczenia, jaka jesteś.

– Przyzwyczaiłeś się?

– Uhm. Zrosłem się z tobą. Więc możesz śmiało się zmieniać, to nie wpłynie na mój stosunek do ciebie. Tylko nie sprawiaj sobie kochanka, bo tego już nie zniosę.

– No proszę. – Zabawnie zmarszczyła nos. – Już się zaczęły warunki i ograniczenia.

– A co myślałaś? – Losza wymownie rozłożył ręce. – Warunki i ograniczenia to niezbędne elementy każdej negocjacji. À propos warunków i ograniczeń. Zdajesz sobie sprawę, że to, w co wciągnęłaś chłopców, jest nielegalne? A jeśli wpadną?

– Nie wpadną – niefrasobliwie odparła Nastia. – Sania jest przecież profesjonalistą, był hakerem, zanim nauczył się tabliczki mnożenia. A Petruccio jest jeszcze lepszy od Sańki. Jak to oni mówią, prawdziwy mocarz z niego. A zresztą kto miałby ich śledzić? Gdyby wdarli się do baz Pentagonu albo do

jakiegoś potężnego banku, wtedy wiadomo, zaczęto by ich szukać. A tak... Wielka mi rzecz, wchodzi na prywatne czaty. Nikt nawet nie zauważy. No a to, co robi Dziuba, korzystając z mojego laptopa, jest całkowicie legalne, chłopak nigdzie się nie włamuje, tylko szuka w dostępnej przestrzeni. Ale po mistrzowsku! Docień go, Czistiakow!

– To kolejna zmiana w twoim sposobie myślenia – zauważył. – Dawniej starałaś się nie łamać prawa, bardzo się przejmowałaś z tego powodu.

– Teraz też się staram. – Nastia spojrzała na męża tak niewinnie, jak tylko potrafiła. – Uwierz mi, Losza, że naprawdę się staram. Ale muszę przyznać, że w ciągu ostatnich lat moja wyostrzona świadomość prawna rzadziej dochodzi do głosu. Gdy wciąż widzę, że wszyscy mają w nosie prawo i nikt się nie wysila, żeby je przestrzegać, mimo woli tracę szacunek do takich pojęć jak praworządność i sprawiedliwość. Sam zobacz: niewinny człowiek został zatrzymany i osadzony w areszcie. Żeby udowodnić, że jest niewinny, trzeba znaleźć prawdziwego przestępcę. Żeby go znaleźć i wpłynąć na śledczego, należy zdobyć mnóstwo informacji. Potrzeba mnóstwa dokumentów, podpisów, pozwoleń i uzgodnień. No a niewinny wciąż siedzi... I nie jest mu lekko. Nie chcę przez to powiedzieć, że cel uświęca środki. Podaję ci tylko przykład sytuacji, w której moja świadomość prawna zapada w sen i smacznie śpi. Nie proszę, żebyś przyznał mi rację, Losza. Sama wiem, że jej nie mam. Chcę tylko, żebyś mnie zrozumiał.

– Rozumiem. A co powiesz na to, żebyśmy się przespali? W objęciach ze świadomością prawną? – kpiąco zapytał Aleksiej. – Niebo zaczyna się już rozjaśniać. Zrobiło się też zimno.

– Dobrze – przytaknęła Nastia. – Kładź się, ja jeszcze trochę porozmyślam.

– Trochę, to znaczy jak długo? Ze dwie godziny?

– Mniej więcej. Pomyślę, później przygotuję coś do jedzenia

i pojedę na strzelnicę. Jest czynna od siódmej, rano mało kto tam bywa.

– W ogóle nie zamierzasz spać?

– Naprawdę mi się nie chce, Losza.

– No dobrze, wiesz lepiej, jesteś już dużą dziewczynką. – Czistiakow westchnął. – W takim razie posprzątaj tutaj, a ja się położę. Jeszcze nie cierpię na bezsenność starczą.

– Nie starczą, tylko związaną z wiekiem! – zaproponowała Nastia i boleśnie uszczypnęła męża w rękę.

Czistiakow poszedł się położyć, a Nastia przyniosła z domu ciepły pled, owinęła się nim i usiadła na huśtawce w sadzie.

Loszka ma rację, myślała, kołysząc się miarowo w takt skrzypienia łańcuchów. Naprawdę się zmieniłam. Dawniej za nic nie zmarnowałamby okazji, żeby się przespać parę godzin, a teraz mi się nie chce. Z dziesięć lat temu wydrapałabym oczy każdemu, kto ośmieliłby się twierdzić, że mój krewny łamie prawo, a ja patrzę na to przez palce.

Patrzyła na jaśniejące niebo, słuchała ożywionego ptasiego gwaru i rozmyślała o Władimirze Własowie i Filipie Oriechowie. Informacji jest niby sporo. Ale z jakiegoś powodu nie tworzą spójnego obrazu.

O piątej rano Anastazja Kamieńska weszła do domu i stanęła przy kuchence, o szóstej wypita dwa kubki mocnej kawy z cukrem i ze śmietanką, o szóstej dwadzieścia pięć weszła na górę do sypialni, po cichu się przebrała, później zeszła na dół, napisała długą wiadomość, której jedna część była skierowana do męża, a druga do bratanka i jego przyjaciela, po czym pojechała na strzelnicę.

===

Dziuba obudził się pierwszy, więc kiedy Anton otworzył oczy, Roman już siedział przy komputerze i z zapalem czegoś szukał.

– Zjedzmy coś, Tocha – poprosił, nie odrywając oczu od

ekranu. – Zmęczyło mnie czekanie, aż się obudzisz.

– Mogłeś sobie coś wziąć – zdziwił się Anton. – W lodówce jest pełno jedzenia. Ręce by ci odpadły?

– Oczywiście, że tak. Nie należy się szarogęsić w cudzym domu. Zobacz, co znalazłem: szefem służby ochrony w spółce Wadima Oriechowa jest niejaki Wąsikow, w przeszłości funkcjonariusz OBEP-u[23], a przedtem – BCHSS[24], pułkownik na emeryturze.

– Jasne. – Anton kiwnął głową, w jednej chwili strząsając z powiek resztki snu. – Coś jeszcze?

– Zajrzałem też na oficjalną stronę spółki Fighter Trade i znalazłem listę działów z wyszczególnieniem nazwisk szefów, zastępców i starszych menadżerów. W dziale Oriechowa pracuje starszy menadżer, który się nazywa Chimin. Pamiętasz, parę razy natknęliśmy się na to nazwisko w prywatnej korespondencji Oriechowa?

– Nie pamiętam – przyznał Anton. – Jesteś pewien?

– Ależ oczywiście! – niecierpliwie zawołał Roman. – Chłopak napisał raz do kogoś, że Chimin zawracał mu głowę bzdurami, innym razem też coś podobnego. Z tego wniosek, że w pracy Filip kontaktuje się najczęściej z Chiminem. Już sprawdziłem go w naszej bazie i w ewidencjach, to przyzwoity facet, nie był w nic zamieszany, mam też jego adres. I telefon, rzecz jasna. Posłuchaj: jeśli dasz radę spotkać się dzisiaj z Olgą Witort, a ja złapię Chimina, będziemy mogli podejść do problemu z dwóch stron. Jeżeli podłożem konfliktu Oriechowa z Własowem jest praca, któraś z tych dwóch osób na pewno się orientuje. Jak nie jedna, to druga. Można też spróbować porozmawiać o relacjach Filipa z ojcem. Potrzebujemy wszystkich numerów telefonów Oriechowa? No właśnie. Chimin może je znać, Olga raczej nie, najwyżej jego oficjalny numer.

– W sumie masz rację – przyznał Anton. – Chodźmy na śniadanie, później rozpoczniemy polowanie na świadków.

Z Chiminem się udało, Roman dodzwonił się już za pierwszym

razem. Co prawda menadżer nie był zachwycony perspektywą spędzenia wolnej soboty na rozmowie z funkcjonariuszem policji, nie wymigiwał się jednak, poprosił tylko, żeby spotkanie odbyło się niedaleko jego mieszkania.

Tymczasem Olgi Witort nie można było złapać. Najpierw nie odbierała telefonu w domu, a później, gdy Anton dzwonił do niej na komórkę, wciąż słyszał komunikat, że „abonent jest chwilowo niedostępny lub poza zasięgiem”.

– Obiecałem dzieciom, że pójdę z nimi na lody, Romek – powiedział ubierając się. – Prawie w ogóle ich nie widuję. Weź na celownik Chimina, a ja pojedę do Eli, zabiorę dzieci przynajmniej do lodziarni, skoro i tak nie wiadomo, gdzie się podziewa Olga Witort. Najważniejsze, żebyśmy poznali wszystkie lewe telefony Oriechowa. Wtedy będę miał z czym paść na kolana przed Kuźmiczem.

Odwiózł Dziubę do metra i ruszył w stronę wyjazdu z miasta. Chętnych, by spędzić majowy sobotni poranek na łonie natury albo w domku letniskowym, okazało się sporo, więc szosa była niemiłosiernie zatłoczona i droga do domu, gdzie mieszkała Elwira, zajęła sporo czasu. Antonowi ścisnęło się serce, gdy zobaczył Stiopkę i Wasylisę siedzących na schodach i z napięciem wpatrujących się w przejeżdżające samochody. Obiecał, więc dzieci mu wierzą. Nie chcą przyjąć do wiadomości, że ojciec ma pracę, w której nie jest panem ani własnego czasu, ani samego siebie. Tata obiecał i koniec. Choćby się waliło i paliło, dotrzyma obietnicy.

Gdy wysiadł z samochodu, dzieci ruszyły pędem ku niemu przez zielony trawnik. W tej samej chwili zadzwonił telefon.

– Olga Witort – rozległ się w słuchawce bezbarwny, opanowany głos, pozbawiony jakichkolwiek emocji. – Próbował się pan ze mną skontaktować parę razy. W czym mogę pomóc?

– Nazywam się Staszys, jestem z policji, z wydziału kryminalnego. Muszę z panią porozmawiać.

– W takim razie słucham.

– Nie przez telefon. Musimy się spotkać.

I znowu spokojna odpowiedź, udzielona bez najmniejszej zwłoki:

– Dobrze. Czy chodzi znowu o obrazy i Wołodię Własowa? Pamiętam, że to pana interesowało. Mam gdzieś przyjechać?

Anton się zmieszał. Okazało się, że nie był gotów na tak proste pytanie, bo gdy rano nie dodzwonił się do Olgi, już się przestawił na sobotę z dziećmi. Nie powinien jednak odkładać spotkania.

– Jestem teraz za miastem – zaczął niepewnie. – Spędzę tutaj jeszcze ze trzy godziny...

– Ale sprawa jest pilna? – wciąż tak samo spokojnie i rzeczowo zainteresowała się Witort. – Czy może poczekać do wieczora?

– Jest pilna.

– Więc proszę podać adres, przyjadę.

– Zna pani park rozrywki dla dzieci Kubuś Puchatek? To piętnasty kilometr...

– Znam. – Sądząc po głosie, rozmówczyni Antona się uśmiechnęła. – Jak będę na miejscu, to do pana zadzwonię. Za jakąś godzinę.

– Jest duży ruch – uprzedził Anton.

– A więc za półtorej.

Krótko i bez zbędnych słów. Witort to rzeczywiście twarda sztuka. Lara Croft, żeby ją licho porwało.

Dzieci stały nieco z boku, z napięciem i ze strachem wpatrując się w twarz ojca, łowiąc każde jego słowo. Bardzo dobrze wiedziały, czym najczęściej kończą się takie rozmowy, zwłaszcza jeśli ktoś dzwonił akurat w chwili, gdy się gdzieś razem wybierali.

– Nie idziemy na lody? – z rezygnacją ni to zapytała, ni to wywnioskowała Wasylisa.

– Niby czemu? – Anton chwycił Stiopkę na rękę. – Idziemy, rzecz jasna, tylko najpierw trochę odpocznę.

– A z kim się umawiałeś? – uparcie dopytywała się Wasia. –

Kto ma pilną sprawę?

– Ja. – Anton się uśmiechnął. – Ale pewna ciocia będzie tak miła, że przyjedzie i pomoże mi ją rozwiązać.

– Jest ładna? – z zazdrością zapytała dziewczynka.

Anton wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, nigdy jej nie widziałem. A czemu cię to interesuje? – zapytał z kpina. – Nie zamierzam się z nią ożenić, chcę tylko porozmawiać. Chodźmy do domu, muszę się przywitać z Elą.

W mieszkaniu pachniało smakowicie czymś słodkim – Ela dawała Wasylisie kolejną lekcję gospodarstwa domowego, której tematem był chyba deser.

– Spróbuje pan, Antonie? – wesoło zaproponowała, stawiając przed nim pucharek.

Anton wsunął do ust pełną łyżkę, nie zdążył jednak jeszcze niczego przełknąć, gdy znowu zadzwonił telefon. Dziuba.

– Mam telefony Oriechowa – powiedział szybko. – Weź kartkę i zapisz, jest ich sporo, zmieniał je prawie co trzy miesiące.

No proszę, pomyślał Anton, patrząc na zapisaną ołówkiem kartkę. Zaraz dodam jeszcze parę numerów. I zadzwonię do Kuźmicza. To będzie ostatnia rzecz, którą zrobię w swoim krótkim życiu. Bo Siergiej Kuźmicz mi nie daruje.

– Stiopka, przynieś tutaj iPada – zażądał.

Chłopczyk próbował oponować. Oglądał kreskówkę na tablecie i przerwa nie mieściła się w jego planach, ale ku zdziwieniu Antona, do sprawy włączyła się Wasylisa.

– Natychmiast oddaj tacie iPada, Stiopka – poleciła surowo. – Nie widzisz, że potrzebuje go do pracy? A ty kaprysisz. Jesteś już duży, powinieneś rozumieć takie rzeczy.

Anastazja Pawłowna ma jednak rację, pomyślał Anton. Waśka jest o wiele dojrzała, niż sądziłem.

Gdy syn podał mu tablet, wszedł na swoją pocztę i napisał długi list składający się z samych numerów telefonów. Telefony Filipa Oriechowa. Telefon Jurija Szokina. Telefon Igora

Żurichina. Obok każdego numeru podał zakres czasu, który go interesował. W przypadku Oriechowa w grę wchodziły cztery takie zakresy – odpowiadały liczbie zabójstw, o które był podejrzany. W przypadku Szokina i Żurichina dwa: chodziło o czas zabójstwa Inny Wiktorowny Jefimowej i tamten wieczór, gdy ktoś „surowo i po dobroci” przestrzegł Antona na klatce schodowej. Nie opowiadał nikomu o tym dziwnym wypadku i miał wielką nadzieję, że Kuźmicz niczego nie zauważy.

Jeszcze raz sprawdził każdą cyfrę w liście, porównując ze swoimi notatkami, zachował list w folderze Robocze, przeżegnał się w myślach i zadzwonił do podpułkownika Zarubina. Znak krzyża nie pomógł, a raczej pomógł, ale nie do końca, bo przez pierwszych kilka minut Anton musiał wysłuchać od Zarubina mnóstwo sugestywnych uwag pod swoim adresem. Dobrze, że nie były nowe i nie stanowiły dla niego żadnej niespodzianki.

Najważniejszą rzeczą było zmuszenie Kuźmicza do wypowiedzenia bezcennych słów:

– Dobra, wyślij, tylko się nie rozłączaj, najpierw zobaczę, co tam masz.

Anton wcisnął przycisk „Wyślij”. Siergiej Kuźmicz z niezadowoleniem sapał do słuchawki, klikał myszką i chyba popijał coś z kubka.

– No? – zapytał surowo. – Gdzie twój mail?

– Zaraz, Kuźmicz, zaczekaj jeszcze chwilę, zaraz dojdzie.

– A ty gdzie teraz jesteś?

– Z dziećmi – wyznał Anton.

– To akurat słyszę, nie jestem głuchy – ze śmiechem zauważył Zarubin. – A gdzie konkretnie?

– U Eli, za miastem.

– Pewnie ładnie tam? – z rozmarzeniem zapytał podpułkownik.

– Ładnie. Dużo zieleni i ptaszki śpiewają.

– O! Jest mail. No to zobaczmy, w jakie szambo chcesz mnie wpakować tym razem... – wymamrotał Siergiej Kuźmicz. – Tak,



to tutaj rozumiem, występy gościnne na Syberii... A przy okazji, sprawdziłeś loty?

– Jeszcze nie, nie zdążyłem. Dziuba obiecał, że dzisiaj to zrobi.

– A czemu nie zrobił do tej pory? Niedługo południe, a ty mi serwujesz same obiecanki – z niezadowoleniem zauważył Zarubin.

– Szukał numerów telefonów. Właśnie tych – pośpiesznie wyjaśnił Anton.

– Aha, no to w porządku. Jedziemy dalej... A to kto?

– Masażystka.

– Ach tak... Ale chyba mówiłeś, że znaleziono już sprawcę?

– Mówiłem – przytaknął Anton. – Trzeba jednak sprawdzić.

– Dobra. Tak... Tego znam... To też jasne... A tutaj co mamy?

Wyglądało na to, że Siergiej Kuźmicz dotarł do telefonu Jurija Szokina.

– Jefimowa.

– Jefimowa? Po jakie лихо... – zachnął się Zarubin, ale Anton mu przerwał:

– Później wszystko wyjaśnię, Kuźmicz. Teraz proszę tylko, żebyś mi pomógł.

– W sprawie Jefimowej masz dostęp do takich sił i sprzętu, że mógłbyś wyjaśnić światowy spisek szpiegowski, a ty mnie obarczasz robotą. – Podpułkownik nie przestawał go strofować.

– Próbujesz mnie ograć?

– Słuchaj! – Anton nagle się uniósł. – Czy choć raz cię oszukałem? Albo wystawiłem? Przecież ci powiedziałem, że wszystko wyjaśnię, ale nie przez telefon! Możesz mi zaufać?

– Nie ma sprawy. – Zarubin niespodziewanie odzyskał humor.

– Dobra, to Jefimowa, tutaj też chyba ona, dwa numery. A to co takiego? Numery są te same, a do czego odnosi się czas?

Była to akurat rzecz, którą Anton próbował ukryć przed Zarubinem: czas napaści na klatce schodowej. Mógł właściwie powiedzieć o tym podpułkownikowi, ale nie teraz, gdy obok są dzieci. Zwłaszcza Waśka ze swoją chęcią, by wszystko słyszeć

i kontrolować.

- Potrzebne – odparł wymijająco. – Mam pewien pomysł.
- Sensowny? – zapytał Siergiej Kuźmicz.
- Diabli wiedzą. Ale warto sprawdzić.
- Dobra. Numerów jest dużo, miejsc też, więc będzie cię to kosztować... Chyba rozumiesz – uprzedził podpułkownik.
- Rozumiem, wszystko załatwię jak należy – z ulgą obiecał Anton.

Odłożył telefon na stół, zwrócił Stioyce iPada, po czym sięgnął po łyżeczkę i pucharek, ale próba zjedzenia deseru znowu się nie udała. Zabrzęczał telefon, przyszła wiadomość od Dziuby: „Z kim gadasz? Nie mogę się dodzwonić. Chłopak pojechał do Permu pociągiem, a wrócił samolotem”.

Jest! Konstrukcja, która wydawała się zamkiem na lodzie, zyskała pierwszą realną podstawę. Jeśli to właśnie Filip Oriechow zastrzelił policjanta w Permie, musiał tam dotrzeć pociągiem, samolotem nie mógłby przewieźć broni bez odpowiednich pozwoleń. Ale dlaczego wracał do Moskwy samolotem? Odpowiedź jest jasna: dlatego że nie miał już broni. Nie zależało mu na niej, wyrzucił ją albo komuś sprzedał.

Anton szybko wsunął do ust jeszcze jedną łyżeczkę przygotowanego przez córkę „ćwiczeniowego” deseru i zadzwonił do Dziuby.

- Gdzie teraz jesteś?
- Jadę pokazywać portret. Liczę, że wszystko odbędzie się szybko i bez rozlewu krwi – oznajmił Romek. – Aha, Kamieńska cię szukała, ale wciąż miałaś zajęty telefon, więc zadzwoniła do mnie.
- I co powiedziała?
- Że jej chłopcy coś znaleźli. To bardzo skomplikowane, połowy nie zrozumiałem, ale są pewni, że list do biznesmena napisał nasz chłopak. Widziałeś się z Witort?
- Jeszcze nie, właśnie czekam, zaraz powinna przyjechać.
- Aha, w takim razie lecę. Zadzwonię, jak czegoś się dowiem.

Anton znowu odłożył telefon i z obawą popatrzył na pucharek. Ciekawe, czym może się skończyć trzecie podejście? Może powinien dać sobie spokój z deserem? Chyba jest pechowy...

– Dlaczego nie jesz, tato? – od razu rozległ się głos Wasylisy. – Nie smakuje ci? Niedobre?

– Bardzo dobre. – Anton się uśmiechnął. – Niedługo będziesz prawdziwą panią domu.

– No widzisz! Przecież ci mówiłam, że Ela mnie wszystkiego nauczyła, nie potrzebujemy żadnej Lizy. Pamiętaj, tato, że obiecałeś! Sami sobie poradzimy.

– Pamiętam, Wasiu, nie musisz mi przypominać. Zaraz zjem do końca w twojej obecności.

Zrobił śmieszny minę, udając przerażenie, jedną ręką chwycił pucharek, a drugą łyżeczkę. Wasia zaniósła się szczęśliwym śmiechem.

I znowu zadzwonił telefon.

– Tu Witort – rozległo się w słuchawce. – Będę na parkingu za dziesięć minut. Gdzie mam czekać? Jak pana rozpoznam?

– Kawiarnia Maleństwo, będę z dziećmi, dziesięć i sześć lat, dziewczynka i chłopiec. Nie ma mowy o pomyłce. I proszę się nie martwić, ja panią poznam.

Nie będzie przecież tłumaczył, że zdążył już przestudiować jej zdjęcia umieszczone na prywatnych stronach w Internecie.

– No dalej, dzieci, do samochodu! – zarządził głośno. – Jedziemy do Kubusia Puchatka na lody!

– Huraaa! – z radością zawołał Stiopka i pobiegł włożyć adidasy.

– A mój deser, tato? – ze smutkiem zapytała Wasia. – Zostawisz go? A ja się tak starałam...

– Za nic! – zawołał Anton, chwycił łyżkę stołową zamiast małej łyżeczki do herbaty, którą dała mu Ela, i w jednej chwili opróżnił pucharek.

===

Na terenie parku rozrywki Kubuś Puchatek znajdowało się mnóstwo kawiarni dla dzieci, w których można było zjeść lody, ale Anton Staszys wybrał Maleństwo, gdzie na ogół dzieci nie przesiadywały. Początkowo kafejka została pomyślana jako miejsce dla rodziców, którzy mogą tutaj odpocząć, podczas gdy ich pociechy będą oglądały filmy albo brały udział w imprezach z profesjonalnymi kłownami oraz animatorami. Ciche i spokojne miejsce dla dorosłych. A jednocześnie w menu jest wszystko, co może zainteresować dzieci w każdym wieku – od maluchów do nastolatków.

Anton od razu zobaczył Olgę Witort. Była dokładnie taka jak na zdjęciach. Jej rzeczowy, oficjalny ton w rozmowie telefonicznej sprawił, że wyobraźnia podsunęła mu obraz kobiety, która w każdej wolnej chwili robi coś ważnego i nie może sobie pozwolić na niepotrzebną stratę czasu. Spodziewał się, że zobaczy Olgę z włączonym komputerem albo przynajmniej z iPadem, ale nic z tych rzeczy. Atrakcyjna filigranowa młoda kobieta przy stoliku w głębi. Stolik obok niej też był pusty, ale na krześle, jak zauważył Anton, leżała czyjaś torebka.

Olga wstała na ich widok, wyciągnęła rękę najpierw do Antona, później do Wasylisy, a na końcu do Stiopki.

– Olga Witort – przedstawiła się trzy razy. – Bardzo mi miło.

– Wasylisa Staszys – powiedziała wcale niez mieszana Wasia, ściskając wyciągniętą dłoń, Anton zaś pomyślał, że córka pewnie przywykła przedstawiać się imieniem i nazwiskiem na zajęciach sportowych, więc to dla niej nic niezwykłego.

Stiopka oczywiście się zawstydził i nie od razu zorientował, jak powinien się zachować, bo przecież nigdy przedtem nikt się z nim nie witał jak z dorosłym. Ale Waśka się nie spieszyła, nachyliła się do brata i szepnęła mu coś do ucha. Przez cały czas Olga Witort stała cierpliwie z wyciągniętą ręką, czekając, aż dotknie jej malutka dłoń Stiopki.

– Stiepan Staszys – z powagą powiedział chłopiec i od razu wdrapał się na krzesło.

– Poproszę o dwa menu – rzekł Anton, gdy do ich stolika podeszła kelnerka w kostiumie kangura, jak tego wymagała stylistyka kawiarni.

– Prosimy o cztery menu – stanowczo powiedziała Olga.

Anton spojrział na nią ze zdziwieniem. Jego zdaniem dzieci nie potrzebowały menu. Zazwyczaj sam czytał im listę dań i proponował do wyboru to, co uznał za odpowiednie, a syn i córka albo się zgadzali, albo prosili, żeby czytał dalej.

Olga zauważyła jego spojrzenie i przesunęła wzrok na Stiopkę.

– Czyżby Stiepan nie umiał czytać?

– Umie! – z dumą oznajmił chłopiec. – Już dawno sam czytam książki.

– W takim razie menu też dasz radę przeczytać – zauważyła Olga.

Wasia niepewnie chwyciła przyniesione przez kelnerkę menu w okładce ze śmiesznym kangurkiem i pytająco popatrzyła na Antona.

– Wybieraj. – Skinął głową, zerkając na torebkę, która wciąż leżała na krześle przy sąsiednim stoliku.

Od dłuższego czasu nie doszło w Moskwie do żadnego zamachu terrorystycznego, mimo to każda porzucona torebka budziła w nim uczucie niepokoju, zwłaszcza jeśli obok były dzieci.

– Nie zauważyła pani, kto zostawił torebkę? – zapytał Olgę.

– Jest moja – odparła, nie odrywając oczu od menu. – Zająłm sąsiedni stolik, żeby dzieci mogły tam usiąść. Będą obok pana i pod nadzorem, ale chyba nie muszą słuchać naszej rozmowy.

Anton poczuł się głupio. Dlaczego sam o tym nie pomyślał? Nie zamierzał oczywiście wypytywać Witort o jakieś szczególne sprawy, rozmawiać o seksie ani roztrząsać krwawych szczegółów, a jednak... Olga miała rację. On zaś nie.

– Mogę wziąć strudel z jabłkami, tato? – zapytał Stiopka. –

I trzy kulki lodów?

– Możesz.

– A ja zamówię to. – Wasia pokazała palcem trudną nazwę. – Ti... ra... tiramisu. Jest smaczne?

– Jak spróbujesz, to się dowiesz. – Anton się uśmiechnął. – A lody?

– Wiadomo. Orzechowe.

Gdy kelnerka podeszła, żeby przyjąć zamówienie, Anton już otwierał usta, by powiedzieć wszystko za dzieci, ale zobaczył spojrzenie Olgi i umilkł. Okazało się, że dzieci poradziły sobie same, wyraźnie przedstawiając swoje życzenia. Tylko Stiopka zmarudził chwilę, gdy go zapytano, jaki sok mu przynieść. Zawahał się i wybrał ananasowy.

– Proszę nakryć dzieciom przy sąsiednim stoliku – powiedziała Olga tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Będą siedziały osobno.

– Dlaczego będziemy osobno, tato? – zapytała Wasylisa, gdy kelnerka przyjęła wszystkie zamówienia i znikła.

– Bo jesteście już duzi – wyjaśnił Anton. – Możecie siedzieć osobno i prowadzić własne rozmowy. A my z Olgą porozmawiamy na tematy, które interesują tylko nas.

Wasia poczuła się ważna, natychmiast zsunęła się z krzesła i przesiadła do sąsiedniego stolika, Stiopka poszedł za jej przykładem. Olga zabrała swoją torebkę i położyła ją przy sobie. Później odwróciła się w stronę Wasi.

– Masz silną rękę, Wasyliso – powiedziała. – Uprawiasz sport?

– Tak, aikido. A pani?

– Tylko fitness. Ale regularnie i od dawna.

Napotkała wzrok Antona i uśmiechnęła się nieco zmieszana.

– Nie mógł się pan do mnie dodzwonić, bo byłam na sali gimnastycznej, a później na basenie. Więc o czym chciał pan porozmawiać? O Własowie? Dlaczego policję tak bardzo interesują jego obrazy?

– Obrazy nas nie interesują, z nimi wszystko jest jasne. Interesuje nas, dlaczego zatrudnia pani w swoim dziale takiego

pracownika.

– Przecież wszystko już panu powiedziano. – W głosie Olgi nie było ani oburzenia, ani złości. Sprawiała wrażenie osoby, której nic nie może wytrącić z równowagi. – Wołodia mi mówił, że był pan u niego i pytał, jak trafił do Oxy. No i powiedział panu, że zatrudniłam go dzięki protekcji Ałły Władimirowny Tomasziewicz. Przyjaźnił się z jej nieżyjącym synem, więc jego los nie był jej obojętny. I to wszystko. Przez długi czas Wołodia pozostawał bez pracy i tego popijał, Ałła Władimirowna chciała mu jakoś pomóc. Tak, przyznaję, że jest beznadziejnym pracownikiem. Ale ma posadę i pewną pensję, a to się liczy. Zresztą niektóre rzeczy, te najprostsze, jednak robi.

– Czy ktoś oprócz pani i Tomasziewicz wie, że Własow to dawny sportowiec?

Olga pokręciła głową.

– To bardzo drażliwy temat dla Wołodi. Na samym początku powiedział, że stawia warunek: nikt nie może wiedzieć, że w przeszłości uprawiał sport.

– Dlaczego? Co w tym naganego? Rozumiałbym jeszcze, gdyby ukrywał, że był karany, albo że trzy razy się rozwiódł, zostawił piątkę dzieci, albo że ma problemy z narkotykami... Ale sport? Ludzie zazwyczaj są dumni ze sportowej przeszłości i nigdy jej nie ukrywają, przeciwnie, wystawiają na pokaz. Nie wydało się to pani dziwne?

Olga wzruszyła ramionami.

– Widocznie w grę wchodzi uraz psychiczny. Wołodia nie lubi się na ten temat rozwodzić, ale gdy Ałła Władimirowna nas poznała, zaglądał jeszcze do kieliszka, nie zawsze się kontrolował i parę razy powiedział, że nie zniesie, jeśli ktoś jeszcze raz go zapyta, dlaczego nie udało mu się zostać ani sportowcem, ani trenerem. Jego siostra dopiekała mu tym do żywego. Właściwie to nie moja sprawa. Przyjęłam po prostu do wiadomości, że to drażliwy temat dla Własowa. Ałła Władimirowna się za nim wstawiła, więc chciałam pomóc,

mimo że nie wszystko rozumiałam.

Gdy kelnerka przyniosła zamówienie, dzieci łapczywie rzuciły się na swoje desery. Anton i Olga poprosili tylko o kawę.

– Czy pani dział, Olgo, ma często do czynienia ze spółką Fighter Trade?



- Na okrągło. A dlaczego?
- Zna pani Filipa Oriechowa?
- Oczywiście, odpowiada za dostawy do naszej sieci.
- Jak pani ocenia jego kwalifikacje zawodowe?

Olga uważnie popatrzyła na Antona i nieznacznie się uśmiechnęła.

- Sądziłam, że interesuje się pan Wołodią, bo zabito jego dawnego trenera, więc siłą rzeczy go pan podejrzewa. Co ma do tego Filip?

- A jednak proszę powiedzieć, co pani myśli o Oriechowie - z naciskiem powiedział Anton.

- Nic dobrego. Jest taką samą miernotą w pracy jak Własow. Tyle że Własow doskonale zna swoje miejsce i poziom, który reprezentuje. A Filip jest wciąż niezadowolony, chce więcej znaczyć, mimo że na to nie zasłużył. Nicpoń i obibok. Ale dlaczego pyta pan o Oriechowa?

- Jestem ciekaw, czy Własow mógł mieć jakieś zatargi z Filipem Oriechowem na gruncie zawodowym. Chodzi mi o konflikty w pracy.

- Konflikty w pracy? - Olga patrzyła na Antona z nieskrywanym zdumieniem. - Nigdy. Mówię to z całą odpowiedzialnością. Ani Własow, ani Oriechow nie są osobami podejmującymi decyzje. To znaczy ich stanowiska pozwalają na to, ale z uwagi na cechy charakteru obu panów nikt im tego nie powierza. Obaj są zupełnie niekompetentni. Decyzje podejmuje szef działu, to znaczy ja oraz naczelnik działu obsługi klientów VIP ze spółki Fighter. W ostateczności starszy menadżer tego działu. Własow i Oriechow to pionki, zwyczajne szaraki, które nie mają nic do powiedzenia. Co więcej, Filip w ogóle nie zauważa Wołodi. Moim zdaniem nawet nie wie, jak on się nazywa. Dobrze, jeśli go w ogóle poznaje.

- A więc uważa pani, że nie utrzymują ze sobą kontaktów?

- Bardzo się zdziwię, jeśli jest inaczej.

Anton zwrócił uwagę, że odpowiadając na jego pytania, Olga

bez przerwy zerka na dzieci siedzące przy sąsiednim stoliku. Zerka uważnie i badawczo, ale jej spojrzenie nie jest wcale surowe.

– A więc pani zdaniem Władimir Własow jest do niczego?

– Tylko jako pracownik mojego działu. Poza tym jest wykształcony, bystry i niegłupi. Maluje obrazy. Nie potrafię ocenić, czy ma talent, nie znam się na tym, na mój gust jego obrazy są dość monotonne. Ale sam pan chyba przyzna, że fakt, iż przez wiele lat zajmował się jakąś dziedziną i nagle zajął się czymś zupełnie innym, dobrze o nim świadczy. Większość z nas wdraża się do pewnego trybu życia i prowadzi go aż do chwili przejścia na emeryturę.

– Powiedziała pani, że jest wykształcony – zauważył Anton. – Miała pani na myśli coś konkretnego?

– Dwa razy mnie zadziwił. – Mówiąc to, Olga uśmiechnęła się pogodnie i chyba z podziwem, wskutek czego zupełnie przestała przypominać surową kobietę interesu. – Właśnie dzięki Wołodi Własowowi poznałam termin „gaslighting” i dowiedziałam się o filmie *Gasnący płomień*. Oglądał go pan?

– Nie. Pierwszy raz o nim słyszę.

– A widzi pan! To amerykański film z lat czterdziestych, pamiętają go przede wszystkim specjaliści, filmolodzy, krytycy filmowi. Nasze pokolenie nie ma o nim pojęcia. Własow zna ten film, i to nie tylko ze słyszenia. Jego matka wykłada na WGIK-u, specjalizuje się w kinie amerykańskim lat trzydziestych i czterdziestych, więc Wołodia chyba razem z nią obejrzał te wszystkie filmy. Antonie – Olga nagle ściszyła głos i nachyliła się nad stołem w jego stronę – Stiepan upuścił lody na dżinsy. Proszę powiedzieć Wasylisie, żeby wzięła serwetkę i pomogła mu się wytrzeć.

Anton odwrócił się ku dzieciom. Rzeczywiście, na kolanie Stiopki widniał spory kawałek lodów, które szybko topniały. Anton już miał wstać, żeby wytrzeć plamę, ale przypomniał sobie dziwne słowa Olgi: „Proszę powiedzieć Wasylisie”. Nie

wiadomo, dlaczego to powiedziała. Mimo to jej posłuchał.

– Wasiu! – zawołał córkę i pokazał wzrokiem miejsce „katastrofy”.

Waśka natychmiast się zerwała i zakrzętnęła wokół braciszka.

Anton z ciekawością spojrział na Olgę.

– Może pani wyjaśni?

– Co?

Patrzyła na niego spod długiej grzywki wyrazistymi ciemnobrązowymi oczami, w których malowały się tkliwość i rozbawienie.

– Swoje sztuczki pedagogiczne.

Olga znowu nachyliła się nad stołem, tym razem Anton też pochylił się w jej stronę.

– To żadne sztuczki. Po prostu dobrze pamiętam siebie w dzieciństwie. Nie znosiłam, gdy mnie traktowano jak małe dziecko. Ale gdy ktoś rozmawiał ze mną jak z równą sobie, byłam gotowa przenosić góry. Nie cierpię cackania się. Dziecko to indywidualność, każde jest o wiele mądrzejsze, subtelniejsze i bardziej spostrzegawcze, niż sądzą dorośli, a zwłaszcza rodzice. Każda indywidualność jest warta szacunku. No i na pewno nie trzeba robić za dziecko tego, co może zrobić samo.

– Na przykład wybierać dań z menu? – Anton się roześmiał.

– Na przykład. – Bardzo poważnie skinęła głową. – Bał się pan, że dzieci, pozostawione same sobie, zamówią tyle jedzenia, że nie dadzą rady się z nim uporać. Ale jak pan widzi, oboje dokonali całkiem zwyczajnego wyboru: po jednym deserze i po jednej porcji lodów. Nie po dziesięć ani nawet po pięć. A w ogóle muszę panu powiedzieć, że ma pan wspaniałe dzieci!

Anton uśmiechnął się z widocznym zadowoleniem.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Twarz Olgi jaśniała taką szczerością, że aż trudno było uwierzyć, iż w pracy przypomina Larę Croft. A może zapytać? Tylko delikatnie, żeby nie wyszedł na jaw drobny fakt, że

wywiadowcy przeszukiwali jej prywatną korespondencję i starali się zebrać o niej informacje w Internecie.

– Własow mi powiedział, że w pracy nazywają panią Larą Croft. To prawda?

Kiwnęła głową w milczeniu.

– Owszem. I co z tego?

Promienny uśmiech znikł bez śladu, przed Antonem znowu siedziała skupiona i czujna rozmówczyni.

– Nic, jestem po prostu ciekaw dlaczego.

– To pomaga w karierze – odparła krótko. – W biznesie trzeba być twardym, inaczej nic się nie osiągnie.

– A co chce pani osiągnąć? Wysokie stanowisko?

Olga w zamyśleniu pokręciła głową i niespodziewanie znowu się uśmiechnęła, tym razem łagodnie i jak gdyby niepewnie.

– Chcę tylko jednego: niezależności. A niezależność mogą dać jedynie pieniądze. Będę się wspinać po szczeblach kariery, póki nie zarobię wystarczająco dużo.

Anton nie podzielał do końca jej stanowiska, ale nie chciał się wdawać w spory. To nie ma sensu. Najważniejsze, że dowiedział się tego, czego chciał. I o Władimirze Własowie, i o jego szefowej Oldze Witort.

Gdy poprosił o rachunek, Olga natychmiast wyjęła portfel i włożyła do etui z rachunkiem pieniądze za swoją kawę. Anton rozumiał ten gest i nie protestował, chociaż kwota by go nie zrujnowała. Kobieta pragnie niezależności, czemu miałby jej przeszkadzać?

Gdy tylko wyszli z kawiarni, Stiopka, ku ogromnemu zdziwieniu Antona, chwycił Olgę za rękę.

– Pójdzie pani z nami na karuzelę?

Coś takiego... Do Lizy Stiopka nawet się nie zbliżał, a gdy próbowała go objąć, zwinnie się wyślizgiwał.

Karuzela nie mieściła się w dzisiejszych planach Antona. Musi odwiedzić dzieci do Eli i pędzić do Moskwy. Wymownie spojrzął na zegarek.

– Nie umawialiśmy się na karuzelę – odparł twardo. – Muszę wracać do pracy.

– Ale taato – jęknął Stiopka, szarpiąc przy tym Olgę za rękę.

– Stioipa! – surowo powiedziała Wasylisa. – Nie słyszysz? Tata musi jechać do pracy.

– No to niech jedzie, a my z ciocią Olgą pójdziemy na karuzelę.

– Nie, Stiepan, dzisiaj nic z tego. – Olga miała poważną minę.

– Gdybyśmy się umówili wcześniej, wtedy co innego. Ale przecież się nie umawialiśmy. Muszę jechać w inne miejsce.

– A jeśli się umówimy, przyjedzie pani i pójdzie z nami na karuzelę? – dopytywał się chłopiec, nie puszczając jej ręki.

– Jeśli się umówimy, to oczywiście, że tak. Jesteśmy przecież dorośli, a dorośli zawsze najpierw się umawiają. Prawda?

– Prawda. – Stiopka skinął poważnie głową, z wyraźną niechęcią puszczając jej rękę.

Pożegnali się na parkingu i rozjechali – każde w swoją stronę. Stiopka wyglądał na zmartwionego, a Wasia była zamyślona.

– Kiedy przyjedziesz? – ze smutkiem zapytała ojca, wysiadając z samochodu przed domem Eli. – Jutro?

– Nie obiecuję – odparł szczerze. – Przecież wiesz, że to nie ode mnie zależy. Taką mam pracę.

– Wiem, tato. A Olga...

Zawahała się.

– Co Olga?

– Odwiedzi nas jeszcze?

Anton przyłożył kartę do zamka elektronicznego i pchnął furtkę.

– Chyba nie.

– To twoja znajoma?

– Niezupełnie. Musiałem ją o coś zapytać, potrzebowałem tego do pracy. Już się raczej nie spotkamy. A czemu? Spodobała ci się?

Wasia z rozdrażnieniem wzruszyła ramionami i nagle wypaliła:

– Podoba mi się sto razy bardziej niż twoja głupia Liza! Jest mądra i dobra! A Liza jest zła! I zimna jak lód.

Oczy dziewczynki napełniły się łzami, więc ruszyła pędem do domu, żeby się nie rozplakać w obecności ojca i brata. Stiopka spoglądał za nią niepewnie, nie wiedząc, czy powinien rozplakać się dla towarzystwa, czy może, jak przystało na osobę dorosłą, wejść na górę. W końcu wybrał to drugie i pomachał ojcu ręką ze szczytu schodów.

Antonowi pękało serce. Ale co poradzi, że ma taką pracę?

===

Umówili się, że się spotkają na Pietrowce, tam było najwygodniej. Fiodor Uljancew z niedowierzaniem spoglądał na Staszysa i Dziubę, którzy jego zdaniem postępowali bardzo dziwnie: namawiali go, żeby zebrał laury za wyjaśnienie paru przestępstw, w dodatku nie chodziło o drobne kradzieże, tylko o prawdziwe zabójstwa.

– Przecież obszedłeś wszystkie miejsca, w których można przerobić pistolet gazowy, ale najpierw szukałeś tych, którzy widzieli tam Łamzina, no i nie znalazłeś. Zgadza się? – stanowczo wywodził Dziuba.

– Fakt – przyznał Fiodor – nie znalazłem.

– A później trafił ci się nowy figurant, Własow. – Anton położył zdjęcie przed Fiodorem. – Dawny wychowanek Bołtienkowa, który miał powody, żeby się zemścić na swoim trenerze. Dowiedziałeś się, że niegdyś Bołtienkow sprzedał swojego najlepszego łyżwiarza, mistrza Rosji, trenerce Ludmile Wołyniec.

– Jak się tego dowiedziałeś?

– Tutaj masz wszystko napisane. – Dziuba rzucił na biurko grubą teczkę. – Naucz się tekstu. Spotkałeś się z pierwszą żoną Bołtienkowa, która opowiedziała ci całą historię. Nie martw się, tak rzeczywiście było. W razie potrzeby można ją przesłuchać,

zezna wszystko do protokołu. No więc zacząłeś sprawdzać Własowa. Ale początkowo nic nie znalazłeś. Później dostałeś informację operacyjną, że ludzie, którzy zaszkodzili Własowowi w karierze sportowej, tak czy inaczej ucierpieli. W ten sposób dotarłeś do niewyjaśnionego zabójstwa policjanta z Permu, który za dużą łapówkę wziął udział w machinacji związanej z zamianą sędziego – niewygodnego na spolegliwego. Namierzyłeś też Galinę Nosulenko. Pomogła ci w tym sprawa zamachu na biznesmena Gandzumiana, którego syn uprawia łyżwiarstwo figurowe. Przyjrzałeś się bliżej, porozmawiałeś z kim trzeba i dowiedziałeś się, że Własow nie zrobił kariery trenera przez Gandzumiana. Tutaj Bağłajew nic ci nie powie, bo już z nim rozmawialiśmy na temat Gandzumiana – wygląda na to, że przyznał nam rację.

– Ale to się nie trzyma kupy – upierał się Uljancew. – Achmedycz widział ekspertyzę kuli i łuski w sprawie Gandzumiana, użyto tam innego pistoletu. Przerobionego, lecz innego.

– No właśnie! – W tym miejscu Dziuba zrobił znaczącą minę. – A ty, mądry i otrząskany stróż porządku, wzięłeś na tapetę rejestry pozwoleń, w dodatku sprawdzałeś nie tylko Własowa, ale też jego najbliższe otoczenie, bo Własow ma niezbite alibi. I wiesz, do kogo dotarłeś? Do niejakiego Filipa Oriechowa, którego Własow zna i z którym kontaktuje się w pracy. Są w podobnym wieku, więc to całkiem prawdopodobne, że znaleźli wspólny język i się zaprzyjaźnili. No więc ów Oriechow ni z tego, ni z owego dostaje pozwolenie na pistolet gazowy i legalnie kupuje dwie sztuki broni. Dwa miesiące później ginie policjant w Permie, a później Galina Nosulenko. W obu przypadkach posłużono się przerobionym pistoletem gazowym, którego nie znaleziono. Obie ofiary miały bezpośredni związek z karierą sportową Własowa. A więc masz podstawy podejrzewać, że Własow wynajął Oriechowa do realizacji dalekosiężnego planu zemsty. Za pieniądze albo w imię

przyjaźni – tego dowiesz się potem. Tu masz wszystkie materiały, przeczytaj je i przeanalizuj.

Uljanecw z obawą spoglądał na opasłą teczkę, ale jej nie otwierał. Czuł w tym jakiś podstęp. Tylko jaki?

– Chłopaki – powiedział – po co to robicie? Po jakie lichy oddajecie mi rozwiązanie sprawy? Co z tego macie?

Było to najważniejsze pytanie, na które należało udzielić właściwej odpowiedzi.

– Chcemy, żeby sprawa przestępstwa została wyjaśniona i żeby niewinny człowiek nie trafił do więzienia, to jasne – zaczął Anton, ważąc każde słowo. – Jest jeszcze szereg dodatkowych czynników. Twój śledczy to facet skomplikowany, z trudnym charakterem, dotąd z nim nie pracowaliśmy, nie wiemy, jak go najlepiej podejść, nie mamy z nim kontaktu. A ty pracujesz z nim od dawna, jesteście z tego samego okręgu, stale się spotykacie. Więc tylko ty możesz znaleźć właściwe słowa, żeby go przekonać, by przeanalizował nową hipotezę, i nie zranić przy tym jego ambicji. My nie damy rady. Nie chcemy się z nim kłócić. Zapamięta, że załatwili go dwaj detektywi z centrali. I nici z pracy.

– To wszystko? – Uljanecw z powątpiewaniem przymrużył oczy.

Argument był jego zdaniem kiepski. Musi być więc jakieś drugie dno.

– Nie. – Staszys się uśmiechnął. – Nie wszystko. Jest jeszcze adwokat, Witalij Nikołajewicz Kirgan. Miałeś z nim do czynienia?

– Nie było okazji.

– A myśmy mieli i pewnie jeszcze nieraz będziemy mieli do czynienia. Sam rozumiesz, włączają nas do poważnych i głośnych zabójstw, a Kirgan jest doświadczonym i poważnym adwokatem, cieszy się renomą, właśnie do takich spraw jest angażowany. Będziemy musieli zjeść z nim jeszcze niejedną beczkę soli. Wiesz, dlaczego dobry adwokat jest niebezpieczny?



Bo gdy przyniesiesz śledczemu kupę dowodów, adwokat bez trudu je zbije, wykazując, że ich dopuszczenie jest niemożliwe, bo są niewiarygodne albo niepełne. Więc lepiej mu się nie narażać. W sprawie Bołtienkowa-Łamzina zupełnie przypadkowo zebraliśmy dowody przydatne akurat dla adwokata. Chcemy zatem przekonać śledczego, żeby go wysłuchał. I jak najprędzej wypuścić Łamzina. Ale bez twojej pomocy nie zdołamy tego zrobić.

- To wszystko? - znowu mruknął Uljancew.

- Nie wszystko - odparł Staszys z westchnieniem. - Jest coś jeszcze. Zabójstwo Nosulenka. Wszystko sprawdziliśmy, został za nie skazany typ, który popełnił tyle przestępstw, ile jest gwiazd na niebie, więc czy z Nosulenka, czy bez niej, czeka go dożywanie. Ale jeśli sprawa zostanie nagłośniona, ucierpią ludzie. I to dobrze. Młoda śledcza, zupełnie zielona, miała dyżur, gdy doszło do zabójstwa Nosulenka, przydzielono jej tę sprawę. Wywiadowcy to stare wygi, nawinęli jej makaron na uszy, a ona im uwierzyła. Nawiasem mówiąc, jeden z nich został potem jej mężem, teraz spodziewają się dziecka. Śledcza należycie przygotowała sprawę, później, gdy się okazało, że sprawca ma na sumieniu całe mnóstwo przestępstw, przekazano ją, rzecz jasna, komu innemu, ale zabójstwo Nosulenka podano na tacy. Nikomu nawet nie przyszło do głowy. Ani drugi śledczy, ani prokurator, ani sędzia - nikt nie miał wątpliwości.

- A jak mundurowi podeszli tego faceta? - zainteresował się Fiodor.

- Napomknęli o bracie i żonie. Cała rodzina zajmowała się zbytem przywłaszczonych nielegalnie rzeczy. Więc mu obiecano, że nikt nie tknie jego rodziny, jeżeli się przyzna do zabójstwa Nosulenka. Tak więc, Fiedia, odkryliśmy wszystkie karty. Jeśli grać uczciwie, trzeba przywołać całe życie Własowa, wspomnieć o tych, co mu się brzydko przysłużyli, a wtedy na pewno wyłoni się Galina Nosulenka, która dosłownie wygryzła go ze

stanowiska trenera, żeby zająć jego miejsce. W tym pikantnym momencie zarówno ty, jak i Bağlajew możecie zadać parę niepotrzebnych pytań. Zwłaszcza jeśli śledczy sięgnie po akta z sądu i znajdzie w nich ekspertyzę, w której czarno na białym stoi, że pistolet przerobiono. Ucierpią ludzie. A to niedobrze. Tylko się wydaje, że funkcjonariuszy organów ścigania jest całe mrowie. W gruncie rzeczy jest nas garstka, wąska grupa, wciąż na siebie wpadamy. Nie powinniśmy się kłócić. Dlatego z bólem oddajemy ci rozwiązanie sprawy. A ty w zamian przygotujesz grunt dla Kirgana i przemilczysz zabójstwo Nosulenko. Moim zdaniem umowa jest nie do pogardzenia.

– Ale to mnie oficjalnie przydzielono sprawę – złośliwie zauważył Uljancew. – A więc tak czy inaczej, pójdzie na moje konto. Więc chyba ściemniacie, panowie.

– Masz rację. – Do rozmowy włączył się Siergiej Kuźmicz Zarubin, który siedział dotąd w milczeniu przy swoim biurku, nie wtrącał się, tylko uważnie słuchał. – Ale zapomniałeś o drobnym szczególe: w karcie raportu należy wymienić siły i środki, za pomocą których wyjaśniono sprawę. I tutaj kolosalne znaczenie ma pismo z centrali, w którym będzie napisane, jakie informacje operacyjne dostarczyły śledztwu przydzielone siły, to znaczy major Staszys i starszy lejtnant Dziuba. Na jego podstawie będzie można dokładnie stwierdzić, kto tak naprawdę coś zrobił, a kto nie kiwnął palcem. To od nas zależy, czy pismo pójdzie do twoich zwierzchników. Jak postanowimy, tak będzie.

– No dobrze. – Uljancew kiwnął głową. – Powiedzmy, że mnie przekonaliście. Jakie macie dowody w związku z Oriechowem?

– Zobacz. – Dziuba położył przed nim kartkę upstrzoną cyframi. – To informacje, które dostaliśmy od techników, o tym, gdzie telefon komórkowy Oriechowa logował się do sieci w czasie zabójstw. Dla pewności poprosiliśmy o godzinny przedział czasowy. A tu masz wydruk z dokładnymi współrzędnymi każdego miejsca logowania. I jeszcze pismo

z Wydziału Kolejnictwa i z towarzystwa lotniczego Syberia, z których wynika, że we wskazanym przez nas czasie Filip Oriechow jechał pociągiem do Permu i wracał do Moskwy samolotem. A tutaj lista świadków, którzy widywali Oriechowa w kompleksie strzelniczym, gdzie jest duża pracownia rusznikarska.

– Widywali? – zdziwił się Fiodor. – To znaczy, że wszystkie pistolety przerabiał w jednym miejscu? Skończony kretyn. Nie bał się, że ktoś go zapamięta?

– Pracownia jest duża i trudno w niej o porządek, usługi dotyczą i strzelb, i pistoletów. Oriechow miał chyba nadzieję, że nikt go nie zapamięta. Musisz wiedzieć, Fiedia, że facet cierpi na pewną przypadłość – zaczął wyjaśniać Dziuba. – Nie ma pamięci do twarzy. Pierwszy raz przyszedł do pracowni, żeby się rozejrzeć i wybadać grunt, no a za drugim razem odniósł wrażenie, że pracownicy są nowi. Coś w rodzaju przejściowego podwórza, dużo pracowników i dużo klientów, nikt nikogo nie zna. Tymczasem pracownicy byli ci sami i doskonale go zapamiętali. On zaś spokojnie nosił tam pistolet za pistoletem. Najpierw przyniósł dwa, te, które nabył legalnie, później przyszedł jeszcze trzy razy i przynosił po jednym pistolecie. Rusznikarz był ten sam, Oriechow wszystko z nim uzgadniał, gość oczywiście niczego nie zezna do protokołu, ale jest co niemiara świadków, którzy widzieli tam Oriechowa.

– Czyli że razem pięć? – uściślił Uljancew. – No a strzelał cztery razy. To znaczy, że planuje jeszcze jedno zabójstwo?

– Nie, raczej nie – uspokoił go Anton. – Miał na oku jeszcze jedną ofiarę, urzędniczkę z Moskomsporu, która przeszkodziła kiedyś Własowowi w wyjeździe za granicę, gdy chciał tam trenować, ale ktoś ją zdążył sprzątnąć z innego powodu. A więc pistolet się nie przydał.

– Aha-a-a – wycedził Fiodor. – Jasne. A co ze źródłami nabycia trzech lewych pistoletów?

– No, kochany, chyba nie masz sumienia! – Zarubin parsknął

śmiechem. – Nam, biednym sierotom, też coś zostaw. My również musimy zdać raport swoim zwierzchnikom. W efekcie okaże się, że ty jesteś mózgiem w sprawie, bossem, by tak rzec, namierzyłeś podejrzanego i przydzieliłeś nam zadanie zbadania źródeł nabycia broni, a my je dla ciebie zbadaliśmy. Ale na razie nie mów tego Bagłajewowi, zgoda? Musimy jeszcze co nieco sprawdzić. A zresztą to przecież nie ma znaczenia dla śledztwa, Oriechow i tak powie na przesłuchaniu, że kupił pistolet od nieznanej mu osoby, nie przypomni też sobie dnia i poda fałszywe miejsce.

Uljanцев zebrał wszystkie materiały, starannie umieścił je w teczce i zerknął na zegarek.

– Dzisiaj Achmedycz ma znowu dwudziestoczworogodzinny dyżur, siedzi w gabinecie, to najwłaściwszy moment na taką rozmowę. Jeśli oczywiście nie wezwą go na miejsce zdarzenia. Ale pogoda jest ładna, nie pada, sobotnie popołudnie... Jeśli coś będzie się działo, to w obwodzie, w mieście mało kto został. Miejmy nadzieję, że wszystko się uda.

Zatrzymał się nagle przy drzwiach i popatrzył na Zarubina.

– A pismo z centrali jest pewne? To nie podpucha?

– Ręczę głową! – zapewnił podpułkownik.

Przez parę minut siedzieli w milczeniu, jak gdyby bali się, że naruszą kruchą ciszę w pokoju.

Pierwszy odezwał się Zarubin.

– Wpakowaliście mnie w niezłą kabałę... Zrobiliście Uljanцевowi wodę z mózgu. Dobrze, że wolno kojarzy, bo wyśmiałby wasze wywody. Dwie rzeczy są nad wyraz problematyczne: motyw i piąty pistolet.

– Niech pan da spokój, Siergieju Kuźmiczu – pogodnie odparł Dziuba, przekonany, że rozmowa z funkcjonariuszem z terenu przebiegła po ich myśli. – Zostawmy motyw. Czy on jest najważniejszy? Bagłajew zamknął Łamzina tylko z uwagi na motyw i co? Do dzisiaj nie ma żadnych dowodów.

– Widzę, Romeczku, że kłamstwo szybko wchodzi ci w krew. –

Zarubin z żartobliwą dezaprobatą pogroził mu palcem. – Wciskałeś Uljancewowi, że Własow i Oriechow dobrze się znają, że w grę może wchodzić motyw pieniędzy albo może to być sprawa przyjaźni. Przyjaciel mści się za przyjaciela. Wyszła ładna bajeczka, przyjemnie się jej słuchało. Jednakże wszyscy przecież świetnie wiemy, że to nieprawda. Nie ma mowy o żadnej przyjaźni, pod znakiem zapytania stoi nawet ich osobista znajomość, nie stwierdziliśmy żadnych kontaktów poza firmą Oxygen. Własow nie ma też dość pieniędzy, by zlecić komuś tyle zabójstw. A Oriechow z jakiegoś powodu obrzuca Własowa błotem w Internecie. Nawiasem mówiąc, o tym, że to właśnie Oriechow próbował wyłudzić pieniądze od Gandzumiana, też nie wspomnieliście. Mówcie, co chcecie, ale motyw to słaby punkt naszej układanki.

– Nie szkodzi – włączył się Anton. – Gdy Bagłajew zajmie się Oriechowem i zacznie go przesłuchiwać, wypłynie też motyw. Teraz liczy się wynik: śledczy musi uwierzyć Fiedi i wystąpić o akta sprawy do Permu. Sprawa została zawieszona, kula i łuska znajdują się w materiałach, więc można poprosić balistyków, żeby wykonali nową ekspertyzę dowodów rzeczowych w sprawie policjanta z Permu, a także Bołtienkowa i Gandzumiana. W sprawie zabójstwa Nosulenka nic nie wskóramy, bo zapadł już wyrok w sądzie, a dowody rzeczowe, jak nakazuje prawo, zostały zniszczone. A zatem słusznie uznaliśmy, żeby nie wracać do tej sprawy.

– Słuchaj – odezwał się zaniepokojony Roman – a jeśli Oriechow sam się przyzna? Na przykład okaże się takim mięczakiem, że zacznie o wszystkim opowiadać, w tym również o Nosulenku?

– Co z ciebie za detektyw, mój drogi? – Zarubin rozłożył ręce. – Porozmawiaj z nim pierwszy, od razu po zatrzymaniu, i przygotuj się do rozmowy. Tocha też porozmawia. I też się przygotowuje. Wszystko leży w waszych rękach. Zachowujecie się jak dzieci w piaskownicy, słowo daję! Z kim ja muszę

pracować?!

– Do zatrzymania jeszcze daleka droga – podjął Anton. – Sprawa piątego pistoletu nie jest czysta. Byłoby najlepiej, gdyby udało się aresztować Oriechowa podczas kolejnego zamachu, wtedy nie mielibyśmy tylu problemów i zdobylibyśmy nowe dowody.

– Ale przecież policzyliśmy, Tocha, i wyszło nam, że piąty pistolet miał posłużyć do zabójstwa Jefimowej. A więc zwyczajnie się nie przydał. – Romek pokręcił głową, przejechał dłonią po włosach i się skrzywił. – Do diabła, ależ zarosłem, najwyższa pora, żeby iść do fryzjera.

Anton uważnie studiował jakąś listę, wzdychając przy tym i kręcąc głową.

– Owszem, policzyliśmy, mimo to... Póki nie będzie wyników nowej ekspertyzy, nie wiemy, czy Oriechow za każdym razem używał tej samej broni. To prawda, że kupował i przerabiał pistolety, ale nie ma pewności, że się wszystkimi posłużył. Może za każdym razem strzelał z tego samego?

– No to po co w takim razie kupował i przerabiał? – rozsądnie zauważył Romek. – Jak w starej anegdocie: facet gotował jajka i sprzedawał po cenie surowych, zostawał mu wywar, no i miał robotę. To przecież bzdura! A zresztą, Tocha, z Permu na pewno wrócił bez broni, leciał samolotem. A więc tam właśnie pozbył się pistoletu.

– Znowu nie mamy gwarancji. Mógł kogoś poprosić o przewiezienie pistoletu pociągiem z Permu do Moskwy, a sam wrócił samolotem.

– Tak... W sumie racja... – przyznał Dziuba. – Jak zatem wygląda sytuacja?

– Zobacz. – Anton zaopatrzył się we flamaster i położył przed sobą dwa kalendarze, na dwa tysiące dwunasty i dwa tysiące trzynasty rok. – Mniej więcej w tym czasie Oriechow nabywa legalnie dwa pierwsze pistolety. – Zakreślił cienkim flamastrem tydzień. – W tym czasie przyniósł je do pracowni rusznikarskiej,

żeby przerobić na ostre naboje. Nikt nie potrafił podać dokładnej daty, minęło sporo czasu, więc znamy ją tylko w przybliżeniu. A tutaj mamy dokładny czas zabójstwa w Permie. Przypuśćmy, że Oriechow pozbył się tam broni. A więc pozostał mu jeszcze jeden pistolet. Zgadza się?

– Na razie tak. – Roman kiwnął głową, z napięciem wpatrując się w drobne cyfry.

– Tego dnia zabito Galinę Nosulenko. W tym czasie Oriechow powinien mieć jeszcze drugi nabyty legalnie pistolet. Ale! Oto informacja operacyjna, z której wynika, że na początku września, a dokładnie w Dniu Miasta, Filip Oriechow nabywa nielegalnie pistolet gazowy. A w połowie września znowu pojawia się w tej samej pracowni rusznikarskiej. Po co, skoro ma jeszcze jeden pistolet?

– Na zapas, na przyszłość – szybko odparł Romek. – Miał przecież rozległe plany! Działał z rozmachem! Makbet przy nim wysiada!

– Załóżmy, że tak było – przyznał Anton. – A więc w chwili zabójstwa Nosulenko w listopadzie ubiegłego roku Oriechow był właścicielem co najmniej dwóch pistoletów. Przyjąłeś do wiadomości?

– Tak jest! – dziarsko zameldował Romek.

– Jeden z pistoletów został użyty podczas zabójstwa Nosulenko. Są dwie możliwości: albo Oriechow się go pozbył, albo zostawił. To znaczy, że po zabójstwie ma nadal co najmniej jeden pistolet. Możliwe, że dwa. Niewykluczone, że nawet trzy, jeśli jakimś cudem pistolet wrócił jednak do Moskwy. Dalej wchodzimy w sferę domysłów. Następna ofiara to Inna Jefimowa. Oriechow zaczyna się koło niej kręcić, ale Inna Wiktorowna nie jest zwyczajną kobietą, taką jak masażystka, nie odwiedza pustych i nieoświetlonych miejsc, przeważnie porusza się samochodem i przebywa w zaludnionych miejscach. Z nią nie poszło tak łatwo jak z policjantem z Permu, który wyszedł z domu późnym wieczorem, żeby

wynieść śmieci, i został zastrzelony. Przygotowanie zabójstwa Jefimowej zabiera sporo czasu. Oriechow musi przecież prowadzić normalne życie, codziennie chodzić do pracy, w wolnym czasie imprezować, pojawiać się w klubach z przyjaciółmi, więc sprawa posuwa się wolno. W pracy też nie może leżeć do góry brzuchem – tatuś go pilnuje, jak poinformował cię, Roman, twój świadek Chimin. I nagle trafia się nieznany życzliwy osobnik z nożykiem Samura i wykonuje brudną robotę. Ku uldze Oriechowa sprawa zostaje załatwiona. Ale uwaga! Jeżeli to Własow zleca zabójstwa, dlaczego nie wiedział, że Jefimowa nie żyje? A że nie wiedział, dam sobie głowę uciąć.

– Oj, Tocha, nie szafuj tak hojnie swoją głową – sceptycznie zauważył Zarubin. – Ostatnio nie można na niej polegać. Masz na koncie sporo wpadek, myślisz o niebieskich migdałach. Dawniej całkowicie ufałem twoim wywodom, ale teraz zaczynam w nie powątpiewać.

Anton zacisnął zęby i zbladł, ale powstrzymał się od wybuchu i nawet znalazł w sobie siły, żeby się uśmiechnąć pojednawczo. Po co się unosić, skoro Kuźmicz ma rację? Jego słowa są oczywiście przykre, ale nie da się ich podważyć.

– Dobrze – podjął spokojnie. – Załóżmy, że się pomyliłem, i Własow wiedział o śmierci Jefimowej. To niczego nie zmienia, jeśli chodzi o pistolety. Do zabójstwa Jefimowej pistolet nie był potrzebny, więc Oriechowowi została co najmniej jedna sztuka broni, maksymalnie trzy. Jeszcze za życia Jefimowej Oriechow nabywa w lutym bieżącego roku kolejny nielegalny pistolet gazowy i w niedzielę, trzeciego marca, zanosí go do tej samej pracowni rusznikarskiej. Jefimowa zostaje zabita dwudziestego marca. Przed jej śmiercią Oriechow ma zatem cztery pistolety. To znaczy, że je zbiera? Kolekcjonuje? Nawet jeśli przyjmiemy, że po każdym zabójstwie się ich pozbywa, co byłoby słuszne i rozsądne, do marca trzynastego roku popełnił dwa zabójstwa, a ma cztery pistolety. Co prawda w planach są jeszcze dwie



ofiary – Bołtienkow i Gandzumian. Tutaj wszystko by się zgadzało, gdyby nie pewien nieciekawy fakt: w kwietniu tego roku nabywa jeszcze jeden pistolet i znowu oddaje do tego samego rusznikarza. Pytanie: po co?

– A więc jest jeszcze ktoś, kto naświnił Własowowi – włączył się Dziuba. – Ale wydaje mi się, że poznaliśmy jego życie od a do zet. Znaleźliśmy i sprawdziliśmy wszystkich. Nikołaj Nosulenko zginął w wypadku samochodowym, Inna Jefimowa została zabita z innego powodu, w pozostałych przypadkach strzelano z przerobionego pistoletu gazowego. Nikt inny nie został.

– Może coś przeoczyliśmy. – Anton pokręcił głową. – Mieliliśmy dużo informacji, byliśmy nimi zawałeni, z trudem się spod nich wygrzebaliśmy. Mogliśmy przegapić coś ważnego.

– Tocha! – W oczach Dziuby nagle pojawił się zapał, który go ogarniał, gdy przychodziła mu do głowy kolejna niewiarygodna hipoteza. – Tylko się nie wkurzaj, najpierw mnie wysłuchaj.

– No dalej, mów. – Zarubin wygodnie ulokował się przy swoim biurku. – Posłucham sobie bajki w sobotę, skoro nie udało mi się wyjechać za miasto.

Podniecony Dziuba zrobił parę kroków tam i z powrotem po małym gabinecie, wymachując rękami.

– Własow rzeczywiście o niczym nie wie, tutaj się nie pomyliłeś. Oriechow chce go wystawić. Zabija osoby, na których Własow mógłby się zemścić. Później obciąży go winą. Informacje w sieci to część planu. Nie wiem jeszcze jakiego ani jak te oszczerstwa pomogą udowodnić, że Własow jest mordercą, ale na pewno pomogą go o nie obwinić. Oriechow rzeczywiście nie kontaktuje się z Własowem, żeby tamten go sobie nie przypomniał. Kiedyś ich drogi się skrzyżowały i Własow mu się naraził. Sytuacja musiała wyglądać tak, że Własow nawet nie wiedział, komu zaszkodził i kogo obraził, bo ani nazwisko, ani twarz Oriechowa nic mu nie mówią. Natomiast Oriechow doskonale wie, kto jest winien. Teraz realizuje plan zemsty.

– A piąty przerobiony pistolet gazowy... – zaczął Anton.

– No właśnie! Piąty pistolet jest potrzebny, żeby go podsunąć Własowowi. Na pewno został użyty przynajmniej w jednym zabójstwie, więc teraz Oriechow strzeże go jak źrenicy oka, żeby w odpowiednim momencie znalazł go u Własowa.

– Mimo to rachunek się nie zgadza – zauważył Zarubin. – Cztery strzały – cztery pistolety, trzech się pozbył, jeden zostawił, żeby użyć w odpowiednim momencie. A piąty po co?

– Ależ, Siergieju Kuźmiczu! – Roman jęknął z irytacją i aż tupnął nogą. – Człowiek, który to wszystko wymyślił i wprowadził w życie, nie jest kretynem. Ma otwarty umysł. Na pewno przeczytał ustawę o broni. A ona mówi, że po nabyciu broni właściciel ma obowiązek przerejestrować ją co pięć lat, to znaczy przynosić na policję i okazywać. Oriechow nabył legalnie dwa pistolety, są oficjalnie zarejestrowane. Po jakichś czterech latach zjawi się jak gdyby nigdy nic i napisze oświadczenie o utracie jednego pistoletu gazowego. Jednego, rozumie pan? Drugi będzie musiał okazać. Dwa oświadczenia są niebezpieczne, mogą wzbudzić podejrzenia. Jedno nikogo nie zaniepokoi, bo przypadki kradzieży zdarzają się na okrągło. Tak więc piąty pistolet leży u niego w domu...

Nagle Romek przygasł i ze złością uderzył pięścią w biurko.

– Przerobiony – wymamrotał ledwie słyszalnie. – To się przecież wyda podczas pierwszej kontroli. Oriechow nie może zanieść przerobionego pistoletu do ponownej rejestracji. Więc schemat musi być inny. No i te kontrole... Dzielnicowy ma prawo zjawić się w każdej chwili u właściciela zarejestrowanej broni, żeby sprawdzić, czy jest przechowywana w zamykanej na klucz metalowej szafie, no i czy przestrzegane są pozostałe przepisy... Co będzie, jeśli podczas tej kontroli okaże się, że Oriechow zamiast dwóch pistoletów gazowych ma tylko jeden, w dodatku przerobiony na ostrą amunicję, drugiego w ogóle nie ma, a wcześniej nie powiadomił o jego utracie czy kradzieży. Nie, to rzeczywiście brzmi jak bajka. Nic tu nie pasuje.

Anton nagle się uśmiechnął i życzliwie klepnął po plecach wytrąconego z równowagi Dziubę.

– Jesteś geniuszem, Romek! Słusznie kombinujesz!

– Nic przecież nie pasuje! – z rozpaczą zawołał Roman.

– Wszystko idealnie pasuje! Przypomnij sobie, co powiedziałeś o Oriechowie, gdy go poznałeś w klubie. No dalej, rusz głową! Jeszcze cię...

Już miał powiedzieć: „Anastazja Pawłowna prosiła, żebyś podał przykład”, ale w porę ugryzł się w język. Raczej nie należało wspominać przy Zarubinie o tym, że współpracują z agencją detektywistyczną zaangażowaną przez obronę.

– Prosiłem cię, żebyś podał przykład, a ty opowiadałeś o jachcie. I mówiłeś, że Oriechow nie widzi dalszego celu, ma na uwadze tylko to, co jest blisko. No?!

Zwieszona ramiona Dziuby się wyprostowały, oczy znowu rozbłyły.

– Chcesz powiedzieć, że o tym w ogóle nie pomyślał?

– Może pomyślał, ale się nie przejął. Pięć lat to przecież szmat czasu! Zanim upłyną, zdąży się rozprawić z Własowem i koniec! Nie sięga dalej myślą i nie zagląda w przyszłość.

– A kontrole dzielnicowego?

– Tutaj liczy na tatusia i na Wąsikowa. To niemożliwe, żeby właściciel ekskluzywnego domu pod Moskwą nie miał układów z lokalną milicją. No a Wąsikow nie da skrzywdzić dobrych znajomych. Tak więc żadnych niespodziewanych kontroli i gości.

– Wąsikow? – nagle zapytał Zarubin, chmurząc się. – Czy to czasem nie Oleg Siemionowicz.

– Zgadza się. – Roman kiwnął głową. – Zna go pan?

– A jakże! – mruknął podpułkownik. – Przez całe życie harowałem wprawdzie w wydziale kryminalnym, a Wąs poświęcił się walce z przestępstwami gospodarczymi, ale mamy razem na koncie tyle akcji, że nawet teraz przyjemnie to sobie przypomnieć! Znał się na swoim fachu jak mało kto. Kim teraz

jest?

– Szefem służby ochrony w spółce Fighter Trade, której właścicielem jest ojciec naszego figuranta Filipa Oriechowa – zameldował Dziuba.

– Przynajmniej na tym polu mu się powiodło – filozoficznie zauważył Zarubin. – A przy okazji, Pawłowna też świetnie go zna. Kiedyś Wąs się w niej kochał. Przez trzy czy cztery dni... Co tak na mnie patrzycie? Myślicie, że nie wiem, ilu was było dzisiejszej nocy w klubie? Za kogo mnie bierzecie? Za ciężkiego frajera? Choć jestem niewysoki, oczy mam bystre, a uszy duże. I ręce, nawiasem mówiąc, bardzo długie. Za ukrywanie informacji przed starszym stopniem będę surowo karał. Komedianci, żeby ich pokręciło!

Mówił żartem i bez gniewu, zaparzając jednocześnie herbatę w dużym ceramicznym dzbanku, który dostał od kogoś w prezencie na Nowy Rok. Dzbanek był tak szpetny, że nie zabrał go domu, by przyozdobić nim kuchnię. Ale niechciany wyrób doskonale nadawał się, by z niego korzystać w służbowym gabinecie – mieścił w sobie równo trzy duże kubki wody.

– Podstawiajcie swoje wiadra – zadysponował. – I opowiedzcie staremu niedołącznemu gliniarzowi historię listów Oriechowa. Domyślałam się, że chłopak chciał przy okazji zbić trochę kasy, ale mu nie wyszło. To znaczy nie wyszło z Gandzumianem. Z innymi nie próbował?

– Chyba nie. – Anton pokręcił głową. – Pewnie chciał spróbować z Jefimową, ale nie zdążył. Pozostali nie są zamożni, dużo się od nich nie wyciągnie, zresztą raczej nie uwierzyliby w zlecenie.

– Niby dlaczego?! – zaproponował Zarubin. – Policjant na służbie mógł uwierzyć, że ktoś na niego poluje. Ale interesy z gliniarzami brzydko pachną, więc chyba masz rację. Gandzumian to jedyna tego rodzaju próba. List na pewno pisał Oriechow? Mówiliście, jeśli dobrze pamiętam, że chłopcy

sprawdzali, wszystkie adresy są lewe, używaliście jakichś mądrych słów, wspominaliście o serwerze anonimizującym oraz innych bzdurach. Znowu coś knujecie?

Dziuba i Anton gorliwie mieszali łyżkami cukier w kubkach i mieli przy tym takie miny, jakby w tym momencie tylko to się dla nich liczyło.

– Rozumiem. – Zarubin kiwnął głową z satysfakcją. – Pawłowna mieszka teraz u brata, a ten jej braciszek, Aleksander, którego znam na wylot, ma synalka w odpowiednim wieku i o podejrzanych komputerowych skłonnościach. To on namierzył wam Oriechowa.

– Nudno z tobą, Kuźmicz – wycedził Anton, patrząc w okno. – Ani cię zadziwić, ani oszukać... Nuda.

– Gdyby było wesoło, dawno by was posłano na zieloną trawkę – odparł Siergiej Kuźmicz. – A mnie razem z wami. Szefowie są nudni i uparci, a to się wiąże z tym, że długo siedzą na swoich stołkach. Właśnie dlatego, że są nudni. Ani ich zadziwić, ani oszukać. Po co tu tkwimy? Na kogo czekamy? Bierzcie się do roboty i weźcie pod lupę życie Własowa i Oriechowa, sięgnijcie aż do wieku przedszkolnego i niemowlęcego. Roman ma rację, cała ta historia przypomina zemstę i próbę wrobienia, w dodatku ten, kto się mści, wie, na kim i za co się mści, ale jego ofiara nawet nie podejrzewa, że kiedyś nastąpiła mu na odcisk. Jeśli odkryjecie motyw, całkiem możliwe, że znajdziecie też odpowiedź na pytanie, po co potrzebny jest piąty pistolet.

– Możemy chociaż dopić herbatę? – z kpina zapytał Anton.

– Nie możecie! – ryknął Zarubin niespodziewanie donośnym głosem.

Mimo to dopili ją i nawet wyjedli resztę herbatników z okrągłego blaszanego pudełka.

– Staszys! – zawołał Zarubin, gdy obaj opuszczali pokój.

Anton się odwrócił i pytająco spojrzął na podpułkownika.

– Pamiętasz, co powiedział Müller do Stirlitza?

Anton kiwnął posępnie głową. Zdanie „Stirlitz! Proszę, żeby

pan został” weszło do codziennego języka, znały je nawet dzieci. To znaczy, że Kuźmicz ma w zanadrzu złą wiadomość.

– Poczekaj na mnie na korytarzu, Roman. Zaraz przyjdę – powiedział do Dziuby i zamknąwszy drzwi, oparł się o nie plecami.

– Jeżeli sądzisz, że jestem jak oswojona papuga, która wypełnia twoje prośby, nie wnikając w ich sedno, to się grubo mylisz – wesoło i spokojnie ciągnął Zarubin. – Dałeś mi do sprawdzenia telefonu Oriechowa i dwóch innych gości, którzy prawdopodobnie maczali palce w zabójstwie Jefimowej. No więc przeanalizowałem, co z tego wynikło. W chwili zabójstwa Jefimowej obaj panowie byli akurat w dzielnicy, w której znaleziono ciało. To dobrze. Ale z jakiegoś powodu parę dni temu ich telefony komórkowe zalogowały się do sieci niedaleko twojego domu. Późnym wieczorem. Chcesz mi coś powiedzieć?

– Nie chciałem – ponuro odparł Anton. – Ale teraz chyba będę musiał.

===

Anastazja Kamińska i Witalij Kirgan siedzieli w samochodzie adwokata zaparkowanym jakieś pół kilometra od budynku Komitetu Śledczego, gdzie znajdował się gabinet Bağłajewa. Fiodor Uljancew wszedł do środka ze trzy godziny temu. Obiecał, że po rozmowie ze śledczym od razu zadzwoni do Antona Staszysa i jeśli wynik rozmowy okaże się satysfakcjonujący, Anton zatelefonuje do Nastii albo do Kirgana, a ten podejmie działania stosowne do sytuacji. Wieczór dwudziestoczworgodzinny dyżuru to najodpowiedniejszy moment na rozmowę w gabinecie śledczego: o tej porze nie wyznacza się żadnych czynności śledczych i jeżeli nie pojawi się konieczność wyjazdu na miejsce zdarzenia, nic i nikt nie przeszkodzi rozmówcom.

Nastia znała Kirgana od niedawna, nie mieli wspólnych

tematów do pogawędki, wszystko, co dotyczyło sprawy, już omówili, więc teraz siedzieli ze wzrokiem utkwionym w swoich iPadach. Kirgan przygotowywał pisma, a Nastia układała puzzle i oddawała się rozmyśleniom o amerykańskim i angielskim kinie lat trzydziestych i czterdziestych. Właściwie myślała nie o samej sztuce filmowej, tylko o tym, że nie ma o niej pojęcia i że gdyby miała podać na poczekaniu reżyserów tego okresu, wymieniłaby jedynie Alfreda Hitchcocka. Tymczasem okazuje się, że Władimir Własow zna reżysera nazwiskiem Cukor, o którym Nastia nie słyszała. Jaki jest zakres zainteresowań i wiedzy Własowa? Ku zaskoczeniu wszystkich został artystą, ale maluje tylko ściśle określony zestaw figur i kroków. Zna kino amerykańskie i angielskie... Co jeszcze? Możliwe, że coś zupełnie niecodziennego, ale to właśnie owo coś wiąże go z Filipem Oriechowem, który ni z tego, ni z owego, chyba dla kaprysu, za Bóg zapłać, wymyśla długą i złożoną kombinację mającą na celu umieszczenie Własowa w więzieniu, i to do końca życia.

Nastia zamknęła puzzle, nacisnąwszy pauzę, otworzyła wyszukiwarke i zaczęła, sama nie wiedząc po co, przeglądać informacje na temat anglojęzycznych reżyserów, czytała ich biografie, nazwy filmów, nazwiska aktorów, którzy w nich występowali...

Czegoś szukam, brzęczała w głowie natrętna myśl. W dodatku moja podświadomość dokładnie wie czego, a ja nie potrafię tego określić. Po co to czytam? Co chcę znaleźć? Bo przecież coś chcę, tylko nie wiem co.

Była na siebie zła, ale metodycznie, plik za plikiem, otwierała informacje i je przeglądała, nawet nie próbując ich sobie uświadomić ani zapamiętać. W końcu dotarła do Hitchcocka, na ekranie pojawiła się lista jego filmów. Większość tytułów była Nasti znana, parę lat temu Loszka podarował jej kolekcję płyt z filmami Hitchcocka w solidnych pudełkach i po przejściu na emeryturę zdążyła obejrzeć z piętnaście obrazów mistrza.

*Starsza pani znika, Podejrzanie, Ostawiona, Północ – północny zachód, Psychoza, Niewłaściwy człowiek, Nieznajomi z pociągu...*

Zadzwoił telefon, Anton Staszys poinformował, że Uljancew załatwił sprawę. Obeszło się nawet bez rozlewu krwi, bo Bagłajew to jednak zawodowiec, mimo że ma trudny charakter. Rozmowa z Fiodorem dowiodła, że śledczy już od dawna czuł, iż posuwa się w niewłaściwym kierunku, ale innego po prostu nie widział.

Nastia wsunęła telefon do kieszeni wiatrówki i odwróciła się do adwokata.

– Chyba wszystko w porządku. W każdym razie Fiodor wyszedł z gabinetu śledczego cały i zdrowy.

– To dobrze. – Kirgan skinął głową. – Odczekam dla przyzwoitości ze dwadzieścia minut i jeśli Bagłajew nie wyjedzie do zdarzenia, zaryzykuję i do niego zadzwonię. Jeżeli zgodzi się mnie przyjąć od razu, to znaczy, że się udało i ... – Nie zdążył dokończyć, bo zabrzączał jego telefon. – Pewnie Anton uznał, że na wszelki wypadek zadzwoni też do mnie – powiedział, podnosząc kłapkę, ale natychmiast brwi podjechały mu w górę. – To Bagłajew.

Nacisnął przycisk i odezwał się jak gdyby nigdy nic:

– Słucham, Timurze Achmedowiczu... Ależ skąd, oczywiście, że nie śpię, godzina jeszcze młoda, nie ma nawet dziesiątej. Coś się stało? Naturalnie, że przyjadę, nie ma problemu. Chwileczkę, sprawdzę w Internecie ruch na drodze... Wygląda na to, że dotrę do pana za jakieś dwadzieścia minut. Zaczeka pan? Aha, ma pan dyżur. Oczywiście, Timurze Achmedowiczu, jeśli będzie pan musiał wyjechać do zdarzenia, to na pana zaczekam. Nie, nie, proszę się nie martwić, w razie czego posiedzę w samochodzie, nic mi nie będzie. No to jesteśmy umówieni.

Kirgan rozłączył się i w zamyśleniu potarł palcem nos.

– Wszystko przebiega zupełnie nieoczekiwanie... Byłem



przygotowany na inny rozwój wydarzeń. To, że Bagłajew sam do mnie zadzwonił od razu po rozmowie z Uljancewem, dowodzi, że szybko kojarzy i ma umysł ostry jak brzytwa. No cóż, Anastazjo, chyba może pani wracać do domu. Dziękuję, że pani przyjechała i zdążyła podzielić się ze mną informacjami oraz swoimi wnioskami, teraz zjawię się u śledczego w pełnym rynsztunku bojowym. Wygląda pani na zmęczoną, przecież zarwała pani ostatnią noc.

– Zostanę – wycedziła Nastia. – Nie wiadomo, jak potoczy się rozmowa. W razie czego będę miała do rana czas, żeby zaproponować nowy plan. Niech się pan nie martwi o samochód, przesiądę się do swojego, a pan pojedzie na spotkanie.

Kirgan roześmiał się wesoło.

– Co to, to nie! Pojedziemy razem moim wozem, a nuż będę musiał czekać na Bagłajewa, jeśli zostanie wezwany do zdarzenia. Dotrzyma mi pani towarzystwa i pomoże zabić czas.

Odczekali obiecane dwadzieścia minut, po czym podjechali pod budynek Komitetu Śledczego. Na wszelki wypadek Kirgan zadzwonił do Bagłajewa, który na szczęście był na miejscu.

– No to przeżegnaj się i idę. – Uśmiechnął się do Nasti, mimo że oczy miał poważne i krył się w nich niebezpieczny blask, jak u drapieżnika szykującego się do skoku.

– Życzę powodzenia.

Patrzyła, jak adwokat wchodzi do środka, później wolno przesunęła wzrok na ekran tabletu, na którym wciąż widniała lista filmów Hitchcocka.

*Nieznajomi z pociągu.* Boże, jakie to proste...

===

Dziecięce i szkolne lata Władimira Własowa i Filipa Oriechowa przypadły niestety na okres przedkomputerowy, więc czekając na nadejście poniedziałku, kiedy to śledczy Bagłajew zwróci się

o akta innych spraw związanych z przestępstwami, które prawdopodobnie popełnił Oriechow, Anton Staszys i Roman Dziuba pilnie zbierali informacje dostępne w niedzielę. Wieczorem było wiadomo, że w ten sposób niewiele osiągną.

Własow i Oriechow nigdy nie mieszkali nie tylko w jednym domu czy na jednej ulicy, ale też w tej samej dzielnicy, uczęszczali do innych przedszkoli i uczyli się w innych szkołach. Poza tym matka Własowa i ojciec Oriechowa też nigdy i nigdzie się nie spotkali. Żona Wadima Konstantinowicza Oriechowa, matka Filipa, umarła bardzo dawno temu, od tamtej pory Oriechow senior nie wstąpił oficjalnie w związek małżeński, ale miał oczywiście sercowe sympatie. Jego przyjaciółki też zostały sprawdzone, choć dość powierzchownie. Ojca Władimira Własowa nie udało się w ogóle znaleźć. Okazało się, że już od wielu lat nie mieszkał w Moskwie.

– Dosyc, Romek, jestem skonany – stwierdził Anton pod koniec dnia. – Nic już do mnie nie dociera. Podrzucę cię do domu i pojedę się przespać. Albo jak chcesz, jedźmy razem do mnie.

– A dzieci? Ela pewnie już je przywiozła, jutro przecież poniedziałek, Waśka musi iść do szkoły...

– Ech, widać, że z ciebie bezdzietny kawaler. – Anton się roześmiał. – Jaka szkoła? Już wakacje. Dzisiaj Ela zadzwoniła i zaproponowała, żeby dzieci zostały u niej za miastem, będzie tylko dowoziła Waśkę do szkoły sportowej. Rozumiem ją, tak jest wygodniej, ma pod bokiem Truszczowa, to przecież jej sąsiad, mieszka dom dalej. No i nie musi tak wcześnie wstawać. Zgodziłem się, niech dzieciaki pomieszkają przez parę tygodni na łonie natury. Będę oczywiście za nimi tęsknił – dodał ze smutkiem. – Mam nadzieję, że one za mną też. Ale obiektywnie rzecz biorąc, u Eli będzie im lepiej.

– A więc jesteś sam? – Dziuba się ucieszył. – No to jedźmy do ciebie. Bo u mnie w domu panuje napięta atmosfera, rodzina nie daje mi żyć.

– A o co poszło? – zapytał Anton bez zainteresowania, jedynie z grzeczności.

– O Dunię.

– Chyba żartujesz! – zdziwił się Staszys. – Nie ściemniaj! Nigdy nie uwierzę, że twoja Dunia może się komuś nie spodobać. To przecież chodzący anioł, na mój gust ostatnie takie egzemplarze pochodzą z końca dziewiętnastego wieku.

– A jednak – potwierdził Roman z pochmurną miną. – Mama uważa, że lepiej ode mnie wie, jak powinienem żyć, jak się ubierać, jak długo spać i co jeść, a Duniasza sądzi, że to nadopiekuńczość, że mama ogranicza moją wolność i próbuje wywierać nacisk, nie pozwalając mi się rozwijać i podejmować własnych decyzji. Nie tylko tak sądzi, ale też mówi to mamie prosto w oczy. Nad wyraz uprzejmie, rzecz jasna, taktownie, bez chamstwa, ale twardo.

Anton z jakiegoś powodu odzyskał humor.

– Ach, ta Duniasza! Akurat po niej się tego nie spodziewałem. Słuchaj – zreflektował się nagle – w lodówce przecież pusto. Ela przygotowała jedzenie tylko na dwa dni i wszystko już wsunęliśmy. Chyba musimy wpaść po drodze do sklepu.

– No to wpadnijmy. A może poproszę Dunię, żeby przyjechała i coś przygotowała, to dla niej żaden problem. Co ty na to, Tocha?

– Dobra myśl – Anton ze śmiechem kiwnął głową. – I zostanie z tobą na noc. Kogo chcesz oszukać, smarkaczu?

Romek oblał się rumieńcem.

– A niech cię – wybąkał. – Przecież chciałem dobrze.

Anton już miał rzucić jakąś żartobliwą i ciętą uwagę, bynajmniej nie obraźliwą, ale przeszkodziło mu brzęczenie telefonu – przyszła wiadomość.

Wiadomość okazała się niespodziewana: „Czy może pan teraz rozmawiać? Olga Witort”.

O co jej chodzi? Wiadomo, że jest kobietą interesu i jako taka doskonale rozumie, że nie zawsze można odebrać telefon, więc

ma w komórce szablon z odpowiednim tekstem, by w razie potrzeby zawczasu wysłać go do tego, z kim chce porozmawiać. Ale żeby traktować w ten sposób detektywa, w dodatku o wpół do jedenastej wieczorem? Chociaż możliwe, że to kwestia przyzwyczajenia, rutynowe zachowanie wobec wszystkich.

Nie wysłał odpowiedzi, tylko zadzwonił.

– Coś się stało? – zapytał.

– Nie, wszystko w porządku. – Głos był, tak jak poprzednio, surowy, chłodny i bez wyrazu. – Prosił pan, żebym porozmawiała z Ałłą Władimirowną o Wołodi, w końcu znają się wiele lat, podczas gdy ja go praktycznie nie znam, trzymam jedynie w swoim dziale i pozwalam, żeby dostawał wynagrodzenie. No więc porozmawiałam z nią dzisiaj.

– I co powiedziała?

– Nic. Nigdy nie słyszała, żeby Wołodia wspominał o Filipie Oriechowie. Zastanawiałyśmy się, z kim Wołodia mógłby się przyjaźnić i spotykać, biorąc pod uwagę jego charakter. Filip zupełnie nie nadaje się na jego przyjaciela. Ale nawet nie o to chodzi. Odwiozłam Ałłą Władimirownę na zdjęcia i wciąż myślałam o naszej rozmowie, o pańskich pytaniach. Doszłam do wniosku, że Wołodi i Oriechowa nic nie mogło łączyć. Chodzi nie tyle o Wołodię, ile o samego Oriechowa. Bo widzi pan...

– Chwileczkę, Olgo – przerwał jej Anton. – Porozmawiajmy spokojnie i bez pośpiechu. Jest pani teraz w domu?

– Jeszcze nie, wracam od przyjaciółki. Chciałam zadzwonić do pana przed jedenastą, póki jeszcze wypada.

– Więc gdzie pani jest?

– Prospekt Lenina, w kierunku centrum, kilometr przed zjazdem na Trzeci Pierścień.

– Może się pani teraz ze mną spotkać? – zapytał Anton, nie wiedząc, po co to robi i dlaczego nie może wysłuchać świadka przez telefon.

– Oczywiście, nie ma problemu, jeśli to konieczne.

W głosie Olgi nie było ani zdziwienia, ani oburzenia. Ciekawe,

czy w ogóle ulega emocjom? A może jest świetnie skonstruowanym, niezmordowanym robotem? Anton od razu przypomniał sobie wczorajsze spotkanie i ową czułą troskę, z którą popatrywała na jego dzieci. W tamtej chwili wydawała się normalną kobietą... A w innych chwilach sprawiała wrażenie bezdusznej maszyny.

Szybko uzgodnili trasę i miejsce spotkania, Olga od dawna prowadziła samochód i doskonale znała Moskwę.

– Słuchaj, farciarzu. – Anton uśmiechnął się łobuzersko. – Podrzucam cię do najbliższego metra i powierzam klucze od swojego mieszkania. Możesz zadzwonić do Duniaszy. Sami zdecydujcie, kto robi zakupy. Tu masz pieniądze. – Wsunął Dziubie parę banknotów do ręki. – Ale żeby stół uginał się od jedzenia, gdy wrócę. Nawiasem mówiąc, wasza obecność przy stole nie jest konieczna.

– Dzięki, Tocha. – Romek wyraźnie się ucieszył. – Jesteś prawdziwym przyjacielem!

I od razu zaczął wydzwaniać do swojej dziewczyny.

Przed wejściem do metra pośpiesznie wysiadł i pognał schodami w dół.

===

Anton Staszys właściwie nie potrafiłby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nagle postanowił przejść się bulwarami w dzielnicy Patriarszych Prudów. Coś go zwyczajnie podkusiło... Z dziećmi tu nie spacerował – za daleko od domu. Z Lizą też nie – dziewczyna w ogóle nie była miłośniczką spacerów, cały swój czas skrzętnie dzieliła pomiędzy pracę nad doktoratem a spotkania z Antonem, w dodatku w owych spotkaniach nie było nic romantycznego. Spacerowo-teatralno-kwiatowa wersja ich relacji jak gdyby w ogóle dla niej nie istniała.

Mimo że Anton spędził całe dzieciństwo w domu, w którym mieszkał do dzisiaj, to znaczy daleko od centrum, rodzice często

zabierali tutaj trójkę dzieci, więc bulwary w dzielnicy Patriarszych Prudów na trwałe skojarzyły mu się z poczuciem dużej, szczęśliwej rodziny. Później, niemal na oczach Antona nagle umarł ojciec, potem zginął w Czeczenii starszy brat, a po nim, w wyniku nieszczęśliwego wypadku zginęła starsza siostra. Mama nie wytrzymała nieprzerwanego ciągu strat i podjęła decyzję o odebraniu sobie życia. W wieku siedemnastu lat Anton został sam jak palec. Strasznie brakowało mu rodziny...

Przyjechał przed Olgą i zdążył wpaść do firmowej cukierni na rogu Małej Bronnej i Pierścienia Sadowego, żeby kupić parę drożdżówek. Teraz spacerowali wolno wokół stawu, jedząc słodkie bułeczki, a Olga streszczała podsłuchaną przypadkiem rozmowę Filipa Oriechowa z ojcem.

– A więc sam pan widzi – dowodziła – że tacy ludzie jak Wołodia Własow nie mają żadnych szans, żeby przyciągnąć uwagę Filipa. Chłopak lubi takich jak ten jego nowy przyjaciel: beztroski oszust, bez trudu wyłudza forszę i nikomu jej nie oddaje, szuler karciany, hazardzista, niewybredny w zawieraniu intymnych znajomości. To jest prawdziwy świat Filipa, wśród takich ludzi czuje się jak ryba w wodzie.

Wszystko to było niezwykle ciekawe. Najpierw Oriechow zwierza się tacie, a później powtarza to samo w sieci. Różnica polegała tylko na tym, że ojcu nie podał nazwiska swojego nowego przyjaciela, a w sieci obrzucał błotem konkretną osobę, Władimira Własowa, dawnego łyżwiarza figurowego, który nigdzie nie pracował, ale sprytnie urządził się w szanowanej spółce Oxygen. Wszystko to musiało czemuś służyć.

– Skoro zapalają gwiazdy, widać komuś jest to potrzebne... – bezwiednie wymamrotał Anton.

– Majakowski? – od razu zareagowała Olga. – Lubi pan wiersze?

– Nie – wyznał Anton. – Nigdy nie lubiłem i nie znam się na poezji. A pani?

– Ja też. Mam tylko dobrą pamięć, do tej pory pamiętam rzeczy, których uczyłam się w szkole. Więc co ma do tego Majakowski?

– Ja też mam dobrą pamięć. – Uśmiechnął się. – Chyba jesteśmy rówieśnikami, a więc uczono nas tych samych rzeczy.

– Pytał pan o relacje Filipa z ojcem. Razem z tamtą rozmową na imprezie korporacyjnej przypominałam sobie swoje odczucia. Bardzo się wtedy dziwiłam, że Filip tak spokojnie opowiada ojcu o swoim raczej podejrzanym nowym znajomym. Pomyślałam, że ich relacje muszą opierać się na zaufaniu. Ja nigdy nie miałam takich relacji ze swoimi rodzicami. Szczerze mówiąc, nawet trochę pozazdrościłam Filipowi.

– Teraz też nie ma pani takich relacji? A może wydorosłała pani, więc relacje się zmieniły?

– Teraz tym bardziej ich nie mam. – Od Olgi nagle powiało chłodem, mimo że jeszcze przed chwilą wydawała się zupełnie spokojna, a nawet odprężona. – Jestem sama od czternastego roku życia.

– A ja od siedemnastego – niespodziewanie wyrwało się Antonowi, choć wcale nie miał zamiaru omawiać swojej sytuacji życiowej ze świadkiem, którego ledwo znał.

– Coś takiego... – Olga pokręciła głową. – Co za zbieg okoliczności. Ale teraz znowu ma pan rodzinę, żonę i dwójkę dzieci. Mnie się nie udało. Podobno mam paskudny charakter i nikt nie chce się ze mną wiązać. Jestem przecież Larą Croft. – Uśmiechnęła się, zdaniem Antona gorzko i z pewnym zakłopotaniem.

– Dzieci, owszem, mam. Ale żony nie mam. Została zabita. Zastrzelona na ulicy, gdy była w ciąży z trzecim dzieckiem.

Po co, po co o tym mówi? Co ją obchodzi jego nieżyjąca żona, dzieci i w ogóle on sam?

Olga nagle się zatrzymała, uniosła głowę i spojrzała nań z niepokojem.

– A z kim teraz są dzieci? Skoro nie ma pan żony...

Przepraszam, chyba powinnam najpierw złożyć panu wyrazy współczucia, ale od razu pomyślałam o dzieciach. Przecież jest już bardzo późno.

Anton pośpiesznie ją uspokoił, wyjaśniając, że dzieci są z nianią, za miastem, pod opieką.

– A więc jest pan teraz sam? Więc kto panu gotuje? Kto zmywa naczynia? – W jej głosie słychać było szczere współczucie i troskę. Aż trudno było sobie wyobrazić, że tę młodą kobietę nazywano Larą Croft.

– Radzę sobie. – Anton się roześmiał. – Tylko do siedemnastego roku życia byłem synkiem mamusi, później szybko wszystkiego się nauczyłem. Pracę mam taką, że na nic nie starcza czasu i trudno cokolwiek zaplanować.

– Rozumiem. A teraz ma pan w domu coś do jedzenia? Jest pan przecież głodny, widziałam, jak pochłonał pan swoją drożdżówkę.

– Mam nadzieję, że lodówka nie jest pusta. Wysłałem do mieszkania kolegę, obiecał zaprosić swoją dziewczynę, która wspaniale gotuje, więc gdy wrócę, kolacja powinna być już na stole. Chociaż...

Roześmiał się wesoło, wyobrażając sobie, jak Dziuba i Duniasza, pozostawieni sami, przygotowują kolację w kuchni. Mało prawdopodobne! Raczej ze świata fantazji. Nawet jeśli założyć, że oboje rzeczywiście są w kuchni, na pewno nie zajmują się przygotowaniem posiłku. Raczej leżą w salonie na szerokiej rozkładanej kanapie i w ogóle nie myślą o kolacji. Mają ciekawsze zajęcie.

Olga jakby czytała w jego myślach.

– Kolega z dziewczyną – powiedziała kpiąco. – Zrobili chociaż zakupy?

– Sądzę, że tak – bez wahania odparł Anton.

– Jeśli pan chce, możemy teraz pojechać do pana. Przygotuję jedzenie chociaż na jakieś trzy dni.

Jej słowa wprowadziły go w konsternację, ale ku swojemu



wielkiemu zdziwieniu usłyszał własny głos, który wbrew jego woli mówił:

– Pewnie liczyła pani na to, że grzecznie odmówię? Sama jest pani sobie winna. Chętnie przyjmę pani propozycję.

Boże, co on plecie? Po co? Po co zgodził się zaprosić Olę Witort, nieugiętą Larę Croft? Żeby mu gotowała?! Zawracanie głowy! Romek z Duniaszą są na miejscu, pewnie przygotowali już górę jedzenia i czekają na niego, pana domu, a on zamierza zjawić się w towarzystwie zupełnie nieznanego mu kobiety, w dodatku świadka w sprawie... Co gorsza, niedawnej podejrzanego. Czyżby stracił rozum?

Anton uznał, że szczegółową analizą stanu własnego umysłu i ustaleniem skali zniszczeń zajmie się później.

Zapytał tylko:

- Gdzie pani zostawiła samochód?
- Na Bronnej, udało mi się jakoś wcisnąć. A pan?
- Na Sadowym, na podwórzu. W takim razie czekam na panią przed skwerem koło teatru Mossowietu.
- Dobrze. – Olga kiwnęła głową.

===

W przedpokoju paliło się światło, w kuchni też. Nie dochodziły jednak żadne zapachy świadczące o tym, że coś gotowano. Wszędzie panowała martwa cisza. W pierwszej chwili Anton pomyślał, że Romek i Duniasza gdzieś poszli, ale zaraz potem zobaczył na podłodze adidasy Romka, a obok nich małe sandały. To znaczy, że oboje już śpią. A może nie śpią, tylko siedzą jak myszy pod miotłą.

– Pewnie zasnęli – wyszeptał. – Proszę, tu są kapcie, chodźmy do kuchni.

Okazało się, że wszystko wygląda mniej więcej tak, jak przypuszczał. Liczne reklamówki z zakupami poniewierały się na podłodze. Jedna była częściowo rozpakowana – na stole

znajdował się chleb, paczka cukru i dwa opakowania wędlin w plastrach. Ale na tym najwyraźniej się skończyło.

– Ma pan fartuch? – też szeptem zapytała Olga.

Anton w milczeniu podał jej fartuch, w którym Ela krzątała się zwykle po kuchni. Olga zabrała się do rozpakowania toreb, które, jak się okazało, zawierały przydatne rzeczy. Widocznie Romek i Duniasza, będąc w sklepie, zachowali jeszcze zdrowy rozsądek.

– Zrobię panu herbatę i kanapki, zje pan i się położy, bo aż przykro na pana patrzeć. Mogę też szybko przygotować syrniki, ale to zajmie piętnaście minut, lepiej, żeby się pan przespał, niż bezmyślnie czekał.

– A co z panią?

– Zostanę i zajmę się wszystkim. Chyba że się pan boi, iż splądruję pańskie mieszkanie, podczas gdy pan będzie spał? – Roześmiała się cicho.

– Trudno tu cokolwiek ukraść – wybąkał Anton. – Cały sprzęt jest w salonie, ale tam śpi Roman z Duniaszą, a w pozostałych pokojach nie ma nic cennego.

– No to świetnie. – Olga zręcznie kroїła chleb i robiła kanapki, ozdabiając je plastrami ogórka, czerwonej papryki i gałazkami koperku. – Prześpi się pan, a gdy się pan obudzi, lodówka będzie pełna pojemników z jedzeniem, wystarczy tylko podgrzać.

Anton nie miał ochoty oponować. W ogóle na nic nie miał ochoty. Chciał tylko coś zjeść i się przespać. Albo przynajmniej się położyć, wyciągnąć nogi i zamknąć oczy.

===

Obudził się gwałtownie, jakby ktoś go szturchnął, i długo jeszcze nie mógł sobie przypomnieć, jak zasnął. Jak się rozbierał i brał prysznic. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, były otwarte drzwi sypialni i jasna plama złocistej narzuty na łóżku.

Poruszył ręką, ze zdziwieniem przyglądając się przedramieniu, i stwierdził, że właściwie nie ma czego sobie przypominać. Nie rozbierał się, nie brał prysznic i nie ścielił łóżka, po prostu padł na nie w ubraniu.

W mieszkaniu było cicho. Zegarek pokazywał parę minut po szóstej. Romek z Duniaszą pewnie jeszcze śpią.

Anton szybko się rozebrał, wziął prysznic, ogolił się, umył zęby, włożył świeżą bieliznę, czyste dżinsy i cienki bawełniany pulower, po czym zajrzał do kuchni. Podłoga tak lśni, że można z niej jeść. Na blacie stoją rzędem plastikowe pojemniki, na rozłożonej ściereczce schną przewrócone do góry dnem umyte garnki i patelnie. Na stole kuchennym, nieskazitelnie czystym, znalazł kartkę zawierającą szczegółową listę przygotowanych potraw oraz dokładny opis, co w jakim pojemniku się znajduje. Pismo Olgi było zdecydowane i staranne, podobne do niej. Tekst miał charakter wyłącznie informacyjny, bez żadnych „dzień dobry”, „cześć!”, „całuję” czy choćby „do zobaczenia”. I podpis jak w oficjalnym dokumencie: „O. Witort”. Oraz godzina: 4.10.

To dopiero kobieta, pomyślał Anton ni to z szacunkiem, ni to z podziwem, po czym dość bezceremonialnie wtargnął do salonu, gdzie jego zdaniem powinni twardo spać Romek i Duniasza, wyczerpani miłosnymi igraszkami. Wszystko wyglądało mniej więcej tak jak przypuszczał, z tą tylko różnicą, że Romek rzeczywiście spał z błogim uśmiechem na twarzy, a Duniasza siedziała nieruchomo na krześle koło kanapy i nie odrywała oczu od rudowłosego wywiadowcy. Słyszając, jak otwierają się drzwi pokoju, odwróciła głowę i uśmiechnęła się radośnie do Antona.

– Cześć! Pora na budzenie? – zapytała półgłosem.

– Oczywiście – gromko odparł Anton. – Trąbka wzywa. Wczoraj odpuściliście sobie kolację, smarkacze, więc teraz róbcie śniadanie.

Dziuba otworzył oczy przestraszony, zorientował się, że jest

już rano, i okropnie się zmieszał.

– Jakoś tak wyszło, Tocha. No wiesz... Zrozum, Tocha!

– Dobra, wstawaj, bohaterski kochanku, policzymy się później.

Na wszelki wypadek, w celach wychowawczych, Anton usiłował mówić surowym tonem i zachować poważną minę, ale efekt był kiepski – nie potrafił stłumić uśmiechu rozbawienia. Dunia poderwała się i popędziła do kuchni, żeby przygotować śniadanie, Anton zaś ruszył z Dziubą do łazienki.

– Zwariowałeś? – zawołał Romek. – Nie widziałeś gołego faceta?

– Też mi atrakcja! – prychnął Anton. – Szybko ustalmy plan dnia, bo przecież nie będziemy go omawiać przy Duni. Zamierzam zająć się Żurichinem, bratem dziewczyny, która zginęła w pożarze. Według informacji Kuźmicza facet jest w Moskwie i jeśli się nie przemieszcza, przebywa na wskazanym osiedlu. Skoczę tam i pogadam z dzielnicowym, dzisiaj za wszelką cenę muszę znaleźć tę wynajętą chatę, w której Żurichin się zadekował.

– Sam chcesz go zatrzymać? – Roman się przestraszył. – Nie wygłupiaj się, Tocha, to zabójca. Wezwij grupę.

– Jasne, już po nią pędzę. To nie zabójca, Roman, tylko człowiek, który pomścił krzywdę siostry, a to co innego. Zabił Jefimową razem z Szokinem i na tym koniec, nikogo więcej nie tknie palcem. To normalny chłopak, pytałem o niego w miejscu zamieszkania. Spokojny i przy zdrowych zmysłach. Więc sobie z nim porozmawiam. Odstawię do aresztu, zamknę w celi. Muszę to jednak zrobić, zanim Szokin wróci z trasy. A on wróci już jutro. Więc dzisiaj będziesz tyrał samotnie.

– Szokina też zamierzasz jutro sam zatrzymać? – z przerażeniem zapytał Dziuba.

– To zależy. Jeśli uda mi się znaleźć dzisiaj Żurichina i skłonić go do zeznań, jutro można oddać Szokina komu innemu, to już nie będzie miało specjalnego znaczenia. Ale jeśli Żurichin się

uprze, wtedy będę musiał sam porozmawiać z Szokinem, długo i wnikliwie, żeby się przyznał do winy. Byłoby dobrze, gdyby biegli skończyli do tego czasu ekspertyzę substancji potowłuszczowej.

– A na kiedy obiecali?

– Zarzekali się, że będzie gotowa dzisiaj przed południem. A przy okazji, Szokin i Żurichin całe życie spędzili w rodzinnym miasteczku, więc w lokalnej przychodni są ich karty. Szokin ma grupę krwi A Rh plus, a Żurichin B Rh minus. To rzadko występujące połączenie. Jeśli się okaże, że na nożu i na pudełku są ślady obu, można odetchnąć i przyjąć, że sprawa jest zamknięta. A teraz słuchaj, jakie masz dzisiaj zadanie.

Dziuba wszedł pod prysznic i zaciągnął zasłonę. Żeby nie przekrzykiwać szumu wody, Anton musiał przysiąść na skraju wanny po przeciwnej stronie prysznic i wystawić głowę, osłaniając się przed zachlapaniem kotarą. Podczas gdy Romek nacierał się gąbką, Anton streszczał mu to, czego się dowiedział od Olgi.

– Dlatego skontaktujesz się z Kamieńską, Roman, padniesz jej do nóg i poprosisz, żeby zorganizowała spotkanie z Olegiem Siemionowiczem Wąsikowem.

– Po co?

– Bo na gwałt potrzebujemy dobrego, przychylnego kontaktu z Oriechowem seniorem i tylko Wąsikow może nam w tym pomóc. Wadim Konstantinowicz Oriechow jest naszą ostatnią nadzieją. Tylko on może wiedzieć, za co jego syn mści się na Władimirze Własowie, ponieważ, jak już ustaliliśmy, nikt inny nie ma o tym pojęcia. Musimy się dowiedzieć, dlaczego Filip Oriechow nie tylko kłamie na temat Własowa w Internecie, ale też obsmarowuje go przed tatusiem. Dopóki nie poznamy celu tej intrygi, nie ruszymy z miejsca.

– Gdzie przepadliście, chłopcy? – rozległ się za drzwiami głosik Duni. – Wszystko gotowe, stygnie. Urywają się też wasze telefony. Przynieść?

Anton uchylił drzwi do łazienki i wyciągnął rękę.

– Podaj.

Dunia przyniosła dwie komórki, jedna z nich już milczała, ale druga natrętnie wygrywała elektroniczną melodyjkę. Zanim Anton zamknął drzwi, telefon ucichł. Na obu ekranach widniał napis: „Kamieńska, nieodebranych połączeń 3”. O wilku mowa.

– Tosza, czy to ty przygotowałeś tyle jedzenia? – zapytała Dunia, gdy usiedli przy stole. – Wybacz, że nic nie zrobiliśmy...

– Ja też nic nie zrobiłem. – Anton się uśmiechnął. – Spałem jak zabity. W tym czasie dobra wróżka wyczarowała te specjały. Nie przejmujcie się, kochani, wszystko w porządku.

Jedną z nieocenionych zalet Duniaszy była umiejętność niezadawania niepotrzebnych pytań. W jakiś niepojęty sposób zawsze doskonale wyczuwała, o co można zapytać, a kiedy lepiej milczeć. No a Dziubie Anton już i tak wszystko opowiedział.

===

– Anastazja! – Oleg Siemionowicz Wąsikow szeroko rozłożył ręce i ruszył na spotkanie Nasti Kamieńskiej, której towarzyszył Dziuba. – Moja nie pierwsza, lecz wieczna miłości! Jakie dobre wiatry cię do mnie przygnały?

Przywitał ich w holu, przy stanowisku ochrony, po czym zaprowadził do swojego gabinetu i od razu postawił popielniczkę przed Nastią.

– A może rzuciłaś swój brzydki nałóg? – zapytał z kpina.

– O nie. – Nastia pokręciła głową. – Nawet o tym nie myślałam. Ale ty, jak widzę, rzuciłeś.

– I to dawno, mija już siódmy rok. Od razu przytyłem prawie dwadzieścia kilo, wyobrażasz sobie? Później zrzuciłem je przez cztery lata. No to opowiadaj, co cię trapi, piękna Nastieńko.

– Musimy się zobaczyć z twoim szefem. Ale nie po to, żeby nas wysłuchał, a później odprawił, tylko po to, żeby pozytywnie

ustosunkował się do tego, co powiemy albo o co poprosimy. I żeby nie patrzył wciąż na zegarek i nie mówił, że ma ważne negocjacje, milionowe kontrakty, a my zabieramy mu czas głupstwami. Musisz wiedzieć, Oleg, że sprawa jest naprawdę poważna.

– Sedno sprawy? – krótko zainteresował się Wąs.

– Filip Oriechow – tak samo krótko odparła Nastia. – A przy okazji, od dawna pracujesz u Oriechowa?

– Owszem. – Oleg Siemionowicz skinął głową. – Prawie od dziesięciu lat.

– To dobrze. W takim razie najpierw porozmawiamy z tobą, może nam wszystko powiesz, wtedy nie będziemy musieli zawracać głowy twojemu szefowi. Słyszałeś kiedyś o znajomości Filipa z jakimś Władimirem Własowem?

– To chyba dawny sportowiec? Zdaje się, że łyżwiarz?

– Zgadza się.

– Nie. – Wąs się uśmiechnął. – Nie słyszałem, ale wiem. Wstrętny typek, z takim można tylko napisać sobie biedy.

– A jeśli ująć prościej? – poprosiła Nastia. – Co to znaczy „nie słyszałem, ale wiem”?

– Że Wadim Konstantinowicz co pewien czas zleca mi kontrolę kontaktów swojego ukochanego synusia. Więc gdy tylko synek poinformował tatę, że ma nowego znajomego o wątpliwej reputacji, szef od razu mnie poprosił, żebym się dowiedział, co to za jeden. Wyciągnąłem od Filipa imię, i to tak, że nawet nie zauważył, a dalej to kwestia techniki. Przeczytałem w Internecie dużo ciekawych rzeczy na temat Własowa. To nierób i drań. Ale chyba nie pakuje Filipa w żadną aferę, po prostu spędzają razem czas, więc nie widzę powodu, żeby bić na alarm.

– Spędzają razem czas – w zamyśleniu wycodziła Nastia. – Powiedz, Oleg, czy ta twoja technika, za pomocą której wykonujesz zadania szefa, jest zawsze taka sama?

– Oczywiście. Skoro metoda się sprawdza, po co ją zmieniać?

– I pracujesz zwykle tutaj, w gabinecie?

– Ma się rozumieć. – Wąs się uśmiechnął. – Jak dobry kat: nie zabieram roboty do domu.

– Czy wszystkie komputery w Fighterze pracują na jednym serwerze?

– Owszem, podobnie jak w innych spółkach.

– To znakomicie. – Nastia nagle poweselała. – Powiedz mi coś jeszcze, Oleg: czy Wadim Oriechow ma innych spadkobierców prócz syna?

– Nie, żadnych.

– Wspaniale! Następne pytanie: nie wiesz, czy Filip dostał pozwolenie na broń pneumatyczną i czy na tej podstawie kupił dwa pistolety gazowe?

– Ma się rozumieć.

– Sam ci o tym powiedział?

– On by mi coś powiedział! – Wąsikow znowu się uśmiechnął.  
– Wiem to z innego źródła.

– Gdzie Filip je przechowuje?

– W domu, w swoim pokoju. Parę razy je tam widziałem, gdy robiłem inspekcję podczas jego nieobecności.

– Więc przeszukujesz jego pokój? Po co?

– No jak to po co, moja jedyna? – zdziwił się Wąs. – Szef każe zachowywać czujność, więc to robię. Szukam narkotyków. Na razie, dzięki Bogu, ani razu nie znalazłem ani proszku, ani strzykawek, ani tabletek. Tego rodzaju zadania szef powierza tylko mnie, sam je wykonuję, nikogo nie wprowadzam w temat.

– Przyglądałeś się może broni?

– Nie, nawet jej nie dotykałem. Chyba rozumiesz, broń to śliska sprawa... Dotknę jej, a później Filip coś zmałuje i będę musiał udowadniać, że nie mam garba. Nie dostałem zadania w związku z bronią, więc jej nie ruszałem i się za nią nie rozglądałem. Gdy wpadała mi w oko, rejestrowałem, gdzie leży, a gdy jej nie widziałem no cóż...

Oleg Siemionowicz wymownie rozłożył ręce.

– Rozumiem. – Nastia skinęła głową. – A więc widziałeś dwa



pistolety?

– Najpierw dwa, leżały na półce nad kominkiem pierwsze dwa czy trzy razy, były na widoku. Później widziałem tylko jeden. Drugi jest pewnie w samochodzie Filipa, wiesz przecież, ilu bandziorów grasuje na drogach, specjalnie kaleczą ludzi, żeby wyciągnąć od nich forszę, kradną też teczki. Ale jeden pistolet chłopak na pewno ma.

– Kiedy ostatnio go widziałeś?

– Tydzień temu, gdy znowu przeszukiwałem pokój.

– Zawrzyjmy umowę – zaproponowała Nastia. – Zaraz opowiemy ci pewną ciekawą historyjkę, a ty w zamian za to jeszcze dzisiaj sprawdzisz dla nas ten pistolet. I w zależności od tego, co nam powiesz, zdecydujemy, czy będziemy chcieli przeprowadzić poufną rozmowę z twoim szefem. Zgoda?

– To zależy od historyjki! – Wąsikow się roześmiał. – Może jest nudna. Albo ją znam.

– Gwarantuję, że nie będziesz się nudził – obiecała Nastia.

===

Znalezienie mieszkania, które wynajmował Igor Żurichin, okazało się rzeczą nietrudną. Anton nawet nie zamierzał szukać w nowych domach, bo wiedział, że koszta najmu nie są na kieszeń chłopaka, który przyjechał z prowincji. Toteż znalazłszy dzielnicowego, od razu zapytał o wynajem mieszkań w gorszym, to znaczy najtańszym kwartale. Starych, zmurszałych domów było tam dość sporo, dzielnicowy znał na pamięć wszystkie wynajmowane mieszkania.

– Iść z tobą? – zaproponował niemłody, lecz krzepki kapitan, będący w doskonałej formie fizycznej.

– Chodźmy. – Anton kiwnął głową. – Kto wie, co się może zdarzyć. Liczę na to, że facet raczej nie powinien mieć broni, no a nożem posługuje się kiepsko.

Do tego czasu Staszys zdążył już otrzymać odpowiedź

biegłych: na pudełku stwierdzono ślady pozostawione przez osoby z grupą krwi A Rh plus i B Rh minus, podczas gdy na nożu, którym zabito Innę Jefimową, ślady zostawiła tylko osoba z grupą krwi B i z ujemnym czynnikiem Rh. Igor Żurichin.

Weszli razem do klatki schodowej i wspięli się na piętro. Dzielnicy nacisnął dzwonek, który jednak nie działał. W tej sytuacji załomotał pięścią w drzwi.

Za drzwiami rozległy się nieśpieszne kroki, Anton spodziewał się pytania „Kto tam?” i był już gotów opowiedzieć jedną z historyjek, wykorzystywaną przez policję w takich sytuacjach, ale żadne pytanie nie padło. Drzwi się otworzyły.

Na progu stał niewysoki, szczupły mężczyzna, nieco młodszy od Antona.

– Wygląda na to, że mnie znalazłeś – powiedział gorzko.

Anton rozpoznał głos. A więc to Igor Żurichin czekał na niego wtedy na klatce schodowej. Dlatego od razu poznał Antona, pewnie śledził go razem z Szokinem przez parę godzin.

– Chyba tak – odparł Anton.

– Mam to w d... – rzucił Żurichin. – Ta zdzira ukatrupiła moją siostrzyczkę, więc wyrównałem z nią rachunki. Teraz możecie mnie zapuszkować. Nie będę szedł w zaparte, do wszystkiego się przyznam. To co, od razu założysz mi kajdanki?

– Jeszcze zdążymy. – Anton machnął ręką. – Po co mamy się śpieszyć? Posiedzimy, pogadamy, może poczęstujesz nas herbatą, bo później będę musiał odstawić cię oczywiście do aresztu, a tam nie serwują herbaty. Kapitan też z nami posiedzi i się napije. W końcu facetom nie wypada działać na łapu-capu.

A więc Żurichin zamierza wziąć winę na siebie, domyślił się Anton. Nawet na torturach nie wyda swojego przyjaciela, Igora Szokina. Więc może odpuścić sobie tego Szokina? Współudział w zabójstwie to oczywiście nie w kij dmuchał. Ale z drugiej strony, zabójcą i wykonawcą jest Żurichin, facet nie zamierza się wypierać i gotów jest złożyć zeznania, no a Szokin ucziwie zarabia na chleb, niedługo urodzi mu się dziecko...

Żeby tę robotę szlag trafił, z niespodziewaną złością pomyślał Staszys. Rzucę ją i zostanę ochroniarzem. Może zarobię mniej, za to nie będę musiał dokonywać codziennie moralnego wyboru.

===

Żeby spełnić prośbę swojej „nie pierwszej, lecz wiecznej” miłości, Oleg Siemionowicz Wąsikow musiał okłamać podwładnych i pojechać za miasto, gdzie Wadim Konstantinowicz Oriechow miał piętrowy dom. Nastia z Dziubą pojechali za nim i siedzieli teraz w samochodzie, niecierpliwie czekając na jego powrót.

Wreszcie brama się rozsunęła, samochód Wąsa wyjechał na drogę i skręcił ku szosie. Nastia ruszyła w ślad za nim. Auto szefa służby ochrony firmy Fighter Trade zatrzymało się na poboczu, jakieś sto metrów przed wjazdem na autostradę.

– No cóż, moja jedyna – zaczął Wąs – pragnę ci donieść, że numer pistoletu, który znajduje się w pokoju Filipa, zgadza się z numerem, który figuruje w pozwoleniu na broń. To znaczy, że to ten pistolet gazowy, który nabył legalną drogą. Ale tak jak przypuszczałaś, przerobiony na ostre naboje.

– A co z drugim pistoletem? – niecierpliwie zapytała Nastia.

– Drugiego nie ma. Dokładnie przeszukałem cały pokój, znam w nim każdą skrytkę, dziurkę i szparkę. Pistolet jest tylko jeden, kupiony legalnie.

– A więc wszystko pasuje – z satysfakcją stwierdziła Nastia. – Jeśli się jednak nie mylę, facet potrzebuje świadków, ze trzy, cztery osoby, dla pewności. Oriechow nie planuje żadnego przyjęcia w domu?

Wąs pokręcił głową.

– Wadim Konstantinowicz nie urządza dużych przyjęć w domu, w razie potrzeby wynajmuje restaurację, klub albo pensjonat za miastem.

– No, ale chyba zaprasza jakichś gości? Na przykład znajomych na kolację, obiad czy grilla? Może jakąś parę małżeńską?

– Owszem. – Oleg Siemionowicz kiwnął głową. – Czasami. Gdy na dworze jest zimno, wtedy niezbyt często, ale w porze letniej lubi zapraszać gości na grilla, tyle że niewielu, ze trzy, cztery osoby. Wąskie grono, by tak rzec. Właśnie w najbliższą sobotę planuje taką imprezę.

– W sobotę, w sobotę... – Nastia zaczęła dłubać czubkiem buta w ziemi przy swoim samochodzie. – Dzisiaj jest poniedziałek. Czasu co niemiara. Musimy spotkać się z twoim szefem, Oleg. Im szybciej, tym lepiej. Czekam na twój telefon.

Znowu wsiedli do swoich samochodów i ruszyli w stronę Moskwy.

– Romek, znajdź Uljancewa, niech przydzielą młodemu Oriechowowi anioła stróża. My się nie nadajemy, bo nas widział.

– Niech pani da spokój, Anastazjo Pawłowno, facet na pewno nas nie zapamiętał.

– Nie możemy ryzykować. Ani wciągać Antona, bo w każdej chwili obok Oriechowa może pojawić się Własow, a on zna Staszysa. Jednym słowem, tutaj w niczym nie pomożemy Uljancewowi, możemy pokładać w nim tylko nadzieję. Ale jeśli będzie miał kłopoty, zadzwoń do mnie, dobrze? Zwrócę się wtedy do swojego szefa, mamy w biurze paru „smutnych panów” i jeśli Kirgan zgodzi się zapłacić...

– Zgodzi się – gorąco zapewnił ją Roman.

===

Och, jakże Bagłajew nie lubił takich rozmów! Duma zawodowa nie pozwalała mu jednak zwalić nieprzyjemnej czynności na barki adwokata, chociaż wielu śledczych tak postępowało.

Razem pojechali do aresztu, gdzie Bagłajew najpierw

zadzwoił, prosząc o przygotowanie pokoju przesłuchań na określoną godzinę. Niech sobie adwokaci siedzą godzinami w kolejkach, czekając, aż zwolni się miejsce, śledczy nie może tracić czasu, jest funkcjonariuszem publicznym.

Łamzin wyglądał nieźle, w każdym razie nie sprawiał wrażenia załamane go czy zdruzgotanego.

– Waleriju Pietrowiczu – zaczął Bağłajew bez długich wstępów, chcąc jak najszybciej mieć za sobą nieprzyjemną część rozmowy – chcę pana przeprosić w obecności pańskiego adwokata. Popełniłem błąd, przyznaję. W trakcie dochodzenia pojawiły się przekonujące dowody na to, że nie brał pan udziału w zabójstwie Michaiła Bołtjenkowa.

– To znaczy, że mnie wypuścicie? Kiedy? – od razu zapytał Łamzin.

Nie był nawet zdziwiony, jak gdyby spodziewał się czegoś podobnego. Wiedział, że jest niewinny, i był pewien, że prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw.

Teraz nadeszła najbardziej nieprzyjemna chwila.

– Oczywiście, że pana wypuścimy, Waleriju Pietrowiczu – łagodnie odparł śledczy. – Ale nie teraz. Mamy do czynienia z bardzo niebezpiecznym i przebiegłym przestępcą, który może się dowiedzieć, że odzyskał pan wolność, i zmienić swój zamiar. Teraz, gdy jest przekonany, że nikt go nie szuka ani nawet nie podejrzewa, opracował pewien plan. Jeśli właściwie odtworzyliśmy tok jego myślenia, możemy złapać go na gorącym uczynku i udowodnić mu winę. Gdy jednak domyśli się, że nie wierzymy, iż to pan jest zabójcą, i zaczynamy szukać innego winnego, może się przyczyaić, a później odstąpić od swego zamiaru, wtedy już się nie dowiemy, co chce zrobić, rozumie pan? Uniknie kary. Nie będziemy mogli udowodnić mu winy. W efekcie zabójstwo pańskiego kolegi Bołtjenkowa pozostanie niewyjaśnione, a do pana na zawsze przylgnie piętno człowieka podejrzanego o zabójstwo, który nie trafił za kratki tylko dlatego, że doświadczony adwokat pomógł się panu wyplatać,

ale tak naprawdę jest pan przestępcą i zabójcą. Chyba nie chce pan, żeby tak to się skończyło?

Łamzin spuścił wzrok i przez pewien czas siedział nieruchomo na taborecie przykręconym do podłogi.

Później wycedził:

– Jak długo mam tu jeszcze tkwić?

– Parę dni. Do soboty. Nawet jeśli się pomyliliśmy i niewłaściwie przewidzieliśmy zachowanie przestępcy, w sobotę pana wypuścimy. Obiecuję – rzekł Timur Achmedowicz stanowczo. – Poproszę też, żeby przeniesiono pana do innej celi, gdzie nie jest tak tłoczno, no i więźniowie mają lepsze maniery. Niestety nie mogę zapewnić panu znacznej poprawy warunków, ale jeśli pan chce, mogę załatwić panu widzenie z żoną. Co pan na to?

Łamzin przecząco pokręcił głową.

– Nie trzeba. Natasza nie powinna widzieć mnie tutaj w takim stanie. Zaczekam. Mam tylko jedną prośbę: proszę jej jak najszybciej powiedzieć, że nie jestem winien i wycofaliście oskarżenie. Niech się uspokoi.

– To niemożliwe, Waleriju Pietrowiczu. – Do rozmowy włączył się Kirgan. – Natalia Siergiejewna może komuś o tym powiedzieć, wieści się rozejdą, dotrą do prawdziwego przestępcy i wtedy plan jego ujęcia spali na panewce. Bardzo mi przykro, ale Natalia Siergiejewna nie powinna o niczym wiedzieć.

– Ale proponowaliście mi przecież widzenie z żoną! – z oburzeniem zaoponował Łamzin. – Więc chyba wiedzieliście, że mogę jej sam powiedzieć...

– Waleriju Pietrowiczu, gdyby wyraził pan chęć zobaczenia się z małżonką, poprosilibyśmy, by dał pan słowo, że nic jej pan nie powie. A widzenie odbyłoby się w obecności śledczego, który uważnie wsłuchiwałby się w pańskie słowa.

– Zapewniam was, że Natasza to mądra kobieta i wszystko zrozumie! Jeśli ją uprzedzić, żeby nikomu nie mówiła, to nie powie! Przysięgam!

– Nie, Waleriju Pietrowiczu, sprawa nie podlega dyskusji. Musi mnie pan zrozumieć. Witalij Nikołajewicz – śledczy kiwnięciem głowy pokazał adwokata – wykonał ogrom pracy, żeby zebrać dowody przeciwko prawdziwemu zabójcy, więc nie możemy ryzykować. Aha, w każdej celi jest telefon komórkowy, to żadna tajemnica. Wszyscy dzwonią, gdzie chcą. Więc telefony pańskiej małżonki – domowy, służbowy i komórkowy, są kontrolowane. Podobnie jak telefony w celach. Jeśli zdecyduje się pan złamać słowo i powie jej o wszystkim przez telefon, będzie miała mnóstwo nieprzyjemności, łącznie z zatrzymaniem i aresztowaniem.

– Aresztowaniem? – z przerażeniem powtórzył Łamzin. – Chcecie aresztować Nataszę? Za co?

– Powód zawsze się znajdzie. – Bağłajew się uśmiechnął. – Gdy w grę wchodzi ujęcie przestępcy, który popełnił parę zabójstw, kwestie moralności i przestrzegania prawa bardzo rzadko wysuwają się na pierwszy plan. Rozumie pan?

– Tak. – Łamzin popatrzył na śledczego spokojnie i surowo. – Zrozumiałem. Dziękuję, że znalazł pan czas, żeby przyjechać i mnie powiadomić.

Bağłajew nacisnął guzik przyzywający strażnika.

– Pojadę już, a pan, Witaliju Nikołajewiczu, pewnie zostanie?

– Zostanę, jeśli pan pozwoli. Mamy z Walerijem Pietrowiczem parę rzeczy do omówienia.

Timur Achmedowicz czuł się paskudnie. W dodatku pogoda, jak na złość, dopisywała! Kiepski dzień. Ciężki. Niechby się jak najprędzej skończył.

===

Udało się zorganizować obserwację zewnętrzną Filipa Oriechowa i Władimira Własowa. W końcu to nie zawodowy zabójca likwidujący urzędników wysokiego szczebla albo bogatych bankierów ani szaleniec, tylko... właściwie nie

wiadomo kto.

Do czwartku nic się nie działo. W czwartek odnotowano kontakt Oriechowa z Własowem, najpierw telefoniczny, później figuranci spotkali się późnym wieczorem w klubie, który nie znajdował się na liście stałych miejsc odwiedzanych przez Filipa. Nie udało się ustalić, o czym rozmawiali, ale obaj sporo wypili. Sądząc po minach, ruchach i gestach, znali się od dość dawna.

– Wygląda na to, że słusznie wydedukowałeś, moja jedyna – ni to z aprobatą, ni to ze zdziwieniem zauważył Oleg Siemionowicz Wąsikow, wyjmując kolejny plan domu i posesji Oriechowów.

Wydrukowano już z dziesięć egzemplarzy planu, dobra połowa z nich, upstrzona strzałkami i uwagami, już spoczywała w koszu na śmieci – za każdym razem nie uwzględniono jakiejś rzeczy i zaczynało pracę od nowa.

– Mamy za mało ludzi – z żalem stwierdził Wąs. – Gdybyśmy mogli obstawić wszystkie miejsca, byłoby łatwiej.

Na tym polegał zasadniczy problem. Podczas dużego przyjęcia można wprowadzić między gości sporą liczbę wywiadowców oraz innych funkcjonariuszy udających kelnerów, kucharzy, kierowców, ochroniarzy zaproszonych osób, a nawet ich przyjaciół. Gdy jednak mowa o dwóch parach małżeńskich i panu domu, który nikomu nie powierza przygotowania swoich słynnych szaszłyków i robi wszystko sam, zaczynając od krojenia mięsa i przygotowania marynaty, a kończąc na podaniu parującego dania na stół w altanie, sytuacja wygląda zupełnie inaczej.

– Naszym najważniejszym zadaniem, Oleg, jest zapewnienie obserwacji oraz audiowizualnego zapisu tego, co się wydarzy – przekonywała Nastia Kamieńska. – On nie będzie uciekał, inaczej cały plan weźmie w łeb. Musi dać się zatrzymać. Zrobiłeś tak, jak uzgodniliśmy?

– No pewnie – gniewnie odparł Wąs.

– Ojciec Oriechowa też zrobi, co trzeba?



– Miejmy nadzieję. Tak w każdym razie obiecał. Ale nie dam gwarancji. Cudza dusza – sama rozumiesz.

– Dobrze. – Nastia westchnęła. – Przeanalizujemy wszystko jeszcze raz, punkt po punkcie.

Wąs wziął flamaster i zabrał się do wprowadzania oznaczeń na planie.

– Kamery są tutaj, tutaj i tutaj. – Postawił trzy jaskrawozielone krzyżyki. – Z trzech punktów będziemy mieli pełny widok na altanę i otaczający ją teren.

– Może zainstalujemy jeszcze czwartą kamerę? – poprosiła Nastia. – Dla pewności.

– Czemu nie? – zgodził się Wąs. – W takim razie o, tutaj.

– Nie – zaproponował Anton. – Wydaje mi się, że lepiej w tym miejscu. Kto wie, co się może zdarzyć. A w domu będą kamery?

– Oczywiście – potwierdziła Nastia. – Ale uznaliśmy, że potrzebujemy tylko dwóch w oczywistych miejscach – na schodach i w pokoju Filipa, bo jeśli mam rację, nic innego nie powinno się tam zdarzyć.

– Więc tylko ja mogę przebywać w pobliżu Oriechowa – skonstatował Wąs. – Reszta zostanie rozpoznana.

– A ja? – włączył się Uljancew. – Ani Oriechow, ani Własow mnie nie znają. Mogę bez przeszkód się koło nich kręcić.

– Jako kto? – z kpiną zapytał Dziuba. – Nie będzie tam postronnych osób, już ci mówiliśmy. Chyba że będziesz udawał szaszłyk. Tak czy inaczej, musimy być w pobliżu, nie można wykluczyć jakiegś niespodzianki. Jeśli coś pójdzie nie tak, powinniśmy szybko znaleźć się przy altanie.

– A jednocześnie być tam, gdzie nikt z obecnych was nie zauważy – dodał surowo Wąs. – Goście zaś lubią przechadzać się po posesji. Nawet jeśli przyprowadzicie jeszcze z dziesięć osób, nie dam rady bezpiecznie ich rozmieścić. Nie ma tylu pewnych miejsc. Dobrze, jeśli uda mi się was tak poupychać, żeby nikt się na was nie natknął. Dlatego siedzieć, to znaczy stać będziecie dość daleko od centrum wydarzeń. Ustalmy, kto

jakie zajmie stanowisko.

Nastia jeszcze raz powiodła wzrokiem dokoła. Tutaj jest brama wjazdowa i furtka. Za nimi stoi ochroniarz. Zawsze sam. A więc drugiego już się nie wprowadzi – nie ma powodu. Nie da się też zastąpić ochroniarza – Filip może się zaniepokoić. Dobrze, miejmy nadzieję, że facet zna się na swojej robocie.

A tutaj furtka, która prowadzi na posesję sąsiada. Oriechow zna sąsiadów od dawna i jest z nimi zżyty, więc za obopólną zgodą zamontowano furtkę, żeby można z niej było korzystać i się odwiedzać bez potrzeby wychodzenia głównymi drzwiami i okrażania posesji. Zamek w furtce jest elektroniczny, otwiera się po wciśnięciu kwadratowego białego guzika, nad którym zamocowano daszek, żeby w razie deszczu do środka nie dostała się woda.

– Kiepski pomysł – zauważył Wąsikow, podążając za spojrzeniem Nasti. – Sąsiedzi wyjechali, a po ich posesji biegają dwa olbrzymie psy, złe jak licho i wyszkolone przez najlepszych kynologów. Jeden z mężczyzn wciąż z nimi przebywa, karmi je, a one go słuchają i traktują jak przywódcę stada. Nie tolerują nikogo prócz niego i właścicieli. W jednej chwili rozerwą intruza na strzępy nawet bez rozkazu.

– Jasne. A co tutaj mamy?

– To furtka do lasu. Zamek też jest elektroniczny, od środka otwiera się go wciśnięciem guzika, a z zewnątrz „pastylką”, żeby nie wszedł nikt obcy.

– Las jest prawdziwy? – z ciekawością zapytał Dziuba.

– Najprawdziwszy – potwierdził Oleg Siemionowicz. – To największy atut posesji. Dlatego szefowi zależało, żeby ją kupić. Las jest rozległy, można się w nim łatwo zgubić. Więc gdy zajdzie potrzeba ucieczki, to tylko przez las. Można tam przeczekać nawet do rana, a gdy się rozjaśni, po cichu się przekraść.

– A sąsiedzi z drugiej strony? – zapytał Anton. – To też przyjaciele i też jest tam furtka?

– Nie, tylko zwarte ogrodzenie.  
– A więc mamy trzy punkty odwrotu – podsumował Uljancew.  
– Główna brama odpada, stoi przy niej ochroniarz i jest dobre oświetlenie. Furtka do sąsiada też się nie nadaje z powodu psów, które nikogo nie przepuszczą i nie pozwolą ujść cało. To znaczy, że najbardziej prawdopodobna droga prowadzi przez furtkę od strony lasu.

– Słusznie – przyznała Nastia. – A więc stanowiska należy rozmieścić w taki sposób, żebyśmy mogli szybko dotrzeć i do altanki, i do tylnej furtki. Wąs, ty się nie liczysz, będziesz koło właściciela. A nas jest tylko troje. To znaczy, że możemy obstawić tylko trzy miejsca.

– Jak to troje? – zdziwił się Uljancew. – Ja, Anton, Romek i pani. Wychodzi czworo.

Nastia parsknęła śmiechem.

– Przyjrzyj mi się uważnie, chłopcze! Nie widzisz, że jestem już w poważnym wieku? Nawet gdybym była młodsza o dwadzieścia pięć lat, nie wchodziłabym w rachubę. Nie przebiegnę nawet dwóch kroków. Nie znam się też na sztuce walki, więc gdy zajdzie potrzeba zatrzymania, będę kompletnie bezużyteczna.

– A Romek mówił, że przepracowała pani kupę lat w wydziale zabójstw na Pietrowce – powiedział zdezorientowany Fiodor. – To znaczy, że kłamał?

– Nie. – Nastia się uśmiechnęła. – Nie kłamał. To prawda.

– No to jak pani pracowała?

– Jakoś dawałam radę. – Wzruszyła ramionami. – Nawet dla takiej niezdary jak ja znajdzie się robota. Nie darmo mówi się przecież, że praca lubi głupich.

Uljancew nie zrozumiał, co Nastia miała na myśli.

===

Nienawidził wszystkich, którzy robili zdziwione miny, pogardliwie wzruszali ramionami i mówili, że sam jest sobie

winien, że mógł się bardziej starać, bo kto się naprawdę stara, ten odnosi sukces. Jego nienawiść była tak wielka, że gotów był rozerwać każdego na strzępy. Jakże często słyszał te słowa najpierw w domu, od siostry, później od trenerów, tłumaczących, dlaczego ten czy inny łyżwiarz zajął na zawodach dane miejsce. Póki Wołodia był jeszcze całkiem młody, święcie wierzył trenerom, bo każdy z nich był dla niego, jak zresztą dla wszystkich łyżwiarzy na pewnym etapie, carem, bogiem i rodzonym ojcem. Wierzył, że niepowodzenie jest efektem niewystarczających starań i braku pracowitości, więc starał się z całych sił, jeszcze usilniej, ze stoickim spokojem pokonując ból, strach i wszelkie emocje. Oddawał sportowi wszystko, co miał. Czas. Zdrowie. Duszę. Siły. Życie. Wierzył, że jeśli będzie się starał, wszystko się uda.

A później przejrzał na oczy i pojął, że łyżwiarz ma oczywiście wpływ na wiele rzeczy, ale bynajmniej nie na wszystko. Wynik nie jest adekwatny do włożonego wysiłku, bo zależy od ogromnej liczby ludzi z ich ambicjami, pragnieniami i dążeniami. łyżwiarz jest dla nich mięsem armatnim, pionkiem, za pomocą którego snują swoje intrygi i osiągają założone cele. łyżwiarza, który oddał wszystko, co miał, wyrzucają na śmietnik, jak zużytą prezerwatywę. Do niczego już się nie przyda...

Nienawiść zżerała go od środka, paliła i zaślepiła. Czasami miał wrażenie, że nie może oddychać. Zaczął pić.

I nagle wpadła mu w oko informacja o śmierci Koli Nosulenko, który rozbił się samochodem w Grecji. Koli, który go zwolnił, pozbawił posady trenera i przyjął na jego miejsce swoją kochankę, łyżwiarzkę ze starszej grupy, złośliwą kretynkę, gotową iść po trupach, by osiągnąć swój jedyny cel: urządzać się w stolicy.

Tego dnia Władimir Własow po raz pierwszy od długiego czasu był szczęśliwy. Naprawdę szczęśliwy. Mógł oddychać pełną piersią, nagle zobaczył barwy otaczającego świata. Przypomniwał

sobie lekcje rysunku z dzieciństwa, pojechał do matki, odszukał stare podręczniki na pawlaczu, wybrał technikę, która wydała mu się nietrudna i pozwalała użyć szerokiej gamy kolorów. Pojechał do sklepu dla plastyków, kupił najpotrzebniejsze rzeczy i namalował swój pierwszy obraz, nieporadny, niedokładny, chropawy, który jednak sprawił mu wiele radości.

Euforia trwała parę tygodni. W tym czasie Władimir Własow zdał sobie sprawę, że nie zazna spokoju, póki tacy ludzie jak Kola Nosulenko chodzą po ziemi. Tylko pozbycie się ich pozwoli mu nie umrzeć z toksycznej nienawiści, która pali piersi jak roztopiony ołów.

Nadal dużo pił, ale w przebłyskach jasności umysłu powracał do malarstwa. Rysunki się nie udawały – ręce drżały, ale w doborze barw oraz ich połączeniach robił znaczne postępy.

Gdy mama Żeńki Zielenowa, z którą nie zerwał kontaktów, pomogła mu znaleźć pracę, musiał ograniczyć alkohol. Niebawem ręce znowu odzyskały pewność ruchów, rysunki stały się precyzyjne i perfekcyjne. Matka Żeńki za nie płaciła, co stanowiło niezły bodziec, a także pomoc finansową.

Później w jego życiu pojawił się Filip Oriechow, wesoły, żywiołowy, prostoduszny. Pierwszy raz zobaczyli się, gdy Filip razem ze starszym menadżerem Chiminem przyjechał do szefowej Wołodi, Olgi Witort. Nikt ich sobie nie przedstawił, ale parę dni później Władimir natknął się na Filipa koło kina, obaj wybrali się na nowy głośny amerykański blockbuster. Filip nie poznał Własowa, ale gdy ten przypominał, gdzie się wcześniej spotkali, pamięć mu wróciła, z radością klepnął Władimira po ramieniu i zaproponował, żeby najpierw obejrzel razem film, a później gdzieś się zabawili.

Po kinie pojechali do jakiegoś lokalu wybranego przez Filipa. Władimir, od dawna skryty i powściągliwy, nie mógł się nadziwić otwartości nowego znajomego, wieszającego na swoim ojcu psy i mówiącego tylko o olbrzymich pieniądzach, jakie mu

przypadną po jego śmierci, na którą będzie musiał, niestety, jeszcze bardzo długo czekać.

– Żeby tak ktoś zlecił jego zabójstwo! – powtarzał mocno wstawiony Filip. – Sam bym go zamordował, własnymi rękami, ale przecież jako jedyny spadkobierca będę pierwszym podejrzanym. Gotów jestem nawet odsiedzieć wyrok, mam to w nosie, to i tak trwałoby krócej niż czekanie, aż tatuś wyzionie ducha. Problem polega jednak na tym, że jeśli mnie wsadzą, nie dostanę później żadnego spadku, tak stanowi prawo.

Pomysł podsunął Władimir. Parę razy oglądał z mamą film *Nieznajomi z pociągu*: mama pisała obszerną monografię dotyczącą twórczości Hitchcocka, a on – dla towarzystwa i przyjemności. Czemu nie? Czy to zły pomysł? Wymienne zabójstwo. Najpierw Filip sprzątnie tych, którzy nie pozwalają Własowowi spokojnie żyć, na Oriechowa nawet nie padnie cień podejrzenia, nikt o nim nie pomyśli, bo nigdy nie miał do czynienia z łyżwiarstwem figurowym. A później, gdy wszyscy, którzy zrujnowali życie Własowowi nie z powodu kariery sportowej, ale jedynie z powodu pieniędzy, przestaną zatruwać powietrze swoją cuchnącą obecnością, Władimir zabije ojca Oriechowa. Na oczach świadków. Tak, by wszyscy wiedzieli, że Filip jest niewinny. On, Władimir Własow, będzie to musiał odpokutować, rzecz jasna. Ale jest gotów na wszystko, nawet na wieloletni wyrok, ponieważ po śmierci tych potworów będzie mógł oddychać, a co za tym idzie, żyć. Dopóki wszyscy pozostają przy życiu, on jedynie tępo i żałośnie egzystuje, dręczy się swoją nienawiścią i cierpi.

Dogadali się szybko, pomysł spodobał się Filipowi. Postanowili więcej się nie spotykać, nie dzwonić i nie pisać do siebie, no i w ogóle udawać, że się nie znają. Potrzebne było tylko jeszcze jedno spotkanie, na którym Własow przekaże Filipowi listę.

Listę osób, które zniszczyły mu życie.

Sporządzenie jej nie zajęło mu dużo czasu, po stokroć analizował w myślach swoją karierę i związane z nią

komplikacje. Nie miał pretensji do tych, którzy go wystawiali, rzucali mu kłody pod nogi albo robili świństwa, mając na względzie własną karierę, sportową albo urzędniczą, doskonale rozumiał, że świat rządzi się takimi prawami i nikt nie może grać inaczej. Tym ludziom – sędziom, którzy zaniżali oceny, partnerce, która go rzuciła, oraz wielu innym – dawno wybaczył. Właściwie od samego początku nie czuł do nich żalu, rozumiał, że nie mogli postąpić inaczej. Gdyby znalazł się na ich miejscu, postąpiłby tak samo.

Ale ci, którzy zwyczajnie... z powodu pieniędzy albo dla innych korzyści... Im nie wybaczył.

Pierwszą pozycję na liście zajmował Michaił Walentinowicz Bołtienkow, który doprowadził juniora Własowa do złotego podium na mistrzostwach Rosji, po czym porzucił. Oddał niedoświadczonej, pozbawionej talentu młodej trenerce Ludmile Wołyniec. A właściwie nie oddał, tylko sprzedał za pieniądze, gdy wszystko stracił w jednej z popularnych wówczas piramid finansowych. Sprzedał jak niewolnika na targu, zabierajcie – kto da więcej! Od czasu tej zdrady dalsza kariera Władimira Własowa przestała się układać.

Druga była Inna Wiktorowna Jefimowa, wstrętne gruba baba, którą Wołodia, spóźniony na trening i biegnący na złamanie karku długim korytarzem Pałacu Sportu, niemal zbił z nóg. Jefimowa w jaskrawej, kwiecistej sukience, oblana ohydnymi duszącymi perfumami, wrzeszczała na niego jak opętana, obrzucała najgorszymi słowami, groziła karami niebios. Chciała, żeby Własow przeprosił. A on się śpieszył, denerwował i nie zamierzał przeproszać. Odwrócił się do niej tyłem i pobiegł dalej, słysząc za sobą karczemne wyzwiska.

Inna Wiktorowna miała nie tylko dobrą, ale znakomitą pamięć. Tamtego dnia zjawiała się na treningu grupy, do której należał Własow, udała, że interesują ją postępy łyżwiarzy, i mimochodem poprosiła o nazwiska paru osób. A gdy nadeszła odpowiednia chwila, podstawiła mu nogę. Tak, Jefimowa była

chciwa i nie uważała za słuszne, żeby pozwalać łyżwiarzom wyjeżdżać za granicę, by występowali w barwach innej Federacji, jedynie za dziękuję. Tak, serdecznie nienawidziła ówczesnej trenerki Wołodi, Ludmiły Wołyniec, a wraz z nią wszystkich jej wychowanków.

Ale z zupełnie inną, szczególną nienawiścią odnosiła się do mistrza sportu Własowa. Bo jej nie przeprosił i odwrócił się do niej tyłem. Do niej! Do potężnej Inny Jefimowej z Moskomsportu, przed którą wszyscy drżeli i padali plackiem, bo łączyły ją z szefami Federacji Łyżwiarstwa Figurowego Rosji dawne i bardzo zażyłe stosunki, w znacznej mierze oparte na pieniądzach.

Jako trzeci na liście Władimira Własowa figurował policjant, który kiedyś przyjął pieniądze, żeby przeprowadzić operację, w której wyniku w składzie jury na ważnych dla Własowa i jego partnerki zawodach znalazł się odpowiedni sędzia. Do sędziów Wołodia nie czuł urazy, rozumiał, że są ludźmi zależnymi, podległymi i muszą robić to, co im każe Federacja, inaczej będą skończeni. Ale tamten policjant, wtedy nazywany jeszcze milicjantem, nie robił kariery w świecie sportu. Po prostu przyjął pieniądze. Więc nie powinien żyć.

Czwarte nazwisko należało do Granta Arturowicza Gandzumiana, który przekupił Kolę Nosulenko, a przez niego dyrekcję zarówno Pałacu Sportu, jak i szkoły sportowej, żeby jego mierny, pozbawiony talentu syn pozostał w grupie. Przyszło polecenie, żeby zrobić redukcję, więc należało usunąć dwóch uczniów. Jednakże zamiast Wardana Gandzumiana, któremu łyżwiarstwo figurowe nie było do niczego potrzebne, z grupy usunięto utalentowanego chłopca powierzonego Własowowi – stawiającemu wówczas pierwsze kroki w profesji trenera.

Chłopca od razu przejęli, rzecz jasna, trenerzy innej grupy, bo był rzeczywiście zdolny i parę lat później zaczął osiągać imponujące wyniki, ale Władimir nie mógł pozbyć się myśli, że



gdyby pozwolono mu z nim pracować, chłopiec osiągnąłby te same wyniki jako jego uczeń. Jego, a nie kogoś innego. Wołodia mógłby zabłysnąć jako obiecujący trener. A ten cholerny biznesmen ze swoimi nie wiadomo jak zarobionymi pieniędzmi wszystko popsuł.

Na końcu listy, pod numerem piątym, znajdowała się Gałka, przyszła żona Koli Nosulenki. Wołodia nie ma nawet ochoty jej wspominać. Podła kreatura. Obserwowała każdy jego krok, wciąż donosiła na niego Koli, kłamała jak najęta, zrobiła wszystko, żeby Kola zwolnił swojego drugiego trenera. I od razu zajęła jego miejsce. I znowu zadziałał ten sam mechanizm, bo gdyby Gałka chciała zrobić karierę w zawodzie trenera, Władimir by zrozumiał i nie miał jej tego za złe. Każdy wyszarpuje swój kawałek w miarę swoich możliwości. Ona nie zamierzała jednak zostać trenerem, chciała tylko podczepić się pod Kole, namówić go do małżeństwa, zameldować się w stolicy i dostać stałą pracę. A później przebić się dalej.

Do każdego nazwiska na liście dołączone były informacje, którymi Własow dysponował w owej chwili: miejsce zamieszkania i pracy, numer telefonu. Niektóre dane dawno się zdezaktualizowały, ale Filip stwierdził, że to żaden problem, bo w dobie Internetu i nowoczesnych technologii znalezienie kogokolwiek to fraszka.

– Od tej chwili się nie znamy i jeśli spotkamy się w pracy, nie zwracamy na siebie uwagi – powiedział na pożegnanie. – Dam znać, gdy skończę robotę. Wtedy przyjdzie pora na ciebie. Chyba nie ma dla ciebie znaczenia, w jakiej kolejności będę ich...? No, rozumiesz...

– Wszystko jedno. – Własow kiwnął głową. – Chcę, żeby ich nie było.

Wołodia czekał, nie brakowało mu cierpliwości. Każda wiadomość o śmierci wrogów-dręczycieli sprawiała, że odżywał, jego obrazy stawały się wyrazistsze i jeszcze bardziej nasycone kolorami. Szkoda tylko, że o zabójstwie tej zdziwy Jefimowej

dowiedział się tak późno, mógłby się cieszyć już od dwóch miesięcy. Ktoś ubiegł Filipa, postarał się... Nic w tym dziwnego, taka parszywa wywłoka jak Inna Wiktorowna narobiła świństw nie tylko Własowowi. Niejeden chciał z nią wyrównać rachunki. Liczy się jednak to, że już jej nie ma. Wołodia może oddychać pełną piersią.

Nic nie szkodzi, że z Gandzumianem nie całkiem się udało. Dostał nauczkę, więc niech sobie żyje.

Teraz przyszła kolej na Władimira Własowa, żeby wywiązał się z swojej części umowy. Już pojutrze. W sobotę.

Od razu zostanie złapany, osądzony i trafi do więzienia.

Wie o tym.

Jest gotów.

===

Zaproszeni na grilla goście mieli się zjawić w domu Oriechowa o osiemnastej. O siedemnastej, jak było ustalone, Wadim Konstantinowicz wezwał ochroniarza zajmującego stanowisko przy bramie wjazdowej i zaczął nieśpiesznie i troskliwie wypytywać go o zdrowie teściowej oraz postępy szkolne dwóch nieletnich synów.

– W razie problemów od razu daj znać – powtarzał. – Pomogę ci z leczeniem, dam nieoprocentowaną pożyczkę, zasłużyłeś dobrą pracą. Pomogę też ze szpitalem, lekarzami i lekarstwami. I pamiętaj, żebyś był surowy dla swoich smarkaczy, nie zawał sprawy, bo wyrosną na nieponi, takich jak mój Filip.

Podczas tej budującej rozmowy Wąs wpuścił przez furtkę prowadzącą do lasu Nastię Kamieńską, Antona Staszysa, Romana Dziubę i Fiodora Uljancewa, żeby zajęli zaplanowane i przygotowane stanowiska.

– No cóż, moja jedyna – zwrócił się żartobliwie do Nasti – wybieraj sobie kawalera. Nie mam dla ciebie osobnego stanowiska.

Nastia szybko otaksowała wywiadowców. Uljancew wyraźnie nie nadawał się do towarzystwa, jest obcy, Nastia go w ogóle nie zna, zresztą on też będzie skrępowany. Antona zna dobrze od dawna, ale z jakiegoś powodu woli Romka z jego niespożytą wyobraźnią, niezmordowaną ciekawością i wręcz nieludzkim uporem.

Wąsikow zaprowadził ich na miejsca i wręczył każdemu wyświetlacz, na którego ekranie widniał podgląd z zainstalowanych przezeń kamer (wystarczyło tylko wcisnąć guzik, żeby przełączyć obraz), a także małe słuchawki, pozwalające słyszeć to, co będzie się działo w altanie i wokół niej w odległości mniej więcej dziesięciu metrów. Jeśli ktoś odejdzie dalej, nie będzie go słyszeć.

– Czym chata bogata. – Wąs rozłożył ręce. – Dobrze, że przynajmniej to zdobyliśmy. Przypominam, żebyście się nie kręcili po posesji i nie gadali. Już wam mówiłem, że nasi goście lubią sobie pospacerować.

Wąs znikł, ochroniarz wyszedł z domu i zajął stanowisko przy głównej bramie, pozostawało tylko czekać. Nie wiadomo, jak długo. Policjanci zajmujący się obserwacją jeszcze nie dali znać, że Filip Oriechow i Władimir Własow ruszyli w stronę domu za miastem. W ogóle się jeszcze nie spotkali. Własow był w swoim mieszkaniu, a Oriechow spędzał czas z dziewczyną poznaną ubiegłej nocy.

O osiemnastej piętnaście przyjechali pierwsi goście – małżeństwo mniej więcej w wieku Oriechowa seniora, dziesięć minut później zjawiała się druga para, starsza. Jeśli wierzyć Wąsowi, zgodnie z przyjętym zwyczajem towarzystwo spędzi w domu jakąś godzinę przy aperitifie, po czym Wadim Konstantinowicz przystąpi do działania. Zdaniem Wąsikowa Oriechow lubi, żeby główne danie – szaszłyki – było serwowane w altanie przy świetle lamp, gdy się ściemni, no a ściemni się jeszcze nieprędko. Przed degustacją szaszłyków przewidziane były liczne przystawki, rozmaite alkohole i ożywione rozmowy.

Stojąc koło Dziuby, Nastia walczyła z bólem pleców i obserwowała pana domu na wyświetlaczu. Oriechow robił, co mógł, żeby wyglądać na dobrodusznego i gościnnego gospodarza, żartował i podtrzymywał rozmowy, wystarczyło jednak, że się odwrócił od gości, na przykład gdy co pewien czas szedł do domu, żeby dopilnować przygotowań, a jego twarz stawała się surowa, zasepiona i martwa. Nic dziwnego. To żadna przyjemność dowiedzieć się, że ktoś zamierza cię zabić.

Wąs postąpił rozsądnie, powiedział Oriechowowi, że ktoś dostał zlecenie, by go zabić, kto – nie wiadomo, wiadomo tylko, że wykonawca pozyskał zaufanie Filipa i zamierza z jego pomocą dostać się do domu, żeby zrealizować swój plan. Gdyby naczelnik służby ochrony powiedział szefowi prawdę, całkiem możliwe, że serce ojca by nie wytrzymało. Oriechow rzuci się na ratunek syna, a wtedy znacznie trudniej będzie udowodnić winę Filipowi. No a Własowa tym bardziej nie da się przyszpilić, jeśli dobrowolnie wszystkiego nie powie.

O dwudziestej siedemnaście Dziuba odebrał wiadomość w komórce, że Własow opuścił mieszkanie. O dwudziestej czterdzieści dwie przyszła jeszcze jedna wiadomość, mówiąca o tym, że Filip Oriechow wsiadł do samochodu i wyjechał z centrum. O dwudziestej pięćdziesiąt osiem zatrzymał się przy stacji metra, o dwudziestej pierwszej zero sześć do jego samochodu wsiadł Własow.

– No proszę – wyszeptał Dziuba, pokazując Nasti ostatnią wiadomość – zaczęło się. Tak jak pani mówiła. Zanim dojadą, będzie dziesiąta, zanim coś zjedzą, porozmawiają, zdąży się ściemnić. Tylko wciąż nie rozumiem, po co czekają do nocy. Co za różnica? Chyba lepiej, gdy jest jasno, wtedy wszystko dobrze widać.

– Póki szaszłyki nie zostaną podane, tatuś Oriechow będzie z umiarem sięgał po alkohol i nie da się tak łatwo wyprowadzić z równowagi, no a gdy to, co najważniejsze zostanie zrobione, będzie mógł się odprężyć. Jeśli moje przewidywania są słuszne,

panowie zamierzają sprowokować wielką awanturę, podczas której Oriechow senior śmiertelnie obrazi Własowa, a ten w odpowiedzi wyjmie pistolet i zastrzeli tatę swojego kompana na oczach zdumionych widzów, to znaczy w obecności licznych świadków. Żeby zrealizować ten plan, trzeba zamrozić tatę alkoholem – rozluźni się i przestanie się kontrolować – wyjaśniła Nastia, a po chwili dodała: – Chociaż niewykluczone, że wszystko odbędzie się zupełnie inaczej. Nie jestem prorokiem.

– Chyba ma pani rację. Nie przypadkiem Filip nagadał tacie tyle świństw na temat Własowa, umieścił je też w Internecie, żeby Wąs wszystko przeczytał. W Fighterze jest przecież jeden serwer, więc Filip mógł z łatwością włamać się do komputera Wąsa i sprawdzić, jakie strony najczęściej odwiedza i gdzie zwykle szuka informacji. No i umieszczał je właśnie tam, gdzie Wąs będzie ich szukać. A gdy znajdzie, na pewno przekaze tacie. Na to właśnie liczył. Musi dać ojcu argumenty do rąk, inaczej z awantury nici. Nawet ktoś bardzo pijany nie nazwie uczciwego i pracowitego człowieka nierobem i pasożytem, prawda?

– Owszem. – Nastia skinęła głową. – Na to właśnie liczył. Zapamiętujesz, ile Wadim wypił?

– Tak jak się umówiliśmy.

– No to ile zatankował do tej pory?

– Według moich szacunków ze sto pięćdziesiąt gramów, facet podnosi tylko kieliszek do ust i upija mały łyk.

– Spryciarz z niego – zdziwiła się Nastia. – A zachowuje się tak, jakby wypił co najmniej pół litra. Zresztą przy jego gabarytach pół litra to pestka. Zwłaszcza że sporo je. Ale to, że nie próbuje się napić ze strachu i dotrzymuje umowy, dobrze o nim świadczy.

Gdy na posesję wjechał samochód Filipa Oriechowa, zapadł już zmrok. Ochroniarz podszedł do auta, zaczekał, aż Własow wysiądzie, po czym go przeszukał. Taki miał obowiązek,

mężczyzna był nieznajomy, nowy. Syn pana domu nie został, rzecz jasna, poddany kontroli.

– Jesteśmy! – donośnie oznajmił Filip, zbliżając się razem z Własowem do altany. – Dobry wieczór wszystkim, życzymy smacznego. Poznajcie się, to Wowik Własow, mój kompan i w ogóle odjechany gość.

– Wowik Własow? – nieprzyjemnym głosem powtórzył Wadim Konstantinowicz. – No cóż, witamy w naszych progach.

Filip i jego przyjaciel szybko wychylili po kieliszku jakiegoś mocnego trunku i ruszyli do domu.

– Ty dokąd? – zawołał za synem Oriechow. – Za pięć minut będą szaszłyki.

– My tylko na chwilę, chcę pokazać Wowikowi coś w kompie.

– Nie marudźcie za długo! – surowo przykazał ojciec.

Nastia przełączyła obraz i teraz miała podgląd z kamery zainstalowanej na schodach domu. Młodzi ludzie w milczeniu wspięli się na piętro, na ich twarzach malował się wyraz napięcia. Zbliżyli się do drzwi prowadzących do pokoju Filipa i się za nimi skryli. Nastia natychmiast przełączyła się na inną kamerę: Filip otworzył szufladę biurka, na którym stał komputer, wyjął stamtąd pistolet, odbezpieczył, przeładował i wręczył Własowowi. Ten nie patrząc na broń (widocznie nie miał takiego zwyczaju), odchylił połą lekkiej, luźnej wiatrówki i wsunął pistolet z tyłu za pasek spodni.

– Na razie wszystko zgodnie z planem – znowu wyszeptał Dziuba.

Nastia tylko kiwnęła głową, marząc o jednym: żeby jak najprędzej wszystko się skończyło i żeby mogła już usiąść. Teraz nie tylko łamało ją w krzyżu, ale też rozbolewały stopy.

Filip i Własow wrócili do altany akurat w chwili, gdy zapaliły się liczne lampiony i Wadim Konstantinowicz z triumfalną miną niósł różną z szaszłykami, idąc od strony znajdującego się niedaleko zadaszzonego grilla. Wśród gości od razu zapanowało poruszenie, gwar przybrał na sile, ręce sięgnęły po butelki

i kieliszki. Oriechow senior nalał sobie sporą porcję alkoholu do szklanki, wypił duszkiem, wsunął do ust kawałek mięsa i zaczął go wolno przeżuwać, nie spuszczać palających, przymrużonych oczu z Własowa.

– Gospodarz, jak to się mówi, zrobił swoje, zapewnił poczęstunek – odezwał się z groźbą w głosie. – Teraz chciałby wiedzieć, kogo u siebie gości. Kogo, by tak rzec, dopuścił do stołu. Więc powiedz, Wowik, czym się zajmujesz? Jak zarabiasz na życie? Co osiągnąłeś i czym się możesz pochwalić?

Zdaniem Nasti Kamieńskiej była to właśnie ta chwila, na którą liczył Filip Oriechow.

Własow próbował coś odpowiedzieć, ale jego głos utonął w pijanym ryku Wadima Konstantinowicza.

– Jesteś krętaczem i nierobem, szulerem karcianym, umiesz tylko kraść i oszukiwać, miałeś czelność zjawić się w moim domu, gdzie każda kopiejka została zarobiona uczciwą pracą, żreć moje jedzenie i pić mój koniak! Jutro każę zrównać z ziemią tę altanę tylko dlatego, że twój parszywy tyłek siedział na tej ławce!

Filip się nie wtrącał, Własow milczał, pozostali goście próbowali uspokoić i powstrzymać Oriechowa, ale ten coraz bardziej się rozpalał. Nagle Władimir podniósł się ze swego miejsca, zrobił parę kroków w stronę pana domu i stanął tuż przed nim.

– To już teraz – wyszeptała Nastia. – Za chwilę. Jesteś gotów?

– Tak – odparł Romek. – Ale Tocha jest bliżej.

Własow wyszarpnął zza pasa pistolet, wymierzył w Wadima Konstantinowicza, po czym głośno i spokojnie powiedział:

– Nie odpowiadam obrazą na obrazę. Odpowiadam inaczej.

I nacisnął parę razy spust.

Głucho szczęknął metal. Nic więcej się nie stało. No bo co się mogło stać, skoro Włas zajął się wcześniej bronią. Po jego ingerencji nie było szans, żeby pistolet wystrzelił.

Anton i Uljancew pędzili z dwóch stron ku altanie, czworo

gości stłoczyło się w panice, wskutek czego Wąs nie mógł się przedrzeć. Własow stał nieruchomo, trzymając w rękach pistolet, który nie wystrzelił.

Wszystko zgodnie z planem.

Nagle Filip, z twarzą wykrzywioną wściekłością, chwycił ze stołu spory nóż i rzucił się na Własowa.

W tej samej chwili Nastia ostatecznie zrozumiała, jaki plan miał tak naprawdę Filip Oriechow. Wcale nie zamierzał pozwolić, żeby Własowa aresztowano. Od początku chciał zabrać mu pistolet i go zabić. Zabić przestępcę, mordercę, który sekundę wcześniej, na oczach syna i gości zastrzelił Wadima Oriechowa. Działanie w afekcie, obrona konieczna – adwokaci będą mieli pole do działania. Realny wyrok pozbawienia wolności nawet nie wchodzi w grę, w najgorszym razie skończy się na zawiasach.

Po co Filipowi Oriechowowi bomba z opóźnionym zapłonem w osobie Własowa, który wie o wszystkim? Wie i w każdej chwili, pod wpływem różnych czynników może sypnąć. Nie, pozbycie się go jest znacznie lepsze.

Własow wszystko zrozumiał. Wystarczyło, że zobaczył oczy Filipa, a domyślił się, co się stanie.

Wszystko działo się błyskawicznie. Własow zrobił ledwie zauważalny ruch i bez żadnego wysiłku wskoczył na balustradę altany, obiema rękami chwycił się dachu, podciągnął, na dachu rozległy się szybkie kroki, później skok – Własow już biegł przez krzaki tam, gdzie nikt na niego nie czekał. Biegł w stronę furtki prowadzącej na sąsiednią posesję. Jedyne miejsce niepilnowane przez wywiadowców.

Nastia, dobrze pamiętając plan, nad którym przesiedziała z Wąsem niejedną godzinę, popędziła z zamiarem przecięcia mu drogi, ale szybko zrozumiała, że to bezcelowe. Młody mistrz sportu dotrze do furtki wcześniej, o wiele wcześniej. Może Dziuba da radę?

– Dogonisz? – zapytała zdyszana.



Odległość między biegnącym Własowem a zbawienną furtką nieubłaganie się zmniejszała.

– Nie – sapnął Dziuba. – Za daleko.

Przycisk. Nastia dobrze go widzi. Jeżeli Własow go użyje i otworzy furtkę, psy rzucą mu się do gardła. To niedobre rozwiązanie. Także i z tego powodu, że będzie na rękę Filipowi Oriechowowi, bo w ten sposób pozbędzie się niepotrzebnego i niebezpiecznego świadka.

– Widzisz przycisk? – zapytała. – Biały, kwadratowy, po prawej stronie furtki.

– Widzę.

– Trafisz?

– Nie jestem pewien. Duża odległość.

– Daj mi pistolet – poleciła. – No szybciej!

Liczyły się sekundy.

Dziuba wręczył jej służbowy pistolet, Nastia natychmiast go przeładowała. Wycelowała. Własowa dzieli od furtki jakieś siedem metrów. Sześć. Pięć.

Wstrzymała oddech i nacisnęła spust. Przycisk rozpadł się w drobny mak. Niespodziewany hałas sprawił, że Własow się potknął, ale nie upadł, tylko pobiegł dalej. Stracił jednak ułamki sekund, podczas których zamek elektroniczny się uruchomił, a następnie wyłączył. Własow szarpał za klamkę, a zza płotu groźnym, przenikliwym basem ujadały wyszkolone psy. Nie miał już dokąd biec. W tym czasie został otoczony ze wszystkich stron, ale pierwszy dopadł go Dziuba.

Nastia wyjęła chustkę, starannie wytarła pistolet i położyła na ziemi. Teraz w końcu przysiadła sobie na trawie, oprze się plecami o pień drzewa i wyciągnie nogi. I będzie jak wierny pies strzec broni starszego lejtnanta Dziuby.

===

Światło paliło się we wszystkich oknach na parterze, ale na

piętrze, w pokoju Sańki z jakiegoś powodu było ciemno.

Czyżby spał? – zdziwiła się Nastia. Przeważnie nie wyłącza komputera przed trzecią w nocy, zdarza się też, że siedzi do rana... Może zachorował? Albo po prostu nie ma go w domu?

Wstawiła samochód do garażu i weszła do mieszkania. Czistiakow siedział przy dużym stole i układał jakiegoś skomplikowanego pasjansa z czterech talii, wymagającego sporo miejsca. Zawsze układał pasjansa, gdy czekał i się denerwował.

Nastia poczuła łyzy cisnące się do oczu. Loszka, jej ukochany, wierny mąż i najbliższy przyjaciel, który stracił tyle nerwów z powodu jej pracy, a przy tym nigdy, ani razu nie powiedział o niej złego słowa.

– No jak? – Aleksiej wstał od stołu i do niej podszedł, uważnie wpatrując się w jej twarz i próbując wyczytać z niej to, co mogłaby spróbować ukryć: zmęczenie, rozczarowanie, smutek wywołany niepowodzeniem, złość na samą siebie za to, że nie ustrzegła się błędów.

Nastia mocno objęła męża i głośno cmoknęła w podbródek.

– Wszystko w porządku, Loszyk, udało się. Co prawda niezupełnie tak, jak przewidywałam, ale się udało. Nieźle się spisaliśmy!

– To wynik – surowo powiedział Czistiakow. – A teraz szczegóły.

– Aha. – Nastia ze śmiechem kiwnęła głową i zanuciła fragment pieśni Galicza: „A z sali słyhać wołania: Podaj szczegóły!”.

– Zjesz coś?

Nastia zerknęła na zamknięte rozsuwane drzwi, dzielące kuchnię od reszty parteru, i odmownie pokręciła głową.

– Nie chcę. Nie czuję pleców. Chcę się tylko położyć na kanapie i wyciągnąć.

– A kto ci broni?

Czistiakow troskliwie objął ją ramieniem i zaprowadził do

długiej, wygodnej kanapy.

– Ojej, nie zdjęłam adidasów! – zauważyła Nastia.

– Zdejmę.

Aleksiej rozsznurował adidas, ściągnął je z nóg i zaniósł do przedpokoju, po czym przysiadł na kanapie obok Nasti.

– Opowiadaj.

– W sumie nie zdarzyło się nic szczególnego. Wszystko zgodnie z planem. Śledczy zlecił ekspertyzy balistyczne dostępnych dowodów rzeczowych i wiesz, co się okazało? Wszystkie zabójstwa popełniono przy użyciu zupełnie innych pistoletów. Żadnej powtórki. A więc słusznie odgadłam, że za każdym razem po zabójstwie Oriechow pozbywał się broni – albo zakopywał ją w lesie, albo wrzucał do wody. Jeden pistolet, z tamtej pary, którą nabył legalnie, ukrył, żeby potem z ważną miną oznajmić: „Własow wszedł do mojego pokoju i zabrał broń, gdy nie patrzyłem”.

– Przecież jest przerobiona – zdziwił się Czistiakow. – To nielegalne. Jak zamierzał to wyjaśnić?

– Nijak. – Nastia się uśmiechnęła. – Romek trafił w dziesiątkę, Oriechow nie widzi dalszego celu. Wydaje mu się, że wystarczy usunąć z drogi tatusia, legalnie przejąć jego pieniądze i na tym koniec. Reszta nie ma znaczenia, życie od razu stanie się cudowne i zdumiewające. To nieważne, że nie ma drugiego pistoletu, powie, że zgubił albo ktoś mu ukradł, ale tego nie zgłosił – zapomniał albo nie wiedział, że trzeba, albo był zabiegany. To nieważne, że pistolet jest przerobiony, najważniejsze, że nie ma już taty! Taka mentalność, nic na to nie poradzisz... Gdyby jednak Romek nie dostrzegł tej jego właściwości, nie pomyślałabym, że można wpaść na tak niedorzeczny plan.

– Widzę, że twój Romek ma głowę nie od parady – zauważył Czistiakow. – Rośnie godny następca.

– Pojedynczy egzemplarz. Takich jak on jest niewiele. Niestety.

– Asiu! – Aleksiej pociągnął nosem, nachylił się ku żonie, powąchał ubranie, podniósł do twarzy jej dłonie, najpierw lewą, później prawą. – Pachniesz prochem... czy mi się wydaje?

Czistiakow wyraźnie zbladł. Trudno, trzeba się przyznać.

– Nie było w tym nic niebezpiecznego, Losza, słowo daję. – Nastia zaczęła go przekonywać. – Nie strzelałam do człowieka, tylko w zamek elektroniczny przy furtce.

– Przecież nie masz broni!

– Użyłam pistoletu Romka. On by nie trafił, cel był mały, a odległość duża. To nic takiego, Losza! Przysięgam ci, że nie było żadnego niebezpieczeństwa!

– On by nie trafił – mruknął Aleksiej. – Ale ty, jeśli dobrze rozumiem, trafiłaś?

– Przecież trenuję. – Uśmiechnęła się pojednawczo.

Aleksiej już parę razy rzucał dziwne spojrzenia w stronę rozsuwanych drzwi. Nastia uniosła głowę i się przyjrzała: szpara między skrzydłami wyraźnie się powiększyła. A przecież w ogóle jej nie było, gdy przyszła. Teraz jednak była.

– Ty łobuzie! – krzyknęła. – Podśłuchujesz? Wyłaż stamtąd, i to już!

Szpara zaczęła się powoli powiększać, aż w końcu wychynał z niej wychudzony Sania ze zmierzwioną czupryną. Boże, jak on wygląda! Nie, nie udało się Nasti Kamińskiej wykonać powierzonego zadania, nie potrafi zadbać o bratanka i o jego zdrowie. Kiepska z niej niańka. Zawiodła zaufanie brata.

– Naprawdę strzelałaś, Nastiu? – zapytał chłopak nie wiedząc czemu szeptem. – Z czego? Z makarowa?

– Z tego, co policjanci dostają w ramach wyposażenia służbowego – odparła surowo. – Jeszcze jakieś pytania? Marsz do łóżka. Jak jeszcze raz zobaczę, że podśłuchujesz, natrę ci uszu.

Sania podszedł z przymilną miną.

– Jak chcesz, Nastiu, to zaraz zjem kaszę. I to cały garnek. Obiecay tylko, że dasz nam z Pietią inne podobne zadania,

dobra?

– A co, spodobało wam się? – Nastia się uśmiechnęła.

– Jasne, pełen odjazd. No to jak, umowa stoi?

– Jak zjesz kaszę, to się zastanowię – obiecała przebiegle.

No cóż, jak to mówią, każdy sposób jest dobry. Byleby tylko wepchnąć w chłopaka coś zdrowego.

Nastia wzięła Czistiakowa za rękę, odwróciła się na bok, wsunęła jego dłoń pod swój policzek i znieruchomiła. Miała wrażenie, że może tak leżeć całą wieczność.

===

Obowiązek złożenia raportu z zatrzymania Władimira Własowa i Filipa Oriechowa przeniesiono na poniedziałek, pozwalając, żeby w niedzielę wywiadowcy legalnie odpoczęli.

– Rzadki przypadek, gdy mamy wolne w weekend – z zadowoloną miną stwierdził Uljancew. – Jutro przystopuję, nie będę nic robił, całkowicie poświęcę ten dzień żonie i rodzinie.

– Jutro – prychnął Anton. – Dobrze mi jutro. Już świta.

Czekanie na śledczego, przesłuchanie wszystkich obecnych, obejrzenie miejsca zdarzenia i zajęcie dowodów rzeczowych zabrało sporo czasu. Zatrzymanych zabrano. Teraz można było z czystym sumieniem jechać do domu.

– Kamieńska to ma życie – z zazdrością stwierdził Dziuba, wsiadając do samochodu Antona. – Jak się wszystko skończyło, od razu pojechała. Pewnie już śpi jak zabita.

– Ty też nie masz powodu do narzekań – roztropnie zauważył Anton. – Zaraz wrócisz do domu, mama przygotowała ci kolację, którą wsuniesz zamiast śniadania, położysz się spać, obudzisz w rodzinnym gronie, wszyscy cię kochają i ci współczują. I nie musisz iść do pracy. Czy to źle? Ja mam o wiele gorzej. W domu nikogo, jedzenia nie ma, nikt mnie nie nakarmi, nie pożałuje, nie położy spać.

– Kamieńska strzela super. – Roman westchnął z podziwem. – Chciałbym się tak nauczyć.

– Żeby się tak nauczyć, trzeba mieć dużo wolnego czasu, w przypadku wywiadowcy to nierealne.

– To prawda – przyznał Dziuba. – Aha, wciąż zapominam, że miałem ci coś powiedzieć. Okazuje się, że Bagłajew kolekcjonuje lapsusy językowe, no wiesz, różne niedorzeczności z punktu widzenia języka i zdrowego rozsądku.

– No i co z tego? – obojętnie odparł Anton.

– Kamieńska mi o tym powiedziała. I sprezentowała parę zdań ze swojej praktyki. Na wypadek, gdyby mi się nie układało z Bagłajewem. Żeby go zjednać.

– I co, zjednałeś?

– Nie, jakoś nie było okazji. A zresztą nie mam ochoty podlizywać się śledczemu w sytuacji, gdy jestem pewien, że się nie mylę. Ale na wszelki wypadek pamiętaj o tym. Gdy trzeba będzie się dogadać z Bagłajewem, mam w zanadrzu niezły towar.

– Dobrze – odparł Anton. – Zapamiętam. Może kiedyś skorzystam, nie jestem tak wrażliwy jak ty. Uciążliwe warunki służby porządnie nadszarpięły i osłabiły moją ambicję.

Obaj roześmiali się ze znużeniem.

– Chciałem cię jeszcze zapytać o Jefimową, Tocha... Co postanowiłeś w sprawie Szokina?

– Podobnie jak Uljancew uznałem, że przystopuję. Jefimową zabił Żurichin, facet się przyznaje i składa zeznania. Co za różnica, kto i w czym go moralnie wspierał i mu sekundował? Niech sam decyduje. Wyda Szokina, to dobrze. Nie wyda – trudno. Nie będę brał go na swoje sumienie.

Romek kiwnął głową w milczeniu, Anton nie potrafił jednak stwierdzić, czy starszy lejtnant podziela jego zdanie.

Odwiózł Romka pod sam dom i pojechał do siebie. Cud się nie zdarzył. Mieszkanie było puste i nieposprzątane – przez cały tydzień Anton nie znalazł czasu na porządki. Jedzenie też nie

pojawiło się znikąd.

Jeszcze pół godziny temu wydawało mu się, że jest głodny jak wilk. Ale gdy wszedł do mieszkania, zdał sobie sprawę, że marzy tylko o śnie. Okropnie się zmęczył przez ostatnie parę tygodni. Jeżeli w organizmie drzemią jeszcze jakieś siły, warto je wykorzystać, żeby się rozebrać, wziąć prysznic i się położyć.

Anton Staszys spał do południa, a gdy się obudził, za oknem szumiała ulewa i huczała burza. Gdyby dzieci były w domu, zaraz zaczęłyby tarmosić ojca i żądać, żeby natychmiast wstał i włączył się do rozrywkowej części niedzielного programu. Chociaż o jakich rozrywkach może być mowa w taką pogodę?

Odwrócił się na drugi bok, naciągnął kołdrę na głowę i znowu zapadł w sen.

A gdy się na dobre obudził, znalazł w komórce wiadomość:

„Obiecałam Stiepanowi i Wasylisie, że pójdę z nimi na karuzelę. Może pan wybrać dzień w przyszły weekend. Jeśli będzie pan zajęty, pańska obecność nie jest konieczna. Olga Witort”.

No oczywiście, że będzie zajęty. Nawet dziecko wie, że jeśli policjant dostał wolne w niedzielę, to zgodnie z teorią prawdopodobieństwa najbliższy dzień wolny przypadnie w środku tygodnia. Jeśli zaś chodzi o to, że jego obecność nie jest konieczna – jeszcze zobaczymy!

*Maj 2013 – kwiecień 2014*

[15] Międzynarodowe Centrum Biznesu na nabrzeżu Priesnienskim.

[16] ISU (International Skating Union) – Międzynarodowa Unia Łyżwiarska.

[17] Mosgorduma (Moskowskaja gorodskaja duma) – Moskiewska Duma Miejska.

[18] OK (Odnoklassniki) – popularny rosyjski serwis społecznościowy, odpowiednik Naszej Klasy.

[19] Najpopularniejszy rosyjski serwis społecznościowy założony w 2006 roku.

[\[20\]](#) Tajny resort Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który zajmuje się m.in. przestępstwami komputerowymi.

[\[21\]](#) WGIK (Wsierossijskij gosudarstwiennyj institut kinematografii) – Wszechrosyjski Państwowy Instytut Kinematografii.

[\[22\]](#) Największa w dziejach Rosji firma, która zorganizowała piramidę finansową. Gdy zbankrutowała, tysiące ludzi straciły oszczędności.

[\[23\]](#) OBEP (*Otdiel po borbie s ekonomiceskimi priestuplenijami*) – Wydział do Walki z Przestępstwami Ekonomicznymi.

[\[24\]](#) BCHSS (*Borba s chiszczenijami socialisticzeskoj sobstwiennosti*) – walka z przywłaszczeniem socjalistycznego mienia.



## Podziękowania

Wyrażam głęboką wdzięczność wszystkim sportowcom, trenerom, choreografom, dziennikarzom sportowym, sędziom oraz kontrolerom technicznym, którzy poświęcili czas, żeby wprowadzić mnie w tajniki swoich profesji. Bez ich fachowej pomocy nie udałooby mi się zebrać tak wielu ciekawych informacji.

Osobne podziękowania składam na ręce eksperta medycyny sportowej, zasłużonego lekarza Federacji Rosyjskiej, Siergieja Michajłowicza Zosimowa, za przekazaną na potrzeby tej książki kolekcję perełek językowych z zakresu prawa.



**POLECAMY POPRZEDNIE TOMY  
BESTSELLEROWEGO CYKLU  
O MAJOR KAMIŃSKIEJ**

# Spis treści

[Część 1](#)

[Część 2](#)

[Podziękowania](#)

[Polecamy również](#)